Orson Scott Card

Aaron Johnston

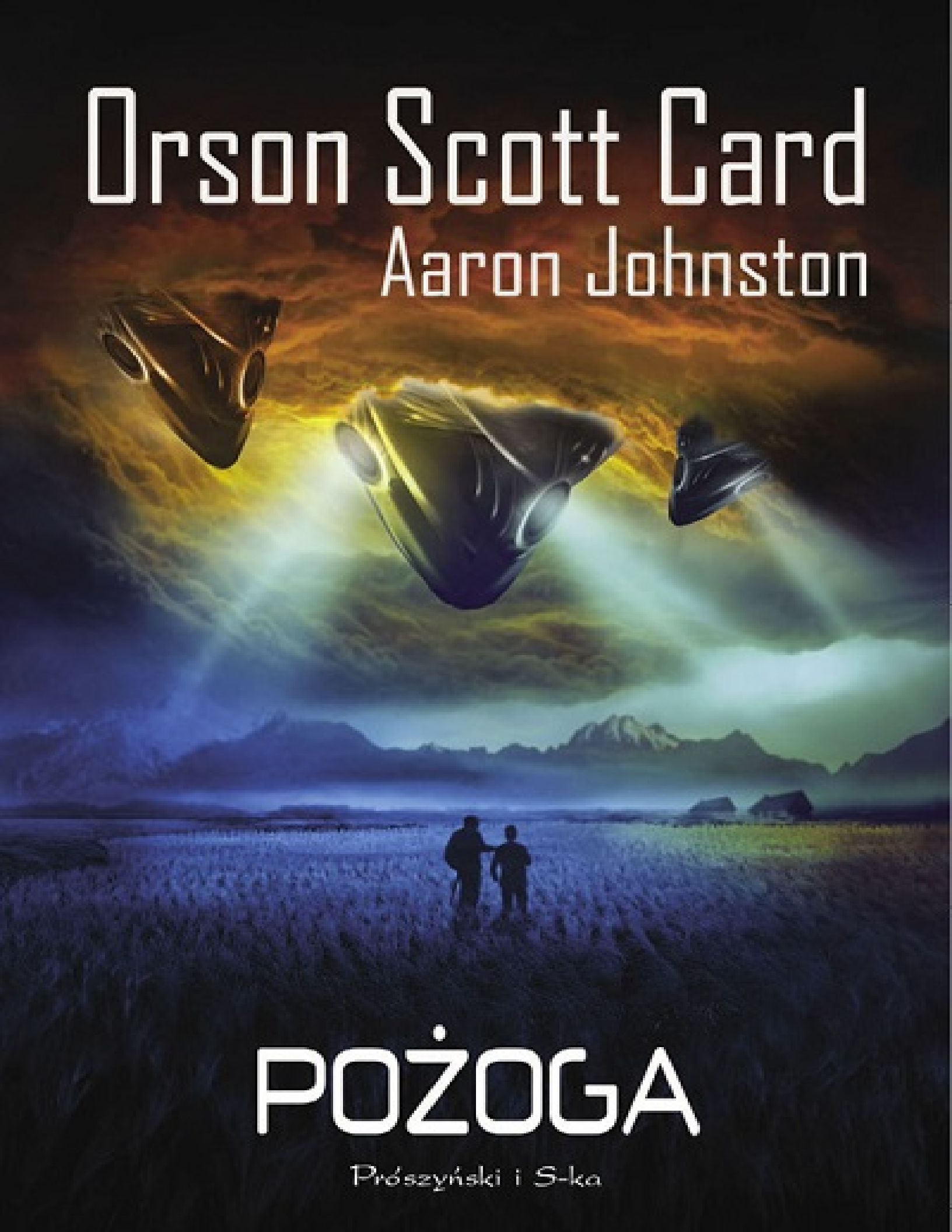

POŻOGA

Prószyński i S-ka

ORSON SCOTT CARD
AARON JOHNSTON

POŻOGA

Tłumaczyła: Agnieszka Sylwanowicz

Stefanowi Rudnickiemu
za dawanie życia słowom istniejącym na papierze
oraz tym, którzy nazywają cię przyjacielem.

ROZDZIAŁ 1

BINGWEN

Bibliotekarka obejrzała wideo na monitorze Bingwena, zmarszczyła brwi i powiedziała:

– To jest ta twoja pilna sprawa, Bingwenie? Oderwałeś mnie od pracy, żeby pokazać mi jakiś przerażający filmik o obcych? Powinieneś się uczyć do egzaminów. Ludzie czekają w kolejce, żeby skorzystać z tego komputera. – Wskazała dzieci ustawione przy drzwiach, chcące się dostać do sprzętu. – Marnujesz czas mój oraz ich.

– To nie jest przerażający filmik – rzekł Bingwen. – To się dzieje naprawdę.

– Po sieciach krążą dziesiątki historyjek o obcych – stwierdziła drwiąco. – Jak nie seks, to obcy.

Bingwen skinął głową. Powinien był się spodziewać, że bibliotekarka mu nie uwierzy. Wiadomość o czymś tak poważnym jak zagrożenie ze strony obcych powinna pochodzić z wiarygodnego źródła: z wiadomości, od rządu albo od innych dorosłych, a nie od ośmioletniego syna rolnika uprawiającego ryż.

– Masz trzy sekundy na powrót do nauki albo dam twój czas komuś innemu.

Nie oponował. Co by mu to dało? Kiedy dorośli upierają się przy czymś publicznie, nie zmienią zdania pod wpływem żadnych dowodów, choćby były nie do obalenia. Wrócił na swoje krzesło i przycisnął dwa klawisze. Wideo z obcymi zniknęło, zastąpione skomplikowanym dowodem geometrycznym. Bibliotekarka skinęła głową, posłała chłopcu ostatnie pogardliwe spojrzenie i wróciła do swojego biurka po przeciwnej stronie pokoju.

Bingwen udawał, że jest zajęty dowodem, ale kiedy kobieta sama się czymś zajęła i przestała zwracać na niego uwagę, stuknął w klawiaturę i znowu otworzył to wideo. Patrzyła na niego twarz obcego zastygła nieruchomo w momencie, w którym Bingwen zatrzymał filmik. Czy bibliotekarka dostrzegła coś, czego on nie zauważył? Jakieś drobne zakłócenie lub niespójność świadczące o tym, że wideo jest fałszerstwem? To prawda, że w sieciach krążyły setki takich filmów. Kosmiczne pojedynki, spotkania z obcymi, magiczne misje. Lecz ich sztuczność biła po oczach, a błędy były rażące. Porównywanie ich z tym wideo było jak porównywanie ołówkowego szkicu owocu z samym owocem.

Nie, to się zdarzyło naprawdę. Żaden grafik cyfrowy nie umiałby stworzyć czegoś tak płynnego w ruchu i żywego. Owad miał włoski, muskulaturę, naczynia krwionośne i oczy zdradzające inteligencję. Oczy, które wwiercały się prosto w oczy Bingwena i zwiastowały koniec wszystkiego. Chłopcu robiło się słabo nie z powodu dziwacznego, nienaturalnego wyglądu stwora, lecz ze względu na realność przekazu. Klarowność. Niezaprzeczalną prawdę.

– Co to?

Bingwen odwrócił się i zobaczył, że stoi za nim w tej swojej dziwnej pozycji Skoczek, przechylony na jedną stronę przez wykręconą stopę. Bingwen się uśmiechnął. Przyjaciel. I nie jakiś tam przyjaciel, tylko Skoczek. Ktoś, kto pogada z nim otwarcie i powie mu, że oczywiście to jest oszustwo, zobacz, tutaj nie zauważyłeś zakłócenia, głupku, to jest dowód, że denerwujesz się bez powodu.

– Chodź i spójrz na to – rzekł Bingwen.

Skoczek przykuśtykał bliżej.

– Czy to jakiś przerażający filmik?

– A jak sądzisz?

– Wygląda na prawdziwy. Skąd go masz?

– Yanyu mi przysłała. Właśnie sprawdziłem pocztę.

Yanyu stanowiła tajemnicę, którą dzielił ze Skoczkiem. Była asystentką biorącą udział w badaniach pewnego astrofizyka na Lunie. Bingwen poznał ją w sieci kilka miesięcy wcześniej na forum dla studentów chcących poprawić swoją znajomość angielskiego. W przeszłości próbował udzielać się na innych forach, logując się jako on i niczego nie udając. Jednak kiedy tylko ujawniał swój wiek, administratorzy zawsze go wyrzucali i blokowali mu dostęp.

Wtedy znalazł forum dla studentów. Udał studenta drugiego roku rolnictwa z Guangzhou; uważał, że jest to jedyna dziedzina, w jakiej może się wypowiadać w miarę kompetentnie. Niemal od razu zaprzyjaźnił się z Yanyu i zaczął się z nią wymieniać kilka razy tygodniowo pisanymi po angielsku e-mailami i natychmiastowymi komunikatami. Za każdym razem czuł wyrzuty sumienia, bo przecież podtrzymywał kłamstwo. Co gorsza, kiedy już dobrze poznał Yanyu, nabrał niemal pewności, że jest to osoba, która by się z nim zaprzyjaźniła bez względu na to, ile ma lat.

Ale co miałby teraz powiedzieć? Cześć, Yanyu. Wiesz co? Tak naprawdę jestem dzieckiem. Czy to nie komiczne? O czym dziś porozmawiamy?

Nie. To by było jak przyznanie się, że jest jednym z tych zboczeńców, którzy udają młodych chłopaków, żeby móc rozmawiać z nastolatkami.

– Co napisała? – zapytał Skoczek.

– Tylko tyle, że znalazła to wideo i że musi o nim ze mną porozmawiać.

– Skontaktowałeś się z nią przez komunikator?

– Nie odpowiedziała. Na Lunie jest pora snu. Nasze rozkłady dnia stykają się tylko rano.

Skoczek skinął głową w stronę ekranu.

– Odtwórz to.

Bingwen przycisnął klawisz i wideo zaczęło się od początku.

Na ekranie z luku na boku statku wyłoniła się jakaś postać. Jej skafander ciśnieniowy miał dodatkowy zestaw rąk. Od skafandra ciągnęła się elastyczna rura z dużym zapasem luzu i znikała w luku; zapewne dostarczała stworowi tlen i ciepło, i czegokolwiek jeszcze potrzebował do utrzymania się przy życiu w zimnej kosmicznej próżni.

Przez chwilę stwór się nie ruszał. Przywarł na brzuchu do kadłuba z wyciągniętymi rękami i nogami jak owad trzymający się ściany.

A potem powoli uniósł głowę i się rozejrzał. Ten, kto go filmował, znajdował się w odległości około dwudziestu metrów, ale przód hełmu stwora znajdował się w cieniu i nie było widać twarzy.

W jednej chwili spokój się skończył, bo stwór nagle ruszył w stronę kamery. Skoczek podskoczył tak samo jak Bingwen, kiedy zobaczył to pierwszy raz. Rozległ się potok obcych słów – może hiszpańskich, a może portugalskich – i człowiek z kamerą cofnął się o krok. Stwór przybliżył się, idąc na wszystkich kończynach i kiwając głową z boku na bok. Kiedy znalazł się kilka metrów od kamery, zatrzymał się i znowu uniósł głowę. Światło z hełmu człowieka nagrywającego obraz padło na twarz stwora i Bingwen zrobił stop-klatkę.

– Widziałeś, jak się ruszały włoski i mięśnie jego twarzy? – zapytał. – Jaki płynny był ten ruch? Włosy poruszają się w taki sposób w stanie nieważkości. To musiało zostać sfilmowane w przestrzeni kosmicznej.

Skoczek bez słowa wpatrywał się w ekran z lekko rozchylonymi ustami.

– Wy dwaj prosicie się o kłopoty – zabrzmiało za nimi.

Bingwen znowu się odwrócił. Tym razem ujrzał Meilin, swoją kuzynkę, z rękami zaplecionymi na piersi i zdegustowaną miną. Dziewczynka miała siedem lat, ale ponieważ była o wiele wyższa i od Bingwena, i od Skoczka, zachowywała się, jakby była starsza, a zatem mogła nimi dyrygować.

– Egzaminy są za dwa tygodnie, a wy się wygłupiacie – stwierdziła.

Egzaminy w prowincjach stanowiły dla dzieci z wiosek jedyną szansę zdobycia formalnej edukacji. W dolinie rzeki szkół było niewiele; najbliższe znajdowały się na północy w Dawanzhen albo na południu w Hanguangzhen. Aby się dostać do którejś z nich, trzeba było mieć co najmniej osiem lat i zdobyć na egzaminach minimum dziewięćdziesiąt pięć procent punktów. Nazwiska takich uczniów wrzucano następnie do puli loteryjnej. Liczba losowanych nazwisk odpowiadała liczbie wolnych miejsc, których rzadko bywało więcej niż trzy. Szansa dostania się do szkoły była niewielka, ale stanowiła możliwość wyrwania się z pól i wszystkie dzieci z pobliskich wiosek cały wolny czas od czwartych urodzin spędzały na nauce tu, w bibliotece.

– To twoja pierwsza szansa przystąpienia do egzaminu, a ty ją zamierzasz zmarnować – rzekła Meilin.

– Bingwen jej nie zmarnuje – odparł Skoczek. – Zdaje śpiewająco każdy sprawdzian. Nawet nie umieszczą jego nazwiska w loterii. Przyjmą go natychmiast.

– Zdanie sprawdzianu oznacza, że ma się wszystkie odpowiedzi dobre, błotny móżdżku – szydziła Meilin. – To jest niemożliwe. Test sam się dopasowuje do zdającego. Im więcej masz dobrych odpowiedzi, tym test staje się trudniejszy. Gdybyś odpowiedział dobrze na wszystkie pytania, na końcu byłyby one tak trudne, że nikt by nie odpowiedział.

– Bingwen odpowie.

– Jasne! – prychnęła Meilin kpiąco.

– Nie, naprawdę – rzekł Skoczek. – Powiedz jej, Bingwenie.

Meilin spodziewała się, że tu się żarty skończą, ale Bingwen wzruszył ramionami.

– Chyba mam szczęście.

Na twarzy dziewczynki pojawił się wyraz niedowierzania.

– Wszystkie odpowiedzi? Nic dziwnego, że pan Nong przydziela ci dodatkowy czas przy komputerze i traktuje cię jak swojego pupilka.

Pan Nong, kierownik biblioteki, był życzliwym człowiekiem po sześćdziesiątce; ze względu na zły stan zdrowia przychodził do pracy tylko dwa dni w tygodniu. Jego asystentka, pani Yí, która gardziła dziećmi, a najbardziej spośród nich Bingwenem, zastępowała pana Nonga podczas jego nieobecności, jak właśnie tego dnia.

– Nie cierpi cię, bo wie, że jesteś bystrzejszy od niej – powiedział pewnego razu Skoczek. – Nie potrafi tego znieść.

Meilin wygięła usta w podkówkę.

– Ale ty nie możesz zdać testu, Bingwenie. Po prostu nie możesz. Bo inaczej podniosą poprzeczkę. W następnym roku będą brali pod uwagę tylko te dzieci, które zdadzą cały test. A wtedy będę do niego przystępować ja. Wcale nie wezmą mnie pod uwagę.

Rozpłakała się z twarzą ukrytą w dłoniach. Kilkoro dzieci zaczęło ją uciszać, a Skoczek przewrócił oczami.

– No i masz – powiedział.

Bingwen razem ze Skoczkiem zaprowadził ją do swojego boksu.

– Poradzisz sobie, Meilin. Nie zmienią wymagań.

– Skąd wiesz? – zapytała przez łzy.

– Bo tak mi powiedział pan Nong. Zawsze tak robią.

– Przynajmniej masz spore szanse – rzekł Skoczek pocieszającym tonem. – Mnie nigdy nie wezmą. Nawet gdybym zdał cały test.

– Dlaczego? – zapytał Bingwen.

– Z powodu mojej nogi, błotny móżdżku. Nie będą marnować rządowych funduszy na kalekę.

– Ależ na pewno cię wezmą. I nie jesteś kaleką.

– Nie? To jak byś mnie nazwał?

– Może twoje nogi są doskonałe, a my wszyscy mamy uszkodzone. Kto wie? – rzekł Bingwen. – Może jesteś jedynym idealnym człowiekiem na Ziemi.

Skoczek się uśmiechnął.

– Ale na poważnie – ciągnął Bingwen. – Oni potrzebują umysłów, a nie sportowców olimpijskich. Spójrz na Yanyu. Ma niesprawną rękę i prowadzi na Lunie ważne badania.

– Ma niesprawną rękę? – zapytał Skoczek z nagłą nadzieją. – Nie wiedziałem.

– I pisze na klawiaturze szybciej ode mnie – dodał Bingwen. – Więc nie mów, że nie masz szans, bo je masz.

– Kto to jest Yanyu? – zapytała Meilin, ocierając z twarzy ostatnie łzy.

– Dziewczyna Bingwena – odparł Skoczek. – Ale ja ci tego nie powiedziałem. To tajemnica.

Bingwen trzepnął go w ramię.

– To nie jest moja dziewczyna, tylko przyjaciółka.

– I pracuje na Lunie? – zdziwiła się Meilin. – To nie ma sensu. Dlaczego ktoś na Lunie chciałby się przyjaźnić z tobą?

– Postaram się o to nie obrazić – rzekł Bingwen.

– Przysłała coś Bingwenowi – powiedział Skoczek. – Powiedz nam, co o tym myślisz. Pokaż jej, Bingwenie.

Bingwen zerknął na panią Yí, zobaczył, że jest zajęta, i wcisnął klawisz odtwarzania. Póki Meilin oglądała, zebrały się wokół nich dzieci. Kiedy filmik się skończył, monitor otaczało ich aż dwanaścioro.

– Wygląda na prawdziwy – orzekła Meilin.

– Mówiłem ci – powiedział Skoczek.

– A co ty wiesz? – odezwał się dwunastoletni Zihao. – Nie rozpoznałbyś obcego, nawet gdyby ugryzł cię w tyłek.

– Owszem, rozpoznałby – wtrąciła Meilin. – Jeśli coś człowieka gryzie w tyłek, to on to zauważa. Tuż pod powierzchnią skóry

znajdują się zakończenia nerwowe.

– To takie amerykańskie wyrażenie – rzekł Bingwen.

– I dlatego angielski jest głupi – powiedziała Meilin, która bardzo nie lubiła, gdy ktoś wiedział coś, czego ona nie wiedziała.

– Kiedy zrobiono to wideo? – zapytał Zihao. Wspiął się na krzesło, wrócił kliknięciem na stronę i sprawdził datę. – Widzicie? – Odwrócił się do nich z tryumfalnym uśmiechem. – To dowód na to, że filmik jest lipny. Został przesłany tydzień temu.

– To niczego nie dowodzi – stwierdził Skoczek.

– Owszem, błotny móżdżku – rzekł Zihao. – Zapominasz o zakłóceniach w przestrzeni kosmicznej. Nie dochodzą żadne przekazy. Promieniowanie uszkadza satelity. Jeśli zostało to sfilmowane przed tygodniem, to jak dotarło do Ziemi, skoro nie działają żadne satelity? Hę? Słucham.

– To zostało zamieszczone w sieci tydzień temu – powiedział Bingwen. – To nie znaczy, że zostało tydzień temu sfilmowane.

Wywołał serię ekranów i zaczął przeglądać całe strony kodów.

– A teraz co robisz? – zapytała Meilin.

– Każdy plik wideo ma wbudowane góry danych. Trzeba tylko wiedzieć, gdzie ich szukać. – Znalazł potrzebne mu liczby i zbeształ się w duchu, że nie sprawdził ich wcześniej. – Tu jest napisane, że filmik został nakręcony ponad osiem miesięcy temu.

– Osiem miesięcy? – zdziwił się Skoczek.

– Niech spojrzę – powiedział Zihao.

Bingwen pokazał mu dane.

Zihao wzruszył ramionami.

– To tylko dalszy dowód, że to lipa. Dlaczego ktoś miałby przez osiem miesięcy przetrzymywać takie nagranie? To nie ma sensu. Gdyby film był prawdziwy, autor chciałby pokazać go wszystkim natychmiast.

– Może nie mógł tego zrobić natychmiast. Zastanów się. Zakłócenia trwają już od kilku miesięcy, tak? Może wywołują je ci obcy. Może ich statek emituje promieniowanie. Więc ludzie, którzy nakręcili ten filmik, nie mogli go przesłać na Ziemię jako laselinię. Nie mieli łączności.

– To jak tu dotarł? – zapytała Meilin.

– Ktoś musiał go przewieźć osobiście – rzekł Bingwen. – Dostał się na statek i przyleciał na Ziemię albo, co bardziej prawdopodobne, na Lunę. Tam nie ma atmosfery i jest mniejsze ciążenie. Więc tam

wylądować byłoby o wiele łatwiej. A ponieważ Księżyc znajduje się na tyle blisko nas, łączność między nami i Luną wciąż funkcjonuje.

– Ktoś leciał osiem miesięcy, żeby dostarczyć wideo? – powątpiewał Zihao.

– Odkrycie obcego życia. Czy jest coś ważniejszego? – Bingwen postukał w monitor. – Pomyśl o czasie. To jest całkowicie sensowne. Przez osiem miesięcy najszybszy statek mógłby zalecieć naprawdę daleko, może nawet do pasa Kuipera. A dokładnie do ludzi, którzy pierwsi zetknęliby się z czymś takim.

– Do górników eksploatujących asteroidy – podsunął Skoczek.

– Właśnie – zgodził się Bingwen. – Oni mają najlepszy widok na daleki kosmos. Zobaczyliby coś takiego na długo przed wszystkimi innymi.

Zihao wybuchnął śmiechem.

– Wy, świńskie twarze, myślicie kolanami. Trajkoczecie o rzeczach, o których nie macie pojęcia. To wideo to lipa. Gdyby było prawdziwe, pokazywaliby je we wszystkich wiadomościach. Świat wpadłby w panikę. – Przyłożył dłoń do ucha, jakby nasłuchiwał. – To gdzie są syreny? Gdzie ostrzeżenia rządu? – Założył ręce na piersi i uśmiechnął się drwiąco. – Wy, kapuściane głowy, jesteście głupi. Nigdy przedtem nie widzieliście przerażającego filmiku?

– To nie jest lipa – rzekł Skoczek. – To prawdziwy obcy.

– Tak? A skąd wiesz, jak wygląda prawdziwy obcy? – zapytał Zihao. – Widziałeś wcześniej któregoś? Korespondujesz z jakimś obcym i wymieniasz się z nim zdjęciami? – Kilku chłopców się roześmiało. – Kto może powiedzieć, że obcy nie wyglądają dokładnie tak jak żaba, bawół albo twoja pacha? Jeżeli wierzycie, że filmik jest prawdziwy, to jesteście bandą durniów.

Kilkoro dzieci się roześmiało, chociaż bez przekonania. Chciały, żeby Zihao miał rację. Chciały wierzyć, że to tylko przerażający filmik. Przestraszył je bardzo, łatwiej było go zlekceważyć, niż uznać za prawdę.

Meilin zmrużyła oczy.

– On jest prawdziwy. Bingwen by nas nie okłamywał.

Zihao znowu wybuchnął śmiechem.

– Urocze. Bronisz narzeczonego! Wiesz, co lubią jeść obcy, Meilin? Mózgi małych dziewczynek. Wtykają słomkę w ucho i wysysają głowę do sucha.

W oczach Meilin pokazały się łzy.

– To nieprawda.

– Daj jej spokój – powiedział Bingwen.

Zihao uśmiechnął się kpiąco.

– Widzisz, co narobiłeś? Przeraziłeś wszystkie dzieciaczki. – Zbliżył twarz do twarzy Meilin i powiedział śpiewnym głosem, jakby mówił do niemowlęcia: – Oj, Bingwen przestraszył małą dziewczynkę swoim filmikiem z obcym?

– Powiedziałem, żebyś dał jej spokój.

Bingwen wszedł między nich i pchnął Zihao do tyłu. Nie było to mocne pchnięcie, ale ponieważ Zihao wychylał się z krzesła i miał przesunięty środek ciężkości, wystarczyło, by pozbawić go równowagi. Szyderca zachwiał się, sięgnął do blatu, nie trafił i upadł na podłogę, a krzesło odjechało w drugą stronę. Dzieci się roześmiały, ale natychmiast umilkły, bo Zihao zerwał się na nogi i chwycił Bingwena za gardło.

– Ty mały połykaczu błota! – wrzasnął. – Wyrwę ci za to język!

Bingwen zaczął się dusić, więc mocno szarpnął nadgarstki Zihao.

– Puść go! – krzyknęła Meilin.

– Narzeczona znów biegnie na ratunek – stwierdził Zihao i mocniej zacisnął dłonie.

Inne dzieci nie zrobiły nic. Kilku chłopców z wioski Zihao chichotało, ale nie sprawiali wrażenia rozbawionych, raczej zadowolonych, że to Bingwen jest maltretowany, a nie oni.

Skoczek chwycił Zihao od tyłu, ale rosły chłopak tylko roześmiał się drwiąco.

– Cofnij się, kaleko, bo inaczej zobaczymy, jak sobie radzisz z dwiema przetrąconymi nogami.

Chłopcy znowu się roześmiali.

Płuca Bingwena walczyły o powietrze. Chłopiec wierzgał i bił Zihao pięściami w ramiona, ale silniejszy chłopak jakby tego nie zauważał.

– Co tu się dzieje? – zabrzmiał głos pani Yí.

Zihao puścił Bingwena, który upadł na podłogę, kaszląc i ciężko łapiąc powietrze.

Pani Yí stała nad nimi z bambusowym kijkiem w dłoni.

– Wynocha! – krzyknęła i machnęła kijkiem. – Wszyscy wynocha!

Dzieci zaczęły protestować: To Bingwen zaczął… Zawołał nas… Rzucił się na Zihao….

Bingwen chwycił Meilin za rękę i powiedział do Skoczka:

– Spotkamy się na polach.

A potem przepchnął się między dzieciakami do wyjścia, ciągnąc kuzynkę za sobą.

– Pokazywał straszny filmik – wyjaśniło jedno z dzieci.

– Chciał nas przestraszyć – dorzuciło inne.

– Zepchnął Zihao z krzesła.

– Zaczął bójkę.

Bingwen wyszedł z Meilin przed bibliotekę. Zbliżał się wieczór, powietrze było chłodne i wilgotne, z doliny wiał w górę lekki wiatr.

– Dokąd idziemy? – zapytała dziewczynka.

– Do domu – odparł Bingwen.

Poprowadził ją do wioskowych schodów wybudowanych na zboczu wzgórza, po których poszli ku leżącym w dole polom ryżowym. Każda wioska w dolinie była przyklejona do zbocza wzgórza, ponieważ dno było żyzne i wykorzystywano je do uprawy ryżu. Wioska Meilin znajdowała się trzy kilometry na zachód. Gdyby Bingwen się pośpieszył, zdążyłby odprowadzić kuzynkę do domu, a potem wrócić do swojej wioski przed zmrokiem.

– Dlaczego biegniemy? – zapytała Meilin.

– Bo kiedy Zihao wyjdzie na dwór, będzie mnie gonił.

– Więc mam być twoją ludzką tarczą?

Bingwen roześmiał się mimowolnie.

– Mały strateg z ciebie.

– Nie jestem mała. Jestem wyższa od ciebie.

– Oboje jesteśmy mali, tylko ja jestem mniejszy. A ciągnę cię z sobą, bo jesteś moją kuzynką i nie chciałbym widzieć, jak dostajesz w głowę. Postawiłaś się Zihao. Będzie gonił też ciebie.

– Dziękuję, sama potrafię o siebie zadbać.

Zatrzymał się i puścił jej rękę.

– Chcesz iść do domu sama?

Meilin wyglądała, jakby chciała się sprzeczać, ale zaraz spuściła wzrok.

– Nie.

Bingwen znowu ujął ją za rękę i ruszył w dół po schodach.

Meilin chwilę milczała.

– Nie powinnam tam wtedy płakać. To było dziecinne.

– Nie było. Dorośli ciągle płaczą. Tylko lepiej to ukrywają.

– Strasznie się boję, Bingwenie.

Zaskoczyła go. Meilin nigdy nie przyznawała się do słabości. Jeśli już, to zawsze starała się udowodnić, jaka jest mądra, silna i odważna, zawsze wytykała Bingwenowi, Skoczkowi i innym, że źle rozwiązali zadanie matematyczne albo zagadkę. A teraz była na krawędzi łez i okazywała słabość, jakiej Bingwen nigdy dotąd u niej nie widział.

Przez chwilę zastanawiał się, czyby jej nie okłamać i nie powiedzieć, że ten filmik to żart. W sumie tak zrobiłby dorosły: roześmiałby się, wzruszył ramionami i zlekceważył sprawę jako fantastyczny wymysł. Dorośli uważali, że dzieci nie umieją strawić prawdy. Dzieci trzeba chronić przed twardą rzeczywistością świata.

Ale co dobrego dałoby to Meilin? To nie był żart. Ani zabawa. To coś na ekranie było prawdziwe, żywe i niebezpieczne.

– Też się boję – przyznał Bingwen.

Skinęła głową. Szła szybko, żeby dotrzymać mu kroku.

– Myślisz, że to coś zbliża się do nas?

– Nie powinniśmy o tym myśleć jak o czymś – rzekł Bingwen. – Jest zapewne więcej niż jeden. I owszem, zbliża się do Ziemi. Zakłócenia robią się coraz gorsze, więc ich statek zmierza w naszą stronę. Poza tym stwór wyglądał na inteligentnego. Musi być inteligentny. Zbudował statek międzygwiezdny. Ludzie tego nie potrafią.

Pokonali ostatni zakręt schodów i znaleźli się na dnie doliny. Czekał na nich Skoczek w mokrym i ubłoconym ubraniu.

– Długo szliście – odezwał się.

– Jak się dostałeś na dół przed nami? – zapytała Meilin. – I dlaczego jesteś taki brudny?

– Rurą irygacyjną – odparł Skoczek. Poklepał się w chromą nogę. – Schody zajmują za dużo czasu.

Meilin się skrzywiła.

– Ludzie wylewają do tych rur pomyje.

Skoczek wzruszył ramionami.

– Wybór był między rurą a zbiciem na kwaśne jabłko. Wczoraj padało, więc rury nie są brudne. Nie bardzo.

– Są obrzydliwe.

– Zgadzam się, ale łatwiej wyprać ubranie niż oczyścić rany. – Skoczek rozpędził się i wskoczył do najbliższego poletka ryżowego. Zanurzył się w sięgającej pasa wodzie, przez chwilę się w niej chlapał,

pozbywając się większości błota, a potem się otrząsnął i wypełzł na brzeg. – Widzisz? Świeży jak kwiatek.

– Zaraz zwymiotuję – powiedziała Meilin.

– Tylko nie na mnie – zaprotestował Skoczek. – Właśnie się wykąpałem.

Ruszyli truchtem wąską groblą między dwoma poletkami, kierując się ku rozległym polom ryżowym. Biegli wolniej, żeby Skoczek nadążał, ale było to dobre, spokojne tempo biegu długodystansowego.

Po kilkuset metrach Bingwen obejrzał się na schody, żeby sprawdzić, czy podąża za nimi Zihao. W dół schodziło kilkoro dzieci, ale jego wśród nich nie zauważył. Nie zwolnili.

– Jaki jest plan? – zapytał Skoczek.

– Czego? – zapytał Bingwen.

– Ostrzeżenia wszystkich.

Bingwen się uśmiechnął. Zawsze mógł liczyć na Skoczka.

– Nie wiem, czy ktoś nam uwierzy. Pokazałem wideo pani Yí, a ona je zlekceważyła.

– Pani Yí to stara bawolica – stwierdził Skoczek.

Biegli pół godziny, przecinając pola, które układały się zgodnie z zakolami doliny. Kiedy dotarli do wioski Meilin, dziewczynka zatrzymała się i odwróciła do nich u dołu schodów.

– Stąd dojdę sama. Co mam powiedzieć rodzicom?

– Prawdę – odparł Bingwen. – Powiedz im, co widziałaś. Powiedz, że wierzysz przekazowi. Powiedz, żeby poszli do biblioteki i sami go zobaczyli.

Meilin podniosła wzrok na niebo, gdzie pokazało się już kilkadziesiąt pierwszych gwiazd.

– Może nie chcą zrobić nam krzywdy. Może mają pokojowe zamiary.

– Może – powiedział Bingwen. – Ale nie widziałaś całego wideo. Obcy zaatakował jednego z ludzi.

Nawet w słabym świetle Bingwen dostrzegł, że Meilin pobladła.

– Aha.

– Ale może nie pojawią się w Chinach – ciągnął chłopiec. – Świat jest duży. My jesteśmy tylko maleńką, mikroskopijną plamką na nim.

– Mówisz mi to, co chcę usłyszeć.

– Mówię ci prawdę. W tej chwili jest wiele niewiadomych.

– Mimo to bylibyśmy głupi, gdybyśmy się nie przygotowali na najgorsze – stwierdziła Meilin.

– Masz rację.

Dziewczynka skinęła głową; sprawiała wrażenie bardziej zaniepokojonej niż przedtem.

– Powodzenia – powiedziała. – Uważajcie na siebie.

Chłopcy patrzyli, jak wchodzi na schody, i ruszyli dopiero wtedy, gdy znalazła się w domu. Biegli wąskimi groblami, które jak siatka tworzyły olbrzymią szachownicę nawadnianych poletek. Kiedy prawie dotarli do swojej wioski, kilka poletek za nimi pokazał się pierwszy chłopiec. A potem również kilka poletek dalej z prawej strony pojawił się drugi, biegł równolegle z nimi. Następnie z lewej strony pojawił się trzeci chłopiec.

– Otoczyli nas – stwierdził Skoczek.

– Zablokowali – dodał Bingwen.

Tamci chłopcy zaczęli się do nich zbliżać.

– Jakieś pomysły? – zapytał Skoczek.

– Są od nas wyżsi i szybsi. Nie wyprzedzimy ich.

– Chcesz powiedzieć, że ja ich nie wyprzedzę.

– Nie, mam na myśli nas obu – rzekł Bingwen. – Ty jesteś wytrzymalszy ode mnie. Masz większą szansę ucieczki niż ja.

– Plan – powiedział Skoczek.

– Biegnij naprzód i sprowadź mojego ojca. Ja zostanę i dam im zajęcie.

– Poświęcenie. Jakie to szlachetne. Nie ma mowy. Nie zostawię cię.

– Zastanów się, Skoczku. Zostajesz i obaj oberwiemy. Biegniesz i może uda się nie dostać lania. Ratuję tak samo moją skórę, jak twoją. Biegnij już.

Skoczek przyśpieszył, a Bingwen się zatrzymał. Tak jak się spodziewał, chłopcy zacieśnili krąg, nie zważając na Skoczka. Bingwen odwrócił się w lewo i zszedł z grobli na najbliższe poletko. Zimna woda sięgnęła mu do pasa, stopami miesił gęste błoto. Pędy ryżu rosły gęsto, spomiędzy nich wystawała mu tylko głowa. Omiatał wzrokiem brzeg poletka, aż spostrzegł żabę przy grobli. Złapał ją, włożył do kieszeni i poszedł na środek poletka. Kiedy tam dotarł, chłopcy już byli na miejscu. Każdy z nich zajął pozycję na jednym brzegu poletka, zostawiając ten północny, od strony wioski Bingwena, niestrzeżony. Po niecałej minucie przy końcu poletka

pojawił się Zihao, zadyszany po biegu. Zrobiło się już prawie całkiem ciemno.

– Wyłaź z wody – rzekł Zihao.

Bingwen się nie ruszył.

– Przez ciebie zmarnowaliśmy czas w bibliotece, błotny móżdżku. Jak mamy wyrwać się z tej dziury, skoro takie błotne móżdżki marnują nasz czas przy komputerze?

Bingwen patrzył w stronę wioski, czekając na pojawienie się światła lampionu.

– Kazałem ci wyłazić z wody – powiedział Zihao.

Bingwen milczał.

– Wyłaź albo po ciebie pójdę.

Bingwen stał nieruchomo i cicho.

– Przysięgam, że jeśli natychmiast nie wyjdziesz, połamię ci po kolei wszystkie palce.

Bingwen nie zamierzał się ruszyć. Woda nie stanowiła wielkiej ochrony, ale nie miał innej.

Chłopcy wokół niego zaczęli się niespokojnie wiercić.

– Myślisz, że jesteś o wiele bystrzejszy od wszystkich innych, co, Bingwenie? Słyszałem, jak mówisz po angielsku do komputera. Widziałem, czego się uczysz. Jesteś zdrajcą. – Zihao splunął do wody.

Bingwen ani drgnął.

– Wyłaź i stań przede mną twarzą w twarz! – krzyknął chłopak.

Bingwen spojrzał w stronę wioski. Nie zbliżało się żadne światło lampionu.

– Ostrzegałem cię – powiedział Zihao i wskoczył na poletko. Rozbryzgiwał wodę i nie przejmował się, że niszczy pędy ryżu.

Bingwen czekał.

Tuż zanim Zihao znalazł się przy nim na wyciągnięcie ręki – a zatem w zasięgu uderzenia – Bingwen zalał się łzami.

– Proszę, nie duś mnie. Proszę. Bij, jeśli chcesz. Tylko mnie znowu nie duś.

Zihao uśmiechnął się tryumfująco.

Biedaku, pomyślał Bingwen. Jesteś taki głośny i silny, i taki przewidywalny.

Zihao chwycił Bingwena za szyję, którą chłopiec wyciągnął ku niemu i lekko odwrócił, tak że tym razem kciuki Zihao wbijały się w mięśnie zamiast w tchawicę. Co prawda Bingwen nie spodziewał się długiego duszenia.

Zrobił minę wyrażającą panikę i wymamrotał coś, jakby błagał o litość.

Zihao uśmiechnął się szerzej.

– Co takiego, Bingwenie? Nie słyszę…

Bingwen wepchnął mu żabę w usta. Chciał, żeby chłopak się odezwał, i Zihao dał się sprowokować.

Puścił Bingwena i rzucił się w tył, rozpryskując wodę i krztusząc się, usiłując jednocześnie wyjąć sobie żabę z ust. Bingwen jednak był szybszy. Lewą ręką przytrzymał od tyłu głowę Zihao, a prawą wepchnął żabę głębiej. Była za duża, żeby się cała zmieścić, ale Bingwen nie chciał udusić prześladowcy, tylko go unieszkodliwić. Zihao wydał stłumiony wrzask, Bingwen puścił żabę, chwycił przeciwnika w pasie i mocno kopnął go kolanem w krocze.

Zihao upadł z pluskiem. Żaba wysunęła się z jego ust i wskoczyła do wody. Bingwen nie czekał na reakcję pozostałych. Musiał działać bez zważania na nich, jakby przepełniała go wściekłość. Wrzasnął, uniósł pięść i uderzył w wodę tuż obok twarzy Zihao. Siła bezwładności pociągnęła go na dno poletka, tak że zniknął napastnikom z oczu.

Zanim woda zdołała się uspokoić, Bingwen odwrócił się i ruszył po dnie w kierunku, z którego przyszedł Zihao. Rozgarnięte i połamane źdźbła ryżu tworzyły ścieżkę na tyle szeroką, że mógł się przemieszczać bez trącania pędów i zdradzania swojej pozycji. Nie płynął, nie podnosił wysoko nóg ani nie robił nic, od czego marszczyłaby się powierzchnia, tylko pełzł, grzęznąc palcami rąk i nóg w błocie. Dwa razy zatrzymywał się i przekręcał głowę, żeby zaczerpnąć powietrza.

Nie wiedział, czy idą po niego, ale nie wynurzał się z wody, żeby popatrzeć. Ciemność i pędy ryżu albo go osłonią, albo nie.

Dotarł do ziemnego nasypu stanowiącego granicę poletka, uniósł głowę i zerknął do tyłu. Chłopcy stali w wodzie wokół Zihao i pomagali mu wstać. Nawet gdyby teraz pobiegli za Bingwenem, nie złapaliby go. Za bardzo spowalniałaby ich woda; Bingwen miał nad nimi dużą przewagę.

Wypełzł z wody i pobiegł mimo ciężkiego i mokrego ubrania.

Rozległy się za nim krzyki, ale nikt go nie ścigał. Dotarł do wioskowych schodów w chwili, kiedy Skoczek i ojciec schodzili na dół. Ojciec niósł lampion.

– Jesteś mokry – zauważył.

– Ale nie krwawisz – stwierdził Skoczek. – To dobry znak.

Bingwen zgiął się wpół; chwytał oddech i tłumił odruch wymiotny.

– Powiedziałeś o wideo? – zapytał Skoczka.

– Nie było czasu.

– Opowiesz mi w domu, w cieple – rzekł ojciec i zwrócił się do Skoczka: – Mój syn jest bezpieczny. Dziękuję. Twoi rodzice na pewno chcą, żebyś wrócił do domu.

Skoczek wyglądał, jakby chciał zaoponować i pójść z nimi, ale wiedział, że z ojcem Bingwena lepiej nie dyskutować. Rozstali się i ojciec zaprowadził Bingwena do domu, gdzie czekali na niego matka i dziadek. Matka przytuliła chłopca, a dziadek poszedł po ręcznik.

– Nic ci się nie stało? – zapytała matka.

– Nie.

– Chodź do ognia – powiedział dziadek, owijając go ręcznikiem.

Bingwen zdjął koszulę i wysuszył się przy palenisku. Matka, ojciec i dziadek obserwowali go zmartwieni. Opowiedział im o wideo. O obcym. O dodatkowej parze rąk. O tym, jak włosy i mięśnie stwora poruszały się w stanie nieważkości. O tym, dlaczego uwierzył filmikowi.

Kiedy skończył, ojciec wpadł w gniew.

– Uczyłem cię szanować starszych, Bingwenie!

– Szanować? – zdziwił się chłopiec. Nawet nie opowiedział o pani Yí. Dlaczego ojciec był zły?

– Jesteś mądrzejszy od rządu? Mądrzejszy od wojska?

– Oczywiście, że nie, ojcze.

– To dlaczego utrzymujesz, że wiesz lepiej? Nie zdajesz sobie sprawy, że dochodząc samodzielnie do takiego wniosku, nazywasz głupcami wszystkich, którzy widzieli to wideo i nie uwierzyli mu?

– Nikogo nie nazywam głupcem, ojcze.

– Są od tego specjaliści. Ludzie wykształceni. Gdyby uznali, że filmik jest prawdziwy, podjęliby stosowne działanie. Nie ma działania, a zatem filmik nie jest prawdziwy. Znaj swoje miejsce.

Matka nic nie mówiła, ale Bingwen widział, że bierze stronę ojca. Jej mina wyrażała tylko rozczarowanie i wstyd za syna.

Bingwen ukłonił się nisko, dotykając twarzą podłogi.

– Nie kpij ze mnie – rzekł ojciec.

– Nie kpię, ojcze. Wyrażam tylko szacunek dla tych, których imię noszę i o których aprobatę zabiegam. Wybacz, jeśli cię uraziłem.

Chciał oponować, musiał oponować. Bez względu na to, czy ojciec w to wierzył, czy nie, zbliżali się obcy. Bingwen wiedział, że to brzmi idiotycznie, ale fakty to fakty. Trzeba się przygotować.

Ale co mógłby powiedzieć, co nie rozgniewałoby ojca jeszcze bardziej? Dyskusja była zamknięta. Teraz ojciec nigdy nie obejrzy tego filmiku.

Bingwen nie podnosił się przez kilka minut i nic nie mówił. Kiedy w końcu usiadł, w izbie został tylko dziadek.

– Nie gniewaj ojca – rzekł starzec. – To psuje atmosferę w rodzinie.

Bingwen znowu nisko się skłonił, ale dziadek wsunął mu rękę pod ramię i podniósł go do pozycji siedzącej.

– Dosyć kłaniania się. Nie zamierzam mówić do twojej potylicy.

Dziadek sięgnął do stołu po swoją czarkę herbaty. Przez chwilę milczeli.

– Wierzysz mi, prawda? – zapytał Bingwen.

– Wierzę, że ty wierzysz.

– To nie jest pełna odpowiedź.

Dziadek westchnął.

– Załóżmy na chwilę, że coś takiego mogłoby być możliwe.

Bingwen się uśmiechnął.

– Mogłoby – powtórzył dziadek i dla podkreślenia wagi swoich słów uniósł palce. – Jest to nadzwyczaj nieprawdopodobne, ale możliwe.

– Musisz iść do biblioteki, dziadku, i obejrzeć to wideo.

– I rozgniewać twojego ojca? Nie, nie, nie. Wolę w spokoju smakować przy ogniu herbatę.

Bingwen był zawiedziony.

– I na co by to się zdało? – zapytał dziadek. – Nawet gdyby okazało się, że to prawda, co moglibyśmy zrobić? Walczyć kijami? Polecieć w kosmos? A może powinniśmy się modlić?

– Przygotować się do ucieczki – rzekł Bingwen. – Spakować potrzebne rzeczy i zakopać tam, skąd możemy je szybko wydobyć.

Dziadek się roześmiał.

– Zakopać nasze rzeczy? Po co? Obcych nie będzie obchodzić nasza żywność na drogę, ubrania i narzędzia.

– Ukryjemy je przed ojcem – tłumaczył Bingwen. – Ponieważ zakazał mi to robić, okazałbym mu brak szacunku, usiłując umożliwić nam ucieczkę i ocalić rodzinę.

– Gdy twój ojciec się dowie, będzie wściekły – stwierdził dziadek.

– Dowie się tylko wtedy, jeżeli i kiedy będziemy musieli skorzystać ze skrytki. Wtedy będzie wdzięczny.

Potem zaczęli cicho sporządzać listę potrzebnych rzeczy. Dopiero o wiele później, gdy kładł się do łóżka, a jego spodnie dawno już wyschły, Bingwen uświadomił sobie, że nikt nie zapytał, dlaczego był mokry.

ROZDZIAŁ 2

VICTOR

– Spójrz na nich, Imalo – powiedział Victor. – Zajmują się swoimi sprawami, jakby wszystko było w porządku, jakby to był kolejny dzień w raju. – Wyglądał przez okno szynowca mknącego obok budynków i pieszych Luny. Imala siedziała naprzeciwko niego z holoprojektorem w rękach. – Możliwe, że wkrótce cały świat obróci się w popiół, a nikogo to nie obchodzi.

Na zewnątrz pasaże dla pieszych były zatłoczone ludźmi w skafandrach, ekipami technicznymi, sprzedawcami w budkach z gorącymi ciasteczkami i kawą. Prawie wszyscy mieli magnetyczne nagolenice, które przyciągały ich stopy do metalowego pasażu i wymuszały monotonny, szarpany chód, przywodzący na myśl roboty. Tylko nieliczni sadzili susami, polegając wyłącznie na grawitacji Księżyca i ściągając na siebie pełne irytacji spojrzenia przechodniów w nagolenicach, jakby poruszanie się w ten sposób było niestosowne.

– Oni nie zdają sobie sprawy z zagrożenia, Victorze. Wideo nadal ma tylko około dwóch milionów odsłon. Przed wyjściem sprawdziłam.

Victor zamknął oczy i powoli z powrotem zapadł się w fotel. Dwa miliony odsłon. Tak mało.

– Minęło dziesięć dni, Imalo. Dziesięć. Powinien o tym już wiedzieć cały świat. Mówiłaś, że wideo rozprzestrzeni się jak wirus.

Wiedział, że jest niesprawiedliwy, że to nie wina Imali. Ale myśl, że miliardy ludzi o niczym nie wiedzą, doprowadzała go do szału. To tak jakby się znajdowali na płonącym statku i tylko on przyznawał, że widzi płomienie.

Nie. Nie tylko on. Imala mu wierzyła. Wszyscy w szpitalu dla rekonwalescentów uważali go za wariata, lecz Imala nie. Przyjęła dowody od pierwszej chwili, kiedy je pokazał. A on jej zarzuca jakieś przewiny.

– Przepraszam – powiedział. – Jestem ci wdzięczny. Naprawdę. Tylko sądziłem, że teraz będzie już o tym wiedzieć więcej ludzi.

– Sądziłam, że wszyscy zobaczą to co ja – rzekła Imala. – Sądziłam, że to wybuchnie w sieciach. Nigdy nie myślałam, że ludzie podejdą do tego tak sceptycznie.

– „Sceptycznie" to za słabo powiedziane. – Victor wskazał holoprojektor.

– Nie czytaj komentarzy, Victorze. Tylko cię denerwują.

Delikatnie wyjął jej urządzenie z ręki, wywołał posty pod filmikiem i zaczął czytać.

– „Ale żart. Najgorsza charakteryzacja i kostiumy, jakie widziałem. Kto zmontował to pii pii? Co za pii".

– Dzięki za taktowną redakcję.

– Oni nam nie wierzą, Imalo. Traktują to lekceważąco, krytycznie albo po prostu złośliwie. Myślą, że to spreparowaliśmy.

– Są ludzie, którzy robią tak dla zabawy, Victorze. Przebierają się i kręcą fanowskie filmiki. O obcych, zaginionych podwodnych miastach, magicznych królestwach. Wymyślają całe wszechświaty. Otworzyłam kilka linków. Niektóre ich filmiki sprawiają wrażenie prawie tak prawdziwych jak nasz.

– Tak, tylko że nasz jest prawdziwy, Imalo. Hormigowie to żywe, oddychające istoty. Ich broń jest prawdziwa. Ich statek jest prawdziwy. Zniszczenia, jakie powodują, są prawdziwe. To nie jest opowiastka fantasy.

– Nie wszyscy lekceważą to wideo. Niektórzy nam wierzą.

– Owszem, niektórzy. Ale zaglądałaś na ich strony? Wielu z nich to wyznawcy teorii spiskowych i loquitos, szaleńcy. Uwierzyliby, że obcym jest słoik kwaśnej śmietany, gdyby ktoś im to powiedział. Oni nie przysparzają nam wiarygodności.

– Nie wszyscy wyznają teorie spiskowe, Victorze. Mamy już ponad dwadzieścia tysięcy zwolenników. W większości są to inteligentni, godni szacunku ludzie. Gromadzą zapasy, dzielą się pomysłami, ostrzegają miejscowe rządy, naciskają społeczność naukową, by się włączyła do akcji. Nie jesteśmy osamotnieni.

– Równie dobrze moglibyśmy być. Dwadzieścia tysięcy zwolenników spośród dwóch milionów, które widziały wideo. To jednoprocentowa skuteczność. I nie chodzi o jeden procent ludności świata. W kategoriach globalnych dwadzieścia tysięcy ludzi to… – przerwał, żeby zrobić obliczenia w pamięci. – Zero przecinek zero zero zero zero zero jeden sześć. To nawet nie kropla w wiadrze. To cząsteczka wody, która przywarła do kropli w wiadrze. Nie, to elektron krążący wokół atomu wodoru w cząsteczce wody w wiadrze.

– Wyraziłeś się jasno.

– Dlatego nie mogę znieść widoku za oknem. Widzę, że ludzie nic nie robią, niczego się nie boją, na nic się nie przygotowują, i myślę, że ich zawiodłem. Ich życie spoczywa w moich rękach, a ja ich zawodzę. Pozwalam im umrzeć.

– Robisz wszystko co w twojej mocy, Victorze.

– Nie. Nie robię nic. Jestem więźniem w szpitalu dla rekonwalescentów. To ty wykonujesz całą pracę. To ty idziesz do prasy.

– I w większości wypadków mnie zbywają.

– Tak, ale przynajmniej jesteś zajęta. Robisz coś. Ja nie zrobiłem nic.

– Zrobiłeś mnóstwo. Przeciąłeś Układ Słoneczny w maleńkiej rakiecie towarowej i prawie przy tym zginąłeś. Żeby tu dotrzeć, doprowadziłeś się do niemal całkowitego wycieńczenia. Dostarczyłeś nam decydujące dowody. Moim zdaniem to się trochę liczy.

– Chcę powiedzieć, że teraz nic nie robię. Jeśli nikt nie zwróci na nas uwagi, jeśli nikt nie potraktuje nas poważnie, moje dokonania nie będą się liczyć.

– Dlatego jedziemy do Lunarnego Wydziału Handlu, żeby załatwić twoje zwolnienie. Jesteś już na tyle zdrowy, że możesz chodzić. Wróciły ci siły. Sędzia zgodziła się na wcześniejsze spotkanie. Jeśli dobrze to rozegramy, odrzuci postawione ci zarzuty i staniesz się wolnym człowiekiem. Wtedy będziesz mógł mi pomóc. Mamy kilka dobrych tematów i jeśli będziesz trzymał ze mną, jeśli uda się nam postawić ciebie przed właściwą publicznością, może zdołamy się dostać do kogoś, kto ma prawdziwą władzę.

– Z kim się będziesz widziała? Jakie mamy szanse?

– Nazywa się Mungwai. Jest główną sędzią wydziału. Próbowałam się dostać do kogoś innego, ale ona przejrzała twoje akta i uparła się, żebyśmy przyszli do niej oboje.

– Dlaczego chciałaś się widzieć z kimś innym?

– Mungwai to twardogłowa. Pochodzi z Afryki Zachodniej. Nie odzywaj się, dopóki nie zada ci wyraźnego pytania, i odpowiadaj krótko, do rzeczy. Nie jest prokuratorem, ale powinna nim być. Gardzi tymi, którzy łamią zasady.

– Cudownie.

Trzy minuty później dotarli do LWH. Imala szybko przeprowadziła Victora przez kontrolę bezpieczeństwa na piętro do Cła. Po kolejnych dziesięciu minutach oczekiwania w holu młoda recepcjonistka wprowadziła ich do gabinetu Mungwai.

Sędzia była wysoka, szczupła, włosy miała zaplecione w cienkie warkoczyki ściśle przylegające do głowy. Stała przy biurku i przeglądała ciąg holoekranów, które unosiły się na wysokości jej oczu, zmieniając je ruchami palca. Nie podniosła wzroku.

– Pan Victor Delgado – odezwała się. – Umie pan wkroczyć na scenę. W ciągu pierwszych pięciu minut pobytu na Lunie udało się panu wejść w przestrzeń powietrzną Luny bez zezwolenia, niewłaściwie podejść do lądowania, wykazać się brakiem zezwolenia na lądowanie, naruszyć rządową częstotliwość radiową oraz wkroczyć na teren prywatny.

Poruszyła ręką nad holoprzestrzenią i wszystkie okna z danymi zniknęły. Victor wciąż miał na sobie lekarskie bawełniane spodnie i bluzę, które dostał w szpitalu, i kiedy Mungwai z dezaprobatą obrzuciła go spojrzeniem, poczuł zażenowanie.

– Najpoważniejszym zarzutem jest niewłaściwe podejście do lądowania – ciągnęła Mungwai – ponieważ niestosowanie się do zaleceń kontrolerów lunarnego ruchu zagraża bezpieczeństwu innych statków lądujących oraz obywateli Luny. Ludzie tu się bardzo denerwują, kiedy statki spadają im na głowy.

– To nie był statek – powiedział Victor. – A przynajmniej nie statek pasażerski. To był szybkostatek, statek towarowy, lugier. Kiedy tylko zbliżyłem się do Luny, przejął mnie wasz system sterowania. Do magazynu lugier wszedł na autopilocie. Dlatego zarzut wkroczenia na teren prywatny wydaje mi się niesprawiedliwy. Nie mógłbym zatrzymać statku, nawet gdybym chciał.

– Tak, ale pilotował pan szybkostatek w drodze na Lunę – rzekła Mungwai. – Przyprowadził pan go tutaj. To czyni pana odpowiedzialnym.

– I tak by tu przyleciał. Lugry są do tego zaprogramowane. Przewożą walce wydobytych minerałów z pasa Kuipera i pasa asteroid po zaprogramowanych torach lotu. – Victor zmienił parametry lotu, włamawszy się do systemu statku, ale nie zamierzał teraz wyjawiać tego faktu. – Nieważne, czy szybkostatek dotarłby do przestrzeni powietrznej Luny ze mną czy beze mnie na pokładzie, zachowałby się dokładnie tak samo. Jedyną różnicę stanowiło to, że zamiast walców ładunkiem byłem ja. Przecież nie aresztowałaby pani cylindrów za wkroczenie na teren prywatny.

Mungwai uniosła brew i Victor wyczuł, że posunął się za daleko.

– Chcę powiedzieć – dodał spokojnie – że mógłbym udowodnić, że nie byłem pilotem szybkostatku. Co naturalnie stanowiłoby podstawę do oddalenia zarzutów.

– To ja będę oceniać zasadność zarzutów, panie Delgado. Za to płacą mi podatnicy Luny. – Znowu przeciągnęła ręką przez holoprzestrzeń, wywołując okna z danymi. – Zakłócił pan zastrzeżoną częstotliwość radiową. Chce pan dowodzić, że i do tego zmusił pana szybkostatek?

– To było oczywiście moje działanie, ale nie miałem pojęcia, że ta częstotliwość jest zastrzeżona. Znalazłem się w magazynie wśród uszkodzonych szybkostatków. Rozpaczliwie potrzebowałem pomocy. Na wszystkich częstotliwościach, których próbowałem użyć wcześniej, panowała cisza.

– Nieznajomość prawa nie usprawiedliwia jego łamania, panie Delgado. To nie jest pas Kuipera, gdzie nie respektuje się praw. Tu jest Luna. My utrzymujemy porządek. My jesteśmy cywilizowani.

Victor poczuł, że się czerwieni.

– Z całym szacunkiem, wolni górnicy nie są nieprzestrzegającymi prawa barbarzyńcami. Mógłbym dowieść, że nasze społeczeństwo jest o wiele bardziej cywilizowane od Luny.

Imala odchrząknęła, ale Victor udał, że tego nie słyszał.

– Doprawdy? – Mungwai wyglądała na rozbawioną.

– Jeśli w pasie Kuipera ktoś potrzebuje pomocy, to się mu pomaga. Jeśli czyjś statek wymaga naprawy, jeśli załodze kończą się zapasy, jeśli jej życiu zagraża niebezpieczeństwo, to śpieszy się na pomoc i robi wszystko, by utrzymać ludzi przy życiu. A załoga, kiedy się już jej pomoże, nie upokarza ratowników, nie aresztuje ich ani nie grozi im długimi wyrokami więzienia. Ona im dziękuje. Uważam to

za bardziej cywilizowane zachowania niż to, czego doświadczyłem tutaj.

– Otrzymał pan najlepszą opiekę medyczną bez ponoszenia żadnych kosztów, panie Delgado. Leki odbudowujące tkankę mięśniową i kostną. Intensywną fizykoterapię. Mieszkanie i wyżywienie. Pańska krytyka uderza mnie jako wyraz niewiarygodnej niewdzięczności.

Victor westchnął. To nie szło w dobrym kierunku.

– Jestem wdzięczny za opiekę, jaką mnie otoczono. Od tabletki wolałbym jednak przychylne ucho. Wiem, co sparaliżowało komunikację w przestrzeni kosmicznej. Wiem, co wywołuje zakłócenia. Ku Ziemi z prędkością niemal równą prędkości światła zmierza obcy statek. Znajduje się już w Układzie Słonecznym. Ma broń przewyższającą wszystko, co znamy. Zniszczył cztery statki wolnych górników i zabił setki, a może tysiące ludzi, w tym członka mojej rodziny. – Drżał, ale głos miał spokojny. – Widziałem ciała. Były tam też kobiety i dzieci.

Mungwai uciszyła go gestem dłoni.

– Czytałam pańskie akta, panie Delgado. Wiem, co pan twierdzi, że widział.

– Niczego nie twierdzę. Nie muszę. Nagrania wideo i dowody mówią same za siebie.

– Widziałam pańskie wideo. Widziałam także cztery inne filmiki nakręcone przez społeczność naukową, których autorzy odrzucają pański jako prawdopodobną mistyfikację.

Victor otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale Mungwai nie dopuściła go do głosu.

– Jednakże zamiast wydać wyrok, przekazałam pańskie dowody przyjacielowi, który pracuje w OHBK.

Victor niemal podskoczył na te słowa. OHBK, Organizacja Handlu i Bezpieczeństwa Kosmicznego. Imala od wielu dni usiłowała zwrócić na siebie ich uwagę. OHBK monitorowała cały ruch i handel w przestrzeni kosmicznej oraz miała głębokie powiązania ze wszystkimi rządami na Ziemi. Jeśli ktokolwiek mógł nadać wiarygodność świadectwu Victora, była to OHBK. Ziemia zareagowałaby natychmiast.

– I co powiedzieli? – zapytała Imala.

– Mój przyjaciel obiecał przekazać informację do właściwego wydziału. OHBK ma, zdaje się, cały wydział zajmujący się takimi

anomaliami.

– Anomaliami? – zapytał Victor.

– Złudzeniami optycznymi. Halucynacjami. Ciągle się zdarzają. Górnik nie wyreguluje właściwie poziomów tlenu albo jest zmęczony i widzi rozmaite rzeczy.

– To nie są halucynacje – rzekł Victor. – To jest oparte na świadectwie…

Imala mu przerwała.

– Kiedy ten kontakt w OHBK odezwie się do pani? Możemy się skontaktować z nim bezpośrednio?

– Nie będziesz się z nikim kontaktowała, Imalo. Dostałaś urlop administracyjny ze skutkiem natychmiastowym. Odsuwam cię od tej sprawy. Jesteś zaskoczona? Zaniedbujesz inne obowiązki i, co gorsza, pomogłaś przestępcy i przesłałaś jego filmiki do sieci.

– Żeby ostrzec Ziemię!

– To nie jest twoje zadanie. Twoim zadaniem jest informować nielegalnych przybyszów o ich prawach i przygotowywać dokumenty niezbędne do ich deportacji.

– Deportuje mnie pani? – zapytał Victor.

– Jest pan nielegalnym przybyszem, panie Delgado. Oraz złamał pan prawo. Postanowiłam nie oddawać pańskiej sprawy w ręce prokuratora, ale nie mogę pozwolić, by przebywał pan dłużej na Lunie. Pozostanie pan w szpitalu dla rekonwalescentów jeszcze cztery dni, kiedy to odleci następny statek do pasa asteroid. Jeśli OHBK zechce się przedtem z panem skontaktować albo poprosi o udzielenie panu prawa pobytu, wolno im to zrobić. W przeciwnym razie znajdzie się pan na tym statku. Kiedy już dotrze pan do pasa asteroid, będzie pan musiał samodzielnie dotrzeć do rodziny. Nie mam statku, który by leciał tak daleko. A jeśli chodzi o filmiki umieszczone w sieciach, każę je natychmiast stamtąd usunąć.

– Co?! – krzyknął Victor.

– Nie może pani tego zrobić! – zaprotestowała Imala.

– Mogę i zrobię. Ten wydział nie będzie odpowiadał za wywołanie paniki o światowym zasięgu. Pomogłaś umieścić te filmiki w sieciach, Imalo, co czyni nas częściowo odpowiedzialnymi za niepożądany wpływ, jaki mogą mieć na obywateli. Czyn ten dowodzi, że bardzo źle oceniasz sytuację.

– Ludzie muszą się o tym dowiedzieć.

– Istnieją odpowiednie procedury.

– Jest pani pewna? Bo nie przypominam sobie, żebym czytała w podręczniku dla pracowników instrukcję „Jak ostrzec Ziemię przed inwazją obcych”.

Mungwai zesztywniała.

– Możesz odejść, Imalo. I masz szczęście, że nie każę cię natychmiast zwolnić. To nadal jest możliwe. W takim wypadku znajdziesz się na pierwszym statku lecącym na Ziemię. Sugeruję, żebyś nie forsowała tej sprawy.

Imala tylko zacisnęła zęby.

– Widziała pani te filmiki – rzekł Victor. – Jak może pani to robić?

– Ja, panie Delgado, utrzymuję spokój i porządek. Krzyczenie „Pali się!” w zatłoczonym teatrze może jedynie doprowadzić do śmierci wielu ludzi, nawet jeśli rzeczywiście wybuchł pożar. Poinformowanie OHBK jest najlepszym działaniem. Czy nie tego pan chciał? To najwłaściwsi ludzie do zajęcia się tą sprawą.

– Chyba że ją zlekceważą. Chyba że ukręcą jej głowę jak wszyscy inni – powiedział Victor.

– Możesz odejść, Imalo – rzekła Mungwai. – Dopilnuję odprowadzenia pana Delgado do szpitala.

Pozbywała się ich. Rozmowa dobiegła końca.

Imala przez chwilę stała nieruchomo, a potem skinęła głową, podjąwszy decyzję.

– Do zobaczenia, Victorze.

Chłopak patrzył, jak Imala wychodzi i zamyka za sobą drzwi. Naprawdę tak go porzucała? Nie zdawała sobie sprawy, o jaką stawkę toczy się gra? A jeśli OHBK nie potraktuje tego poważnie? Muszą walczyć. Muszą doprowadzić sprawę do końca.

Mungwai wydała jakieś polecenie w holoprzestrzeń, ale Victor ledwie to zauważył. Wpatrywał się w drzwi. Bez Imali był bezbronny.

Drzwi się otworzyły.

Nie stała za nimi Imala, tylko dwaj ochroniarze w mundurach. Wyprowadzili Victora na zewnątrz i kazali mu usiąść na tylnym siedzeniu szynowca. Jeden z ochroniarzy wsiadł za nim, odwiózł go w milczeniu do szpitala, zaprowadził z powrotem do pokoju i zostawił samego, starannie zamykając drzwi.

Victor usiadł na krawędzi łóżka. Odsyłali go. Przyleciał z tak daleka, zaryzykował wszystko, a oni go wyrzucają jak jakiś kosmiczny śmieć.

Pomyślał o Jandzie, swojej kuzynce. Gdyby tu była, wiedziałaby, co robić – a przynajmniej dzięki niej Victor znowu poczułby się pewnie. Pomyślał o matce, ojcu i Concepción, i o pieniądzach, które mu zostawili, by mógł zacząć się kształcić na Ziemi. Teraz szkoła była niemożliwa.

Wieczorem sanitariusz przyniósł kolację. Kiedy zamocowywał tacę na stoliku przy łóżku Victora, chłopak przez chwilę rozważał zaatakowanie go i odebranie mu kart magnetycznych do otwierania drzwi. Wiedział jednak, że byłoby to bezcelowe. Wciąż jeszcze odzyskiwał siły, a sanitariusz wyglądał tak, jakby mógł obezwładnić cztery osoby naraz. Poza tym dokąd Victor miałby się udać? Wszystkie dowody i filmiki znajdowały się w sześcianie z danymi zamkniętym w pokoju pielęgniarek. Bez sześcianu nic nie zdziała.

Kiedy pół godziny później otworzyły się drzwi, Victor leżał na łóżku z zamkniętymi oczami. To pewnie sanitariusz przyszedł po nietknięte jedzenie.

– Więc się poddajesz? – zapytała Imala.

Victor otworzył oczy. Przed nim stała Imala z niewielkim workiem marynarskim. Rzuciła go na łóżko.

– Nie miałam pewności co do twojego rozmiaru. Rzeczy, w których przyleciałeś, nie miały metek.

Victor otworzył worek. Spodnie, koszula, bielizna, buty, gruba kurtka, para nagolenic.

– Co, nigdy nie widziałeś nowych ubrań? Nie stój tak. Ubieraj się.

Odwróciła się do Victora plecami.

– Wykradasz mnie? – zapytał.

– Zapisy LWH wykażą, że zostałeś przeniesiony do ośrodka przetrzymywania zdrowych nielegalnych imigrantów czekających na deportację. W ośrodku nie będzie na to żadnego dowodu, więc dopóki Mungwai tego nie sprawdzi albo obie te instytucje nie porównają swoich zapisów, zapewne jakiś czas pozostaniemy niezauważeni.

– Ile to jest jakiś czas?

– Kilka dni. Może mniej.

Victor zaczął się przebierać.

– Co z kamerami? W tym pokoju są trzy, a w budynku jeszcze więcej.

– Zajęłam się tymi tutaj i na korytarzu. Ale kiedy znajdziemy się na zewnątrz, to już będzie inna bajka. Przyda się kaptur.

Kurtka miała kaptur. Victor ją włożył i pośpiesznie wciągnął spodnie. Zajęła się kamerami. Pomyślała o wszystkim, wszystko załatwiła. I to zaledwie w kilka godzin. Nagle poczuł dla Imali wielki respekt i podziw. Była bardziej podobna do wolnego górnika, niż sądził.

– Czy to mądre? – zapytał. – A jeśli zacznie mnie szukać OHBK, żeby uzyskać więcej informacji?

– Wątpię. A na pewno nie stanie się to przed startem twojego statku. Sprawdziłam wiadomości Mungwai. Jej kontakt w OHBK to współpracownik niskiego szczebla. Bez siły przebicia. Jego reakcja nie wyglądała zbyt obiecująco.

– Włamałaś się do jej wiadomości?

– To nie było trudne. Ten gość nie sprawia wrażenia kogoś ważnego. Jeśli przekaże dowody dalej, to ich sprawdzanie i przesuwanie na wyższe poziomy trochę potrwa. Ale nie martw się; umieściłam w naszym systemie alarm. Jeśli OHBK spróbuje się z tobą skontaktować, zrobi to poprzez LWH, a jeśli do tego dojdzie, zawiadomi mnie mój holoprojektor. Wtedy skontaktujemy się bezpośrednio z OHBK.

– Ty naprawdę pomyślałaś o wszystkim – powiedział Victor, mocując paski butów. – Ale czemu nie możemy od razu iść do OHBK? Mamy przecież wejście.

– Nie mamy. Mamy mało entuzjastycznego pionka, który głównie chce zachować pracę. Nie zamierzam złożyć losu świata w rękach tego gościa i nie zamierzam siedzieć i czekać, aż OHBK zbierze się do działania. Pójdziemy innym tropem. Może lepszym.

– Czyli?

– Ona czeka na zewnątrz.

– A co z Mungwai? Jeśli to zrobisz, twoja kariera się skończy.

– Los świata przebija wszelką troskę o moją karierę, lecz doceniam twoje zainteresowanie. Nie martw się Mungwai. Nie może zdjąć naszych filmików, przynajmniej nie wszystkie. Były kopiowane i ponownie przesyłane zbyt wiele razy. Dwa miliony odsłon w skali globalnej mogą nie wyglądać imponująco, ale oznaczają, że pociąg wyruszył ze stacji. Ubrałeś się już?

Victor zapiął nagolenice.

– Jak wyglądam?

Odwróciła się do niego.

– Jak nastoletni chuligan. Załóż ręce do tyłu.

Wyjęła z kieszeni ograniczniki nadgarstków i zapięła je na rękach Victora.

– Zakładam, że to część podstępu.

Imala chwyciła go za ramię i wyprowadziła na korytarz. Ruszyli prosto do wyjścia; nie śpieszyli się, ale i nie ociągali. Nikt nie zwracał na nich uwagi.

Victor przystanął.

– Mój sześcian z danymi.

Imala pociągnęła go za ramię i powiedziała cicho:

– Już go mam. Nie zatrzymuj się.

Wyszli na zewnątrz. Wysoko sklepiona kopuła była jasna i niebieska jak ziemskie niebo, które Victor widział w filmach. Przy krawężniku stał szynowiec. Imala otworzyła drzwi i pomogła Victorowi wsiąść. Czekała na nich na przeciwnym siedzeniu Azjatka. Miała nieco ponad dwadzieścia lat i prawą rękę o wiele mniejszą od lewej. Imala wcisnęła się obok Victora. Szynowiec wsunął się na szynę i przyśpieszył. Imala obróciła lekko Victora, sięgnęła za niego i zdjęła mu ograniczniki.

– To jest Yanyu. Skontaktowała się ze mną, kiedy wyszłam z gabinetu Mungwai. Jest asystentką astrofizyka, który prowadzi badania dla Juke Limited. Chce nam pomóc.

Yanyu pochyliła się z uśmiechem do przodu i podała Victorowi lewą rękę. Ucisnął ją.

– Miło cię poznać, Victorze. Poznaję cię z filmików.

Mówiła dobrze po angielsku, ale z mocnym obcym akcentem.

– Widziałaś je?

– Wiele razy. I wierzę ci.

Victor zamrugał. Jeszcze jedna, przynajmniej z pozoru inteligentna i na dodatek nie szalona. Chciał ją wyściskać.

– I nie jestem jedyna – dodała Yanyu. – Na forach pisze o nich wielu uczonych, chociaż większość robi to anonimowo, żeby nie zaszkodzić swojej reputacji, gdyby cała sprawa okazała się oszustwem.

– To nie oszustwo – rzekł Victor.

– Mnie nie musisz przekonywać – odparła Yanyu z uśmiechem.

– Yanyu bada zakłócenia – powiedziała Imala.

– Media propagują rozmaite teorie – rzekła Yanyu. – W tej chwili dominuje ta, że wywołują je KWM-y.

Victor skinął głową. Nie był zaskoczony. Gdyby musiał wymyślić jakąś teorię, zapewne poszedłby tym samym tropem. Koronalne wyrzuty masy, KWM-y, to olbrzymie namagnesowane obłoki zjonizowanego gazu, czyli plazmy, które wyrywają się z atmosfery Słońca i pędzą przez Układ Słoneczny z prędkością milionów kilometrów na godzinę, często rozszerzając się do objętości przekraczającej początkową dziesięć milionów razy. Zakłócały już łączność w przestrzeni kosmicznej, ale nigdy na taką skalę.

– To nie są KWM-y – stwierdził Victor.

– Nie, ale pomysł jest dobry – powiedziała Yanyu. – Promieniowanie gamma emitowane przez obcy statek porusza się bardzo podobnie do KWM-u, rozprzestrzeniając się na cały Układ Słoneczny. Gdybym musiała zgadywać, powiedziałabym, że statek ma napęd taranowy: z prędkością bliską prędkości światła zasysa atomy wodoru i wykorzystuje powstające w ten sposób promieniowanie gamma jako materiał napędowy, który wyrzuca z tyłu, by pchać statek do przodu. To znakomity pomysł inżynieryjny, ponieważ statek ma w ten sposób nieograniczone źródło paliwa.

– Jeśli to prawda, dlaczego promieniowanie zmierza w naszą stronę, w kierunku Ziemi? – zapytała Imala. – Skoro stanowi napęd, nie powinno być emitowane w przeciwną stronę, w kierunku dalekiego kosmosu?

Yanyu znowu się uśmiechnęła.

– O to chodzi. On nie przyśpiesza. On hamuje. Rozpaczliwie próbuje zwolnić.

– Statek nie emitowałby promieniowania z przodu – wtrącił się Victor. – Nawet żeby zwolnić. To by było samobójstwo. W ten sposób wleciałby prosto we własny niszczycielski obłok plazmy.

– To prawda – zgodziła się Yanyu. – Ale statek mógłby emitować promieniowanie z boków. Robiłby to równymi seriami, żeby nie zboczyć z kursu, i to wyjaśniałoby, dlaczego zakłócenia rozprzestrzeniły się tak szybko we wszystkich kierunkach, zanim ktokolwiek się zorientował, co się dzieje.

Victor się zamyślił. To miało sens. Był przekonany, że źródłem promieniowania jest statek hormigów, ale do tej pory nie wiedział, na jakiej zasadzie.

– A więc ten statek zachowuje się jak niestabilne minisłońce, które pędzi w naszą stronę – powiedziała Imala.

– W gruncie rzeczy tak – rzekła Yanyu.

– Jak się tego domyśliłaś? – zapytał Victor.

Yanyu wyjęła z torby holoprojektor.

– To jedyne wyjaśnienie, jakie przyszło mi do głowy.

Wstukała polecenie i wysunęła z przeciwnych rogów urządzenia dwa cienkie pręty. Chwilę później nad projektorem rozbłysło holo składające się z setek maleńkich, przypadkowo rozmieszczonych drobinek światła. Początkowo Victor sądził, że patrzy na gromadę gwiazd, ale nie. Widział już coś podobnego. Daleko w pasie Kuipera.

– Co to jest? – zapytała Imala.

– Szczątki – odparł Victor.

Yanyu skinęła z powagą głową.

– Wciąż przeszukuję ten rejon, bo odczyty z urządzeń nie są wyraźne, ale myślę, że Victor ma rację. Wydaje się, że te obiekty oddalają się od punktu centralnego ze stałą prędkością. Jak szczątki statków po eksplozji.

– Ilu statków? – zapytał Victor.

Yanyu wzruszyła ramionami.

– Nie można mieć pewności, prawdopodobnie dziesiątek. Jeśli prześledzić ruch tych szczątków, to został zapoczątkowany w pasie asteroid, w pobliżu asteroidy Kleopatra. Juke ma na jej powierzchni swoje obiekty, więc zawsze jest tam spory ruch. Jeśli wybuch promieniowania ze statku obcych zniszczył statki górnicze znajdujące się w tej okolicy, to musimy założyć, że zniszczył też obiekty na powierzchni Kleopatry.

– Ilu ludzi tam przebywa? – spytała Imala.

– Siedem do ośmiu tysięcy.

Imala zaklęła półgłosem.

– I kto wie, ilu ludzi znajdowało się na tych statkach – dodała Yanyu. – Może dwa razy tyle. Nie mamy się jak tego dowiedzieć.

– Ile dni mają te dane? – zapytał Victor.

– Pierwsze obrazy uzyskałam dziś rano.

– Kto jeszcze o tym wie?

– Pokazałam je mojemu szefowi. W tej chwili otrzymuje dane. Kazał mi was znaleźć i sprowadzić do laboratorium.

– Musimy się skontaktować z mediami – powiedziała Imala. – Twój szef powinien zorganizować konferencję prasową.

Yanyu zmarszczyła brwi i pokręciła głową.

– Nie. Przykro mi. Nie da rady. Nie jesteśmy niezależnymi badaczami. Pracujemy dla Juke Limited. Jakakolwiek konferencja

prasowa musi zostać zorganizowana przez korporację.

– Korporacja? – rzekł Victor. – Chcesz do tego włączyć takiego kłamliwego gada jak Ukko Jukes? On to jakoś przekręci, wykorzysta dla własnego zysku. Nie tego potrzebujemy.

– Ja też go nie znoszę, Victorze – powiedziała Imala. – Ale to byli jego pracownicy. On jest za nich odpowiedzialny. Ich rodziny na Lunie czy Ziemi zasługują na informację, co się z nimi stało.

– Nie wiemy, co się z nimi stało, Imalo! My się tylko domyślamy.

– Ukko może nam pomóc. Ma powiązania w całym świecie. To najpotężniejszy człowiek na Ziemi i poza nią. Jeśli pozna prawdę, pozna ją też cały świat.

Victor odchylił się na oparcie fotela. Ukko Jukes, ojciec Lema Jukesa, człowieka, który uszkodził statek rodziny Victora i zabił jego wuja. Co wtedy powiedział ojciec? Że niedaleko pada jabłko od jabłoni? Jeśli Victor nie mógłby pracować z Lemem, to jak mógłby pracować z jego ojcem?

Jaki jednak miał wybór? Był uciekinierem, nie miał gdzie się ukryć i nie miał innych pomysłów. Było kwestią czasu, kiedy LWH znajdzie jego i Imalę i pośle ich oboje w diabły.

– Jeśli to zrobimy, sam chcę porozmawiać z Ukko Jukesem – rzekł Victor. – Chcę mu powiedzieć w twarz, że jego syn jest mordercą i draniem.

– Szkoda zachodu – powiedziała Imala. – Znając Ukko, mógłby to uznać za komplement.

ROZDZIAŁ **3**

LEM

Lem Jukes stał przed swoim statkiem górniczym z rękami złożonymi w nabożnym geście. Patrzył, jak ostatni członkowie załogi wpływają do środka i dołączają do reszty ludzi zebranych z tyłu pomieszczenia. Wszyscy mieli na sobie kombinezony z emblematem Juke Limited na lewej piersi. Kiedy już się ustawili, magnetyczne nagolenice umocowały ich do podłogi. Poza cichym szelestem materiału kombinezonów na mostku panowała całkowita cisza.

Lem nie ogłosił, że uroczystość żałobna jest obowiązkowa, ale wiedział, że przybędą na nią wszyscy obecni na pokładzie, łącznie z tymi, którzy nie pracują na mostku: kucharzami, górnikami,

personelem pralni i inżynierami. Jeśli przez niemal dwa lata mieszka się z ludźmi w ciasnocie, dość dobrze się ich poznaje, nawet jeżeli nie ma się z nimi bezpośredniego kontaktu w pracy. Śmierć na pokładzie jest odczuwana przez wszystkich. Nikt nie chciał przepuścić okazji do pożegnania zmarłych.

– Postanowiłem zorganizować tę uroczystość żałobną dla uczczenia pamięci tych, których utraciliśmy – zaczął Lem. Mówił na tyle głośno, by słyszano go w tyle pomieszczenia, lecz spokojnie i z powagą stosowną do okazji. – Mówię nie tylko o członkach naszej załogi, lecz także o wielu innych, którzy walczyli i zginęli w przestrzeni kosmicznej, próbując powstrzymać Formidów przed dotarciem do Ziemi.

Formidzi. To słowo nadal smakowało mu goryczą i obcością, jak duża tabletka, do której przełknięcia nie mógł się zmusić. Nazwę tę zaproponowała doktor Benyawe, kierowniczka zespołu naukowego, ze względu na wygląd stworów przypominających mrówki, i jeśli chodziło o Lema, nazwa ta była dobra jak każda inna. Ale i tak jej nie znosił. Nadawała stworom legalność, tożsamość. Przypominała, że są rzeczywiste, że to nie sen.

– Niemal dwa lata temu – ciągnął – pozostawiliśmy na Lunie drogie nam osoby i wyruszyliśmy do pasa Kuipera. Nasza misja była prosta: przetestować laser grawitacyjny. Skierować go na kilka skał i je rozbić, udowodnić centrali, że glaser zrewolucjonizuje proces wydobywania minerałów. Dzięki waszej sumienności i niezachwianemu oddaniu wypełniliśmy to zadanie. Nie było łatwo. Nie obyło się bez błędów i komplikacji. Lecz każdy z was trwał na stanowisku i wykonywał swoje obowiązki. Każdy z was się sprawdził. Jest dla mnie jako kapitana najwyższym zaszczytem służyć razem z wami.

Zdawał sobie sprawę, że przesadza, wiedział też jednak, że nikt nie będzie wątpił w jego szczerość. Matka zawsze mówiła, że gdyby nie był dziedzicem największej fortuny górniczej w Układzie Słonecznym, mógłby zrobić karierę na scenie. Lema to bawiło; matka zawsze mierzyła tak nisko. Scena jest dla osób pretensjonalnych i nieatrakcyjnych, dla wszystkich, którzy nie mają twarzy odpowiedniej dla produkcji wideo.

– Lecz przed ośmioma miesiącami nasza misja się zmieniła. – Stuknął w nakładkę na nadgarstku, budząc w ten sposób do życia mapę za swoimi plecami. Hologram statku Formidów sprawiał

wrażenie dużego i groźnego. – Naszą misją stała się ta potworność. Nikt nam nie wydał rozkazu, by ją zatrzymać. Wydaliśmy go sami sobie.

Technicznie biorąc, było to pół prawdy, ponieważ kapitan statku wolnych górników „El Cavador" poprosiła Lema o pomoc w zatrzymaniu Formidów. Ale jakie to miało znaczenie? Lem przyjął zaproszenie. Nikt go do niczego nie zmuszał.

Jeszcze raz stuknął w nakładkę. Statek Formidów zniknął, zastąpiony przez twarze dwudziestu pięciu ludzi.

– Niektórzy z was mogą sądzić, że atak na Formidów był błędem. Przecież straciliśmy dwudziestu pięciu członków załogi. Dwudziestu pięciu dobrych ludzi. Straciliśmy ich nie tylko my, także ich najbliżsi.

Kobieta znajdująca się blisko przodu grupy otarła oczy. Dobry znak, pomyślał Lem. W sumie jego prawdziwym celem nie było poprowadzenie uroczystości żałobnej. Stanowiło go odzyskanie dowództwa nad statkiem, prawdziwego dowództwa, a nie jedynie odgrywanie roli kapitana. Chciał, by wykonywano jego rozkazy. Chciał sprawować władzę absolutną. I dlatego musiał zagrać na emocjach załogi.

– Lecz ja mówię, że atak na Formidów nie był błędem. Udowodnienie im, że wolimy raczej zginąć, niż patrzeć, jak odbierają nam nasz świat, nie było błędem. Udowodnienie Ziemi, że zrobimy wszystko w jej obronie, nie było błędem. Podobnie jak nie było nim podjęcie kroków zmierzających do uratowania naszych rodzin na Lunie i Ziemi.

Widział, że ich przekonał. Kilka osób kiwało głowami.

– Wtedy coś się zmieniło. Przestaliśmy skupiać się na Ziemi. Lecieliśmy blisko za statkiem Formidów, ale się wycofaliśmy tutaj, na ekliptykę, z dala od Formidów, a zarazem z dala od tych, których moglibyśmy ostrzec i uratować.

Tu przerwał na chwilę i ściszył głos, jakby wypowiadanie tych słów sprawiało mu ból.

– Wiedzieliśmy o statku Formidów najwięcej ze wszystkich. O parametrach jego broni, o jego prędkości i prawdopodobnym celu podróży. Obliczyliśmy nawet, kiedy i gdzie mógłby wyemitować następną porcję promieniowania. Gdybyśmy trzymali się blisko niego, moglibyśmy ostrzec wszystkie statki, które znajdowały się na jego drodze.

Stuknął w nakładkę. Holograficzne twarze zniknęły, pojawiła się chmura szczątków.

– Jak te statki. Statki z Kleopatry, siedziby placówki Juke i zakładów przetwórczych korporacji. Na tej skale mieszkało niemal osiem tysięcy naszych ludzi, a nie wiadomo, ilu znajdowało się na otaczających ją statkach. Większość z nich to rodziny wolnych górników. Kobiety, dzieci, niemowlęta, osoby starsze. Mogliśmy ich ostrzec. Nie zrobiliśmy tego jednak.

Jeszcze kilka stuknięć. Kolejne szczątki. Jedna po drugiej Lem pokazywał sceny zniszczenia, wymieniał liczby ofiar. Większość załogi już widziała te obrazy; statek zbierał je przez ostatnie kilka miesięcy lotu śladem zniszczeń spowodowanych przez Formidów w drodze na Ziemię.

Lem opisywał, jak to musiało wyglądać na tych statkach, wyjaśniał, jak wyrzut plazmy w bliskiej odległości powodowałby parowanie krwi i kości. Oraz jak w dalszej odległości w wyniku skażenia promieniowaniem ciało ulegało poparzeniu i rozpadały się komórki.

– I kiedy my kryliśmy się w cieniu, ci ludzie walczyli za Ziemię. Kiedy my cofnęliśmy się i chroniliśmy siebie, oni za nas umierali.

Kilka osób poruszyło się niespokojnie. Lem uderzał w czułe miejsce.

W pewnym sensie miał wyrzuty sumienia, że tak nimi manipuluje. Wykorzystywanie uroczystości żałobnej dla własnej korzyści było nietaktowne i oportunistyczne, no, ale to była wojna, nie tylko między ludźmi a Formidami, lecz także między Lemem a jego ojcem, wielkim i wspaniałym Ukko Jukesem.

To ojciec wydał Chubsowi tajne rozkazy, żeby obserwował wszystko, co robi Lem jako kapitan, i uchylał jego polecenia, gdyby Lem zrobił coś, co zagrażałoby jego bezpieczeństwu. W gruncie rzeczy uczyniło Chubsa tajną niańką.

Ojciec niewątpliwie określiłby to dbaniem o syna, chronieniem go przed niebezpieczeństwami pasa Kuipera, dobrym spełnianiem roli rodzica, ale Lem wiedział, o co tu tak naprawdę chodzi. Ojciec robił to co zawsze: trzymał wszystko w garści, pociągał za sznurki, bawił się we władzę i robił z Lema durnia.

Cała sprawa była szczególnie upokarzająca, ponieważ Lem dopiero po roku trwania misji zorientował się, że nie on dowodzi. Chubs okazał się przyzwoitym człowiekiem. Nie chował urazy. Nawet

dołożył wszelkich starań, żeby Lem nie stracił twarzy w oczach załogi, i zachowywał całą historię w tajemnicy. Ale to nie złagodziło przykrości, jaką sprawiło Lemowi zrobienie z niego durnia. Przez cały rok był przekonany, że Chubs jest jego najbardziej zaufanym doradcą. A potem niespodzianka! Tak naprawdę pracuję dla twojego ojca, Lemie, i nie, nie przekażę twojego rozkazu załodze, ponieważ nie mogę pozwolić, żebyś go wydał. Przykro mi, tak polecił twój kochany tatuś.

Och, ojcze, nie możesz się powstrzymać, co? Nie możesz znieść myśli, że czegoś dokonam bez twojej ingerencji. Musisz skrycie się wtrącać do moich spraw. Chytrze, ojcze. Wygrywasz bez względu na wynik. Jeśli misja się nie powiedzie, to z mojej winy, a jeśli się uda, to tylko dlatego, że mi pomagałeś.

Ta myśl była jak stalowy pręt wzmacniający kręgosłup Lema. Zyskał tym większą pewność, że nie może ufać nikomu na pokładzie i że jedynym sposobem uwolnienia się od ojca jest pobicie go w jego własnej grze, przejęcie firmy, usunięcie ojca z tronu i grzeczne pokazanie mu drzwi.

Wojna zaczęła się teraz, tutaj, na pokładzie „Makarhu", w odległości wielu tygodni i miesięcy od Ziemi.

– Dlaczego ci ludzie bez zastanowienia ruszyli na spotkanie z zagrożeniem? – mówił Lem, pokazując za siebie na holograficzną chmurę szczątków. – Dlaczego ryzykowali życie? Ponieważ czuli, że mają obowiązek chronić ludzkość. Obowiązek większy od nich. Wiem, że wielu z was czuje taki sam obowiązek. Czuję go i ja. Czuję go tak silnie, że ostatnie kilka miesięcy nie mogłem zasnąć, owładnięty wstydem.

Na twarzach słuchaczy pojawiło się zaskoczenie.

– Tak, wstydem. Wstydzę się, że nic nie robimy oprócz trzymania się w bezpiecznej odległości od statku, podczas gdy inni walczą w obronie Ziemi. Chciałem ostrzec Kleopatrę. Chciałem tam lecieć na złamanie karku i powiedzieć im, z czym mają do czynienia. Ale Chubs nie chciał na to pozwolić. – Na tę wzmiankę wszyscy zwrócili się w stronę Chubsa, który stał z boku i patrzył przed siebie z kamienną twarzą. – Tak, to jest tajemnica, którą niedawno odkryłem. Mój ojciec kazał Chubsowi za wszelką cenę zapewnić mi bezpieczeństwo.

Ludzie spojrzeli po sobie.

– Dlatego lecimy za Formidami w bezpiecznej odległości. Dlatego zginęło tylu ludzi. Bo mój ojciec ceni mnie bardziej od nich i nie

pozwala Chubsowi im pomagać. Dlatego jest mi wstyd.

Lem wiedział, że w tej chwili nastąpił moment krytyczny, moment, w którym może się wzruszyć. Oczywiście nie mógł sprawić wrażenia słabego. Wywarłby o wiele lepsze wrażenie, gdyby zasugerował, że zbiera mu się na płacz, a potem okazał się na tyle silny i spokojny, by pohamować łzy. Nie było to łatwe. Wielu aktorów sądzi, że trzeba iść na całość, szlochać, zawodzić i stłuc kilka talerzy, lecz on był mądrzejszy. Ludzi poruszały opanowane emocje. Żal i smutek, które groziły wylaniem się, ale, do diabła, ja nie zamierzam im na to pozwolić; będę silny.

Udało mu się to zrobić bezbłędnie; milczał nieco dłużej niż zwykle, by ludzie poznali, że stara się zapanować nad emocjami. A potem odchrząknął i zaczął mówić dalej. Kilka osób na przodzie grupy płakało.

– Gdyby to zależało ode mnie, spełnialibyśmy nasz obowiązek wobec Ziemi. Ratowalibyśmy życie nie tylko nasze. Ale jestem bezsilny. Teraz to rozumiem. Skoro Chubs wykonuje rozkaz mojego ojca, nie mogę robić tego, co do czego mam pewność, że jest słuszne. Dlatego też rezygnuję ze stanowiska waszego kapitana.

Twarze załogi wyrażały wszystko. Szok. Niedowierzanie.

Lem nie mógł prosić o lepszą reakcję.

– Musicie mi wybaczyć, ale nie mogę nadal stanowić powodu, z którego odwracamy się od ludzi. Jeśli Chubs przyjmie to zadanie, będzie służył jako wasz kapitan. Jeśli musi trzymać się rozkazu ojca, jeśli nade wszystko musi przedłożyć posłuszeństwo jemu, to musi też udźwignąć związany z tym wstyd. Mam nadzieję, iż mi wybaczy, że obarczam go tym ciężarem, ale nie mogę znieść tego, że ludzie umierają, bo on mnie chroni.

Odepchnął się od podestu, podpłynął do Chubsa i podał mu rękę. Chubs wiedział, że wszyscy ich obserwują, niektórzy z niechęcią. Postąpił mądrze – ujął podaną rękę i potrząsnął nią ze skrępowaniem.

– Może nie pozwoliłeś nam zapobiec tym stratom – powiedział Lem – ale robiłeś to, co uważałeś za słuszne. Trudno cię za to nie chwalić. Modlę się tylko, żeby Bóg nam wszystkim wybaczył.

Chubs milczał. Co mógłby powiedzieć?

Lem przemieścił się do rury komunikacyjnej, dostosował biegunowość karwaszy i nagolenic i powiedział:

– Czternaście.

Rura porwała go ze świstem. Kiedy dotarł do swojej kajuty, skierował się prosto do holobiurka.

– Pokaż mostek.

W powietrzu nad biurkiem pojawiło się sześć obrazów wideo z maleńkich kamer, które rozmieścił wcześniej w całym pomieszczeniu. Nie miał dźwięku, ale go nie potrzebował. Zobaczył, jak niektórzy członkowie załogi patrzą na Chubsa z czystą pogardą w oczach.

Teraz pozostało mu tylko czekać.

* * *

Nie musiał czekać długo. Kilka godzin później przyszła do niego Benyawe.

– To było niezłe przedstawienie – zaczęła. Lem leżał w hamaku zapięty do pasa, a przed nim unosiło się w powietrzu pudełko czekoladek. – To twoja nagroda dla samego siebie? – zapytała.

– Od Niny, jednej z kucharek. Robi je dla mnie. Jakiś czas temu przyniosła mi pudełko.

– Niewątpliwie po to, żebyś miał jakąś pociechę w tym wstydzie. – Uśmiechnęła się z przymusem.

– Są bardzo smaczne – rzekł Lem, puszczając drwinę mimo uszu. – Spróbuj.

Nie czekając na odpowiedź, wyjął jedną czekoladkę z pudełka i pchnął ją w powietrzu. Czekoladka wpłynęła do wyciągniętej dłoni Benyawe.

– Trochę za ciężkie jak na mój gust – stwierdziła Benyawe, gdy już ją zjadła.

– Czekoladki czy moje przedstawienie?

– I jedno, i drugie. Kiedy prawie się rozpłakałeś, uznałam, że trochę przesadziłeś. Ale było to bardzo przekonujące. Chociaż przesadne.

– Mówiłem tylko prawdę.

– Prawie prawdę. Powiedziałeś, że ci ludzie zginęli przez nas, że gdyby nie Chubs, ostrzeglibyśmy ich. To nieprawda. Nie dotarlibyśmy do większości z nich przed Formidami. W gruncie rzeczy w żadnym przypadku nie moglibyśmy nic zrobić. Gdybyśmy nie uciekli tak daleko przed statkiem Formidów, zapewne zginęlibyśmy od wyrzuconego przez nich promieniowania gamma.

Chubs ocalił nam życie. A ty praktycznie przywiązałeś go do słupa i podpaliłeś stos. To nie było szlachetne. On jest ci bardzo posłuszny.

– Chcesz powiedzieć, że jest posłuszny ojcu.

– Ocalił ci życie.

To prawda, pomyślał Lem. Podczas ataku na statek Formidów Chubs zadziałał szybko i ocalił Lema przed atakującym Formidą, który sprawiał wrażenie, że chce go rozedrzeć na strzępy.

– Kiedy będzie już po wszystkim, dopilnuję, by ojciec wynagrodził Chubsa za jego służbę.

– Jeśli Chubs odda ci stanowisko kapitana – rzekła Benyawe. – Jeśli zagra swoją rolę w tym twoim przedstawieniu.

– Może nie słuchałaś uważnie podczas uroczystości żałobnej. Zrzekłem się tego stanowiska.

Benyawe wyglądała na zirytowaną.

– Proszę cię, Lemie. Jaki on teraz ma wybór poza oddaniem ci dowodzenia i przyrzeczeniem załodze, że nigdy już nie będzie się wtrącał do twoich rozkazów? Jeśli tego nie zrobi, już się mówi, że trzeba będzie mu to stanowisko odebrać.

Lem udał, że jest wstrząśnięty.

– Bunt?

– Nie udawaj przerażenia. Przecież tego chcesz, prawda?

Teraz naprawdę wyglądał na zaskoczonego.

– Chyba nie sądzisz, że mogę chcieć buntu?

Zmarszczyła brwi i założyła ręce na piersi.

– Zapewne nie. Ale mógłbyś go nie zdławić za szybko.

– To jest obowiązek kapitana – rzekł z uśmieszkiem. – Nie mój.

Roześmiała się.

– Wiesz co, czasami patrzę na ciebie i widzę młodszą wersję twojego ojca, a czasami widzę lepszą jego wersję.

– Ale zawsze widzisz mojego ojca. Nie wiem, jak mam to rozumieć.

– Jesteś synem swojego ojca… czy tego chcesz, czy nie.

Znów go zaskoczyła. Czy tak wyraźnie widać, że ma nadzieję się od ojca zdystansować? Bardzo uważał, by nigdy nie dyskredytować go w niczyjej obecności, a zwłaszcza załogi. Jeśli już, to zawsze mówił o swojej miłości do niego, którą z trudem wyrażał, lecz która mimo to była szczera. Naprawdę kochał ojca. Może nie w tradycyjnym sensie, ale szacunek, jakim go darzył, był, co musiał przyznać, pewną formą miłości.

Rozległa się melodyjka i damski głos komputera oznajmił:

– Pierwszy oficer Patrick Chubs.

Benyawe uśmiechnęła się drwiąco.

– Nie powinien to raczej być kapitan Chubs?

Lem puścił to mimo uszu.

– Wejść – powiedział.

Drzwi się odsunęły i do pokoju wpłynął Chubs. Wyglądał na zmęczonego i wcale niezdziwionego obecnością Benyawe.

– Jak chcesz to zrobić? – zapytał Lema.

– Co zrobić?

– Wyjść z tego impasu. Musimy doprowadzić sprawę do końca. Odmówię przyjęcia stanowiska kapitana i obiecam, że już nigdy nie będę się wtrącał do twoich rozkazów. Jak chcesz to zrobić? Mam to ogłosić, napisać e-maila czy musimy odegrać kolejną scenę w obecności załogi? Szczerze mówiąc, obojętnie, jaki masz plan, chciałbym to już mieć z głowy.

Lem poczuł wyrzuty sumienia. Benyawe miała rację. Chubs rzeczywiście był mu posłuszny. Nie zasługiwał na szkalowanie. Wykonywał tylko pracę, do której wynajął go ojciec. Lem rozpiął pas w hamaku i podpłynął do Chubsa.

– Zawsze będziesz miał miejsce w tej firmie, Chubs. Dobre miejsce. Jakie sobie sam wybierzesz. Dopilnuję tego. A gdybyś odmówił przyjęcia stanowiska kapitana i upierał się, żebym ja je objął, zatrzymałbym cię jako pierwszego oficera. Byłbym głupi, gdybym tego nie zrobił. Jesteś najbardziej lojalnym i kompetentnym człowiekiem na tym statku.

– Czy to bezpieczne? – zapytała Benyawe. – Kilka godzin temu doprowadziłeś załogę do stanu, w którym była gotowa go powiesić.

– Pracowałby z oficerami. Są całkowicie wobec niego lojalni – rzekł Lem.

– Nie powiedziałbym, że całkowicie. Już nie – zaprotestował Chubs.

I znowu Lem poczuł delikatne wyrzuty sumienia. Nie zniszczył Chubsa, ale niewątpliwie poważnie mu zaszkodził. Jeśli istniała przedtem między nimi jakaś przyjaźń, teraz zniknęła. Już zawsze będą się traktować z niezręczną formalnością.

– Przykro mi, że odebrałeś uroczystość żałobną jako przedstawienie – powiedział Lem. – A jeśli postanowiłeś odmówić przyjęcia dowództwa, to musisz zrozumieć, że w żaden sposób nie

mogę podważać tej decyzji. Nie mogę ci powiedzieć, co dalej robić. To by sugerowało, że wszystko zaplanowałem, co oczywiście nie jest prawdą. To musi być twoja własna decyzja. Jak i kiedy to zrobisz, zależy całkowicie od ciebie.

Było nieprawdopodobne, by Chubs nagrywał ich rozmowę, żeby przyłapać Lema na jakimś wyznaniu, ale lepiej dmuchać na zimne. Z żadnej rozmowy między nimi nie mogło wynikać, że Lem wywarł na Chubsa presję.

Chubs skinął głową. Zrozumiał. Pożegnał się i opuścił kajutę.

– Kiedy wrócimy na Lunę, mam nadzieję, że zorganizujemy jeszcze jedną uroczystość żałobną. Nieco bardziej serdeczną. Martwi na to zasługują – powiedziała Benyawe, odbiła się od podłogi i bez słowa wypłynęła na korytarz.

Holo od Chubsa przyszło pół godziny później, wysłane do wszystkich członków załogi. Chubs dziękował w nim Lemowi, że uważa go za godnego tak zaszczytnego stanowiska, ale napisał, że absolutnie nie może go przyjąć. I nie będzie się wtrącał do rozkazów Lema. Całkowicie się z nim zgadza. Ziemia ma pierwszeństwo. Jeśli Ukko Jukes zwolni go za niesubordynację, trudno. To niewielka cena.

Zrobione to było znakomicie. Profesjonalnie, szczerze i dość wzruszająco. Lem nawet stwierdził, że wilgotnieją mu oczy, chociaż mogło się do tego przyczynić także uczucie ulgi.

Z nagraniem swojej wiadomości holo zaczekał godzinę. Pokornie dziękował w niej Chubsowi za jego bezinteresowność i stanowczo nalegał, by zachował stanowisko pierwszego oficera. To było przyzwoite nagranie, ale Lem chciał się postarać lepiej. Przecież mógł to poprawić i dopiero potem wysłać. Za siódmym razem uznał, że uderzył we właściwy ton. Każda pauza, oddech i słowo były dokładnie takie, jak być powinny. Wysłał holo, odczekał kolejną godzinę i wrócił na mostek.

Chubs czekał na niego przy mapie.

– Jaki jest twój pierwszy swobodny rozkaz jako kapitana?

– Przybliż nas do trajektorii Formidów. Tutaj nasze skanery niewiele widzą. Dowiedzmy się wszystkiego, co się da, i jak najszybciej wracajmy na Lunę.

– Ty tu dowodzisz – rzekł Chubs.

Tak, pomyślał Lem. Po raz pierwszy od dwóch lat.

ROZDZIAŁ **4**

UKKO

Szynowiec mknął ulicami Imbrium, mijając domy mieszkalne, budynki rządowe i nieduże kompleksy przemysłowe. Victor siedział przy oknie, patrzył na śmigający za nim krajobraz, wciąż zdumiony wielkością i ogromem miasta.

– Jak wypełniacie te wszystkie kopuły i łączące je tunele powietrzem? – zapytał. – Skąd bierzecie tyle tlenu?

Yanyu, która eskortowała Victora i Imalę do obserwatorium korporacji Juke, siedziała naprzeciwko chłopaka.

– Lunarny tlen w większość pochodzi z wykopów – wyjaśniła. – Wszystko to, co widzisz, nazywamy Starym Miastem. Kiedy ludzie przybyli na Lunę, zbudowali osiedle na powierzchni. To wymagało wzniesienia tych szczelnych kopuł, które miały zatrzymywać tlen i chronić osadników przed nieustannym bombardowaniem przez cząsteczki z kosmosu, i było bardzo drogie. Obecnie wszystko buduje się pod ziemią. Właściwie tam teraz mieszka większość ludzi.

– Ale ty mieszkasz na powierzchni.

– Mam ograniczone dochody i nie stać mnie na mieszkanie w tunelach. Gdybym miała pieniądze, przeniosłabym się pod ziemię. Tam jest bezpieczniej. Nie trzeba się martwić bombardowaniem albo możliwością zderzenia. A ponieważ na Księżycu nie ma aktywności tektonicznej, nie trzeba się też przejmować trzęsieniami ziemi. No i jest znacznie ciszej. Jednak prawdziwą korzyścią jest to, że wszystkie surowce uzyskujemy z wydobywanych skał. Oczywiście metale do budowy, ale i tlen.

Victor był zaskoczony.

– Tlen ze skał? Czy to możliwe?

– Oddychasz nim – rzekła Imala.

Pokręcił głową.

– Masz pojęcie, jak pożyteczna byłaby ta technologia w pasie Kuipera? Cały nasz tlen pochodził z wydobywania lodu. Gdybyśmy nie znaleźli lodu, bylibyśmy muerto, martwi. Wiele rodzin zginęło w ten sposób.

– Wydobywanie tlenu z lodu jest znacznie łatwiejsze – stwierdziła Imala. – Nie trzeba do tego dużo sprzętu. Wydobywanie tlenu i azotu ze skały wymaga potężnych urządzeń. Nie budujemy statków na tyle

dużych, żeby mogły je dostarczyć w daleki kosmos. Może kiedyś się to uda, ale nie za naszego życia.

– A co z paliwem i energią dla tuneli? – zapytał Victor. – Nie dociera tam ciepło słońca, więc musi panować mróz.

– Cała energia na Księżycu jest elektryczna – włączyła się Imala. – Pochodzi z wysokowydajnych baterii słonecznych. Wszędzie na powierzchni są elektrownie słoneczne, największe w rejonie równika, gdzie kolektory leżą płasko na ziemi. Na biegunach też są duże elektrownie, a obrotowe kolektory na wieżach skierowane są na słońce dwadzieścia cztery godziny dziennie przez siedem dni w tygodniu. Wierz mi, że póki świeci słońce, energia i ciepło nie stanowią problemu.

Victor skinął głową, chociaż nie podzielał pewności Imali. Baterie są zawodne. Na „El Cavadorze" zawodziły cały czas.

– A więc zakładam, że to obserwatorium, do którego jedziemy, ponieważ są w nim teleskopy, znajduje się nad powierzchnią.

– O nie – rzekła Yanyu. – Jest umieszczone pod ziemią. Tak jak prawie wszystkie obiekty koncernu. Większość tuneli poza miastem należy do Juke Limited, chociaż niewiele osób wie, jak rozległe są tunele firmy. Pan Jukes prowadzi tajne badania niemal w każdej dziedzinie przemysłu, a mimo to mapy tuneli pokazują tylko nieliczne laboratoria czy zajmujące się tym wydziały. Gdybym miała zgadywać, powiedziałabym, że system tuneli korporacji jest o wiele większy od miasta.

– Ale jeżeli obserwatorium znajduje się pod ziemią, to gdzie są teleskopy? – zapytał Victor.

– Daleko stąd, rozmieszczone w różnych punktach na Lunie, z dala od wszelkich zanieczyszczeń świetlnych – wyjaśniła Yanyu. – My im wydajemy polecenia, gdzie mają patrzeć, a potem obrabiamy wszystkie obrazy i dane w sali obserwacyjnej. Na Lunie nie istnieją tradycyjne obserwatoria, takie jak na Ziemi. Tu na górze są tylko pomieszczenia biurowe. Obawiam się, że to nie jest bardzo interesujące.

Szynowiec opuścił się nagle do wejścia do tunelu i póki nie zapaliły się wewnętrzne światła, jego pasażerowie znaleźli się na chwilę w całkowitej ciemności.

Przez kilka minut zachowywali prędkość, ale szynowiec napotkał rozwidlenie toru i zaczął zwalniać. Po kilku zakrętach zatrzymał się na stanowisku parkowania. Ze ściany wysunęły się rury powietrzne

i otoczyły pojazd, po czym zabrzmiał delikatny sygnał zezwolenia i Victor, Imala oraz Yanyu wyszli na peron. Następnie Yanyu poprowadziła ich przez labirynt korytarzy i liczne pozamykane drzwi. Victor niemal natychmiast stracił orientację.

Przy framudze każdych drzwi unosiła się w powietrzu sześcienna holoprzestrzeń. Yanyu wsuwała do niej dłoń i wykonywała sekwencję ruchów palców, które otwierały drzwi. Początkowo Victor sądził, że te ruchy są przypadkowe, ale raz pewne drzwi zabuczały odmownie i Yanyu musiała cofnąć rękę, ponownie ją wsunąć do holoprzestrzeni i rozpocząć procedurę od nowa. W końcu dotarli do prostych metalowych drzwi ozdobionych emblematem Juke Limited i słowami „Obserwatorium astronomiczne".

Yanyu wprowadziła ich do słabo oświetlonej sali obserwacyjnej z kopulastym sufitem. Pojawiały się na nim i znikały jak na wygaszaczu ekranu obrazy gromad gwiazd i mgławic oraz dane astronomiczne. Po sali było rozrzuconych kilkanaście biurek z lampami, terminalami komputerowymi i osobistymi rzeczami. Pośrodku znajdował się stół konferencyjny, przy którym stała grupa naukowców. Yanyu zatrzymała się i wskazała brodatego mężczyznę.

– Victorze, Imalo, przedstawiam wam doktora Richarda Prescotta, dyrektora obserwatorium i naszego głównego astrofizyka.

Prescott podszedł i uścisnął rękę Imali. Był młodszy, niż się spodziewał Victor; wyglądał na trzydzieści kilka lat, miał strzechę brązowych włosów i swobodny strój.

– Pani Bootstamp, to dla mnie zaszczyt. Witam. I pan Delgado, pana też miło widzieć. Mam nadzieję, że nie mieli państwo problemów z dotarciem tutaj.

– Musiałam wykraść Victora ze szpitala dla rekonwalescentów, gdzie był przetrzymywany – powiedziała Imala. – Złamałam przez to kilka przepisów i teraz oboje jesteśmy uciekinierami. Poza tym nie napotkaliśmy żadnych problemów.

Prescott nie wydawał się tym przejęty. Włożył ręce do kieszeni i uśmiechnął się ciepło.

– Cóż, tu są państwo bezpieczni.

Imala przeszła do rzeczy.

– Musimy uzyskać audiencję u Ukko Jukesa. Z jego poparciem możemy przesłać na Ziemię uzasadnione ostrzeżenie. Może pan do tego doprowadzić?

– Prawdopodobnie – rzekł Prescott. – Ale wszystko po kolei. – Wskazał stół konferencyjny. – Zechcą państwo usiąść?

– Nie wierzy nam pan, prawda? – odezwał się Victor.

Prescott się uśmiechnął.

– Nie sprowadzilibyśmy was tutaj, gdybyśmy nie sądzili, że być może mówisz prawdę. Wszyscy do pewnego stopnia ci wierzymy. Ale zanim ktokolwiek z nas podejmie jakieś działanie, chcemy mieć całkowitą pewność. Poza tą salą są ludzie, których przekonać będzie o wiele trudniej niż nas. Jeśli będziemy współpracować, może uda nam się to zrobić.

Victor i Imala usiedli. Prescott zajął miejsce u szczytu stołu.

– Musicie zdać sobie sprawę, że ludzie o naszej specjalności są jeszcze bardziej sceptyczni wobec twierdzeń o pozaziemskim życiu niż zwykli ludzie. Musimy tacy być. Badaczy uczy się wątpienia we wszystko i kwestionowania wszystkiego. Poza tym dominuje przekonanie, że najpierw usłyszymy pozaziemskie życie, a dopiero potem je zobaczymy. Powinniśmy wychwycić przekazy obcych na długo przedtem, niż oni sami pokażą się w naszych teleskopach. Jednak do tej pory nikt w naukowej społeczności niczego nie usłyszał.

– Nie można niczego usłyszeć – rzekła Imala. – Zakłócenia paraliżują komunikację.

– To prawda – zgodził się Prescott. – Przez to tym trudniej uwierzyć w twierdzenie o życiu pozaziemskim. Zaburzenia w komunikacji wielu ludzi uważa za niezwykle wygodne dla szarlatana, który próbuje uzasadnić milczenie nieba.

– Nie jestem szarlatanem – zaprotestował Victor.

– Nie mówię, że jesteś. Mówię ci, o czym rozmawiają ludzie. Nikt nie chce cię poprzeć, bo nikt nie może w niezależny sposób potwierdzić twoich zapewnień. Wszyscy więc siedzą cicho i mają nadzieję, że ktoś inny podejmie to ryzyko. Nikt nie chce wyjść na głupca poprzez wsparcie czegoś, co mogłoby się okazać największą mistyfikacją stulecia.

– Największym odkryciem stulecia – poprawił go Victor. – Nie mówiąc już o największym zagrożeniu dla naszego gatunku.

Prescott odchylił się na oparcie swojego krzesła.

– I to jest właśnie pytanie, prawda? Yanyu pokazała nam wyniki swoich obserwacji. Wszyscy widzieliśmy filmiki, które umieściliście z Imalą w sieciach. Przejrzeliśmy dowody. Kłóciliśmy się o nie

godzinami. Teraz chcemy to usłyszeć bezpośrednio od ciebie. Jeśli ci uwierzymy, puścimy wszystko w ruch. Masz głos, Victorze. Przekonaj nas.

Chłopak zerknął na Imalę, która kiwnęła mu zachęcająco głową. Potem rozejrzał się po twarzach ludzi zebranych przy stole; wszyscy starsi od niego, dobrze wykształceni, byli specjalistami w swoich dziedzinach. Większość z nich miała nieprzeniknione twarze, lecz kilku z trudem ukrywało sceptycyzm.

Zaczął mówić.

Przez pierwszą godzinę nikt nie powiedział ani słowa. Potem czasami odzywała się Yanyu, podrzucając dane astronomiczne, które potwierdzały opowieść Victora.

Kiedy skończył, pytania padały szybko. W jaki sposób ten statek powoduje zakłócenia? Gdzie jest teraz? Czy ktoś próbował się z nim skontaktować nie przez radio, tylko innym sposobem? Może w podczerwieni? Jakie są zamiary statku?

– Nie wiem – powiedział Victor dziesiąty raz. – Nie wiem, gdzie jest statek, jakie spowodował zniszczenia ani ilu zabił ludzi. Żałuję, ale nie wiem. Chciałbym znać odpowiedzi na te pytania. Chciałbym wiedzieć, czy moja rodzina jest bezpieczna.

Wzmianka o rodzinie rozbiła rezerwuar jego emocji i przez chwilę Victor obawiał się, że może stracić panowanie nad sobą. Głęboko odetchnął i stłumił uczucia.

– Nie znam odpowiedzi. Nie jestem nawigatorem. Znam się na podstawowych mechanizmach walki i wyznaczaniu trajektorii, ale to nie było moje zadanie na statku. Jestem mechanikiem. Konstruuję i naprawiam różne urządzenia. Moja rodzina wysłała mnie, ponieważ jestem młody i zdrowy. Miałem największe szanse wytrzymania fizycznych trudów tej podróży. Poza tym gdyby coś poszło nie tak, umiałbym naprawić szybkostatek. Nikt na pokładzie nie znał się tak dobrze na mechanice. To musiałem być ja. Wiem, że wolelibyście porozmawiać z kimś bardziej wykształconym. Ja jestem tylko posłańcem. – Przerwał i spojrzał kolejno na wszystkich uczonych. – Ten statek jest prawdziwy i się zbliża. Zajmie to kilka dni, kilka miesięcy, nie wiem. Ale się zbliża. Gdybyśmy mogli porozmawiać ze statkami w pasie Kuipera, moje słowa potwierdziłyby tysiące ludzi. Ponieważ nie możemy tego zrobić, rozumiem, że moja opowieść jest tym mniej wiarygodna. Zapytajcie jednak samych siebie, czy wyglądam jak ktoś, kto umiałby spreparować te wszystkie dowody.

Czy sprawiam wrażenie osoby, która mogłaby wymyślić to wszystko dla żartu? Czy sprawiam wrażenie osoby, która mogłaby stworzyć filmiki i góry dowodów nie do obalenia? Jestem wolnym górnikiem. Radzimy sobie, działając na wyczucie i czasami nie starcza nam na jedzenie. Nie szukam pieniędzy. Nie mam tu nic do zyskania oprócz ocalenia ludzi. Jeśli uważacie, że możecie znaleźć luki w mojej opowieści, szukajcie ich. Ale to się wam nie uda. Każde moje słowo to prawda.

W sali zapanowała cisza. Imala znalazła pod stołem rękę Victora i uścisnęła ją, by mu dodać otuchy. W końcu Prescott położył mu dłoń na ramieniu.

– Wierzymy ci. Niektórzy z nas potrzebowali dodatkowej perswazji, ale chyba mówię w imieniu całego gremium, że pomożemy ci ze wszystkich sił.

Victor poczuł taką ulgę, że znowu prawie się załamał. Uda się. Informacja się rozprzestrzeni.

– Dziękuję.

– Nie, to my dziękujemy tobie, Victorze. Cała Ziemia jest ci winna wdzięczność.

– To nie będzie łatwe – odezwała się Imala. – Nie chcę oblewać was zimną wodą, ale nie zapominajmy, że media już zlekceważyły tę sprawę. W niektórych kręgach zostaliśmy okrzyknięci oszustami. Prowadzę tę walkę od pewnego czasu i przegrywam. Jeśli jesteście z nami, musicie nas popierać nie tylko teraz, w bezpiecznej sali konferencyjnej, ale także i poza nią, gdzie reszta świata tylko czeka, żeby z nas drwić. Moja kariera zapewne się skończyła. Wasze też mogą się skończyć. Nie próbuję was przekonać, żebyście nas opuścili; po prostu chcę, byście rozumieli, z czym walczymy.

– Wyraziłaś się jasno – rzekł Prescott. – Mogę z pełnym przekonaniem mówić tylko za siebie, ale zapewniam cię, że jestem z wami.

– Ja też – powiedziała Yanyu.

Pozostali zebrani kiwali głowami.

– To co zrobimy? – zapytała Imala.

– Po pierwsze, nadal będziemy starać się potwierdzić opowieść Victora poprzez przeszukiwanie nieba i namawianie wszystkich znajomych, by robili to samo. Zwołamy pospolite ruszenie. Po drugie, zaraz zacznę dzwonić. Uzyskanie audiencji u pana Jukesa nie jest łatwe. Ma armię ludzi, którzy rozwiązują problemy za niego i bronią

go przed takimi jak my. Ale biorąc pod uwagę okoliczności, musimy się przedrzeć.

* * *

Nie przedarli się. W każdym razie nie natychmiast. Powiedziano im, że Ukko Jukes jest zajęty czymś innym i nikogo nie przyjmuje.

– A nie możemy sami się zwrócić do prasy? – zapytał Victor Prescotta. – Was by zechcieli wysłuchać.

– Chociaż doceniam to, że przywiązujesz taką wagę do mojego wsparcia, tak naprawdę ono nie wystarczy. Jest dziesięciu ludzi cieszących się takim samym rozgłosem jak ja i mających takie same kwalifikacje, którzy chętnie by mi się przeciwstawili i zdyskredytowali całą tę sprawę. Smutne, ale prawdziwe. Niektórzy z tych ludzi to wilki. Obaliłem wiele ich teorii i z radością wsadziliby kij w moje szprychy. Jeśli zrezygnujemy z Ukko, musimy mieć niezbite dowody. Musimy być tak przekonujący, żeby ci, którzy w nas wątpią, wyszli na pozbawionych rozumu szaleńców, a nie my. To może potrwać. Zespół nad tym pracuje i zbliżamy się do celu, ale sądzę, że Imala i Yanyu mają rację. Z Ukko załatwimy sprawę najszybciej. Jeśli go dla niej pozyskamy, będziemy uratowani.

Kilka godzin później, wieczorem, Prescott wziął Victora i Imalę na stronę.

– Personel zostaje tu dziś na noc. Wygląda na to, że informację o Ukko dostaniemy najwcześniej jutro. Mogę poprosić kogoś, żeby cię odwiózł do twojego mieszkania, Imalo, ale to może nie być dobry pomysł. Wolałbym zatrzymać Victora tutaj i byłoby lepiej, gdybyś ty też została. Mamy dodatkowe łóżka polowe. Nie są wygodne, lecz jeśli chcecie, możecie na nich spać.

Yanyu pokazała Victorowi i Imali dwa sąsiadujące z sobą biura wykorzystywane jako składziki. W każdym ustawiono jedno łóżko polowe. Yanyu przyniosła Imali i Victorowi po poduszce, kocu, komplecie przyborów toaletowych i czystym kombinezonie korporacji. Victor znalazł w korytarzu łazienkę dla mężczyzn, wziął prysznic i włożył kombinezon. Czuł się w nim jak zdrajca, jakby w jakiś sposób wyparł się swojej rodziny. Ale dobrze było ubrać się w coś czystego.

Wrócił do swojego pokoju i się położył. Usiłował przybrać wygodną pozycję, lecz nie mógł zasnąć. Opowiadanie o swoich przeżyciach personelowi obserwatorium przypomniało mu o domu.

Dziewięć miesięcy. Czy naprawdę upłynęło aż tyle czasu, od kiedy ostatni raz widział matkę i ojca?

Ciążyły mu obrazy zniszczenia w pasie Kuipera wyświetlone przez holoprojektor Yanyu. Wiedział, że „El Cavador" nie może być żadnym ze statków zniszczonych w okolicy Kleopatry – jego rodzina żadną miarą nie mogłaby wyprzedzić statku obcych i znaleźć się przed nim w wewnętrznej części pasa. Mimo to szczątki wywołały w jego myślach zalew mrocznych możliwości. A jeśli obcy statek spowodował taki sam poziom zniszczenia w pasie Kuipera? Rodzina Victora śpieszyła do stacji, żeby ostrzec przebywających tam ludzi o zbliżaniu się statku hormigów. A jeśli hormigowie zaatakowali stację w chwili, gdy przybył tam „El Cavador"?

Nie pierwszy raz Victor wyobrażał sobie najczarniejsze scenariusze. Od czasu opuszczenia „El Cavadora" codziennie myślał, że rodzinnemu statkowi przydarzył się jakiś straszny wypadek.

A jednak za każdym razem, kiedy pojawiały się takie myśli, wiara w rodzinę zawsze pozwalała mu rozgonić obawy. Mówił sobie, że ojciec zapewni jej bezpieczeństwo. Wszyscy będą pracować razem. Nic im nie będzie. Bo tak robi rodzina. Wychodzi cało z wszelkich opresji. Zawsze tak było. Kiedy zawodziły jakieś ważne układy i wydawało się, że zbliża się najgorsze, rodzina zawsze znajdowała jakieś wyjście. Ojciec nigdy nie zawiódł pod tym względem.

Nie powinienem się martwić, zawsze mówił sobie Victor. Jeszcze nie teraz. Dopóki nie mam powodu.

Cóż, teraz miał powód. Obrazy zniszczonych statków w wewnętrznej części pasa Kuipera na nowo ożywiły w jego wyobraźni wszystkie straszne skutki, o jakich wcześniej myślał.

Przycisnął dłonie do zamkniętych oczu. Proszę Cię, Boże, niech oni żyją. Niech matka, ojciec, Mono, Edimar i wszyscy inni żyją.

Podciągnął koc i spróbował otrząsnąć się z tych myśli. Ojciec zapewni im bezpieczeństwo. Ojciec nigdy ich nie zawiódł.

Kiedy zapadł w sen, ujrzał, jak setki hormigów pełzają po kadłubie „El Cavadora", wyłamują klapy luków i odrywają płyty pancerza. Stwory znikały w zrobionych przez siebie dziurach, wlewając się do nich falą, depcząc po sobie nawzajem i przepychając się, pędziły przez ładownię, płynęły korytarzami, głodne,

zdeterminowane, z otwartymi paszczami, wyciągniętymi rękami, wijące się potężną falą rozbieganych ciał i tupoczących owadzich odnóży. Wpadły na mostek, gdzie w kącie stłoczyli się wszyscy z rodziny, skuleni, krzyczący, zrozpaczeni, uniesionymi rękami chroniący twarze.

* * *

Następnego ranka, kiedy Victor jadł z Imalą śniadanie w pomieszczeniu obserwacyjnym, przyszła wiadomość z biura Ukko.

– Zgodził się z nami spotkać – oznajmił Prescott. – Po południu ma prezentację dla prasy i jego asystentka powiedziała, że potem da nam pięć minut.

– Całe pięć minut? – powiedziała Imala. – Cóż, miło mi słyszeć, że los świata zasługuje na aż tyle cennego czasu Ukko Jukesa.

– Mamy szczęście, że dostaliśmy aż tyle – rzekł Prescott. – Musiałem się sprzeczać z asystentką, żeby w ogóle spojrzała do jego kalendarza. Chciała nas umówić z nim za dwa tygodnie.

– Za dwa tygodnie Luna może już nie istnieć.

– Tak jej powiedziałem. Udało mi się ją zainteresować.

– Powiedziałeś jej, że chodzi o inwazję obcych? – zapytał Victor.

– Nie, boby mnie wyśmiała i zakończyła połączenie. Słowa „inwazja obcych" brzmią idiotycznie.

– A jednak są prawdziwe – rzekła Imala.

– Mogłem tylko zarzucić przynętę – tłumaczył Prescott. – Powiedziałem jej, że dokonaliśmy największego od stuleci odkrycia naukowego i jeżeli pan Jukes ogłosi to światu, zostanie uznany za międzynarodowego bohatera. To wzbudziło jej zainteresowanie.

– Jeżeli jest już umówiony z prasą, powinniśmy się z nim spotkać wcześniej – zauważył Victor. – W ten sposób może natychmiast przekazać ostrzeżenie.

– Nie ma na to szans – odparł Prescott. – Przede wszystkim to nie jest odpowiedni rodzaj prasy. To dziennikarze od techniki i blogerzy zajmujący się przemysłem. Ukko ma ujawnić coś, co zbudowała korporacja. Kiedy wystąpimy przed światem z naszą historią, będziemy potrzebować wszystkich dużych programów informacyjnych i sieci. Ukko zechce z tego zrobić widowisko. Poza tym nie pójdzie z tym do prasy dzisiaj, nawet gdyby nam uwierzył. Najpierw zażąda kolejnych dowodów.

– Kolejnych dowodów? – zdziwił się Victor. – Ile ludzie ich potrzebują?

– Ukko jest ostrożny. Będzie chciał dostać niepodważalne dowody od swoich ludzi. Dowody pochodzące od wolnego górnika nie mają dla niego wielkiej wagi. Bez urazy. Po prostu tak to jest.

– Ale wy zebraliście dowody – rzekła Imala.

– Ukazaliśmy zniszczone statki – odparł Prescott. – To dowodzi, że miał miejsce jakiś incydent. Nie dowodzi, kto za niego odpowiada.

– Pięć minut to nie jest dużo czasu, żeby go przekonać – powiedział Victor.

– Wystarczy, że połknie haczyk. Kiedy uwierzy, że coś takiego jest możliwe, wyczyści cały swój grafik zajęć dla was.

Prescott wezwał śmigacz i razem z Yanyu, Victorem i Imalą wrócił nim na powierzchnię. Biuro Ukko mieściło się pod ziemią w systemie tuneli Juke Limited, lecz daleko, i Prescott uznał, że szybciej będzie polecieć do portu położonego najbliżej biura, a potem pojechać tunelami.

Po krótkim locie znowu znaleźli się pod ziemią i trafili do o wiele bardziej eleganckiego i jaśniej oświetlonego kompleksu tuneli. Tutejsze podłogi zrobiono z twardego drewna i umieszczono pod nimi mocne magnesy, które przyciągały nagolenice i pozwalały ludziom normalnie chodzić mimo niskiej grawitacji. Wszędzie było widać skórzane kanapy i fotele, kwiaty doniczkowe i abstrakcyjne dzieła sztuki, gobeliny i potężne rzeźby z rudy żelaza wydobywanej z asteroid daleko w pasie Kuipera. Wszystko oświetlało miękkie światło lamp wbudowanych w ściany i sufity, co nadawało całemu skrzydłu atmosferę luksusu.

Prescott zaprowadził ich do poczekalni przy gabinecie Ukko, której całą ścianę zajmowało akwarium z tropikalnymi rybami. Wewnątrz niego znajdowały się skały wydobyte na Lunie, wyrzeźbione na kształt rafy koralowej. Wśród szczelin i otworów niewiele większych od pięści Victora pływały mureny oraz inne jaskrawo ubarwione stworzenia wodne.

Całe to wnętrze przyprawiało chłopaka o gniew. Tyle pieniędzy, taka rozrzutność! W pasie Kuipera rodziny wolnych górników pracowały przy asteroidach jak niewolnicy, by wydobyć dość minerałów do wykarmienia dzieci, a takie korporacje jak Juke Limited pojawiały się znikąd, przejmowały działkę górniczą siłą i wyrzucały rodzinę z asteroidy. I co dranie z Juke robiły z tymi

pieniędzmi? Kupowały akwaria, rzeźby i drewniane podłogi i paradowały w swoich pałacach, a uczciwi ludzie głodowali.

– Są piękne, prawda?

Victor odwrócił się i stanął twarzą w twarz z kobietą po trzydziestce. Miała na sobie długą skromną spódnicę i luźną bluzkę, przyciskała do piersi holoprojektor.

– To jest murena smocza – powiedziała, wskazując rybę w jaskrawe czerwone pasy i czarne i białe plamy. – Przez ten wąski pysk i ostre zęby wyglądają groźnie, ale tak naprawdę są dość nieszkodliwe. Nigdy nie atakują ludzi, wolą maleńkie rybki.

– Duzi polują na słabych – rzekł Victor. – Ta ryba musi się tu czuć jak u siebie w domu.

Kobieta przyjrzała mu się z ciekawością i wyciągnęła rękę.

– Jestem Simona, osobista asystentka pana Jukesa. Zapewne przyszedł pan z doktorem Prescottem?

Wskazała ręką biurko po przeciwnej stronie pomieszczenia, przy którym Imala, Yanyu i Prescott rozmawiali z recepcjonistką.

– Mamy się spotkać z panem Jukesem – przytaknął Victor.

Simona popatrzyła na kombinezon korporacji, który miał na sobie Victor.

– Pracuje pan w obserwatorium? Nie przypominam sobie, żebym widziała w aktach pańskie zdjęcie.

– Nie pracuję w obserwatorium – odpowiedział krótko Victor.

Nie podobało mu się to wypytywanie. Asystentka sprawiała wrażenie dość życzliwej, ale próbowała uzyskać informacje.

– Doktor Prescott mówi, że ta jego wiadomość to największe odkrycie na przestrzeni kilku stuleci – powiedziała Simona.

– Nie przesadza.

Na tylnej ściance holoprojektora błysnął czerwony punkcik i Simona spojrzała na ekran. Przez chwilę stukała w niego, a potem znowu podniosła wzrok na Victora.

– Victor Delgado. Tak się pan nazywa, prawda? – Odwróciła ekran i pokazała mu zdjęcie, które zrobił mu LWH po aresztowaniu. Obok widniało zdjęcie, które zrobiła mu przed chwilą. Zestawił je program rozpoznający twarze. – Tu jest napisane, że pan przebywa w ośrodku przetrzymywania LWH i czeka na deportację do pasa Kuipera. Ale skoro stoi pan przede mną, muszę założyć, że przyznał pan sobie wcześniejsze zwolnienie. – Zerknęła w stronę biurka. Recepcjonistka właśnie kierowała Prescotta i towarzyszące mu panie

do Simony. – Pozostałe osoby stanowią zagadkę. – Ustawiła holoprojektor, zrobiła kolejne zdjęcia i odczytała wyniki. – Imala Bootstamp. Obecnie zwolniona warunkowo z LWH. To się robi z każdą chwilą coraz ciekawsze.

Podszedł do nich Prescott i obie jego towarzyszki. Simona przywitała się z nimi ciepło, chociaż Victor uznał jej uśmiech za nieszczery.

– Zdążyli państwo. To dobrze. Będzie to wyglądało tak. Pan Jukes ma bardzo napięty harmonogram. Usiądą państwo z tyłu studia i podczas prezentacji będą zachowywać ciszę. Po zakończeniu holotransmisji pan Jukes podejdzie do państwa. Macie pięć minut. Zanim jednak posuniemy się choćby o krok dalej, muszę wiedzieć, jaka jest rola tych dwojga. – Pokazała na Victora i Imalę.

– Zwrócili naszą uwagę na temat – wyjaśnił Prescott.

– A jaki to temat? – zapytała Simona.

– Rozmawialiśmy już o tym. Nasza wiadomość jest przeznaczona dla pana Jukesa.

– Victor Delgado ma dość pokaźną przeszłość kryminalną i jest uciekinierem. Jeśli nie dostanę wyjaśnień, nie dopuszczę go do pana Jukesa. – Założyła ramiona na piersi i czekała.

– Zobaczyłem coś w dalekim kosmosie – odezwał się Victor. – W pasie Kuipera. Przyleciałem szybkostatkiem na Lunę, żeby wszystkich ostrzec, i zostałem aresztowany pod niedorzecznymi zarzutami. Ma je pani przed sobą. Może je pani sama przeczytać. To nie dyskredytuje mojej relacji.

– Co pan widział?

Victor spojrzał na pozostałych. Nie miał pojęcia, jak daleko może się posunąć. Imala wybawiła go z kłopotu.

– Wiem, że według ciebie tylko wykonujesz swoją pracę, Simono – powiedziała – ale nie mamy na to czasu. W pasie Kuipera zginęły tysiące ludzi. Mamy na to dowód i wiemy, dlaczego tak się stało. Jeśli nie zaprowadzisz nas do Ukko Jukesa, a on nie zrobi czegoś, żeby pomóc nam ostrzec świat, następne mogą być tysiące i miliony, a może nawet miliardy ludzi na Ziemi. Jeśli do tego dojdzie, ludzie podniosą głowy znad ciał swoich martwych żon i dzieci i zapytają, dlaczego Ukko Jukes nic nie zrobił, kiedy miał po temu okazję. I wiesz, co im powiemy? Prawdę. Powiemy, że Simona bawiła się w portiera i odgoniła nas, bo pracowity jak pszczółka Ukko Jukes nie miał pięciu minut, żeby uratować świat.

Simona patrzyła na Imalę z zaciśniętymi ustami. W końcu powiedziała:

– Doskonale. Proszę za mną.

Strzeliła palcami, obróciła się na pięcie i poprowadziła ich korytarzem za biurkiem recepcjonistki do dużej, właściwie pustej sali. Palił się tylko rząd reflektorów punktowych wiszących na stelażu w przeciwnym jej końcu. Pod reflektorami znajdowała się duża kulista holoprzestrzeń o średnicy trzech metrów. Pośrodku niej stał nieruchomo Ukko Jukes, a charakteryzatorka muskała mu czoło białym wacikiem. W powietrzu przed Ukko przewijał się w górę tekst, a on go czytał, poruszając ustami. Przygotowywał się do wystąpienia.

Będąc dzieckiem na pokładzie „El Cavadora", Victor bał się tego imienia i nazwiska. Ilekroć obserwatorzy wykryli w pobliżu statek korporacji Juke, Victor wiedział, że oznacza to kłopoty, a czasami nawet przemoc. W wieku czterech czy pięciu lat zakładał, że Ukko sam dowodzi tymi wszystkimi statkami i wykrzykuje z mostka rozkazy jak jakiś olbrzymi, groźny wojownik. Nawet później, kiedy dowiedział się, kim jest Ukko Jukes, jego nazwisko wciąż budziło w nim poczucie zagrożenia.

A teraz stał przed nim, niższy, niż się Victor spodziewał, z rzednącymi siwymi włosami, ze starannie przystrzyżoną białą bródką i pozwalał, by jakaś kobieta nakładała mu podkład na policzki. Victor niemal się roześmiał na myśl, że kiedyś bał się tego człowieka.

Simona przyłożyła palec do ust i poprowadziła ich na koniec pomieszczenia, gdzie w ciemności stało kilkadziesiąt krzeseł. Większość była pusta, ale kilka zajmowali ludzie chyba pomagający przy programie. Victor usiadł obok Imali. Złościło go, że siedzi tu i patrzy, jak ci ludzie przejmują się czymś tak nieważnym. Bez względu na to, co to był za program, nie miał żadnego znaczenia w porównaniu z bliskim kataklizmem.

Kobieta w słuchawkach i z holoprojektorem poprosiła o ciszę, a Ukko odprawił charakteryzatorkę szorstkim machnięciem ręki. Ktoś ukryty w mroku zaczął liczyć od dziesięciu wstecz. Przy zerze w holoprzestrzeni przed Ukko pojawiło się kilkanaście uśmiechniętych uprzejmie twarzy. Ukko przywitał się ciepło, podziękował za poświęcenie mu czasu i wtedy pojawił się przed nim tekst wystąpienia.

– Nastał szczególny dzień w historii naszej organizacji. Od dwudziestu pięciu lat Juke Limited jest liderem w dziedzinie kosmicznego górnictwa i wydobywa setki milionów ton minerałów rocznie oraz przyczynia się do wzrostu wszystkich gospodarek świata. Niektórzy mogliby powiedzieć, że jeśli coś nie jest zepsute, nie należy tego naprawiać. Lecz Juke Limited nigdy nie ustanie w innowacjach. Stale szukamy sposobów na podniesienie wydajności naszego przemysłu. Dzisiaj daję wam na to dowód. Dzisiaj kosmiczny przemysł wydobywczy dokonuje rewolucyjnego skoku naprzód.

W powietrzu przed nim pojawił się portret rodziny: ojciec, matka, troje małych dzieci siedzący pod drzewem i uśmiechający się do obiektywu.

– Zadajcie sobie pytanie, który surowiec marnujemy w kosmosie najbardziej. Czy to jest tlen? Paliwo? Nie. To czas. Marnujemy miliony roboczogodzin, prowadząc poszukiwania odpowiednich asteroid. Każdy z naszych statków poszukiwawczych ma załogę liczącą od dziesięciu do dwudziestu mężczyzn i kobiet, którzy spędzają w kosmosie całe miesiące, często z niewielkimi rezultatami lub zupełnie bez nich. To się przekłada na czas niespędzony z małżonkami i dziećmi. Potrzebujemy lepszego, szybszego, tańszego sposobu określania mineralnej zawartości asteroidy. Czy jest pełna bogatych metali ferromagnetycznych? A może to bezwartościowa skała? Dzisiaj, panie i panowie, daję wam rozwiązanie. Nie będziemy już marnować czasu.

Portret rodziny zniknął. Ukko przeszedł na lewo i holoprzestrzeń wraz z reflektorami przemieściły się razem z nim. Zatrzymał się przy przedmiocie nie większym od śmigacza, przykrytym czarną płachtą. Victor nie zauważył go przedtem w ciemności. Stelaż z reflektorami wzniósł się w powietrze, a holoprzestrzeń powiększyła się pięciokrotnie, by objąć zakryty przedmiot.

– Panie i panowie, daję wam najszybszy na świecie bezzałogowy kosmiczny aparat wydobywczy… Szpicę!

Ukko zrobił zamaszysty gest ręką i czarna płachta wyfrunęła z zasięgu holoprzestrzeni, odsłaniając niewielki, biały, pozbawiony widocznych złączeń pojazd, który połyskiwał w wirujących wokół niego światłach.

– Działając jako zwiadowca, szpica będzie wyszukiwała asteroidy bogate w minerały dzięki zdalnemu sterowaniu i wstępnie zaprogramowanym torom lotu. Po wstrzeleniu pod powierzchnię

asteroidy nie większych od jabłka robotów kopiących szpica może określić przybliżoną zawartość minerałów w danej asteroidzie. Informacja ta jest następnie przekazywana do Juke Limited. Jeśli zawartość minerałów jest wystarczająco wysoka, a asteroida dostatecznie duża, zostanie tam wysłana ekipa górnicza w celu rozpoczęcia natychmiastowego wydobycia.

Słuchacze unoszący się w holoprzestrzeni zaczęli zadawać pytania, a Ukko kolejno ich twarze przesuwał naprzód i powiększał. Jakie jest źródło paliwa? Jak szybko urządzenia zostaną wprowadzone do użytku? W jaki sposób pilotuje się je zdalnie w wypadku opóźnienia czasowego między nimi i centralą? Co się stanie z załogami poszukiwawczymi? Czy ci ludzie stracą pracę?

Ukko sprawnie odpowiadał na wszystkie pytania, jakby się ich spodziewał. Nie, załogi nie stracą pracy. Drony zwiększą wykrywanie minerałów i w ten sposób zwiększą zapotrzebowanie na ekipy górnicze. Wszyscy ci pracownicy zostaną przerzuceni na statki wydobywcze.

Victor chciał zapytać, czy to nie podważa całego wywodu na temat oszczędzania czasu. W jaki sposób daje pan ludziom więcej czasu z najdroższym tatusiem, skoro przerzuca go pan ze statku na statek i przetrzymuje go w kosmosie równie długo?

Lecz ten szczegół najwyraźniej nie niepokoił żadnego z dziennikarzy. Właściwie ślinili się nad szczegółami technicznymi i potencjalnym zwiększeniem wydajności. Kiedy pytania się skończyły, wszyscy dziennikarze entuzjastycznie bili brawo. Ukko podziękował im, obiecał każdemu pakiet ze szczegółowymi specyfikacjami oraz zdjęciami do artykułów i się pożegnał.

Kiedy holoprzestrzeń zniknęła, zapaliły się światła w sali, a ekipa produkcyjna pośpieszyła do Ukko z gratulacjami. Magnat przemysłowy wziął podaną sobie butelkę z wodą i się napił, nie zważając na pochwały. Podeszła do niego Simona i szepnęła coś do ucha. Ukko znieruchomiał, spojrzał w stronę Victora. Chwilę potem Simona wypraszała ekipę za drzwi.

Gdy zostali sami, Ukko uśmiechnął się, podszedł do Prescotta i położył mu dłoń na ramieniu.

– Co za wspaniała niespodzianka, Richardzie. Nie widziałem cię od Wystawy Dalekiego Kosmosu. Mam nadzieję, że Linda ma się dobrze.

– Tak. Dziękuję, że pan zapytał.

Ukko ruszył dalej wzdłuż szpaleru. Nie patrząc na niesprawną rękę Yanyu ani nawet nie dając poznać, że w ogóle ją zauważył, zręcznie podał jej lewą rękę – Yanyu wolała się nią witać.

– I Yanyu – powiedział z czułością – jedna z naszych cenionych asystentek. Słyszę tylko dobre opinie o badaniach, które prowadzisz dla nas w obserwatorium. Oby tak dalej. W Juke Limited zawsze znajdzie się miejsce dla najlepszych i najinteligentniejszych. Albo, jak lubi ich nazywać mój zespół finansowy, wytwórców zysku.

Mrugnął i poszedł dalej.

Stanął przed Imalą i wcale nie wydawał się zaskoczony jej obecnością. Ujął delikatnie jej dłoń obiema swoimi.

– Imala Bootstamp. Kiedy ostatnio rozmawialiśmy, odrzuciłaś moją hojną propozycję zatrudnienia.

Pracując w LWH, Imala dowiedziała się, że Juke Limited płaci rewidentom pod stołem za niezwracanie uwagi na to, iż firma uchyla się od płacenia podatków i ceł. Aby wyciszyć skandal, Ukko zaproponował Imali pracę w swojej firmie, ale odmówiła, rzucając na pożegnanie kilka barwnych uwag.

– Masz na sobie kombinezon Juke Limited, Imalo. I trzymasz z moim naukowcem. Nie wiem, co myśleć. Co mogłoby zainteresować Wydział Ceł oraz dwoje z moich najlepszych astrofizyków?

– Sprawa interesująca dla wszystkich stron.

– Najwyraźniej. A powiedz mi, Imalo, jak się mają sprawy w wydziale. Żałujesz, że odrzuciłaś moją propozycję?

– Nie pracuję już w Wydziale Ceł, panie Jukes. A przynajmniej tak podejrzewam. Byłam na urlopie administracyjnym, ale po wczorajszych wydarzeniach chyba mnie zwolnili.

– Przykro mi to słyszeć. Musisz przestać doprowadzać do takich zwolnień, Imalo. Twój życiorys zmienia się w listę zmienionych stanowisk. Łowcy głów będą się denerwować.

Victor widział, że ta rozmowa sprawia Ukko przyjemność.

– Gdybym mógł ci jakoś pomóc, może dać ci referencje, daj znać Simonie. Chciałbym myśleć, że moja opinia jeszcze się trochę liczy w świecie.

– Jaka wielkoduszna propozycja. Jestem pewna, że bardzo by się pan chciał podzielić z innymi opinią na mój temat.

– Istotnie.

Stali naprzeciwko siebie jeszcze chwilę, trzymając się za ręce, zachowując pozory uprzejmości. Ukko w końcu oderwał wzrok

od Imali i zwrócił się do Victora z wyciągniętą ręką.

– A kim jest ten przystojny młodzieniec?

– Victor Delgado.

– Miło mi cię poznać, Victorze. Jesteś na mojej liście płac czy to też pożyczony strój?

– Pożyczony. Jestem wolnym górnikiem.

Ukko uniósł brew.

– Wolnym górnikiem? Interesujące. Nie ma końca niespodziankom. Jesteś członkiem klanu, o którym mogłem słyszeć?

– Mamy tylko jeden statek. Moja rodzina nie jest wystarczająco duża, by można ją było uznać za klan.

– Rozumiem.

– Pracujemy w pasie Kuipera. Nasz statek nazywa się „El Cavador".

– To hiszpańska nazwa.

– Jesteśmy Wenezuelczykami. To znaczy „Kopacz".

– Odpowiednia nazwa dla statku górniczego. Pas Kuipera, powiadasz. Znalazłeś się daleko od domu, prawda?

– Można tak powiedzieć.

– Nigdy nie byłem tak daleko w kosmosie. Szczerze mówiąc, nie ciągnie mnie tam.

– Jest tam mniej korporacji. Dlatego jest tam tak atrakcyjnie. Moja rodzina pracowała kiedyś w pasie Kuipera, ale tak często stukały nas statki Juke Limited, że nie mogliśmy już tam wyżyć. Trudno się utrzymać, panie Jukes, kiedy ktoś stale kradnie człowiekowi szyby górnicze.

Simona lekko zesztywniała. Ukko zachowywał uprzejmy wyraz twarzy.

– Przykro mi słyszeć, że twoja rodzina przeżywała ciężkie chwile. Cieszę się, że dalej w kosmosie powodzi jej się lepiej.

– Nie powiedziałem, że powodzi nam się lepiej, panie Jukes. Bo to nieprawda. Powodziło nam się lepiej, ale pański syn Lem zepchnął nas z asteroidy, uszkodził nasz statek i zabił członka naszej załogi.

– Victorze, nie po to tu przybyliśmy! – zaprotestowała Imala.

Ukko przestał się uśmiechać. Zerknął na Simonę, która wyraźnie była wstrząśnięta.

– Zapewniam pana, panie Jukes, że nie wiem, o czym ten człowiek mówi!

– Co to znaczy, do diabła? – zapytał Ukko, odwracając się nagle do Prescotta.

Prescott otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale Ukko już z powrotem odwrócił się do Victora.

– Co wiesz o moim synu? Czy to jakaś próba wymuszenia pieniędzy?

– Marcusie! – zawołała Simona.

Do sali wszedł ciężkim krokiem ochroniarz. Ukko powstrzymał go uniesioną dłonią, wbijając wzrok w Victora.

– Masz trzy sekundy na wytłumaczenie się, chłopcze, bo inaczej nie spodoba ci się kierunek, jaki przybierze ta rozmowa.

– Jaki ojciec, taki syn – powiedział Victor, zanim się choćby zastanowił nad tym, co mówi.

Ukko zarumienił się, jego rysy stwardniały.

– Wy, wysysacze skał, wszyscy jesteście tacy sami. Ciemni, napuszeni barbarzyńcy.

– To nam nie pomaga, Victorze – napomniał chłopaka Prescott.

Victor spojrzał na niego, zastanowił się, odetchnął i zwrócił się z powrotem do Ukko.

– Nie przybyliśmy rozmawiać o pańskim synu. Przybyliśmy, żeby omówić…

– Do diabła z tym, co przybyliście omówić – przerwał mu Ukko. – Skoro wspomniałeś o moim synu, wytłumacz się.

– Świetnie. Jakieś dziesięć miesięcy temu statek pańskiego syna stuknął nasz podczas pory snu, przeciął nasze cumy i odepchnął nas od skały. Jeden z jego laserów odciął zewnętrzny czujnik, który następnie uderzył mojego wuja i go zabił.

– To kłamstwo.

– To nie jest kłamstwo. Stało się to na moich oczach.

Ukko pokręcił głową.

– Mój syn nie stuknąłby was. Nie miał po temu powodu. Nie jest na misji górniczej. Jeśli choć przez chwilę sądzisz, że uda ci się wymusić na mnie pieniądze dzięki jakiejś wymyślonej opowieści…

– Mogę opisać ten statek – przerwał mu Victor. – Byłem na zewnątrz, kiedy nas stuknął. Mnie też uderzył. Bardzo dobrze mu się przyjrzałem.

– Każdy, kto ma dostęp do danych lotu przechowywanych tu, na Lunie, mógł się dowiedzieć, na jakiego typu statku przebywa mój syn. To niczego nie dowodzi. – Ukko podszedł bliżej do Victora

z kwaśnym uśmiechem. – Myślisz, że jesteś pierwszym przesiewaczem kamyków, który usiłuje mnie szantażować?

Victor ani drgnął, chociaż uświadomił sobie, jak niemądrze się zachowuje. Jeśli stracą Ukko jako sprzymierzeńca albo, co gorsza, uczynią z niego wroga, nie uda im się wysłać ostrzeżenia na czas.

– Jeśli mi pan nie wierzy – powiedział – może go pan zapytać, kiedy wróci na Lunę. Zakładając, że jeszcze żyje.

Ukko zbladł.

– Co chcesz powiedzieć? Grozisz mojemu synowi?

– Nikomu nie grożę, panie Jukes. Ale tam coś jest. To samo, co stanowi zagrożenie dla wszystkich statków w pasie Kuipera i zniszczyło wiele z nich. Dlatego tu jesteśmy. Wiem, co powoduje zakłócenia łączności. A jeśli wkrótce nie pomoże nam pan czegoś z tym zrobić, wszyscy będziemy rozpaczać. O ile przeżyjemy.

ROZDZIAŁ **5**

MAZER

Porucznik Mazer Rackham pobiegł po asfalcie do WOCS-a i wdrapał się na fotel drugiego pilota. Była trzecia nad ranem; chmury, napływające znad zachodniej części Morza Tasmana, przesłoniły księżyc i pogrążyły cały Obóz Wojskowy Papakura w niemal całkowitej ciemności. Mazer włożył hełm i włączył wyświetlacz wewnątrzhełmowy, a w tym czasie do WOCS-a wsiadło pozostałych troje członków jego jednostki i też uruchomiło swoje wyświetlacze. W powietrzu przed Mazerem pojawił się hologram WOCS-a pokryty migającymi punkcikami. Pół roku wcześniej procedura sprawdzania układów przed startem zajmowała zespołowi dziesięć minut. Teraz potrafili to zrobić w dwadzieścia siedem sekund.

Mazer wydał mruganiem odpowiednie polecenia rozpoczynające procedurę i zobaczył, że Reinhardt, pilot, robi to samo. Awionika? Sprawdzona. Szpony ładunkowe? Sprawdzone. Soczewka grawitacyjna? Sprawdzona.

WOCS – Wiatrak do Odzyskiwania Ciężkiego Sprzętu – był statkiem powietrznym latającym na niskiej wysokości, używanym do szybkiego wtargnięcia na wrogi teren, zebrania żołnierzy, pojazdów albo zaopatrzenia i jak najszybszego odwrotu. Ponieważ jego

zadaniem było przede wszystkim wywożenie, a nie bezpośrednia walka, nie był mocno uzbrojony. Jednak to, czego mu brakowało pod względem broni ciężkiego kalibru, nadrabiał opancerzeniem. W bazie stałym dowcipem było to, że czołg i śmigłowiec zrobiły w krzakach bara-bara i po dziewięciu miesiącach pojawił się WOCS.

Jednakże nazwanie go latającym czołgiem stanowiło obrazę dla jego konstrukcji. Stworzony przez Juke Limited WOCS był pierwszym na świecie statkiem powietrznym, który wykorzystywał soczewkę grawitacyjną do odbijania fal grawitacyjnych od Ziemi i kierowania ich wokół statku. Soczewka nie była soczewką mechaniczną jak ta ze szkła, która załamuje światło, lecz polem tworzonym przez punkt centralny. Poprzez zmiany kształtu pola zmieniała kierunek skupienia lub odbijania fal grawitacyjnych. W efekcie statek odczuwał mniejszą grawitację i unosił się w powietrzu. Latał bez łopat wirnika. A ponieważ soczewkowanie grawitacyjne stale się dopasowywało, by zapewnić WOCS-owi pionową pozycję nad powierzchnią Ziemi, to aby mógł on lecieć do przodu, potrzebował tylko źródła napędu, które zapewniał mu umieszczony z tyłu silnik odrzutowy.

Jednakże stałe dopasowywanie kierunku działania, skupienia i siły grawisoczewki wymagało potężnych komputerów. A komputery, potrząsane podczas walki, łatwo ulegały awariom. W ramach asekuracji, gdyby grawisoczewka zawiodła i statek zaczął spadać jak kamień, firma Juke Limited zainstalowała także wirniki. W stanie spoczynku składały się w jedną łopatę mocowaną do tyłu w osi statku jak skrzydła karalucha. Rozkładały się w czasie trzech dziesiątych sekundy, co na dużej wysokości wystarczyło aż nadto, by WOCS utrzymał się w powietrzu. Ponieważ jednak latał niemal wyłącznie na niskiej wysokości, dwadzieścia metrów nad drzewami, by uniknąć wykrycia i ognia wroga, łopaty pomocnicze nie rozkładały się wystarczająco szybko, by uratowała się załoga. Jeśli już, to tylko zmniejszyłyby siłę uderzenia. I nawet wtedy spowodowałyby tyle samo złych, co dobrych skutków. Po uderzeniu WOCS-a o ziemię moment obrotowy miotał kadłubem albo próbował go wwiercić w podłoże. Już chyba lepiej było zastosować olbrzymie spadochrony awaryjne przy wyłączonym wirniku i modlić się, żeby zadziałały poduszki powietrzne.

Mazer starał się nie myśleć o rozbiciu i skupiał się na wyznaczonym zadaniu. Rozkaz przyszedł przed pół rokiem

bezpośrednio z Ministerstwa Obrony. NZSAS – New Zealand Special Air Services, oddział sił specjalnych armii nowozelandzkiej stacjonujący w South Auckland – miał przeprowadzić na WOCS-ie drobiazgowe testy polowe i określić jego gotowość bojową.

Mazer otrzymał stanowisko dowódcy zespołu i ta nominacja go zaskoczyła. Nie przeszedł szkolenia oblatywacza, a w NZSAS służył niecałe dwa lata. O ile się orientował, była kilometrowa kolejka kandydatów, którzy mieli o wiele lepsze kwalifikacje od niego.

– Niech ci to nie uderzy do głowy – powiedział mu wtedy Reinhardt. – Kiedy pułkownik wydaje komuś takie polecenie, nie znaczy to, że go lubi. Znaczy to, że ten ktoś jest spisany na straty. Myślisz, że oni chcą, by najlepsi ludzie ginęli podczas testów polowych? Akurat. Chcą, żebyśmy wykryli usterki. Jesteśmy królikami doświadczalnymi, manekinami używanymi w testach wypadkowych. Jesteśmy na samym dole drabiny.

To był oczywiście żart. W NZSAS nie było drabin. Wszyscy byli równi. Owszem, istniały łańcuchy dowodzenia, ale nikt nie nadużywał swojego stanowiska ani nie spychał niechcianych zadań na nowicjuszy. W tej jednostce żadne zadanie nie leżało poniżej godności żadnego żołnierza. Jeśli trzeba było wykopać rów, za łopatę równie dobrze mógł chwycić pułkownik Napatu.

– Sprawdzony – powiedział Reinhardt, kończąc procedurę przed startem.

– Sprawdzony – powtórzył Mazer.

Za kokpitem Patu dwa razy uderzyła kolbą swojego karabinu w podłogę.

– Ruszajmy i miejmy to z głowy. Nie spałam od trzydziestu sześciu godzin.

Obok niej Fatani zamknął oczy i oparł głowę o zagłówek fotela.

– Wszyscy tyle nie spaliśmy, Patu. Wszyscy potrzebujemy snu na poprawienie urody.

Fatani, sto dwadzieścia kilogramów polinezyjskich mięśni, miał ponad dwa metry wzrostu. Uprząż bezpieczeństwa opasująca mu pierś była wyciągnięta do maksymalnej długości, ale i tak go cisnęła.

– Starasz się poprawić sobie urodę snem, Fatani? – zapytał Reinhardt z pełną zaskoczenia drwiną. – Chyba cierpisz na poważną bezsenność.

– Używaj sobie – odparł Fatani. – Zobaczymy, czy długo będziesz się śmiał, jak zrzucę twój chudy tyłek z tego wiadra przy prędkości

trzystu dwudziestu kilometrów na godzinę.

– Tylko byś się zabił – stwierdził Reinhardt. – Ptaszki bez pilota zwykle się rozbijają.

– Umiem pilotować równie dobrze jak ty.

– Tak, ale zanimbyś się wczołgał na fotel, już byś się rozbił.

– No to umarłbym z uśmiechem na twarzy, wiedząc, że właśnie cię załatwiłem.

– Dosyć tego testosteronu – wtrąciła się Patu. – Możemy już lecieć?

– Rzeka Błękitna, Rzeka Błękitna – powiedział Mazer w swój hełm. – Tu Zając. Jesteśmy gotowi do startu, odbiór.

– Przyjąłem, Zając – rozległ się głos przez radio. – Macie zezwolenie na start. Kod misji: lima tango cztery zero siedem fokstrot, odbiór.

Mazer wpisał kod do wyświetlacza i powtórzył sekwencję na głos. Komputer przyjął kod i otworzył plik misji; na wyświetlaczu wyskoczyły okienka z danymi. Mazer mrugnięciem wydał polecenie przekazania tych plików pozostałym uczestnikom misji. Zegar w prawym górnym rogu wyświetlacza zaczął odliczać sekundy od zera. Najwyraźniej mierzono im czas.

Reinhardt uruchomił grawisoczewkę i WOCS uniósł się o kilka metrów nad ziemię. Nawet po wielu miesiącach Mazera wciąż niepokoiła cisza całej operacji. Wylatał tysiące godzin w tradycyjnych śmigłowcach, przyzwyczaił się do ryku silników i dudnienia łopat wirnika. To, że nie słyszał nic prócz niemal niezauważalnego pomruku komputerów, wydawało mu się nienaturalne.

A potem Reinhardt włączył tylny silnik i kiedy WOCS wystrzelił do przodu nad asfaltem i pomknął na północ, Mazer poczuł aż nadto znajome mdłości. Odsunął niemiłe wrażenia na bok i skupił się na informacjach.

– Współrzędne celu: szerokość minus trzydzieści siedem stopni, zero minut, dwadzieścia jeden przecinek siedem siedem dwa dwa sekundy. Długość sto siedemdziesiąt pięć stopni, dziesięć minut, trzydzieści siedem przecinek pięć jeden sześć dwa sekundy.

– Współrzędne potwierdzone – powiedziała Patu.

– Zidentyfikować cel – odezwał się Fatani.

Ponieważ kierowali się w góry Hunua i zbliżali się do linii drzew, WOCS uniósł się na kolejne piętnaście metrów. Lotnisko zostało za

nimi. Mazer odruchowo położył rękę na tablicy przyrządów, żeby nie stracić równowagi.

– Cel: Jadowity AT-90. Dwie osoby załogi. Obie poważnie ranne.

Jadowity to był przysadzisty czołg szturmowy o sile ognia wystarczającej do zrównania z ziemią niedużego miasta. Był także idiotycznie ciężki i trudny do przenoszenia ze względu na szeroki, płaski kształt.

– Na kogo wypada kolej grania sanitariusza? – zapytał Fatani.

– Na ciebie – odpowiedziała Patu. – I nie proś, żebym cię zastąpiła. Zabandażowałam dwie ostatnie porcje pacjentów.

– Lepiej, żeby nie krwawili – rzekł Fatani. – Nie znoszę takich.

Do testów polowych i ćwiczeń wojennych takich jak to NZSAS używał w charakterze ofiar gumowanych manekinów. Mazer i jego zespół mieli traktować je jak prawdziwych żołnierzy i udzielić im pierwszej pomocy. Krwawiące manekiny były najgorsze. Pełne czerwonej gęstej farby, dodawały dobre dwie do trzech godzin do czasu potrzebnego na sprzątanie i wszystkich wprawiały w zły nastrój.

Czołg Jadowity też miał być nieprawdziwy. Dowództwo pewnie podstawiło wypalony autobus albo wyciągniętego ze złomowiska odpowiednio obciążonego quada. Pułkownik nie posłużyłby się prawdziwym czołgiem, żeby nie ryzykować jego uszkodzenia.

– O co chodzi, panie poruczniku? – zapytał Reinhardt. – Ta operacja to egzamin końcowy? Po co ta cała tajemnica?

– Nie mam pojęcia – odparł Mazer. – Pułkownik powiedział, że mamy być gotowi do lotu o trzeciej zero zero i że wtedy dostaniemy rozkazy.

– Dziwne – odezwał się Fatani. – Normalnie to my planujemy testy polowe. A teraz nagle pułkownik robi to za nas. Żadnej odprawy. Żadnego przygotowania. Tylko zapiąć pasy i czekać na rozkazy.

– Tak wygląda walka – zauważyła Patu. – Dla mnie to ma sens. Grube ryby chcą wiedzieć, jak radzi sobie WOCS, kiedy nie kontrolujemy wszystkich zmiennych. Zastanów się. Zanim przeprowadzamy test, określamy wszystkie warunki. Dokąd lecieć, jaka jest pogoda, gdzie znajduje się nieprzyjaciel, jaki ma potencjał. A czy zespół będzie miał te informacje podczas prawdziwej walki?

– Piloci przynajmniej by wiedzieli, jaka jest pogoda – rzekł Reinhardt. – Tego najpierw się człowiek uczy w szkole pilotażu.

Kiedy są włączone wycieraczki, to znaczy, że pada.

– Jesteś przezabawny – stwierdziła Patu.

– Ja tylko chcę powiedzieć, że jeśli to egzamin, miło by było wiedzieć o tym zawczasu – powiedział Fatani.

– To musi być egzamin – rzekła Patu. – Dlatego nie pozwolili nam na sen. Chcą się dowiedzieć, czy wyczerpani piloci lecący z ograniczoną ilością informacji są w stanie wykonać misję przy użyciu WOCS-a.

– Jeśli tak jest naprawdę, to testują nie tylko WOCS-a, ale i nas – burknął Fatani.

– To nie ma znaczenia – odezwał się Mazer. – Robimy to co zawsze. Zgarniamy cel i przywozimy go do domu.

Tajna natura operacji nie niepokoiła Mazera. Był przyzwyczajony do sporadycznych testów psychologicznych; to szło w parze ze służbą w siłach specjalnych. Ktoś zawsze doprowadzał żołnierzy do stanu wyczerpania, a potem odmawiał im wody i snu przez kolejne dwadzieścia cztery godziny. Albo mieszali im w głowach w jakiś inny sposób: izolowali ich lub zostawiali na środku pustkowia z zawiązanymi oczami i kazali wracać do bazy, kierując się innymi zmysłami. W porównaniu z takimi testami ta niespodziewana misja w WOCS-ie to była bułka z masłem.

Na wyświetlaczu Mazera pojawiła się wiadomość.

– Teren wroga za trzy przecinek cztery kilometra – oznajmił.

Sekundę później z prawej strony błysnęło i huknęło, bo w odległości niecałych dziesięciu metrów od kokpitu wybuchła flara. W grach wojennych flary udawały pociski ziemia-powietrze. Były wyłącznie na pokaz i nie siały odłamkami, ale i tak zaskoczyły wszystkich na pokładzie.

Reinhardt pchnął dźwignię do przodu, posyłając WOCS-a w dół, a żołądki załogi do góry.

– Hej! – krzyknęła Patu, rzucona na oparcie fotela. – Uważaj z tym opadaniem.

Mazer złapał się uchwytu przy oknie z prawej strony i usiłował się skupić na danych widocznych na wyświetlaczu wewnątrzhełmowym.

– Powiedziałbym, że mamy złe informacje – rzekł Reinhardt. – Już jesteśmy na terenie wroga.

Nocne niebo rozświetliły dwa kolejne wybuchy, po jednym z każdej strony kokpitu.

– Fatani! – zawołał Mazer.

– Idę, idę – odparł Fatani.

Część podłogi pod Fatanim odsunęła się, ukazując kopułkę strzelniczą pod spodem WOCS-a. Fatani poruszył joystickiem przy fotelu i razem z nim opuścił się do kopułki. W dole mknęły gęsto zalesione góry Hunua z czubkami drzew ledwie widocznymi w ciemności. Dzięki delikatnym manewrom joystickiem górny hak fotela wszedł do oprawy z krętlikiem; Fatani zawisł w powietrzu, miał teraz możliwość obracania się w miejscu na wszystkie strony. Niewielkie okienko na wyświetlaczu Mazera pokazywało punkt widzenia Fataniego. Po chwili Mazer zobaczył, jak kolba działka laserowego sprzęga się z uprzężą żołnierza.

– Sprzęgnięty! – krzyknął Fatani.

– Namierzam cele – powiedział Mazer.

Wszędzie wokół nich pojawiały się atrapy pocisków, ale Fatani zdejmował je z nieba, zanim zdążyły wybuchnąć.

– Grube ryby wydają poważne pieniądze na tę operację – stwierdził Reinhardt.

Mazer pomyślał o tym samym. Góry od dawna stanowiły plac zabaw SAS, ale Mazer nigdy nie słyszał, żeby jakiś zespół dostał się pod taki ostrzał.

Z północnego wschodu pojawił się łuk pocisku smugowego. Jaśniejące kulki z farbą śmignęły obok przedniej szyby, ledwo mijając WOCS-a. Fatani trafił ich źródło pół sekundy później, unieszkodliwiając naziemną broń z działka laserowego. Mazer ujrzał na swoim wyświetlaczu kolejne trzy działka, tuż zanim wystrzeliły z nich w górę pociski. Przekazał je mrugnięciem Fataniemu jako cele; fotel w kopułce strzelniczej obrócił się z niesamowitą prędkością i Fatani oddał kilka strzałów. Reinhardt opuścił się niżej i lecąc tylko kilka metrów nad linią drzew, skręcał w prawo i w lewo, żeby uniknąć pocisków smugowych.

– Nie zapominajmy, że ja tu jestem na dole – powiedział Fatani. – Jeśli zejdziesz choć trochę niżej, czubki tych sosen ściągną mi buty.

– Odpręż się – odparł pilot. – Jeśli uderzymy o drzewo, zmienisz się w galaretkę i nic nie poczujesz.

Jeszcze przez trzy kilometry opadali w dół, manewrowali i zestrzeliwali pociski smugowe. Patu klęła na Reinhardta, że tak gwałtownie nimi miota. Mazer zaczynał się z nią zgadzać; tabletki na chorobę lokomocyjną miały ograniczone działanie.

Wtedy WOCS przeleciał nad szczytem i wszyscy zobaczyli – w pozbawionej drzew dolinie – nie jakiś pojazd ze złomowiska, udający czołg Jadowity, ale prawdziwego jadowitego. Co dziwniejsze, był mocno ostrzeliwany z leżącej na północy linii drzew.

Patu i Fatani zareagowali bez wahania, dając mu osłonę ogniową. Lasery siekące po drzewach były nieszkodliwe, ale wszyscy traktowali to ćwiczenie poważnie, jakby to była prawdziwa walka.

– Umieść nas nad czołgiem – polecił Mazer.

Reinhardt wykonał rozkaz mimo ognia zaporowego; kulki trafiały w pancerze WOCS-a i odbijały się od niego rykoszetem. Ponieważ grawisoczewka nie wywierała żadnego wpływu na nic, co znajdowało się pod WOCS-em, jedynie na przedmioty nad nim, czołg ani drgnął. Po obu stronach kopułki z podbrzusza śmigłowca wysunęły się grube zderzaki chroniące ją przed zgnieceniem przez ładunek.

– Zderzaki wysunięte – zameldował Fatani.

– Uruchamiam szpony ładunkowe – powiedział Mazer.

Wydał polecenie mrugnięciem; z obu stron WOCS-a wysunęły się na zewnątrz i rozłożyły potężne szpony. Z każdej strony było ich trzy – zakrzywione kawały metalu z grubą gumową wyściółką na krawędziach. Mazer zanurzył ręce w holoprzestrzeni wygenerowanej przed nim nad tablicą przyrządów. Szpony reagowały na gesty jego dłoni; opadły w dół, objęły czołg i poderwały go z ziemi. Reinhardt wzmocnił działanie soczewek i czołg nagle znalazł się w powietrzu.

Ogień wroga już ustał, a WOCS skręcił ostro na południe i skierował się do bazy, ale Patu nadal stawiała osłonę ogniową.

Fatani wraz ze swoim fotelem wrócił na pierwotne miejsce. Przypiął do kamizelki uprząż bezpieczeństwa oraz linę od wciągarki i wypiął się z fotela. Przytrzymując się ściany, wydał przyciskiem polecenie wciągnięcia kopułki. Jej szklane elementy rozdzieliły się i złożyły, zostawiając pośrodku podłogi ziejącą dziurę. Dwa metry niżej znajdował się właz sufitowy czołgu. Fatani odwrócił się do Patu i wrzasnął, żeby przekrzyczeć ryk wiatru:

– Na pewno nie chcesz się zająć rannymi?!

– Na pewno. Nie chciałabym cię pozbawić możliwości popisania się twoimi znakomitymi umiejętnościami medycznymi.

Fatani westchnął.

– Lepiej, żeby nie krwawili.

Stanął nad dziurą i za pomocą wciągarki opuścił się na dół.

Dzięki kamerze w hełmie Fataniego, która przekazywała obraz do wyświetlacza Mazera, porucznik widział, jak Fatani otwiera właz i opuszcza się do czołgu. W środku nie było krwawiących manekinów. W ogóle nie było manekinów, tylko dwaj żywi ludzie, obaj w kaskach ochronnych i grubych ochraniaczach. Mazer nie znał żadnego z nich. Jeden miał na sobie garnitur, a drugi płowy, nieznany Mazerowi mundur.

– Sierżant Fatani – odezwał się ten w garniturze. – Miło pana widzieć. Właśnie mówiłem kapitanowi Shenzu, że jest pan najlepszym artylerzystą w NZSAS.

O Fatanim dobrze świadczyło, że nie zareagował pełnym oszołomienia milczeniem. Takie są skutki rygorystycznego szkolenia i trzeźwego myślenia.

– Czy któryś z panów jest ranny? – zapytał.

Mężczyzna w garniturze roześmiał się i machnął ręką.

– Nie, nie. Nic nam nie jest. Poprosiliśmy pułkownika Napatu o podanie tej informacji, żeby ściągnąć tu pana na dół. Możemy już wyjść? Kapitan Shenzu bardzo chciałby obejrzeć kokpit.

– Oczywiście – powiedział Fatani, jakby to była najbardziej naturalna prośba na świecie.

W niecałą minutę zapiął na piersi każdego z mężczyzn pasy nośne. Następnie ostrożnie włączył wciągarkę i uniósł ich do wnętrza WOCS-a. Mazer wstał już ze swojego fotela i pomagał gościom wejść do kabiny.

– Porucznik Mazer Rackham – odezwał się człowiek w garniturze. – To zaszczyt pana poznać. Mam nadzieję, że nasz mały Herkules spełnił pańskie oczekiwania.

Akcent miał europejski, ale Mazer nie umiał umiejscowić go dokładniej.

– Zdaje się, że zna pan nas wszystkich, sir. My jednak nie mamy zaszczytu znać pana.

– Ach, gdzie moje maniery? Heinrich Burnzel. Dział sprzedaży globalnej. Juke Limited.

Handlowiec. To się robiło z każdą chwilą ciekawsze.

– A to jest kapitan Shenzu z Ludowej Armii Wyzwoleńczej – ciągnął Burnzel. – Bardzo szacowny oficer chińskiej armii.

Shenzu skłonił się lekko i ujął dłoń Mazera.

– Jestem pod wielkim wrażeniem pańskiego latania, panie poruczniku. Obserwowaliśmy całe podejście na holoprojektorze pana

Burnzela.

Jego angielski był doskonały, nie miał śladu obcego akcentu.

Burnzel uniósł swój holoprojektor z szerokim uśmiechem, jakby chciał potwierdzić komplement.

– Naszym pilotem jest porucznik Reinhardt – rzekł Mazer – ale nie omieszkam przekazać mu pańskiej pochwały. Zechcą panowie usiąść? Uprząż bezpieczeństwa jest przy fotelach. Powinniśmy mieć gładki lot, ale bylibyśmy wdzięczni, gdyby panowie chcieli się na wszelki wypadek przypiąć.

– Oczywiście – powiedział Burnzel z uśmiechem wciąż jak przyklejonym do twarzy. Usiadł w fotelu i zaczął zapinać pasy. – Mieliśmy także nadzieję, że mógłby pan zademonstrować kapitanowi Shenzu, jak szybko potrafi latać WOCS z ciężkim ładunkiem.

– Słucham?

– No, wie pan. Niech pan zrobi pokaz. Proszę przez minutę pośmigać po dolinie. Proszę zrobić na nas wrażenie. Tylko bez pętli – dodał ze śmiechem. – Kiedy znajdziemy się do góry nogami, stracimy antygrawitację.

Śmiał się, jakby to był najśmieszniejszy dowcip świata.

Fatani zdążył już wrócić na pokład. Wymienił z Mazerem spojrzenia i wzruszył ramionami. Mazer przycisnął guzik zamykający otwór w podłodze i wrócił na fotel drugiego pilota.

– Może mi powiesz, o co chodzi? – zapytał półgłosem Reinhardt.

– Staram się dowiedzieć – odparł Mazer i z powrotem opuścił osłonę hełmu. – Rzeka Błękitna, Rzeka Błękitna. Tu Zając. Cel bezpieczny i w powietrzu, odbiór.

Tym razem przez radio odezwał się pułkownik Napatu.

– Zając, tu Rzeka Błękitna. Zabezpieczyliście pasażerów?

– Tak. Zostali przeniesieni i siedzą w kabinie przypięci w fotelach, sir.

– Dobrze. Nie rzucajcie nimi. Przywieźcie ich spokojnie i powoli.

– Proszą, żebym leciał ostro, sir. Mam im zrobić pokaz.

– Zabraniam. Lećcie powoli. Nie będziemy się kłaniać jakiemuś korporacyjnemu osłu bardziej, niż musimy.

* * *

– Pokaz handlowy? – zapytał Reinhardt. Razem z Patu, Fatanim i Mazerem stali w gabinecie Napatu, nadal w kombinezonach

lotniczych. – Ta misja to był pokaz handlowy?

– Chińczycy są zainteresowani WOCS-em – odparł pułkownik. – Przed zawarciem umowy z Juke Limited chcieli go zobaczyć w akcji.

– Od kiedy SAS bierze Chińczyków na jazdy próbne? – zapytał Reinhardt. – Bez urazy, ale nie mieliśmy lekko. Same flary, owszem, lecz my wszyscy traktowaliśmy tę operację dość poważnie. Leciałem jak trzmiel, unikając ostrzału. Mogliśmy zaryć tym ptaszkiem w zbocze góry. I po co? Żeby się popisać przed chińskim kapitanem i jakimś garniturem z działu handlowego, który stara się wykonać miesięczną normę? Proszę wybaczyć, ale ta cała sprawa świadczy o niewiarygodnym lekceważeniu nas.

Napatu odchylił się na oparcie fotela, złożył dłonie na brzuchu i przekrzywił głowę na bok.

– Skończył pan, panie poruczniku?

Reinhardt wyprostował się, cofnął o krok z płonącymi policzkami i założył ręce na plecy w postawie „spocznij".

– Tak, sir. Proszę o wybaczenie, że mówiłem szczerze, sir.

– Ponieważ uważam pańskie rozdrażnienie za uzasadnione, wybaczę tę szczerość. Przypomnę jednak panu uprzejmie, że oficer SAS trzyma język za zębami tak dobrze, jak trzyma karabin, zwłaszcza jeśli się zwraca do oficera starszego rangą.

– Tak, sir. Proszę o wybaczenie, sir.

Pułkownik Napatu westchnął i przez chwilę kręcił się na fotelu.

– Siadajcie wszyscy. Nie lubię, jak wisicie mi nad biurkiem.

Mazer i pozostali usiedli na fotelach i kanapie.

Pułkownik oparł łokcie o blat biurka i potarł oczy; najwyraźniej brakowało mu snu tak samo jak innym.

– Bardzo chciałbym, byście wszyscy wierzyli, że SAS jest odporny na biurokratyczne gówno, które tak zadręcza resztę wojska – powiedział. – I bardzo chciałbym, byście wierzyli, że jako dowódca tej jednostki mam dość władzy, by powiedzieć Departamentowi Obrony, gdzie sobie może wsadzić te durne rozkazy, którymi nas częstuje. Ponieważ jednak wszyscy wykazaliście się w testach wysoką inteligencją, wiecie, że oba te zdania są fałszywe.

Usiadł wygodniej.

– Jesteśmy częścią nowozelandzkiego wojska i kiedy otrzymujemy rozkazy, to je wykonujemy. To nasz obowiązek. Nie kwestionujemy ich. Nie wygłaszamy zastrzeżeń. Słuchamy. Ta sprawa z WOCS-em przyszła prosto od generała Greshama. Dwa dni temu

zadzwonił do mnie osobiście. Rozkazy były jasne. Zrobić temu chińskiemu kapitanowi i jego handlowcowi z Juke prawdziwy pokaz. Naturalne założenie było takie, że kazałbym wam zrobić WOCS-em kilka kółek wokół lądowiska. Nie, powiedział generał. Miałem zorganizować pełną operację odzyskania ciężkiego sprzętu. Dużo hałasu, dużo brawurowego latania, a dwaj goście honorowi mieli czekać w jadowitym. To była ich wyraźna prośba. Nie chcieli obserwować. Chcieli doświadczyć.

Westchnął i znów potarł oczy.

– Jak moglibyście się spodziewać, wyraziłem niepokój o bezpieczeństwo i odpowiedzialność. Ten kraj nie potrzebuje śmierci chińskiego oficera będącego pod naszą opieką. Dla sieci informacyjnych to by była fantastyczna wiadomość. Ale moje zastrzeżenia zostały zignorowane. Miałem dokładnie wykonywać rozkazy. Nie miałem też poinformować zespołu ratunkowego o wyjątkowości tej misji. Mimo że się zgadzam, że nie mieliście lekko, nie niepokoiłem się ani przez chwilę. Reinhardt potrafi robić kółka wokół każdego innego pilota w tej jednostce.

– Dziękuję, sir.

– Kadzi wam, żebyście się na niego nie wściekali – odezwała się Patu.

– Ze wstydem przyznaję, że to działa – powiedział Reinhardt.

– O co tu chodziło, sir? – zapytał Mazer. – Dlaczego SAS miałyby brać udział w handlu z Chińczykami? Jeśli ci z Juke chcieli popisać się WOCS-em, to czemu nie zrobili tego u siebie? Nasz WOCS nie jest jedynym, jaki istnieje. Po co sprowadzać Chińczyków tutaj?

– Jest kilka powodów. Po pierwsze, piloci Juke nie są ani odrobinę tak dobrzy jak pan. Nie kadzę, to jest po prostu fakt. W Juke wiedzieli, że tutaj prezentacja będzie o wiele bardziej dramatyczna. Po drugie, Chińczycy chcieli zobaczyć żołnierzy w akcji. Bo żołnierze będą latać ich maszynami, a tak się składa, że mają mnóstwo szacunku do SAS. Dlatego też chcieli, żebyście wszyscy byli niewyspani. Według nich pozbawiony snu żołnierz SAS jest wart dobrze wypoczętego żołnierza chińskiego.

– Bynajmniej – mruknął Fatani.

– Przy takich porównaniach jest pan wyjątkiem – rzekł pułkownik Napatu. – Pan jest równy czterem chińskim żołnierzom. I nie mam na myśli samej masy.

– Rozumiem, dlaczego Chińczykom mogłoby się podobać takie załatwienie sprawy – powiedział Mazer – ale dlaczego miałby się na to zgodzić Departament Obrony? Po co oddawać przysługę Chińczykom? Sądziłem, że mieliśmy nadzieję dostać ten sprzęt na wyłączność.

– Zadałem te same pytania. Po pierwsze, nawet gdybyśmy chcieli, nie moglibyśmy zatrzymać WOCS-a dla siebie. Juke sprzedaje tę technologię każdemu, kto zapłaci. Wojsko amerykańskie ma wystarczającą siłę, by stawiać takie warunki swoim kontrahentom, my nie. My jesteśmy płotkami. W najlepszym razie kupilibyśmy kilkanaście WOCS-ów, od czego linia produkcyjna Juke Limited nawet by się nie spociła. Chiny to wielki klient. Ci z Juke zostawiliby nas na lodzie, gdyby przez to mogli dobić targu z Chińczykami. Co chcę powiedzieć? Nigdy nie mieliśmy szansy na wyłączność. A co do pytania, dlaczego zgodziliśmy się na ten pokaz, to okazuje się, że SAS dostaną w zamian kilka WOCS-ów za darmo.

Fatani gwizdnął.

– Za darmo? Biorąc pod uwagę, że cena jednego WOCS-a przerasta PKB większości krajów Trzeciego Świata, powiedziałbym, że zrobiliśmy dobry interes. Nieźle jak na godzinę pracy.

Napatu zmarszczył brwi.

– Cóż, i tu dochodzimy do niemiłej części rozmowy. Chińczycy nie poprosili o jedną godzinę pracy.

– Pańska mina każe mi się domyślać, że nie spodoba mi się to, co teraz pan powie – rzekł Reinhardt.

Mazer pomyślał to samo, ale milczał.

– Podstawowym powodem zrobienia tego pokazu dla Chińczyków było to, że na równi z WOCS-em testowali was – powiedział Napatu.

– Mówiłem – burknął Fatani.

– Testowali nas? Pod jakim względem? – zapytała Patu.

Odpowiedział Mazer.

– Chińczycy nie tylko chcą kupić flotę WOCS-ów, ale chcą, żeby ich pilotów szkoliła doświadczona załoga.

– Proszę powiedzieć, że to żart – odezwał się Reinhardt. – Mamy niańczyć gromadę chińskich pilotów?

– Ilu ich nam przysyłają? – zapytał Fatani.

– Ani jednego – odparł Napatu. – Chińczycy tu nie przyjadą. To wy pojedziecie do nich. Prowincja Guangdong. Południowo-wschodnie Chiny. Sześciomiesięczna operacja.

Nikt się nie odzywał. Nie było nic niezwykłego w tym, że jakiś zespół SAS otrzymał rozkazy przeprowadzenia wspólnego szkolenia bojowego, czyli WSB, ale nie oznaczało to, że wszystkim się ten pomysł podoba.

Wyczuwając rozczarowanie swoich podwładnych, Mazer powiedział:

– To Chiny, Reinhardt. Mają suszarki do włosów i jedwabne prześcieradła. Chyba przeżyjesz.

Napatu wziął z biurka sześcian z danymi i podał go Mazerowi.

– Kapitanie Rackham, będzie pan nadal dowodził zespołem. Cele waszej misji znajdują się w sześcianie. Przedstawi je pan pozostałym w samolocie. Wylatujecie o dziewiątej zero zero.

Mazer wziął sześcian.

– Kapitanie, sir? – spytał zaskoczony.

– Właśnie dostał pan awans. Nie pozwolę, by jakiś chiński oficer myślał, że ma wyższy stopień od wszystkich w zespole.

* * *

Kiedy Mazer wyszedł z gabinetu pułkownika Napatu i ruszył przez teren bazy do parkingu, była szósta rano. Trzy godziny. Napatu dał im trzy godziny na załatwienie wszelkich spraw przed wejściem na pokład samolotu, którym mieli polecieć na półroczną misję.

Dlatego z Kim nigdy nic nie wyjdzie, powiedział sobie. Dlatego nawet zastanawianie się nad małżeństwem jest idiotyczne. Żaden związek nie może funkcjonować w taki sposób.

Nigdy nie rozmawiali o małżeństwie, ale Mazer wiedział, że Kim myśli o nim tak samo intensywnie jak on o niej. To było wyraźnie widać po niewielkich oznakach: uśmiechała się do każdego dziecka mijanego na targu, mimochodem wspominała o swoich celach na przyszłość, że na przykład kiedy się ustatkuje, to chce mieć w domu okno wykuszowe albo że będzie uprawiała własne warzywa. To było jej wyrażenie: „Kiedy się ustatkuję". To nigdy nie było „Kiedy się ustatkujemy" czy „Kiedy się pobierzemy", ale podtekst zawsze dawał się wyczuć. Sugestia była oczywista. Kim zanurzała stopę w wody małżeństwa i patrzyła, jakie powstają od tego fale.

Mazer zawsze odpowiadał tak, jakby nie wyczuwał żadnego podtekstu. Rozmawiali, nic więcej. Ależ tak, okno wykuszowe byłoby śliczne. Ach, nie, ogrody to zawracanie głowy; trzeba je pielić,

opryskiwać rośliny i kopać ziemię. To zajmuje czas, a czas to pieniądz. Ja sobie warzywa będę kupował, wielkie dzięki.

To była ich gra, gra zgodności. A im dłużej w nią grali, tym większego Mazer nabierał przekonania, że bardziej pasującej do niego kobiety nie znajdzie.

Zbudził oficera dyżurnego na parkingu i wziął samochód. Z Papakury do East Tamaki jechało się krótko i Mazer zaparkował naprzeciwko Zakładów Medicus za dziesięć siódma. Wiedział, że Kim będzie już w biurze; zawsze przychodziła dużo wcześniej; nie lubiła się śpieszyć.

Trzy razy zastukał w nakładkę na nadgarstku, a potem spojrzał w okno na czwartym piętrze. Pojawiła się w nim chwilę później, uśmiechnęła się i pomachała mu ręką, żeby przyszedł na górę. Mazer podszedł do drzwi frontowych, zaczekał, aż w skrzynce pojawi się holo, i wstukał sekwencję, której Kim go nauczyła. Drzwi się otworzyły i przeszedł przez pusty hol do wind.

Spotkała go na czwartym piętrze i pocałowała delikatnie w policzek. Wyglądała pięknie z włosami zebranymi w koński ogon, żeby nie spadały jej na twarz podczas całodziennej pracy nad hologramami.

– Jaka miła niespodzianka, panie poruczniku – powiedziała.

Jej amerykański akcent zawsze go rozczulał.

– Teraz jestem kapitanem.

– Od kiedy?

– Od tego ranka.

Uniosła brew.

– Naprawdę? Z pensją kapitana?

– Tak zakładam. Nie było czasu, by to omówić. A co, potrzebujesz pożyczki?

Uśmiechnęła się, chociaż widział, że ten awans ją zaniepokoił. Niespodziewany poranny awans to zły znak. Mógł oznaczać, że gdzieś go wysyłają.

Czekał, aż zada pytanie, ale ona przekrzywiła głowę i powiedziała:

– Wyglądasz na zmęczonego.

– Nie spałem od blisko czterdziestu godzin.

– A mimo to przyszedłeś, żeby mi powiedzieć o awansie, zanim położysz się spać. Czuję się wyróżniona.

– Nie przyszedłem mówić o awansie.

Wyczuła złe wiadomości i uniosła dłoń.

– Zanim wszystko mi opowiesz, zjedzmy coś. W sali konferencyjnej są ciastka.

Wzięła go pod rękę i poprowadziła korytarzem. Wszystkie mijane biura były ciemne, puste. Dotarli do pomieszczenia ze szklanymi panelami, długim stołem i szerokim marmurowym blatem pod przeciwległą ścianą, zapełnionym świeżymi owocami, ciastkami i samochłodzącymi pojemnikami z sokiem i mlekiem. Kim podała Mazerowi talerz, wzięła talerz dla siebie i zaczęła nakładać jedzenie.

– To wczorajsze ciastka? – zapytał Mazer. Podniósł babeczkę z jabłkiem i ją powąchał.

– Dzisiejsze. Człowiek z firmy cateringowej przyniósł je wcześniej. Ale dlaczego się tym przejmujesz? Masz umieć wyżywić się w terenie robakami i pieczonymi myszami. Jednodniowe ciastka to luksus.

Nie miał ochoty na jedzenie, ale położył babeczkę na talerz i poszedł z Kim do jej biura.

W powietrzu nad holobiurkiem Kim unosił się hologram leżącego na plecach ludzkiego szkieletu naturalnej wielkości. Otaczały go okna z danymi i odręczne notatki Kim, sporządzone jej nieczytelnymi znakami stenograficznymi.

– Na śniadaniu będą trzy osoby – zauważył Mazer.

Kim przeciągnęła ręką przez hologram i szkielet zniknął.

– Przepraszam. Nie jest to obrazek, jaki chce się widzieć przy jedzeniu.

Nad biurkiem Kim zawsze coś się unosiło. Jeśli nie kości, to mięśnie albo układ krążenia, albo jakiś przekrój uszkodzonej tkanki. Studiowała medycynę na uniwersytecie Johna Hopkinsa w USA, a staż odbyła w Baltimore na ostrym dyżurze szpitala słynącego z przyjmowania ofiar brutalnych wypadków. Mimo że była tam jednym z najmłodszych lekarzy, zdobyła sławę osoby o zimnej krwi, szybko radzącej sobie w najbardziej przerażających sytuacjach. Uhonorowało ją kilka stowarzyszeń medycznych i te wyrazy uznania zwróciły na nią uwagę szefów Medicusa, którzy zaproponowali jej stanowisko w biurze korporacji w Nowej Zelandii i obiecali, że w roli konsultantki medycznej pomoże o wiele większej liczbie ludzi.

Firma wytwarzała urządzenie Med-Asys, holoprojektor mający pomagać żołnierzom opatrywać rany otrzymane w walce. Mógł on robić wszystko: badał tomograficznie kości, analizował krew, udzielał lekcji operowania, a nawet podawał leki. Zupełnie jakby się miało w kieszeni lekarza, tylko że całą robotę trzeba było wykonać samemu.

Początkowo rozwój urządzenia finansowało amerykańskie wojsko i teraz używało go powszechnie we wszystkich rodzajach broni. Inne kraje też zaczęły się nim posługiwać. Model dla armii nowozelandzkiej był już na ukończeniu.

– Czy to jest ta nowa wersja dla kiwi, nad którą pracujesz? – zapytał Mazer, wskazując med-asysa leżącego na rogu jej biurka.

– Najnowszy prototyp – odparła Kim i podała mu go. – Powiedz mi, co sądzisz o głosie.

Włączył urządzenie, przeklikał się przez kilka pierwszych poziomów poleceń i umieścił je sobie nad nogą. Na ekranie pojawił się zielony tomogram jego kości udowej, a z głośnika popłynął kobiecy głos z nowozelandzkim akcentem: „Kość udowa. Nie wykryto urazów".

– Dlaczego to nie twój głos? – zapytał Mazer.

Głos Kim wykorzystano w wersji amerykańskiej. Departament Obrony poprosił, żeby urządzenie przemawiało głosem prawdziwego lekarza, i w Medicusie uznali Kim za idealną kandydatkę. Pracowała już dla firmy, była Amerykanką i miała wspaniałe podejście do pacjenta. Kim zgodziła się pod warunkiem, że przed podjęciem ostatecznej decyzji Medicus przetestuje oprócz niej kilka innych głosów. Firma się zgodziła, nagrała próbki tekstów czytanych przez Kim i inne lekarki, a następnie sprowadzili kilku żołnierzy z NZSAS jako grupę docelową. Wśród nich znajdował się Mazer i najlepiej spośród wszystkich argumentował za tym, że urządzenie powinno przemawiać głosem Kim: brzmi on jak głos lekarki; brzmi on tak, jakby Kim wiedziała, o czym mówi; żołnierze będą zdenerwowani, przestraszeni i w ogromnym stresie emocjonalnym – taki głos ich uspokoi; uwierzą każdemu jej słowu.

Kierownictwo firmy było zachwycone i potem dołożyło wszelkich starań, żeby przedstawić Kim Mazera jako człowieka, który stanowi dowód na to, że ma ona jeszcze dużo do nagrania. Krzywiła się żartobliwie i obwiniała go za przysporzenie jej pracy, a wcale na jej brak nie narzekała. Przeprosił ją wtedy i w chwili nietypowej dla niego spontaniczności, która najbardziej zaskoczyła jego samego, zaprosił Kim na kolację, żeby jej to jakoś wynagrodzić.

Wydawało się, że od tamtej pory minęło bardzo dużo czasu.

Mazer usiadł na kanapie naprzeciwko biurka. Kim zdjęła buty, usiadła obok niego i położyła mu nogi na kolanach.

– Wersja dla kiwi nie może mówić moim głosem – rzekła. – Nowozelandzcy żołnierze chcą słyszeć Nowozelandkę.

– Ja nie. Ja wolę słyszeć ciebie.

Uśmiechnęła się.

– To kwestia jasności. Amerykanie mają inną wymowę. Chcemy uniknąć sytuacji, w której jakiś żołnierz poda zły lek albo wykona niewłaściwą czynność, bo źle zrozumiał wskazówki.

– Słusznie – zgodził się Mazer. – Ale tak naprawdę nie może to być twój głos, bo jest taki urzekający. Jesteś jak syrena z Odysei. Żołnierze są tak oczarowani melodyjnością twojego głosu, że się rozmarzają i kompletnie zapominają o koledze, który się przed nimi wykrwawia.

Uśmiechnęła się.

– Tak. To byłaby tragedia.

Nie ma co żartować, bo będzie coraz trudniej, pomyślał Mazer.

– Wyjeżdżam do Chin – powiedział. – Na pół roku.

Jakby jej wymierzył policzek. Wbiła w niego wzrok.

– Dlaczego na tak długo?

– Ćwiczenia z Chińczykami. Będziemy ich szkolić na nowym sprzęcie.

Nie mógł mówić o WOCS-ie. Te informacje wciąż były tajne.

– To nie jest działanie na terenie wroga?

– Nie. Tylko szkolenie – zapewnił ją.

– To też może być niebezpieczne.

– Będzie nudne.

– Jak często będziesz przyjeżdżał?

– Wcale. Sześć miesięcy bez przerwy. Żadnego urlopu.

Spojrzała na swoje na wpół zjedzone ciastko i przesunęła je na talerzyku.

– Rozumiem. Kiedy wyjeżdżasz?

Sprawdził czas na nakładce na nadgarstku.

– Za niecałe dwie godziny. Sam się dowiedziałem przed godziną.

Kim ze złością odstawiła talerzyk.

– Tyle czasu ci dali? To idiotyczne. Nie mówiąc już o tym, że bezduszne. To dowodzi całkowitego braku poszanowania dla ludzi. Nie złości cię to?

– Jestem żołnierzem, Kim. To moja praca. Jeżdżę w różne miejsca.

– Dlaczego to musisz być ty? Sądziłam, że jesteś w trakcie jakiegoś ważnego szkolenia.

– Jestem. Dlatego tam jadę.

Zdjęła nogi z jego kolan.

– Możesz poprosić, żeby zamiast ciebie pojechał ktoś inny? Wiem, że to niekonwencjonalne działanie, ale chyba robią wyjątki.

– Nie mam okoliczności łagodzących.

– Powiedz im, że jesteś mi potrzebny do badań nad Med-Asysem.

– Nigdy przedtem nie potrzebowałaś mojej pomocy, a wojsko nie robi wyjątków, zwłaszcza jeśli chodzi o prywatnych klientów. Gdybyś potrzebowała żołnierza, dowiedliby, że to nie muszę być ja.

Wstała, podeszła do okna i wyjrzała na miasto.

– Nie chcesz się temu sprzeciwić?

– Wiesz, że nie mogę, Kim.

– Nie o to pytałam.

– Czy chcę jechać do Chin? Nie. Ale w tych sprawach nie mam nic do powiedzenia. W tym problem. I zawsze tak będzie. Zawsze będą mnie gdzieś wysyłać.

Odwróciła się do niego.

– Co chcesz mi powiedzieć?

– Mówię, że to moment podjęcia decyzji. Wiem, że nigdy nie rozmawialiśmy o małżeństwie, ale oboje wiemy, że ten związek zmierza w jego stronę. Obchodzimy to słowo, lecz oboje o nim myślimy.

– Oczywiście, że o nim myślę. Ludzie w naszym wieku szukają kogoś, z kim mogliby się związać na całe życie.

– I takiego małżeństwa chcesz? Chcesz męża, który wyjeżdża na sześć miesięcy albo lat? Takiego ojca chcesz dla swoich dzieci? Takiego, którego nie ma przez większość czasu? Ludzie nie po to się pobierają, żeby żyć osobno, Kim.

– Nie, ludzie się pobierają, bo się kochają i chcą mieć dzieci. Ludzie się pobierają, bo widzą przed sobą szczęście z tą drugą osobą.

– Tak, ale ze mną go nie widzisz. Widzisz świat samotnych, bezsennych nocy wypełnionych martwieniem się, czy nie wykrwawiam się na śmierć w jakimś rowie.

– Nie mów tak.

– Jesteś dowodem na moje słowa. Ilekroć wyjeżdżam na jakąś misję, szalejesz ze zmartwienia. Najpierw uważałem, że to ujmujące,

bo oznaczało, że bardzo ci na mnie zależy. Teraz nie mogę znieść, że tak się przeze mnie czujesz.

Odwróciła się z powrotem do okna.

– Dlatego zawsze bałem się założyć rodzinę, Kim. Kiedy wstąpiłem do wojska, pogodziłem się z tym, że będę singlem. Nie zamierzałem być nieobecnym ojcem i mężem. A potem poznałem ciebie i przekonałem samego siebie, że będę umiał to wszystko pogodzić, że nasze oddanie sobie nawzajem i dzieciom przetrwa każdą rozłąkę. Ale teraz widzę, że byłem samolubny. Myślałem o moim, a nie o twoim szczęściu. Zasługujesz na kogoś, kto może z tobą być i przez wszystkie dni twojego życia dzielić z tobą brzemię.

Nie odwróciła się.

– Nie mogę porzucić wojska – tłumaczył dalej. – Muszę w nim zostać jeszcze przez co najmniej pięć lat. Nie mam w tej sprawie wyboru. Proszenie cię, żebyś zaczekała, aż wrócę z Chin, to jakbym cię poprosił, żebyś zaczekała pięć lat, a tego nie chcę. To nieuczciwe względem ciebie.

Czekał, żeby się poruszyła, żeby na niego spojrzała, coś powiedziała. Nadaremnie.

– Małżeństwo ze mną nie byłoby małżeństwem, Kim. Sama byś wychowywała dzieci. Widziałem, jak robił to mój ojciec, kiedy umarła matka, a on przeniósł nas do Londynu. Nie był szczęśliwy bez mojej matki. Usiłował wymazać z mojej osobowości całą maoryską kulturę, jaką matka mi wpoiła w dzieciństwie, bo przypominała mu o niej i stykanie się z tą kulturą zadawało mu zbyt wielki ból. Zakazał pieśni, opowieści, tańców. Miałem być porządnym Anglikiem jak on. Człowiekiem angielskiego pochodzenia. Jakby moja matka nigdy nie istniała. Tylko że nie mógł zmienić koloru mojej skóry. Pozostawała ciemna bez względu na to, w ilu szkołach z internatem mnie umieszczał.

Przeszedł przez pokój i stanął za Kim.

– Nie chciałabyś, żeby nasze dzieci miały tylko jednego rodzica. Znam takie życie. I też nie chcę go dla naszych dzieci.

Odwróciła się do niego. Płakała, ale głos miała spokojny.

– Chciałabym wierzyć, że jesteś szlachetny i się poświęcasz, ale słyszę tylko, że nie chcesz żyć ze mną.

Nie wiedział, co powiedzieć. Oczywiście, że chciał żyć z nią. Czy ona tego nie widzi? Rzecz w tym, że nie mogli mieć takiego życia. To byłoby życie bez siebie nawzajem.

Zanim jednak zdołał coś odpowiedzieć, podeszła do swojej półki, zdjęła z niej med-asysa i podała mu.

– Jedna z amerykańskich wersji – powiedziała. – Z moim głosem. Powiedziałeś, że chcesz taki mieć, więc proszę. Pamiątka po mnie.

To była odprawa. Tym jednym gestem zmiotła wszystko, co zbudowali między sobą.

Po to przyszedł, wiedział, że musi to zrobić ze względu na nią, ale kiedy już do tego doszło, kiedy sprawa została załatwiona, poczuł w żołądku mdlący ciężar. Musiałby wytłumaczyć się jaśniej.

Nie dostał na to szansy.

Kim wyszła i zostawiła go samego. Czekał dwadzieścia minut, ale nie wróciła. Kiedy zaczęli przychodzić pracownicy i wszędzie w biurach wokół niego pozapalały się światła, Mazer wetknął med-asysa pod pachę i poszedł do wind.

To było słuszne, powtarzał sobie. Dla jej szczęścia. Na dłuższą metę to było słuszne.

ROZDZIAŁ 6

CHINY

Mazer wszedł na pokład C-200 na kilka chwil przed startem i zastał zamocowanych w ładowni pięć nowych WOCS-ów ozdobionych chińskimi znakami i gwiaździstymi czerwono-złotymi emblematami Ludowej Armii Wyzwoleńczej. Najwyraźniej on i jego zespół mieli nie tylko wyszkolić Chińczyków, ale i osobiście dostarczyć WOCS-y. Rozzłościło to Mazera. Oznaczało, że umowa z Juke Limited i Chińczykami została zawarta już jakiś czas wcześniej i SAS mógł go poinformować zawczasu, że prawdopodobnie będzie musiał wyjechać.

Nie żeby to sprawiało jakąś różnicę. I tak poczułby potrzebę przecięcia więzów łączących go z Kim, a więcej czasu, w którym mógłby to zrobić, tylko przedłużyłoby to, co nieuniknione. Albo opuściłaby go odwaga i jeszcze raz przekonałby samego siebie, że im się uda. Tak było lepiej dla niej. Szorstko, szybko, on potem znika, a ona może się zająć swoim życiem.

Idąc przez ładownię, zobaczył, że reszta jego zespołu jest już na pokładzie. Wszyscy spali na pryczach wpuszczonych w ściany. Mazer włożył torby do jednej z szafek i położył się na pustej pryczy. Był

ociężały, znużony, ale myśli o Kim nie pozwalały mu zasnąć jeszcze długo po starcie. Wciąż odtwarzał w pamięci scenę z nią, myśląc o tym, co powinien był powiedzieć inaczej. Wyjął med-asysa, którego dała mu Kim, i klikając losowo, trafił na instruktaż, jak robić oddychanie usta-usta. Dotknął „Play", położył sobie urządzenie na piersi i wsłuchał się w jej głos.

Obudził się sześć godzin później. Jego zespół wciąż spał. Mazer wziął sześcian z danymi, który dostał od pułkownika Napatu, i podłączył go do nakładki na nadgarstek. Kiedy we wnęce kuchennej samolotu skończył przygotowywać ze składników znalezionych w szafce z zaopatrzeniem duży garnek makaronu z kurczakiem, znał już całą dokumentację misji.

Zbudził pozostałych. Zebrali się wokół stołu w niewielkim pomieszczeniu obok kokpitu, gdzie panował mniejszy hałas.

– Ta misja to prawdziwe WSB – rzekł Mazer. – Zwykle po prostu my szkolimy goszczące nas wojsko. Tym razem Chińczycy będą też szkolić nas.

– W czym? – zapytał Fatani. – W posługiwaniu się pałeczkami?

– Och, ty to masz klasę – odezwała się Patu.

– Będziemy się szkolić na skonstruowanym przez nich pojeździe kopiącym.

Reinhardt się skrzywił.

– Pojazd kopiący? My im dajemy pierwszego na świecie antygrawitacyjnego ptaszka, statek powietrzny, który zrewolucjonizuje latanie, a oni dają nam buldożer? Kiepścizna.

– Do kwadratu – dodała Patu.

– Nie wiemy, czy to buldożer – powiedział Mazer. – Właściwie nic o nim nie wiemy. W sześcianie prawie nic nie było na jego temat.

– Maszyna kopiąca – powtórzył Reinhardt. – Pół roku poza domem, żeby się nauczyć kopania jakąś wymyślną chińską łopatą. Już nie znoszę tej misji.

Wylądowali godzinę później na wojskowym lotnisku na północny wschód od Quingyuan. Przy końcu pochylni towarowej samolotu stały naprzeciwko siebie na baczność dwa rzędy chińskich żołnierzy w galowych mundurach. U dołu pochylni stał kapitan Shenzu, chiński oficer z poprzedniej misji WOCS-a, i salutował.

– Witamy w Chinach, kapitanie Rackham.

– Przyleciał pan pierwszy – odparł Mazer.

– Proszę wybaczyć, że miałem wygodniejsze warunki. Chiński rząd zapewniłby panu i pańskim ludziom takie same wygody, ale woleliśmy, żebyście strzegli naszego cennego ładunku.

Mazer pokazał za siebie na WOCS-y.

– Oto są. Wyszykowane i gotowe do działania. W terminie dogodnym dla pana i pańskiego dowódcy chciałbym omówić plan szkolenia.

Kapitan Shenzu uśmiechnął się i machnął ręką.

– Wszystko w swoim czasie, panie kapitanie. Proszę za mną. – Ruszył do zaparkowanego opodal śmigacza. – Świdrosanie właśnie będą się wynurzały. Nie mogliście przylecieć w lepszym momencie.

Polecieli na północny wschód nad otwartym terenem i zatrzymali się przy betonowym bunkrze na krawędzi płytkiej, suchej doliny. Jej dno było usiane głębokimi dziurami, w których mógłby się zmieścić śmigacz. Shenzu zaparkował, wyskoczył z pojazdu i poprowadził ich wokół bunkra na drugą stronę, skąd było widać dno doliny.

– Powiedział pan „świdrosanie" – odezwał się po chińsku Mazer. – Czy to są te maszyny wiertnicze, których obsługi będziecie nas uczyć?

– Ma pan całkiem dobrą wymowę – stwierdził Shenzu.

– Wszyscy mówimy po chińsku – odparł Mazer. – To wchodziło w zakres naszego szkolenia.

Shenzu wyglądał na zadowolonego.

– Chinom pochlebia, że uważacie nasz język za tak ważny, by się go uczyć, panie kapitanie.

– Jesteście największym państwem na świecie – powiedział Reinhardt.

– Największym, owszem, ale, niestety, nie najbardziej zaawansowanym technicznie. Na tym froncie pobiły nas Stany Zjednoczone i kilka państw w Europie. Oraz Rosjanie, chociaż nie mają takiej stabilności gospodarczej jak my. Tylko kwestią czasu pozostaje, kiedy zostawimy ich wszystkich w tyle.

– Jest pan dość pewny siebie – powiedział Mazer.

Shenzu patrzył na coś na swoim holoprojektorze.

– Myślę, panie kapitanie, że za trzy sekundy zobaczy pan dlaczego.

Mazer poczuł lekkie drgania ziemi i usłyszał stłumione dudnienie. Odwrócił się i rozejrzał po dolinie, ale nic nie zobaczył. I wtedy przez powierzchnię przebiło się potężne wirujące wiertło, rozrzucając

gwałtownie ziemię na wszystkie strony. Wiertło wystrzeliło w górę rozmazaną plamą ruchu i Mazer zobaczył, że stanowi ono przód potężnego pojazdu drążącego tunele, który wyrwał się pionowo spod ziemi. Silniki zawyły i pojazd uniósł się na trzy metry nad ziemię, wyrzucając z tyłu rozgrzane do czerwoności ejektamenta, po czym runął w dół. Silniki ucichły z jękiem, wiertło zaczęło zwalniać, a z tyłu pojazdu wciąż kapała z bulgotem na ziemię substancja podobna do lawy. Unosił się z niej dym, skwierczała z gorąca. Powalone drzewo, na które spadło jej nieco, zatrzeszczało i buchnęło płomieniem.

Mazer otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale w tej samej chwili w innym miejscu doliny wystrzeliły spod ziemi jeszcze dwa takie pojazdy drążące tunele, uniosły się w powietrze tak jak pierwszy.

Kiedy świdrosanie wylądowały i zaczęły cichnąć, Shenzu uśmiechnął się i powiedział:

– Proszę im wybaczyć. Popisują się. Wiedzą, że mają widownię.

– Co to jest? – zapytała Patu.

– Nazywamy je samobieżnymi świdrosaniami, ale to taktyczne przekopywarki ziemne. Dość niezwykłe, prawda?

Delikatnie mówiąc, pomyślał Mazer. WOCS mógł zrewolucjonizować latanie, ale świdrosanie rewolucjonizowały działania wojenne, całkowicie zmieniając krajobraz pola walki. Natychmiast zrozumiał, po co Chińczykom WOCS-y. Statki te mogły przenieść sanie za linie wroga, zrzucić je i kazać im kopać. Te dwie maszyny stanowiły idealny zespół szturmowy.

– Jaki mają zasięg? – zapytał Mazer.

– Zaledwie dziesięć kilometrów – odparł Shenzu. – Ale mamy nadzieję to poprawić.

Dziesięć kilometrów. To było więcej, niż Mazer mógłby podejrzewać.

– Są uzbrojone?

Shenzu się roześmiał.

– Później będziemy mieli mnóstwo czasu na pytania. Proszę ze mną. Chciałbym, żebyście obejrzeli je z bliska.

Zeszli do doliny i podeszli do najbliższych świdrosań. Cały kokpit pokrywała teraz cienka warstwa szronu.

– Są zimne – stwierdził Reinhardt, dotknąwszy powierzchni.

– Utrzymujemy w kokpicie jak najniższą temperaturę – powiedział Shenzu. – Musimy, bo inaczej pilot zostałby skremowany.

Z miejsca, gdzie właz do kokpitu był wpasowany w dach świdrosań, oderwał się z trzaskiem kawałek lodu. Właz się otworzył, ze środka wyłonił się pilot i zręcznie zszedł na ziemię. Na głowie miał hełm z szeroką osłoną i światłami na górze i po bokach. Na krawędziach osłony Mazer zauważył warstewkę szronu. Z kombinezonu unosiła się chłodna mgiełka jak z połcia mięsa wyciągniętego z zamrażarki. Pokryty był na całej powierzchni małymi zwojami, które wyglądały jak jedno niekończące się gniazdo bardzo cienkich węży.

– Ten strój nazywamy chłodnym kombinezonem – poinformował Shenzu. – Świdrosanie działają na zasadzie dżdżownicy. To, przez co przekopuje się z przodu, zostaje wyrzucone z tyłu. Napęd nie powstaje dzięki przewiercaniu gliny czy skały z przodu, tylko z wyrzucania do tyłu przegrzanej materii.

Nieopodal zespół chińskich żołnierzy gasił pożar powalonego drzewa i spryskiwał sterty ejektamentów chemikaliami sprężonymi w specjalnych pojemnikach; w powietrze unosiły się z sykiem kłęby pary.

– Kiedy sanie poruszają się szybko przez litą skałę i wyrzucają lawę do tyłu, lepiej nie posuwać się za nimi – zażartował Shenzu.

– A jak sanie radzą sobie z tymi gorącymi ejektamentami? – zapytał Mazer. – Wydaje się, że taka lawa może przepalić każdą instalację rurową.

– Bardzo trafna uwaga. To stanowiło jedno z najtrudniejszych wyzwań. Zupełnie jak problem uniwersalnego rozpuszczalnika: w czym go przechowywać? – Wskazał tył wiertła. – Tutaj, przy nosie, zaczyna się układ wewnętrznych rur, który sięga do samego końca. Rury są stale chłodzone wodą. Każda z nich jest opleciona siatką cienkich rurek, przez które pompuje się wodę z urządzenia chłodniczego umieszczonego w tyle sań.

Kiedy sanie przeżuwają skałę, ten układ chłodzenia nie wystarcza i kokpit jednak się przegrzewa. Dlatego mamy chłodne kombinezony. Utrzymujemy w kokpicie jak najniższą temperaturę, bo kiedy sanie trafiają na skałę i przechodzą w tryb hiperprędkości, wytwarza się niewiarygodnie wysoka temperatura, znacznie przekraczająca temperaturę wrzenia. Wtedy włączają się kombinezony, żeby ochłodzić ciało. Gdy sanie zwalniają i temperatura się obniża, kokpit ma nadmierne chłodzenie i temperatura spada poniżej zera. W tym

momencie chłodny kombinezon odwraca swoje działanie i doprowadza do ciała ciepło.

– To sprawia wrażenie temperaturowej kolejki górskiej dla pilota – zauważył Fatani.

– Trzeba się do tego przyzwyczaić – przyznał Shenzu. – W jednej chwili lepkie gorąco, w następnej zimno, od którego szczęka się zębami.

– Robię to od wielu miesięcy – odezwał się pilot – i jeszcze się nie przyzwyczaiłem. Ale to taka jazda, że gdyby mi tylko pozwolili, kopałbym cały dzień.

– Powiedział pan, że sanie mają tryb hiperprędkości? – zapytał Mazer.

– Prędkość jest rzeczą względną – odparł Shenzu. – Uważamy ją za dużą prędkość dla świdrosań.

– Ile wynosi? – zapytał Mazer.

– Wynurzaliśmy je z prędkością dwudziestu czterech kilometrów na godzinę.

– Przez skałę? – Mazer był oszołomiony.

– O tak. Z normalną prędkością posuwają się mniej więcej dwa razy wolniej. Ale jeśli trafiają na skałę i pilot wciśnie gaz, to wypalają w niej dziurę.

– Więc w skałach są szybsze? – zapytała Patu.

– Więcej napędu – wyjaśnił Shenzu.

– A co z łącznością? – spytał Fatani. – Radio nie działa pod ziemią.

– Infradźwięki – powiedział pilot. – Mowa słoni. Wolniejsza niż normalna mowa, więc odbiornik ją przyśpiesza, żeby była słyszalna. Jest jednak przesunięcie w czasie, jakby się rozmawiało z kimś na Księżycu. Skały przenoszą dźwięk cyfrowo, lecz kiedy robi się gorąco, nie da się niczego odebrać. Przy normalnej prędkości słychać. Ale kiedy się przydepnie, zostaje się samemu.

Shenzu przyzwał gestem jednego z żołnierzy. Chińczyk podszedł ze starannie złożonym chłodnym kombinezonem w rękach i spoczywającym na nim hełmem. Shenzu wziął od niego obie rzeczy i podał Mazerowi.

– Pozwoliliśmy sobie pobrać wasze rozmiary z akt i uszyć każdemu kombinezon. Uznaliśmy, że jako dowódca zespołu zechce pan dostąpić zaszczytu wypróbowania sań jako pierwszy, kapitanie Rackham.

– Teraz? – zapytał Mazer. – Nie mam pojęcia, jak nimi kierować.

– W świdrosaniach mieszczą się dwie osoby. Nie jest im wygodnie, obawiam się, ale tak szkolimy naszych pilotów. Na pierwszą przejażdżkę weźmie pana porucznik Wong.

– Proszę najpierw opróżnić pęcherz – poradził Wong. – Kiedy zaczniemy kopać, nie będziemy mogli się zatrzymać, a lepiej nie robić tego do wnętrza kombinezonu. Nie ma nic gorszego niż zlodowaciałe krocze.

Mazer przebrał się w bunkrze i wrócił po kilku minutach. Kombinezon był ciasny, a zwoje przeszkadzały. Te po wewnętrznej stronie ud ocierały się o siebie, więc szedł jak kaczka na wykrzywionych nogach.

– Jak się pan czuje w kombinezonie? – zapytał Shenzu.

– Jeszcze nie zamarzam, więc nie mogę narzekać – odparł Mazer.

Świdrosanie podtrzymywały teraz długie szczudłowate nogi wysunięte z ich boków, przypominające nogi kosarza. Koniec świdra mierzył w ziemię i wisiał niecały metr nad nią.

– Nogi ustawiają sanie w pozycji nurkowania – objaśnił Shenzu. – Pojazd nie może kopać w dół, jeśli znajduje się w pozycji horyzontalnej, chyba że wgryza się w zbocze góry.

Z kokpitu zwieszała się składana drabinka. Porucznik Wong już czekał na przednim siedzeniu. Mazer wszedł po drabince i niezdarnie usadowił się w wąskim fotelu za nim. Kiedy przenosił górą stopę, o mały włos nie kopnął Wonga w głowę. Było nadzwyczaj ciasno; dzieliło ich jedynie oparcie przedniego fotela. Mazer znalazł uprząż i się zapiął, a Wong wciągnął drabinkę i zamknął kokpit, odcinając światło z zewnątrz. Blask przyrządów skąpał ich w czerwieni i zieleni. Mazer przechylił się w bok, żeby na nie popatrzeć. W powietrzu nad konsolą pojawił się niewielki hologram świdrosań.

– Skąd pan wie, co jest z przodu? – zapytał.

– Wskaźniki głębokości – wyjaśnił lakonicznie Wong. – Mierzą gęstość masy przed dziobem. – Poprawił coś przy hologramie i świdrosanie zastąpił kolorowy przekrój gruntu. – Ciemniejsze obszary są najbardziej gęste. Prawdopodobnie to granit. Kiedy się na nie trafi, robi się gorąco i naprawdę nabiera się prędkości. Jaśniejsze obszary jak tu i tu to miękka ziemia, na przykład glina.

– A te białe krzyżujące się linie przecinające cały obraz?

– To tunele, które wykopaliśmy w przeszłości. Są w całej dolinie. Pod nami jest mrowisko dla ludzi.

– A co się dzieje, kiedy trafi się na wodę? Na podziemne jezioro albo źródło?

– Lepiej ich unikać. Staramy się nie przecinać poziomu wód gruntowych, ale czasami jest to konieczne. Jeśli trafi się na wodę podczas nurkowania, wypełnia ona dziurę i porywa świdrosanie, jakby się wyciągnęło korek w wannie. I nie daje napędu. Cała zamienia się w parę. Więc trafienie na wodę jest jak wciśnięcie hamulców. Dlatego zawsze lepiej celować w skałę. Gotowy?

– Proszę traktować mnie delikatnie.

– Tym maleństwom brak delikatności.

Porucznik Wong wykonał kilka gestów w holoprzestrzeni; świder ożył z rykiem, niemal natychmiast obracając się bardzo szybko i w niecałe dziesięć sekund jego wizg stał się ogłuszający. Kokpit zaczął wibrować. Mazer czuł się tak, jakby grzechotały mu kości.

– A co z tymi nogami na zewnątrz? – zapytał przez radio.

– Złożą się automatycznie, kiedy ruszymy w dół – odparł Wong. – Proszę się przygotować na uderzenie zimna. Kombinezon ochładza się błyskawicznie w chwili, kiedy pojazd zagłębia się w ziemię. To może wywołać szok.

– Przyjąłem – powiedział Mazer, chociaż w rzeczywistości nie był ani odrobinę gotowy.

Zanurzanie się pod ziemię wydawało się nienaturalne. Coś takiego robimy z naszymi zmarłymi, pomyślał. Nagle zrodziło mu się w głowie kilkanaście pytań. Co się dzieje, jeśli dochodzi do jakiejś awarii i świder się zatrzymuje? Jak się go naprawia? W jaki sposób może ktoś przyjść z pomocą? Czy coś takiego już się zdarzyło? Czy gdzieś głęboko pod ziemią znajduje się chiński pilot zagrzebany wraz ze swoimi uszkodzonymi świdrosaniami, zmarły z braku powietrza?

Pojazd opadł i szarpnął do przodu, bo świder uderzył w ziemię i zaczął ją pożerać.

Z tyłu pojazdu wystrzeliła lawa. Runęli w dół.

Chwilę później fala zimna uderzyła Mazera tak nagle, jakby wpadł do lodowatej wody. Mięśnie mu się skurczyły, zęby zacisnęły. Wiedział, że nie umrze, a mimo to macki strachu oplotły mu serce.

Pomyślał, że Kim byłaby zachwycona. Jeśli chodziło o przejażdżki w parkach rozrywki, była jak dziecko. Im bardziej przerażające doznania, tym lepiej.

Świdrosanie natrafiły na tunel i opadły kilka metrów, a Mazer przez chwilę poczuł się jak w stanie nieważkości. Następnie znowu

zetknęły się z ziemią i Mazer szarpnął się w uprzęży.

– Przed nami granit – oznajmił Wong. – Proszę się przygotować na ostrą jazdę.

Sekundę później po kombinezonie Mazera rozeszła się kolejna fala zimna, a świdrosanie przyśpieszyły i runęły do przodu przez granit.

Silnik wył, świder świstał, a Mazer uświadomił sobie, że się śmieje, śmieje ze łzami w oczach, tak jak śmiałaby się Kim.

ROZDZIAŁ 7

RENA

Mostek stacji kosmicznej wcale nie wyglądał jak mostek „El Cavadora", ale i tak przypominał Renie to, co utraciła. W pomieszczeniu panowała podobna energia – krzątanina i gwar: załoga biegała od jednej konsoli do drugiej, dzieląc się informacjami albo przekazując rozkazy czy sprawdzając rozmaite holomapy. To była ta sama energia, którą Rena czuła przez wszystkie dni swego życia na pokładzie „El Cavadora". Tyle że w tamtym życiu otaczała ją rodzina, ludzie, którzy ją cenili i kochali i nazywali La Gallina, czyli Mama Kura, ponieważ umiała słuchać i pocieszała wszystkich na pokładzie. Tutaj, na stacji będącej własnością WU-HU i obsługiwanej przez tę największą chińską kosmiczną korporację górniczą, gdzieś na zewnętrznej krawędzi pasa asteroid, Rena była nikim. Była kimś z zewnątrz, kimś obcym.

Przepłynęła przez właz i czekała, aż ktoś ją zauważy; nie śmiała przeszkadzać członkom załogi. Po chwili podpłynął do niej młody chiński oficer.

– Jesteś tu z powodu czujnika nawigacyjnego? – zapytał. Mówił po angielsku dobrze, ale chiński akcent miał silniejszy od innych.

Rena skinęła głową.

– Czwarte stanowisko po prawej.

Podziękowała mu i skierowała się w tamtą stronę. Od chwili, kiedy przybyła tu wraz z innymi ocalałymi z „El Cavadora", przywieziona przez kapitana Doashanga na pokładzie statku WU-HU, zarabiała wraz z nimi na mieszkanie i wyżywienie, dokonując napraw na całej stacji i na cumujących przy niej statkach WU-HU. Kapitan Doashang zaręczył za nich szefowej stacji, pani Magashi,

która pozwoliła im spać w jednym z pomieszczeń magazynowych. Co noc wszyscy byli stłoczeni na maleńkiej przestrzeni, a dzieci i niemowlęta budziły się o rozmaitych porach z płaczem i trzeba było je przytulać, karmić piersią albo zapewniać, że ich koszmary to tylko sny.

Rena też miała sny, chociaż nigdy nikomu o nich nie mówiła. W tych snach Segundo, jej mąż, był zawsze żywy, leżał przy niej w hamaku, obejmował ją, przytulał do siebie i opowiadał o swojej ostatniej naprawie albo o czymś, co usłyszał tego dnia na statku. Czasami się śmiali. Czasami dziwili się swojemu szczęściu, że mają takiego syna jak Victor. Kiedy indziej Segundo groził jej, że ją połaskocze, a ona groziła jemu, że zrobi mu poważną krzywdę, jeśli tylko spróbuje. A czasami nic nie mówili; wystarczyło po prostu być razem.

Czuła siłę obejmujących ją rąk i ciepło jego oddechu na karku. To było rzeczywiste, tak rzeczywiste, jak zawsze.

A potem się budziła i było tak, jakby Segundo znowu umarł.

Ukrywała łzy. Nawet w ciasnocie magazynu nikt nie widział jej innej niż spokojnej, pewnej siebie, pełnej optymizmu. Nie mogła sobie pozwolić na inny wizerunek. Wśród jej towarzyszek znajdowało się zbyt wiele młodszych matek, które szukały u niej otuchy, pociechy i siły.

Oczywiście znalazły się i takie kobiety, które gardziły nią bez względu na to, co robiła. Julexi dawała szeptem wyraz swojemu niezadowoleniu przy każdej okazji. Jej mąż, Pitoso, zginął jako pierwszy w ataku na statek obcych. Niósł materiał wybuchowy, który eksplodował przedwcześnie, zabijając go na miejscu i ostrzegając hormigów przed atakiem. Hormigowie wyroili się przez otwór powstały w wyniku wybuchu i rzucili na ludzi z „El Cavadora".

A ponieważ Segundo zmodyfikował ładunki wybuchowe i przygotował je do ataku, Julexi była przekonana, że to Segundo zabił jej męża i skierował ich wszystkich na ścieżkę wiodącą do zagłady. To z powodu Segundo został zniszczony „El Cavador". To przez niego tłoczyli się teraz w tej norze nad ubikacją. Zawsze Segundo, Segundo, Segundo…

Abbi czuła podobnie. Jej syn Mono schował się na „El Cavadorze" i nie przeszedł wraz z nią na statek WU-HU. Gdyby Segundo i Victor nie napełnili mu głowy niemądrymi pomysłami i nie przekonali go, że jest mechanikiem, Mono nie zginąłby wraz z innymi na pokładzie

„El Cavadora”. Zostałby z matką, znalazłby się tutaj, żywy, i pomagałby jej, przytulał ją, mówiłby cicho do niej. Przecież był małym chłopcem. Nie powinien jeszcze się uczyć na mechanika. Victor i Segundo powinni się wstydzić.

Kilka innych kobiet też gardziło Reną, chociaż powodu Rena mogła się tylko domyślać. Może czuły potrzebę obarczenia kogoś winą. A może sądziły, że to one powinny decydować za grupę. Może nie podobało im się, że niektóre matki szukają pociechy u Reny, a nie u nich.

Powód nie miał znaczenia. Rena nie zwracała uwagi na te kobiety. Nigdy nie rzuciły jej w twarz swoich pretensji, więc nie przejmowała się nimi. Wyciągnięcie tej sprawy doprowadziłoby do eskalacji narzekań i jeszcze bardziej podzieliłoby grupę. A nie potrzebowały podziału. Podzielone mogłyby nie przeżyć.

Znalazła uszkodzony czujnik nawigacyjny i natychmiast przystąpiła do pracy. Naprawa była łatwa dla kogoś, kto się zna na tej robocie. Na statkach korporacyjnych albo stacjach WU-HU czy Juke Limited znajdowali się załoganci, którzy prawie nic nie wiedzieli o funkcjonowaniu statku; każdy z nich miał wyznaczone jedno zadanie i tylko nim się zajmował. Lecz na statku wolnych górników rodziny nie mogły sobie pozwolić na taki luksus. Wszyscy musieli znać się na wszystkim.

Tak więc na „El Cavadorze” wszyscy uczyli się nawzajem, pracując razem albo organizując szkolenia. Rena oczywiście znała się na nawigacji, ale nauczyła się też wydobywania metali, konserwacji urządzeń, gotowania i pilotowania, wszystkich czynności, dzięki którym rodzina funkcjonowała i utrzymywała się przy życiu. Nikt nie przestaje się uczyć, mawiała Concepción. Nasza siła jest jednością, kiedy nasz umysł jest jednością.

Kapitan Doashang szybko się zorientował, że wszystkie zadania, które powierza Renie i innym kobietom, zostają dokładnie wykonane. Nie było krzywej postępów w nauce, żadnych prób i błędów; kobiety z „El Cavadora” robiły dokładnie to, co trzeba, w chwili gdy tylko zostały o to poproszone. Czasami nawet wcześniej. Jak powiedział kiedyś Segundo: Jeśli zaczekasz, aż coś się zepsuje, to będziesz czekać za długo.

Rena rozłożyła czujnik i wymieniła spaloną część. Podczas pracy zauważyła, że trzej załoganci, którzy znajdowali się nieopodal, zerkają w jej stronę i cicho rozmawiają. Mówili po chińsku, sądząc, że

ich nie rozumie, ale przed laty na „El Cavadora” przybyła chińska narzeczona, Shoshan, która bardzo się zaprzyjaźniła z Reną. Nie mówiła po hiszpańsku, więc zaczęły uczyć się nawzajem swoich języków. Rena nadal nie umiała mówić po chińsku, ale jeśli słuchała uważnie, rozumiała niektóre wyrażenia.

– …dzieci płaczące o każdej porze nocy…

– …nie możemy wciąż ich żywić…

– …powinieneś porozmawiać z Magashi… problemy, jeśli zostaną tu dłużej…

– …zapasy kiedyś się skończą…

– …nakarm jeden klan, to potem wszyscy chcą jałmużny…

Rena nie dała po sobie poznać, że rozumie, i nie odrywała wzroku od pracy. Nie pierwszy raz słyszała takie narzekania. Wielu członkom załogi nie podobało się, że Magashi pozwoliła zostać kobietom i dzieciom z „El Cavadora”. Większość personelu stacji była uprzejma, wielkoduszna i chętnie dzieliła się zapasami żywności, jeśli kobiety pracowały na swoje utrzymanie. Lecz kilku członków załogi szybko rozsiewało niezadowolenie.

Nie możemy tu zostać, powiedziała sobie Rena setny raz.

W niektórych wypadkach razem z innymi kobietami już wykonywała dwa razy tyle pracy, ile przypadało na załoganta, ale Rena wiedziała, że to nigdy nie wystarczy. Ci niezadowoleni zawsze znajdą dziurę w całym.

Sytuacja mogła się tylko pogorszyć. Ponieważ zapasy stale się zmniejszały, a z Luny przybywało coraz mniej statków z zaopatrzeniem, narzekania będą coraz głośniejsze i coraz częstsze, prędzej czy później ktoś podejmie działanie. Rena nie sądziła, żeby załoga mogła się posunąć do zastosowania przemocy, ale kto wie? Głodni ludzie uciekają się do ostateczności.

Lecz dokąd mogłyby się udać? Wszystkie przybywające statki WU-HU otrzymały zakaz odlotu. Wszyscy znajdowali się w stanie spoczynku.

A ilekroć do stacji zbliżał się statek wolnych górników, zawsze błagał o żywność. Wolni górnicy mówili, że stacje zaopatrzeniowe gromadzą zapasy. „Mamy pieniądze. Zapłacimy za żywność. Nie mamy się do kogo zwrócić”.

Początkowo Magashi sprzedawała, ile mogła. Jednak niektórzy członkowie personelu sprzeciwiali się temu tak ostro, że teraz wszystkie statki odprawiała.

Rena i tak nie mogłaby poprosić o miejsce na głodującym statku. Miała z sobą dziewiętnaście kobiet i kilkadziesięcioro dzieci. Gdyby statek nie miał odpowiedniej ilości żywności, wejście na jego pokład równałoby się samobójstwu.

Był to nierozwiązywalny problem, a zegar tykał.

– Zbliża się jakiś statek – odezwał się obserwator.

– Możesz go zidentyfikować? – zapytał któryś z oficerów.

– Wygląda na sępa, sir.

Rena poczuła, że jeżą jej się włoski na karku. Kilku załogantów też sprawiało wrażenie zaniepokojonych. Sępami nazywano ekipy rozmontowujące dla zysku martwe statki. Większość z nich wywodziła się z załóg górniczych, które zrezygnowały z wydobywania minerałów i znalazły łatwiejszy zarobek w ogałacaniu wraków.

Jeśli znalazło się porzucony albo uszkodzony statek bez żywych osób na pokładzie, stosowało się zasadę, wedle której właścicielem zostawał ten, kto go zajął.

Zasada ta powodowała ostre współzawodnictwo między sępami. Kiedy jedna załoga znalazła statek, musiała go jak najszybciej ogołocić z najcenniejszych części, zanim zleciały się inne. Jeśli opowieści głosiły prawdę, a Rena miała wszelkie powody, by im wierzyć, to takie gorączkowe żerowanie zawsze prowadziło do przemocy. „El Cavador" natrafił kilka razy na ogołocone statki, na których pokładzie wśród martwych członków załogi znajdowały się też martwe sępy, co oznaczało, że podczas odzyskiwania sprzętu pojawiła się konkurencyjna ekipa sępów i zabrała wszystko dla siebie, zabijając każdego, kto im w tym przeszkadzał.

Segundo nazywał ich piratami. Piratas .

– Wywołują nas – powiedział obserwator.

– Otwórz częstotliwość – polecił oficer.

Zbliżył się do holobiurka i umieścił głowę w holoprzestrzeni.

W powietrzu przed nim pojawiła się twarz. To był najczarniejszy człowiek, jakiego Rena widziała w życiu. W kontraście z ciemną skórą białka jego oczu lśniły jak księżyce. Minę miał groźną i nieprzyjazną.

– Jestem Arjuna – odezwał się. – Proszę o audiencję u szefa stacji.

– W jakim celu? – zapytał oficer.

– Jest pan szefem stacji?

– Nie. Jestem jednym z jej oficerów.

– Jej? Pańskim szefem jest kobieta?

– Bardzo kompetentna. O co panu chodzi?

– To omówię z szefową stacji.

– Nie rozdajemy żywności, jeśli o to chce pan prosić.

– Nie chcemy żywności. Przybywam z poważną wiadomością. Oraz propozycją. Taką, która pomoże przedłużyć życie waszych zapasów.

– Co to za wiadomość?

– Zniszczono ponad pięćdziesiąt statków górniczych. Wszystkie zabiły Pembunuh, jak je nazywamy. Mogę podać współrzędne. Możecie zwrócić tam wasze oko i zobaczyć, że mówię prawdę.

Pembunuh. Rena nie słyszała wcześniej tego słowa, ale wiedziała, co ono znaczy. Chyba załoga każdego statku miała własne określenie na obcych. Hormigas, wageni, robale.

Pięćdziesiąt statków?! Na tę myśl Renie zrobiło się zimno. Tylu ludzi! Tyle rodzin! Pięćdziesiąt wersji „El Cavadora". To nie do pomyślenia!

– Proszę podać współrzędne – powiedział oficer.

Arjuna wyrzucił z siebie ciąg liczb. Obserwator wpisał je do komputera. Wszyscy obecni na mostku zgromadzili się wokół jego ekranu. Rena trzymała się z tyłu, wyciągając szyję, ale prawie nic nie widziała. Przesunięcie oka na wskazane miejsce i wyostrzenie wizji trwało kilka minut, w końcu uzyskali obraz.

Załoga umilkła. Ludzie zakryli rękami usta. Rozwierali szeroko oczy. Rena przepchnęła się przez tłum, żeby też zobaczyć. Nikt jej nie zatrzymywał ani nawet jej nie zauważył.

Szczątków było mnóstwo. Większość stanowiła zaledwie kropki rozciągnięte na przestrzeni dziesiątków tysięcy kilometrów i wciąż się poruszające.

– Ja nie kłamię – rzekł Arjuna.

Szczątki znajdowały się między nimi a Ziemią, a najbliższe były zaskakująco blisko stacji. Może jakieś dwa do trzech tygodni podróży.

– Połączę pana z szefową stacji – powiedział oficer.

– Nie chcę z nią rozmawiać za pośrednictwem holo. Chcę rozmawiać z nią osobiście.

– Nie może pan tu zacumować. To prywatna stacja.

– Mój statek się nie zbliży. Przylecę promem. Sam. Kiedy przybędę, możecie mnie przeszukać. Każdy, kto zechce wrócić ze mną, będzie mile widziany.

Wrócić z nim? Dlaczego ktoś miałby chcieć z nim wrócić?

Oficer kazał Arjunie zaczekać, naradził się z Magashi i poczynił odpowiednie przygotowania. Cztery godziny później prom zacumował w ładowni i ze śluzy wypłynął Arjuna. Włączył nagolenice, magnesy przyciągnęły jego stopy do pokładu i sęp stanął przed Magashi, która przyszła z czterema uzbrojonymi ochroniarzami. Rena odsunęła się na bok, żeby nie było jej widać, ale pozostała w zasięgu słuchu.

Arjuna był rosłym mężczyzną; miał ponad dwa metry wzrostu i szerokie ramiona. Był ubrany w grubą kurtę mocno ściśniętą pasem, grube buty i wywatowane spodnie.

– Schowajcie broń, przyjaciele – powiedział. – Przynoszę pieniądze, nie przemoc. – Sięgnął do kieszeni. Ochroniarze wzdrygnęli się, nie wypuszczając broni z rąk. Arjuna powoli wyciągnął pałeczkę pieniężną. – Spokojnie. Pięć tysięcy kredytów raczej nie zrobi wam krzywdy.

Pchnął pałeczkę w stronę Magashi, która ją chwyciła i obejrzała.

– Nie sprzedajemy żywności – powiedziała.

– Nie przybyłem po żywność. Przybyłem po ludzi. Dwudziestu, jeśli może się pani bez nich obyć. Te statki zniszczone przez Pembunuh są do wzięcia. Zamierzam z nich wymontować wszystkie części, jakie znajdziemy. Każdemu mężczyźnie, który się do nas przyłączy, dam pięć tysięcy kredytów.

– Moja załoga jest zatrudniona przez WU-HU – odparła Magashi. – Ma pracę.

– Tak, na stacji, która w tej chwili nic nie robi poza zużywaniem zapasów. Mogę na kilka miesięcy uwolnić panią od odpowiedzialności za tych ludzi. Sporo zarobią, a pani oszczędzi na zapasach. Na jak długo starczy pani żywności, jeśli sytuacja się nie zmieni? Zakłócenia sprawiły, że większość statków zaopatrzeniowych zawróciła na Lunę. Inne zniszczyli Pembunuh. Proszę zapytać innych podróżników, czy to, co mówię, jest prawdą. Zanim przybędą kolejne zapasy, upłynie kilka miesięcy, może nawet rok. Jeśli Pembunuh rozpętają wojnę z Ziemią, zaopatrzenie może się w ogóle nie pojawić. Ta stacja jest przeludniona. Mogę pomóc w złagodzeniu tego problemu.

– Zabierając mi załogę?

– Pożyczając ją. Wątpię, czy któryś z tych ludzi chce umrzeć z głodu.

– Złożył pan propozycję. Nie jesteśmy zainteresowani.

– Te szczątki to kopalnia złota. Wy macie problem. Ja mam rozwiązanie.

– Te szczątki to pole bitwy. Chce pan okradać zmarłych?

– Zmarłym te statki się nie przydadzą. Mnie tak.

– Niech pan wykorzysta własną załogę – rzekła Magashi.

– Wykorzystam ją. Lecz mając więcej ludzi, mogę podwoić wysiłki i odzyskać więcej, zanim pojawią się inni.

– Ma pan na myśli inne sępy?

W oczach Arjuny błysnął gniew.

– Nie jesteśmy sępami, madame. Jesteśmy wronami. Zajmujemy się uczciwą pracą. W czerni są myszołowy i sępy, ale moja załoga i ja nie bierzemy z nich przykładu. Nikogo nie krzywdzimy. Proszę zapytać jakiegokolwiek handlowca albo sprzedawcy odzyskanych części. Arjuna dotrzymuje słowa. Jego metody są metodami baranka.

– Nawet baranki gryzą – rzekła Magashi.

– Tak, ale my gryziemy tylko po to, by rozdrobnić jedzenie, które zdobyliśmy dzięki własnemu potowi.

– Nie jesteśmy zainteresowani – powtórzyła Magashi.

– A mężczyźni, którzy trzymają tę broń? Czy ta kobieta mówi w ich imieniu? Czy nie chcieliby pięciu tysięcy kredytów i pracy lepiej płatnej od tej, którą teraz wykonują?

Ochroniarze spojrzeli po sobie, ciekawi, jak zareagują inni. Po chwili, kiedy nikt nie odpowiedział, Arjuna rzekł:

– Doskonale. A zatem proszę o zwrot mojej pałeczki pieniężnej.

Magashi pchnęła ją w jego stronę. Arjuna ją złapał, włożył do kieszeni i się skłonił.

– Oby wasze półki nigdy się nie opróżniły, a żołądki nie zaznały głodu.

Odepchnął się od podłogi w stronę śluzy powietrznej.

– Proszę zaczekać!

Słowa te wyrwały się Renie, zanim zdołała je powstrzymać.

Arjuna chwycił się poręczy przy śluzie i odwrócił się. Rena podpłynęła do niego.

– Mówi pan o mężczyznach, ale czy przyjmie pan kobiety? Kobiety wolnych górników?

– Wolałbym jedną z nich nad czterech mężczyzn z korporacji. Wolni górnicy są dobrymi, ciężko pracującymi robotnikami. Pochodzi pani z jakiegoś klanu?

– Nie. Z pojedynczego statku. Z „El Cavadora”. Został zniszczony w pasie Kuipera przez Pembunuh.

– Proszę przyjąć kondolencje. Jeśli pani statek został zniszczony, jakim sposobem pani przeżyła?

– To długa historia. Lecz jest tu nas wiele i przestajemy być mile widziane. Jeśli może pan nam obiecać ochronę przed pańską załogą i transport do stacji kosmicznej, mogę panu dać dobre robotnice.

Nie miała pojęcia, dlaczego ufa temu mężczyźnie.

Arjuna się uśmiechnął.

– Nie musi się pani martwić moją załogą. Powiedziałem prawdę. Jesteśmy rodziną wron, nie sępów.

Rodzina. To słowo ją uspokoiło. Ale tylko na chwilę. Kim jest ten człowiek? Czy jest gotowa oddać kobiety i dzieci w jego ręce? Przecież może być mordercą.

Nie, w tych księżycowych oczach była życzliwość.

– Obiecuję też, że zabiorę was do jakiejś stacji kosmicznej – powiedział. – Kiedy odzyskamy części statków, ruszamy do stacji, żeby je sprzedać. Gdybyśmy się mieli tam rozstać, wy też zrobilibyście mi przysługę. Nie musiałbym was odwozić z powrotem na tę stację. Dokąd się wybieracie?

– Nie wiem. Ale na pewno nasz dom nie jest tutaj.

– Jak się nazywasz, pani z „El Cavadora”?

– Rena Delgado.

– I mówi pani w imieniu swojej załogi?

– Mówię tylko w swoim imieniu, ale sądzę, że jeśli poproszę, moja załoga pójdzie za mną.

– Skoro ma pani taki posłuch, jest pani kobietą, z której lepiej nie stroić sobie żartów. – Spojrzał na nią taksująco. – Proszę mi powiedzieć, jak bezpiecznie wymontować urządzenie tlenowe.

Sprawdzał ją. Ale pytanie było dość proste. Należało pamiętać o czterech krokach i trzech środkach ostrożności. Wyrecytowała wszystkie, dorzucając kilka sekretów, których nauczył ją Segundo, a o których Arjuna zapewne nie wiedział.

Kapitan wron starał się ukryć, że jest pod wrażeniem. Po chwili, jakby zastanawiał się nad następnym posunięciem, rzekł:

– Jeśli masz dwadzieścioro mężczyzn i kobiet tak samo bystrych jak ty, biorę ich.

– Jest nas więcej niż dwadzieścia osób. I nie dostaniesz nikogo, jeśli się nie zgodzisz wziąć wszystkich.

– Ile?

– Pięćdziesiąt sześć.

Arjuna się skrzywił.

– Mój prom nie jest wystarczająco duży, Reno z „El Cavadora”.

– A więc możesz obrócić dwa razy.

– A czy wszyscy to wykwalifikowani robotnicy, czy mam się spodziewać wśród nich dzieci i niepełnosprawnych?

– Niepełnosprawnych nie. Ale trzydzieścioro siedmioro to owszem, dzieci. Także niemowlęta.

Znowu się skrzywił.

– I co ja mam robić z trzydzieściorgiem siedmiorgiem dzieci więcej na moim statku? I tak mam już dość małych gębuś do wyżywienia.

Ucieszyła się, że ma dzieci na pokładzie. To kolejny dowód na to, że załoga stanowi rodzinę. Piraci nie wożą z sobą dzieci.

– Nasze dzieci pracują, panie kapitanie. Nie na zewnątrz statku, lecz sprzątają, piorą i gotują nie gorzej od mężczyzn i kobiet z pańskiej załogi. Zarobią na swoje wyżywienie.

– Potrzebuję monterów, nie zmywaczy.

– I dostanie pan monterów. Dziewiętnaście osób.

– Ile z nich to mężczyźni?

– Żaden. Straciłyśmy wszystkich.

Zobaczyła w jego oczach cień współczucia.

– Widzę, że pani opowieść jest pełna smutku. – Założył ramiona na piersi i przez chwilę się zastanawiał. – Dziewiętnaście kobiet i trzydzieścioro siedmioro dzieci. Większość kapitanów wyśmiałaby taką propozycję.

– Większość tak. Ale pan jest mądrzejszy. Wedle pańskiej matematyki dziewiętnaście kobiet wolnych górników to siedemdziesięciu sześciu mężczyzn z korporacji.

Arjuna odrzucił głowę do tyłu i roześmiał się. Tym ją zaskoczył. Nie sądziła, by miał poczucie humoru, a tu proszę.

– Użyła pani moich słów przeciwko mnie, Reno z „El Cavadora”. Doskonale. Proszę przyprowadzić dziewiętnaście kobiet i trzydzieścioro siedmioro dzieci. Jeśli odzyskuje pani sprzęt tak szybko, jak pani liczy, przyda się pani w mojej załodze.

* * *

– Zwariowałaś? – powiedziała Julexi.

Rena i większość kobiet unosiły się na korytarzu przed magazynem. Kilka zostało w środku przy niemowlętach.

– Nie mów tak głośno – powiedziała Rena. – Przestraszysz dzieci.

– Ja przestraszę dzieci? Ja je przestraszę? Przestraszy je statek sępów i morderców, Reno.

– To nie są sępy, tylko wrony.

Julexi wyrzuciła w górę ręce.

– Sępy, wrony, mewy, jaka różnica? Wszyscy są tacy sami. To pasożyty. Żywią się umarłymi i zabijają bez skrupułów. W pasie Kuipera uciekaliśmy przed takimi statkami, Reno. A teraz chcesz się zaciągnąć na jeden z nich? Postradałaś zmysły? Nic nie wiemy o tym człowieku. Może zawieźć nas na swój statek i zrobić z nami, co zechce.

– Ma rodzinę. Są bardzo podobni do nas.

– Skąd wiesz? – zapytała Abbi. – Powie ci wszystko, żeby tylko zwabić nas na swój statek.

– Wiem, bo poznałam jego rodzinę – rzekła Rena.

Kobiety popatrzyły na nią.

– Jak to poznałaś jego rodzinę?

– Zmusiłam go, żeby zabrał mnie promem na swój statek. Uparłam się, żeby go obejrzeć i poznać rodzinę.

– Poleciałaś na jego statek? Sama? – zapytała Julexi.

– Nie zamierzałam przerzucić nas na niego, nie wiedząc, w co się pakujemy. Umieszczą nas w ładowni. Widziałam ją. Jest czysta. Nieco większa od tego magazynu. Są tam hamaki. I jedzenie. Widziałam ich zapasy. Jest dość dla nas wszystkich. Jeśli będziemy ciężko pracować, wszystko będzie dobrze.

– Tutaj też jest jedzenie – zaprotestowała Abbi. – Tu jesteśmy bezpieczniejsze.

– Nie sądzę – odparła Rena. – Prędzej czy później wykonamy wszystkie potrzebne naprawy. Jest tylko kwestią czasu, kiedy poproszą nas, żebyśmy opuścili stację. Słyszałam to i owo.

– Plotki i szepty garstki ludzi – powiedziała Julexi. – Magashi nas lubi. Pracujemy więcej niż większość jej załogi.

– Możliwe, że Magashi już niedługo nie będzie miała decydującego głosu. To, co słyszę, to coś więcej niż pusta gadanina. Tu nie jest bezpiecznie. Martwię się o dzieci.

– A rzucenie ich stadu sępów cię nie martwi? – zaperzyła się Abbi.

– I to nie są twoje dzieci – dorzuciła Julexi. – To są nasze dzieci.

Tak, pomyślała Rena. Nie są moje. Ja oddałam moje jedyne dziecko. Wysłałam Victora na Lunę, żeby ostrzegł świat. Straciłam go tak samo, jak straciłam Segundo.

– Somos familia – powiedziała. – Jesteśmy rodziną. Te dzieci nie wyszły z mojego łona, ale kocham je jak własne. Rodzina Arjuny jest taka sama. Wyczułam to. To familia.

– Spodziewasz się, że po jednej twojej wizycie powierzymy tym ludziom nasze życie?! – krzyknęła Abbi.

– Powierzamy nasze życie obcym ludziom od chwili, kiedy opuściliśmy „El Cavadora".

– To co innego – upierała się Julexi. – To było WU-HU. Ci są złomiarzami.

– Zaproponował, że wszystkie was oprowadzi po statku i pozna ze swoją rodziną. Ale jeśli chcemy to zrobić, musimy działać szybko. On się niecierpliwi.

– Niecierpliwi? – powtórzyła Julexi. – A jakich innych jego emocji powinnyśmy się bać? Jego wściekłości? Pożądania?

– Zamknij się wreszcie. – Edimar wynurzyła się z cienia. Rena nie zauważyła, że ta piętnastolatka słucha. – Wszystkim podcinasz skrzydła. Nikt nie ma racji oprócz ciebie. Wszyscy są winni. I wiesz co? Gdybyś od czasu do czasu powiedziała coś pozytywnego, może nie byłabyś taka nieszczęśliwa i ludzie może nawet by uznali, że da się z tobą wytrzymać.

Lola, matka Edimar, była przerażona.

– Edimar! Masz w tej chwili przeprosić Julexi!

– Nie, nie przeproszę. Bo każda z was wie, że to prawda, ale wszystkie jesteście za uprzejme, żeby to powiedzieć. A ja nie. Jeśli chcesz tu zostać i zaczekać, aż Chińczycy nas wykopią, Julexi, to świetnie. Ja idę z Reną.

Julexi zmrużyła oczy.

– Ty zepsuta dziewucho. Jesteś gorsza niż twoja endogamiąca siostra.

Lola spoliczkowała Julexi tak szybko i tak mocno, że odrzuciła ją na ścianę. Kilka kobiet wstrzymało oddech. Julexi odzyskała równowagę i wstrząśnięta przyłożyła dłoń do policzka.

Siostrą Edimar była Alejandra, którą rodzina odesłała ze statku w obawie, że mogłaby się zakochać ze wzajemnością w Victorze. Endogamienie, czyli zawieranie małżeństw wewnątrz klanu, było zakazane i mimo że Alejandra i Victor nie zrobili nic złego, rodzina przedsięwzięła środki ostrożności. Oskarżanie Alejandry o niestosowne zachowanie było okrutne i bezduszne. Rena czuła pokusę, by też spoliczkować Julexi.

– Nigdy więcej nie mów tak o mojej córce. – Głos Loli był jak lód. – Rozumiesz? Nie masz ani krzty jej dobroci i uczciwości.

Edimar patrzyła na to z otwartymi ustami. Rena była nie mniej poruszona. Lola zawsze była dobra, łagodna. Nigdy nikogo nie uderzyła.

Lola zwróciła się do Reny.

– Edimar i ja zrobimy wszystko, co postanowisz. Ufam twojemu osądowi. Jeśli uważasz, że najlepiej jest odejść z tą wroną, że w ten sposób znowu staniemy na własnych nogach, to u twojego boku ogołocę ze sprzętu sto statków. – Odepchnęła się od ściany w stronę drzwi magazynu. – Chodź, Edimar. Powiedziałyśmy, co leżało nam na sercu. Niech teraz zrobią to pozostałe kobiety.

Edimar wciąż była zbyt oszołomiona, by się poruszyć, i wpatrywała się w matkę z niedowierzaniem. Po chwili doszła do siebie i podążyła za Lolą.

Kiedy się oddaliły, odezwała się Julexi:

– Widziałyście to? Widziałyście, jak mnie uderzyła? Ona próbuje nas podzielić.

Rena chciała się roześmiać, słysząc taką hipokryzję. Gdyby jednak uległa tej chęci, byłby to śmiech pełen smutku i znużenia. Uświadomiła sobie, że zanika poczucie rodziny; rozpadały się więzy

spajające kobiety z „El Cavadora”. Nie mogła do tego dopuścić. Segundo prosił ją, by utrzymała wszystkich razem.

– Powiem wam, czego chcę – zaczęła i w miarę jak znajdywała słowa, uświadamiała sobie, że to prawda. – Chcę, żebyśmy znowu znalazły się na statku. Nie na statku wron albo korporacji, ale naszym. Takim, jaki był „El Cavador”. Nie stanie się tak, jeśli tu zostaniemy. Tutaj nie mamy przyszłości. Praca dla nas się kończy, podobnie jak życzliwość Chińczyków. Arjuna może nam pomóc pójść we właściwym kierunku. Jeśli się nie zgadzacie, powiedzcie to teraz.

Omówiły sprawę i zagłosowały. Garstka poszła w zaparte, ale większość – chociaż obawiała się tego pomysłu – opowiedziała się za opuszczeniem statku WU-HU. Chciały zrobić wszystko, co przybliży je do własnego statku. W końcu nawet te przeciwne odejściu zgodziły się z pozostałymi kobietami. Trzymanie się grupy wydawało się bezpieczniejsze niż zostanie z WU-HU.

Później, kiedy na pokład promu lecącego na statek Arjuny wchodziła druga grupa, Julexi podeszła do śluzy ze swoją torbą i powiedziała do Reny:

– Jeżeli nas zgwałcą i zabiją nasze dzieci, to mam nadzieję, że Bóg się nad tobą ulituje.

– Mam nadzieję, że Bóg się nad nami ulituje i tak – odparła Rena. – Potrzebujemy wszelkiej pomocy.

ROZDZIAŁ **8**

BOJA

Plany na ścianie pracowni inżynierskiej nie przypominały niczego, co Lem sobie wyobrażał.

– To wciąż twój pomysł, Lemie – powiedziała Benyawe. Unosiła się przed nim przy ścianie z rysikiem w ręce. – Uwierz mi. Projekt może się różnić od tego, co sobie początkowo wyobraziłeś, ale zasada jest ta sama.

– Nie obchodzi mnie, czy to mój pomysł – rzekł. – Wyrzuć go, jeśli jest nic niewart. Nie czuj się przykuta do niczego, co zaproponowałem. Obchodzi mnie tylko, żeby to działało. Nie jestem na tyle zarozumiały, by sądzić, że lepiej to ogarniam od ciebie. Rób, co uważasz za najlepsze.

W istocie lekko go zabolało, że zmieniła trochę projekt, nawet jeśli się tego spodziewał. Przecież nie był inżynierem, te sprawy rozumiał jedynie na najbardziej podstawowym poziomie. To oczywiste, że Benyawe zmieniła projekt.

Kilka miesięcy wcześniej polecił jej opracować urządzenie, które zastąpiłoby glaser, i podsunął jej wtedy sugestię jego działania, w pełni się spodziewając, że od razu odrzuci ten pomysł, poklepie go po główce i powie, żeby przestał się bawić w jej piaskownicy. A jednak Benyawe uznała, że warto pomysł rozwinąć, i zebrała zespół inżynierów do jego realizacji. Teraz cenny zalążek rozwinął się w narysowane plany.

– Nazywamy je roztrzaskiwaczami – powiedziała. – Jak wiesz, mamy z obecnym glaserem problem, mianowicie pole grawitacyjne rozszerza się zbyt szybko i na zbyt duży obszar.

Lemowi nie trzeba było o tym przypominać. To go niemal kosztowało życie. Kiedy znajdowali się w pasie Kuipera i strzelili z glasera w dużą asteroidę, pole grawitacyjne zwiększyło się tak szybko i rozciągnęło tak daleko, że niemal pochłonęło statek i zmieniło wszystkich w kosmiczny pył. Ocalił ich tylko szybki refleks Lema.

Benyawe wskazała kilka szkiców na ścianie, które przedstawiały dwa sześciany połączone z sobą długim, poskręcanym sznurkiem.

– Twój pierwotny pomysł to było urządzenie podobne do bolas z dwoma niewielkimi glaserami po obu stronach, które przyczepiają się do przeciwnych biegunów asteroidy. – Starła szkic ruchem rysika i podpłynęła do szczegółowego rysunku. – Roztrzaskiwacze działają w ten sam sposób.

Sześciany zmieniły się teraz w grube krążki; jeden z nich został rozmontowany i unosił się w powietrzu, jakby go sfotografowano mikrosekundę po rozpadnięciu się w wybuchu, tak żeby można było zobaczyć wszystkie szczegóły jego konstrukcji.

– Kiedy je wystrzelić ze statku górniczego, obracają się w przestrzeni jak bolas, co, jak się okazuje, daje znakomity efekt, jeśli odłączymy linę od każdego glasera we właściwym momencie. Ruch obrotowy i dodatkowe ukierunkowanie przez nas umieszcza je po przeciwnych stronach asteroidy, gdzie te łapy kotwiczne wbijają się w skałę. – Wskazała podobne do zębów szpony po bokach roztrzaskiwaczy. – Pozostaje tylko wcisnąć guzik i pozwolić glaserom rozerwać skałę na strzępy. Dwa pola grawitacyjne wejdą w interakcję,

zniosą się wzajemnie i ograniczą niszczycielski zasięg pól do minimum.

– A więc to działa – rzekł Lem.

– W modelach komputerowych. Jest to znacznie bezpieczniejsze od obecnego modelu.

– Dlaczego więc nie podskakujesz z radości? A może coś mi umyka?

– Owszem, jest problem.

– Czyli?

– Pieniądze. Pierwotny glaser nie ulega zniszczeniu przy każdym użyciu. Roztrzaskiwacze zostają rozerwane przez pole grawitacyjne wraz z asteroidą. To jest bardzo kosztowne i pochłonęłoby większość zysku wypracowanego z wydobycia minerałów z danej asteroidy. Nie jest opłacalne.

– A więc sprawcie, żeby było – powiedział Lem. – Użyjcie tańszych części i materiałów, zmniejszcie roztrzaskiwacze, usuńcie wszystko, co nie jest absolutnie niezbędne. Zróbcie, co się da.

– Jesteś pewien, że na to powinniśmy poświęcić dużo czasu, Lemie? – zapytała po chwili milczenia Benyawe.

– A czym chcielibyście się zająć?

– Znalezieniem sposobu walki z Formidami.

– Moja droga, słodka doktor Benyawe, a co według ciebie robicie?

Wyglądała na zdezorientowaną.

– Chcesz roztrzaskiwacze wystrzelić w stronę statku Formidów?

– Chcę ich użyć, jak tylko się da. Jeśli mogą bezpiecznie niszczyć asteroidy, bezpiecznie zniszczą statek razem z tym, co się w nim znajduje.

– Nie dogonimy go, zanim dotrze do Ziemi. A jeśli wejdzie w jej atmosferę, znajdzie się poza naszym zasięgiem. Zresztą kiedy już dolecimy do Luny, zbudowanie roztrzaskiwaczy potrwa wiele miesięcy.

– Będziemy musieli znacznie przyśpieszyć produkcję – powiedział Lem. – Możemy nie mieć wielu miesięcy.

Zawibrowała jego nakładka na nadgarstek, sygnalizując nadejście wiadomości z mostka. Stuknął w nią i powiedział:

– Mów.

– Czujniki dalekiego zasięgu wykryły boję awaryjną.

– Skąd się wzięła?

– Nie możemy określić punktu, z którego została wystrzelona. Biorąc jednak pod uwagę jej trajektorię, można założyć, że znajduje się on w rejonie Bitwy w Pasie.

Zauważył, że ją to zaciekawiło. Bitwą w Pasie załoga nazywała szeroką linię utworzoną przez szczątki, które wykrywały czujniki po zbliżeniu się do trajektorii Formidów. Zważywszy na jednostronny wynik starcia, według Lema odpowiedniejszą nazwą byłaby Masakra w Pasie. Ilość szczątków świadczyła, że na Formidów przypuściło skoordynowany atak od pięćdziesięciu do stu statków górniczych. Z tej odległości czujniki nie mogły ich zidentyfikować, lecz były to zapewne statki wolnych górników i korporacji, chociaż raz zjednoczone przeciwko wspólnemu wrogowi.

Boja wysłana z jednego z tych statków, biorących udział w bitwie, może zawierać bardzo ważne informacje. Może odkryli jakąś słabość w obronie Formidów. A może czegoś się dowiedzieli o ich broni. Przyda się każdy okruch wiedzy.

– Czy ta boja nadaje jakąś wiadomość? – zapytał Lem.

– Tak – odparł Chubs – ale z powodu zakłóceń czujniki wychwytują drobną jej część. Nic nie rozumiemy. Sekwencja błysków świadczy, że to boja OHBK.

Na wypadek awarii radia wszystkie boje miały błyskające światła, żeby można je było zidentyfikować z daleka. Sekwencja Organizacji Handlu i Bezpieczeństwa Kosmicznego była dobrze znana wszystkim.

– Już idę – powiedział Lem.

Rozłączył się i skierował do rury komunikacyjnej. Benyawe, tak jak się spodziewał, trzymała się tuż za nim. Kiedy dotarli do mostka, pośrodku mapy układu wirował obraz boi ze światłami tańczącymi po jej powierzchni.

– Wiadomo, kiedy została wysłana? – zapytał Lem. – Przed czy po bitwie?

– Nie można tego stwierdzić – odparł Chubs. – Może nie mieć nic wspólnego z bitwą. Po prostu nie wiemy.

– Gdzie jest teraz? Damy radę ją przechwycić?

– Nie znajduje się w pobliżu naszej trajektorii. Gdybyśmy zmienili kurs, moglibyśmy ją złapać za jakieś osiemnaście godzin.

– Czy to opóźniłoby nasze przybycie na Lunę? – zapytała Benyawe.

– O co najmniej dwanaście dni – odparł Chubs.

– Dwanaście dni? – powtórzył Lem.

Chubs wzruszył ramionami.

– Tak wynika z obliczeń. Musielibyśmy zwolnić, żeby przechwycić boję, a potem przyśpieszyć do naszej obecnej prędkości. Minimum dwanaście dni.

Lem zastanawiał się przez chwilę.

– Myślisz, że powinniśmy to zrobić?

– Prawdopodobnie nie warto się za nią uganiać – stwierdził Chubs. – Gdyby pochodziła ze statku wolnych górników albo korporacji, mógłbym się spodziewać informacji o sposobie obrony albo broni Formidów, o czymś użytecznym. Ale co może nadawać boja OHBK? Zapewne bezwartościowe ostrzeżenie.

– Może wezwanie pomocy – podsunęła Benyawe.

– Jeśli tak, to została wysłana ze statku przed jego zniszczeniem – rzekł Chubs. – Po bitwie zostały tylko szczątki. A nawet gdyby jakimś cudem kilku ludzi przetrwało we fragmencie statku i wystrzeliło boję, nie wytrwaliby do dziś. Upłynęło za dużo czasu. Nie ma tam nikogo, kogo moglibyśmy uratować.

– Może boja zawiera informacje o bitwie – powiedziała Benyawe. – Jakie statki brały w niej udział, listy załóg. To pozwoliłoby nam przynajmniej udokumentować bitwę dla celów historycznych.

– Nie jesteśmy historykami – stwierdził Chubs. – To nie nasza misja.

– Życie straciło tysiące ludzi – nie ustępowała Benyawe. – Ich rodziny na Ziemi mają prawo wiedzieć, co się z nimi stało. Ta bitwa stanowi świadectwo ludzkiej odwagi.

– Oraz ludzkiej niedoskonałości – powiedział Chubs. – Nie poprawi pani morale na Ziemi przez pokazanie, jak przybysze zgładzili dziesiątki potężnie uzbrojonych statków.

– Ale i nie zachowamy tego w tajemnicy. Ziemia musi wiedzieć, co jej zagraża.

– Moim zdaniem powinniśmy przechwycić boję – powiedział Lem. – W tej chwili nie dysponujemy żadnymi informacjami, które mogłyby coś wnieść do zbliżającego się konfliktu. Ta boja mogłaby je dostarczyć. Pojawimy się dwanaście dni później? Trudno. Przecież na nas nie czekają.

Osiemnaście godzin później załogant wysunął jeden ze szponów statku, używany zwykle do pozyskiwania minerałów, i zahaczył nim o boję. Lem obserwował z mostka, jak szpon wciąga boję do ładowni.

Załoganci podłączyli do jej portów kable. Po trzech sekundach dane zostały ściągnięte.

Lem udał się z Benyawe i Chubsem do salki konferencyjnej obok mostka i wyświetlił pliki z boi w holoprzestrzeni nad stołem. Były tam obrazy statku Formidów, jego trójwymiarowe modele, informacje o trajektorii, prędkości i przewidywanym czasie przybycia statku na Ziemię, lecz nie znalazło się nic nowego, o czym Lem by już nie wiedział. Żadnej analizy broni. Żadnej odkrytej słabości. Lem poruszył ręką w holoprzestrzeni, odsuwając na bok jedne pliki, a inne wysuwając naprzód, by się im lepiej przyjrzeć. Bezwartościowe, bezwartościowe, bezwartościowe. To wszystko były stare wiadomości. Zaczął szybciej poruszać ręką. Niecierpliwił się.

Pojawiła się głowa mężczyzny. To było wideo. Lem znieruchomiał.

Mężczyzna wyglądał na pięćdziesięciolatka – to był podeszły wiek jak na przydział w kosmosie, ale nie taki rzadki wśród wysokich rangą oficerów. Lem wykonał odpowiedni gest i wideo zaczęło się odtwarzać.

– Jestem kapitan Dionetti z Organizacji Handlu i Bezpieczeństwa Kosmicznego, dowódca „Gwiezdnego Jasnowidza". Jak wykazują materiały zawarte w tych plikach, do Ziemi z niewiarygodną prędkością zbliża się obcy statek. Towarzyszymy mu od trzech dni, będziemy nadal utrzymywać tę prędkość i monitorować go do czasu, kiedy dotrze do Ziemi.

– Nie monitoruj go, idioto, tylko zniszcz – skomentował Lem.

– Dwa tygodnie temu wśród statków znajdujących się w wewnętrznej części pasa Kuipera rozeszły się wieści, że jakiś obcy statek zaatakował nieustaloną liczbę statków w pobliżu Kleopatry – ciągnął kapitan z nagrania wideo. – Wieści te rozniosły się szybko wśród jednostek przebywających w tym obszarze. Kilka klanów oraz statków należących do korporacji postanowiło zaatakować obcych, kiedy dotrą na naszą pozycję. Wraz z innymi funkcjonariuszami OHBK wielokrotnie próbowałem stłumić ten nielegalny i niesprowokowany atak…

– Niesprowokowany? – powiedział Lem.

– Przypominaliśmy górnikom, że atakowanie jakiegokolwiek statku jest złamaniem handlowego prawa kosmicznego, ustanowionego przez OHBK i ratyfikowanego przez Radę Bezpieczeństwa ONZ. Nie znamy zamiarów tego obcego statku i takie

agresywne posunięcie mogłoby w sposób uzasadniony sprowokować go do odwetu, co naraziłoby całą Ziemię na niebezpieczeństwo.

Niestety, statki górnicze zignorowały nasze zalecenia i do ataku przystąpiły sześćdziesiąt dwie jednostki. Nasz statek rejestrował wydarzenie z daleka i wśród niniejszych plików są załączone nagrania wideo tej bitwy. Ze smutkiem donoszę, że wszystkie sześćdziesiąt dwie jednostki zostały najprawdopodobniej zniszczone. Jak wynika z nagrań, obcy statek jest zdolny do obrony. Zatem na mocy władzy nadanej mi przez Ustawę o pokoju w kosmosie oraz Ustawę o reagowaniu w sytuacjach kryzysowych w kosmosie, OHBK wydaje rozkaz przerwania ognia wobec obcych. Każdy statek górniczy, który będzie strzelał do obcego statku albo podejmie próbę zatrzymania go, zostanie aresztowany.

– Przerwanie ognia? – zdziwił się Lem. – Powiedzcie mi, że to żart.

– Cała OHBK – stwierdził Chubs.

– Ludzkość ma nastawienie pokojowe – mówił dalej kapitan – i OHBK dołoży wszelkich starań, by ten pokój zachować. Zamiast prowokować gości i zakładać, że mają złe zamiary, wyciągniemy do nich rękę w geście powitania i rozpoczniemy zabiegi dyplomatyczne w celu nawiązania trwałych pokojowych stosunków między przybyszami a ludzkością. Jeśli informacje zawarte w tej boi dotrą do Ziemi przed nami, prosimy o powiadomienie OHBK, że eskortujemy obcy statek, oraz o poczynienie przygotowań, by odpowiednie delegacje powitały go propozycją pokoju. Niech Bóg ma nas w opiece. Koniec transmisji.

Głowa mężczyzny zniknęła.

– Czy oni zwariowali?! – pieklił się Lem. – Propozycja pokoju? Patrzył, jak Formidzi zgładzili sześćdziesiąt dwa statki, i chce ich obsypać podarunkami? Nie do wiary!

– Zobaczył siłę ognia Formidów – rzekła Benyawe. – Usiłuje zapobiec kolejnej masakrze i utrzymać pokój. Strzelanie do Formidów doprowadzi tylko do śmierci kolejnych ludzi. Z tym nie można polemizować. Robi to, co uważa za najlepsze dla Ziemi.

– Nie ma racji – stwierdził Lem. – My też widzieliśmy siłę ich ognia. Widzieliśmy, co zrobili z „El Cavadorem". To nie znaczy, że nagle pójdziemy z nimi do łóżka.

– Nie mówię, że się z nim zgadzam. Mówię, że przedkłada dyplomację nad nierozważne działanie. Rozumiem jego punkt

widzenia.

– Jego punkt widzenia to głupia naiwność. Nie widziałaś tych stworów z bliska, Benyawe. Ja widziałem. Uwierz mi, ładny prezent z uroczą różową kokardą nie zaskarbi nam ich sympatii.

– To co robimy? – zapytał Chubs.

– Jak najszybciej lecimy na Lunę i modlimy się, żeby polityczni idioci nie rozwinęli czerwonego dywanu.

– Lecimy szybciej niż dotychczas? – spytał Chubs.

– Możemy nieco zwiększyć prędkość – powiedział Lem. – Wiem, że staramy się unikać niebezpieczeństwa zderzeń, ale nasza poprzednia prędkość była nieco zbyt umiarkowana. Przesuńmy granice bezpieczeństwa.

– Natychmiast wydam rozkaz. – Chubs udał się na mostek.

Lem popatrzył na holoprzestrzeń, w której niedawno znajdowała się głowa kapitana.

– Jak można być takim durniem? Eskorta? Ten gość patrzył na śmierć tylu ludzi i ma czelność dawać Formidom eskortę?

Benyawe pokręciła głową.

– Sześćdziesiąt dwa statki – szepnęła ledwie dosłyszalnie.

– Sądziliśmy, że mogło być ich więcej – powiedział Lem.

– Tylu ludzi.

Lem machnął ręką przez holoprzestrzeń, szukając wśród plików filmu z bitwy. Znalazł go i odtworzył.

Pojawiła się potężna grupa statków. Pośrodku znajdował się statek Formidów, olbrzymi i imponujący jak ogromny czerwony księżyc pędzący przez kosmos. Dziesiątki statków górniczych krążyły wokół niego jak pszczoły wokół ula, strzelając do Formidów z wszystkich działek, co mimo ich liczby wydawało się całkiem niegroźne.

Nawet z daleka Lem rozpoznał kilka statków z floty ojca. Wszystkie miały dodatkowy pancerz z płyt prymitywnie przyspawanych do kadłuba. Najwyraźniej przygotowały się pośpiesznie do wojny, lecz nowe opancerzenie nie pomogło. Działa Formidów trafiały je kolejno celnymi strumieniami setek kuleczek plazmy i skupiska statków znikały w rozbłyskach, szczątki rozprzestrzeniały się we wszystkie kierunki.

Lem uświadomił sobie, że te statki nic dla Formidów nie znaczą. Jesteśmy komarami, pomyślał. Drobnymi niedogodnościami. Łatwymi do zabicia, prawie niewartymi wysiłku.

Na oczach Lema i Benyawe statek za statkiem rozpadały się w nicość, siejąc dookoła sprzętem i ludźmi. Większość szczątków znikała w przestrzeni, rozpryskując się na wszystkie strony, szczątki innych wpadały w niewidzialne pole rozciągające się za statkiem Formidów i podążały za nim, jakby zmieniały kurs pod wpływem wielkiego magnesu na jego rufie.

Niezniszczone statki niezłomnie parły naprzód, strzelając bez przerwy, zasypując Formidów wszystkim, co miały w arsenale. Skutek zawsze był taki sam. Śmierć, śmierć, śmierć. W kilka chwil rój pszczół się przerzedził; zostało tylko parę upartych statków. Nie widzicie, że to bezużyteczne?! – chciał krzyczeć do nich Lem. Nie widzicie, że zginiecie? Nawet ich nie uszkodzicie. Wycofajcie się, bo zginiecie nadaremno!

Statki w holoprzestrzeni strzelały zapamiętale. Teraz ta kanonada zrobiła się żałosna. Została ledwie garstka statków. A potem zniknęły w nawale ognia Formidów. Został tylko czerwony statek, nieuszkodzony i niezachwiany w swym działaniu, w ciszy pędzący przez kosmos jak pocisk w stronę Ziemi, wlokąc za sobą wstęgę szczątków.

Wideo się skończyło.

Benyawe otarła oczy.

Lem był zaskoczony, gdy uświadomił sobie, że też ma wilgoć pod powiekami. Otarł oczy szybko, wściekły myśląc: Głupcy! Dlaczego się uparli? Dlaczego wszystko zmarnowali? Czyż nie widzieli, że nie drasnęli go nawet? Czy nie wiedzieli, że rodziny na Ziemi będą ich opłakiwać?

Oczywiście, że wiedzieli, pomyślał. Pamięć o rodzinach stanowiła ich siłę napędową. Kazała im walczyć determinacja, by ocalić tych, którzy zostali w domu.

Ja mogłem zrobić to samo. Też mogłem dalej walczyć, kiedy stawiliśmy im czoło. Ale tego nie zrobiłem. Uciekłem. Prysnąłem jak przestraszona mysz. Czy to czyni ze mnie mądrego człowieka, czy większego głupca?

– Muszę przekazać wiadomość ojcu – powiedział. – Laselinie się nie przebijają, ale musimy coś wysłać, cokolwiek. I musimy to wysyłać ciągle, bez przerwy, jako stały przekaz. Może natrafi na miejsce, gdzie zakłócenia są mniejsze. Może ktoś to usłyszy i przekaże dalej. Może się nie uda, ale musimy spróbować.

Czekał, żeby Benyawe coś powiedziała, obojętnie co.

Kiedy w końcu się odezwała, głos jej drżał.

– Co zrobią, kiedy dotrą do Ziemi, Lemie?

Pokręcił głową.

– Nie wiem. Ale nie dotrą. Zniszczę ten statek. Z pomocą mojego ojca czy bez niej – zniszczę go.

ROZDZIAŁ 9

KOMUNIKAT

Victor przestąpił próg małego umeblowanego mieszkania. To był apartament firmy, umieszczony pod ziemią w systemie tuneli Juke Limited i zwykle zarezerwowany dla pracowników z Ziemi odwiedzających centralę korporacji. Zapaliły się światła, a na ścianie, gdzie powinno się znajdować okno, pojawił się obraz nocnego nieba nad Imbrium.

– Ktoś będzie ci przynosił posiłki – poinformowała go Simona. – Jeśli poczujesz głód wcześniej, jest tu kuchenka i w pełni zaopatrzona spiżarnia. Częstuj się.

– A co z Imalą? Nie może wrócić do swojego mieszkania. Pomogła mi uciec. Władze jej pewnie szukają.

– Nie musisz się martwić o panią Bootstamp. Zajmie się nią pan Jukes. Policja nie stanowi problemu.

– Co to znaczy? Ukko kontroluje policję?

Simona zbyła to pytanie milczeniem.

– Przyniosę ci czyste ubranie. Dbaj o swój wygląd i utrzymuj porządek w pokoju. Zapewne będziesz miał gości.

– Powiedziałem wam wszystko, co wiem.

– Pan Jukes będzie chciał potwierdzić twoją relację u swoich ludzi.

– Pracują już nad tym Prescott i Yanyu.

– Pan Jukes ma specjalistów we wszystkich dziedzinach. Będzie chciał, by porozmawiało z tobą wielu z nich.

– Liczy się każda chwila. Dlaczego wszyscy działają tak opieszale? Czy nie powiedziałem wyraźnie, co tu jest stawką? Wojskowi potrzebują czasu na przygotowania.

– Pan Jukes jest inteligentnym człowiekiem. Zapewniam cię, że wie, co robi.

Victor pokręcił głową. Kolejne opóźnienia. Kolejny etap bezczynności.

Simona wycofała się na korytarz.

– Te drzwi będą cały czas zablokowane. Gdybyś czegoś potrzebował, skorzystaj z holoprojektora na nocnym stoliku. Ktoś ci pomoże.

– Więc jestem tu więźniem?

– Trzymamy cię tu dla twojego bezpieczeństwa. LWH nie wie, że tu jesteś, i chcemy, żeby tak zostało.

Wstukała w ścianę kod i bez słowa zamknęła drzwi.

Tego wieczoru przyszła grupa techników i przeprowadziła badanie na wariografie. Victor nie miał nic przeciwko temu. Kiedy jednak umieścili już na jego ciele mnóstwo plasterków i czujników, zaczął się martwić, że urządzenie źle zinterpretuje aktywność jego mózgu. A potem zaczął się obawiać, że odczuwany przez niego niepokój jeszcze bardziej wypaczy wyniki. Kiedy urządzenie skończyło pracę, technicy bez słowa spakowali sprzęt.

– Jaki efekt? – zapytał Victor.

– Nie wiemy – odparł jeden z techników. – My przeprowadzamy badanie. Odczytuje je ktoś inny.

Badanie chyba wypadło na jego korzyść, ponieważ następnego ranka zaczęły go odwiedzać co godzina małe grupy ludzi. Inżynierowie. Psycholodzy. Biolodzy. Victor odpowiadał na ich pytania najlepiej, jak umiał, ale często musiał się przyznać do niewiedzy. Nie, nie widział statku z bliska. Nie, nie wie, ile hormigów jest w środku.

Wielu spośród jego gości zachowywało sceptycyzm. Słuchali uważnie i pracowicie notowali, lecz niektórzy z trudem ukrywali niedowierzanie i pogardę. Kilku wróciło po raz drugi, trzeci i czwarty, w kółko powtarzając te same pytania.

Czwartego dnia Victor stracił cierpliwość.

– Już odpowiadałem wiele razy – powiedział. – Usiłujecie złapać mnie na kłamstwie. Dodajecie szczegóły, których wam nie podałem, żeby zobaczyć, czy to zauważę albo zmienię moją opowieść. Rozpaczliwie szukacie oznak oszustwa, bo macie wysokie mniemanie o sobie i nie przyjmujecie do wiadomości faktu, że ktoś bez stopnia uniwersyteckiego może wiedzieć coś, czego wy nie wiecie.

Niektórzy naukowcy się roześmiali. Inni nadęli się i wypadli z pokoju. Victor miał to gdzieś. I tak wolał być sam.

Piątego dnia przyszła Simona z Imalą, która tak się ucieszyła na widok Victora, że go uściskała.

– Maglują mnie od kilku dni – powiedziała. – Mogę tylko założyć, że ciebie też. Victorze, znaleźli go! Prescott i Yanyu.

Simona ustawiła holoprojektor na stole i z jego rogów wyciągnęła pręty. W holoprzestrzeni pojawiła się transmisja wiadomości na żywo. Na mównicy z emblematem korporacji Juke Limited stał Ukko, za nim – tłum ludzi, z których większość w ciągu ostatnich kilku dni pojawiła się u Victora. Wśród nich byli Prescott i Yanyu.

– Szanowni przedstawiciele prasy – zaczął Ukko. – Obywatele Ziemi i Luny. Nie jesteśmy sami we wszechświecie.

Victor poczuł, jak znika przygniatający go ciężar. To jedno zdanie zakończyło jego misję. Był wolny. Ktoś inny przejął brzemię.

– W tej chwili inteligentny i wrogo nastawiony obcy gatunek zbliża się do Ziemi w statku, jakiego nigdy przedtem nie widzieliśmy – powiedział Ukko w błyskach fleszy. Pokazał na lewo, gdzie nad podwyższeniem znajdowała się holoprzestrzeń. Pojawił się w niej obcy statek zawieszony w kosmosie. – Ten oraz inne hologramy, które dziś rano dostarczyłem do OHBK, nie pozostawiają moim zdaniem żadnych wątpliwości, że nasza planeta znalazła się w poważnym niebezpieczeństwie. – Obcy statek zniknął; w holoprzestrzeni pojawiły się szczątki wykryte przez Yanyu w pasie Kuipera. – Pełni oddania członkowie mojego personelu odkryli dowody, że ten obcy statek jest odpowiedzialny za zniszczenie nieznanej liczby statków górniczych w pasie asteroid oraz poza nim. Obawiamy się, że mogły stracić życie tysiące ludzi. Możemy także udowodnić, że ten obcy statek powoduje zakłócenia w łączności, które od wielu miesięcy utrudniają handel w kosmosie. Mój zespół w tej chwili go śledzi. Jeśli statek będzie zwalniał w obecnym tempie, dotrze do Ziemi za jedenaście dni.

Wśród przedstawicieli mediów rozległ się pomruk. Ukko poprosił gestem o ciszę.

– Musimy zrobić wszystko co w naszej mocy, by zachować spokój i nie dopuścić do ogólnoświatowej paniki. Wzywam wszystkie rządy Ziemi, by zwołały w trybie awaryjnym szczyt w siedzibie Organizacji Narodów Zjednoczonych. Trzeba natychmiast podjąć środki zapobiegawcze. Juke Limited nadal będzie dokładać wszelkich starań, by informować świat i pomagać we wszelkich

przygotowaniach. Oddaję teraz mikrofon członkom mojego zespołu, którzy objaśnią dowody i odpowiedzą na wszystkie pytania.

Zszedł z mównicy i skinął ręką na Prescotta, który wystąpił do przodu i przedstawił się.

– To jest nadawane na wszystkich kanałach – powiedziała Simona, stukając w nakładkę na nadgarstek.

Prescott już mówił:

– Nasze śledztwo się rozpoczęło, kiedy zaczęliśmy prowadzić badania nad rzekomym dowodem umieszczonym w sieciach, a dotyczącym domniemanego obcego statku. Duża część tego dowodu została odrzucona przez przedstawicieli prasy, lecz nasz zespół badaczy nadal go analizował.

To było śmiałe stwierdzenie, ale Victor dostrzegał jego mądrość. Świat zechce kogoś obwinić; ludzie będą źli. Będą chcieli wiedzieć, dlaczego nie powiedziano im wcześniej i dlaczego dano im tak mało czasu na przygotowania. Delikatnym trzepnięciem mediów po rękach Ukko z wyprzedzeniem zmniejszał straty i odsuwał winę od siebie.

Konferencja prasowa trwała godzinę. Mikrofon przejmowali rozmaici członkowie zespołu Juke Limited, żeby przedstawić dowody i odpowiadać na pytania. Victor i Imala oglądali późniejsze programy informacyjne, których prezenterzy bezmyślnie powtarzali komunikat Ukko. Krążyły pogłoski, że oświadczenie przygotowuje dyrektor OHBK. Konferencję prasową zwołał prezydent USA. Obradowało chińskie politbiuro. Wkrótce miał złożyć oświadczenie sekretarz generalny ONZ. W końcu Victor wyłączył przekaz i w pokoju zapanowała cisza.

– Co się teraz stanie? – zapytał Simonę.

– Odbędzie się szczyt ONZ. OHBK rzuci się do działania. Narody świata zadeklarują wsparcie, a politycy, którzy mają choć odrobinę inteligencji, przez wzgląd na następne wybory pośpieszą z pochwałami pana Jukesa i jego zespołu.

– A co ze statkiem? – zapytał Victor. – Czy przygotują flotę, żeby go zniszczyć?

Simona wzruszyła ramionami.

– Jest za wcześnie, żeby coś powiedzieć. To już nie twój problem. Wy dwoje możecie iść. Od tej chwili Juke Limited nie potrzebuje waszych usług. Pan Jukes pragnie wyrazić głęboką wdzięczność za waszą niestrudzoną pomoc i w podzięce pozwala wam lecieć jednym

z promów Juke Limited do stacji Midway. Tam zwrócicie prom i sami załatwicie sobie przelot do pasa Kuipera.

Victor nie wierzył własnym uszom.

– Dajecie mi prom?

– Pożyczamy. Żeby dowiózł cię do Midway. Sam powiedziałeś, że chcesz odnaleźć rodzinę.

– Tak, ale… Gdzie jest haczyk?

– Nie ma haczyka. Pan Jukes docenia ofiary, jakie poniosłeś, i z przyjemnością odda przysługę za przysługę, łącząc cię z rodziną. Mam was natychmiast zawieźć do portu.

– Oboje? – zapytał Victor.

– Imala będzie ci towarzyszyć jako pilot promu. Nie znasz tego statku.

Victor spojrzał na Imalę i od razu zrozumiał z wyrazu jej twarzy, że już się zgodziła.

– Jak możesz? – zapytał ją. – Twoja kariera. Rodzina. Lepiej ze mną nie leć. Podróż do Midway zajmuje sześć albo siedem miesięcy.

– Poprosili mnie o to – odparła Imala. – Po wszystkim, czego dla nas dokonałeś, przynajmniej tyle mogę zrobić. Nie powinieneś podróżować sam.

– Nie muszę podróżować sam. Cały prom dla mnie to hojna, ale niekonieczna propozycja. Na pewno są jeszcze transportowce, które odlatują do pasa Kuipera. A jeśli nie, wkrótce się znajdą. Mnóstwo ludzi będzie chciało znaleźć się jak najdalej od Ziemi i Luny, dopóki to się nie skończy. Proszę mnie umieścić na jednym z tych statków i kłopot z głowy. Po co dawać mi cały prom?

– Pan Jukes chce, żebyś podróżował wygodnie – stwierdziła Simona. – Pieniądze nie stanowią problemu.

Victor nie wiedział, co powiedzieć. Prom. Aż do Midway. Za darmo. To było za dobre, żeby było prawdziwe.

I wtedy sobie uświadomił, że to rzeczywiście jest za dobre, żeby było prawdziwe.

– Ukko nie robi tego ze wspaniałomyślności – powiedział. – On to robi, żeby się mnie pozbyć. Właśnie tak. Trzyma mnie tu w areszcie domowym i odsyła zaraz po swoim komunikacie. Promem z Imalą. Żebym nikomu nie mógł przekazać mojej opowieści. To nie jest prezent. To kaganiec. Nie chce, żebym z kimkolwiek rozmawiał, a zwłaszcza z mediami. Nie chce, bym powiedział dziennikarzom, że

jego syn jest mordercą. Odsyłając mnie stąd, chroni Lema. Niech mi pani powie, czy mam rację.

– Może jednak pan Jukes jest ci naprawdę wdzięczny, a ty go źle oceniasz.

– O, tak, źle oceniam człowieka, który od dziesiątek lat atakuje rodziny takie jak moja, człowieka, który nazwał mnie barbarzyńcą, groził mi i uwięził…

– Który chronił cię przed władzami – poprawiła go Simona.

– Dla własnego zysku! Naprawdę uważa mnie pani za tak głupiego, bym uwierzył, że Ukko Jukes zrobiłby cokolwiek z dobroci serca?

– Zastanów się przez chwilę – odezwała się Imala. – Czy motywacje Ukko mają znaczenie? Dostajesz prom, żeby wrócić do rodziny. Odlatujesz stąd. To się liczy.

Odwrócił się do niej ze złością.

– Bierzesz ich stronę?

– Nie biorę niczyjej strony. Myślę o twoim interesie. Co z tego, że Ukko chce chronić swojego syna? W porządku. Nie rób z tego swojej sprawy.

– Ale to jest moja sprawa. To zdecydowanie jest moja sprawa. Lem zabił mojego wuja.

– I co zamierzasz z tym zrobić? – zapytała Imala. – Pójść na policję? Wnieść oskarżenie? Jest nakaz aresztowania ciebie. Policja cię nie wysłucha. A zresztą jakie masz prawne uzasadnienie? Nie masz ciała. Żadnych dowodów. Żadnych innych świadków. Ukko zatrudnia najpotężniejszą armię prawników na świecie. Myślisz, że będzie się spokojnie przyglądał, jak rzucasz oskarżenia? On jest właścicielem tego miasta. Jest właścicielem całej Luny. Sędziów prawdopodobnie też. Mówię ci jako ktoś, kto wie na pewno, że jeśli wypowiesz mu wojnę, to ją przegrasz. Proste.

– Co się z tobą stało, Imalo? Dwa tygodnie temu usiłowałaś w pojedynkę zniszczyć tego człowieka. Teraz uciekasz jak pies z podkulonym ogonem.

Widział, że te słowa były dla niej jak policzek, i natychmiast ich pożałował.

Imala zmrużyła oczy.

– Co się stało? Do Ziemi zbliża się obcy statek, to się stało. Nie podoba mi się to tak samo jak tobie. Wierz mi, nikt nie gardzi Ukko

bardziej niż ja, ale w ten sposób mu nie zaszkodzisz. Ty wyszedłbyś z tego przegrany.

– Ona mówi rozsądnie, Victorze – wtrąciła Simona.

– Niech pani nie bierze mojej strony – powiedziała Imala.

– A więc wiedziałaś, że chcą się mnie pozbyć? – zapytał Victor Imalę. – Wiedziałaś, że taka jest ich motywacja? I zgodziłaś się na to?

– Oczywiście, że wiedziałam. I wiedziałam, że sam się tego domyślisz. My dostajemy, czego chcemy, Ukko dostaje, czego chce…

– A Lemowi uchodzi na sucho morderstwo.

– Nie przybyłeś tu w poszukiwaniu zemsty. Przybyłeś, by wykonać zadanie.

Victor odwrócił się do Simony.

– Jeśli Ukko robi to wyłącznie z wdzięczności, uszanuje moją prośbę polecenia transportowcem.

– Nie ma takiej możliwości – odparła Simona.

Victor uśmiechnął się sardonicznie.

– Tak sądziłem.

* * *

Polecieli śmigaczem do małego, prywatnego portu kosmicznego położonego na północ od Imbrium, daleko poza zasięgiem czujnego wzroku Lunarnego Wydziału Handlu. Imala nigdy o nim nie słyszała i nie widziała go na żadnej oficjalnej liście Wydziału Celnego. Powiedziała to, lecz Simona zignorowała jej uwagę i zapewniła ich oboje, że port jest legalny.

Śmigacz wsunął się na stanowisko przy wejściu do terminalu i Simona wprowadziła ich do środka. Terminal był wąski, miał dwanaście wyjść, po sześć z każdej strony. Poza kilkoma technikami, którzy przygotowywali promy i ładowali zaopatrzenie, nie było tam nikogo.

Simona zaprowadziła ich do odpowiedniego wyjścia i przeciągnęła dłonią przez holoprzestrzeń obok drzwi rękawa prowadzącego do promu. Kiedy się otworzyły, przeszła przez nie przed Victorem i Imalą.

Prom był nieduży, a większość miejsca zajmowała ładownia mierząca dziesięć metrów na dwadzieścia. Pośrodku przymocowano kilka palet z pakunkami.

– Dostawa dla Midway – wyjaśniła Simona. – Kiedy będziecie zwracać prom, zostawicie to tak, jak jest.

Pokazała im następnie, gdzie się znajdują zapasy jedzenia dla nich oraz hamaki i zapytała Imalę, czy ma jakieś pytania o układ sterowania. Imala nie miała żadnego.

Simona wyciągnęła rękę.

– A zatem powodzenia. Mam nadzieję, że odnajdziesz swoją rodzinę, Victorze.

– Dzięki. A ja mam nadzieję, że pani zmądrzeje i znajdzie sobie nowego pracodawcę.

– Może kiedyś. – Mrugnęła. – Niech słońce świeci ci w plecy, Imalo.

– I tobie też – odparła Imala.

Simona wyszła i zablokowała za sobą drzwi do rękawa.

Imala usiadła w fotelu pilota, przypięła się, wprowadziła do konsoli kilka poleceń i włączyła wirtualną przednią szybę.

Victor usiadł obok niej w fotelu drugiego pilota.

– Na pewno umiesz tym latać? Myślałem, że jesteś rewidentką księgową.

Wprowadzała dalsze polecenia.

– Mój ojciec jest w Arizonie pilotem. Robił wszystko, żebym poszła w jego ślady. Miałam lekcje pilotażu, szkolenie w niskiej grawitacji. Gdy byłam dzieckiem, zabrał mnie nawet na lot promem orbitalnym i namówił pilota, żeby na kilka minut dał mi stery. Chyba myślał, że przeżyję jakieś magiczne doświadczenie, które przekona mnie do kariery pilota. Kiedy powiedziałam, że chcę pracować w podatkach i cłach, złamałam mu serce.

– To dość odległe od latania.

– I według niego nie najbardziej prestiżowe. Cóż mogę powiedzieć? Fascynuje mnie makroekonomia i struktury finansowe. Ojciec nazwał to katastrofalnym błędem. – Uśmiechnęła się. – Trzeba znać mojego ojca. Nie jest najbardziej otwartym z ludzi. Usiłował nawet wydać mnie za innego Apacza, żebym nie poleciała na Lunę. Prawdziwego członka plemienia, jak ojciec. Duma narodu i takie tam. Zachowanie naszego dziedzictwa. Mimo to chłopak mi się podobał. Gdyby to nie mój ojciec przedstawił nas sobie i gdyby tak mnie nie przynaglał, nie wiem, co by się stało. Matka powiedziała, że zerwałam tę znajomość na złość ojcu, i pewnie ma rację. Kiedy wyjeżdżałam z domu, pożegnanie było mało serdeczne.

Powiedzieliśmy sobie z ojcem kilka słów, które prawdopodobnie nie powinny zostać powiedziane.

– Dlatego nie wracasz do Arizony? Dlatego lecisz ze mną?

– Lecę z tobą, Victorze, ponieważ nie powinieneś robić tego sam i ponieważ uważam, że świat jest ci to winien.

– I uważasz, że akurat ty musisz spłacić ten dług, Imalo? Przybyłem tu sam. Nie jestem bezradny.

– Owszem, ale chyba zapominasz, że zmarniałeś prawie na śmierć i od czasu przybycia samodzielnie nic nie zdziałałeś. Gdybym ci nie pomogła, wciąż byś był w szpitalu dla rekonwalescentów, czekając na proces, a świat nic by nie wiedział o tym, co się zbliża.

Victor oparł nogi o konsolę i skrzyżował ręce za głową.

– Moja bohaterka. Co ja bym bez ciebie zrobił?

– Niewiele.

Zaczepy puściły i Imala podniosła prom nad port.

Victor wyprostował się, nagle poważny.

– Jesteś tego pewna? To roczna podróż. Pół roku w jedną stronę, pół roku z powrotem.

– Umiem liczyć, Victorze.

– Tak, ale byłaś popędzana. Nie jest za późno na zmianę decyzji.

– Dajesz mi do zrozumienia, że nie chcesz towarzystwa?

– Nie, mówię, że to ofiara, której nie musisz ponosić.

– Nie mogę zostać na Lunie, Victorze. I nie wrócę do domu. Jeśli wrócę do domu, będę bezużyteczna. Tutaj mogę coś zrobić. Wprawdzie nie potrafię zatrzymać statku hormigów, ale mogę trochę pomóc. Pozwolisz mi na to? Uczynisz mi tę uprzejmość?

Uśmiechnął się i odepchnął od fotela, nic już nie ważąc.

– Pod jednym warunkiem: moja rodzina nazywa mnie Vico. Jeśli mamy przebywać w tej puszce pół roku, powinniśmy traktować się jak rodzina.

Uśmiechnęła się szeroko i wypróbowała brzmienie nowego słowa.

– Vico. Może uda mi się zapamiętać.

* * *

Kilka dni lecieli w stronę Ostatniej Szansy, niewielkiego składu z zaopatrzeniem, będącego ostatnim w tym kwadrancie przystankiem dla podróżujących do pasa Kuipera. Od tego miejsca załogi mogły się spodziewać kilku miesięcy i dwóch milionów kilometrów niczego.

Victor i Imala nie potrzebowali zaopatrzenia, ale rozpaczliwie pragnęli wiadomości. Ich prom stracił kontakt z Luną drugiego dnia z powodu zakłóceń, więc nie mieli pojęcia, jakie przygotowania poczyniły od tamtego czasu Ziemia i Luna.

Kiedy zbliżali się do składu odległego jeszcze o kilka godzin, Victor powiedział:

– Oczywiście zdajesz sobie sprawę, że cumujące tu statki najprawdopodobniej będą wiedziały mniej od nas o tym, co się dzieje. Nie mają łączności z tego samego powodu co my. Będą wypytywać o informacje nas, a nie na odwrót.

– Zapewne – zgodziła się Imala. – Ale nasz prom nie jest tu najszybszym statkiem. Może są przy składzie statki, które odleciały z Luny po nas. Te mogą wiedzieć coś, czego my nie wiemy.

Dane lotu promu wykazywały, że Ostatnia Szansa ma dziesięć stanowisk cumowania z rękawami. Kiedy skład znalazł się w polu ich widzenia, Victor zobaczył, że przywarło do niego co najmniej cztery razy tyle statków.

– Jest tłok – zauważył. – Nie wejdziemy na pokład.

– Może nie musimy – odparła Imala. – Laselinie działają na małych odległościach. Jeśli podejdziemy dostatecznie blisko, podadzą nam wiadomości bezpośrednio na statek.

Gdy znaleźli się mniej niż sto klików od stacji, Imala wywołała ją przez laselinię.

W holoprzestrzeni pojawiła się głowa korpulentnej kobiety.

– Poprosiłabym o rękaw cumowniczy, ale chyba nie macie żadnego wolnego – powiedziała Imala.

– Nie mamy. Zapraszam jednak do podłączenia się do naszych wiadomości.

– Dostajecie przekazy z Luny?

– Tylko tekst. Szerokość pasma nie pozwala na przesyłanie głosu ani obrazu.

– Jak dostajecie nawet tyle? My nie odbieramy niczego.

– Stworzyliśmy sznur statków między nami i Luną, rozmieszczonych co jakiś milion klików. Tak jak ludzie podający sobie wiadra z wodą przy gaszeniu pożaru, przekazują laselinią informacje w miarę ich napływu. Ale nie jest to system idealny. Zniekształcenia, które zwykle zdarzają się co dziesięć milionów klików, teraz występują co sto tysięcy. Więc z odległości miliona klików ledwie można odczytać bardzo powolną transmisję. Statki

muszą powtarzać wiadomości trzy razy i domyślać się niektórych fragmentów, ale i tak w tekście pojawiają się zniekształcenia i dziury. Mam pani wysłać kody do ściągnięcia?

– Tak, proszę – powiedziała Imala.

– Jest za to opłata.

– Policzy mi pani za wiadomości?

– Utrzymywanie statków przekaźnikowych nie jest tanie. Inaczej nie przedostałyby się żadne informacje.

– Ile?

Kobieta wymieniła absurdalną sumę. Imala chciała się sprzeczać, ale Victor powiedział:

– Zapłacę.

Rodzina zostawiła mu pieniądze na naukę na uniwersytecie. Mógł ich tu trochę wydać.

Pięć minut później na ich monitorze pojawił się tekst pochodzący z rozmaitych kanałów informacyjnych. Był pełen dziur i fragmentów zdań, ale Victor i Imala zrozumieli sedno każdego z przekazów.

Victor miał nadzieję, że utworzono flotę, ale szybko stało się jasne, że do tego nie doszło. OHBK nawoływała do spokoju i zalecała dyplomację, poszukując sposobów porozumienia się z hormigami, kiedy już przybędą. ONZ zwołała szczyt, jak sugerował Ukko Jukes, ale jedynym dokonaniem tego politycznego cyrku było mianowanie ambasadora Egiptu, Kenwego Zubeki, na nowo utworzone stanowisko sekretarza do spraw obcych, całkowicie pozbawione władzy czy wpływów. Zubeka chyba nie zauważał, jak niewiele znaczy, i wciąż wystosowywał niemądre oświadczenia dla prasy. Zapytany o statki zniszczone w pasie Kuipera, powiedział: „Nie wiemy, na jakie nieporozumienie czy prowokację zareagowali nasi goście. Jestem przekonany, że kiedy tylko zdołamy nawiązać łączność, odbędziemy pokojową rozmowę, która przyniesie korzyści obu naszym gatunkom”.

– To jakieś żarty? – zapytał Victor. – Nieporozumienie? Zamordowanie tysięcy ludzi nazywa nieporozumieniem? Kiedy zabili Włochów, to nie było nieporozumienie. To było celowe. Wiedzieli, co robią.

– To typowa geopolityka, Vico. Tylko nieliczne kraje utrzymują wojskową obecność w kosmosie. Większość dużych potęg ma promy i statki towarowe, które są przystosowane do latania w kosmosie i mogą zostać uzbrojone, ale żeby stworzyć flotę, zgromadzić dość

statków do przypuszczenia ataku albo utworzenia blokady, potrzebujemy koalicji Stanów Zjednoczonych, Rosji, Chin, Indii, Francji. Te kraje nie współpracują z sobą najlepiej. Chińczycy nie ufają Rosjanom, Indie nie ufają Chińczykom, a Stany nie ufają nikomu, może poza kilkoma krajami w Europie. Żaden kraj nie chce działać samotnie. Jeśli wyprawią się same, ryzykują uszkodzenie statków i osłabienie arsenału. To mogłoby je narazić na ataki innych potęg.

– Więc nie zamierzają nic robić? Dlaczego wygląda na to, że wszyscy uważają bierność za najlepszy tryb postępowania?

– Są ostrożni, Vico. A przynajmniej tak się usprawiedliwiają. Siedzą cicho i chcą zobaczyć, co się stanie. Mają nadzieję, że sytuacja rozwiąże się sama. Postępują tak, jak zawsze postępują ludzie, kiedy wojna wydaje się nieuchronna, a większość zmiennych jest wciąż nieznana. Zachowują się jak ten dobry i czekają, żeby ten drugi strzelił pierwszy.

– Formidzi nie strzelają pierwsi, Imalo. Oni rozdzierają na strzępy. Znajdują życie i je niszczą. Nie interesuje ich dyplomacja czy zasiadanie do stołu i nawiązywanie przyjaźni. Interesuje ich wykrwawienie nas do cna.

Czytali dalej, ale sytuacja tylko się pogorszyła. Na całym świecie wybuchały zamieszki – ludzie wychodzili na ulice i żądali, by rządy podjęły jakieś działanie. Donoszono o zabitych. Rządy nadal wzywały do zachowania spokoju. Media omawiały także filmiki, które przesłali do sieci Victor i Imala. Specjaliści analizowali każdy szczegół, spędzając o wiele za dużo czasu na usprawiedliwianiu mediów, że początkowo zignorowały te dowody. No bo w sumie wyglądały one jak te wszystkie straszne filmiki.

Kiedy skończyli czytać, Victor powiedział:

– Nie możemy lecieć dalej, Imalo. Na razie zostajemy przy tej stacji. Musimy zobaczyć, jak to się rozegra.

Nie odlatywały też żadne inne statki. W ciągu kilku kolejnych dni ich liczba wzrosła. Victor i Imala zaprogramowali monitor, żeby sygnalizował pojawienie się każdej nowej informacji bez względu na to, czy spali, czy nie.

Zostali jeszcze kilka dni, czytając sobie nawzajem informacje na głos natychmiast po ich pojawieniu się. Victor czasami tak się irytował zidioceniem rządów albo prasy, że prosił Imalę, by przestała czytać. Potem udawał się do tyłu promu, żeby ochłonąć.

– Tyle wysiłku, tyle czasu spędzonego w szybkostatku, żeby Ziemia mogła się przygotować, żeby kraje mogły zebrać środki do podjęcia akcji i nikt nic nie robi – powiedział pewnego dnia. Chciało mu się płakać. Chciał sięgnąć przez kosmos i kimś potrząsnąć. – Jak oni tak mogą?

– Bo świat nie myśli tak jak rodzina wolnych górników, Vico. Nie jesteśmy jednym narodem. Jesteśmy podzieleni, zbyt zajęci naszymi własnymi interesami i granicami. Jesteśmy jedną planetą, ale patrząc na nas, nie domyśliłbyś się tego.

Wśród całej tej głupoty odzywały się też głosy rozsądku. Kilka rządów było tak oburzonych i zbitych z tropu przez brak działania jak Victor. Niemcy, Australia, Nowa Zelandia, Argentyna, Południowa Afryka. Wszystkie opowiadały się za stworzeniem koalicji w celu zbudowania natychmiastowej obrony. Lecz Rosja, Chiny i Stany Zjednoczone odrzuciły ten pomysł na posiedzeniu Rady Bezpieczeństwa ONZ. Dalsze prowokacje wywołałyby tylko dalszą przemoc.

Czwartego dnia, w otoczeniu niewielkiej eskorty statków OHBK, statek hormigów osiągnął geosynchroniczną orbitę Ziemi i się zatrzymał.

ROZDZIAŁ 10

STATEK BAZA

– Co widzisz? – zapytał Bingwen. – Wpuszczają ludzi do biblioteki?

Skoczek przywarł nad nim do rynny biegnącej po ścianie jednego z domów w wiosce. Nawet ze swoją chromą nogą zawsze dobrze się wspinał, bo pomagało mu ułożenie chorej stopy – była lekko skręcona do środka, co pozwalało mu pomykać po chwiejących się, cienkich i wilgotnych rynnach.

– Musi tam być ze czterysta osób – powiedział Skoczek.

Było już dobrze po zapadnięciu ciemności i wśród tłumu świeciły lampiony. Niemal wszyscy mieszkańcy pobliskich wiosek przyszli do biblioteki, żeby zobaczyć, co się stanie po przybyciu obcego statku. Gdzieś tam znajdowali się rodzice Bingwena i jego dziadek. Początkowo Bingwen stał z nimi, trzymając się ręki matki. Kiedy jednak rosnący tłum powoli ruszył w stronę biblioteki, ludzie zaczęli

się tłoczyć i Bingwen przestraszył się, że zostanie zmiażdżony. Zanim matka zdołała go powstrzymać, dał nura między nogi ludzi i przepełzł do tyłu na wolną przestrzeń, gdzie znalazł Skoczka.

– Pani Yí zamknęła drzwi – relacjonował Skoczek. – Wchodzi na krzesło.

Bingwen rozpaczliwie chciał popatrzeć. Rozejrzał się. Z prawej strony pod parapetem stała beczka na deszczówkę. Ze sterty śmieci chwycił skrzynkę na owoce i wszedł po niej na beczkę, a stamtąd wciągnął się na parapet. Nie miał tak dobrego widoku jak Skoczek, ale znalazł się nad głowami tłumu.

Pani Yí, bibliotekarka, uciszała ludzi gestami rąk.

– Proszę. Proszę wszystkich. Biblioteka jest zamknięta. Otworzymy ją jutro w normalnych godzinach urzędowania, żeby obejrzeć wiadomości.

Tłum natychmiast zawrzał oburzeniem.

– Proszę nas wpuścić do środka! – krzyknął ktoś.

– Chcemy dzisiaj obejrzeć wiadomości!

Pani Yí znowu zamachała rękami.

– Nawet gdybym mogła was wpuścić, nie mamy dość komputerów. Nie zmieścicie się wszyscy. Jeśli dowiemy się czegoś, wywieszę informację w oknach.

– Otworzy pani drzwi! – rozległ się gniewny głos.

– To nasza biblioteka!

– Odepchnijcie ją z drogi!

– Za chwilę wyrwą jej ręce – powiedział Skoczek.

Miał rację. Sytuacja zaczęła się wymykać spod kontroli. Bingwen musiał szybko coś zrobić.

– Skoczku, idziemy na dach.

Przyjaciel uśmiechnął się do niego szelmowsko.

– Nie wiem, o czym myślisz, ale już mi się to podoba.

Bingwen opuścił się na ziemię, a Skoczek za nim. Pobiegli dookoła tłumu na tyły biblioteki. Nie było tam żadnych drzwi ani okien, tylko gładko otynkowana ściana.

– Nie ma jak wejść – stwierdził Skoczek. – Nie ma się po czym wspiąć. Mógłbym cię podsadzić, ale to są cztery metry wysokości.

Bingwen prawie go nie słuchał. Przebiegł obok Skoczka za budynek, gdzie rosła wysoka trawa. Bambusowa drabina znajdowała się tam, gdzie ją zostawił, przytwierdzona do ziemi dwoma zagiętymi kołkami. Nawet gdyby ktoś na niej stanął, zapewne by jej nie

zauważył, tak dobrze była zamaskowana gęstą trawą i zaroślami. Bingwen wysunął drabinę spod kołków i zaciągnął do budynku.

– Co to takiego? – zdziwił się Skoczek.

– Drabina.

– Widzę, ale skąd się wzięła?

– Zrobiłem ją.

– Kiedy?

– Jakiś rok temu.

– A kiedy zamierzałeś mi o tym powiedzieć?

Bingwen machnął ręką.

– Skoczku, przedstawiam ci moją drabinę. Drabino, to jest Skoczek.

– Bardzo zabawne. Chcesz powiedzieć, że od roku zakradasz się do biblioteki?

– Właściwie od kilku lat. To jest trzecia, którą zrobiłem.

Bingwen oparł drabinę o krawędź dachu, zręcznie umieszczając bambusowe tyczki w dwóch niedużych rowkach, które wyżłobił w tym celu. Potrząsnął nią, żeby sprawdzić, czy pewnie stoi, i wskazał najniższy szczebel.

– Ty pierwszy.

Skoczek pokręcił głową.

– Od kilku lat? Dlaczego mnie to nie dziwi?

Wszedł na drabinę, a przyjaciel za nim.

Dach był płaski. Bingwen wciągnął drabinę i położył ją z boku.

– Dlatego zdajesz wszystkie sprawdziany – stwierdził Skoczek. – Oszukujesz od lat.

– Nie oszukuję – zaprotestował Bingwen. – Uczę się więcej.

– Kiedy?

– Najczęściej do trzeciej albo czwartej rano. Spodobałoby ci się. Jest wtedy bardzo cicho.

– To wyjaśnia, jak się nauczyłeś angielskiego.

– A co, myślałeś, że mógłbym się go nauczyć w ciągu tych nędznych kilku godzin, które nam dają? To najbardziej pokręcony język świata.

– Przestań używać takich słów jak „nędzny”. Przez ciebie czuję się tylko bardziej głupi.

Bingwen położył mu rękę na ramieniu.

– Nie jesteś głupi, Skoczku. Jesteś bystry. Ja się uczę więcej, bo muszę. Nie chwytam pojęć tak szybko jak ty.

Skoczek założył ręce na piersi i zmarszczył brwi.

– Tylko tak mówisz, żebym poczuł się lepiej.

Bingwen ułożył palce w kształt nożyczek i przeciął nimi powietrze.

– Skróćmy tę cudowną chwilę bliskości i wejdźmy do środka, dobra?

Bingwen pośpieszył do obracającego się kulistego wywietrznika, ukląkł przy nim i zdjął gumowy ochraniacz z podstawy. Następnie oplótł go rękami, przekręcił i podniósł. Wywietrznik dał się łatwo zdjąć, odsłaniając dziurę w dachu.

– Jak ty to podnosiłeś, kiedy zacząłeś tu przychodzić? – zapytał Skoczek. – Nie miałeś na tyle długich rąk, żeby objąć wywietrznik.

– Układ bloczków – wyjaśnił Bingwen. – Trochę liny, trochę bambusa, dużo pracy. Wierz mi, tak jest znacznie łatwiej.

Skoczek znowu pokręcił głową.

– Nie do wiary.

Bingwen odstawił wywietrznik na bok. Skoczek pochylił się i zajrzał do dziury.

– Do podłogi są cztery metry. Jak je pokonamy? Nie, niech zgadnę. Wciągarki i rusztowanie z pędów ryżu i gumy balonowej?

Bingwen uśmiechnął się szeroko.

– Kolego, mamy drabinę.

– Jasne. – Skoczek się zaczerwienił.

Przynieśli drabinę, opuścili ją przez dziurę i weszli do środka. Znajdowali się w południowo-zachodnim rogu budynku, odgrodzonym od reszty biblioteki wysokimi regałami z książkami.

– I co teraz? – szepnął Skoczek.

Bingwen podczołgał się do końca regału i wyjrzał. Drzwi frontowe były zaryglowane, a pani Yí siedziała przy terminalu i w towarzystwie dwóch swoich asystentów oglądała wiadomości.

– A to połykaczka błota! – oburzył się Skoczek. – Ona może oglądać wiadomości, a my nie?

– Chodź za mną – powiedział Bingwen.

Przepełzli wzdłuż tylnej ściany do głównego biura. Bingwen uniósł róg wykładziny i wyjął spod niej kartę dostępu.

– Nawet nie będę pytać, jak ją zdobyłeś – rzekł Skoczek.

Bingwen otworzył drzwi, schował kartę z powrotem i chłopcy weszli do biura. Projektor i antena znajdowały się w szafce.

– Wyciągnij ręce – polecił Bingwen, podając Skoczkowi oba urządzenia.

Wzmacniacz i głośnik były w szufladzie z tyłu. Bingwen włożył je do kieszeni i machnął na przyjaciela, żeby wyszedł za nim.

Przy drabinie Skoczek powiedział:

– Ty bierzesz lekkie rzeczy, a ja ciężkie?

Bingwen przyłożył palec do ust, wziął antenę i wspiął się po drabinie. Kiedy obaj znaleźli się na dachu, wciągnął drabinę i ustawił wywietrznik na miejscu.

– Gdybyś mi od razu powiedział, że planujesz kradzież – rzekł Skoczek – mógłbym nam obu zaoszczędzić trochę czasu w więzieniu, mówiąc ci, że ten pomysł jest durny jak zad jaka.

– To nie kradzież. Ten sprzęt wcale nie opuści biblioteki.

Bingwen przeniósł wszystko na drugą stronę dachu, nad drzwi frontowe. Tłum wciąż tam był, ale ludzie już się uspokoili i siedzieli w małych grupach przy wioskowych schodach albo na nielicznych spłachetkach trawy, rozmawiając cicho i czekając, aż bibliotekarka przyniesie im jakieś wieści. Nikt nie zauważył rozstawiającego sprzęt Bingwena.

Zajęło mu to tylko chwilę. Kiedy wszystko było gotowe, zdjął klapkę z soczewki i na ścianie domu naprzeciwko biblioteki pojawił się obraz programu informacyjnego. Na jednej z ulic Pekinu stał reporter. Za nim było widać tysiące ludzi, którzy wpatrywali się w potężne ekrany na ścianach budynków. Wszystkie pokazywały na żywo obraz czerwonego statku kosmicznego w kształcie olbrzymiej łzy.

Przed biblioteką ktoś krzyknął i wskazał obraz.

– Spójrzcie!

Z głośnika zagrzmiał głos reportera. Bingwen poprawił jakość dźwięku i wieśniacy szybko skupili się przed obrazem. Kilku biło brawo i gwizdało, a potem na chwilę skierowało światło latarek na dach, żeby zobaczyć, kto im się tak przysłużył. Na skraju dachu stał Skoczek z wypiętą piersią i machał do tłumu jak generał wracający z wojny.

Bingwen zauważył dziadka, który do niego mrugnął.

– …dziesiątki tysięcy ludzi wyległy na ulice – mówił reporter. – Wszyscy chcą razem zobaczyć i przeżyć to historyczne wydarzenie. Zatrzymałem parę osób, a ich uczucia obejmują całą skalę emocji. Niektóre mówiły mi, że się boją, że zniszczenie statków górniczych w pasie Kuipera bardzo je niepokoi…

Reporter paplał bez końca.

– Boisz się, Bingwenie? – zapytał Skoczek.

Siedzieli obok siebie na krawędzi dachu i ciasno obejmowali kolana rękami, żeby nie zmarznąć. Bingwen delikatnie przesunął stojący przed nim głośnik, by dochodzący do nich dźwięk był trochę cichszy, ale żeby ludzie dobrze słyszeli.

– A ty nie?

– Nigdy nie przyznałbym się ojcu ani Meilin… ale śnią mi się teraz koszmary. Matka mówi, że krzyczę w nocy. Sen jest taki prawdziwy. Stwór stoi nade mną. Tylko że nie ma na sobie skafandra ciśnieniowego. Nie ma na sobie nic. Po prostu stoi i patrzy na mnie z góry. – Skoczek popatrzył w niebo, jakby mógł zobaczyć za czernią statek.

– To sen, Skoczku. Mnie się też takie śnią.

Skoczek odwrócił się zaskoczony.

– Śnią się wielu ludziom – mówił dalej Bingwen. – Nawet mojemu ojcu. Zeszłej nocy musiał ochlapać sobie twarz wodą i posiedzieć przy ogniu. Nie mógł znowu zasnąć. Nigdy go takiego nie widziałem. Ale to są sny, Skoczku. I nie będą niczym więcej. W przekazie statek wygląda na duży, lecz świat jest o wiele większy. Stwory tutaj nas nie tkną.

– Sam w to nie wierzysz. Powiedziałeś mi, że mam się spodziewać najgorszego. Gromadzisz zapasy. Przygotowujesz się na najgorsze.

To była prawda. Bingwen zbierał żywność od chwili, kiedy Yanyu wysłała mu tamto wideo. I mówił Skoczkowi, by robił to samo. Ale Skoczek nie potrzebował teraz ponurych słów o zagładzie. Skończył się czas przygotowań. Teraz mogli już tylko zachowywać spokój i czujność.

– Jestem ostrożny – rzekł Bingwen. – Robię to głównie na wypadek, gdyby zmniejszyły się zapasy żywności i nie przyjeżdżały ciężarówki. Mamy z dziadkiem dużo, będziemy się dzielić.

– Tylko starasz się mnie pocieszyć.

– Tak. Cofam wszystko, co dziś powiedziałem, zwłaszcza to, że jesteś bystry. – Bingwen pokazał przyjacielowi w uśmiechu wszystkie zęby.

Skoczek przewrócił oczami i szturchnął go lekko w ramię.

Dochodzące z dołu krzyki zaskoczyły ich obu.

– Przestańcie! – Pani Yí wypadła z budynku, wymachując rękami. – Przestańcie! – Zatrzymała się przed obrazem rzucanym na ścianę i odwróciła do tłumu. – Nie możecie tego robić. Idźcie do domu! –

Wycelowała palec w Bingwena. – Ty mały szczurze, odnieś wszystko z powrotem.

Ktoś rzucił butem. Światło z projektora raziło panią Yí w oczy, więc uchyliła się w ostatniej chwili. But odbił się lekko od jej torsu, ale pani Yí zapiszczała, jakby jej urwał rękę. Kilka osób się roześmiało.

– Wracaj do środka! – zawołał ktoś.

– Daj nam spokój!

– Zejdź z obrazu!

Pani Yí zrobiła hardą minę.

– Dowie się o tym dyrektor rejonowy!

Poleciał kolejny but; pani Yí znowu zapiszczała i się wycofała, zakrywając twarz ramieniem. Roześmiało się więcej osób. Bingwen odprowadzał ją wzrokiem. Było mu przykro.

Pani Yí zatrzymała się przy drzwiach biblioteki i poświeciła latarką na dach.

– Nigdy więcej nie postawisz stopy w tym budynku, Bingwenie. Rozumiesz? Ty też, kaleko.

– Jedz pierdnięcia, świńska twarzy! – wrzasnął Skoczek.

Jeszcze więcej ludzi wybuchnęło śmiechem i pani Yí zniknęła w budynku.

– Dobre posunięcie – stwierdził Bingwen. – Teraz już nigdy nie przystąpisz do sprawdzianu.

– I tak nie zamierzała nas do niego dopuścić. Poza tym nie potrzebujemy jej. Przyjdziemy o trzeciej rano i wtedy napiszemy sprawdzian. Tak, drabinowy chłopcze?

Wrócili do oglądania przekazu. Reporter przeprowadzał wywiad z jakimś przechodniem, ale przerwał mu prezenter w studiu i zaczęto transmisję na żywo. Do obcego statku zbliżyło się ostrożnie kilka promów programów informacyjnych, które dały widzom poczucie skali. Bingwen się zdziwił, jak ogromny jest ten czerwony statek. Widział cały materiał dowodowy, który przekazała mu Yanyu, przeanalizował wszystkie dane i wideo, które zamieścił w sieciach wolny górnik. Ale liczby to tylko liczby. Ten statek był prawdziwy i większy od wszystkiego, czego zbudowanie wymarzyli sobie ludzie.

Tłum wieśniaków teraz milczał. Skoczek miał szeroko rozwarte oczy, zesztywniał ze strachu.

Rozległ się głos komentatora:

– Do obcego statku, który przez ostatnie czterdzieści minut nie zmienił swojej pozycji, zbliża się teraz wysłannik Organizacji Narodów Zjednoczonych.

Co oni robią? – zadał sobie pytanie Bingwen. Dlaczego tak po prostu tam stoją? Czekają na nas? Usiłują się porozumieć?

W przestrzeni kosmicznej w pewnej odległości od statku obcych pojawił się niewielki statek eskortowany przez dwa promy programów informacyjnych. Obraz przeskoczył na przekaz z kamer promów i Bingwen zobaczył, że zbliżający się statek jest jasnoniebieski i zdobi go emblemat ONZ. Obraz znowu przeskoczył na przekaz z kamer wewnątrz statku, gdzie ciemnoskóry mężczyzna w oficjalnym stroju stał na podłodze, przyciągnięty do niej magnesami, i uśmiechał się jak idiota.

Głos komentatora zmienił się niemal w szept.

– Widzimy teraz sekretarza do spraw obcych Narodów Zjednoczonych Kenwego Zubekę, który wiezie dary i symbole pokoju od stu osiemdziesięciu siedmiu krajów.

Statek ONZ zatrzymał się kilka kilometrów od statku obcych. Od spodu kadłuba ziemskiego statku odłączyła się platforma i popłynęła do przodu. Po chwili ożył na niej światełkami potężny holoprojektor w kształcie krążka frisbee.

– Delegaci ONZ z dwunastu krajów nalegali, by sekretarz Zubeka miał z sobą wojskową eskortę – powiedział komentator – lecz on się na to nie zgodził, mówiąc: „Nie będziemy jedną ręką mierzyć z pistoletu, a drugą podawać symbol pokoju”.

Zubeka rozłożył ręce.

– Witamy. W imieniu ludzi Ziemi wyciągam do was, nasi bracia we wszechświecie, przyjazną dłoń. – Słowa Zubeki popłynęły z głośnika w tłumaczeniu na mandaryński. – Przekazujemy wam ten oto hologram, dowód naszej nadziei na pokój i wzajemny szacunek między naszymi gatunkami.

Nad krążkiem pojawił się olbrzymi hologram gołębia z gałązką oliwną w dziobie, który trzepotał skrzydłami, jakby wzbijał się do lotu.

Bingwen westchnął. Gołąb? To dla tego gatunku nic nie znaczy. Nigdy nie widzieli gołębia i nie mają pojęcia, co symbolizuje.

– To stworzenie to gołąb – ciągnął Zubeka. – Symbol naszego…

Z jednego punktu na statku obcych wystrzeliły setki kulek światła i spadły na gołębia, niszcząc platformę. Hologram zgasł, a oglądający

to wieśniacy wzdrygnęli się i wstrzymali oddech.

Zgasł też uśmiech Zubeki, który jednak usiłował zachować spokój.

– Chyba się obrazili, że nie przybyłem osobiście.

Kamery promów obróciły się i pokazały zbliżenie statku obcych. Właśnie odsunął się fragment poszycia kadłuba i z powstałego otworu wysunęło się dziwne, wydłużone urządzenie. Wyraźnie jakaś broń. Zubeka patrzył przed siebie, ale machnął ręką do kapitana statku, którego miał po prawej stronie.

– Panie kapitanie, może powinniśmy dać trochę miejsca.

Kapitan odwrócił się do pilotów.

– Cofnijcie nas! Zabierzcie nas z…

Pojawił się drugi rozbłysk, ogarnął statek ONZ i roztrzaskał go na kawałki.

Wieśniacy wrzasnęli. Skoczek z krzykiem rzucił się do tyłu. Obce działo obróciło się i znowu wypaliło. Wyparował prom ekipy wiadomości. Potem drugi. Trzeci zawrócił i próbował uciec, ale obcy trafili go z tyłu. Pył. Działo obróciło się jeszcze raz. Z ostatniego pozostałego promu, tego, który nadawał obraz, rozległy się krzyki. Kamera się zatrzęsła. Obraz przesunął się gwałtownie, bo statek gorączkowo zawrócił i zakołysał się. Spoza kadru dochodziły krzyki, odgłosy przepychanki, narastające wycie silników.

W chaos wdarł się palący błysk światła i ekran poczerniał.

Przez krótką chwilę wieśniacy byli zbyt wstrząśnięci, by coś powiedzieć. A potem wszyscy zaczęli krzyczeć naraz, wstawać, wołać się po imieniu, szukać się nawzajem w tłumie, podnosić dzieci, popędzać się i biec do wioskowych schodów prowadzących na pola. Kilku mężczyzn wołało o spokój, ale nikt ich nie słuchał.

– Bingwenie!

Chłopiec spojrzał w dół. Pod budynkiem stała jego matka i gorączkowo machała rękami, żeby zszedł z dachu.

– Idę!

– Co robimy? – zapytał Skoczek. Po policzkach płynęły mu łzy, ale chyba tego nie zauważył.

Bingwen chwycił go za ramiona.

– Skoczku! Spójrz na mnie. Spójrz na moją twarz. Ten statek jest w kosmosie, a my jesteśmy tu, na dole. Rozumiesz? Jest daleko. My jesteśmy bezpieczni.

Skoczek zamrugał i kiwnął głową.

– Musimy pomóc wszystkim zachować spokój. Dobrze? Jeśli tego nie zrobimy, komuś stanie się krzywda. Musisz jasno myśleć.

Skoczek znowu zamrugał, kiwając głową. Wytarł oczy rękawem.

– Jasne. Tak. Przepraszam. Co mam robić?

– Chodź ze mną.

Pobiegli po drabinę, opuścili ją na ziemię i zeszli z dachu. Bingwen ukrył ją pośpiesznie w trawie, a potem pobiegł ze Skoczkiem na przód budynku. Stała tam matka. Porwała Bingwena w ramiona. Chwilę później pojawił się ojciec, na wpół niosąc, na wpół ciągnąc dziadka, który z grymasem bólu trzymał się za bok.

– Co się stało? – zapytała matka.

– Tłum wepchnął go na schody – odparł ojciec. – Prawie go zdeptali. Ogarnęło ich szaleństwo. Gdybym go nie wyciągnął, zostałby stratowany.

Opuścił dziadka na ziemię. Staruszek trzymał się za pierś i zaciskał zęby.

– Twoje serce – powiedziała matka z paniką w głosie.

– Nic mi nie jest – stwierdził dziadek i machnął lekceważąco ręką. – Mam tylko sińce.

– Raczej złamane żebra – sprostował ojciec.

W pobliżu samotna mała dziewczynka zalewała się łzami. Ludzie przebiegali obok, nie zwracając na nią uwagi. Bingwen skinął głową na Skoczka, który od razu zrozumiał, podbiegł do dziewczynki, ukląkł przy niej, objął pocieszająco ramieniem i zaczął się rozglądać w poszukiwaniu jej matki. Dziecko nadal płakało.

– Dranie – wydyszał dziadek. – Żadnego szacunku dla starszych. Przewrócili mnie, jakby byli stadem bawołów. Powinienem chodzić z laską. Mógłbym kilku z nich obić. – Odwrócił głowę do Bingwena. – Ten połykacz błota, który sprawia ci kłopoty. Ten samochwał.

– Zihao – podpowiedział Bingwen.

– To on. Nadepnął mi na nerkę. I spojrzał mi prosto w oczy. Żadnego honoru. Jeśli jeszcze kiedykolwiek go zobaczę, wytnę mu wątrobę.

– Nie mów – powiedziała matka.

– Nic mi nie jest – odparł dziadek. – Mogę iść. Dajcie mi minutę.

Spróbował usiąść, skrzywił się i upadł na ziemię.

– Zostanę z nim – powiedział Bingwen. – Dogonimy was później.

Matka wyraźnie się wahała.

– Nikt ze mną nie zostanie – stwierdził dziadek. – Pójdę własnym tempem. Nie wiem, po co w ogóle ten pośpiech. Obcy statek wysadza kilka promów i wszyscy sikają w spodnie. Bieganie w kółko jak głupcy nic nie da.

– Dziadek ma rację. Panika tylko pogarsza sytuację – powiedział Bingwen.

– Ja z nim zostanę – rzekł ojciec. – Bingwenie, zaprowadź matkę do domu.

– Zostajemy razem – powiedziała matka.

– Jedyna osoba, która zostaje, to ja – sprzeciwił się dziadek. – Czy nie należy mi się szacunek?

– Nie tym razem – odparł ojciec.

– To zostawcie mnie z Bingwenem – poprosił dziadek i wycelował palec w ojca. – Jeśli pójdę z wami, będziecie bez końca na mnie narzekali. Przez całą drogę do domu będę słyszał, jak to powinienem bardziej uważać, jak to moja wina, że upadłem, jakim jestem ciężarem.

– Ale powinieneś bardziej uważać – powiedział ojciec.

– Nie jesteś ciężarem, ojcze – zaprotestowała matka.

– Zostawcie mnie z chłopakiem – powtórzył dziadek.

– Nie możesz chodzić – sprzeciwił się ojciec. – Bingwen cię nie poniesie.

Dziadek dźwignął się, skrzywił, ale tym razem udało mu się wstać.

– Nie trzeba mnie nieść. Będziemy tuż za wami. Idźcie. Zanim ktoś ograbi nasz dom i zabierze tę odrobinę żywności, którą mamy.

Matka i ojciec wymienili nerwowe spojrzenia.

– Co, myślicie, że ci ludzie nagle okażą się cywilizowani, kiedy dotrą do domów? – mówił dziadek. – Są podminowani jak szerszenie. Jeśli przestraszą się, że w przyszłości rozegra się walka, to pomyślą tylko o sobie i będą gromadzić wszystko, co wpadnie im w ręce.

Ojciec obejrzał się na niknący tłum. Przestraszona matka zakryła usta dłonią. Bingwen chciał im powiedzieć: Nie martwcie się, mam zapasy. Wiem, że nie pozwoliłeś mi ich gromadzić, ojcze, ale na szczycie wzgórza nad wioską zakopałem trochę narzędzi, puszek i worków ryżu. Nic nam nie będzie. Przynajmniej przez jakiś czas.

Zanim jednak zdołał zebrać odwagę i przyznać, że przeciwstawił się ojcu, odpowiednia chwila minęła, a ojciec ciągnął matkę za rękę w stronę schodów.

– Przyjdźcie do domu jak najszybciej! – krzyknął przez ramię.

A potem wepchnął się z matką w tłum schodzący po schodach. Bingwen stracił ich z oczu. Odwrócił się do dziadka, który ponownie usiadł na ziemi i odpoczywał.

Skoczek wciąż zajmował się dziewczynką. Teraz jednak była z nim kuzynka Bingwena, Meilin. Mała trzymała się kurczowo jej koszuli. Oczy miała mokre i oszalałe ze strachu.

Przez tłum przedzierała się młoda kobieta, biegnąc w górę po schodach. Dziewczynka popędziła do niej. Kobieta objęła dziecko i podniosła je, spłakana, przerażona, uspokojona.

– Jak mogłaś uciec bez własnego dziecka?! – skrzyczał ją Skoczek.

Meilin odwróciła się do niego z oczami szeroko rozwartymi z zaskoczenia. Bingwen też się zdziwił. Zwracanie się w taki sposób do osoby dorosłej było nie do pomyślenia.

Zawstydzona kobieta kręciła głową, tuląc córeczkę. Wymamrotała podziękowania i pobiegła z powrotem do schodów z dzieckiem w ramionach.

– Widzisz? – powiedział dziadek do Bingwena. – Żadnego szacunku dla starszych.

Meilin mocno stuknęła Skoczka palcem w pierś.

– Nie miałeś prawa tak się do niej odezwać.

– Nie miała prawa porzucić dwuletniego dziecka – odparł Skoczek.

– Może go nie porzuciła. Może pomyślała, że jest z jej mężem. Może komuś pomagała.

– Powinna była zabrać dziecko z sobą.

– Och, jak dużo wiesz o byciu rodzicem.

– Dosyć – odezwał się dziadek. – Przestańcie oboje. Worek ryżu wie o wychowywaniu dzieci więcej niż którekolwiek z was. A gdzie są wasi rodzice, co? Gardziłbyś tak swoją matką, chłopcze?

Skoczek ze wstydem zwiesił głowę.

– Nie, Ye Ye Danwenie – powiedział, zwracając się do dziadka z właściwym szacunkiem.

– No właśnie – rzekł dziadek i machnął ręką na Bingwena. – Pomóż mi wstać.

Chłopak podał mu rękę i pociągnął, ale to dziadek wykonał większość pracy; podwinął pod siebie najpierw jedną, potem drugą nogę i wstał powoli, z grymasem bólu.

– Nie pozwól, żebym znowu usiadł i odpoczywał. Za bardzo boli wstawanie. – Odetchnął głęboko i się skrzywił. – Oddychanie też boli. – Ostrożnie uniósł ręce nad głowę i przeciągnął się, badając próg bólu, a potem je opuścił, zadyszany. – Potrzebuję pas materiału, żeby owinąć pierś i nie pozwolić na głębokie oddechy. I laskę.

W pobliżu biblioteki było już tylko ich czworo. Po obu stronach schodów wijących się po stoku wzgórza stały domy i w większości paliło się światło. Bingwen słyszał, jak ludzie gorączkowo rozmawiają ściszonymi głosami. Brzmiał w nich strach. Strach i śmierć.

Dwa domy wyżej między dwoma budynkami był rozciągnięty sznur do suszenia bielizny. Trzepotało na nim prześcieradło unoszone prądami powietrza wstępującymi z położonej niżej doliny. Bingwen podbiegł tam, przez chwilę nasłuchiwał, a potem zerwał je ze sznura i przewiesił sobie przez ramię. Z rogu dachu tego domu zwisała dwumetrowa bambusowa tyczka kierująca deszczówkę do beczki. Bingwen szarpnął tyczką i zerwał przytrzymujące ją sznurki, po czym zaniósł wszystko do dziadka.

– To jest kradzież – stwierdziła Meilin.

– Nie – odparł dziadek. – To jest troska o starszych. Podrzyj prześcieradło na długie pasy, Bingwenie.

Chłopak znalazł kamień z ostrą krawędzią i przedziurawił nim materiał. Następnie włożył palce do dziury i z łatwością rozdarł prześcieradło. Zrobili długie pasy, mocno owinęli nimi tors dziadka.

– Mocniej – powtarzał wciąż dziadek, aż opatrunek był tak ciasny, że Bingwen obawiał się, czy dziadek w ogóle będzie mógł oddychać. Ale twarz starca rozluźniła się dopiero wtedy.

– Dobrze. Tak dobrze. – Dziadek sprawiał wrażenie bardzo zmęczonego. Wsparł się na bambusowej tyczce. – A teraz w dół po schodach.

Zaczęli schodzić jego tempem, powoli, po jednym stopniu. Dziadek wolną ręką opierał się na ramieniu Bingwena, mocno ściskając jego koszulę.

– Wy dwoje biegnijcie do domu – powiedział do Skoczka i Meilin. – Nie będę was zatrzymywał. Rodziny będą się o was bać.

– Zostajemy z tobą – odparła Meilin. – Jeśli spadniesz ze schodów, Bingwen nie doprowadzi cię do domu.

Dziadek oparł się na tyczce i wybuchnął śmiechem, ale natychmiast skulił się z bólu.

– Nie rozśmieszaj mnie, dziecko. Bo naprawdę spadnę.

Bingwen chwycił dziadka za pas, żeby staruszek poczuł się pewniej. Dziadek podziękował mu skinieniem głowy, a potem odetchnął i już wolniej ruszył w dół.

Nie dotrzemy do domu przed wschodem słońca, uświadomił sobie Bingwen. Nie w tym tempie. Przecież mamy do przebycia trzy kilometry pól ryżowych. Patrzył na stopy dziadka, powoli i ostrożnie pokonujące każdy stopień.

Krok. Szurnięcie. Krok. Szurnięcie.

Bingwen podniósł wzrok. Noc była bezchmurna. Mleczna Droga i miliony gwiazd spinały łukiem niebo. Jedna z nich wydawała się szczególnie jasna. Najpierw Bingwen myślał, że to może być samolot albo śmigacz przystosowany do lotów na dużej wysokości. Ale światełko się nie poruszało. Nie mrugało. Tkwiło w miejscu. Bingwen nie odrywał od niego wzroku, czekając, czy spadnie z nieba, plując ogniem.

ROZDZIAŁ 11

WOCS

Mazer wątpił, by udało mu się połączyć z NZSAS, ale poszedł do swojego gabinetu, by mimo wszystko spróbować się z nimi skontaktować. Był środek nocy i kiedy przyszedł do budynku administracyjnego, panowała w nim ciemność i cisza. Holobiurko włączone czekało na niego, pokazując w pętli obrazy chińskich żołnierzy w rynsztunku bojowym. Przeciągnął dłonią przez holoprzestrzeń; obrazy zniknęły zastąpione menu z chińskimi znakami. Baza nie miała angielskiego modelu, ale Mazer znał wystarczającą liczbę znaków, żeby obsłużyć komputer. Wstukał odpowiednie polecenia i czekał.

Ikona gwiazdy wirowała, co oznaczało, że baza wywołuje Auckland. Mazer próbował się połączyć przed paroma godzinami, ale sieć była wtedy zbyt zatłoczona. Próba nawiązania połączenia teraz, kilka chwil po tym, jak obcy statek strzelił do promów i praktycznie wypowiedział wojnę ludzkości, prawie na pewno okaże się stratą czasu; w tej chwili wykorzystywane są wszystkie bezpieczne łącza w armii nowozelandzkiej.

Ku zaskoczeniu Mazera rozległ się sygnał i w holoprzestrzeni pojawił się nowozelandzki technik telekomunikacyjny. Był młody,

miał ledwie osiemnaście lat i wyglądał na wykończonego.

– Łączność nowozelandzka – odezwał się. – Połączenie aktywne. Proszę podać swoją tożsamość. Odbiór.

– Kapitan Mazer Rackham prosi o natychmiastowe połączenie z pułkownikiem Napatu w Papakurze. NZSAS.

– Chwileczkę, sir.

Technik zajął się urządzeniami poza hologramem.

Mazer go obserwował. Uświadomił sobie, że chłopak nie jest wykończony. On się boi. Jest śmiertelnie przerażony, bo świat, który, jak sądził w swej prostocie, znał, świat, w którym nic nie kwestionowało naszej pozycji u szczytu łańcucha pokarmowego, został właśnie wylany z kąpielą.

Technik skończył swoje czynności.

– Przykro mi, panie kapitanie. Pułkownik Napatu jest niedostępny. Czy mam pana przełączyć na centralę SAS?

– Tak, proszę.

– Chwileczkę.

Chłopak zniknął. Wróciła ikona gwiazdy. Mazer czekał dziesięć minut. W końcu odpowiedział starszy sierżant sztabowy Manaware, asystent pułkownika Napatu. Zanim Mazer zdążył cokolwiek powiedzieć, usłyszał:

– Ma pan rozkaz utrzymywać obecną pozycję, panie kapitanie.

Holoprzestrzeń piknęła i pojawiła się w niej ikona notatki od pułkownika Napatu. Bez wątpienia rozkaz.

Mazer odetchnął, żeby zachować spokój.

– Panie starszy sierżancie sztabowy, jeśli siły SAS zostaną rozlokowane, to mój zespół musi być pod ręką. Nikt nie zna WOCS-a tak jak my.

– Wiem, że się pan irytuje, ale pułkownik ma na misjach na całej planecie siedemnaście zespołów uderzeniowych i w tej chwili nie mamy środków, by was wszystkich sprowadzić do domu. A nawet gdybyśmy mieli, to pułkownik prosi wszystkich, by nie ruszali się z miejsca. Nie wiemy, przed czym stoimy, i nie jesteśmy jeszcze w stanie wojny. Obcy statek pozostaje na orbicie geosynchronicznej, nie zbliża się. W tej chwili pułkownik Napatu jest na naradzie z admirałem i innymi dowódcami jednostek. Tymczasem proszę oglądać wiadomości i zbierać informacje.

– O to właśnie chodzi – powiedział Mazer. – Nie możemy już oglądać kanałów informacyjnych. Po tym, jak obcy statek zniszczył

promy dziennikarzy, Chińczycy zablokowali wszelki publiczny dostęp do wiadomości. Nic nie wiemy. Nie mamy pojęcia, co się teraz dzieje. Chińczycy usiłują chyba zapobiec panice, ale w ten sposób tylko pogorszą sytuację.

– W takim razie proszę się z nami kontaktować co kilka godzin, będziemy pana informować.

– Zwykle nie mogę uzyskać połączenia. To cud, że udało mi się przebić tym razem. Proszę o pozwolenie na utrzymanie tej linii w stanie otwartym.

– Nie zezwalam. Potrzebuję wszystkich dostępnych linii. Jeśli nie może pan połączyć się z nami, proszę wykorzystać swoje odbiorniki do uzyskania połączenia z którymś z naszych satelitów.

– Tego też nie możemy zrobić. Chińczycy zezwalają jedynie na łączność z ich satelitami. Wszystkie inne zagłuszają. Tak jest od czasu, kiedy tu przylecieliśmy.

Manaware zaczynał się niecierpliwić.

– No to proszę z nimi porozmawiać. Nawet jeśli zablokowali dostęp publiczny, wojsko nadal ma dostęp do wiadomości. Niech ich pan poprosi o informacje.

– Tak, ale…

– Panie kapitanie, w kolejce czeka na odpowiedź dwadzieścia holo. Przepraszam.

Rozłączył się.

Mazer spróbował jeszcze raz połączyć się z centralą, ale nie mógł się przebić. Zaczekał dziesięć minut, spróbował znowu. Transmisja się nie udała. Uderzył pięścią w biurko, wyłączył sprzęt, zamknął oczy. SAS ich nie ewakuuje. Byli odcięci od świata, a potrzebowali informacji minuta po minucie.

Stuknął w ikonę notatki, którą przesłał Manaware. Przejrzał ją w pięć sekund i zobaczył dokładnie to, czego się spodziewał. Róbcie dalej to, co robicie. Nadal pełnijcie służbę. Będziemy was informować. Ple, ple, ple.

Miał już tego dosyć. Świat od jedenastu dni wiedział, że zbliża się statek, a wszyscy chcieli tylko czekać. Nie działajmy, mówili. Zaczekajmy i zobaczmy. Poobserwujmy statek obcych. Zaczekajmy i zobaczmy, co zrobi.

No to wiecie co, geniusze? „Zaczekajmy i zobaczmy” oznacza „zaczekajmy i dajmy się zniszczyć”. Czy ONZ naprawdę sądzi, że ta cała masa szczątków w pasie Kuipera powstała z winy górników?

A teraz obcy właśnie rozwalili sekretarza do spraw obcych. Błazen, jakich mało, ale był wysłannikiem gatunku ludzkiego. Te stwory, kimkolwiek są, właśnie nasikały na naszą chorągiewkę pokoju.

A co robi SAS? Czy migiem sprowadza Mazera i jego zespół do domu i przygotowuje się na najgorsze? Nie. Parkuje nas w Chinach i każe kontynuować szkolenie.

Mazer wstał i skierował się z powrotem do koszar. Dokładnie wiedział, jak zareaguje świat. Chińczycy nie przystąpią do żadnej koalicji i będą utrzymywać, że ich priorytetem jest ochrona własnego narodu. Innymi słowy, Chiny będą się troszczyć o Chiny. Rosjanie niemal na pewno także się wycofają, chociaż z innych powodów. Po co pomagać USA i innym supermocarstwom w zachowaniu ich siły? Niech obcy rozbiją koalicję. To by Rosjanom bardzo pasowało. Ich wojsko jest najsłabsze od dziesięcioleci. Bardzo by chcieli, żeby wszyscy inni zostali sprowadzeni do ich poziomu.

Mazer wszedł do koszar i znalazł czekający na niego zespół.

– Połączyłeś się? – zapytał Fatani.

– Co powiedział pułkownik? – dodał Reinhardt.

– Cicho! – krzyknęła Patu. – Dajcie mu mówić.

– Rozmawiałem z Manaware – rzekł Mazer. – Mamy rozkaz nigdzie się nie ruszać.

– Nie ruszać się? – powtórzył Reinhardt. – Żartujesz? Właśnie rozwalili komitet powitalny.

– Pułkownik jest na naradzie. Jeśli rozkazy się zmienią, zawiadomią nas.

– No świetnie – stwierdził Reinhardt. – Po prostu cudownie. A co mamy robić, kiedy to coś zacznie rozwalać miasta? Siedzieć tu, jeść ryż i machnąć ręką na zniszczenia?

– Oglądasz za dużo filmów – powiedziała Patu. – Nikt nie rozwala miast.

– Skąd wiesz? – zapytał Reinhardt. – Z łatwością rozwaliło te promy. I to jednym działem. Kto wie, co jeszcze potrafi?

– Po co mamy tu siedzieć? – złościł się Fatani. – Powinniśmy być w domu, gotowi do działania.

– Zgoda – rzekł Mazer. – Ale Manaware mówi, że w tej chwili nie ma sposobu na sprowadzenie nas do domu. Na misjach jest zbyt wiele zespołów uderzeniowych. To byłby logistyczny koszmar.

– Jesteśmy wojskiem – stwierdziła Patu. – Jesteśmy specjalistami od logistyki.

– To kwestia środków – powiedział Mazer. – Jesteśmy garstką żołnierzy w bardzo dużej armii. Wojsko nie użyje sporej części sił powietrznych, żeby zebrać setkę albo nawet mniej żołnierzy. Jesteśmy kroplą w wiadrze. Myśliwce są w stanie gotowości i mogą być potrzebne w każdej chwili.

– To wróćmy do domu samodzielnie – zaproponował Fatani. – Nie rozkazuj nam, żebyśmy tu zostali. Nie stać ich na wysłanie samolotu? Świetnie. Wróćmy po swojemu.

– Nie takie mamy rozkazy – rzekł Mazer.

– No to co robimy? – zapytała Patu.

– Najpierw zdobędziemy informacje. Musimy zobaczyć, jak ten statek wygląda.

Patu pokręciła głową.

– Próbowałam. – Machnęła ręką w stronę holoekranu i dwóch odbiorników satelitarnych, które ustawiła na statywach. – W tej chwili mam na dachu trzy talerze, ale nie odbierają niczego. Chińczycy nadal zagłuszają inne satelity i wyciszają kanały publiczne.

– A co z krótkofalówkami? – chciał wiedzieć Fatani.

– Już próbowałam. Nie odbieram nic użytecznego. Bazę otaczają pola ryżowe. Nie jest to centrum działalności zbuntowanych krótkofalowców.

– I nie możesz zhakować zagłuszaczek? – zapytał Mazer.

– Gdybym wiedziała, jakich urządzeń używają Chińczycy i gdzie je umieścili, prawdopodobnie znalazłabym sposób na ich unieszkodliwienie. A ja nie mam nic.

– Więc jesteśmy jak w pęcherzu? – spytał Reinhardt.

– Jakbyśmy się znaleźli w osiemnastym wieku – rzekł Fatani.

– Zagłuszanie jest zapewne ukierunkowane – powiedziała Patu. – Nie mogą nim objąć całych Chin. Pewnie stosuje je tylko wojsko. Gdybym miała zgadywać, tobym powiedziała, że obejmuje tylko tę bazę i kilka kilometrów marginesu.

– Więc gdybyśmy wydostali się poza bazę i ustawili talerze, uzyskalibyśmy połączenie z satelitą? – zapytał Mazer.

Patu wzruszyła ramionami.

– Możliwe. Przekonamy się, jak spróbujemy.

– Chińczycy nas zamknęli – przypomniał Fatani. – Mamy nie opuszczać bazy.

– A kogo obchodzą jakieś nakazy? – powiedział Reinhardt. – To jest kryzys międzynarodowy. Moim zdaniem powinniśmy załadować

WOCS-a i polecieć.

– Jeśli go zabierzemy, zaraz nas dopadną – stwierdził Mazer. – Pogadam z kapitanem Shenzu. Może dadzą nam dostęp do ich wojskowych kanałów.

– A może spod mojej pachy wyskoczy świnia i zaśpiewa hymn narodowy – rzekł Reinhardt. – Tymi kanałami płyną wszelkiego rodzaju tajne informacje. Nie pozwolą nam tego dotknąć dziesięciometrową tyczką.

– Nie zaszkodzi spytać. Gdzie jest teraz cała szarża?

– Zaszyli się w budynku łączności. Nie mamy tam wstępu – poinformował Fatani.

– No to zapukam.

Mazer poszedł do budynku łączności. Drzwi były z grubej stali. Znalazł wśród krzaków kamień i zaczął nim uderzać w drzwi. Robił dużo hałasu; łomot rozlegał się echem po całym dziedzińcu. Mazer walił pięć minut, aż wreszcie strażnik otworzył drzwi i wrzasnął na niego, żeby przestał.

– Przestanę, jak sprowadzi tu pan kapitana Shenzu.

Strażnik odmówił, więc Mazer znów zaczął uderzać kamieniem w drzwi. Strażnik próbował mu go wydrzeć, więc Mazer podciął mu nogi i przewrócił na ziemię. A potem znów zaczął walić.

– Dobrze – powiedział strażnik, wstając. – Przyprowadzę go. Tylko proszę przestać.

Mazer odrzucił kamień w krzaki i uśmiechnął się życzliwie.

Shenzu pojawił się dwie minuty później.

– Nic nie wiemy – zaczął Mazer. – Potrzebujemy aktualnych informacji. Albo przestańcie zagłuszać i pozwólcie nam połączyć się z naszymi satelitami, albo dajcie nam dostęp do waszych kanałów wojskowych. Proszę o tę uprzejmość jak żołnierz żołnierza.

– Obawiam się, że nie mogę tego zrobić, kapitanie Rackham. Politbiuro wydało ścisłe instrukcje co do rozpowszechniania informacji. Mamy nadzieję, że wkrótce znowu zostaną uruchomione kanały publiczne. Tymczasem będziemy pana informować.

– To za mało. Nie chcemy przefiltrowanych wiadomości podawanych wtedy, kiedy jest to wygodne. Chcemy otrzymywać na bieżąco nieocenzurowane informacje. Mój zespół i ja zasługujemy na to. Ten statek stanowi zagrożenie dla naszego narodu tak samo jak dla waszego.

– A więc proszę użyć sprzętu w pańskim biurze.

– Nie mogę uzyskać połączenia. Jest za duży ruch.

– To problem pańskiego wojska, kapitanie Rackham, nie mojego. Zapewniam, że dołożymy wszelkich starań, by dostarczać panu informacje.

Zanim Mazer zdołał coś powiedzieć, Shenzu odwrócił się i odszedł, skinąwszy głową dwóm uzbrojonym strażnikom, którzy mu towarzyszyli. Oni nie odeszli. Zamknęli metalowe drzwi i stanęli naprzeciwko Mazera. Obaj byli roślejsi od strażnika, który mu otworzył, lecz Mazer uznał, że z łatwością może ich pokonać. Tylko co by mu to dało?

Wrócił do biura i znowu spróbował posłużyć się holobiurkiem. Nie przebił się. Próbował jeszcze pięć razy i nie uzyskał połączenia. Zdał sobie sprawę, że obcy statek właśnie w tej chwili może się zbliżać do Ziemi. To mogłoby się dziać właśnie teraz. Pomyślał o Kim siedzącej w swoim gabinecie i oglądającej wiadomości. Nikt jej nie chronił. Wstał i wrócił do koszar, usiłując sprawiać wrażenie spokojnego.

– Shenzu powiedział, że będzie nas informował.

– Akurat – rzekł Reinhardt.

– Uwierzmy mu na słowo – rzekł Mazer.

Czekali trzy godziny, ale Shenzu nie przysłał żadnej informacji. Mazer wciąż powtarzał sobie w myślach tamtą scenę. Atak na statek ONZ. Promy ekip informacyjnych zajmujące się ogniem, rozpadające się, krzyki załogi. Znowu wyobraził sobie Kim. Zobaczył jaskrawe błyski światła przecinające jej budynek, niszczące jej gabinet. Wiedział, że to tylko jego wyobraźnia. Kim jest bezpieczna. Świat jest duży. Gdyby obcy statek zaatakował, nie zbliżyłby się do Nowej Zelandii. Wyspa jest za mała i pozbawiona znaczenia jako cel. Kim jest bezpieczna. Shenzu przyjdzie. Shenzu przyniesie im wiadomości. Czekał jeszcze godzinę, ale więcej już nie mógł znieść. Nie mógł tak po prostu tu siedzieć i nic nie robić. Nakazał gestem swoim ludziom, żeby poszli za nim.

– Patu, weź nadajnik i odbiornik satelitarny. Pozostali niech wezmą swój sprzęt. Bierzemy WOCS-a.

Dziesięć minut później szli przez lotnisko do miejsca, gdzie stały wszystkie WOCS-y. Poruszali się szybko i nikogo nie widzieli. Weszli na pokład WOCS-a, rozłożyli sprzęt, zapięli pasy i wystartowali.

– Kieruj się na wschód, nisko nad ziemią – polecił Mazer. – Odlecimy tylko parę kilometrów za bazę. Mam nadzieję, że

znajdziemy się poza zasięgiem zagłuszania.

Reinhardt skręcił na wschód i przyśpieszył, lecąc ledwie kilka metrów nad pasem.

– Myślisz, że ktoś za nami poleci?

– Pewnie już wiedzą, że znajdujemy się w powietrzu, ale zanim zbiorą załogę, minie kilka minut. Wtedy dawno już nas tu nie będzie. Patu, możesz usunąć namierzacz?

Patu rozpięła uprząż i przeszła do przodu.

– Jeśli tylko as pilotażu nie będzie szarpał.

Włożyła czołówkę, chwyciła kilka narzędzi i położyła się na plecach pod konsolą. Kiedy dotarli do końca lotniska, Reinhardt wzniósł się o kilka metrów, żeby przelecieć nad płotem, a potem śmignął nad otwartą przestrzenią. Dziesięć sekund później Patu wynurzyła się spod konsoli z niewielkim pudełkiem w ręce. Podała je Mazerowi i wróciła na swój fotel.

Skręcili na północ i lecieli tak przez dwa kilometry. Wreszcie Mazer pokazał na niewielkie pole i powiedział:

– Zaparkuj tu i nie wyłączaj grawisoczewki.

Reinhardt obniżył lot, zwolnił, aż wreszcie zatrzymał się metr nad ziemią. Mazer otworzył swoje drzwi i rzucił pudełko na gęstą kępę trawy, mając nadzieję, że go nie uszkodzi. Zamknął drzwi, opuścił osłonę hełmu i wywołał na wyświetlacz mapę. Wciąż znajdowali się na terenie bazy i żaden WOCS nie wzniósł się jeszcze w powietrze. Nadal mieli przewagę.

– Zawieź nas na północny wschód nad rzekę – powiedział Mazer. – Szybko. Musimy się oddalić od tego pudełka.

WOCS wzniósł się i wystrzelił naprzód. Baza, położona w przeważającej mierze na trawiastej równinie niestwarzającej możliwości ukrycia się, miała dziesięć kilometrów kwadratowych powierzchni. Rzeka z baldachimem drzew i wąską doliną dałaby im porządną osłonę.

– Patu, miej odbiornik satelitarny w gotowości – polecił Mazer. – Chcę otrzymać połączenie, kiedy tylko wyjdziemy z zasięgu ich zagłuszaczek.

– Zakładając, że się nam to uda – zauważył Fatani. – Tylko się go domyślamy.

– Chińczycy nie będą inwestować pieniędzy i sprzętu w zagłuszanie transmisji na terenie uprawnym – rzekł Mazer. – Patu

chyba ma rację. Znajdziemy coś, jeśli wystarczająco oddalimy się od bazy.

Reinhardt przeleciał nad szczytem wzniesienia i szybko opuścił się w dolinę rzeki. Nadal panowały ciemności, lecz funkcja widzenia w mroku, jaką miały ich hełmy, pozwalała im wszystko wyraźnie widzieć. WOCS opadł między drzewami nad samą wodę. Reinhardt wykorzystywał ją jak krętą drogę, lecąc na północ. Dwa razy musiał szybko wznieść się nad drzewa, które rosły zbyt gęsto, żeby się przez nie przecisnąć. Kiedy indziej podskoczył nad mostem.

– Hej, może byś nas ostrzegał przed skokami? – zaprotestowała Patu. – Ja tu trzymam delikatny sprzęt.

Reinhardt poruszył lekko drążkiem; WOCS się zachwiał, a Patu rzuciło w fotelu.

– Zabawne. Naprawdę zabawne – powiedziała. – A jak by ci się spodobał mój but, Reinhardt? W twoim tyłku albo między zębami?

– Na bułce z musztardą proszę – odparł pilot.

Patu tylko pokręciła głową.

Lecieli doliną rzeki na północ jeszcze pięć minut, a potem nagle znaleźli się nad polami ryżowymi. Granicy bazy nie wyznaczało żadne ogrodzenie, ale różnica w krajobrazie nie mogła być wyraźniejsza.

– Masz coś, Patu? – zapytał Mazer.

– Jeszcze nie.

– Północny wschód – polecił Mazer Reinhardtowi. – Wypatruj odpowiednio wysokiego miejsca z możliwością ukrycia WOCS-a. Wylądujemy, kiedy tylko Patu złapie czysty sygnał.

W holoprzestrzeni nad konsolą pojawiła się głowa kapitana Shenzu.

– Kapitanie Rackham, proszę natychmiast wrócić ze swoim zespołem na lotnisko. Nie ma pan upoważnienia do zajmowania rządowej własności, kiedy przyjdzie panu na to ochota. Odłączenie namierzacza to poważne wykroczenie. Proszę dla własnego bezpieczeństwa wrócić na lotnisko. Jeśli pan nie posłucha, będziemy musieli podjąć działania w celu odzyskania naszej własności. Powtarzam, będziemy zmuszeni…

Mazer wyłączył holoprzestrzeń.

– Patu?

– Staram się. Wciąż nie mam sygnału. Ale im bardziej się oddalamy, tym bardziej zagłuszanie słabnie. To dobry znak.

– Pilnuj tego.

– Co zrobimy, jeśli w końcu złapiemy sygnał i okaże się, że nic się nie dzieje? – zapytał Reinhardt. – Jeśli ten statek po prostu zaparkował na orbicie i nic nie robi? Nie możemy tu siedzieć bez końca i go obserwować.

– Jest kilka możliwości – rzekł Mazer. – Kiedy skończą nam się racje żywnościowe, możemy wrócić do bazy i stawić czoło wściekłości Chińczyków, którzy, przy najgorszym scenariuszu, mogą nas aresztować i uwięzić do końca życia, a przy najlepszym wyrzucić nas z kraju.

– Wolę zostać wyrzucony z Chin, bo dzięki temu dostaniemy się do domu – stwierdził Reinhardt. – Ale jest też bardzo prawdopodobne, że po powrocie do Auckland zostaniemy oddani pod sąd wojskowy, pozbawieni stopni i upokorzeni, więc to też nie bardzo mi się uśmiecha. Są inne możliwości?

– Polecimy WOCS-em na południe, aż do Morza Południowochińskiego – powiedział Mazer. – Zostawimy go gdzieś na wybrzeżu, skąd będzie można go odebrać, i znajdziemy miejsca na jakimś frachtowcu płynącym do Nowej Zelandii.

– Gdzie natychmiast zostaniemy oddani pod sąd wojskowy, pozbawieni stopni i upokorzeni – rzekł Reinhardt. – Możliwość C?

– Żenisz się z Patu. Kupujemy kilka poletek ryżowych i mieszkamy wśród wieśniaków. Ja uchodzę za waszego przystojnego, w niewytłumaczalny sposób dorosłego, ciemnoskórego syna dwojga białych rodziców, a Fatani jako wasz bawół będzie ciągnął pług w palącym słońcu.

– Będę mógł używać bata? – zapytał Reinhardt.

– Oczywiście – odparł Mazer. – Ale on będzie mógł cię gryźć i robić kupę, gdzie mu się spodoba.

– A dlaczego to nie ja mam się ożenić z Patu? – spytał Fatani.

– Bo jesteś wielkości bawołu – rzekł Reinhardt. – Wszyscy musimy grać role zgodne z naszymi predyspozycjami.

– Wolałabym wyjść za prawdziwego bawołu niż za któregoś z was – oznajmiła Patu.

Fatani się roześmiał.

– Zabolały mnie twoje słowa, Patu, królowo ryżowych ziem – powiedział Reinhardt.

Patu przewróciła oczami. Reinhardt skręcił lekko na wschód, kierując się ku pasmu niskich gór pokrytych bujną tropikalną roślinnością.

Po chwili z tylnego siedzenia rozległo się piknięcie.

– Mam coś – powiedziała Patu. – Obraz. Nie najlepszej jakości, lecz z każdą chwilą się poprawia. Amerykański satelita informacyjny. Ale nie ma głosu.

– Przekaż na nasze wyświetlacze – polecił Mazer. – Reinhardt, poleć kilka kilometrów wzdłuż tych gór, a potem znajdź jakieś miejsce i nas posadź.

– Się robi.

Na wewnątrzhełmowym wyświetlaczu Mazera pojawił się nieostry obraz. Nałożony na niego tekst głosił: „Na żywo".

Film pokazywał kosmos. Pośrodku obrazu tkwił obcy statek, mały, odległy i nieruchomy. Satelita nie znajdował się dokładnie między statkiem a Ziemią, tylko nieco z boku, pod kątem, więc pokazywał statek też trochę z boku.

– Widzę miejsce do lądowania – powiedział Reinhardt. – Siadam.

WOCS obniżył się przez przerwę w gęstym listowiu. Mazer pozwolił sobie na zerknięcie na zewnątrz. Znajdowali się na grzbiecie szerokiego pasma górskiego porośniętego gęstą dżunglą. Powietrze było gęste od zapachu kwiatów i gnijącej roślinności.

Reinhardt wylądował i wyłączył grawisoczewkę. Z lekkim drgnięciem wróciła normalna grawitacja, maszyna zanurzyła się kilka centymetrów w górną warstwę gleby. Nikt nic nie powiedział ani się nie poruszył. Siedzieli i oglądali obraz na wyświetlaczach.

Czekali pół godziny. Nic się nie działo. Wysiedli z WOCS-a i się przeciągnęli. Mazer rozkazał, żeby spali na zmiany. Dwie osoby miały czuwać, a dwie spać w dwugodzinnych wachtach.

O świcie Fatani obudził Mazera.

– Coś się dzieje – powiedział.

Mazer włożył hełm i włączył wyświetlacz. Pojawił się obcy statek. Teraz otaczające go gwiazdy migały, jakby przesłaniała je fala gorącego powietrza unoszącego się z asfaltowej drogi rozgrzanej słońcem. Początkowo wyglądało to jak usterka w transmisji. A potem statek zaczął się odwracać dziobem od Ziemi. Coś emituje, domyślił się Mazer. Promieniowanie albo rozgrzane cząsteczki, wykorzystując odrzut do zmiany pozycji.

Statek obrócił się o dziewięćdziesiąt stopni i zatrzymał bokiem do Ziemi.

– Co on robi? – zapytał Fatani.

Obcy statek zaczął powoli wirować wzdłuż osi. Miał tak gładki kadłub, że początkowo Mazer tego nie zauważył. A potem w poszyciu statku przy jego zaokrąglonym końcu pojawił się olbrzymi pierścień światła, jakby jego powierzchnia pękła, a światło wydostawało się ze środka.

– Co to jest? – zapytał Fatani. – Co to za koło?

Statek dalej się obracał. Raz. Drugi. Trzeci.

Obok pierwszego pierścienia światła pojawił się drugi. A potem trzeci. Statek nadal wirował. Trzy olbrzymie kręgi zaczęły się jednocześnie unosić nad statek jak kolumny.

– Nie podoba mi się to – powiedział Fatani.

Jedna z kolumn się oderwała, ciśnięta w dół w stronę Ziemi dzięki ruchowi wirowemu, zostawiając w boku statku ogromną dziurę.

To nie kolumna, uświadomił sobie Mazer. To koło. Wysokie, metaliczne i bardzo szerokie, z płaskimi bokami i podobnym do żółwia wierzchem utworzonym przez część poszycia statku. Pędziło prosto ku Ziemi.

– Co to jest, u diabła? – zapytał Fatani. – Jakaś broń? Bomba?

Na oczach Mazera oderwało się drugie koło i pomknęło śladem pierwszego. Zaraz za nimi podążyło trzecie.

– Co to jest? – zapytała Patu.

– Nie wiem, ale spalą się, kiedy dotrą do atmosfery – rzekł Reinhardt. – Są olbrzymie.

– Nie spalą się – powiedział Mazer. – Potrafią wytwarzać pole. Odbiją wysoką temperaturę. – Przeszedł na chiński. – Komputerze, dyskretyzuj przekaz satelitarny w hologram obejmujący Ziemię i trzy obce pociski. Zrób to w skali.

W holoprzestrzeni pokazał się dość prymitywny model: biała kula przedstawiająca Ziemię oraz szybko zbliżające się do niej trzy nieduże obiekty w kształcie kół.

– Podziel powierzchnię Ziemi na bieżące strefy czasowe z uwzględnieniem obrotu Ziemi w odniesieniu do pozycji pocisków.

Na kuli pojawiła się powierzchnia Ziemi. Oceany, kontynenty, atmosfera, wszystko powoli wirujące na osi.

– Możesz określić prędkość tych trzech pocisków, opierając się na tym, co widzimy dzięki przekazowi z satelity, może przy użyciu widocznych gwiazd jako punktów odniesienia?

– Tak.

– Czy pociski zwalniają?

– Nie. Prędkość jest stała.

– Pokaż przedłużenie ich trajektorii.

W holoprzestrzeni od kół rozciągnęła się kropkowana linia, która zetknęła się z Ziemią pod ostrym kątem, tak jak powinien wyglądać wektor wejścia w atmosferę.

– To chyba nie są bomby – powiedział Mazer po angielsku. – Spójrzcie na ich podejście. Zbliżają się pod bardzo ostrym kątem. Moim zdaniem to są lądowniki.

Po chińsku zaś dodał:

– Komputerze, możesz przewidzieć tempo ich zwalniania w momencie wejścia w atmosferę?

– Niewystarczające dane.

Mazer tak właśnie myślał. Świetnie. Poradzi sobie z informacjami, które ma.

– Dobrze. Załóżmy, że będą zwalniać w atmosferze w stałym tempie, które w momencie lądowania zredukuje ich prędkość do zera. Możesz to obliczyć?

– Tak.

– Dobrze. Czy potem na podstawie tego przybliżonego tempa zwalniania, obecnej prędkości oraz pozycji lądowników w odniesieniu do prędkości, pochylenia i ekscentryczności orbity Ziemi możesz określić dokładne miejsce lądowania pierwszego lądownika?

– Nie. Zbyt dużo innych zmiennych.

– A w przybliżeniu?

– Tak. Lądowniki prawdopodobnie wylądują wewnątrz tego okręgu.

Na powierzchni Ziemi pojawiła się duża przezroczysta czerwona kropka.

– Powiększ o trzysta procent.

Ziemia przybliżyła się do nich w holoprzestrzeni i zatrzymała. Kropka była potężna. Miała dwa tysiące kilometrów średnicy. Jej centrum znajdowało się pośrodku Morza Południowochińskiego. Na wschodzie pokrywała północną część Filipin. Na zachodzie obejmowała większość Wietnamu, prawie dotykając miasta Ho Chi Minh na południu i Hanoi na północy. Oraz północno-wschodni skraj Kambodży i cały południowy Laos. Lecz największa masa lądowa pokryta przez kropkę znajdowała się w południowych Chinach, w tym cała prowincja Guangdong.

– Jesteśmy w tym okręgu – odezwała się Patu.

– To duży obszar – rzekł Reinhardt. – Mogą wylądować wszędzie.

– W osiemdziesięciu procentach składa się z wody – powiedział Mazer. – Nie zmierzają w jej stronę. I możesz prawdopodobnie skreślić też Filipiny, Wietnam i Laos.

– Dlaczego? – spytał Fatani.

– Komputerze, pokaż gęstość zaludnienia w obrębie okręgu – polecił Mazer.

Pojawiły się setki niebieskich kropek, z których olbrzymia większość znajdowała się w południowych Chinach, gdzie wzdłuż wybrzeża i na sto kilometrów w głąb lądu były ułożone tak gęsto, że zlały się w jednolitą plamę błękitu.

– Myślisz, że zmierzają do terenów zamieszkanych? – zapytał Fatani.

– Widziałeś, co zrobili w pasie Kuipera – rzekł Mazer. – Komputerze, ile mamy czasu, zanim pociski dotrą do Ziemi?

– Około siedemnastu minut.

Fatani zaklął.

– Patu, potrzebuję natychmiast połączenia z NZSAS – zażądał Mazer.

– Spróbuję.

– Co robimy? – spytał Reinhardt.

– Ostrzeżemy tylu ludzi, ile się da – odparł Mazer i przeciągnął ręką przez holoprzestrzeń, ustanawiając połączenie z chińską bazą. – Czerwony Smok, Czerwony Smok. Odezwij się. Tu kapitan Mazer Rackham. Czy mnie słyszysz? Odbiór.

Pojawiła się głowa chińskiego żołnierza. Mazer znał jego twarz, lecz nie nazwisko. To był jeden z kontrolerów lotu.

– Tu Czerwony Smok – powiedział. – Usiłujemy nawiązać z panem łączność, panie kapitanie. Obawiam się, że narobił pan sobie trochę kłopotów u dowódcy bazy.

– Proszę mnie z nim połączyć.

Kontroler zrobił zaskoczoną minę.

– Z pułkownikiem Tuanem?

– Tak, natychmiast. To pilne.

– Tak, panie kapitanie, ale wątpię, żeby odpowiedział. – Żołnierz zniknął i po kilku sekundach pojawił się z powrotem. – Przykro mi, panie kapitanie. Pułkownik Tuan jest niedostępny, ale jest tu kapitan Shenzu.

– Proszę połączyć.

Kontrolera w holoprzestrzeni zastąpił Shenzu.

– Mamy tu problem, kapitanie Rackham. Proszę natychmiast wrócić do bazy.

– W naszą stronę lecą lądowniki – powiedział Mazer. – Wylądują w południowo-wschodnich Chinach. Jestem tego niemal pewien.

– Lądowniki?

– Te olbrzymie krążki na niebie, zbliżające się do Ziemi. Oglądacie wiadomości?

– Odbieramy je, tak.

– Przedłużcie ich trajektorię. Śledźcie je. Wylądują tutaj.

– Skąd pan może to wiedzieć?

– Przeprowadziliśmy obliczenia za pomocą naszej AI. Macie niecałe siedemnaście minut.

– Panie kapitanie, proszę natychmiast przyprowadzić WOCS-a do bazy.

– Będziecie nas przy tym potrzebować, panie kapitanie. Możemy pomóc. Wasze zespoły WOCS-ów nie są gotowe. Wie to pan tak samo dobrze jak ja.

– Zawiódł pan nasze zaufanie i ukradł własność rządową, kapitanie Rackham. Proszę wrócić do bazy.

– Mam centralę NZSAS – odezwała się z tylnego fotela Patu.

– Odezwę się jeszcze – powiedział Mazer do Shenzu, a potem ruchem ręki sprawił, że głowa kapitana zniknęła. – Przełącz centralę do holoprzestrzeni – polecił Patu.

Pojawił się przed nim ten sam zdenerwowany szeregowy, co kilka godzin wcześniej.

– Mówi kapitan Mazer Rackham. Proszę mnie połączyć z pułkownikiem Napatu.

– Jest niedostępny, sir.

– A więc ze starszym sierżantem sztabowym Manaware. Z kimkolwiek. Natychmiast!

– Chwileczkę.

Technik po chwili zniknął, a pojawił się Manaware.

– Kapitanie Rackham…

Mazer mu przerwał.

– Proszę mnie posłuchać. Lądowniki, te krążki ze statku obcych, kierują się do południowo-wschodnich Chin. Nie mam pewności, ale sądzę, że wylądują u nas.

– Wyliczyliśmy duży obszar lądowania – rzekł Manaware. – Mogą się kierować dokądkolwiek w Azji Południowo-Wschodniej. Do diabła, mogą się zatrzymać na środku nieba i zmienić kierunek. Trudno coś powiedzieć, panie kapitanie. Nie wiemy, dokąd lecą.

Mazer nie miał czasu na dyskusje.

– Świetnie. Proszę się skontaktować z pułkownikiem Napatu. Muszę mieć pozwolenie na podjęcie walki z lądownikami, jeśli wylądują tutaj i okażą się wrogo nastawione.

Manaware spojrzał na coś poza holoprzestrzenią i powiedział:

– Panie pułkowniku, on prosi o pozwolenie na walkę.

– Jest tam Napatu? – zapytał z niedowierzaniem Mazer. – To proszę oddać mu głos!

Manaware się odsunął i w holoprzestrzeni pojawiła się głowa pułkownika.

– Kapitanie Rackham, do diabła, co się dzieje? Na drugiej linii mam Chiny, które mówią, że uciekł pan ze sprzętem wartym dwa miliardy kredytów.

– Panie pułkowniku, oni odcięli wszelkie wiadomości. Nie mieliśmy żadnej łączności z…

– Kapitanie Rackham, jest pan na dyplomatycznej misji szkoleniowej. Reprezentuje pan nasz kraj. A gdyby pan nie wiedział, to nasz rząd i większość wolnego świata rozpaczliwie usiłują przekonać Chiny, by nam zaufały i przyłączyły się do koalicji przeciwko temu obcemu statkowi. Potrzebujemy Chińczyków, panie kapitanie. Potrzebujemy ich promów i siły ich ognia. Kradzież ich

własności i rozgniewanie chińskiej szarży nie służy naszej sprawie. Znajdujemy się w środku globalnego kryzysu bezpieczeństwa. To przerasta pana i pański zespół. Proszę więc wrócić WOCS-em do bazy i ucałować stopy jej dowódcy. To jest rozkaz.

Napatu zniknął.

Przez chwilę we wnętrzu WOCS-a panowało milczenie. W końcu odezwał się Reinhardt:

– No to co robimy?

– Słyszałeś pułkownika – odparł Fatani. – Otrzymaliśmy rozkazy. Wracamy do bazy.

– Tak – rzekł Mazer. – Ale pułkownik trochę niejasno się wyraził, kiedy mamy wracać. Czy ktoś może to usłyszał?

Reinhardt się uśmiechnął.

– Nie przypominam sobie, żeby określił czas. Z pewnością taki rozkaz może zaczekać mniej więcej szesnaście minut.

Mazer spojrzał na pozostałych. Skinęli głowami.

– Dobra. Przypnijcie się. Patu, połącz się z powrotem z satelitą informacyjnym. Reinhardt, poderwij nas. Wysoko. Kilka tysięcy metrów. Chcę mieć możliwość obserwacji. Zamknij hermetycznie okna.

– Złapcie się czegoś – powiedział pilot.

Włączył grawisoczewkę i WOCS wystrzelił prosto w górę, jakby szarpnięty sznurkiem. Wznosił się coraz wyżej, cyferki wysokościomierza tylko migały. Dwa tysiące metrów. Trzy tysiące. Sześć. Siedem. W ciągu minuty znaleźli się wyżej niż kiedykolwiek przedtem. Mazerowi żołądek się buntował. Strzelało mu w uszach, kręciło się w głowie. Zamrugał, skupił się i nie zwracał uwagi na mdłości.

Teren pod nimi był porośnięty bujną roślinnością, upstrzony mokrymi kwadracikami poletek ryżowych, jakby ktoś wyłożył Ziemię mozaiką z zielonych płytek.

– Komputerze, śledź pociski – polecił Mazer. – Monitoruj ich prędkość. W miarę ich zbliżania się uaktualniaj w czasie rzeczywistym promień obszaru lądowania. Jak najbardziej zmniejsz krąg.

– Zrozumiano – odparł komputer.

Unosili się, czekając, obserwując obszar lądowania na mapie i rozglądając się po niebie.

Na obrazie z satelity wyświetlanym wewnątrz hełmu Mazera było widać, jak pierwszy pocisk wchodzi w atmosferę; jego przód spowijała otoczka pomarańczowego żaru. Prędkość lądownika od razu zmalała i komputer natychmiast naniósł poprawki na mapę. Olbrzymi czerwony krąg, pokazujący hipotetyczny obszar lądowania, nagle się zmniejszył o jedną trzecią. Nie obejmował już Filipin, Wietnamu, Kambodży ani Laosu. Zostały tylko południowo-wschodnie Chiny.

– Mazer – odezwał się Reinhardt.

– Widzę – powiedział kapitan, patrząc na mapę.

– Nie, nie tam. Tam – rzekł Reinhardt i pokazał palcem przez szybę na wschód.

Mazer spojrzał. Daleko, niemal na granicy horyzontu, za obcym lądownikiem ciągnęła się długa biała smuga kondensacyjna, a jego przód stanowiła jasna ściana gorąca.

ROZDZIAŁ 12

BŁOTO

– Jesteśmy już prawie na miejscu, dziadku. Nie powinniśmy odpoczywać. Zobacz, widać stąd wioskowe schody. Jeszcze najwyżej kilometr. Pomogę ci.

Bingwen wyciągnął rękę, ale dziadek ją odepchnął.

– Czy twoi rodzice niczego cię nie nauczyli, chłopcze? Czy starsi tak mało dla ciebie znaczą? Jeśli mówię, że potrzebuję odpoczynku, to odpocznę i żaden chłopiec, choćby najbliżej ze mną spokrewniony, nie będzie mi mówił, że nie mogę tego zrobić.

Mruknął coś pod nosem, może zaklął, a potem oparł się ciężko na lasce i jęcząc, krzywiąc się, marszcząc czoło, zaczął się opuszczać na ziemię. Tuż zanim osiągnął cel, siły go opuściły i upadł na siedzenie. Kolejny grymas. Jeszcze jedno przekleństwo. A potem wypuścił powietrze z płuc jakby z ulgą.

Po nocnym chaosie poranek wydawał się dziwnie normalny. Słońce wzeszło najwyżej pół godziny wcześniej, ale na pola ryżowe wzdłuż całej doliny już wyszli ludzie. Schylali się nad pędami, pracowali, rozmawiali, jakby miniona noc była snem. Bingwen zauważył jednak, że jest ich mniej niż zwykle. A ci, którzy znajdowali się na tyle blisko niego, że widział ich twarze, to wszystko byli

staruszkowie w spiczastych słomkowych kapeluszach i zblakłych od słońca ubraniach, zgarbieni i pomarszczeni jak dziadek.

– Powiedziałeś mu, żeby nie pozwolił ci odpoczywać, Ye Ye Danwenie – rzekł Skoczek. – Powtarzasz to od wielu godzin. Nieładnie, że krzyczysz na niego za to, że robi dokładnie to, co mu kazałeś.

Dziadek zamachnął się szeroko laską, nie mocno i nie zamierzając uderzyć Skoczka, ale na tyle szybko, żeby chłopiec się przestraszył i rzucił do tyłu. Chora stopa go zawiodła i przewrócił się na ziemię, o mały włos nie wpadając do pobliskiego poletka ryżowego.

– Dosyć tego – powiedział dziadek. – Trajkoczesz całą noc i już mi się to znudziło. Do domu! – Machnął ręką, jakby odsyłał Skoczka.

Kiedy dziadek nie patrzył, chłopiec przewrócił oczami, otrzepał się i usiadł przy Meilin, która kucała na obwałowaniu i szturchała patykiem najbliższe pędy ryżu.

Rzeczywiście dziadek wiele razy w ciągu nocy mówił Bingwenowi, żeby nie pozwolił mu znowu usiąść. „Każ mi iść – mówił. – Wstawanie za bardzo boli". I Bingwen próbował: podbiegał, ilekroć dziadek zaczynał siadać, poganiał go, błagał, ciągnął, przypominał o bólu, który czeka dziadka przy wstawaniu. Lecz za każdym razem staruszek stękał, opierał się, klął, utyskiwał i siadał.

Po jakiejś godzinie – bo tyle to zawsze trwało, bez względu na to, ile razy Bingwen zachęcał dziadka do wstania – dziadek się z trudem podnosił. Kości mu trzeszczały i bolały tak bardzo, że przepraszał Bingwena za swoją starość i głupotę, i żarliwie go prosił, żeby nie pozwolił mu znowu usiąść.

To było nie do wytrzymania. Powstrzymaj mnie, Bingwenie. Nie powstrzymuj mnie, Bingwenie. Rób, co mówię. Nie słuchaj mnie. Bingwen oddałby wszystko za ciężarówkę albo śmigacz.

Dziadek zaczął się kłaść, więc Bingwen podszedł do niego i mu pomógł, podkładając mu dłonie pod ramiona i delikatnie opuszczając go na ziemię.

– Na polach są ludzie, dziadku. Znajdę kogoś, kto poniesie cię przez resztę drogi.

– Mam dwie stopy, chłopcze. Pozwól mi ich użyć. Nie chcę być ciężarem dla nikogo.

Och, nie chcesz być ciężarem dla nikogo, pomyślał Bingwen, ale chcesz być ciężarem dla mnie.

Natychmiast zrobiło mu się wstyd, że pomyślał coś tak okropnego. To dziadek jako jedyny dorosły uwierzył mu, że nadlatują obcy, to dziadek pomógł mu podkradać puszki z jedzeniem i worki ryżu, a potem to wszystko zakopać, to dziadek przed wielu laty pokazał mu, jak zbudować drabinę, żeby mógł się dostawać do biblioteki. Zawsze dziadek.

Przez chwilę Bingwen się zastanawiał, czyby nie pobiec do wioski i jednak nie sprowadzić ojca. Ale myśl o ojcu tylko go rozgniewała. Nie powinien był nas zostawić, pomyślał. Kiedy odprowadził matkę do domu, powinien był po nas wrócić.

Nie, jeśli nie przyszedł z własnej woli, Bingwen nie chciał po niego iść.

Skoczek i Meilin chichotali, szturchając kijkiem żabę, która uciekła przed nimi do wody.

Bingwen wstał i podszedł do nich.

– Znowu zasnął. Idźcie do domu. Wasi rodzice na pewno się zamartwiają. Dziadek i ja już was nie potrzebujemy.

– I co nas czeka w domu? – zapytał Skoczek. – Oberwiemy za to, że nie wróciliśmy na noc. Pięścią w ucho. Nie, dzięki.

– Mówiłem ci, żebyś poszedł do domu wiele godzin temu. Powinieneś był posłuchać.

Skoczek wzruszył ramionami.

– To dobra zabawa.

– Zabawa? – Bingwen chciał nim potrząsnąć. – Wleczenie dziadka przez dolinę to zabawa? Jesteś uparty i głupi, Skoczku. Oboje tacy jesteście. Marnujecie czas, śmiejąc się i drocząc z sobą. Powinniście być w domu i pomagać.

Skoczek się rozzłościł. Zerwał na nogi.

– W czym? Powiedziałeś, że nic nam się nie stanie. Że nic się nie wydarzy. Powiedziałeś, że świat jest duży, a my stanowimy jego maleńką cząstkę.

Bingwen czuł, że robi się czerwony z wściekłości, w oczach zapiekły go łzy. Wszystkiego miał już dość. Głupich starych kości dziadka, obcych, ojca, który nie przychodził, zimnej nocy i chichoczącego Skoczka.

– Powiedziałem to na dachu, żebyś się nie rozpłakał. Powiedziałem to, żeby ci pomóc. A to więcej, niż ty teraz robisz dla mnie. Całą noc gadaliście z Meilin, opowiadaliście sobie historyjki i wywijaliście patykami jak małe dzieci. Nie zdajesz sobie sprawy, co

się dzieje? Nie dostrzegasz niebezpieczeństwa, jakie nam zagraża? Potwory ze strasznymi paszczami i szponami wiszą nad nami jak pająki, a wy podskakujecie, chichoczecie i biegacie za żabami, jakbyśmy mieli urodziny.

Skoczek spojrzał na niego gniewnie.

– Niezły z ciebie przyjaciel. Idę z tobą do biblioteki, kradnę dla ciebie, odmrażam sobie tyłek, żebyś nie był sam, i takie dostaję podziękowanie. – Szturchnął Bingwena palcem w pierś. – Jesteś wściekły, bo Meilin lepiej się bawi ze mną niż z tobą.

Bingwen zamrugał. Meilin? A co to ma wspólnego z Meilin? Ale wtedy zobaczył, że dziewczynka rumieni się ze wstydu i szybko odwraca. Nagle zrozumiał. Dlaczego nie dostrzegł tego wcześniej? Całą noc Skoczek i Meilin zostawali w tyle, ganiali się, docinali sobie nawzajem, śmiali się i sprawiali wrażenie, że zapomnieli o Bingwenie i dziadku. Irytowało to Bingwena, ale z zupełnie innych powodów, niż sądził Skoczek. Czy on naprawdę sądził, że Bingwen jest… zazdrosny? Jak Skoczek mógł sobie chociaż przez moment wyobrażać, że Bingwen i Meilin mogliby być dla siebie kimś innym niż kuzynami?

– Wiesz co? – powiedział Skoczek. – Jednak pójdę do domu. Bo wolę oberwać w ucho od ojca, niż znosić zniewagi od kogoś, kogo uważałem za przyjaciela.

Odwrócił się i pokuśtykał przed siebie.

Bingwen otworzył usta, ale nie wydobyło się z nich żadne słowo. Co miałby powiedzieć? Że mu przykro? Nie chciał na niego nawrzeszczeć? Jest wdzięczny Skoczkowi, że przyszedł? Że Skoczek jest jego przyjacielem i to on, Bingwen, zachowuje się jak głupiec? Tak, chciał powiedzieć to wszystko.

W dolinie rozległ się krzyk.

Bingwen odwrócił się. Kawałek dalej kilka osób krzyczało i pokazywało na niebo. Powiódł wzrokiem za ich palcami i zobaczył kulę ognia pędzącą przez atmosferę.

To ten statek, powiedział sobie. Spada na nich statek.

Podbiegł do dziadka, ukląkł i zaczął nim potrząsać.

– Obudź się! Dziadku! Obudź się!

Staruszek ocknął się zdezorientowany.

Bingwen znowu spojrzał w górę. Statek wciąż był daleko, ale leciał prosto na nich. Wydawało się, że znajduje się nisko nad ziemią, ale Bingwen wiedział, że to złudzenie spowodowane krzywizną Ziemi. Statek wciąż znajdował się wysoko w powietrzu. Mieli kilka sekund.

Znowu potrząsnął dziadkiem.

– Wstań!

– O co… o co chodzi? – zapytał dziadek.

– Nadlatuje!

Bingwen pokazał palcem. Dziadek spojrzał i rozwarł szeroko oczy.

Chłopiec chciał krzyknąć do Skoczka i Meilin, żeby uciekali, ale dokąd mieliby uciekać? Jeśli statek uderzy w Ziemię z siłą asteroidy, wszyscy zginą. Fala uderzeniowa zabije ich w jednej chwili.

Skoczek zatrzymał się jak wryty, jak głupek wpatrując się w niebo. Meilin obok niego znieruchomiała ze strachu.

Dziadek spróbował wstać, ale krzyknął i z powrotem padł na ziemię.

Bingwen obejrzał się. Obwałowanie. Leżeli na ziemnym nasypie pomiędzy dwoma poletkami. Powinien przenieść dziadka na drugą stronę. Chwycił staruszka pod pachy i pociągnął. Dziadek krzyknął, ale chłopiec się tym nie przejął. Ciągnął z wysiłkiem, zaciskając zęby. Dziadek ledwie się przesunął w stronę spadku. Bingwen uświadomił sobie, że nie zdążą. Potrzebował pomocy.

– Skoczku! – zawołał.

Skoczek nie zareagował. Nie poruszył się.

Bingwen napiął mięśnie, wbił pięty w ziemię i pociągnął. Nie uda mu się. Statek ich zmiażdży.

Zerknął w górę. Ogień zniknął; statek opuścił już zewnętrzną warstwę atmosfery. Znajdował się tuż nad nimi, zmierzał prosto na nich, rosnąc z każdą sekundą, duży jak wioska, jak dziesięć wiosek, dwadzieścia…

Meilin krzyczała.

Bingwen pociągnął. Dziadek zawył z bólu. Skoczek wyglądał jak posąg.

I wtedy dotarł do nich dźwięk. Dźwięk niepodobny do niczego, co Bingwen słyszał w życiu. Jak ryk silnika, wrzask małpy i wycie tysiąca innych rzeczy naraz, głęboki i dźwięczny. Zatrzęsła się od niego ziemia.

Pięć sekund do uderzenia.

Bingwen krzyknął i pociągnął dziadka, znajdując siłę, której nie miał przedtem, ciągnął go i szarpał. I nagle obaj zaczęli się staczać po obwałowaniu, wymachując rękami i nogami. Uderzyli w wodę. Bingwen znalazł się pod jej powierzchnią, ogłuszający dźwięk nieco

ucichł. Chłopiec podciągnął pod siebie nogi, pchnął w górę i wystrzelił na powierzchnię. Chwycił go ktoś i rzucił o wał. Dziadek.

Bingwen spojrzał w górę. Skoczek i Meilin się nie poruszyli. Byli jak skamieniali. Sparaliżowani strachem.

– Skoczku! Meilin!

W ogłuszającym hałasie nic nie było słychać.

I wtedy ten dźwięk wybuchnął w hałas sto razy głośniejszy, ponieważ statek uderzył gdzieś blisko. Ziemia zatrzęsła się mocno, aż Bingwen myślał, że świat się rozpadł. Doliną pomknęła fala powietrza, ziemi i wody. Skoczek zniknął i Meilin zniknęła. Z góry spadł deszcz błota, czerni i rozmaitych szczątków, pogrzebał Bingwena i dziadka żywcem.

* * *

Ból.

Ból unosił się na krawędzi świadomości. Początkowo odległy, zamazany, rozmyty. Po jakimś czasie mętna ciemność rozbiegła się falami, oczyściła i ból stał się ostry. A potem przeszywający, palący.

Bingwen otworzył oczy i krzyknął, obudzony, świadomy. Bolała ręka. Wszędzie dookoła panowała ciemność. Znajdował się w jaskini. Nie, nie w jaskini, w pęcherzu powietrza pod ziemią i błotem. Nad sobą widział gałęzie i drzewa, które odcinały większość światła słonecznego i osłaniały go przed ziemią. Jak to możliwe? Jakim sposobem znalazł się pod drzewami? Na polach nie było drzew.

Gdzie jest dziadek?

Poruszył głową. Konar drzewa przygniatał mu rękę. Bingwen spróbował ją oswobodzić, ale przeszywający ból pozbawił go tchu. Nabrał powietrza i znowu krzyknął. Miał złamaną lewą rękę. Nigdy w życiu niczego sobie nie złamał, ale od razu zrozumiał, co się stało. Obrócił górną część ciała, usiłując sięgnąć prawą ręką poprzez pierś, żeby wygrzebać ziemię spod przygniecionej ręki i ją uwolnić, ale ruch ten wywołał takie uderzenie bólu, że chłopiec znowu zawył.

Leżał więc na plecach i ciężko oddychał.

– Dziadku… – ledwie wyszeptał. – Dziadku! – powiedział głośniej.

– Tutaj.

Głos był słaby, lecz odezwał się z bliska. Bingwen uniósł głowę. Wszędzie dookoła widział cienie, ziemię i konary drzewa.

Poruszyła się gałąź po lewej stronie.

– Bingwenie? – Głos był chrapliwy i pełen bólu.

– Tutaj. Tu jestem.

Gałąź znowu się poruszyła i tym razem pojawiła się ręka, stara i zabłocona. Zaczęła macać dookoła. Bingwen wyciągnął zdrową rękę i chwycił dłoń dziadka. Staruszek mocno ją zacisnął wokół palców wnuka.

– Tu jestem, chłopcze. Tu jestem.

Bingwen zaczął płakać. Usiłował powstrzymać łzy, ale wyrwały się na swobodę. Szlochał i się trząsł, tylko pogarszając ból złamanej ręki.

– Coś ci się stało? – zapytał dziadek.

– Tak – udało się powiedzieć Bingwenowi. – Chyba mam złamaną rękę.

– Wydostanę cię stąd.

– Jak? Przedtem ledwie się ruszałeś.

– Twój dziadek nie jest taki słaby, na jakiego wygląda.

To było kłamstwo, Bingwen o tym wiedział.

– Sprowadzę pomoc – oświadczył dziadek.

Dłoń staruszka puściła rękę Bingwena i cofnęła się.

Bingwen zaczął jej gorączkowo szukać.

– Nie! Nie zostawiaj mnie!

Ręka dziadka wróciła i ponownie chwyciła dłoń Bingwena.

– Zaraz wrócę. Przysięgam na imię mojego ojca.

Ręka spróbowała ponownie się wycofać, ale tym razem Bingwen ściskał ją mocno.

– Zaczekaj. Proszę cię. Nie idź. Boję się.

Poczuł odrazę do samego siebie za te słowa, a wstyd, jakiego doznał, zapiekł go jak policzek. Ale to była prawda. Teraz czuł ciemność, nie tylko ją widział, jakby tuż za nim stał jakiś obcy i pochylał się, gotowy zadać cios. Bingwen wiedział, że tu umrze. Jeśli puści rękę dziadka, umrą obaj. Zmiażdży go drzewo, błoto i ciemność.

Dziadek uspokajająco ścisnął dłoń Bingwena.

– Dam radę dojść do wioski, Bingwenie. Wrócę z twoim ojcem.

– Nie. – W głosie chłopca brzmiała panika. – Nie dasz rady. Nie mogłeś iść.

– A więc będę się czołgać. Nie zostawię cię pod tym…

Reszta zaginęła w ogłuszającym ryku jakiejś maszyny, który rozdarł świat jak zgrzytliwy grzmot. Ziemia zatrzęsła się gwałtownie.

Bingwen kurczowo ścisnął dłoń dziadka i wrzasnął.

ROZDZIAŁ 13

OCALENI

WOCS leciał szybko na wysokości czterech tysięcy metrów w stronę odległych kłębów pyłu. Mazer powiększył obraz na tyle, na ile pozwalał mu wyświetlacz wewnątrzhełmowy, ale i tak nie widział lądownika, który pozostawał ukryty za kilkoma górskimi grzbietami.

– Patu, melduj. Co się dzieje? Potrzebuję przekazu z satelity. Potrzebuję wideo.

– Staram się, staram – odparła Patu. – Cała sieć wariuje. Wszyscy na całym świecie łączą się z satelitami skierowanymi na południowe Chiny. Wychwytuję jakieś fragmenty informacji tu czy tam. Wiem tylko tyle, że wszystkie trzy lądowniki wylądowały. Znajdują się z grubsza o trzysta klików od siebie, tworzą linię, która zaczyna się w południowo-wschodnim rogu prowincji Guangdong i biegnie do północno-wschodniego rogu prowincji Guangxi. My zmierzamy do drugiego lądownika. Pierwszy wylądował na wschód od zbiornika Nangao w okręgu Luhe, jakieś sześćdziesiąt klików na północ od wybrzeża.

– To teren zamieszkany?

– W miejscu uderzenia nie. Głównie góry porośnięte lasem. W okolicy jest kilka wiosek. Parę miasteczek. Ale zaludnienie jest niewielkie. Tu mamy dużo szczęścia.

– Co robi lądownik?

– W tej chwili, o ile mogę stwierdzić, nie robi nic.

– A co z drugim?

– Uderzył w dolinę na południe od miasteczka Dawanzhen. W większości pola ryżowe, kilkanaście wiosek. I znowu nie jest to obszar gęsto zaludniony, ale na pewno mieszka tam więcej ludzi niż w miejscu lądowania pierwszego. Zapewne są ofiary.

Mazer obrócił się do Reinhardta.

– Kiedy tam dolecimy?

– Znajdziemy się nad lądownikiem za niecałe trzy minuty. Ale co planujemy zrobić, kiedy się już tam znajdziemy? Nie mamy wiele broni, Mazerze. To jest maszyna szkoleniowa, pamiętasz? Mamy

kilka rozcinaczy i to wszystko, żadnego wsparcia z powietrza. Jeśli wdamy się w walkę, możemy mieć kłopoty.

– Nie szukamy zwady – stwierdził Mazer. – Naszym zadaniem jest zwiad i udzielanie pomocy. Pomożemy ludziom na ziemi i dowiemy się o lądowniku, ile tylko się da. Będziemy przesyłać obraz na żywo do Auckland i do Chińczyków. Im więcej dostaną informacji, tym lepiej będą mogli się przygotować. Patu, co z trzecim lądownikiem?

– Niedobrze. Wylądował tuż pod miastem Guilin na zachodnim brzegu rzeki Li. Liczba mieszkańców dwa przecinek siedem miliona.

Mazer się skrzywił. Gęste zaludnienie po stokroć komplikowało ich problemy. Co prawda lądownik znajduje się poza miastem; to stanowiło pewne pocieszenie. Przynajmniej nie zaparkował w centrum.

– Fatani, znajdź wszystkie przekazy awaryjne i informacyjne pochodzące z tego miasta, jakie zdołasz, przekaż je do Auckland i dowództwa bazy. Sprawdź też, czy uda ci się podłączyć do jakichś informacji sejsmograficznych. Domyślam się, że w momencie uderzenia powstało coś w rodzaju trzęsienia ziemi. Zawaliły się budynki, uszkodzeniom uległa infrastruktura.

– Zobaczę, co się da znaleźć – powiedział Fatani. – Ale nie czekaj z zapartym tchem. Nie będzie łatwo złamać ich system w niecałe trzy minuty. I nie zapominaj, że to wszystko jest po chińsku.

– Zrób co w twojej mocy. – Mazer przełączył się na radio. – Czerwony Smok, Czerwony Smok, tu kapitan Mazer Rackham, czy mnie słyszysz, odbiór?

W holoprzestrzeni pojawiła się głowa Shenzu. Wyglądał na wściekłego.

– Kapitanie Rackham, proszę natychmiast zawrócić. Proszę się nie zbliżać do obcych lądowników. Powtarzam, proszę natychmiast zmienić kurs i wrócić do bazy. Lądowniki znajdują się na chińskiej ziemi. To czyni je naszym problemem, nie pańskim.

– Znajdują się na Ziemi – odparł Mazer. – To czyni je problemem wszystkich.

– Panie kapitanie, leci pan skradzioną maszyną. Nie ma pan pozwolenia na przebywanie w chińskiej przestrzeni powietrznej. Łamie pan prawo międzynarodowe. Pański dowódca w Auckland przekazał nam informację, że rozkazał panu wrócić do bazy. Wydaliśmy panu taki sam rozkaz. Jeśli nie wykona go pan

natychmiast, będziemy zmuszeni pana zestrzelić. Nie pozwolimy, by sprowokował pan lądowniki i sprowadził zagrożenie na naszych obywateli.

– Usiłujemy pomóc waszym obywatelom – rzekł Mazer. – Mamy przed sobą drugi lądownik. Zapewne są ofiary śmiertelne. Możemy się tam znaleźć w niecałe dwie minuty i zapewnić natychmiastową pomoc medyczną. Najbliższe lotniska czy bazy znajdują się daleko stąd. Medyczne zespoły ewakuacyjne dotrą na miejsce dopiero za jakiś czas. Stanowimy najlepszą powietrzną służbę ratunkową, jaką dysponujecie.

– To nie jest pański problem.

– Chce pan, żebyśmy porzucili tych ludzi?

– Myśli pan raptem o paru osobach, kapitanie Rackham. Ja myślę o całych Chinach. Zbliżenie się wojskowym statkiem powietrznym do lądownika mogłoby zostać uznane za akt agresji i zaognić sytuację. Usiłujemy zachować pokój, a pańska rażąca niesubordynacja zagraża naszym wysiłkom. Ma pan dziesięć sekund na wykonanie rozkazu i zmianę kursu albo pana zestrzelimy.

Mazer przeciągnął ręką przez holoprzestrzeń, żeby Shenzu z niej zniknął. Następnie wydał mrugnięciem polecenie, by na wyświetlaczu zaczęło się dziesięciosekundowe odliczanie.

– Reinhardt, opuść nas blisko ziemi. Utrzymuj kurs, ale leć nisko i wykorzystuj wszelkie osłony.

Reinhardt rozpoczął nurkowanie.

– Nie będziemy niewidzialni, stary. Jest biały dzień. Jeśli śledzą nas za pomocą satelity, mogą wystrzelić precyzyjnie kierowany pocisk i spadniemy jak kamień.

– To leć szybciej – polecił Mazer.

Reinhardt się skrzywił.

– Zejść niżej i lecieć szybciej? To są góry porośnięte dżunglą. Chcesz, żebym rąbnął w ścianę urwiska?

– To leć tak szybko i tak bezpiecznie, jak się da. Im bliżej lądownika się znajdziemy, tym większe będziemy mieli szanse u Chińczyków.

– Chyba raczej odwrotnie? – zapytała Patu.

– Technicznie tak – odparł Mazer. – Ale Chińczycy najbardziej się boją, że sprowokujemy obcych. Jeśli strzelą do nas, kiedy będziemy blisko lądownika, zaryzykują, że będzie to wyglądało dla obcych na

prowokację. Więc im bliżej się znajdziemy, tym będziemy bezpieczniejsi. Mam nadzieję. Do dechy, Reinhardt.

– Nie brzmi to przekonująco – stwierdził Fatani.

– Bo nie jestem przekonany. Mogę się całkowicie mylić. Ale sądzę, że Chińczycy są mądrzejsi.

– Dowiemy się za trzy sekundy – rzekła Patu.

Drugie odliczanie skończyło się w chwili, kiedy WOCS wyrównał lot nad drzewami rosnącymi na szczycie niskiej góry. Maszyna przez chwilę leciała prosto, a potem zbocze opadło w dół, ku dolinie. Reinhardt także skierował nos WOCS-a w dół. Runęli wzdłuż zbocza niczym pierwszy wagonik kolejki górskiej na dużym spadku. Mazer poczuł, że unosi się delikatnie w fotelu i napiera na uprząż. Dno doliny mknęło ku nim z wielką prędkością.

Reinhardt wyrównał w ostatnim momencie i wszyscy z powrotem opadli na siedzenia foteli. Mazer odetchnął i rozluźnił zaciśnięte dłonie.

– Spokojnie – powiedziała Patu. – Kazał ci lecieć szybciej, a nie samobójczo.

Reinhardt dodał gazu, wykorzystując płaskie dno doliny do nabrania prędkości.

– To jedno i to samo, Patu, moja królowo ryżu. Jedno i to samo.

Zbliżali się do następnej góry. Mazer spojrzał na odczyty radaru i czujniki ciepła widoczne na wyświetlaczu. Nie widział, by coś się do nich zbliżało.

– Niebo wygląda na czyste – stwierdził.

– To nie znaczy, że się nam upiekło – powiedział Fatani. – Równie dobrze mogliby wystrzelić pocisk z Pekinu. Dotarcie tutaj może mu zająć minutę.

– I właśnie dlatego w ogóle nie wystrzelą – rzekł Mazer.

WOCS wzniósł się ostro w górę zbocza. Lecieli w milczeniu, wznosząc się i opadając wraz z terenem, tu i ówdzie lekko zbaczając z kursu w nadziei uniknięcia wykrycia; cały czas obserwowali niebo dookoła i wypatrywali zbliżających się obiektów. Nie wykryli żadnego zagrożenia. Minęła minuta. Potem dwie.

– Chyba zmusiłeś ich do pokazania kart – powiedział Fatani.

– Albo wystrzelili coś, czego nie potrafią wykryć nasze czujniki i co w nas trafi lada moment – rzekł Reinhardt.

– To nie jest śmieszne – skomentowała Patu.

– Skoro Chińczycy potrafią zrobić mechanicznego kreta, który przewierca się przez skałę, to nic mnie nie zaskoczy – stwierdził Reinhardt.

– A jeśli Shenzu ma rację? – spytał Fatani. – A jeśli my tu kopiemy w gniazdo szerszeni? Ten gatunek nie wie, kim jesteśmy. Mogą nas uznać za pocisk wystrzelony do nich. Wtedy rozpoczniemy wojnę.

– Wbrew temu, co chcieliby myśleć Chińczycy, wojna już się zaczęła – rzekł Mazer. – Jeśli ktoś tutaj ma inne zdanie, niech powie to teraz. Nie mogę was zmusić, żebyście mnie słuchali. Słyszeliście pułkownika. Wydał nam bezpośrednie rozkazy. Jeśli będziecie trzymać ze mną, to kiedy wszystko się skończy, niemal na pewno zostaniecie postawieni przed sądem wojskowym. Wasza kariera będzie skończona. Jeżeli chcecie się wycofać teraz, wystarczy jedno słowo, a wysadzę was tutaj. Możecie im powiedzieć, że wymusiłem na was posłuch. To dotyczy także ciebie, Reinhardt. Jeżeli chcesz wysiąść, powiedz. Potrafię tym latać w razie konieczności.

Reinhardt prychnął.

– Nie potrafisz latać WOCS-em. Utrzymywanie go w powietrzu i lądowanie, kiedy jest się do tego zmuszonym, to nie latanie. To prowadzenie. Latam ja. To sztuka. A ty nie jesteś artystą.

– Wszyscy jesteśmy z tobą, Mazerze – rzekł Fatani. – Nikt nie chce zawracać. Ale Shenzu ma trochę racji. Możemy wzbudzić reakcję.

– Tego nie da się uniknąć – powiedział Mazer. – Nie porzucimy ludzi na Ziemi. Patu, udało się z tym przekazem satelitarnym?

– Już go nie potrzebujesz. Jesteśmy na miejscu.

Reinhardt przeleciał nad ostatnią górą i wszyscy ujrzeli lądownik, potężny metaliczny dysk okryty chmurą pyłu. Mazer wytrzeszczył oczy. Lądownik był większy niż wszystko, co sobie wyobrażał. Inżynierska niemożliwość, sześćdziesiąt pięter wysokości i prawie kilometr szerokości. Wierzch miał gładki, błyszczący i lekko wypukły. Bok jednak był nieobrobiony i składał się z tysięcy metalowych płyt rozmaitych rozmiarów, ułożonych przypadkowo, jakby budowniczowie w ogóle nie zważali na symetrię czy estetykę.

Pod lądownikiem znajdował się pierścień naruszonej ziemi szerokości kilkuset metrów, najwyższy w pobliżu lądownika i zmniejszający się do zera na krawędzi, jakby lądownik stanął na olbrzymiej babce z błota i rozgniótł ją na wszystkie strony. Nie, nie na

babce z błota, uświadomił sobie Mazer. Na górze. Lądownik zmiażdżył górę, pokrywając sporą część dna doliny przemieszczoną ziemią, wywróconymi drzewami i błotem.

– Patu, włącz wszystkie kamery zewnętrzne i wyślij przekaz na żywo do wszystkich satelitów, z jakimi uda ci się połączyć – rozkazał Mazer. – A potem połącz się przez radio z Auckland i z Chińczykami i powiedz im, że lądowniki mają osłony.

– Skąd możesz mieć pewność?

– W ten sposób zmiażdżył górę – odparł Mazer. – To nie mogła być siła uderzenia. Lądownik poruszał się zbyt wolno. A spójrz na teren. Nie ma żadnych dowodów na zaistnienie fali uderzeniowej, tylko ściana przemieszczonej ziemi. To musi być efekt działania osłon.

– Co to oznacza? – spytał Fatani.

– Że nie będziemy w stanie go uszkodzić, nawet jeśli spróbujemy – wyjaśnił Mazer. – Reinhardt, obleć go dookoła. Pomóż Patu zarejestrować obraz pod każdym kątem. Fatani, razem ze mną poszukasz ocalałych. Tuż na północ jest poletko ryżowe. Kiedy lądownik uderzył w ziemię, znajdowali się tam zapewne robotnicy. Tam szukaj najpierw.

Mazer potrząsnął swoją uprzężą, by się upewnić, że jest ciasno zapięta, a potem mrugnięciem otworzył drzwi po swojej stronie. Odsunęły się – do kabiny wpadł podmuch wiatru i pył. Mazer wychylił się tak daleko, jak pozwalała mu uprząż, i spojrzał w dół, wydając jednocześnie polecenie, by wyświetlacz zrobił zbliżenie.

Z brązowej warstwy błota sterczały tu i ówdzie połamane drzewa i strzaskane resztki domów. Zniszczenie było całkowite. Czy ktoś ocalał? Mazer włączył czujnik termiczny, ale na ekranie nie pokazało się nic obiecującego. Jeśli pod błotem byli jacyś ludzie, to ich nie widział.

Uniósł głowę i spojrzał dalej na zachód, na krawędź błotnej lawiny. Tam dostrzegł pierwsze ciało. Ktoś leżał twarzą w dół w wodzie poletka ryżowego, z rozrzuconymi rękami, na wpół zanurzony, nieruchomy. Mazer nie umiał określić, czy to dziecko, czy dorosły, ale tak czy owak nie można już mu było pomóc.

Spojrzał jeszcze dalej na zachód w stronę wioski wbudowanej kilometr dalej w zbocze sąsiedniej góry. Od domów zbiegało w dolinę kilka osób, zapewne chcąc znaleźć swoich bliskich, którzy pracowali w polu. Pozostali wieśniacy wdrapywali się na zbocze, uciekając

w przeciwnym kierunku, jak najdalej od lądownika. Nieśli skromne zapasy.

Mazer spojrzał z powrotem na poletka ryżowe, wodząc po nich wzrokiem na prawo i lewo. Uznał, że najlepiej będzie się trzymać skraju błotnej lawiny albo tuż za nim. Tam miał największe szanse znalezienia kogoś żywego.

I wtedy zobaczył duże drzewo przy krawędzi wału, na wpół zagrzebane w błocie, połamane gałęzie. Spod nich, na samym skraju błota, wystawała para chudych, bosych nóg. Wyglądało na to, że głowa i górna część tułowia tkwią w błocie. Przez chwilę Mazer był pewien, że ten człowiek nie żyje, uduszony pod górą błota i rozmaitych szczątków. I nagle nogi poruszyły się, wierzgnęły.

– Mam kogoś! – zawołał Mazer. – Komputerze, namierz tę pozycję.

AI WOCS-a przedłużyła linię wzroku Mazera i umieściła na poruszających się nogach ikonę celowania. Współrzędne zostały natychmiast umieszczone w komputerze, a obraz ocalonego otrzymała cała załoga.

– Widzę go – powiedział Reinhardt. Przechylił WOCS-a na prawo i poleciał w tamtą stronę. – Jak go wydostaniemy?

– Zrzuć mnie w to miejsce – polecił Mazer. – Nałożę mu maskę tlenową, a potem szponami odsuniemy drzewo. Patu, przygotuj zestaw diagnostyczny.

Rozległ się ogłuszający hałas. Skrzypienie, trzeszczenie, zgrzytanie metalu. Ożyła maszyna wielka jak miasto.

– Co to jest? – spytał Fatani.

– Obróć nas z powrotem – polecił Mazer.

Po chwili WOCS zawisł w powietrzu przodem do lądownika. Unosili się wysoko w odległości stu metrów i mieli wyraźny widok na jego wierzch.

Hałas był nie do zniesienia. Przeszywające, bolesne uderzenia dźwięku. Mazer chciał zedrzeć hełm z głowy i przycisnąć dłonie do uszu.

Wtem w jednej chwili wszystko się zmieniło. Lądownik zaczął wirować jak bąk zgodnie z ruchem wskazówek zegara. Szybko i z łatwością, jakby spoczywał na wodzie albo warstwie powietrza, a nie na ziemi i kamieniach.

– Co on robi?! – krzyknęła Patu.

Lądownik przyśpieszał; wył jak turbina i rozrzucał ziemię wokół siebie. Od przedniej szyby WOCS-a odbijały się jej grudki i kawałki rozbitych skał.

– Podnieś nas trochę – polecił Mazer.

Reinhardtowi nie trzeba było powtarzać tego dwa razy. Szarpnął drążek i poderwał maszynę wyżej, dobrze poza zasięg fruwającej ziemi.

Lądownik stanowił rozmazaną plamę. Hałas był gorszy niż przedtem, ostry i wysoki. Mazer czuł go w zębach. Spojrzał ku zachodowi. Ludzie, którzy zbiegali z wioski na pola, przewracali się z krzykiem, nie mogąc utrzymać się na nogach na rozedrganej ziemi.

– Wkopuje się – stwierdził Fatani.

Rzeczywiście. Lądownik zagrzebywał się, zanurzał w podłoże coraz szybciej, rozrzucając żwir i ziemię po całej dolinie jak grad. Czy to jego broń? – zadał sobie pytanie Mazer. Wywoływanie trzęsień ziemi? Czy może przekopie się ze swoimi osłonami prosto przez nas, robiąc dziurę przez środek Ziemi i zostawiając ślad jak kula w mózgu?

Spojrzał na dno doliny. Wieśniacy, którzy upadli, leżeli na ziemi, rękami osłaniali twarze przed deszczem ziemi i kamieni. Ci, którzy uciekali w górę, potykali się, upadali, siejąc dookoła tym, co trzymali w objęciach, i gorączkowo szukali oparcia dla rąk i nóg, żeby nie stoczyć się ze stromego zbocza.

– Reinhardt! – zawołał Mazer, przekrzykując ryk lądownika. – Posadź nas przy tych ludziach w dolinie.

Pilot obrócił WOCS-a i zanurkował prosto w wir fruwającej ziemi. Jej grudki uderzały w boki i dach maszyny. Fatani i Mazer zamknęli drzwi, kuląc się pod tym ostrzałem. Jakiś kamień mocno uderzył w okno Reinhardta, które pokryło się siateczką pęknięć.

– Tam. – Mazer wskazał grupkę tulących się do siebie kobiet.

Reinhardt przyśpieszył.

– Patu, pomóż mi wsadzić je do środka! – krzyknął Mazer.

WOCS wyrównał i wylądował przy kobietach. Jego bok posłużył jako osłona przed latającą ziemią. Mazer i Patu błyskawicznie znaleźli się na zewnątrz i zaczęli pomagać kobietom przy wsiadaniu. Na szczęście żadna się nie opierała. Fatani zrobił im miejsce i powiedział, czego się mają trzymać. Po kilku sekundach drzwi zostały zamknięte i WOCS znowu wzniósł się w powietrze. Trzymali się nisko nad

ziemią i podjęli jeszcze czworo ludzi, zatrzymując się trzy razy. Jeden z mężczyzn dostał kamieniem w głowę. Był oszołomiony i twarz miał pokrytą krwią. Fatani opatrzył mu ranę.

– Podnieś nas – powiedział Mazer. – Nie widzę już nikogo, a nie udźwigniemy więcej nikogo.

– Dokąd? – spytał Reinhardt.

– Za ten grzbiet na północy – odparł Mazer. – Nie za daleko. Później ci ludzie będą chcieli się skontaktować z sąsiadami z wioski. Zostawimy ich w jakimś bezpiecznym miejscu, a potem wrócimy i poszukamy innych.

– Potrzebujemy szpitala – rzekł Reinhardt.

– Potrzebujemy o wiele więcej – powiedział Mazer.

Reinhardt przeskoczył nad górskim grzbietem. Dwie kobiety ubrane w czerń przywarły z płaczem do siebie; były brudne i zakrwawione, w mokrych ubraniach. Mazer chciałby tych ludzi czym prędzej przekazać do ośrodka selekcji rannych, gdzie ich obrażeniami zajęliby się lekarze i pielęgniarki. Ale jaki miał wybór?

Pilot znalazł polanę na przeciwnym stoku górskiego pasma i posadził maszynę. Patu odsunęła drzwi, razem z Fatanim wyniosła mężczyznę z opatrzoną raną głowy i położyła go delikatnie na trawie. Potem wysiedli pozostali. Lądownik znajdował się w odległości ponad klika, ale wycie towarzyszące jego zagrzebywaniu się wciąż było tak głośne, że Mazer musiał krzyczeć. Mówił po mandaryńsku krótkimi zdaniami i tonem nieznoszącym sprzeciwu.

– Wracamy po innych ludzi. Zostańcie tu i trzymajcie się razem. Pomagajcie sobie wzajemnie. Wrócimy.

Jedna z wieśniaczek uklękła przy rannym, zwalniając Patu i Fataniego. Patu wyjęła z zestawu medycznego sterylne opatrunki oraz leki przeciwbólowe i dała je kobietom. Kilka sekund później WOCS znów był w powietrzu i przelatywał nad górą.

Znowu zobaczyli lądownik. Wirował, wył, zagłębiał się w grunt jak świder. Pod ziemią znajdował się już w dwóch trzecich. Mazer na powrót włączył czujniki ciepła i wychylił się przez okno, szukając ocalonych. I wtedy, jakby ktoś pstryknął przełącznikiem, ogłuszający hałas zaczął się zmniejszać.

Mazer odwrócił się do lądownika. Ruch wirowy zwalniał. Wyrzucana w powietrze ziemia nie osiągała już takiej wysokości. A potem, jak bąk, który kończył wirować, lądownik obrócił się raz i drugi i znieruchomiał, mocno osadzony w ziemi. Hałas ucichł.

– To jest forteca – rzekł Mazer. – Okopywali się. Dosłownie. Umacniali pozycję. Przygotowywali się.

– Do czego? – spytał Reinhardt.

– Do tego, co planują.

Unosili się jakiś czas w powietrzu, czekając i obserwując.

Nie stało się nic.

Uwagę Mazera przyciągnęło drzewo w pobliżu lądownika, coś mu się przypomniało. Nogi.

– Reinhardt, poleć jeszcze raz na zachód. Pokaż współrzędne tego pierwszego ocalonego, którego zauważyliśmy.

WOCS zawrócił. Mazer wychylił się i zaczął przeszukiwać wzrokiem teren. Znalazł drzewo, tyle że teraz nie sterczały spod niego nogi. Obok wału błota stał mężczyzna, ranny, wyczerpany, opierał się o odsłonięty pień drzewa.

– Tam! – powiedział Mazer, pokazując ręką.

– Widzę – rzekł Reinhardt i szybko opuścił WOCS-a.

Wśród poletek ryżowych nie było płaskiego miejsca do lądowania, więc zatrzymał maszynę tuż nad poletkiem blisko staruszka. Mazer zdjął hełm i zeskoczył na dół. Natychmiast zanurzył się po kolana w wodzie.

Staruszek był niski, łysy i pokryty błotem; oczy miał szeroko rozwarte, a policzki nosiły ślady łez. Wyglądał na osiemdziesięciolatka. Jak mu się udało przeżyć?

– Mój wnuk – odezwał się staruszek i wskazał drzewo. – Jest tam uwięziony. Mogę dosięgnąć jego ręki, ale nie mogę go wyciągnąć. Pomóż. Prędzej.

– Gdzie? – zapytał Mazer.

Staruszek kucnął i pokazał płytkie wgłębienie w błocie pod powalonym drzewem. Otwór był niewielki, Mazer nic nie widział w ciemności. Odpiął z biodra latarkę i poświecił do środka. Może dwa metry dalej zobaczył przygniecionego chłopca.

Odwrócił się do staruszka.

– Jak chłopiec ma na imię?

– Bingwen. Proszę się pośpieszyć. Boli go. Ma złamaną rękę.

Mazer wetknął głowę do dziury i poświecił sobie na twarz, żeby mały go zobaczył.

– Bingwenie, nazywam się Mazer Rackham. Wyciągniemy cię stąd.

Chłopiec odwrócił do niego głowę. Wyglądał na osłabionego.

Mazer cofnął się w stronę WOCS-a.

– Rzućcie mi saperkę.

Patu zdjęła z tylnej ściany składaną saperkę i przyniosła ją Mazerowi, zapadając się w błocie poletka ryżowego.

– Przynieś też maskę tlenową i linę od wciągarki. – Włączył radio na kołnierzu. – Reinhardt, przygotuj szpony. Będziemy musieli delikatnie odciągnąć to drzewo.

Chwycił saperkę i zaczął szybko poszerzać otwór, nie naruszając błota ponad drzewem. Grube gałęzie chroniły chłopca i musiał uważać, żeby nie wywołać lawiny.

Wróciła Patu z liną i tlenem.

Mazer obwiązał się liną w pasie.

– Jeśli zapadnie się, kiedy tam wejdę, wyciągnij mnie.

– To może cię przeciąć na pół – rzekła Patu. – Pozwól mnie wejść. Jestem szczuplejsza.

Miała rację, Mazer jednak nie chciał, by podjęła to ryzyko.

– Dobrze mi idzie – stwierdził. – Przygotuj zestaw medyczny.

Wygarniał saperką błoto. Ustępowało łatwo. Kiedy dostatecznie powiększył otwór, wczołgał się do pasa, w jednej ręce trzymając maskę tlenową.

– Słyszysz mnie, Bingwenie?

Chłopiec spojrzał na niego, zamrugał, jakby się budził, i ku zaskoczeniu Mazera odezwał się po angielsku:

– Mój dziadek… Nic mu się nie stało?

– Jest tutaj. Zabieramy stąd was obu. Najpierw jednak muszę nałożyć ci na usta tę maskę. A potem zrobisz kilka głębokich oddechów, dobrze?

Mazer umieścił na twarzy chłopca maskę dla dorosłych i odkręcił tlen. Bingwen odetchnął płytko. A potem jeszcze raz, tym razem głębiej. A potem całkowicie napełnił płuca. Na jego policzki powoli wróciły kolory. Zamrugał, popatrzył przytomniej.

Mazer wyjął z kieszeni rysik, włączył promień światła i przeciągnął nim po Bingwenie, a potem po sobie.

– Reinhardt, przesyłam ci naszą pozycję. Kiedy opuścisz szpony, uważaj na nas.

– Widzę was. Nie ruszajcie się, to nic się wam nie stanie. Szpony są gotowe.

– Jazda. Prosto w górę, jeśli możesz.

Po lewej i prawej stronie Mazera czubki szponów zanurzyły się w ziemię i chwyciły drzewo. Chłopiec złapał go za rękę i zacisnął powieki. Szpony przesunęły się, wzmocniły chwyt. Polało się błoto. Bingwen odwrócił głowę. Mazer pochylił się, żeby osłonić mu twarz.

A potem całe drzewo uniosło się w górę. Zakołysały się, zatrzeszczały gałęzie, posypała się ziemia. Do otworu zaświeciło słońce.

Momentalnie obok znalazła się Patu z zestawem medycznym. Mazer wyjął med-asysa, którego dała mu Kim, i zbadał rękę chłopca. W dolnej części kości promieniowej widniało złamanie szerokości włosa. Dla wszelkiej pewności Mazer zrobił badanie jeszcze raz i uśmiechnął się.

– Ręka ci się zrośnie, mały. Porucznik Patu da ci coś na ból, a potem założymy ci usztywniacz. Miałeś już kiedyś coś takiego?

– Nie.

– Spodoba ci się. Zupełnie jakbyś miał na ręce olbrzymi mięsień.

Patu przygotowała strzykawkę, zdezynfekowała skórę na ręce chłopca i zrobiła mu zastrzyk. Bingwen się wzdrygnął. Lek zadziałał szybko. Mazer zobaczył, że chłopiec się odpręża, jakby rozwiązał się w nim jakiś węzeł. Staruszek stał nad nimi, obserwując każdy ruch.

– Zanieśmy go do WOCS-a – powiedział Mazer.

Wsunął ręce pod plecy i nogi Bingwena i podniósł go, trzymając delikatne ciało chłopca przy piersi. Mały prawie nic nie ważył.

Bingwen skrzywił się, osłaniając rękę.

Reinhardt przybliżył maszynę. Szpony były już schowane i zabezpieczone, a drzewo leżało z boku w błocie.

Patu pomogła wejść staruszkowi na pokład, za nimi wsiadł Mazer z Bingwenem. Fatani zatrzasnął drzwi i znów wznieśli się w powietrze.

Mazer ostrożnie położył chłopca na podłodze i przypiął go pasem. Patu uklękła przy nim i delikatnie wytarła jego rękę do czysta gazą.

– Co z lądownikiem? – spytał Mazer.

– Żadnego ruchu – odparł Fatani. – Wszystko ucichło. Ale jeśli choćby drgnie, dowie się o tym cały świat. Wszystkie główne sieci przekazują na żywo nasz obraz.

– Dobrze. Nie wyłączaj kamer.

Patu wyjęła z opakowania rękaw usztywniacza. Był długi, luźny, włóknisty, przeznaczony dla dorosłego. Wyjęła z zestawu

medycznego nożyczki, oceniła wzrokiem długość ręki Bingwena i przycięła rękaw. Ostrożnie nasunęła go na dłoń chłopca.

– A teraz unieś trochę rękę, żebym mogła to naciągnąć. O tak, powoli.

Nasunęła usztywniacz wyżej, zatrzymując się tuż poniżej ramienia. Następnie wyciągnęła sztyft. Rękaw się nadmuchał, dopasowując się do kształtu ręki Bingwena. Włóknista warstwa zewnętrzna stwardniała i zesztywniała. Rozległo się jedno piknięcie, oznaczające, że usztywniacz został założony.

– Jak się z tym czujesz? – spytała Patu.

Bingwen spróbował poruszyć ręką.

– Ciężkie.

A potem rozwarł szeroko oczy i spróbował usiąść.

– Proszę się zatrzymać! Musimy wrócić. Moi przyjaciele, Skoczek i Meilin, są tam na dole. Zawróćmy. Proszę. Musimy wrócić!

Mazer wymienił szybkie spojrzenia z Patu.

Podszedł staruszek i objął Bingwena ramieniem.

– Połóż się, chłopcze.

– Nie, dziadku. Musimy ich wykopać. Musimy. – Chłopiec był zdesperowany; do oczu nabiegły mu łzy, a zdrową dłoń zacisnął na brudnej koszuli staruszka. – Skoczek i Meilin, dziadku. Skoczek i Meilin.

Staruszek pokręcił ze smutkiem głową, objął chłopca, przytulił. Bingwen przycisnął twarz do piersi dziadka i rozszlochał się w głos.

Mazer patrzył na to bezradnie. Na dole znajdowało się jeszcze dwoje ludzi. Prawdopodobnie dzieci. Ale gdzie? Mazer w pobliżu drzewa nie widział nikogo. Jego czujniki nikogo nie wykryły. Chciał chłopca uspokoić, zapewnić, że jego przyjaciele zdążyli się wydostać, uciekli przed lawiną błota. Wiedział jednak, że to nieprawda. Widział to w twarzy staruszka.

– Z północnego zachodu nadlatują jednostki powietrzne – zameldował Reinhardt. – Śmigłowce i samoloty pionowego startu i lądowania. Dwanaście. Wszystko wojskowe medyczne zespoły ewakuacyjne.

– W samą porę – zauważył Fatani.

Przybywają z powodu przekazu na żywo, pomyślał Mazer. Przybywają z naszego powodu, z powodu tego, co pokazujemy światu. Wideo nagrywane przez WOCS i pokazujące lądownik oraz cierpiących wieśniaków zmusiło Chińczyków do działania. Ogląda to

cały świat. W domach na całej planecie rodziny z przerażeniem patrzyły, jak chińscy rolnicy krzyczą i kulą się ze strachu przed lądownikiem. Ale gdzie jest chińskie wojsko? – będą pytać widzowie w domach. Gdzie są ekipy ratunkowe? Gdzie jest pomoc? Dlaczego Chiny nic nie robią?

Mazer nie zostawił im wyjścia. Albo musieli zacząć pomagać, albo zmierzyć się z koszmarem społecznej reakcji.

Jak na zawołanie w holoprzestrzeni pojawił się Shenzu. Jego zachowanie diametralnie różniło się od poprzedniego.

– Kapitanie Rackham, należy się panu pochwała za tak dokładne wykonanie naszych rozkazów i pomoc rannym zgodnie z naszą prośbą. Chiny chwalą pański wkład w ratowanie poszkodowanych. My oczywiście robimy to samo w pobliżu innych lądowników.

Mazer uświadomił sobie, że Shenzu odstawia tę farsę, bo jest nagrywany. Chroni Chinom tyłek na wypadek, gdybyśmy nadawali także rozmowy radiowe. Mazer przystał na to, godząc się na wszystko, co sprawiało, że Chińczycy przysyłają pomoc.

– Dziękuję za tak szybkie przybycie. Mamy rannych. Dokąd mamy ich zabrać?

– Na północnym wschodzie znajduje się górskie pasmo. Na jego grzbiecie stoi stara stodoła. Użyjemy jej jako tymczasowego szpitala. Wysyłam panu współrzędne.

Rozległ się przyjemny dźwięk i w holoprzestrzeni pojawiły się dane.

Reinhardt podniósł kciuk na znak, że je dostał, i skierował WOCS-a na północny wschód.

– Powodzenia – rzekł Shenzu i wyłączył holo.

– Może nas jednak nie zestrzelą – rzekł Reinhardt.

– Trzymajmy kciuki – odparł Mazer.

Do współrzędnych były trzy kliki. Stodoła okazała się dwoma budynkami; jeden był prawdziwą stodołą, a drugi szeroką chatą, zapewne mieszkalną. Oba zostały zbudowane z bambusa, trzciny i drewna, były podniszczone i zblakłe od słońca. Wydawało się, że może je przewrócić silny podmuch wiatru, ale wyraźnie były mocniejsze, niż na to wyglądały. Stały na szerokim grzbiecie wieńczącym tarasowate pola ryżowe zalane wodą. W porannym słońcu woda ta lśniła, sprawiając, że tarasy wyglądały jak olbrzymie szklane schody. Mazerowi wiał w twarz lekki, chłodny i pozbawiony pyłu wiatr, który niósł z sobą słodkie zapachy dżungli. Po prawej

stronie sfrunęło w dolinę stadko wróbli. Było cicho, spokojnie i wydawało się, że to miejsce dzielą od lądownika całe światy.

Reinhardt posadził WOCS-a między dwoma budynkami na drodze dojazdowej. Obok stał wrak półciężarówki z podniesioną maską. Był zardzewiały, powgniatany i przechylony na jedną stronę, pięło się po nim kilka gęsto porośniętych liśćmi pnączy.

Stodoła znajdowała się po prawej stronie. Miała trzy ściany i była otwarta z przodu. W środku obok kilku bel siana stały przywiązane dwa bawoły. Na gwoździach powbijanych w ścianę wisiały prymitywne narzędzia.

Mazer wysiadł i wziął Bingwena na ręce. Patu pobiegła przed nimi do chaty i zastukała do drzwi. Nikt nie otworzył. Drzwi nie były zaryglowane. Mazer wniósł chłopca do środka. Dom był pusty. Jedna izba, dwadzieścia metrów kwadratowych, pozbawiona mebli. Pachniała dymem, starością i kurzem. Otwory jak okna w przeciwległej ścianie dawały rozległy widok na dolinę.

Mazer położył Bingwena na betonowej podłodze i poprosił go, żeby się nie ruszał.

Dziadek wylewnie podziękował Mazerowi, który zauważył bandaże owinięte wokół piersi staruszka i to, z jakim trudem chodzi.

– Jest pan ranny.

Dziadek wzruszył ramionami.

– Jestem stary. Jedno idzie w parze z drugim.

Mazer poszedł do WOCS-a po med-asysa, wrócił, rozciął bandaże i zbadał tors staruszka.

– Dwa pęknięte żebra.

– Mogłem to panu powiedzieć bez tego skomplikowanego sprzętu.

Mazer wyjął z zestawu garść saszetek z tabletkami i podał je dziadkowi.

– Proszę zażywać je na ból.

Staruszek zbył je machnięciem ręki.

– Nic mi nie będzie.

Mazer ujął go za rękę i zamknął stare, pokrzywione palce na saszetkach.

– Pańskie dłonie są wykrzywione artretyzmem. Pierś na pewno pali ogniem przy każdym oddechu. Te tabletki przyśpieszają leczenie i pomagają odpocząć. Pańskie ciało potrzebuje i jednego, i drugiego.

Proszę oszczędzać siły, żeby opiekować się Bingwenem. Proszę się nie sprzeczać. I proszę wziąć jeszcze to.

Mazer opróżnił kieszenie ze swoich racji i wyjął z zestawu dwa awaryjne woreczki wody.

– To powinno wystarczyć do przybycia lekarzy.

Staruszek przyjął wszystko ze zwilgotniałymi oczami i podziękował skinieniem głowy.

– Musimy lecieć! – zawołała z WOCS-a Patu.

Mazer wybiegł na dwór i wskoczył do maszyny, a Reinhardt poderwał ją, zanim kapitan zdążył zapiąć uprząż.

– Lądownik się otwiera – powiedziała Patu.

ROZDZIAŁ 14

INDIE

Kapitan Wit O'Toole wyszedł z namiotu dowodzenia na lodowaty poranek w Kotlinie Kaszmirskiej leżącej jakieś trzysta pięćdziesiąt kilometrów na zachód od granicy z Chinami. Na wschodzie słońce właśnie zaczynało się wznosić nad Himalajami, rzucając długie cienie na dno doliny i oblewając Wita złocistym blaskiem. Wkrótce wszystko pokryje śnieg i biały dywan bieli ustąpi dopiero latem. Teraz jednak strome zielone łąki, gęste sosnowe lasy i kolorowe polne kwiaty cieszyły się krótkim życiem. Ten widok nigdy się Witowi nie nudził. Dziewicza ziemia. Żadnego przemysłu, budynków, ludzi. Tylko góry, zieleń, a na dole rzeka. To zapierało dech w piersiach, było piękne i o to warto było walczyć.

Wit znowu spojrzał na nakładkę na nadgarstku. Trzy lądowniki obcych w Chinach. Ruchem palca odrzucił obrazy i wywołał przycisk, którym mógł zwołać na zebranie wszystkich członków swojej jednostki.

Otaczało go dwadzieścia dwuosobowych namiotów rozbitych na zboczu wzgórza. Niemal natychmiast powstał w nich ruch. Po kilku sekundach zaczęli wychodzić ludzie z włosami w nieładzie i w pomiętych ubraniach. Wielu nie zdążyło włożyć butów, wszyscy jednak byli w pełni rozbudzeni i spragnieni informacji.

Sześć godzin wcześniej Wit rozkazał im się przespać. Woleliby się nie kłaść i oglądać przekaz na żywo z orbity, ale wtedy nie spali już od trzydziestu sześciu godzin i potrzebowali odpoczynku. Byli

członkami POP-u, czyli Policyjnego Oddziału Polowego – najbardziej elitarnej jednostki sił specjalnych na świecie. Jednak nawet tak wysokokwalifikowani żołnierze potrzebowali snu.

Zgromadzili się wokół Wita, niektórzy tylko w długiej bieliźnie, obejmując się ramionami w porannym chłodzie. Stanowili zróżnicowaną grupę. Czterdziestu mężczyzn z trzydziestu różnych krajów. Europejczycy, Azjaci, mieszkańcy obu Ameryk i Bliskiego Wschodu, Afrykanie – wszyscy starannie wyselekcjonowani z jednostek sił specjalnych ich krajów. Wszyscy zrzekli się swoich dawnych stopni, zdjęli mundury i zgodzili się reprezentować swoje kraje w międzynarodowej jednostce, w której wszyscy byli równi i oddani jednej sprawie: zakończeniu ludzkiego cierpienia na całym świecie.

Wit żałował, że nie zaliczali się do nich żołnierze chińscy. W tej chwili przydałby mu się ktoś taki. Przez wiele lat starał się zdobyć rekrutów z Chin, ale tamtejsi wojskowi zawsze zdecydowanie odrzucali jego propozycję. Chcieli być niezależni i nie wikłać się w sprawy międzynarodowe. Tak przynajmniej mówiło oficjalne pismo skierowane do Wita. W żadnym wypadku nie otrzyma dostępu do ich żołnierzy. Kropka.

– Obcy wysłali do Chin trzy duże lądowniki – rzekł Wit.

Wyjął z sakiewki na biodrze holoprojektor i ustawił go sobie na dłoni, z każdego z czterech jego rogów wysunął antenę i włączył urządzenie. W powietrzu pojawił się obraz jednego z lądowników. Część żołnierzy, którzy stali z tyłu, wyciągała szyje, żeby zobaczyć coś nad głowami kolegów.

Po lewej stronie Wita stała ciężarówka zaopatrzeniowa; wspiął się na tylny zderzak, żeby wszyscy mogli lepiej widzieć.

– Holo tego nie pokazuje, ale lądowniki są olbrzymie, wielokrotnie większe od największego stadionu sportowego świata – zaczął. – Każdy z nich mógłby z łatwością pomieścić kilkadziesiąt tysięcy żołnierzy, kilkaset statków powietrznych albo pojazdów lądowych. Jeszcze nie wiemy, co mają w środku. Nie wiemy, co zamierzają. Tylko co wylądowały.

– Gdzie w Chinach? – zapytał Calinga. – Jesteśmy blisko granicy.

– Daleko od nas – odparł Wit. – W południowo-wschodnich Chinach, na północ od Guangzhou.

– Kiedy ruszamy? – drążył Calinga.

– Nie poprosiłem Strategosa o rozkazy. I nie będę prosił. Trzy minuty temu zerwałem z nim wszelką łączność.

Żołnierze popatrzyli po sobie.

Strategos był naczelnym dowódcą Policyjnego Oddziału Polowego, takim jakby generałem. Tyle że nie był to jeden człowiek, lecz trzydziestu. Dwudziestu dwóch mężczyzn i osiem kobiet, każdy z innego narodu, każdy z ogromnym doświadczeniem w tajnych operacjach i operacjach pokojowych. Niektórzy kierowali niegdyś agencjami wywiadowczymi. Inni nadal byli dowódcami wojskowymi w służbie czynnej. Razem wyznaczali i planowali misje POP-u oraz wydawali rozkazy Witowi. Usankcjonowany przez Radę Bezpieczeństwa ONZ Strategos stanowił wzór międzynarodowej współpracy wojskowej; wielkością odpowiadał ułamkowi NATO, ale w działaniach na małą skalę był o wiele skuteczniejszy. NATO głównie demonstrowało siłę, a POP uderzał jak piorun, mocno i szybko, i znikał, zanim wróg się orientował, co się stało.

– Nie mamy łączności ze Strategosem? – zdziwił się Calinga. – Jestem jak najdalszy od tego, żeby mówić panu, jak powinien pan wykonywać swoje obowiązki, panie kapitanie, ale czy to nie utrudni nam otrzymania rozkazów?

– Nie otrzymacie żadnych rozkazów, nawet gdyby linie były otwarte. Strategos nie wyśle nas do Chin. Gdyby przyszły jakieś rozkazy, to takie, że mamy się nie ruszać i utrzymywać pozycję.

– Dlaczego? – spytał Deen. – Wojna toczy się w Chinach.

– Powodem są właśnie Chiny – odparł Wit. – To stabilne państwo. Strategos nie pośle nas tam bez zarządzenia referendum przez Radę Bezpieczeństwa ONZ i bez błogosławieństwa chińskiego rządu, a do tego nie dojdzie w najbliższym czasie, jeśli w ogóle. Chiny nie poproszą o pomoc.

– Dlaczego? – nie ustępował Deen.

– Bo to są Chiny. Gdyby lądowniki znalazły się w Europie czy Australii, już bylibyśmy w samolocie. Chiny będą chciały poradzić sobie z tym same. Przyjęcie pomocy oznaczałoby okazanie słabości. Ich wojskowi potraktowaliby to jak obelgę. Nie zniosą czegoś takiego.

– To nie jest tylko ich problem – powiedział Calinga. – On dotyczy wszystkich.

– Chiny nie będą tego tak postrzegać. Jeśli już, to uznają to za okazję do okazania siły. Gdyby udało im się oswobodzić świat

od obcych, nagle staliby się najsilniejszym narodem na Ziemi. Wszyscy zastanowiliby się dwa razy, zanimby się im sprzeciwili.

– A kto jest na tyle głupi, żeby w ogóle zadzierać z Chinami? – spytał Calinga.

– Stany Zjednoczone postąpiłyby tak samo – stwierdził Wit. – Nie chcą obcych żołnierzy na amerykańskiej ziemi. To sprawia wrażenie utraty suwerenności. Przeraża cywilów i sugeruje, że naród, który pomaga, jest silniejszy od własnego. To samolubne i głupie, ale taka jest duma narodowa. Za miesiąc, kiedy zginie kilka milionów chińskich cywilów, Chiny może zmienią zdanie.

– Myślisz, że będzie aż tak źle? – zapytał Lobo.

– Prawdopodobnie gorzej. Pomyśl o naszym podejściu do walki z obcymi.

– Analizujemy przed podjęciem działania i zakładamy wrogie zamiary – podpowiedział Calinga.

– Właśnie. A wrogie zamiary są teraz z góry przesądzone. Obcy zabili kilka tysięcy kosmicznych górników i zmienili w kosmiczny pył sekretarza ONZ oraz kilka promów z reporterami. Możemy bezpiecznie założyć, że w tych lądownikach nie mają koszy z darami.

– To dlaczego przerwałeś łączność ze Strategosem? – drążył Calinga.

– Bo nie chcę sprzeciwić się bezpośredniemu rozkazowi. Udaję się do Chin. Jeśli nie otrzymam rozkazu, żeby się nie ruszać, to mu się nie sprzeciwiam.

– Oczywiście nie udajesz się tam sam – rzekł Deen. – Idziemy z tobą.

– Nie mogę tego rozkazać żadnemu z was. Mogę jedynie prosić o ochotników. Przedostanie się przez granicę będzie trudne. Stosunki między Indiami i Chinami nie układają się najlepiej. Granice są pilnie strzeżone. Nie możemy zabrać broni. Chińczycy nigdy by nas z nią nie wpuścili. Musimy przejść granicę jako cywile. Nową broń i sprzęt możemy zdobyć, kiedy się już znajdziemy w Chinach.

– I co dokładnie będziemy robić? – spytał Deen.

– To, do czego nas wyszkolono. Będziemy prowadzić asymetryczną wojnę. Zamiast panami pola walki, dysponującymi najnowocześniejszą techniką, będziemy partyzantami wykorzystującymi tradycyjne rozwiązania techniczne i usiłującymi sabotować, przeszkadzać, uderzać w kluczowe punkty. Tak zniechęcimy wroga, że będzie chciał odejść. Tak jak Wietkong

przeciwko Stanom Zjednoczonym, Castro przeciwko Batiście albo fedaini przeciwko Związkowi Radzieckiemu w Afganistanie. Będzie to wymagało zupełnie innego podejścia do walki niż to, do jakiego jesteśmy przyzwyczajeni. I będziemy musieli je tworzyć na bieżąco oraz improwizować. Nadal nie mamy pojęcia, co obcy potrafią.

– A więc czterdziestu chłopa przeciwko obcej armii? – powiedział Deen. – Nie zrozum mnie źle, lubię się bić, ale to nie są obiecujące proporcje.

– Nie będziemy sami. Wszystkim, czego się dowiemy o nieprzyjacielu, każdą skuteczną taktyką walki, jaką rozwiniemy, będziemy się dzielić z chińskim wojskiem. Jeśli są bystrzy, to je zastosują. Będziemy też obserwować Chińczyków. Jeśli zrobią coś, co zadziała, zastosujemy to. Im bardziej będziemy pomagać sobie nawzajem, tym wszyscy będziemy skuteczniejsi.

– Myślałem, że nie chcą pomocy – rzekł Lobo.

– Nie mogą o nią poprosić. Nie chcą pomocy oficjalnie. Ale poszczególne oddziały biorące udział w walce będą wdzięczne za naszą obecność. Mam nadzieję.

– Skąd weźmiemy zaopatrzenie? – zapytał Calinga.

– Czy to znaczy, że się zgłaszasz?

– Tak, do cholery. – Calinga odwrócił się do pozostałych. – Czy ktoś tu się nie zgłasza?

Nikt nie podniósł ręki.

Calinga odwrócił się z powrotem.

– Wygląda mi to na jednomyślność. Proponuję się ruszyć.

– Jeszcze nie – powstrzymał go Wit. – Muszę wam wyraźnie powiedzieć o konsekwencjach. Jeśli pomaszerujemy do Chin, prawdopodobnie zostaniemy uznani za dezerterów i staniemy przed sądem wojskowym.

– Konsekwencją tego, że nie pomaszerujemy, może być koniec świata – rzekł Lobo.

– On ma rację, panie kapitanie – odezwał się Mabuzza. – Idziemy za panem.

– No to co z tego, jeśli postawią nas przed sądem wojskowym? – powiedział Deen. – To lepsze niż odwrócenie się plecami od Chińczyków. Wolę mieć czyste sumienie jako dezerter, niż do końca życia mieć poczucie winy jako przykładny żołnierz.

Wśród pozostałych rozległ się pomruk zgody.

– Dobrze – powiedział Wit. – Widzę, że jesteście tak samo uparci jak ja. Macie dziesięć minut na zwinięcie obozu. Ruszać się!

Ruszyli się.

Dziewięć minut później pojazdy zaczęły zjeżdżać przełęczą w stronę Śrinagaru. Wit i Calinga siedzieli w pierwszej ciężarówce; Calinga prowadził, a Wit oglądał na monitorze na tablicy rozdzielczej przekazy satelitarne z Chin. Lądowniki wwierciły się w ziemię. Na miejscu znajdował się samolot i nagrywał wszystko pod wszelkimi kątami. Wit włączył holoprojektor. W powietrzu przed nim pojawiła się mapa północnych Indii z niewielką chorągiewką oznaczającą obecne położenie oddziału.

– Chyba będziemy mieli większe szanse, jeżeli chińską granicę przekroczymy w Pakistanie, w górach Karakorum – odezwał się Wit. – Tutaj, przez przełęcz Khunjerab.

– W Pakistanie? To teraz musimy przekroczyć dwie granice?

– Dostać się do Pakistanu będzie łatwo. To wciąż region Kaszmiru. A granica między Pakistanem i Chinami jest o wiele gorzej strzeżona niż indyjsko-chińska. Poza tym przełęcz Khunjerab to węzeł handlowy. Mnóstwo ruchu przewozowego, wielkie ciężarówki, ładunki. Po stronie chińskiej będą samoloty transportowe zabierające towar na wschód. Krótkie pasy startowe, niebezpieczne loty. Złapiemy okazję.

– A co z pojazdami?

– Porzucimy je w Śrinagarze. W tej części zachodnich Chin drogi są złe i brakuje paliwa. I tak byśmy je zostawili. Poza tym trudno uchodzić za cywilów, jadąc wojskowymi ciężarówkami.

– Jaka jest tam wysokość?

– Prawie pięć tysięcy metrów.

– Żeby przyjąć taką robotę, trzeba być szalonym pilotem – powiedział Calinga. – Wiatry w górach. Ciągłe zagrożenie burzami. Duże samoloty transportowe. To proszenie się o zarycie dziobem w zbocze góry.

– Takie warunki będą działały na naszą korzyść.

Calinga się skrzywił.

– Jak to?

– Pilota, który bierze taką robotę, interesuje tylko jedno. Pieniądze. A my je mamy.

Wjechali do Śrinagaru i znaleźli magazyn, w którym mogli zostawić ciężarówki i zapasy. Wit kazał im wszystko dobrze

pozamykać, chociaż wątpił, by jeszcze kiedyś zobaczył choćby część sprzętu. Jego ludzie mieli na sobie polowe mundury. Ciężarówki też wyraźnie wyglądały na wojskowe. Co oznaczało, że są zapewne wyładowane cennymi urządzeniami. Prawie na pewno bronią. A wojskowa broń uzyskałaby na czarnym rynku w Śrinagarze bardzo dobrą cenę. Pakistan znajdował się o rzut beretem. Afganistan niewiele dalej. Stawiam dziesięć do jednego, pomyślał Wit, że w ciągu pięciu dni właściciel tego magazynu będzie miał włamanie, które potajemnie sam zorganizuje za porządną część zysków.

Ale cóż mógł zrobić Wit? Gdyby zbliżyli się do granicy jako żołnierze, szanse przedostania się na drugą stronę mieliby zerowe.

Z magazynu wyszli, mając w kieszeniach jedynie przedmioty osobistego użytku: holoprojektory, paszporty, urządzenia radiowe, odbiorniki satelitarne. Drobne przedmioty. Nierzucające się w oczy.

Udali się na pobliski targ uliczny i poszukali ubrań. Kupcy wołali do nich, proponując swój towar i obiecując niewiarygodne ceny. Owoce, ryby, biżuterię, spiratowaną muzykę. Wit szedł dalej, nie zwracając na nich uwagi.

Znaleźli kupca, który handlował męską garderobą, ale nic im nie pasowało. Ubrania były za małe i za odświętne. Kupiec uniósł jaskrawe błyszczące spodnie i wielobarwną luźną koszulę sięgającą za kolana. Wit zmusił się do uśmiechu. Gdyby pojawili się w takim stroju na chińskiej granicy, zostaliby wzięci za trupę akrobatów.

– Potrzebujemy zwykłych ubrań – powiedział.

Kupiec uśmiechnął się i uniósł palec.

– Aha. Zwykłe. Te są dla was za krzykliwe, tak? Może to się wam bardziej spodoba.

Zdjął z góry jaskrawożółtą koszulę, która sięgałaby Witowi do kolan i raziła w oczy.

– To nie mój styl – rzekł kapitan. – Czy jest tu gdzieś w pobliżu pralnia chemiczna?

Uśmiech kupca zniknął – Wit nie był już potencjalnym klientem – i pokazał kciukiem na ulicę, a potem odwrócił się do kogoś innego. Żołnierze poszli dalej. Kiedy wyszli z targu, ludzie zaczęli się na nich gapić. Matki chwytały dzieci i zabierały je z ulicy. Piesi zatrzymywali się i przyglądali się im zmrużonymi oczami. Starcy marszczyli brwi.

– Nie jest to najprzyjaźniejsza okolica – stwierdził Calinga.

– Wyglądamy jak żołnierze – powiedział Wit. – Kupcy nas kochają, ponieważ żołnierze mają pieniądze. Cywile lubią żołnierzy

tak samo jak dziurę w głowie, co w tym rejonie świata czasami od nich dostają.

– Dlaczego pralnia chemiczna? – spytał Calinga.

– Oczywiście ze względu na ubrania – wyjaśnił Wit. – I, co ważniejsze, ubrania używane.

– Nie możemy kupować cudzych ubrań.

– Jeśli ma się pieniądze, można kupić wszystko. Ale chyba nie będziemy musieli kupować cudzych ubrań. W pralniach są też nieodebrane rzeczy. Koszule i spodnie, o których ludzie zapomnieli. A jesteśmy blisko uniwersytetu. Mamy większą szansę znalezienia czegoś funkcjonalnego.

Pralnia była przy drugiej przecznicy. Właściciel siedział za ladą i oglądał przekaz o lądownikach w Chinach. Kiedy Wit i jego ludzie weszli, usłyszał dzwonek poruszony przez drzwi, ale nie podniósł wzroku znad monitora, tak go pochłonęła transmisja.

Wit odczekał chwilę, a potem odchrząknął. Mężczyzna zza lady popatrzył na nich i rozwarł szeroko oczy z zaskoczenia.

– Potrzebujemy ubrań – rzekł Wit. – Dla czterdziestu ludzi. W większości w dużych rozmiarach. Ciepłych i wygodnych. Najlepiej z dużą liczbą kieszeni. Dobrze zapłacimy i dorzucimy mundury, które mamy na sobie. Przyjemna zamiana. Zapewne najlepsza transakcja, jaką zawrze pan w tym roku. Po naszym wyjściu mógłby pan prawdopodobnie zamknąć interes na tydzień, a i tak wyszedłby pan na swoje. Zakładając, że ma pan to, czego potrzebujemy.

Właściciel pralni miał mnóstwo ubrań. Wypełniały całe pomieszczenie magazynowe. Znajdowały się tam rzeczy nieodebrane, ale i nowe. Z przemytu. Dużo chińskich podróbek. Grube spodnie z obniżonym krokiem i mnóstwem kieszeni, bawełniane podkoszulki, skarpetki, grube wełniane koszule, włóczkowe czapki. Wit znalazł nawet czapkę bejsbolową z emblematem pierwszoligowej drużyny amerykańskiej. Nie znosił bejsbolu – jeden gość rzuca piłeczkę, drugi macha kijem, a dwudziestu innych stoi dookoła i się gapi, spluwając – ale taką czapkę włożyłby na głowę cywil.

Starannie pomieszali garderobę. Pasujące do siebie cywilne ubrania też mogły wyglądać jak mundury. Więc nie wszyscy mieli spodnie z obniżonym krokiem, a ci, którzy je mieli, wybrali je w różniących się kolorach – czarnym, khaki albo granatowym. Koszule też kupili rozmaite.

Wit zapłacił i dorzucił spory napiwek. Potem wszyscy się przebrali i zostawili mundury na stercie w pomieszczeniu magazynowym. Następnie Wit podzielił ich na dziesięć czteroosobowych grup i polecił różnymi trasami dostać się na stację kolejową. Nie martwił się, że ktoś ich zobaczy w Indiach – na pobyt tu miał wszelkie zezwolenia. Teraz jednak wszyscy dookoła byli potencjalnymi towarzyszami podróży do Pakistanu, a podejrzliwi pasażerowie mogą zawiadomić władze, czego Wit chciał uniknąć za wszelką cenę.

Wyruszyli. Wit poszedł z Calingą, Deenem i Lobo. Po drodze nie napotkali ani jednego nieufnego spojrzenia.

Kupili bilety grupami i wsiedli do pierwszego pociągu, który jechał na zachód do Pakistanu. Każda z dziesięciu grup jechała innym wagonem. Nikt nie zwracał na nich uwagi. Wszyscy w pociągu oglądali na holoprojektorach transmisje z Chin.

Wit wyjął własny holoprojektor i poszukał w sieci ostatniego materiału z Chin. To był kolejny filmik nakręcony przez załogę pierwszej jednostki powietrznej, która znalazła się w miejscu lądowania.

Obraz z pozostającej w ciągłym ruchu kamery umieszczonej pod spodem maszyny przyprawiał o lekkie mdłości i Wit już miał zacząć szukać materiałów z innego źródła, kiedy coś na ekranie przykuło jego wzrok. Stuknął w ekran i przewinął wideo. Statek powietrzny lądował i przeprowadzał akcję ratunkową. Jeden z żołnierzy wyskoczył i wyciągał kogoś spod błotnej lawiny. Kilkuletniego chłopca. Żołnierz wziął go na ręce i wracał do maszyny. Przez kilka sekund było widać jego twarz. Wit zatrzymał obraz i pokazał go siedzącemu obok Calindze.

– Poznajesz?

– To ten Maorys – powiedział Calinga. – Ten, którego sprawdzaliśmy.

– Mazer Rackham.

– Jakim sposobem dostał się tak szybko do Chin?

– Musiał już tam być.

– Pracuje z Chińczykami?

– Nie wtedy, kiedy to było nagrywane – odparł Wit. – To niemożliwe. Chińczycy nigdy nie pozwoliliby Nowozelandczykowi przeprowadzić takiej akcji. Nie na oczach całego świata. Ratowanie dziecka z katastrofy? To Święty Graal speców od reklamy. Gdyby

Mazer latał z Chińczykami, dzieciaka ratowałby chiński żołnierz. Mazer im zabiera ich pięć minut.

– No to kto jest w tej maszynie razem z nim?

– Nie mam pojęcia, ale nie Chińczycy.

ROZDZIAŁ 15

FORMIDZI

Mazer wychylił się z WOCS-a i ostatni raz obejrzał na chatę. Bingwen miał szczęście. Kilka metrów w prawo albo w lewo pod tym drzewem i ziemia pogrzebałaby go żywcem. Mazer zastanawiał się, ilu ludzi utknęło w podobny sposób na tych polach, uwięzionych w jakimś pęcherzu powietrza, czekających na ratunek, który prawdopodobnie nie przybędzie.

Usiadł wygodnie w fotelu i włączył wyświetlacz wewnątrzhełmowy. Patu przesyłała mu kilka relacji i każda była umieszczona w jednym z rogów na skraju jego pola widzenia. To były przekazy satelitarne pokazujące wierzch lądownika, który właśnie się otworzył. W jego środku znajdował się teraz duży ciemny okrąg odsłaniający olbrzymią przestrzeń wewnątrz, w większości ukrytą w cieniu.

– Na co patrzymy? – spytał Mazer. – Możemy zobaczyć, co jest w środku?

– Nie – odparła Patu. – Próbowałam rozmaitych widm. Słońce stoi za nisko. Do środka nie wpada wystarczająca ilość światła.

Przelecieli nad ostatnim szczytem i zobaczyli lądownik. Zgromadziła się wokół niego grupka statków powietrznych, zarówno medycznych, jak wojskowych, z chińskimi oznaczeniami. Kilka unosiło się nad otworem.

– Patu, czy są jakieś przekazy od maszyny nad lądownikiem? – zapytał Mazer.

– Nie. Albo nie filmują, albo tego nie nadają.

W holoprzestrzeni pojawił się Shenzu, ich chiński kontakt.

– Od tej chwili przejmujemy sprawę, kapitanie Rackham. Chiny dziękują za pomoc. Proszę trzymać się z daleka.

– Mogli ocaleć jeszcze inni ludzie.

– Zajmiemy się nimi – powiedział Shenzu tonem nieznoszącym sprzeciwu.

I zniknął.

– Co robimy? – spytał Reinhardt.

– Posłuchamy go – rzekł Mazer. – Trzymamy się z dala. Pozwalamy im robić swoje. Fatani, podłącz nas do ich radia. Chcę wiedzieć, co do siebie mówią. Reinhardt, wróć tam, gdzie zostawiliśmy pierwszych rannych. Możemy ich przenieść do miejsca, gdzie zostanie zorganizowany szpital.

Z głębi otworu w lądowniku wystrzelił promień światła i trafił w jeden z unoszących się nad nim śmigłowców. Laser przebił się, jakby maszyny wcale tam nie było, w jednej sekundzie odcinając wirujące łopaty. Śmigłowiec spadł jak kamień; dymił się, odbił od boku lądownika i spadł spiralą na ziemię, gdzie rozbił się i zapalił.

Inne śmigłowce, które znajdowały się w pobliżu otworu, zaczęły się wycofywać. Nie poruszały się wystarczająco szybko. W górę wystrzeliły trzy kolejne promienie i przecięły maszyny na pół. Wszystkie spadły, płonąc. Jedna z nich to był duży medyczny śmigłowiec ewakuacyjny. Co najmniej dziesięć osób załogi. Lekarze i pielęgniarki. Maszyna wybuchła, zanim dotknęła ziemi.

Fatani znalazł częstotliwość radiową. Uszy Mazera zaatakowały gorączkowe krzyki. Chińczycy wpadli w panikę.

Spadł ostatni śmigłowiec, jaki unosił się jeszcze nad lądownikiem. Rozbił się na jego wierzchu w pobliżu otworu i tam już został, buchając kłębami czarnego dymu.

I wtedy się pojawiły.

Początkowo było ich tyle, że Mazer nie zdawał sobie sprawy, na co patrzy. Były jak kolonia nietoperzy wylatująca z jaskini. Albo jak rój owadów podążający pojedynczą kolumną, w której poszczególne osobniki idą blisko siebie, ale się nie dotykają. Mazer uświadomił sobie, że to statki powietrzne. Kolumna szybko poruszających się tworów z metalu, ciemnych i przerażających, które szybko się wznosiły i poruszały jak jedna istota.

Dały się rozróżnić dwa rodzaje. Jedne były małe, drugie duże, może trzy razy większe od WOCS-a. Były ich setki. Na dużej wysokości nad lądownikiem rozdzieliły się, co wyglądało jak korzenie drzewa odwróconego do dołu koroną, i odleciały we wszystkich kierunkach, tworząc nad całą okolicą baldachim, który pokrył dolinę cieniami.

Jeden ze statków powietrznych przeleciał bezpośrednio nad WOCS-em. Mazer obserwował go, wyciągając szyję. Zdał sobie

sprawę, że pojazd nie wydaje żadnego dźwięku. Jak wszystkie pozostałe. Żadnego hałasu silników. Żadnych wirników. Leciały cicho jak duchy.

Chiński śmigłowiec z prawej strony Mazera bluznął ogniem – łuk serii pocisków smugowych wił się, skręcił i znalazł cel. Ogień przyjął jeden z tych większych, oddalających się obcych statków. Kule odbiły się od kadłuba w deszczu iskier; statek zboczył z kursu i runął spiralą ku ziemi. Uderzył w jej powierzchnię, podskoczył i zaczął koziołkować. Wreszcie zatrzymał się na końcu wyrytego przez siebie rowu.

Natychmiast, poruszając się jak jedna istota, kurs zmieniło siedem statków obcych i zaatakowało chiński śmigłowiec, który poprzednio otworzył ogień. Strzelec obrócił broń i posłał pociski smugowe w górę ku atakującym, lecz obcy unikali go dzięki szybkim manewrom. A potem sami zaczęli strzelać. Krótkie serie z laserów trafiły Chińczyka ze wszystkich stron jednocześnie. Śmigłowiec skręcił się i rozdarł jak zgnieciona puszka, siejąc na wszystkie strony odłamkami i ogniem. Płonąca masa runęła w dół, wbiła się w zbocze wzgórza, a grawitacja nadal ciągnęła ją ku ziemi. Wrak przekoziołkował, uderzył w drzewo i niemal całkiem się rozpadł.

– Posadź nas! – zawołał Mazer. – Już!

Reinhardt pchnął drążek w bok. WOCS gwałtownie skręcił i zaczął się zniżać.

Przed nimi dopalał się w trawie zestrzelony statek obcych.

Mazer pokazał ręką.

– Tam wyląduj!

Reinhardt rzucił Mazerowi zdumione spojrzenie.

– Mam wylądować obok tego czegoś?

– Wykonaj!

Reinhardt skręcił w prawo i posadził ich przy wraku. Mazer wyskoczył, wyjął z kabury broń i wymierzył ją w górę. Coś tak małego nie wyrządziłoby dużemu statkowi żadnej szkody, ale dobrze się czuł z bronią w ręku. Statki obcych, które znajdowały się za nimi, nie zwróciły na nich uwagi i leciały dalej na północ.

Mazer odprowadził je wzrokiem, odetchnął i rozluźnił ramiona. Gdzieś na południu rozległa się krótka seria strzałów. Błyskawicznie odwrócił się w tamtą stronę. Nic nie zobaczył; góry, które znajdowały się na południe od niego, zasłaniały widok na lądownik i inne statki. Zaczął nasłuchiwać. Cisza, a potem znów seria strzałów i potężny

wybuch – rozdzierający, grzmiący huk, jakby odbijający się echem od nieba. Skręcający się metal, cichnące silniki, krótkotrwały grzechot oderwanych fragmentów, które zderzały się w powietrzu, i podzwanianie opadających szczątków, jakby to były płonące dzwoneczki wietrzne.

Mazer popatrzył na wschód i na zachód. Statki obcych leciały w obu kierunkach; niektóre poruszały się szybko, a inne powoli, jakby patrolowały okolicę albo badały ziemię pod sobą. Żaden nie znajdował się niebezpiecznie blisko ani nie sprawiał wrażenia, że zwraca na niego uwagę. Z radia dalej dochodziły gorączkowe krzyki, chociaż teraz ich natężenie było wyraźnie mniejsze. Mazer usiłował coś zrozumieć, ale wszystko było po chińsku i udawało mu się wychwycić tylko pojedyncze słowa czy fragmenty zdań.

Z południa dobiegł huk kolejnego wybuchu.

Radio zamilkło. Gorączkowe krzyki zastąpił szum.

Mazer nasłuchiwał, gorąco pragnąc, by na częstotliwość wróciły głosy. Nikt się nie odzywał. Kapitan powoli obrócił się dookoła, patrząc na okolicę i szukając na niebie chińskich statków. Bez skutku.

– Czerwony Smok, tu kapitan Mazer Rackham, czy mnie słyszysz? Odbiór – powiedział do swojego komunikatora.

Żadnej odpowiedzi.

– Czerwony Smok, czy mnie słyszysz?

Nic.

Zestrzelony statek obcych leżał na boku dwadzieścia metrów od niego. Mazer spodziewał się, że będzie to powgniatany i poskręcany wrak, mało przypominający pierwotną maszynę. Statek wydawał się jednak nietknięty i nieuszkodzony, jakby był zbudowany z niezniszczalnego materiału. Jedyną oznaką, że coś jest nie tak, była strużka dymu, powoli wydobywająca się z otworu wentylacyjnego na rufie.

Mazer odwrócił się do Reinhardta.

– Nie wyłączaj silnika. Bądź gotów do natychmiastowego startu. Fatani, Patu, kamery włączone, broń w pogotowiu. Nagrywajcie wszystko. Reinhardt, obserwuj niebo. Powiedz nam, jeśli coś zacznie się zbliżać.

Ruszył powoli w stronę zestrzelonego statku z uniesioną, odbezpieczoną bronią i palcem na spuście.

– Wiesz, co robisz? – zapytał Reinhardt. – Nie mamy pojęcia, co to jest ani co potrafi.

– Nikt nie ma pojęcia i właśnie dlatego musimy się wszystkiego dowiedzieć.

U boku Mazera pojawiła się Patu z karabinem szturmowym uniesionym do ramienia. Fatani obszedł WOCS-a i dołączył do nich z krótką bronią w wyciągniętej ręce.

Wszyscy mieli na głowach hełmy z uruchomionymi kamerami.

– Rozproszmy się – powiedział Mazer.

Odbił w lewo, Fatani poszedł daleko w prawo, a Patu szła prosto.

– Nadajemy, Patu?

– Wszystkie trzy przekazy idą na żywo.

– Świetnie.

Zbliżyli się do statku. Było jasne, że zbudowali go ci sami inżynierowie, którzy skonstruowali lądownik. Metalowy kadłub miał ciemny, rdzawoczerwony kolor, był niewypolerowany i miejscami skorodowany. Linie i kąty były nierówne, jakby nikt nie przejmował się aerodynamiką czy stylem. Statek wyglądał jak wagon towarowy – brzydki, niezgrabny i rygorystycznie funkcjonalny.

Leżał na boku, wierzchem obrócony do Mazera. Statek był wyższy od niego. Mazer podszedł i kopnął metal. Rozległo się lekkie, głuche szczęknięcie. Mazer przeszedł na drugą stronę. Był tam już Fatani, a stojąc na lekkim wzniesieniu, lepiej widział bok statku, który teraz znajdował się na górze. Mazer też wszedł na to wzniesienie i zobaczył miejsca trafień pocisków z chińskiego śmigłowca. Nie przebiły poszycia, ale zostawiły po sobie drobne, niemal niezauważalne wgniecenia w metalu. Mazer uznał to za dziwne.

Fatani myślał chyba tak samo.

– To nie ma sensu – zauważył. – Kule się nie przebiły. Nie wycieka żaden płyn. Nie ma żadnych widocznych uszkodzeń od strzałów. Dlaczego spadł?

– Może siła uderzenia wytrąciła go z kursu. Jak walnięcie w głowę. Pilot się tego nie spodziewał. A może ten statek trudno wprowadzić na poprzedni kurs, jeśli zostanie z niego wytrącony. Może być wiele powodów.

Coś się poruszyło – duży kawałek metalu na górze, jakby klapa luku, uniósł się o dwadzieścia centymetrów.

Mazer cofnął się gwałtownie z zaskoczenia i niemal się potknął. Patu i Fatani też się cofnęli, mocno ściskając broń w uniesionych rękach.

– Co się dzieje? – zapytał Fatani.

Drzwi stanowiła szeroka, płaska część poszycia wysoka niemal jak cały statek. Rozległ się kolejny zgrzyt i drzwi – teraz dach – odsunęły się, odsłaniając głęboką, pustą przestrzeń w środku.

– Nie podoba mi się to – rzekła Patu.

Drzwi odsunęły się na całą szerokość i znieruchomiały. Wnętrze było szerokie jak ładownia. Mazer nie mógł dostrzec dna. Postąpił krok do przodu.

– Uważaj – ostrzegł Fatani. – Te drzwi nie otwierają się same.

Mazer się zbliżył. Metr, potem dwa. Broń trzymał gotową do strzału. Znalazł się tuż przy statku. Stanął na palcach, usiłując zajrzeć do środka.

Z jego prawej strony wyłoniła się ze środka czerwona dłoń i chwyciła się krawędzi otworu.

Fatani zaklął. Mazer znów się gwałtownie cofnął. Patu postąpiła do przodu z uniesioną bronią.

Mazer uniósł rękę.

– Czekaj! Nie strzelaj.

Cofnął się. Serce mu biło mocno.

Czerwona dłoń była umięśniona i twarda, pokryta delikatnymi prostymi włoskami. Miała wielkość może dwóch trzecich dłoni Mazera i właściwie była szponami. Patrząc na nią, Mazer usłyszał z wnętrza syk. Nie mechaniczny; biologiczny. Oddechy. Płytkie i chrapliwe. Dźwięki, jakie wydają zwierzęta pod wpływem bólu.

– Cofnijcie się – powiedział Mazer.

Odeszli kilka kroków.

Czerwona dłoń, która trzymała się krawędzi otworu, znowu się napięła, mocniej zacisnęła, pociągnęła. Oddech stał się ciężki, bardziej wysilony. Obcy usiłował się unieść.

Obok pierwszej dłoni pojawiła się druga, mniejsza.

A potem stwór przerzucił nad krawędzią nogę i zaraz za nią pokazało się całe ciało. Teraz Mazer widział, że ta mniejsza ręka i dłoń to nie przeciwna kończyna, ale druga, mniejsza ręka wyrastająca po tej samej stronie ciała pod pierwszą. A może te środkowe kończyny to dodatkowa para nóg. Trudno było powiedzieć; nie różniły się tak bardzo od siebie pod względem anatomii.

Stwór leżał na krawędzi i chwytał chrapliwie oddech jak linoskoczek, który zrobił sobie przerwę w trakcie pokazu. Nie miał żadnego ubrania. Na plecach niósł duży, na wpół przezroczysty kanister, w którym chlupotała jakaś ciecz. Głowę miał odwróconą

od ludzi. Na oko mógł mieć jakieś metr trzydzieści wysokości. Jego skórę pokrywało krótkie, kędzierzawe futro, ale tworzące je włoski były cienkie jak włoski na ręce człowieka, co pozwalało Mazerowi dostrzec skórę stwora. Była w odcieniach ziemi, głównie ciemnoczerwona z pomarańczowymi, żółtymi i zielonymi plamami. Jak u owada.

– Pozwól mi go zastrzelić – powiedziała Patu.

– Zaczekaj. Zobaczmy, co zrobi.

Po chwili stwór chyba się uspokoił i zebrał siły. Spróbował tak przesunąć dłonie, żeby się opuścić na ziemię, lecz kiedy przesunął ciężar ciała, zsunął się z kadłuba i mocno uderzył o ziemię. Wciągnął gwałtownie powietrze, jakby przeszył go ból, ale nie wydał żadnego innego dźwięku. Przez chwilę leżał nieruchomo i oddychał, a potem powoli, z wielkim wysiłkiem spróbował wstać. Nie udało mu się. Ręce z lewej strony wisiały bezwładnie i wyglądały na złamane. Lewa noga była lekko wykręcona, zgięta pod innym kątem niż prawa, której używał stwór. Podczas zderzenia statku z ziemią zapewne mocno nim rzucało.

Mazer widział teraz rurkę, która wychodziła z dna kanistra na plecach stwora. Na jej końcu znajdowała się krótka dysza i całość przypominała sprzęt, jaki mógłby mieć na sobie pracownik firmy zwalczającej szkodniki.

Stwór podciągnął pod siebie nogi, z wysiłkiem wyprostował tę zdrową i opierając się grzbietem o kadłub statku, wstał powoli. Mazerowi prawie zrobiło się go żal. Był taki mały, poraniony. Ale uczucie to natychmiast zniknęło. Mazer wzmocnił chwyt na broni wycelowanej w głowę obcego.

Stwór ruszył chwiejnie wzdłuż statku, wciąż nieświadomy obecności ludzi. Krok za krokiem wlókł się przed siebie. Dotarł do końca statku i szedł dalej po trawie.

– Dokąd on idzie? – mruknął Fatani.

– Nie wiem – odparł Mazer. – Miej oko na statek, na wypadek gdyby wyszedł jeszcze jeden.

Ruszył za oddalającym się obcym z wymierzoną w niego bronią. Stwór szedł powoli. Nie mógł odejść daleko. Mazer wiedział, że musi go zabić. Ale co potem? Czy powinni odzyskać ciało? Na pewno Chińczycy będą chcieli je zbadać. I obcego, i to, co ma w kanistrze.

Stwór sięgnął za siebie zdrową, mniejszą ręką i namacał rurkę. Podał ją do większej ręki. Działały wspólnie, ześlizgując się po rurce,

aż natrafiły na dyszę, którą skierowały na trawę. Wydobyła się z niej żółta mgiełka. Trawa natychmiast zwiędła i sczerniała.

Wewnątrz hełmu Mazera odezwał się alarm informujący o zagrożeniu biologicznym.

– Maski! – krzyknął kapitan i cofnął się kilka kroków.

Wydał mrugnięciem polecenie i do jego twarzy przywarła maska umieszczona wewnątrz hełmu, zakryła mu usta i nos. Poczuł zasysanie, po którym poznał, że maska jest szczelna. Zaczął oddychać świeżym tlenem.

– Cofnijcie się – powiedział. – On rozpyla jakiś defoliant.

– To jest w powietrzu – stwierdził Fatani. – Mój hełm wariuje.

Stwór nie przestawał rozpylać mgły. Wokół niego ginęły szerokie połacie trawy. Mgła kłębiła się i narastała, porywana wiatrem.

– Musimy coś zrobić – rzekła Patu.

Mazer wahał się jeszcze chwilę i pociągnął za spust. Trafiony w głowę stwór upadł. Dysza przestała działać.

– To jest defoliant – powiedział Mazer. – W powietrzu są jego ślady. Wracajcie. Reinhardt, przesuń WOCS-a pod wiatr.

Maszyna uniosła się lekko w powietrze i wylądowała trzydzieści metrów dalej na północ.

– A jeśli to coś nie jest martwe? – zapytał Fatani.

– Trafiłem go – rzekł Mazer. – Wracajcie do środka. Niczego nie dotykajcie. Nie siadajcie. Ten specyfik może być na waszych ubraniach.

Ruszyli wykonać rozkaz. Mazer włączył mrugnięciem obrazowanie termiczne. Stwór zostawiał termiczny ślad – słaby, ale stanowiący wyraźny dowód, że obcy jest ciepłokrwisty. Mazer wystrzelił jeszcze cztery pociski, tak dla pewności. Wszystkie trafiły w grzbiet, a obcy za każdym razem lekko się wzdrygał, jakby otrzymał kopniaka. Poza tym się nie ruszał. Krew z rany na głowie wsiąkała w trawę.

Mazer wszedł na obcy statek. Stanął na brzegu drzwi i zajrzał w dół. Na dnie leżała sterta ciał obcych; wszyscy mieli na grzbietach takie same kanistry z defoliantem.

– To transportowiec. Trudno ocenić, ile tu jest tych stworów. Ciała są ciasno zbite. Powiedziałbym, że dziewięć.

Mazer przeprowadził obliczenia w pamięci. Nie wiedział, ile transportowców wyłoniło się z lądownika, ale musiało ich być ponad sto, może dwieście. Jeśli w każdym znajdowało się dziesięciu

żołnierzy z defoliantem, liczba zabitych Chińczyków mogłaby być olbrzymia, nie licząc następstw ekologicznych.

Jeden z obcych, jeszcze żywy, poruszył się. Mazer opróżnił magazynek.

Sterta znieruchomiała.

Kapitan ukląkł, wyjął laserowy nóż i zaczął odcinać kawałek metalu z brzegu transportowca, żeby oddać go do analizy. Laser, który normalnie z łatwością przecinał stal, z tym metalem miał trudności. Mazer zamierzał zdobyć spory fragment, ale tempo pracy sprawiło, że zadowolił się kawałeczkiem nie większym od monety. Dmuchnął na niego, żeby metal się ochłodził, i wrzucił do pojemniczka, który miał u pasa. Następnie zszedł z drzwi i spróbował zasunąć je na miejsce w nadziei, że uda mu się szczelnie zamknąć statek i nie dopuścić do wydostania się chemikaliów na zewnątrz. Drzwi ani drgnęły. Mazer zajrzał do środka w poszukiwaniu jakiejś dźwigni, przełącznika czy przycisku, ale niczego takiego nie zauważył.

Opuścił się na ziemię i pobiegł do WOCS-a. Wszedł na płozę i chwycił się uchwytu dla dłoni.

– Poleć nad martwą trawę – polecił Reinhardtowi.

WOCS wzniósł się w powietrze.

Wolną ręką Mazer poszukał pod konsolą rakietnicy. Było do niej przymocowanych kilka rac. Wolałby użyć jakiejś innej metody, jakiegoś pewniejszego i łatwiejszego do opanowania materiału zapalającego – race są nieprzewidywalne – ale nie miał nic innego, a nie chciał się bardziej zbliżać do martwej trawy. Załadował racę i wystrzelił ją w czarną plamę. Raca odbiła się rykoszetem i wylądowała nieco dalej, wirując na zdrowej trawie jak fajerwerk, siejąc iskrami i tryskając ogniem.

Mazer załadował kolejną racę i spróbował jeszcze raz. Tym razem uderzyła w ziemię i zaczęła szaleńczo wirować w miejscu, siejąc na wszystkie strony iskrami, a potem wystrzeliła w innym kierunku. Martwa trawa zajęła się ogniem.

Mazer odwrócił się do Reinhardta.

– Znajdź nam w pobliżu jakiś płaski teren, najlepiej z dala od roślinności. Może drogę. Prędko!

WOCS skręcił na wschód. Mazer obserwował niebo. Transportowce i te mniejsze statki były gdzie indziej i wciąż się oddalały.

Reinhardt wylądował na drodze gruntowej, pierwszej, jaką zobaczyli od dłuższego czasu.

Kapitan wyskoczył, zdjął hełm i położył go na ziemi.

– Patu i Fatani, musimy się rozebrać ze wszystkiego, co miało kontakt z powietrzem, co mogło się zetknąć z defoliantem, poczynając od mundurów. Rzućcie je tutaj na stertę. Postarajcie się, żeby te ubrania nie dotknęły waszej skóry ani niczego wewnątrz WOCS-a. Butów nie zdejmujcie.

Sam rozebrał się szybko, zostając w podkoszulku, bokserkach i skarpetkach. Mundur zostawił na ziemi. Fatani i Patu też się rozebrali. Mazer wyciągnął spod swojego fotela apteczkę i wyjął z niej butelkę z chirurgicznym środkiem antyseptycznym. Wylał go trochę na złożone dłonie Patu i Fataniego, kazał im dokładnie umyć ręce i twarze. Sam też to zrobił. Płyn był zimny, brązowy i pachniał szpitalem. Kiedy skończyli, nasączyli nim gazę i wytarli hełmy, buty oraz broń.

Mazer chwycił jeszcze jedną racę i wyciągnął zawleczkę. Z końca racy posypały się gorące iskry. Przytknął racę do ubrań, które zapaliły się i spłonęły, a potem wyrzucił ją na pobliskie poletko ryżowe, gdzie zgasła z sykiem.

– I co teraz? – zapytał Reinhardt. – Przez radio nic nie słychać. Nie mamy zapasowych ubrań. I prawie wcale nie mamy broni.

– Potrzebujemy dodatkowych ubrań – stwierdził Mazer. – Teraz więcej naszej skóry jest wystawione na działanie powietrza. A rozpylać tę mgłę w powietrzu mogą setki obcych. Musimy się okryć.

– Musimy jeszcze raz się zastanowić, co my tu, u diabła, robimy – rzekł Reinhardt. – Nie mamy wyposażenia do walki powietrznej. Ratowanie ludzi to jedno. Atak z powietrza to co innego. Oficjalnie to nas przerasta.

– To przerasta wszystkich – stwierdził Mazer. – Nikt nie jest przygotowany.

– Jeśli wrócimy do bazy, skonfiskują nam WOCS-a – rzekł Fatani. – Zostaniemy wyłączeni z walki.

– Nie jesteśmy uzbrojeni do walki – upierał się Reinhardt. – O to mi chodzi. Jeśli do naszego ptaszka załaduje się pociski i większą broń, do czegoś się przyda. Jako maszyna ratunkowa jesteśmy tarczą strzelecką. Musimy oddać go Chińczykom, żeby użyli go w celu, w jakim został zbudowany. To ich sprzęt, nie nasz.

– Nadal możemy się tu na coś przydać – powiedziała Patu. – Tam było na ziemi dużo ludzi. Wciąż poruszali się o własnych siłach. Powinniśmy ich zebrać w jednym miejscu, z dala od chaosu. Może w tym prowizorycznym szpitalu. Przynajmniej do czasu, kiedy będą mogli być ewakuowani.

– Nie będzie żadnego szpitala – odparł Reinhardt. – Umknęły ci wydarzenia z ostatnich dwudziestu minut? Te śmigłowce medycznych zespołów ewakuacyjnych są zestrzelone, Patu. Już ich nie ma. Nikt nie buduje żadnego szpitala. W tej chwili to my nim jesteśmy. Jeśli przeniesiemy ludzi do tego szpitala, wcale im tam nie będzie lepiej niż w miejscu, gdzie są teraz.

W hełmie Mazera rozległo się pikanie.

Reinhardt odwrócił się z nagłym niepokojem do konsoli.

– Dwa zbliżające się obiekty. Poruszają się szybko. Chińskie myśliwce.

Mazer właśnie usłyszał ich silniki. Spojrzał w górę i zobaczył, że nadlatują z południa, lecąc nisko, i po chwili przemknęły nad ich głowami. Otworzyły ogień do widocznej w dali grupy transportowców obcych. Jeden pocisk trafił w cel. Transportowiec eksplodował i jego płonący wrak spadł spiralą na ziemię. Mazer i jego ludzie nie mogli powstrzymać okrzyków radości.

Lecz wtedy sytuacja się odwróciła. Statki obcych, które znajdowały się blisko, zmieniły nagle kurs – poruszały się jak jeden organizm – i zaatakowały myśliwce. Mazer szybko włożył hełm i zrobił zbliżenie, żeby obserwować walkę powietrzną. Chińskie myśliwce dostrzegły zagrożenie, wzniosły się wyżej, usiłując umknąć pogoni, i skręciły w przeciwnych kierunkach. Mniejsze śmigacze obcych, w których znajdował się zapewne tylko pilot, były o wiele szybsze i zwrotniejsze od transportowców. Ich grupka wkrótce dogoniła jeden z myśliwców i otworzyła do niego jednocześnie ogień. Samolot eksplodował kulą odłamków i ognia.

Mazer i pozostali w milczeniu patrzyli, jak płonący wrak spada na ziemię.

– To nas przerasta – powtórzył Reinhardt. – Musimy porozmawiać z Chińczykami. Teraz na pewno są zdesperowani i przyjmą każdą pomoc. Wyślą nas tu z powrotem.

Patu, Fatani i Reinhardt patrzyli na Mazera, czekając, aż podejmie decyzję. Zdrowy rozsądek podpowiadał mu, żeby lecieć do bazy. Im szybciej uzbroją WOCS-a, tym szybciej ktoś mógłby się

w nim znaleźć w powietrzu i dobrze go wykorzystać. Spojrzał na południe. Wciąż widział ludzi, którzy schodzili ze zboczy, pieszo uciekając przed lądownikiem, i w kompletnej rozsypce rozpraszali się w dolinie w kilkuosobowych grupkach. Z tej odległości Mazer nie widział ich twarzy, ale wiedział, co by zobaczył. Strach, ból, dezorientację, bezradność.

– Trzeba przenieść do tamtej stodoły jak najwięcej ludzi – rzekł wreszcie. – Nie możemy ich zostawić tak niezorganizowanych. Zespoły ewakuacyjne zostały zniszczone, lecz możemy z tego gospodarstwa zrobić szpital.

– Nie mamy zapasów – zaoponował Reinhardt.

– Trochę mamy. Oraz zapewne lepsze wyszkolenie medyczne niż którykolwiek z tych ludzi. Możemy im pomóc. I możemy też zorganizować do pomocy tych, którzy nie odnieśli obrażeń. Ci przerażeni ludzie są w rozsypce. Muszą się zebrać, zorientować w sytuacji i zejść z otwartego terenu. Kto wie, ile zostało rozpylonego tego defoliantu. Mogliby wpaść prosto w jego chmurę. Powinni się znaleźć gdzieś wysoko, z daleka od dolin, tam gdzie jest więcej wiatru. Ta chata i stodoła będą dobre.

– Nie jesteśmy transportowcem – powiedział Reinhardt. – Możemy zabrać tylko kilka osób naraz.

– To będziemy brać po kilka osób naraz. – Mazer wszedł do kokpitu. – Startujemy. Fatani, obserwuj niebo, czy coś nie nadlatuje. Patu, razem ze mną będziesz pomagać ocalonym wchodzić do WOCS-a i przypinać ich do foteli.

Wszyscy potwierdzili, że zrozumieli rozkazy, i Reinhardt poderwał maszynę w powietrze.

Polecieli na południe, ale nie musieli lecieć daleko. Wylądowali obok rodziny biegnącej przez pole. Kobieta trzymała w ramionach niemowlę. Oboje płakali. Ojciec niósł dwoje małych dzieci wczepionych kurczowo w jego szyję. Miały może dwa i trzy lata. Wszyscy byli biedni, bosi, brudni i przerażeni. Bez wahania podeszli do WOCS-a. Mazer i Patu pomogli im wsiąść do środka. Dzieci krzyczały ze strachu. Matka skuliła się z maleństwem na rękach; cała się trzęsła.

Kiedy wszyscy siedzieli już bezpiecznie, Reinhardt wzniósł się do góry. Nie ulecieli daleko, kiedy znowu musiał opuścić maszynę, tym razem po to, żeby wziąć na pokład dwoje starszych ludzi. Każde miało z sobą worek, ich ubrania były zabłocone i podarte. Wyglądali, jakby ciągle jeszcze nie otrząsnęli się z szoku. Mazer i Patu pomogli im wsiąść.

– Mamy miejsce już tylko dla dwóch osób – powiedział Reinhardt.

Mazer zobaczył grupkę pięciorga ludzi, którzy biegli w ich stronę, machając rękami.

– Czekajcie! – krzyczeli. – Zaczekajcie na nas!

– Nie zmieścimy wszystkich – powiedział Reinhardt do Mazera.

– Jakoś wciśniemy.

Grupę stanowili ludzie prawdopodobnie niespokrewnieni z sobą – nastolatka, staruszka, dziesięcioletnie dziecko, mężczyzna w średnim wieku, dwudziestolatka. Niektórzy utykali albo chronili rękę, ale nikt nie wyglądał na ciężko rannego. Prawdopodobnie wszyscy upadli podczas trzęsienia ziemi albo powaliła ich błotna lawina.

Mazer upchnął ich ciasno, dziecko i nastolatkę posadził w swoim fotelu, a sam stanął z tyłu. Reinhardt wystartował. Mazer przemówił do wieśniaków. Razem ze swoim zespołem zabiera ich do wiejskiej chaty. Zrobią z niej szpital. Przywiozą więcej ludzi. Prawdziwi lekarze przybędą później. Tymczasem potrzebna jest pomoc wszystkich. Zdrowi będą pomagać tym, którzy odnieśli obrażenia. Zapytał chłopca, czy któraś z tych osób jest z nim spokrewniona. Nie. Polecił mu się trzymać młodej kobiety. Ma się nim zająć. Kobieta się zgodziła. Mazer powiedział im, że po dotarciu do chaty mają zakryć skórę, i wyjaśnił, co to są defolianty. Ludzie muszą zostać w chacie. Zaopatrzenie dotrze później. Woda i żywność. Trochę tego już w chacie jest. Rozdał tę odrobinę, którą miał w WOCS-ie.

Wtedy już dotarli do celu. Odsunął drzwi i zaczął pomagać ludziom przy wchodzeniu do chaty. Mężczyzna w średnim wieku razem z nim i Patu wniósł dzieci do środka i wziął worki od starszych osób. W chacie staruszek i Bingwen ucieszyli się na widok przybyszy. Dziadek znał kilkoro z nich. Uściskali się.

Mazer zwrócił się do mężczyzny w średnim wieku.

– Jak się nazywasz?

– Ping.

Kapitan położył mu rękę na ramieniu i zwrócił się do uratowanych.

– Słuchajcie, dopóki nie wrócimy z innymi, jesteście pod opieką Pinga. Pamiętajcie, nie wychodźcie stąd.

– Nie jesteśmy tu bezpieczni – odezwał się ojciec młodej rodziny. – Te samoloty mogą wrócić.

– Tutaj jesteście bezpieczniejsi niż tam, gdzie byliście – stwierdził Mazer. – Przybędzie tu wojsko.

– Dlaczego jeszcze go nie ma? Dlaczego ratują nas cudzoziemcy?

– Wasi żołnierze rozpaczliwie walczą, by was chronić. To oni zaproponowali, żeby stworzyć tu szpital. Przyślą kogoś. Dotrze tu zaopatrzenie.

– Nie możesz mieć co do tego pewności – powiedział wieśniak. – Widziałem śmigłowce, te z lekarzami, wysłane przez wojsko. Wybuchły. Spadły na ziemię. Nie przybędą żadni lekarze. Widziałem to. Widziałem na własne oczy. – Zaczynał się denerwować i podnosił głos.

Mazer wykonał uspokajający gest rękami, jakby uklepywał przed sobą powietrze.

– W tej chwili musimy zachować spokój, przyjacielu. Powiemy żołnierzom, że tu jesteście. Przyślą pomoc, jak tylko będą mogli. Tu razem jesteście silniejsi niż tam, samotni. Sprowadzimy więcej ludzi.

– Więcej ludzi oznacza więcej gąb do wyżywienia, więcej wody do podziału. Już teraz prowiantu jest za mało. Jeśli sprowadzisz więcej ludzi, zabijesz nas wszystkich.

Wieśniak był przerażony, zachowywał się irracjonalnie. I myślał wyłącznie o swojej rodzinie.

Odezwał się Bingwen, czym zaskoczył Mazera.

– Ten człowiek wyciągnął mnie z błota. – Wskazał Mazera. – Byłem uwięziony pod ziemią, a on mnie wyciągnął. Dla mnie i mojego dziadka zaryzykował życie. Powiedział nam, że wróci, i wrócił. Dotrzymuje słowa, to człowiek honoru. On i jego zespół są wyszkoleni. Powinniśmy ich słuchać.

Młody ojciec zwrócił się z wściekłością do Bingwena.

– Co ty w ogóle wiesz, chłopcze? Masz małe dzieci do wykarmienia? Żonę, którą trzeba się opiekować? Nie. Mówisz o honorze, a nie okazujesz szacunku starszym, odzywając się nie w porę i wydając mi polecenia, jakbym to ja był dzieckiem. Gdybym był twoim ojcem, spuściłbym ci lanie za twój długi język.

– Nie jesteś jego ojcem – odezwał się dziadek Bingwena. Wstał i objął chłopca opiekuńczo ramieniem. – I to ty odzywasz się nie porę, szanowny panie. Ciesz się, że twoja żona żyje. Ciesz się, że masz troje dzieci. My nie wiemy, co się stało z naszymi rodzinami. Ci ludzie chcą nam pomóc. Będziemy ich słuchać.

Twarz młodego ojca wykrzywiła się z gniewu. Popatrzył na dziadka i Bingwena z pogardą, a potem zwrócił się do pozostałych, pokazując ręką na Mazera:

– To są cudzoziemcy. Nic o nich nie wiemy. Nie są jak my. Nie musimy przyjmować od nich rozkazów.

– Nie wydajemy wam rozkazów – powiedział Mazer.

– Składasz obietnice, których nie możesz dotrzymać. Jak wszyscy cudzoziemcy. Gadasz i gadasz. Możesz wydawać rozkazy naszemu wojsku? Możesz je tu przysłać? Nie. Możesz sprawić, że pojawi się jedzenie i woda? Nie. – Odwrócił się z powrotem do wieśniaków. – Ja tu nie zostanę. W jaki sposób jest nam lepiej w tej ruinie niż w naszej wiosce?

– Jesteśmy dalej od najeźdźców – powiedział Ping.

Młody ojciec spojrzał na niego z drwiną.

– Dalej? Uważasz, że to wystarczająca odległość? Jesteś głupi. W najlepszym wypadku to kilka kilometrów. Dla śmigacza to tyle co nic. Mogą dotrzeć do nas w sekundę. Ten wielki krąg jest tuż za górami. Czy to dla ciebie wystarczająco daleko?

Nikt mu nie odpowiedział.

– Musimy iść dalej – ciągnął młody wieśniak. – Odejść jak najdalej stąd. Pieszo, jeśli będzie trzeba. Musimy znaleźć nasze wojsko. Ja z rodziną idziemy. Jeśli ktoś chce, może nam towarzyszyć, ale nie spodziewajcie się, że będziemy dla was zwalniać.

Czekał. Nikt się nie poruszył.

Mężczyzna zacisnął usta w wąską linię.

– Świetnie. Skoro chcecie tu zostać i umrzeć, to wasz wybór. – Podszedł do pojemnika z butelkami z wodą. – Ale zabieramy z sobą uczciwą część zapasów. – Chwycił kilka butelek wody, o wiele więcej niż uczciwą część zapasów, i włożył je do worka, który przerzucił sobie przez ramię. Następnie podniósł jedno z dzieci, drugie ujął za rękę i ruszył do drzwi, nie oglądając się na żonę. – Chodź, Daiyu.

Żona trzymała niemowlę w objęciach i lekko je kołysała. Przestało płakać już jakiś czas temu. Kobieta wyglądała na rozdartą, przestraszoną. Wyraźnie nie chciała iść.

– Daiyu!

Głos jej męża był niczym trzask bata.

Kobieta zawahała się, rozejrzała po twarzach ludzi, jakby mieli dla niej jakąś radę, jakby mogli zaproponować wyjście, sposób na jednoczesne zostanie i pójście.

– Okrywasz mnie hańbą, żono. Chodź! Przez wzgląd na nasze dzieci.

Spojrzała na męża. Jego wzrok ciął jak nóż. Kobieta skuliła się, przytuliła dziecko do piersi, pochyliła głowę i powlokła się do drzwi. Mijając Mazera, podniosła wzrok i spojrzała mu w oczy. Zatrzymała się. Mazer widział, że jest bliska łez. Spojrzała na niemowlę, a potem na Mazera, jakby rozważała możliwość zostawienia dziecka z nim, jakby wiedziała, że nie przeżyje na otwartym terenie, i chciała, by przynajmniej to maleństwo zostało przy życiu.

Mazer nie mógł tego znieść. To było uchybienie etykiecie, może nawet wykroczenie kulturowe, ale i tak to powiedział.

– Nie musisz iść. Możesz tu zostać z dziećmi.

Młody ojciec wybuchnął wściekłością.

– Jak śmiesz! Jak śmiesz odzywać się do mojej żony, rozdzielać nas? – Splunął na Mazera, chwycił żonę za nadgarstek i pociągnął ją w stronę drzwi. – Widzicie? – powiedział do pozostałych. – Widzicie, co na nas sprowadzają cudzoziemcy? Nie można im ufać. – Znowu splunął na Mazera.

Dwoje starszych dzieci stało w drzwiach; były zdezorientowane i przestraszone. Rozpłakały się.

– Cicho! – nakazał im ojciec.

Chwycił chłopca za rękę i wyciągnął go na słoneczny blask. Żona z ociąganiem poszła za nim, prowadząc drugie dziecko. Ojciec ruszył ścieżką prowadzącą łukiem w dół obok tarasowatych pól. Szedł szybko, nie oglądając się i ciągnąc chłopca, który potykał się, usiłując nadążyć. Tuż zanim zniknęli z pola widzenia, żona się obejrzała. Mazer pomyślał, że wtedy zawoła, poprosi o ratunek. Gdyby tak zrobiła, poszedłby do niej. Zgarnąłby dzieci i przyniósł je do chaty. Wystarczyło, żeby powiedziała jedno słowo.

A potem szlak opadał w dół i kobieta wraz z dziećmi zniknęły.

Wieśniacy patrzyli na Mazera, czekając na jego reakcję.

– Nie musicie tu zostawać – powiedział. – Nikt z was nie musi. W każdej chwili możecie odejść. Lecz zostanie razem i pomaganie sobie nawzajem zwiększy nasze szanse. Ja i mój zespół dotrzymamy słowa. Wrócimy z innymi, kiedy tylko będzie to możliwe.

– Zaczekaj.

To odezwała się stara kobieta. Otworzyła worek i czegoś w nim szukała; po chwili wyjęła koszulę.

– Proszę, okryj się. Podkoszulek i bokserki nie ochronią cię przed mgłą. – Podała koszulę Mazerowi, a potem odwróciła się do Patu. – I dla ciebie też. Kobieta potrzebuje lepszego okrycia. – Pstryknęła

palcami na męża. – Huangu Fu, pomóż mi znaleźć ubrania dla tych półnagich żołnierzy.

Staruszek, który dotąd siedział na swoim worku, powoli wstał, otworzył go i zaczął w nim grzebać.

– Proszę. – Staruszka podała Patu prostą bawełnianą koszulę z kwiatowym wzorem, znoszoną i bardzo wyblakłą od słońca; wszystkie jaskrawe kolory były tylko wspomnieniem. – Zbierałam ryż w tej koszuli przez więcej żniw, niż ty masz lat.

Patu przyjęła ją i skinęła głową.

– Dziękuję.

– I jeszcze spodnie. Chociaż mój mąż bardzo chciałby oglądać twoje nogi, lepiej je zakryj, zanim serce odmówi mu posłuszeństwa.

Patu wzięła spodnie. Były szerokie i luźne, w pasie ściągane tasiemką.

– Jeszcze raz dziękuję.

Staruszka podeszła do Fataniego, spojrzała na jego szerokie ramiona i grubą szyję i pokręciła głową.

– Jak mogę ubrać bawołu? Co ty jesz na śniadanie? Swoją żonę i dzieci? Huangu Fu, jak ubrać tego człowieka?

– Nie mam nic, co by na niego pasowało – odparł staruszek.

Odwróciła się do niego z irytacją.

– Oczywiście, że nie, błotny móżdżku. Nikt z nas nie ma. Daj mi swój koc. – Strzeliła niecierpliwie palcami.

Staruszek podszedł do niej pośpiesznie z kocem.

– Nie musicie mi tego dawać – rzekł Fatani. – Potrzebny jest wam do…

– Cicho bądź, bawole – powiedziała staruszka.

Rozłożyła koc na ziemi, wyjęła z kieszeni składany nóż. Klingę ostrzono przez lata tyle razy, że w stosunku do trzonka była cienka i krótka. Kobieta cięła szybkimi, pewnymi ruchami. Oddarła długie pasy. Pośrodku wycięła otwór na głowę. Podała poncho Fataniemu i obwiązała go w talii jednym z pasów, a potem oddarła paski materiału z prześcieradła i zawiązała mu je na rękach. Staruszek podał jej jeszcze dwie pary luźnych spodni dla Mazera i Fataniego, co jego żona pochwaliła skinieniem głowy.

– Proszę. Teraz wcale nie wyglądacie jak cudzoziemcy.

Mazer i jego zespół podziękowali i pobiegli do WOCS-a, chcąc jak najszybciej znowu znaleźć się w powietrzu. Kiedy Mazer wsiadł do

kokpitu i wziął z fotela swój hełm, zobaczył, że Bingwen wyszedł z chaty za nim.

– Co mamy robić, gdybyście nie wrócili, bo coś wam się stanie? – zapytał po angielsku.

– Wrócimy.

– Spróbujecie wrócić. W to nie wątpię. Ale to nie to samo. Ci ludzie potrzebują wskazówek. Potrzebują przywódcy.

– Ping będzie wiedział, co robić – powiedział Mazer.

– Nie, nie będzie. Ja go znam. Pochodzi z mojej wioski. Jest silny i chętny, ale niezbyt bystry.

– A ty jesteś bystry?

– Nie proszę o mianowanie mnie przywódcą. Proszę o plan awaryjny. Proszę o wasze doświadczenie w postępowaniu z przestraszonymi cywilami we wrogim otoczeniu. Gdybyście nie wrócili, gdyby nie nadeszła pomoc, chcę wiedzieć, co mamy robić.

Mazer się uśmiechnął. Podobał mu się ten mały.

– Zostańcie tu. Pomoc przybędzie. – Włożył hełm i uniósł kciuk.

WOCS odleciał na południe. Mazer obejrzał się i zobaczył, że Bingwen wciąż stoi na drodze na szczycie wzgórza i patrzy za nimi.

Żąda odpowiedzi, których nie mogę mu dać, pomyślał Mazer. Chce mieć coś konkretnego, do czego mógłby się uciec. Nie wie, że nie znam żadnych odpowiedzi, nie mam żadnego planu awaryjnego, wszystko wymyślam na bieżąco.

Może Shenzu miał rację, pomyślał Mazer. Czego dokonują tu on i jego zespół? Ratują kilka osób, które doskonale mogłyby uratować się same. W pełni załadowany WOCS z załogą bojową mógł chronić całe wioski albo miasta, a używali go jak autobusu do przemieszczania ludzi.

Nie myślał w szerszych kategoriach. Nie myślał o jak najlepszym wykorzystaniu zasobów i uratowaniu jak największej liczby ludzi. Logika kazała mu myśleć statystycznie, być obiektywnym, jak najszybciej zwrócić WOCS-a Chińczykom, żeby go lepiej wykorzystali. Jednak wiedział, że nie może tego zrobić. Przez Bingwena. Przez jedno życie, które się nie skończyło, ponieważ on tam był. Statystyka z tym nie wygra.

Widzieli już lądownik z nadal otwartą wierzchnią częścią. Krążyło wokół niego kilka chińskich samolotów. Śmigacze i transportowce odleciały gdzieś. Mazer spojrzał w dół, szukając żywych ludzi.

Reinhardt zaklął.

Mazer podniósł wzrok. Z lądownika wzbijała się druga kolumna statków powietrznych; poruszały się jak jeden organizm, wirowały i wznosiły się jak rój. Setki transportowców, śmigaczy. Druga fala.

– Posadź nas!

Lecz jeszcze wydając ten rozkaz, Mazer wiedział, że nie zdążą. Znajdowali się za wysoko, a śmigacze na początku kolumny już osiągnęły najwyższy punkt i rozpierzchały się we wszystkich kierunkach. Jedna grupa zmierzała prosto w stronę WOCS-a.

Maszyna opadła. Reinhardt włączył tryb szybkiego schodzenia i odezwały się alarmy.

Tym razem śmigacze się nie wahały. Otworzyły ogień. WOCS powinien zostać unicestwiony, ale jakimś sposobem Reinhardt zmienił tor opadania we właściwym momencie, żeby uniknąć pocisków, który minęły ich i wybuchły niżej. Fatani obsługiwał karabiny. Wrzeszczał. Jeden ze śmigaczy otrzymał bezpośrednie trafienie, zboczył z kursu, wirując jak bąk, i uderzył w inny śmigacz. Maszyny odbiły się od siebie, uszkodzone i poza wszelką kontrolą. Patu też strzelała. Mazer rzucił się do przednich karabinów, ale spudłował, bo WOCS wirował i opadał. Śmigacze już ich dopadły. Pojawił się błysk – zostali trafieni. Przednia szyba się rozpadła, kokpit zalała fala gorąca i odłamków. Reinhardt osunął się w fotelu. Grawisoczewka przestała działać. Spadali. Wiatr, ogień, alarmy. Mazer sięgnął do drążka, jego ciało było pozbawione wagi, osłonę hełmu miał pękniętą. Był oszołomiony, zdezorientowany, dzwoniło mu w uszach. Rozległ się zgrzyt metalu i huk silnika. Łup-łup-łup. Rozłożył się i zadziałał awaryjny wirnik. Nadal spadali, wirując, skręcając, łopaty wirnika nie mogły ich zatrzymać.

Mazer ujrzał migające pod nim korony drzew, usłyszał trzask gałęzi, poczuł gorąco ognia. A potem uderzenie, gwałtowny wstrząs, od którego rozsypał się świat i została tylko czerń.

* * *

Głęboki, bolesny kaszel mocno ścisnął płuca. Mazer poczuł się, jakby wyschły mu jak rodzynki. Spowijał go czarny dym. Nic nie widział. Właśnie odzyskał przytomność. Zewsząd czuł ucisk, ściśnięty w świecie balonów. A potem uderzył ból, przeszywająca, rozpalona do białości eksplozja bólu w dole brzucha. Mazer krzyknął i znowu zakaszlał. Dym go oślepiał.

– Reinhardt!

Cisza.

– Patu! Fatani!

Słyszał trzask i syk płomieni, czuł wszędzie dookoła żar ognia. Zaczął macać na oślep rękami, znalazł swoją uprząż, rozpiął ją, cały czas kaszląc i krztusząc się, rozpaczliwie pragnąc czystego powietrza. Odepchnął balony. Ustąpiły nieznacznie, tracąc trochę powietrza. Uświadomił sobie, że to poduszki powietrzne. Zaczął je rozgarniać, szukając gorączkowo drzwi. Nie mógł ich znaleźć. Dym go dusił. Płonęły mu płuca.

Drzwi się odsunęły. Mazer wypadł na ziemię. Poczuł ból przeszywający jak ostrze noża. Przyłożył rękę do brzucha. Kiedy ją odjął, była cała czerwona od krwi. Krwawił też z innych ran. Nie ma czasu na sprawdzanie. Musiał wyciągnąć pozostałych. Przycisnął dłoń do rany na brzuchu – ból był jak trzask pioruna. Przytrzymał ją tam, a świat wirował wokół niego. Uspokoił się, podciągnął pod siebie jedną nogę i zepchnął ból głęboko w siebie. Skupił myśli.

Podciągnął drugą nogę. Ledwie utrzymał się na nogach. Zobaczył Patu. Siedziała bezwładnie w fotelu z głową przekrzywioną na bok. Od razu wiedział, że nie żyje. Widział krew i rany. Jej twarz była pozbawiona życia. Podszedł chwiejnie do niej, krzywiąc się i zaciskając zęby, stawiając kolejno stopy. Płomienie rosły. Było bardzo gorąco. Mazer nie zwracał na to uwagi. Chwycił spod fotela Patu zestaw medyczny i wyrzucił go na zewnątrz, a potem sięgnął w górę i rozpiął klamrę uprzęży Patu. Przechyliła się na niego. Nie był na to gotowy, nie miał siły. Oboje upadli na ziemię.

Odzyskał świadomość. Znowu zemdlał, tylko na moment, ale nie miał chwili do stracenia i siłą woli przywrócił się do przytomności. Ból doszedł do granicy, gdzie staje się tak nieznośny, że ciało się wyłącza jak za naciśnięciem przycisku. Mazer usiadł z trudem. Chwycił koszulę Patu i cofając się na pośladkach, pociągnął ją za sobą, z dala od ognia. Stanowiła ciężar nad jego siły; miała bezwładne kończyny, głowa zwisała jej na bok, ciągnął się za nią krwawy ślad.

Z prawej strony Mazera wystrzeliła ziemia.

Spadł na niego grad ziemi i kamieni.

Mazer podniósł wzrok. Przeleciał nad nim śmigacz, który nie trafił w niego ogniem z lasera. Śmigacz leciał jeszcze sto metrów, a potem gwałtownie zawrócił, zmieniając kurs z nienaturalną prędkością. Z daleka otworzył ogień, przeszywając laserem rozbity WOCS,

wyrzucając na wszystkie strony odłamki i płonące szczątki. Twarde, gorące pociski trafiły Mazera w rękę i ramię; ciężki, płonący kawałek metalu spadł mu na nogę. Ból był natychmiastowy i nie do zniesienia, żar palił. Mazer w panice zaczął ciągnąć za własną nogę, rozpaczliwie chcąc się uwolnić, lecz nogawka spodni zahaczyła o metal i nie puszczała. Krzyczał, płonąc. Skręcając się z bólu i nadmiaru adrenaliny, znalazł siłę, by usiąść, zepchnąć z siebie metal i oswobodzić nogę.

Śmigacz przeleciał nad nim jeszcze raz, ale tym razem Mazer nie odprowadził go wzrokiem. Wiedział, że wróci. Na ramieniu Patu wciąż wisiał jej karabin szturmowy. Mazer podczołgał się do niego. Pragnął leżeć nieruchomo i pozwolić na nieuniknione, żeby szybko mieć to z głowy. Lepiej umrzeć w jednej chwili, niż długo konać pod gołym niebem od rany brzucha. Wiedział, że nie ma co liczyć na pomoc. Wiedział, że nie przeżyje. Był zbyt ciężko ranny. Tracił za wiele krwi.

Ale był żołnierzem. Wojownikiem. Ukształtowanym przez musztrę, ćwiczenia i zasady. Był uparty, gniewny. Był Maorysem.

Sięgnął po broń i zdjął ją z ramienia Patu. Była gorąca w dotyku, miejscami osmalona. Ekran wyświetlał informację, że w magazynku nadal jest trzysta nabojów.

Mazer przekręcił się na plecy. Śmigacz nawrócił jeszcze raz. Po lewej stronie Mazera wybuchła ziemia. Kamienie, grudy, żar. Nie zwracał na to uwagi. Wybuchła ziemia przed nim, częściowo zasłaniając widok. Zaczekał moment, żeby chmura się rozproszyła, i pociągnął za spust. Karabin zaszczekał, trzęsąc mu się w dłoniach. Nie miał dość siły, by go utrzymać. Ale utrzymał. Wibracje sprawiały wrażenie, że rozrywają go w środku na pół. Strzelał mimo to. Ciągły ogień pocisków przebijających opancerzenie.

Śmigacze nie były tak wytrzymałe jak transportowce. Kule przeszyły kadłub i zajęczały gwałtownymi rykoszetami w środku. Karabin zamilkł, pozbawiony amunicji. Maszyna przeleciała nad Mazerem, gwałtownie straciła wysokość, uderzyła w ziemię, przetoczyła się i w końcu zatrzymała, powalając po drodze kilka drzew. Mazer obserwował ją przez chwilę. Wrak dymił i syczał, ale się nie poruszał, a i ze środka nic się nie wydostawało.

Mazer upuścił karabin. Czuł, że wchodzi w stan szoku i znowu traci przytomność. Zamrugał, usiłując się skupić, wykorzystać czas, jaki mu został. Odwrócił głowę, szukając zestawu medycznego.

Pudełko leżało po prawej stronie. Sięgnął po nie. Znajdowało się tuż poza jego zasięgiem. Nie miał siły, żeby się do niego przysunąć.

Sięgnął z wysiłkiem ponownie.

Musnął palcami uchwyt. Sięgnął znowu; tym razem zahaczył czubkami palców o uchwyt i przyciągnął pudełko. Wydawało mu się, że wymaga to olbrzymiego wysiłku. Miał ciężkie powieki. Czuł, jak wycieka z niego siła, jakby był baterią na wyczerpaniu. Wykrwawi się. Jeśli natychmiast nie zatamuje krwi, wykrwawi się na śmierć.

Pomyślał o Kim. Ona by wiedziała, co robić. Wiedziałaby, jak postępować. Włączyłaby tryb działania medycznego, skupiłaby umysł jak wiązkę światła lasera, co zawsze robiła przy poważnych urazach wymagających szybkiego, bezbłędnego działania. Widział kilka razy, jak to robiła, i zastanawiał się, w jaki sposób potrafiła tak całkowicie wyłączyć się z otoczenia i działać jak zaprogramowana wcześniej maszyna. Żadnego wahania, żadnego niezdecydowania, tylko działanie, działanie, działanie. Strzykawka, leki, ciśnienie, sprzęt. Jak żołnierz. W ten sposób uratowała życie wielu ludziom.

Nie mogła go uratować teraz.

Mocował się z zamkiem pudełka, aż wreszcie pokrywka odskoczyła. Przewrócił je i wysypał zawartość, żeby lepiej wszystko widzieć. Znalazł potrzebny mu pakiet. Uniósł go do ust, rozerwał zębami i wypluł oderwany kawałek. Podciągnął koszulę, wysypał proszek na ranę i wokół niej. Zapiekło, ale nie wypuścił pakietu z ręki, opróżnił go. Następnie znalazł żel na rany. Odkręcił dużą nakrętkę, wygarnął żel palcami i ostrożnie rozsmarował gęstą substancję na ranie. Środek znieczulający zadziałał niemal natychmiast. Jakby został przykręcony zawór bólu. Mazer nie widział ran na ręce i ramieniu, ale cała ręka mu zdrętwiała. Nabrał żelu i rozsmarował go na oślep, nawet nie wiedząc, czy to mu pomoże.

Gaza była samoprzylegająca. Wyjął pakiet. Usiłował unieść go do ust, by go rozerwać, ale ręce już odmawiały posłuszeństwa. Były ciężkie, niezdarne i zbyt słabe, by cokolwiek utrzymać. Świat się zamazywał. Zanikały odgłosy pożaru i wiatru.

Nie chciał zasnąć. Jeśli zaśnie, to się nie obudzi.

Lecz sen go przyciągał, koił. Mazer ujrzał oczami wyobraźni Kim, która klęczała nad nim i ze smutkiem kręciła głową. Jakby mówiła: Przykro mi, ukochany. To leży poza granicami nawet moich umiejętności.

ROZDZIAŁ 16

OSTATNIA SZANSA

Nadeszły ostatnie przekazy z Luny i Victor odczytał je na głos. Imala unosiła się w pobliżu, słuchała. W Chinach wylądowały lądowniki. Miały ładunek śmigaczy, lataczy i transportowców. Obcy rozpylali defolianty, które zabijały roślinność, zwierzęta i ludzi. Latacze z lądowników wrzucały bakterie do Morza Południowochińskiego, zabijając życie w morzu. Lotnictwo chińskie rozbijało latacze w puch, ale wojna na lądzie to była inna historia. Uderzenia z powietrza na lądowniki okazały się całkowicie nieskuteczne. Lądowniki miały jakieś osłony. Bezpośrednie trafienia nie wyrządzały żadnych szkód. Chińskie oddziały lądowe ścierały się z obcymi na otwartym terenie, ale zawsze ponosiły ciężkie straty. Początkowe szacunki mówiły o tysiącach ofiar.

Victor przestał czytać, odwrócił się do monitora i zaczął szukać w archiwach statku mapy.

– Gdzie dokładnie są Chiny? – zapytał.

– Nie wiesz, gdzie leżą Chiny? – zdziwiła się Imala.

Odwrócił się do niej z płonącymi policzkami, zażenowany i rozgniewany.

– Nie, Imalo. Nie wiem, gdzie leżą Chiny. Nigdy nie byłem na Ziemi, zapomniałaś?

Zamrugała.

– Oczywiście. Przepraszam. Daj, pokażę ci.

Zbliżyła się, ale Victor zatrzymał ją, unosząc dłoń.

– Nieważne. Sam znajdę.

Odwrócił się ponownie do monitora. Od razu pożałował. Był przewrażliwiony, nawet niegrzeczny. Imala próbowała mu pomóc, a on na nią warczał, bo wstydził się własnej niewiedzy. Potarł oczy, zaczekał, aż zejdą mu z twarzy rumieńce wstydu, i odwrócił się, by przeprosić Imalę. Teraz znajdowała się po przeciwnej stronie promu i jeszcze raz czytała informacje z drugiego monitora. Victor otworzył usta, ale nic nie powiedział. Dziewczyna prawdopodobnie była na niego zła. Miała do tego wszelkie prawo.

Znowu się odwrócił do swojego monitora i poszukał mapy Ziemi. Odczytanie jej zajęło mu kilka minut. Była przeznaczona dla komercyjnych statków kursujących między Luną a Ziemią, więc

miała mnóstwo zbytecznych informacji, jak szlaki handlowe czy wektory wejścia i wyjścia z atmosfery. Victor wszystko to usunął i wtedy szybko znalazł Chiny. Duży kraj.

W skład mapy wchodziło kilka haseł z wiki, które Victor przeczytał, z każdą chwilą czując się bardziej niedouczony. Wiedział, że Chiny są krajem – w pasie Kuipera było kilka chińskich korporacji górniczych. Lecz jego wiedza tu się kończyła. Nie wiedział, że Chiny leżą na kontynencie zwanym Azją ani że są najludniejszym krajem świata, ani że język chiński, jakim posługują się pracownicy korporacji, to w rzeczywistości jedna z licznych odmian chińszczyzny, ani że język ten zapisuje się absurdalnie trudnymi do odczytania znakami, a nie literami. Innymi słowy, nie wiedział tego, co prawdopodobnie wie każdy uczeń na Ziemi.

Znowu poczuł się głupi. Jak miał się dostać na uniwersytet, skoro nie potrafi nawet wymienić największych krajów? Komisja rekrutacyjna wyśmiałaby go z pogardą. Wszystkie tutejsze wyobrażenia na temat wolnych górników jako tępych, niewydarzonych roboli okazały się prawdziwe. To nie stereotyp – on, Victor, jest taki.

Jasne, umiał naprawiać różne rzeczy. Potrafił wziąć zepsutą pompę wodną i odbudować ją wyłącznie przy użyciu złomu i odrzuconych obwodów, ale nie miał pewności, czy Japonia jest krajem. Może to jakiś stan? Albo prowincja? Sprawdził.

Kraj.

Tak, prawdziwy mózgowiec z ciebie, Victorze. Geniusz.

Był pewien, że matka kiedyś go tego wszystkiego uczyła. Pamiętał lekcje geografii z dzieciństwa. Ale ile on miał wtedy lat, siedem?

A może opuścił tę lekcję. Zaczął terminować u ojca bardzo wcześnie i opuszczał dużo lekcji. Matka i ojciec sprzeczali się o to. Matka chciała, żeby Victor z innymi dziećmi siedział na lekcjach, ale ojciec potrzebował jego pomocy i powiedział, że przeżycie rodziny jest ważniejsze. Matka upierała się przy swoim i mówiła, że ojciec musi znaleźć sobie kogoś innego.

Ojciec spróbował, przez krótki czas korzystając z pomocy piętnastolatka Gregora. Nic jednak z tego nie wyszło. Gregor początkowo dostał przydział do kuchni i ojciec szybko zrozumiał dlaczego.

– Ten chłopak nie myśli – powiedział. – Jest powolny. Nie potrafi dokończyć naprawy. Części są dla niego oddzielnymi kawałkami. Nie

dostrzega, w jaki sposób pasują do siebie, jak się zazębiają i działają jako urządzenie.

– Więc go naucz – odparła matka.

– Próbuję. Marnuję pół dnia, usiłując wbić dzieciakowi do głowy jakąś prostą zasadę, a drugie pół naprawiam to, co źle zrobił. Tracę czas. A statek stale się psuje. Nagromadziły mi się zaległe zlecenia napraw, niektórych bardzo poważnych. Ten chłopak mi nie pomaga. On mnie spowalnia. Robię więcej bez niego. Potrzebuję Victora.

Tak więc przy specjalnych naprawach – takich, przy których ktoś musiał trzymać rurę, którą dokręcał ojciec, albo kiedy do ciasnego miejsca musiała sięgnąć mała dziecięca dłoń i coś wyciągnąć – Victor plątał się przy ojcu. Z początku były to wyjątki, ale powoli, z czasem ojciec zaczął coraz bardziej polegać na nim. Victor częściej chodził z ojcem niż na lekcje. Aż w końcu, bez niczyjej oficjalnej zgody, towarzyszył ojcu dzień w dzień.

Może więc matka uczyła wszystkie dzieci o Chinach, a on był wtedy gdzie indziej, pełznąc w kanale wentylacyjnym albo skulony gdzieś w maszynowni czy wciśnięty obok termy naprawiał coś, dzięki czemu statek się poruszał, a rodzina utrzymywała się przy życiu.

– Nie chciałam cię obrazić, Vico – odezwała się Imala. – Tylko się zdziwiłam, że nigdy nie słyszałeś o Chinach.

Unosiła się za nim, co oczywiście sprawiło, że znowu się zaczerwienił. Powinien był przeprosić ją wcześniej. To on powinien zacząć tę rozmowę. Odwrócił się, nie przejmując się już, czy dziewczyna zobaczy jego zażenowanie.

– Słyszałem o Chinach, Imalo. Tylko że nic o nich nie wiedziałem. Nie powinienem był na ciebie warknąć. Zachowałem się źle. Przepraszam. – Westchnął. – Wciąż czuję się jak ostatni głupek. Powinienem wiedzieć dużo o Ziemi, ale nie wiem.

– Urodziłeś się w kosmosie, Vico. Ziemia nigdy nie była twoim światem. Wychowałeś się na statku w pasie Kuipera. Myślisz, że ja wiem cokolwiek o pasie Kuipera? Nie umiałabym ci przedstawić choćby dwóch faktów o dalekim kosmosie. – Uśmiechnęła się. – Pomóżmy sobie nawzajem. Czy nie tak działa rodzina wolnych górników? Każdy ma jakąś specjalność i pracujecie wszyscy razem, dzieląc się umiejętnościami i informacjami. Silniejsi razem niż osobno i tak dalej?

Victor się uśmiechnął. To powinien być jego argument. To on powinien być rozjemcą.

– O to z grubsza chodzi, owszem. Chociaż gdybyśmy stanowili prawdziwą górniczą rodzinę, to także wrzeszczelibyśmy na siebie i grozilibyśmy sobie śmiercią. Ty nazywałabyś mnie skałogłowym świńskim ryjem, a ja bym płakał i mówił, że żałuję, że się urodziłem w tej rodzinie.

Nadal się uśmiechała.

– Coś mi mówi, że twoja rodzina taka nie jest.

Wzruszył ramionami.

– Zwykle nie, ale mamy gorsze chwile. To nie był bardzo duży statek. Kiedy tylu ludzi znajduje się na tak małej przestrzeni, ich wady stają się oczywiste. Wierz mi, mieliśmy nieporozumienia.

W rzeczywistości „El Cavador" nigdy nie wydawał się Victorowi ciasny. Było to życie, jakie znał. Ludzie spali stłoczeni. Tak się robiło. Wieszało się cztery czy pięć, a nawet sześć hamaków jeden nad drugim – tak blisko siebie, że przekręcając się we śnie na drugi bok, mogło się trącić hamakiem o sąsiada. Czasami efektem były brzydkie zapachy czy kłótnie – ale tak się żyło.

Teraz, po spędzeniu trochę czasu na Lunie i zrozumieniu przestronnego świata Imali, Victor uświadamiał sobie, jak ciasny musi się jej wydawać ten prom. To czyniło jej ofiarę podróżowania z nim tym bardziej bezinteresowną i znaczącą. Robiła to dla niego, cierpiała dla niego, a on się zachowywał jak niewdzięcznik.

– Zacumujmy do składu – zaproponował. – Otworzyło się kilka rękawów. Wejdźmy do środka i rozprostujmy nogi. Weźmiemy holoprojektor i tam poczytamy wiadomości.

– Oni żądają absurdalnych cen za cumowanie – rzekła Imala. – Liczą za godzinę. Nie mamy takich pieniędzy.

– Ja mam.

– Tak, na twoje wykształcenie.

– Którego raczej nie zdobędę. Proszę, Imalo, pozwól mi postawić sobie obiad. Przyda nam się chwila wytchnienia.

Zacumowali i popłynęli rękawem do kawiarni. W środku było kilka osób. Victor odepchnął się w stronę stolika na tyłach, z dala od innych, i przypiął się. Imala podążyła za nim i wkrótce pojawiła się kelnerka.

Victor spojrzał na kartę dań, ale zaraz oddał ją kelnerce.

– Możecie zrobić coś na specjalne zamówienie?

– To zależy – odparła kelnerka.

– Potrzebne będą biały ryż, czarna fasola, kawałki wołowiny, smażone platanos i arepa z masłem.

Kelnerka podniosła wzrok znad nakładki na nadgarstek.

– Nie wiem, co to są platanos i arepa, więc prawdopodobnie ich nie mamy.

Victor nie znał angielskiej nazwy, więc sprawdził ją w holo.

– Platanos to plantany. No wie pani, jak wielkie banany, tylko bardziej skrobiowe.

Kelnerka zrobiła zirytowaną minę.

– Wiem, co to jest plantan.

– A macie je u siebie?

– Będę musiała zapytać w kuchni. A co to jest arepa?

Właśnie sprawdzał. Nie było jej w słowniku, co oznaczało, że robi się ją wyłącznie w Wenezueli i nie ma angielskiego odpowiednika.

– To okrągły placuszek zbożowy o średnicy dziesięciu centymetrów. Gruby, nie cienki jak tortilla. Łatwo się je robi.

– Nie, jeśli nie robiło się ich nigdy przedtem. Będę musiała sprawdzić. – Zwróciła się do Imali. – Miejmy nadzieję, że z panią będzie łatwiej.

– Poproszę to samo co on.

– Oczywiście. – Kelnerka westchnęła i popłynęła z powrotem do kuchni.

– Rodzinna potrawa? – zapytała Imala.

– Nieoficjalne danie Wenezueli, skąd pochodzi moja rodzina. Jedliśmy je na statku cały czas, chociaż prawdę mówiąc, zwykle bez wołowiny i plantanów. W pasie Kuipera właściwie nie istniało ani jedno, ani drugie. W naszej diecie chodziło bardziej o ilość niż o jakość. Jedliśmy to, co było najtańsze i przechowywało się najdłużej. Czasami całymi tygodniami jedliśmy tylko ryż i fasolę. Po pewnym czasie nawet pot zaczynał pachnieć fasolą.

Imala zmarszczyła nos.

– Przepraszam – powiedział Victor. – To nie najlepszy temat na rozmowę przy stole.

Uśmiechnęła się.

– Tęsknisz za rodziną.

Victor składał swoją serwetkę w dziwne kształty, żeby dać zajęcie rękom.

– Tak. Bardzo.

– Odnajdziemy ich, Vico. Dostarczymy cię do nich z powrotem.

Westchnął i podniósł na nią wzrok.

– Nie wiem, czy powinniśmy teraz to robić.

– Przecież dlatego tu przylecieliśmy!

– Chcę powiedzieć, że wszystko się zmieniło, Imalo. Wbrew naszym nadziejom i modlitwom dzieje się to, czego się baliśmy. Nigdy nie sądziłem, że sprawy zajdą tak daleko. Myślałem, że dostarczę światu dowody, świat zareaguje i nie dopuści do tej strasznej sytuacji.

– To nie twoja wina. Dostarczyłeś dowody. Świat nie słuchał. Nie możesz winić za to siebie.

– Ale winię, Imalo. Gdybym zrobił więcej, gdybym…

– Co jeszcze mógłbyś zrobić? Byłeś wyczerpany, ledwie żywy. Zostałeś aresztowany. Nigdzie nie mogłeś iść. W sumie powiedziałabym, że wykonałeś świetną robotę.

– Gdyby to był ktoś inny, świat by posłuchał. Gdyby przyleciał mój ojciec…

– Twój ojciec nie przeżyłby tej podróży. Nikt nie znalazłby sześcianu z danymi. A gdyby ktoś go znalazł, toby wyrzucił. Świat zostałby całkowicie zaskoczony.

– Jego obecna sytuacja nie jest ani trochę lepsza.

– Owszem, jest. Nie wiemy, w jaki sposób ludzie się przygotowują, Vico. Nie widzimy wszystkiego. Dzięki tobie szkolą się do tego całe armie.

– Tak, i chcę do którejś wstąpić.

– Chcesz wstąpić do wojska? – Była zaskoczona.

Znowu poczuł się dotknięty do żywego jej wyraźnym niedowierzaniem.

– Mam osiemnaście lat, Imalo. To wystarczy, żeby się zaciągnąć.

– Tak, ale do jakiej armii? Nie jesteś obywatelem żadnego kraju. Urodziłeś się w kosmosie. Nikt cię nie przyjmie.

– To walka z ludzkością. Kiedy ostatnio sprawdzałem, byłem człowiekiem.

Pokręciła głową.

– To nie jest takie czarno-białe, Vico. Na Ziemi to tak nie działa.

– A dlaczego nie? Dlaczego wszystko musi być tak ograniczane przepisami? Doprowadza mnie to do szału. Jeśli jest problem, to się go rozwiązuje. Nie ustawia się wokół niego płotu i nie tworzy się zasad rozwiązania problemu. Rozwiązuje się go. Może wymaga to odrobiny pomysłowości i zupełnie nowego sposobu postępowania,

ale co z tego? Jeśli problem zostaje rozwiązany, dlaczego ważny jest sposób jego rozwiązania?

– Tu nie pas Kuipera. Nie możesz robić tego, co chcesz, i oczekiwać, że ludzie przystaną na twoje warunki. Musi być jakiś porządek rzeczy.

– I zobacz, co ten porządek uczynił dla Ziemi. Spójrz na obecną sytuację. Zastój. Konflikty wewnętrzne. Różnice zdań. Brak działania. I tysiące zabitych ludzi.

– Więc co, uważasz, że możesz pojawić się jak gdyby nigdy nic, zaciągnąć się do wojska i rozwiązać problem?

– Nie jestem bezużyteczny, wiesz? Mam umiejętności, które mogą się przydać.

– Oczywiście. Ale to nie zmienia faktu, że system jest, jaki jest. Wątpię, czy przyjęłoby cię nawet NATO.

– Co to jest NATO?

– Międzyrządowy sojusz wojskowy. Grupa krajów, które zgadzają się co do środków obrony i działań wojskowych prowadzonych wspólnymi siłami.

– Dlaczego nic jeszcze nie robią?

– Domyślam się, że w końcu coś zrobią, chociaż nie w Chinach. Chyba że Chińczycy zmienią zdanie i zezwolą na wkroczenie obcym oddziałom, co długo jeszcze nie będzie prawdopodobne. NATO skupi się na kosmosie, na zniszczeniu statku bazy.

– Dla mnie to idealna sytuacja. Jestem wprost stworzony do przebywania w kosmosie. Tam mogę pomóc.

– Jeśli cię przyjmą, w co wątpię. A nawet gdyby cię przyjęli, to długo jeszcze nie wziąłbyś udziału w żadnych działaniach. Będą chcieli cię wyszkolić, wyspecjalizować, ukształtować wedle swoich zamiarów.

– Świetnie. Jeśli tylko będę pomagał.

Patrzyła na niego przez chwilę.

– Jesteś tego pewien?

– Pięć minut temu jeszcze nie, ale teraz już tak.

– A co będzie, jeśli wrócimy i NATO cię nie przyjmie?

– Zrobię to po swojemu.

Roześmiała się.

– Po swojemu? To znaczy? Sam zaatakujesz statek bazę?

– Jeśli będę musiał.

Znowu się roześmiała.

– Nie mówisz poważnie.

– Dlaczego? Dlaczego mielibyśmy siedzieć bezczynnie i godzić się na brak działania czy niepowodzenie innych? Mam takie samo prawo do bronienia ludzkości co oni.

– Jak zamierzasz sam zaatakować statek bazę, jeśli mogę spytać?

– Nie mam pojęcia. Nie myślałem jeszcze z takim wyprzedzeniem.

– A co z twoją rodziną?

– Robię to dla niej, Imalo. Jeśli stracimy Ziemię, stracimy wszystko. Jak długo twoim zdaniem górnicy przetrwają bez dostaw? Jeśli przegra Ziemia, przegra moja rodzina.

– Lądowniki są tylko w Chinach. Ziemia to duża planeta. Jej losy nie ważą się jeszcze na szali. Nawet nie wiemy, czego chcą obcy.

– Doniesienia mówią, że wrzucają bakterie do morza, tak?

– Tak. No i co z tego?

– Po co mieliby to robić?

– Żeby zabić życie w morzu? Nie wiem.

– To jest terraformowanie, Imalo. Umieszczają w morzu bakterie z tego samego powodu, z którego stosują defolianty do zabijania wszystkich roślin i zwierząt. Oni chcą mieć tę planetę dla siebie. Chcą Ziemi. Ale nie mogą jej mieć w jej obecnym stanie. To musi być planeta dopasowana do ich biologii, a nie naszej. Całe życie w morzu, cała biologia na lądzie rozwinęła się tu bez nich. To jest dla nich niebezpieczne. Nie mają naturalnej obrony przeciwko naszej faunie i florze. Nasze szczepy bakterii są inne od ich szczepów. Zamierzają więc zmienić Ziemię, żeby bardziej przypominała świat, jaki znają. Zamierzają ja wypalić i zacząć wszystko od nowa. Gdybyśmy chcieli zawładnąć planetą, robilibyśmy to samo. Zniszczylibyśmy całe istniejące życie biologiczne, wprowadzilibyśmy ziemskie rośliny i zwierzęta, jak najbardziej upodobnilibyśmy nową planetę do Ziemi. Po co innego mieliby tu przybyć, Imalo? Z jakiego innego powodu tak by się zachowywali? Nie chcą się z nami komunikować. Nie chcą negocjować. Nie zamierzają poprosić nas o Ziemię. Oni już ją przejmują. A ja widziałem te stworzenia, widziałem, jak atakują i jak są nieustępliwe. Jeśli mogą wylądować na Ziemi, jeśli pociski i inna broń nie mogą im wyrządzić szkody, to nie odejdą, dopóki Ziemia nie będzie należała do nich.

Podpłynęła kelnerka. Nie niosła żadnych dań. Miała zażenowaną minę.

– Przepraszam, ale muszę państwa prosić o opuszczenie lokalu.

– Dlaczego? – spytała Imala.

– Ktoś wynajmuje cały skład. Chcą, żeby wszyscy inni go opuścili.

– Zapłaciliśmy za cumowanie – rzekł Victor. – Dopiero co przybyliśmy.

– Wiem. Przepraszam. Zwrócimy opłatę.

– Po co komuś cały skład? – zapytała Imala. – To aż tak duża grupa?

– Nie – odparła kelnerka. – Tylko dwóch ludzi. Zacumowali przed kilkoma minutami. Powiedzieli, że potrzebują prywatności. Domyślam się, że kiedy ma się takie pieniądze, można robić, co się chce.

– A kto to jest? – spytała Imala.

– Lem Jukes.

ROZDZIAŁ 17

PRZEKAZY

Skład zaopatrzeniowy był dokładnie taki, jak spodziewał się Lem: przypominał wysypisko śmieci. Nędzna namiastka placówki, która chyba nie była odnawiana od pierwszych dni kosmicznego handlu. Cała konstrukcja wyglądała, jakby w każdej chwili mogła się rozpaść. Do wewnętrznych ścian wszędzie były nieporządnie przyspawane metalowe płyty mające zlikwidować przecieki i pęknięcia, które pojawiły się w ciągu lat eksploatacji. Miejsca zetknięcia ścian znaczyły linie brudu, jakby mopy używane tu do mycia nie sięgały kątów. Było też kilka starych neonów reklamujących gatunki alkoholu czy żywność na podróż. Żaden się nie świecił.

Wszystko to nadawało holowi postapokaliptyczną atmosferę i przyprawiało Lema o niepokój. Nagle zaczął żałować, że nie włożył skafandra kosmicznego na wypadek, gdyby to wszystko się rozpadło, a on i Chubs znaleźli się w próżni.

– Panie Jukes, goszczenie pana to przyjemność. Witam.

Z końca pomieszczenia podpływał do nich szczupły, łysiejący mężczyzna. Właściciel. Lemowi od razu się nie spodobał. To był człowiek, którego można było przejrzeć w mgnieniu oka. Fałszywa mina, fałszywe zachowanie, fałszywa intonacja. Wszystko u niego świadczyło o nieuczciwości.

Ubranie też nie robiło dobrego wrażenia. Kiedyś, przed wielu laty, było modne, ale nigdy wszystkie jego części jednocześnie. Spodnie i koszula gryzły się z sobą, walcząc o uwagę; jedno było mechate i kokietowało nadmiarem materiału, drugie przylegało do ciała. Zupełnie jakby ten człowiek wygrał je w pokera przy dwóch różnych okazjach.

Chwycił się pobliskiego uchwytu i przyjął tę samą orientację w przestrzeni co Lem i Chubs.

– Felix Montroose, panie Jukes. Do usług. Witam na Ostatniej Szansie.

– Cena, jaką ustaliliśmy za pośrednictwem laselinii, będzie musiała zostać renegocjowana – rzekł Lem.

Mina Felixa trochę się wydłużyła, chociaż trzeba przyznać, że bardzo się starał to ukryć.

– O? Jak to, sir?

– Tak to, że nie zapłacę panu tyle, ile powiedziałem. Spodziewałem się przyjemniejszego otoczenia. Bez urazy, ale nie czuję się tu bezpiecznie.

– Och, zapewniam pana, panie Jukes, że Ostatnia Szansa jest placówką o jednej z najmocniejszych konstrukcji po tej stronie pasa Kuipera. Została zbudowana w początkowym okresie, kiedy statki robiono ręcznie.

– Tak, powinna zostać ręcznie rozmontowana. Dam panu połowę ustalonej ceny.

Felix gwałtownie wciągnął powietrze i przerażony przyłożył dłoń do piersi.

Lem stłumił śmiech. Nawet nie wiedział, dlaczego tak pilnuje pieniędzy. To nie była duża suma. Prawdopodobnie tyle samo zarobił na swoich inwestycjach od czasu, gdy tu z Chubsem przycumował.

Nie lubił jednak, kiedy ludzie myśleli, że mogą go wykorzystać. Wiedział, że to głupie, ale zawsze był przekonany, że ludzie go uważają za mniej inteligentnego, słabszego od ojca. A jako taki będzie łatwą ofiarą transakcji. To wyzwalało u Lema więcej niż odrobinę sprytu. Przy negocjacyjnym stole zachowywał się po prostu strasznie, czasami okazując o wiele mniej litości od Ukko Jukesa. Ale czyniło to z niego także doskonałego biznesmena i w dużej mierze pozwoliło mu zgromadzić tak wielką fortunę niezależnie od ojca.

– To mnie uderza jako ogromna nieuczciwość, sir – powiedział Felix. – Ustaliliśmy sumę. Zgodziliśmy się co do warunków. Kazałem

wszystkim klientom opuścić skład, o co pan prosił. Nie zgodzę się na kwotę mniejszą od wcześniej ustalonej.

– A ja nie zgodzę się na otoczenie mniej niż porządne. To chyba oznacza impas. Do widzenia, panie Montroose.

Lem odwrócił się i zrobił ruch, jakby chciał się odbić w stronę śluzy powietrznej.

– Proszę zaczekać – rzekł właściciel. – Na pewno uda nam się ustalić sumę odpowiadającą wszystkim. Przypominam, że mamy jedyne połączenie z Luną przez laselinię. Nie prześle pan wiadomości w żaden inny sposób.

– Moja wiadomość nie jest aż tak ważna. Właśnie wracam na Lunę. Mogę zaczekać i dostarczyć ją osobiście. Poza tym, sądząc z relacji, które słyszałem w pasie Kuipera, pański system wieloetapowego przekazywania wiadomości nie jest tak niezawodny, jak pan sugerował. Powinienem się spodziewać dużego spadku jakości danych.

Widząc, że klient mu się wymyka, Felix zaczął się bronić. Przez chwilę sprzeczał się z Lemem o cenę, a kiedy w końcu ją ustalili, otarł czoło chusteczką.

– I mam pańskie absolutne zapewnienie, że statki w pańskim łańcuszku przekażą moją rozmowę z Luną zgodnie z obietnicą? – zapytał Lem. – Nie chcę, by moja wiadomość stała się zakładnikiem, panie Montroose. Zapewniam pana, że prawna bitwa z adwokatami Juke Limited skończy się dla pana utratą wszystkiego, łącznie z wolnością osobistą.

Montroose przełknął ślinę i zerknął na zegarek, jakby nie mógł się doczekać końca tej rozmowy.

Lem wstukał sumę do nakładki na nadgarstek i wyciągnął rękę. Felix wyciągnął swoją i nakładki się zetknęły. Rozległ się dźwięk oznaczający dokonanie transakcji i Lem się uśmiechnął.

– A teraz, panie Montroose, byłbym wdzięczny za zaprowadzenie mnie do nadajnika laselinii.

Montroose ruszył w stronę korytarza, który otwierał się po przeciwnej stronie holu.

– Morderca! – krzyknął ktoś za nimi.

Od innego korytarza zbliżali się mężczyzna i dwie kobiety. Jedna z nich wyglądała na speszoną, jakby usiłowała zatrzymać tych dwoje, ale jej się nie udało. Po uważniejszym przyjrzeniu się Lem stwierdził, że mężczyzna właściwie nie jest mężczyzną. Miał najwyżej

siedemnaście lat. A jego ubranie świadczyło, że jest wolnym górnikiem. Świetnie. Kolejne żale. Kolejny rozgniewany wysysacz skał skrzywdzony przez pracowników Juke. Lem był tym zmęczony. Każdy kopacz, który usłyszał, że ma do czynienia z Lemem Jukesem, zawsze przybiegał ze skargą. Czy to jego wina? Czy musi dźwigać ciężar każdego czynu popełnionego przez ludzi ojca?

Chłopak zbliżał się szybko, lecz Lem się nie cofnął. Nie musiał. Chubs już trzymał pistolet w dłoni. Chłopak był w połowie holu. Zobaczył broń i złapał się uchwytu pod sufitem. Zakołysał się do przodu siłą bezwładu, ale zaraz się wyprostował i wbił wzrok prosto w Lema. Kobiety zatrzymały się obok niego.

Lem uśmiechnął się z rozbawieniem.

– O mój Boże, ależ jesteś rozzłoszczony.

– Przepraszam, panie Montroose – odezwała się jedna z kobiet. – Próbowałam ich wyprosić, ale nie chcieli mnie słuchać.

– Co to ma znaczyć? – zapytał Felix, patrząc na chłopaka. – Wynoście się stąd! Poproszono was, byście opuścili skład.

Chłopak nie spuszczał wzroku z Lema.

– Zapłaciłem za pobyt.

– I pieniądze zostaną ci zwrócone. – Felix zamachał rękami, jakby odganiał dzikie zwierzę. – Wynoście się. Dajcie spokój panu Jukesowi.

Chłopak zwrócił się bezpośrednio do Lema. Głos miał spokojny, lecz brzmiała w nim stal.

– Nie spodziewam się, że mnie pamiętasz. Wątpię, czy dobrze przyjrzałeś się mojej twarzy, zanim mnie uderzyłeś.

Lem nagle się zaniepokoił. Coś w tej sytuacji było nie tak.

– Panie Montroose, zechcieliby nas państwo zostawić samych?

Felix spojrzał z zaskoczeniem na Lema.

– Na pewno, panie Jukes? Mogę kazać wyrzucić tego chłopca.

– Dziękuję, ale to nie będzie konieczne.

Felix zrobił niepewną minę, a potem skinął na swoją pracownicę. Pozostała dwójka stanowiła dziwną parę. Kobieta, o kilka lat od chłopaka starsza, miała może dwadzieścia pięć lat i była chyba rdzenną Amerykanką. Chłopiec bez wątpienia pochodził z pasa Kuipera.

– Wyraźnie wiesz, kim jestem – zaczął Lem. – Ja natomiast nie mam przyjemności znać ciebie.

Chłopak tylko na niego patrzył, gotując się ze złości.

– Jestem Imala – odezwała się kobieta. – Imala Bootstamp. To jest Victor Delgado.

Nazwiska te nic Lemowi nie mówiły.

– Victorze, sądzę, że pomyliłeś mnie z kimś innym. Ja nie biję ludzi. To nie leży w moim charakterze. Ja nawet nie umiem zadać ciosu.

– Nie ręką. Swoim statkiem. Asteroida 2002GJ166, pas Kuipera, jakieś dziesięć miesięcy temu. Zabiłeś człowieka. Czy to ci coś przypomina?

Lem poczuł, że krew odpływa mu z twarzy.

– Zabiłeś Marca. Mojego wuja. Miał żonę i dzieci.

Lem myślał gorączkowo. Chciał wierzyć, że to jakiś szantaż, że ktoś usłyszał o stuknięciu „El Cavadora" i teraz usiłuje wyciągnąć od niego pieniądze, udając członka załogi. Bardzo chciał, żeby tak było. Z szantażystami potrafił dać sobie radę. Możliwe nawet, że Chubs umie ich specjalnie potraktować.

Wiedział jednak, że dzieciak nie kłamie. Umiał w jednej chwili rozpoznać nieuczciwego człowieka.

Ale to niemożliwe! Widział, jak „El Cavador" został zniszczony. Wszyscy mężczyźni z załogi zginęli w ataku na statek Formidów. Widział to na własne oczy. Kobiety i dzieci zostały umieszczone na statku WU-HU, ale ten dzieciak nie udałby się tam z nimi. Był na to za duży. Zostałby z mężczyznami. Wziąłby udział w ataku.

I wtedy Lem sobie przypomniał.

– Wysłali ciebie. Miałeś ostrzec Ziemię. – Zrzucił układną maskę. Wpadł w panikę. – Co ty tu robisz, do diabła?! Powinieneś być na Lunie albo na Ziemi. Powinieneś mówić to, co wiemy, pokazywać dowody. Dlaczego tam nie dotarłeś?

Chłopak wpatrywał się w niego, zdezorientowany i nagle wyzbyty gniewu.

– Skąd wiesz, że rodzina mnie wysłała?

– Bo mi powiedzieli. Powiedzieli mi, że wysłali cię w szybkostatku. Szczerze mówiąc, nie sądziłem, że przeżyjesz. Uznałem, że to przegrana sprawa. Ale najwyraźniej ci się udało. Nie powinieneś jednak tu być. Powinieneś się udać do mojego ojca.

– Tak zrobiliśmy – odparła Imala. – Widzieliśmy się z pańskim ojcem. Ukko wygłosił swój komunikat właśnie ze względu na dowody Victora.

– Jaki komunikat? O czym pani mówi?

– Że zbliża się obcy statek – odparła Imala. – Pański ojciec powiedział o tym światu i powiadomił OHBK.

Oczywiście, pomyślał Lem. Ojciec rzuciłby się na coś takiego. To była idealna okazja do przedstawienia się jako bohater i trąbienia o sile firmy. Lem wyobraził sobie, jak ojciec we wszystkich kanałach informacyjnych pokornie ofiarowuje wszystkie środki Juke Limited „dla ochrony Ziemi".

– Kiedy moja rodzina ci o mnie powiedziała? – spytał Victor.

I wtedy Lem uświadomił sobie coś, co od razu powinien zauważyć – Victor nie wie, co się stało. To oczywiste. Odleciał, zanim „El Cavador" skontaktował się z Lemem, zanim zaatakowali statek Formidów, zanim…

Logika nakazywała nic nie mówić. Victor był niewiadomą. Był świadkiem ataku Lema na „El Cavadora". I nie tylko to – sam został bezpośrednio zaatakowany. To jego Lem staranował statkiem tuż przed zatrzymaniem się. W głowie Lema rozdzwoniły się dzwonki alarmowe. Victor stanowił koszmar wszystkich prawników pracujących dla korporacji. Co gorsza, z tego, co mówił, wynikało, że jest osobistością międzynarodową. Przywiózł ostrzeżenie dla Ziemi. Cieszył się sławą, więc wszelkie zagadnienia prawne znalazłyby się na czele wiadomości. Pociągnęłoby to za sobą olbrzymie skutki uboczne. W kategoriach korporacyjnych mogłyby się one okazać katastrofalne. To było tak, jakby wszystkie pochowane strachy Lema wstały z grobu.

Wiedział, jak ojciec by to załatwił. Lem nigdy nie słyszał, by ojciec doprowadził do czyjejś śmierci, ale powodem było prawdopodobnie to, że ojciec był za sprytny. To nie znaczyło, że tego by nie zrobił. W gruncie rzeczy było dużo bardziej prawdopodobne, że zrobił. Nie zdobywa się takiej pozycji bez rozbicia kilku jaj. A Lem musiał przyznać, że jest w tym logika. Nie istniało żadne bardziej absolutne i ostateczne rozwiązanie problemu. Jeśli zatrzymać serce problemu, fizyczny, bijący narząd, to zatrzyma się też sam problem.

Tyle że tutaj narobiłoby się bałaganu. Było ich dwoje. A to jest miejsce publiczne.

Lem odepchnął tę myśl. Nie jestem moim ojcem, powiedział sobie. Ani teraz, ani nigdy nim nie będę.

– Twoja rodzina skontaktowała się ze mną po twoim odlocie – powiedział do Victora. – Kiedy Formidzi zniszczyli Stację Wagową Cztery, właśnie do niej zmierzała.

– Formidzi? – spytała Imala.

– Tak nazwaliśmy obcych – wyjaśnił Lem.

– A co z moją rodziną? – zapytał Victor gorączkowo. – Nic im się nie stało?

– Poprosili nas, żebyśmy włączyli się do ataku na statek Formidów. Nas i trzeci statek, własność WU-HU.

Victor był poważny, jakby wiedział, co usłyszy.

– Kobiety i dzieci z „El Cavadora" zostały przeniesione na statek WU-HU, który nie wziął udziału w walce – mówił dalej Lem. – Na „El Cavadorze" zostali mężczyźni i Concepción. Próbowaliśmy umieścić na kadłubie Formidów ładunki wybuchowe, ale jeden z nich wybuchł przedwcześnie. Rozerwał poszycie i z otworu wylali się Formidzi. Straciłem dwudziestu pięciu ludzi. „El Cavador" został zniszczony. Ledwie uszliśmy z życiem. Nie wiem, co się stało ze statkiem WU-HU. Jestem prawie pewien, że znajdował się w bezpiecznej odległości, ale były za duże zakłócenia. Straciliśmy z nimi kontakt. Przykro mi.

Victor wpatrywał się w przestrzeń. Wydawało się, że uszło z niego życie. Drżały mu ręce. Gdyby nie unosili się w stanie nieważkości, chyba nie utrzymałby się na nogach. Imala objęła go ramieniem.

Lem podpłynął do drzwi. Chciał się wydostać z holu. Chubs podążył za nim. W korytarzu na zewnątrz zastali czekającego Felixa.

– Do pańskiego nadajnika, panie Montroose – powiedział Lem. – I tym razem nie życzę sobie przeszkód.

* * *

W pomieszczeniu łączności znajdowało się kilku techników, co wywarło na Lemie spore wrażenie, jako że było wielkości szafy. Wszyscy unosili się w rozmaitych pozycjach wokół sprzętu nadawczego, żeby jak najlepiej wykorzystać miejsce.

– Ci ludzie są do pańskiej dyspozycji, panie Jukes – powiedział Montroose.

– Niech zostawią nas samych – rzekł Lem.

Felix się zaczerwienił.

– Oczywiście. – Wyprosił swoich ludzi i z powrotem odwrócił się do Lema. – Domyślam się, że zna pan ten rodzaj sprzętu.

Lem patrzył na wszystko z niesmakiem. Niektóre z paneli miały tyle lat co on. Chciał wysłać wiadomość ze swojego statku, „Makarhu", ale Felix tłumaczył, że to niemożliwe. Wszystkie statki,

które tworzyły łańcuch przekaźników, posługiwały się „nadajnikami obiegu zamkniętego” i wiadomości musiały być wysyłane stąd.

Zapewne było to kłamstwo. Felix chciał po prostu mieć Lema na miejscu jako gwarancję, że otrzyma zapłatę.

– Poradzimy sobie – odparł Lem. – Zakładając, że pański sprzęt nie zajmie się ogniem.

Felix roześmiał się, ale zaraz zamilkł, bo zrozumiał, że to nie miał być żart. Odchrząknął i powiedział:

– Statki są gotowe, panie Jukes. Przekażą każdą pańską wiadomość. Wydałem ścisłe instrukcje, żeby nie czytano tekstu ani nie próbowano poprawiać żadnych błędów.

– Nikt nie zdoła tego przeczytać – powiedział Lem. – Tekst będzie zaszyfrowany.

– Aha. Oczywiście. Mam więc panów zostawić samych?

– Proszę.

Felix ukłonił się i wycofał z pomieszczenia. Chubs już ustawiał sprzęt szyfrujący, podłączając go do odpowiednich paneli. Następnie wyjął kieszonkowego niuchacza i przeciągnął nim po pomieszczeniu.

– Czysto – powiedział.

A więc nikt nie podsłuchiwał. Lem skinął głową i Chubs wyniósł się do holu, żeby nie pozwolić Montroose’owi na węszenie.

Lem wprowadził współrzędne i polecenia, dzięki którym wiadomość miała zostać wysłana z odbiornika Luny poprzez system przekaźników szyfrujących bezpośrednio do podręcznego komputera ojca. To miał być żmudny proces. Będzie też duże opóźnienie. Lem zamierzał wysyłać każdą wiadomość trzykrotnie, bo gdyby jakieś dane przepadły, zostaną uzupełnione przez drugi lub trzeci przekaz. Miał nadzieję, że w ten sposób wiadomość dotrze w całości. Następnie ojciec podyktuje odpowiedź i cały proces zostanie odwrócony. To trochę potrwa.

Lem odezwał się do urządzenia dyktującego, zaczynając niewinnie:

– Ojcze, tu Lem.

Po godzinie otrzymał odpowiedź. Przyszła szybciej, niż się spodziewał.

DZIĘKI BOGU!! ZAMARTWIAŁEM SIĘ NA ŚMIERĆ. GDZIE JESTEŚ?

Przeczytał to kilka razy i poczuł ulgę. Ojciec się o niego martwił. Lem oczywiście to wiedział. Wiedział, że ojciec będzie się niepokoić,

ale przeczytanie tych słów uczyniło je w jakiś sposób bardziej realnymi. Właściwie tak go zaskoczyły, że zaczął się zastanawiać, czy po drugiej stronie rzeczywiście znajduje się ojciec.

Może jeden ze statków w łańcuszku odcyfrował kod i udaje ojca w nadziei zdobycia cennych informacji. Lem postanowił działać ostrożnie. Wysłał jedno słowo.

– Jabłko.

– Na litość boską, to ja, twój ojciec. Używasz mojej zaszyfrowanej linii. Wysyłasz zaszyfrowaną wiadomość. Nie musisz używać w celu weryfikacji tych głupich korporacyjnych haseł. Teraz zmarnowałeś cholerne dwie godziny i wciąż nie odpowiedziałeś na moje pytanie. Gdzie jesteś?!!

To był bez wątpienia ojciec.

Przy następnej wiadomości Lem zaczął mówić i trwało to czterdzieści minut. Program dyktujący zmienił to wszystko w długiego e-maila. Powiedział ojcu, jak stuknęli „El Cavadora" i oderwali go od asteroidy; jak stuknięcie spowodowało śmierć wolnego górnika; jak udało im się rozbić asteroidę glaserem; jak po raz drugi spotkali „El Cavadora" i przeprowadzili atak na statek Formidów; jak im się nie udało, stracili ludzi i popędzili z powrotem w stronę Luny; jak znaleźli ślady Bitwy w Pasie; jak zwolnili i zacumowali do tego składu, znajdującego się w odległości ledwie tygodnia, by się dowiedzieć, czy Luna wciąż istnieje i czy mają do czego wracać. Nie powiedział ojcu wszystkiego, na przykład o walce o utrzymanie władzy na statku.

Resztki wątpliwości, czy na drugim końcu znajduje się ojciec, zniknęły po nadejściu odpowiedzi.

– Jesteś inteligentny, Lemie, więc nie rozumiem, co mogło cię skłonić do zrobienia czegoś tak bezdennie głupiego, tak potwornie idiotycznego jak stuknięcie statku wolnych górników i przepędzenie go z asteroidy. Nie obchodzi mnie, że najbliższa asteroida znajdowała się w odległości czterech miesięcy. O wiele bardziej wolałbym, żebyś siedział na tyłku w czasie ośmiomiesięcznej podróży tam i z powrotem, niż ryzykował uszkodzenie sprzętu wartego kilka miliardów kredytów. Co ty sobie myślałeś? Nie zastanowiłeś się, jaki wpływ na glaser mógłby mieć taki gwałtowny wstrząs? Nie pomyślałeś, że glaser jest cenniejszy dla firmy niż twój czas? To prototyp! Jedyny w swoim rodzaju. Ze względu na ciebie mam

nadzieję, że jest w pełni sprawny. Bo jeśli nie, trudno ci będzie udowodnić naszym adwokatom, że powodem nie jest wstrząs.

Lem pokręcił głową. Jakie to podobne do ojca. Nawet nie wspomniał o zabitym górniku. Nie pogratulował przeprowadzenia udanej próby. Nie pochwalił za dodatkowy wysiłek i wymyślenie sposobu na uzyskanie minerałów z chmury skalnego gruzu. Nie zapytał o bezpieczeństwo załogi. Martwi się tylko o swój cenny glaser.

I ma czelność grozić wystąpieniem na drogę sądową! Lem znowu poczuł, jak wzbiera w nim gorycz.

Wtedy jednak przeczytał ostatnie zdanie wiadomości i ujrzał inne jego znaczenie. Może ojciec daje mu do zrozumienia, że nie sprawuje kontroli nad zespołem prawników, że panowanie nad firmą zaczyna mu się wymykać z rąk. To Lema trochę ucieszyło. W dalszym ciągu zamierzał przejąć firmę i z radością witał każde ewentualne osłabienie pozycji ojca.

Pojawiła się kolejna wiadomość.

– Tak nawiasem mówiąc, podoba mi się nazwa „Formidzi". Nikt nie nadał temu gatunkowi nazwy, która by się przyjęła. Wszyscy mówią „obcy", co ja zawsze uważałem za idiotyczne słowo. „Formidów" mogę poprzeć. Ładny twardy dźwięk na końcu. I podoba mi się skojarzenie z mrówkami. Powiedz Benyawe, że to przyjmujemy. Rano umieszczę to w sieciach. Co do starcia ze statkiem Formidów, postąpiłeś dobrze. Cieszę się, że żyjesz. Jeszcze raz powtarzam, że było to astronomicznie głupie, ale świadczyło o wielkiej odwadze. Szkoda, że się nie udało. Gdybyś zatrzymał ten statek, mógłbyś oszczędzić ludziom wiele cierpienia i nie dopuścić do katastrofy. W Chinach giną tysiące ludzi. To surrealistyczne.

Ukko odpowiadał na wiadomość Lema po kawałku, prawdopodobnie na bieżąco w trakcie czytania. Klasyczne metody – odrobinę pochwalić, a następnie przydusić, mówiąc o swym rozczarowaniu. „To wymagało odwagi", a potem „gdybyś to powstrzymał, tylu ludzi by nie zginęło". Jakby to była wina Lema, że Formidzi zabijali cywilów, jakby miał na rękach ich krew, ponieważ nie spisał się w bitwie.

Lem wiedział, że prawdopodobnie nikt inny nie odczytałby tego w ten sposób, ale nikt nie znał ojca tak dobrze jak on. Klepał człowieka jedną ręką po plecach, a drugą wbijał mu w te plecy nóż.

Trzecia wiadomość. Krótka.

– Przyślij mi nazwiska załogantów, którzy stracili życie. Chcę natychmiast zawiadomić ich rodziny.

Ludzki odruch u ojca? Lem był zaskoczony. Nie planował dzielić się z nim tą informacją, ale oczywiście powinien był to zrobić. Tym razem to on wykazał się brakiem wrażliwości. Dlaczego o tym nie pomyślał? To powinna być pierwsza wiadomość, jaką musiał przekazać.

Wstukał nazwiska, które pamiętał. Przychodziło mu na myśl tylko dwie trzecie z nich, a niektóre zapewne pomylił. O'Brien czy O'Ryan? Canterglast czy Caunterglast? Powinien dobrze je napisać, żeby ojciec znalazł je w bazie danych firmy i poszukał najbliższych krewnych. Lem sprawdził w swoim holoprojektorze. Nie było tam nazwisk. Zażenowany wysunął się na korytarz, gdzie Chubs unosił się przy drzwiach. Lem wyjaśnił mu sytuację.

– Wpiszę je za ciebie – zaproponował Chubs.

Wciągnął się do pomieszczenia i zaczął pisać na klawiaturze; poprawiał nazwiska wpisane przez Lema i dodawał te, o których Lem zapomniał. Bez wahania, bez zatrzymywania się, by poszukać w pamięci; po prostu pisał nazwiska. Znał tych ludzi. Znaczyli coś dla niego.

– Skończyłem – rzekł.

Lem zawstydzony nie patrzył mu w oczy.

– Dziękuję.

– Jesteś gotów coś zjeść? Siedzisz tu od kilku godzin.

– Proszę – odparł Lem.

Chubs się oddalił. Lem patrzył za nim z lekkim poczuciem winy, że odebrał mu władzę. Ten człowiek zasługiwał na stanowisko kapitana. Znał załogę. Ludzie go szanowali, słuchali go.

Lem odgonił tę myśl. Chubs dostanie nagrodę. Kiedy firma będzie już należała do niego, nagrodzi Chubsa. Będzie potrzebował dobrych ludzi i jeśli Chubs się zgodzi, chciałby go mieć u boku.

Zamknął drzwi i wysłał wiadomość. Dziesięć minut później Chubs wrócił z pojemnikiem makaronu.

– Nie spodziewaj się zbyt wiele. Kawiarnia nie jest lepsza niż hol.

Lem podziękował i zapytał:

– Co się stało z tym wolnym górnikiem Victorem? I Imalą?

– Odlecieli. Ich prom wystartował w stronę Luny albo Ziemi. Kazałem statkowi śledzić ich tak długo, jak się dało. Domyśliłem się, że gdybyś chciał, bym ich zatrzymał, powiedziałbyś to od razu.

Lem zastanawiał się, co miał na myśli Chubs, mówiąc o ich zatrzymaniu. Czy Chubs już kiedyś zabijał dla ojca? Czy zabiłby dla niego, gdyby o to poprosił?

Jadł w milczeniu. Kiedy skończył, przyszła ostatnia wiadomość od ojca.

– Rozmawiałem z zarządem. Przybądź na Lunę za osiem dni. To będzie wtorek. Wyląduj w Północnym Porcie imienia Jukesa o trzeciej po południu czasu Luny. Będę na ciebie czekał. Potrzebuję twojej pomocy z Formidami, synu. Mamy pracę.

Lem przeczytał wiadomość jeszcze raz. Ojciec naprawdę prosił go o pomoc. Wielki Jukes przyznawał, że Lem może się na coś przydać, że obaj będą działać jako zespół. Nawet nazwał Lema synem.

Przez chwilę Lem wierzył, że to było szczere. A potem wróciło racjonalne myślenie. Ojciec zamierza go jakoś wykorzystać, to oczywiste. Nie wiedział, w jaki sposób, ale doświadczenie nauczyło go spodziewać się najgorszego i zachowywać czujność. Pokręcił głową. Za bardzo przesadziłeś, ojcze. Nazwać mnie synem? Robisz się niechlujny na starość.

– Zrozumiałem – napisał. – Startuję.

Zaczekał, aż wiadomość zostanie wysłana, i się wylogował. Jego wiadomości były przekazywane przez każdy statek przekaźnik w zaszyfrowanej formie, więc nie martwił się o nie. Tu jednak wpisywał je jako zwykły tekst. System natychmiast je szyfrował, ale gdzieś w pamięci napędu znajdował się tekst pierwotny. Lem nie mógł na to pozwolić. Wyjął z kieszeni urządzenie powodujące skok napięcia, podłączył je, wcisnął przycisk i spalił wszystkie obwody. Pojawiło się kilka nieszkodliwych iskier, trochę dymu i system się wyłączył.

Lem i Chubs znaleźli właściciela Ostatniej Szansy w holu przy śluzie rękawa cumowniczego. Felix był cały w uśmiechach.

– Panie Jukes, rozumiem, że udało się panu skontaktować z Luną?

– Wszystko się udało, dziękuję. – Lem wyciągnął ku niemu nakładkę na nadgarstek. – Proszę, panie Montroose, chciałbym zapłacić panu więcej za pańskie starania.

Felix zamrugał z zaskoczeniem.

– Jak miło.

Lem zetknął swoją nakładkę z jego i dokonał przelewu. Montroose odczytał sumę.

– Panie Jukes! O mój Boże! Dziękuję. Jest pan bardzo hojny!

– To prawdopodobnie dwa do trzech razy tyle, ile będzie pana kosztował nowy nadajnik – rzekł Lem. – Resztę może pan zapłacić jakimś dobrym technikom, żeby go panu zainstalowali.

Felix prawie nie słuchał. Wpatrywał się w cyfry na nakładce.

Lem i Chubs wpłynęli do śluzy.

– On nie rozumie – powiedział Chubs. – Nie wie, że właśnie usmażyliśmy mu system.

– Wkrótce się dowie – rzekł Lem.

ROZDZIAŁ 18

RATUNEK

Bingwen wpatrywał się w miejsce, w którym maszyna Mazera spadła za horyzont. Wszystko widział. Widział, jak WOCS został trafiony. Widział, jak przestała działać antygrawitacja. Patrzył, jak maszyna spada z nieba niczym worek ryżu. Zanurkowała za nią grupa obcych statków, strzelając i zbijając ją coraz niżej. Te statki też zniknęły za horyzontem, lecz chwilę później wzbiły się w górę i poleciały dalej. Maszyna Mazera nie. Za to pojawił się słup czarnego dymu wijący się w górę jak zaczarowany wąż.

Bingwen pomknął z powrotem do chaty.

– Spadli! Musimy im pomóc.

Wszyscy zwrócili się w jego stronę. Podszedł do niego dziadek, powłócząc nogami.

– Kto spadł?

– Żołnierze, którzy nas tu przywieźli. Z tego dużego krążka wzniosła się nowa kolumna statków. Setki małych statków. Są wszędzie. Zestrzeliły żołnierzy. Ich maszyna spadła tam, na południu. – Pokazał ręką. – Musimy się do nich dostać. Potrzebują naszej pomocy.

Staruszka, która dała żołnierzom ubrania, pochyliła głowę i zaczęła się modlić. Inni wyglądali na zmartwionych i znowu pokonanych. Światełko nadziei, którą dali im żołnierze, zgasło w jednej chwili. Dziadek położył dłoń na ramieniu Bingwena i ukląkł przed nim.

– Nic nie możemy zrobić, Bingwenie.

Chłopiec cofnął się o krok, strącając z ramienia rękę dziadka.

– Oni uratowali mi życie. – Odwrócił się do pozostałych. – Uratowali życie nam wszystkim. Nic nie zrobimy?

Nikt się nie odezwał.

Dziadek znowu wyciągnął do niego rękę i powiedział spokojnie:

– Posłuchaj…

– Nie! – Chłopiec odskoczył w tył. Cofnął się kilka kroków. – Nie możemy ich tam zostawić, żeby umarli.

– Jeśli zostali zestrzeleni, to już nie żyją – rzekła inna kobieta. – Nic nie możemy zrobić.

– Tego nie wiemy. Mogą być ranni. Widziałem, gdzie spadli. Mogę zaprowadzić nas w to miejsce.

– Powiedzieli, że wrócą – odezwał się staruszek z workiem ubrań. – Powiedzieli, że przyślą nam pomoc. Lekarzy i zapasy. Teraz nie zjawi się żadna pomoc.

– On ma rację – rzekła jego żona. – Teraz nikt nie przybędzie z zapasami.

– Czy ktoś mnie w ogóle słucha? – zapytał Bingwen.

– Słuchaliśmy, chłopcze – odparła staruszka. – Powiedziałeś nam, co powinniśmy wiedzieć, a teraz daj chwilę porozmawiać dorosłym.

Przy otwartych oknach stała młoda kobieta i patrzyła na położoną poniżej dolinę.

– Spójrzcie! – Pokazała w dół.

Wszyscy podeszli do niej. Bingwen przepchnął się do przodu. W dolinie wylądowało kilka pojazdów powietrznych. Wysiadali z nich na pola ryżowe obcy i rozpylali mgłę z pojemników na plecach. Pędy ryżu więdły i czerniały. Obcy znajdowali się w odległości ponad trzystu metrów, daleko poza zasięgiem słuchu, mimo to staruszka odezwała się stłumionym głosem:

– O tej mgle mówił żołnierz.

Patrzyli jeszcze chwilę, a potem cofnęli się od okna, bojąc się, że mogą zostać zauważeni i że wiatr poniesie w ich stronę to, co zabijało ryż.

Bingwen podbiegł do worka z ubraniami i wyjął z niego starą koszulę wystrzępioną na brzegach. Przesuwał ją w dłoniach, aż znalazł naddarcie, chwycił materiał po obu jego stronach i pociągnął. Sprane bawełniane włókna nie stawiały oporu i koszula rozdarła się na pół. Pociągnięcie spowodowało jednak ostry ból w złamanej ręce chłopca, który prawie upuścił koszulę.

– Co robisz? – zapytała gniewnie staruszka. Podeszła i chciała go uderzyć.

Bingwen podał jej pół koszuli.

– Owiń ją dookoła ust i nosa, jak chustką. Żebyś mogła przez nią oddychać.

Kobieta po chwili zrozumiała.

– Tak, tak. Oczywiście. – Zawołała męża. – Znajdź w worku więcej koszul. Podrzyj, zrób maski dla wszystkich.

– Może podrzemy twoje ubrania? – zaproponował staruszek.

– Drzyj i nie gadaj.

Bingwen owinął sobie twarz drugą połową koszuli. Zaczekał chwilę, aż ludzie zgromadzą się wokół staruszka, skupieni na powstających maskach, a potem wybiegł do stodoły. Jeśli żołnierze byli ranni, będzie musiał ich przemieścić, czego oczywiście nie zdoła zrobić bez pomocy.

Spojrzał na dwa bawoły, które stały w stodole. Ten po prawej był tłustszy, szerszy, a więc i silniejszy. Ale nie oznaczało to, że jest lepszy. Bingwen zaklaskał głośno, gwizdnął i zamachał rękami, żeby bawoły podeszły do niego. Mniejszy ruszył w jego stronę i stanął dopiero wtedy, gdy zatrzymała go linka, którą miał zawiązaną wokół szyi. Ten większy tylko patrzył na Bingwena, powoli coś przeżuwając.

Posłuszeństwo przebija siłę, pomyślał Bingwen.

Odwiązał mniejszego bawołu i przerzucił mu przez grzbiet torbę z grubego płótna na narzędzia, taką z dwiema szerokimi kieszeniami z obu stron. Rozejrzał się wokół. Nie wiedział, czego potrzebuje. Nawet nie wiedział, czy w ogóle czegoś potrzebuje. W jednym kącie leżał zwój liny pokryty kurzem i pajęczynami. Włożył ją do torby. Na ścianie wisiała siekiera, stara, zardzewiała i zapewne niezbyt ostra. Ją też włożył do torby. W innym kącie leżała sterta dużych bawełnianych worków z jednym pasem na ramię do zbierania ryżu. Mogłyby się przydać, gdyby musiał opatrzyć rany. Włożył ich do torby, ile się zmieściło.

– Bingwenie…

Głos łagodny i cichy. Głos dziadka.

– Nie możesz tam iść. Nie możesz pomóc żołnierzom.

– Dlaczego? Bo jestem mały?

Dziadek uśmiechnął się ze smutkiem.

– Wzrost nie jest miarą umiejętności, dziecko. Zobacz, wybrałeś mniejszego bawołu.

– Bo mnie posłuchał.

– Tak jak ty musisz słuchać mnie. W dolinach nie jest bezpiecznie.

– Dlatego muszę się śpieszyć. Jeśli nie dotrę do nich pierwszy, ta mgła ich zabije.

Odwiązał zwierzę i pociągnął za linkę. Bawół posłusznie ruszył za nim.

Dziadek zastąpił Bingwenowi drogę. Teraz patrzył surowo.

– Okazujesz brak szacunku starszemu, dziecko.

Bingwen zatrzymał się i skłonił głowę, wpatrując się w ziemię.

– Ja się ze starszym nie zgadzam, dziadku. To jest różnica. Czuję do ciebie wyłącznie miłość i szacunek. Jesteś mądry ponad wszelką mądrość. Lojalny i bardzo odważny. Znajdujesz siłę mimo obrażeń. Mogę tylko mieć nadzieję, że stanę się choć w połowie taki jak ty. Lecz cnota nie sprawia, że człowiek ma rację za każdym razem. Proszę cię, dziadku. Kto nas będzie chronił bez tych żołnierzy? Kto nami pokieruje?

– Jeśli są ranni, Bingwenie, oni też tego nie zrobią.

– Nie wiemy, jak bardzo są ranni, dziadku. A nawet gdyby byli ciężko ranni, to przecież zawdzięczamy im życie. Jeśli obrażenia obniżają wartość człowieka, ty i ja nie jesteśmy nic warci. W naszej grupie mamy najpoważniejsze rany.

Dziadek parsknął śmiechem.

– Co za język. Spójrz na mnie, Bingwenie.

Bingwen podniósł głowę. Dziadek ukląkł przed nim i położył mu rękę na karku.

– Myślę tylko o tobie. Nie mogę cię puścić. Gdyby coś ci się stało, nie mógłbym z tą świadomością żyć.

– Muszę iść po to, byśmy przeżyli, dziadku. Potrzebujemy tych ludzi. Gdzieś tam wciąż są matka i ojciec. A w tej chwili tylko ci żołnierze usiłują zebrać nas wszystkich razem.

To dało dziadkowi do myślenia. Zacisnął usta, zastanowił się i z wielkim trudem wstał.

– A więc pójdę ja.

Wyciągnął rękę po linkę.

Bingwen westchnął. Tracił czas. Liczyła się każda chwila.

– Dziadku, może udałoby ci się zejść z tej góry, ale nie wejdziesz na nią z powrotem. W każdym razie jeszcze nie teraz. Dopiero jak wyzdrowiejesz.

Nie czekał na odpowiedź dziadka; pociągnął za linkę i wyprowadził bawołu na drogę.

– A jak sprowadzisz rannego żołnierza? – zapytał dziadek.

– Bardzo ostrożnie – odparł Bingwen.

Ruszył szybko drogą, chcąc się oddalić, zanim dziadek wynajdzie jakieś dodatkowe zastrzeżenie i zmusi go, żeby z samego szacunku zatrzymał się i obalił je racjonalnymi argumentami. Nie miał na to czasu. Bawołu nie podobało się takie tempo; wciąż szarpał za linkę i zmusił Bingwena, żeby zwolnił. Dwa razy zupełnie się zatrzymał i uniósł nos, czując dym, który ciągle przepływał nad drogą. Bingwen klepnął go mocno po zadzie i zmusił do ruszenia z miejsca.

Na szczycie góry był nieustraszony. Lecz im bardziej się oddalał, tym bardziej zawodziła go odwaga. Drzewa, które osłaniały drogę, nagle stały się kryjówkami obcych, gęste krzaki na poboczu – idealne do urządzenia zasadzki. Cienkie gałęzie wydawały się dyszami, które zaraz rozpylą mgłę. Hałasowały statki powietrzne, które szybko przelatywały to blisko, to bardzo daleko i za każdym razem Bingwen był przekonany, że maszyna spada prosto na niego jak płonący meteor. Bawół też się bał. Im bardziej zbliżali się do dna doliny, tym bardziej stawał się oporny i pobudzony.

Wkrótce drzewa się przerzedziły i roztoczył się widok na całą równinę. Leżała po przeciwnej stronie góry i Bingwen nie widział jej z porzuconej chaty. Teraz stanął jak wryty.

Na ziemi leżały ciała. Ludzie. Nie w dużej grupie, lecz rozrzuceni po całej dolinie pojedynczo albo po dwie, trzy osoby, jakby wieśniacy postanowili znaleźć sobie osobne miejsce, w którym mogliby się położyć i zasnąć.

Tylko że oni nie spali. Ich piersi się nie unosiły, nie poruszali się mimowolnie, jak robią to ludzie we śnie. Nic się nie poruszało prócz kosmyków włosów i rąbków ubrań targanych wiatrem.

Najbliższe ciało znajdowało się w odległości trzydziestu metrów w cieniu drzewa. Kobieta w wieku matki Bingwena leżała na boku, a koszula zwisała jej luźno z ramienia w sposób, na jaki nie pozwoliłaby sobie świadomie żadna skromna Chinka. Na ziemi obok leżał jeden but. Miała otwarte oczy i lekko rozchylone usta, jakby czekała na kogoś i właśnie go wołała, kiedy stanął czas i zatrzymał ją w tej pozycji.

Wokół niej pędy ryżu były poskręcane, czarne i martwe.

Bingwen uświadomił sobie, że sprawiła to ta mgła. Substancja chemiczna rozpylana przez obcych zabiła wszystko, z czym się zetknęła: uprawy, uciekających wieśniaków, zwierzęta – psy, ptaki i dwa bawoły. Chłopiec dostrzegł też duże obszary zdrowych upraw – zielone pędy ryżu, których nie ogarnęła mgła i które mogły sięgnąć mu do ramienia – lecz większość dna doliny pokrywało błoto i śmierć.

Po drugiej jej stronie z zestrzelonego chińskiego statku powietrznego unosiły się w powietrze kłęby czarnego dymu i popiół. Chłopiec słyszał syk i trzask płomieni, czuł gryzący smród topiącego się plastiku, gumy i innych materiałów syntetycznych.

Wiedział, że to nie maszyna Mazera, tamta rozbiła się gdzie indziej, co najmniej kilometr dalej. Kiedyś był to śmigłowiec, ale teraz zmienił się w stertę poskręcanego metalu. Cały przód uległ zmiażdżeniu od zderzenia z ziemią. Wrak leżał na boku jak ranne zwierzę, płonąc, sycząc i rzygając czarnym dymem.

Bingwen zastanawiał się, ile osób liczyła załoga. Dziesięć? Dwadzieścia osób? Z całą pewnością mogła wziąć tyle na pokład. Może przewoziła zapasy: świeżą wodę, żywność i sprzęt medyczny, wszystko, czego potrzebowałby dziadek i pozostali, żeby przeżyć w chacie. Tak czy owak, teraz ładunek był stracony bezpowrotnie. Nie przeżył też nikt z załogi.

Może dziadek ma rację, pomyślał Bingwen. Może to próżny trud. Dlaczego zestrzelenie maszyny Mazera miałoby się skończyć inaczej? Zastanie tam ogień i śmierć.

Bawół uniósł łeb i zaczął węszyć. Pewnie wyczuł zapach śmierci albo dymu, bo tak mocno pociągnął za linkę, że Bingwen się przewrócił. Upadł na zdrową rękę, ale wstrząs spowodowany upadkiem przeszył bólem tę złamaną. Mimowolnie krzyknął. Bawół wystraszył się jeszcze bardziej i zawrócił pod górę, wyszarpnąwszy linkę z dłoni chłopca tak gwałtownie, że mocno otarła mu skórę.

Osaczenie bawołu i złapanie linki zajęło Bingwenowi kwadrans. Przedtem oderwał kilka pasków materiału od prowizorycznej maski na twarzy i owinął nimi dłoń, żeby mieć bandaż i rękawicę do trzymania linki. Zwierzę znowu zaczęło się opierać, ale Bingwen szarpnął mocno i przypomniał mu, kto prowadzi kogo. Wyjął z torby jeden z worków do zbierania ryżu i zrobił z niego coś w rodzaju maski dla bawołu, która zakryła mu większość głowy jak ogromna torba

z obrokiem. Wtedy bawół się uspokoił, bo czuł tylko zapach stodoły, którym był przesiąknięty materiał.

Bingwen z powrotem poprowadził go do doliny. Postanowił, że nie zawróci. Doszedł tak daleko i doprowadzi sprawę do końca. Nie chciał się poddać tak szybko jak bawół.

Skierował się ku najbliższej plamie zdrowej zieleni. Jeśli przejdzie dolinę, trzymając się zielonych pędów, może uda mu się nie zatruć.

Zrobił kilka niepewnych kroków pomiędzy wysokimi łodygami i zatrzymał się, by sprawdzić, czy jest mu niedobrze albo kręci mu się w głowie.

Nic się nie stało.

Ruszył dalej, ciągnąc bawołu za sobą.

Deptali zdrowe zielone pędy. Takie niszczenie upraw kłóciło się ze wszystkim, czego obu nauczono, mimo to szli dalej.

Mijali dziesiątki ciał. Pierwsze kilka twarzy było obcych, leżeli tu mężczyźni i kobiety z innych wiosek. A potem Bingwen widział ludzi, których znał, sąsiadów. Yi Yi Guangon, jeden ze starszych z rady wioski. Shashoo, jedyna kobieta w wiosce, która miała pralkę. Bexi, pielęgniarka, która robiła leki ziołowe dla Bingwena, kiedy chorował. Wszyscy leżeli martwi w nienaturalnych pozach i mieli czerwoną skórę pokrytą pęcherzami, jakby przez wiele dni pracowali w słońcu bez kapelusza.

Ilekroć widział kogoś nowego, dusił go strach. A jeśli następny trup będzie miał twarz matki albo ojca? Co wtedy zrobi?

Raz był pewien, że znalazł matkę. Martwa kobieta leżała w błocie plecami do niego, z odwróconą twarzą. Miała włosy jak matka, jej figurę i takie samo proste, wyblakłe ubranie.

Kiedy jednak Bingwen obszedł ją i ujrzał twarz, okazało się, że to ktoś inny. Poczuł taką przemożną ulgę, że załamał się i rozszlochał. Uspokoił się dopiero po kilku minutach. Bawół znowu się przestraszył, ciągnął za linkę. Bingwen wytarł oczy i nos rękawem. Płakał nad wszystkim: nad złamaną ręką, Skoczkiem, Meilin, martwą kobietą, która wyglądała jak matka, statkiem Mazera. Nad wszystkim. Poczuł się o wiele lepiej, a nawet odważniej. Popłakałem sobie, pomyślał. Więcej nie będę.

Szedł dalej.

Były też martwe dzieci. Bingwen nie mógł na nie patrzeć. Ilekroć któreś z nich pojawiało się w polu widzenia, patrzył ponad ciałem, nigdy na nie… do czasu, kiedy jego uwagę zwróciła jaskrawa koszula.

Koszula, którą rozpoznał. Koszula, którą widział z bliska, kiedy chłopak w nią ubrany złapał go za szyję.

Zihao.

Za życia Zihao zawsze miał na twarzy protekcjonalny, szyderczy uśmieszek. Lecz teraz, kiedy leżał na plecach w błocie, wyglądał na przestraszonego: szeroko rozwarte oczy, sztywne ciało, brudna twarz poznaczona śladami łez. Wyglądał też na młodszego. Jak dziecko. Bingwen odwrócił wzrok.

Usłyszał za sobą odległy syk i odwrócił się gwałtownie. Daleko przy końcu drogi, kilkaset metrów od niego, czterech obcych rozpylało mgłę na zdrową trawę i zmierzało w jego stronę. Chyba go nie widzieli.

Szarpnął linkę i zmusił bawołu, żeby ruszył za nim. Nie zatrzymywał się, żeby patrzeć na twarze. Nie stawiał ostrożnie kroków. Pobiegł.

Bawół wyczuł jego niepokój i też ruszył kłusem, ale jego długie, ociężałe kroki nie były dość szybkie dla chłopca, który wciąż szarpał za linkę. Zwierzę potknęło się, lecz szybko odzyskało równowagę. Biegli kwadrans i zwolnili dopiero wtedy, kiedy dolina skręciła na południe. Obcych zostawili daleko w tyle. Zatrzymali się, rzężąc i ciężko oddychając. Bawół stękał. Złamana ręka Bingwena sprawiała wrażenie, jakby płonęła; to szarpanie i bieganie podrażniło uszkodzoną kość. W boku kłuło go bardzo, nabrał pewności, że coś sobie naderwał.

Bawół zachwiał się, jakby miał się przewrócić. Jednak potrząsnął łbem i zebrał się w sobie.

Bingwen spojrzał w lewo i stwierdził, że są na miejscu. Sto metrów dalej leżał wrak. Statek powietrzny Mazera. Ogień zniszczył go i osmalił na czarno, ale płomienie dawno już zgasły i znajomy kształt maszyny się nie zmienił. Jedyny nowy element stanowiły cztery łopaty wirnika, które musiały się otworzyć, kiedy maszyna spadała.

Na ten widok ogarnęło go zwątpienie. Nikt nie mógł przeżyć. Maszyna wybuchła, rozrzucając odłamki na wszystkie strony. Nawet gdyby ktoś przeżył uderzenie, nie zdołałby się wydostać poza zasięg wybuchu. Nikt też nie mógłby się katapultować przed uderzeniem w ziemię, bo przeszkadzały łopaty.

Bingwenowi zrobiło się wstyd. Powinien był posłuchać dziadka. Głupio postąpił, przychodząc tutaj.

Coś przy wraku zwróciło jego uwagę. Karabin? Przydałby się. Gdzie był jeden, mogły się znaleźć inne; a jeśli nie broń, to może jakieś narzędzia. Bingwen pociągnął za linkę. Bawół nie chciał się ruszyć z miejsca; wciąż rzęził po biegu. Chłopiec pociągnął go zdrową ręką i w końcu zwierzę ruszyło za nim.

Wrak śmierdział popiołem, pożarem i czymś, co mogło być zapachem zwęglonych ludzkich szczątków. W powietrzu wciąż unosił się gęsty dym, piekł w oczy. Bingwen nie chciał zaglądać do kabiny czy kokpitu. Wiedział, co tam znajdzie.

Ziemię pokrywały odłamki i rozmaite szczątki pozgniatane w dziwne kształty, z poszarpanymi, niebezpiecznie ostrymi krawędziami.

Bingwen utkwił wzrok w karabinie, ale kiedy do niego podchodził przez dym, jego uwagę zwróciło coś innego w pobliżu karabinu. Ciało.

Upuścił linkę i pobiegł gorączkowo naprzód.

To był Mazer. Całego pokrywała krew i błoto – ręce, głowę, bok. Brzuch miał owinięty bandażem przesiąkniętym ciemnoczerwoną krwią. Wokół leżała rozrzucona zawartość zestawu medycznego. Ktoś udzielił mu pierwszej pomocy. Ktoś jeszcze żył. Bingwen rozejrzał się dookoła.

– Halo?

Nikt nie odpowiedział.

Z lewej strony leżało jeszcze jedno ciało. Kobieta. Bingwen od razu wiedział, że nie żyje, nawet nie widząc jej twarzy. Miała zbyt wiele ran. Jej skóra była blada jak wosk. Ubranie spalone.

Ciała na polach wyglądały, jakby spokojnie spały. Ta kobieta miała ciężką śmierć. Najprawdopodobniej szybką, ale przeraziła ona Bingwena bardziej niż cokolwiek, co widział do tej pory.

Ziemię od maszyny do ciała kobiety znaczyły linie wyżłobione przez jej buty. Bingwen uświadomił sobie, że Mazer wyciągnął ją z ognia. Chociaż był ranny, wyciągnął ją z płomieni. A potem w jakiś sposób spróbował opatrzyć własne rany. Chłopiec ukląkł przy nim. Tak, jeden z pakietów z zestawu wciąż tkwił w dłoni Mazera. Powinien był zauważyć to od razu.

– Mazerze.

Żadnej odpowiedzi.

Czy powinien spróbować go obudzić potrząsaniem? Nie, mógłby rozerwać mu coś w środku. Ostrożnie, delikatnie szturchnął Mazera

palcem w ramię. Skóra była ciepła. Czubek palca Bingwena zabarwił się krwią. Mazer nie zareagował.

A potem jego pierś się lekko uniosła w płytkim, prawie niezauważalnym oddechu. Żołnierz żył. Oddychał.

Bingwen uznał, że musi przenieść go do chaty, do dziadka. Ale jak? Miał nadzieję, że znajdzie żołnierzy świadomych i mogących chodzić. A gdyby nie mogli, to Bingwen zamierzał zbudować travois, które by ciągnął bawół, a potem poprosić rannego, żeby się na nich położył. Mazer nie mógłby jednak zrobić nawet tego; w ogóle nie mógł się ruszać. Bingwen będzie musiał go jakoś podnieść na nosze.

Pobiegł do bawołu, przywiązał go do drzewa i wrócił z całą zawartością torby na narzędzia. W pobliskich zaroślach bambusa wyciął siekierą trzy duże pędy. Trwało to bardzo długo, ponieważ musiał pracować tylko zdrową ręką. Następnie pociął jeden z pędów na krótsze odcinki i zbudował travois, wiążąc liną krótsze kawałki bambusa wstawione między dwa dłuższe. Powstała konstrukcja podobna do drabiny, na której mógł się położyć Mazer. Potem Bingwen odciął dna od kilku worków do zbierania ryżu i naciągnął te worki na dwie tyczki, tworząc płaską powierzchnię jak w łóżku polowym.

Travois było ciężkie, ale dopóty się zapierał, dopóki nie przywlókł go do Mazera. Miał nadzieję, że wciągnie na nie ciało, lecz po kilku próbach stało się jasne, że nie da rady tego zrobić. Mazer był zbyt ciężki, a Bingwen nie mógł używać złamanej ręki. Będzie musiał unieść ciało, zawiesić je w powietrzu, wsunąć pod nie travois i potem ostrożnie opuścić Mazera.

Był już spocony, spragniony, zmęczony. Nie wziął z sobą wody, bo nie chciał korzystać z niewielkich zapasów grupki uciekinierów. Teraz tego żałował. W okolicy nie było wody zdatnej do picia, a nawet gdyby była, nie piłby jej z obawy przed mgłą wiszącą w powietrzu.

Przestał myśleć o wodzie i wrócił do pracy. Budował już kiedyś z bambusa układy bloczków – razem z ojcem skonstruował niedawno niedużą wieżę do podnoszenia worków z ryżem na ciężarówki. Ale potrzebował czegoś innego. Mazer był dwa razy dłuższy od worka z ryżem i cięższy, bezwładny. Poza tym Bingwen nie miał ojca do pomocy ani dwóch zdrowych rąk.

Przygotowanie wszystkiego zajęło mu dwie godziny. Musiał ściąć bambus, przyciąć pędy do odpowiedniej długości, rozpleść linę na cieńsze sznurki, bo była za krótka. Wykorzystał też złom z wraku.

W kokpicie znajdowała się wciągarka z liną i pierścieniami w kształcie litery D. Widział zwęglone ciała na fotelach, ale wstrzymał oddech, odwrócił wzrok i szybko wyjął potrzebny sprzęt.

A potem zaczął budować. Zrobił kilka ram w kształcie litery A i połączył je długą tyczką, następnie wsunął cieńsze tyczki pod ramiona, krzyż, pośladki i kolana Mazera. Zrobił specjalną kieszeń na jego głowę, żeby nie opadła, kiedy Bingwen go podniesie. Wszystkie końce tyczek leżących pod Mazerem przywiązał do długiej tyczki nośnej zawieszonej wzdłuż jego ciała. Następnie przewlókł linę przez trzy bloczki, które zrobił z plasterków bambusa.

Kiedy skończył, słońce zniżało się do horyzontu. Był głodny. Bolała go ręka. Całe ciało pokryte ziemią i sadzą lepiło mu się od potu.

Konstrukcja była skomplikowana; wyglądała jak wielki bambusowy pająk, który stał nad Mazerem, gotowy go chwycić i owinąć pajęczyną.

Bingwen pociągnął za liny i ciało Mazera z bezpiecznie podtrzymywaną głową uniosło się nad ziemią. Tyle roboty dla tak małego ruchu, pomyślał.

Chłopiec przywiązał linę, wsunął travois pod Mazera i opuścił go na nosze. Następnie przesunął bloczki na tyczce nośnej w stronę głowy rannego i uniósł przód noszy na tyle, by przywiązać je do uprzęży, którą zrobił dla bawołu. Najtrudniejsze okazało się wyperswadowanie bawołowi, żeby długo stał spokojnie, bo Bingwen musiał wszystko powiązać.

Zabrał zawartość zestawu medycznego łącznie z niewielkim, płaskim urządzeniem cyfrowym, którego użył Mazer do zbadania jego złamanej ręki. Starł z ekranu błoto i brud. Ekran był pęknięty, ale ożył pod jego dotknięciem. Strona domowa była jasna, kolorowa i dawała rozmaite możliwości: Powierzchniowe badanie tkanek, Ultradźwięki, Badanie krwi, Szkolenie chirurgiczne, Farmacja. Bingwen włożył urządzenie do torby na grzbiecie bawołu, a potem ostatni raz zajrzał do wraku w poszukiwaniu jakichś zapasów. Nie dostrzegł niczego, co warto byłoby zabrać, dopóki nie zauważył kamizelki bojowej, którą miała na sobie kobieta. W jej przegródkach tkwiło kilka magazynków jak ten w karabinie.

Amunicja mogła się przydać. Bez niej karabin byłby bezużyteczny. Ale wyjęcie magazynków nie zapowiadało się łatwo; Bingwen musiałby odwrócić kobietę bardziej na bok, żeby odpiąć

przytrzymujące je paski. A to oznaczało dotykanie martwej osoby. Na tę myśl Bingwenowi zrobiło się niedobrze; nie mógł znieść widoku tej kobiety, nie mówiąc już o jej dotykaniu.

Powiedział sobie, że jest śmieszny. Nawet samolubny. Bez broni i bez amunicji nie pożyją długo.

Z na wpół zamkniętymi oczami i mocno zaciśniętymi ustami podbiegł do kobiety i pchnął ją w ramię, żeby się obróciła. Była sztywna, zakrwawiona. Z ręką wykręconą za plecami nie dawała się poruszyć. Zaparł się stopami w ziemię i w końcu tors kobiety przesunął się na tyle, że zdołał sięgnąć ręką do magazynków i je wyjąć. Upadły z klekotem na ziemię u jego nóg, a on sam rzucił się w tył na czworakach, besztając się w myślach, że jest takim tchórzem.

Uświadomił sobie, że oczy ma mokre od łez, i szybko je wytarł. Wstał, zebrał magazynki i wrzucił do torby. Następnie przywiązał Mazera do noszy, po raz ostatni obejrzał się na wrak, wziął linkę i mocno pociągnął. Bawół stęknął i się zaparł, ale wystarczyło kolejne mocne szarpnięcie i zwierzę ruszyło.

Cały dzień było słychać statki powietrzne, w większości z daleka, ale teraz na niebie panowała cisza. Zapadał zmierzch i Bingwen wiedział, że dotrze do chaty ciemną nocą.

W dolinie ciał zobaczył, że obcy zniszczyli pozostałe uprawy. Ponieważ nie było już zdrowej trawy, po której mógłby przejść, ruszył prosto na północ, szukając innego miejsca, skąd zawróci w stronę góry. Znalazł je kilometr dalej – kolejne rozległe pole prawie pozbawione stojącej wody.

Były tam też ciała ludzi i zwierząt. Kilka świń. Trzy bawoły. Grupa dzieci.

Oraz matka i ojciec.

Bingwen zauważył ich z odległości pięćdziesięciu metrów i stanął jak wryty. Leżeli twarzami w błocie; ojciec położył rękę na ramionach matki, jakby ją pocieszał.

Chłopiec zastygł w bezruchu. Nie widział ich twarzy, ale to była koszula matki, plecy matki i figura matki. I ubrania ojca. Buty ojca i jego włosy. A od zegarka, który nosił na lewym nadgarstku, odbijał się promień zachodzącego słońca.

Bingwen czuł się, jakby jego ciało było z powietrza. Nie mógł skupić wzroku. Kolana miał jak z waty. Stał, wpatrzony w nich, wyprostowany, żywy i oddychający. Ich serca nie biły, płuca nie przyjmowały powietrza, usta się nie poruszały. Nie mówili mu, jak

bardzo go kochają, że będą go chronić i że z nimi jest bezpieczny. Nie obejmowali go i nie przytulali mocno do piersi. Nie robili nic, tylko leżeli w błocie i trawie zniszczonej przez mgłę.

Stał długo; nie wiedział, jak długo. Może godzinę, może dwie. Bawół ryczał i niecierpliwie grzebał nogą w ziemi. Bingwen nie zwracał na niego uwagi. Nic go nie obchodziło. Gdyby przyszli obcy, nie uciekałby przed nimi.

Nie płakał. Nie jęczał. Nie krzyczał z rozpaczy. Cały w środku był pusty. Nie chciał już wylewać łez. Łzy należały do starej, dawnej jego wersji, do poprzedniego Bingwena, chłopca, który zakradał się do biblioteki i martwił się testami, który chodził do szkoły, miał przyjaciela z wykrzywioną stopą i rodziców, którzy go kochali i sadzali przy ogniu, kiedy zmókł i zmarzł. Tamten Bingwen leżał w błocie z matką i ojcem.

Obiecał sobie w myślach, że doprowadzi Mazera do zdrowia. Tak, doprowadzi go do zdrowia, a wtedy Mazer wszystko powstrzyma. Położy kres mgle, pożarom i ciałom na polach. A Bingwen będzie mu pomagać. Da mu magazynki, będzie mu nosił wodę i zrobi wszystko, by to zakończyć. A potem pozwoli sobie na łzy.

Dotarł do chaty późną nocą. Dziadek wybiegł mu na powitanie, objął go i ucałował w policzek, pomstując na siebie, że pozwolił mu iść. Dopiero wtedy zauważył, że bawół coś ciągnie.

Inni też wyszli. Na widok Mazera i noszy wytrzeszczyli oczy, jakby nie rozumieli, na co patrzą, jakby rozum im mówił, że to niemożliwe. Staruszka spojrzała na Bingwena z wyrazem twarzy, którego nie umiał zinterpretować. Dezorientacja? Podziw?

Nikt się nie poruszył. Nikt nie rzucił się na pomoc.

Bingwen uświadomił sobie, że nie wiedzą, jak zareagować. Nie wiedzieli, co robić.

– On żyje – odezwał się. – Musimy mu pomóc.

Dziadek przejął inicjatywę.

– Odwiążcie nosze. Wciągnijcie je do środka. Szybko. Ale ostrożnie, róbcie to ostrożnie.

Bingwen stał i patrzył, jak wieśniacy odwiązują travois i wciągają razem z Mazerem do chaty. Położyli je na podłodze i stanęli dookoła.

– Potrzebuję światła – powiedziała staruszka.

– Ona jest jakby pielęgniarką – wyjaśnił dziadek. – Akuszerką. Wiesz, co to znaczy?

– Pomaga kobietom rodzić dzieci.

– Tak. Zna się na medycynie.

– Niewystarczająco – rzekł Bingwen.

Wyjął z torby to elektroniczne urządzenie i podszedł do Mazera. Wszyscy skupili się wokół travois . Mąż staruszki trzymał lampion.

– Cofnijcie się – rozkazała. – Potrzebuję miejsca. – Pochyliła się, przyciągnęła lampion bliżej, uniosła róg bandaża i popatrzyła na liczne rany. – Źle to wygląda. Bardzo źle. Nie mogę tu nic zrobić. Nie mogę mu pomóc.

– Musisz – powiedział Bingwen.

– Postąpiłeś bardzo odważnie, przywożąc go tu, chłopcze, ale jemu już nie można pomóc. Nie dożyje świtu. Stracił zbyt wiele krwi. Ma za dużo ran.

– To zrobimy mu transfuzję. Znajdziemy wśród nas kogoś odpowiedniego i damy mu krew.

Staruszka się roześmiała.

– A jak mamy to według ciebie zrobić?

– Dzięki temu. – Bingwen uniósł urządzenie.

Włączył ekran i wybrał „Badanie krwi". Otrzymał pytanie, czy potrzebuje objaśnień. Bingwen wybrał „Tak". Urządzenie zaczęło mówić po angielsku. Zaskoczyło wszystkich.

– Co to jest? – spytała staruszka.

– Urządzenie medyczne, które mówi, jak kogoś leczyć.

– To brzmi jak angielski – odezwała się młoda kobieta.

– To jest angielski. Znam ten język. Mogę przeprowadzić nas przez kolejne etapy.

Nie czekał, aż mu się sprzeciwią. Słuchał nagranego głosu. Był damski, spokojny i uspokajający, jaki chciałoby się słyszeć w trudnej sytuacji. Urządzenie powiedziało, żeby wyjąć z zestawu medycznego pewne przedmioty. Bingwen to zrobił. Za pomocą cienkiej rurki uzyskał od Mazera kroplę krwi i umieścił ją w rogu ekranu we wskazanym miejscu.

– Grupa zero Rh plus – powiedziało urządzenie. – Ta krew jest zgodna tylko z grupą zero Rh plus i zero Rh minus.

– Co ono mówi? – zapytał dziadek.

– Muszę nakłuć sobie palec – powiedział Bingwen.

Poszukał wśród przyniesionych rzeczy jeszcze jednej cienkiej rurki i nakłuwacza.

– Zbadaj moją – zaproponował dziadek i wyciągnął do niego rękę. – Jesteś za mały, żeby dawać krew.

– A ty za słaby.

– Znam moją siłę lepiej od ciebie, chłopcze. Nakłuj mi palec.

Bingwen przetarł palec dziadka gazą, nakłuł go i zbadał krew. Kiedy pojawił się wynik, powiedział:

– Pasuje.

Dziadek skinął głową, zadowolony z siebie, jakby czegoś dokonał.

– No to do dzieła.

– Najpierw musimy go zaszyć i usunąć odłamki – powiedziała staruszka. – Ale uważam, że to strata czasu. Ten człowiek nie przeżyje. Oddasz na darmo krew, której w twoim wieku nie powinieneś tracić.

Dziadek zmarszczył brwi.

– Mój wnuk ryzykował życie, żeby przywieźć tego człowieka do nas. A ten człowiek ryzykował życie, by ocalić nasze. Uratujemy go, a ty nam pomożesz.

Do przodu wystąpił mąż staruszki.

– Uważaj, co mówisz, starcze. Nie wydajesz rozkazów mojej żonie.

– Wydaję, bo ty tego nie robisz – odparł dziadek. – To jej obowiązek. Ma dług wobec tego człowieka. Wszyscy go mamy. A skoro Bingwen mówi, że możemy go ocalić, to możemy. – Zwrócił się do starej kobiety. – Zszywałaś kobiety. To się niczym nie różni.

– Bardzo się różni. Rany od odłamków są dość proste. Ale z jego brzuchem nic nie mogę zrobić. Nie wiem, co jest uszkodzone w środku. Może mieć posiekane wszystkie narządy. Rana wygląda na głęboką. Nie jestem lekarzem.

– To urządzenie nam powie – odezwał się Bingwen, nie wiedząc, czy to prawda. – Przynajmniej spróbujmy.

Staruszka się zawahała, spojrzała mężowi w twarz i westchnęła.

– Dobrze. Co mamy zrobić najpierw?

Bingwen nie wiedział. Był przycisk wywołujący pomoc. Wcisnął go.

– Opisz problem – powiedziała maszyna.

– Jego brzuch jest poraniony i mocno krwawi. Może narządy też są poranione. Nie wiemy.

– Powstrzymałeś krwawienie? – zapytało urządzenie.

– Tak.

– Umyłeś i zdezynfekowałeś ranę i swoje ręce?

– Nie.

– Zajmijmy się najpierw tym. Potrafisz to zrobić?

Bingwen oczywiście wiedział, jak się myje ręce, ale mogły być do tego specjalne instrukcje, więc powiedział:

– Nie.

Owszem, były. Trzeba było użyć pewnych chemikaliów, włożyć rękawiczki i rozpakować gazę jałową. Bingwen i kobieta postępowali zgodnie z poleceniami. Oczyścili ranę i zatamowali krew. Wytarli też i zdezynfekowali urządzenie.

– Teraz muszę prześwietlić ranę – powiedziało kobiecym głosem.

Bingwen potrzymał je kilka sekund nad raną.

– Wykrywam poważny uraz. Zostało przecięte jelito cienkie. To wymaga natychmiastowej operacji. Czy jest na miejscu wykwalifikowany lekarz, który potrafi przeprowadzić resekcję jelita cienkiego?

– Nie – odparł Bingwen.

– Co ono mówi? – zapytała staruszka.

– Daj chłopcu słuchać – powiedział dziadek.

– Czy możesz przetransportować pacjenta do szpitala, gdzie można będzie znaleźć wykwalifikowanego lekarza?

– Nie.

– Czy możesz wezwać lekarza?

– Tu nigdzie nie ma lekarzy. Nie możemy go przenieść.

– Czy jest ktoś, kto podejmie się przeprowadzenia tej operacji?

Bingwen rozejrzał się po twarzach ludzi.

– Co się stanie, jeśli tego nie zrobimy?

– Jelito cienkie stanowi część przewodu pokarmowego. Po przecięciu wydziela do wewnątrz ciała szkodliwe produkty przemiany materii. Jeśli nie zostanie natychmiast zszyte i jeśli rana nie zostanie prawidłowo oczyszczona, pacjent nie przeżyje.

– Nikt tu nigdy nie robił czegoś takiego.

– Poprowadzę cię krok po kroku. Będziesz potrzebował następujących rzeczy z zestawu medycznego…

Na ekranie pojawiła się długa lista.

– Co dokładnie będziemy musieli zrobić? – spytał Bingwen.

– Uszkodzony fragment jelita trzeba będzie odciąć i usunąć, potem je zszyć, by przywrócić ciągłość przewodu pokarmowego. Ranę należy właściwie oczyścić i zabezpieczyć przed infekcją. Następnie trzeba będzie ranę brzucha spiąć klamrami i też zabezpieczyć przed infekcją. Przez cały czas pacjent będzie musiał być pod działaniem

ogólnego środka znieczulającego. Mogę pomóc w obserwacji trzewi pacjenta i przeprowadzić cię przez cały proces.

– Ile czasu to zajmie, biorąc pod uwagę, że nie mamy żadnego wyszkolenia i nie wiemy, co robimy?

– Od czterech do dwunastu godzin.

Bingwen milczał.

– No? – odezwała się stara kobieta. – Co powiedziało? Czy to jest coś, co możemy zrobić?

Bingwen spojrzał na wieśniaków. Byli gotowi się poddać. Widział to w ich twarzach.

– Tak – powiedział. – Z pewnością możemy. To wcale nie będzie trudne.

* * *

Kim nie znosiła zebrań zwoływanych w celu omówienia aktualnej sytuacji. Dla niej była to całkowita strata czasu. Poszła na studia, żeby być lekarzem, pomagać ludziom, ratować im życie, a nie przesiadywać w salce konferencyjnej, patrzeć na arkusze kalkulacyjne i terminy, omawiać szczegóły każdego przedsięwzięcia. To było zadanie dla personelu administracyjnego. Takie rzeczy robią kierownicy. Lekarze brudzą sobie ręce. Lekarze śpieszą do pacjentów, pocieszają, oszukują śmierć. Śmiercią były takie spotkania, powolną, bolesną i otumaniająco nudną.

– Kim, jesteś z nami?

Podniosła wzrok. Wszyscy siedzący przy stole patrzyli na nią. Bazgrała w holoprojektorze, ozdabiając arkusz kalkulacyjny zawijasami. Zamrugała i usiadła prosto.

– Tak. Przepraszam. Proszę mówić.

Grupa wróciła do rozważań nad jakimś problemem produkcyjnym: chińscy wytwórcy, którzy składali najnowszą partię med-asysów, nie wykonają pracy w terminie, bo robotnicy nie przychodzą do zakładu.

– Możecie ich winić? – zapytała Kim. – Przecież toczy się wojna. Na naszą planetę napadła obca cywilizacja. Giną ludzie. Ja też nie chciałabym chodzić do pracy.

– Interes musi się kręcić, Kim – powiedział jeden z kierowników. – Nie wiadomo, jak to się rozwinie. Wojsko może rozmieścić

oddziały. Jeśli Nowa Zelandia włączy się do tej walki, musimy być gotowi z med-asysem.

Kim zdawała sobie sprawę, że on ma rację. Widziała wszystkie sprawozdania statystyczne; według niektórych opracowań med-asys zmniejszał straty w ludziach aż o sześćdziesiąt procent. Ale nawet mimo to Kim wydawało się absurdem, że siedzą tu i omawiają coś tak błahego jak kontrowersje związane z pracą, podczas gdy na rolniczych terenach Chin ginie tysiące cywilów. Na litość boską, przecież tam są obcy! Wrodzy, bardzo technicznie zaawansowani obcy. Świat się zmienił z dnia na dzień. Oni tutaj przejmują się płonącym drzewem, a dookoła płonie cały las.

Lecz nie powiedziała tego na głos. Uśmiechnęła się uprzejmie i udawała, że słucha dyskusji o kłopotach z produkcją.

Powiedziała sobie w duchu, że to nigdy nie należało do jej obowiązków służbowych. Nic jej nie mówiono o tym, że będzie pomagać w rozwiązywaniu problemów logistycznych czy sporów o wynagrodzenia dla robotników. A mimo to znów tu siedziała i męczyła się na kolejnym bezsensownym zebraniu.

Próbowała się z tego wykręcić, złożyła prośbę u wyższego kierownictwa, żeby zwolniono ją z wszelkich obowiązków kierowniczych, lecz odmówiono. Znała wszystkie funkcje med-asysa. Problem w jakimś innym dziale mógł wpłynąć na jej pracę. Musiała być na bieżąco.

Po raz setny zadała sobie pytanie, czy przyjazd do Nowej Zelandii był właściwą decyzją. Obiecano jej, że za pośrednictwem tego urządzenia będzie pomagała większej liczbie ludzi, i technicznie była to prawda. Teraz jednak te słowa sprawiały wrażenie fałszywej obietnicy. Owszem, pomagała większej liczbie ludzi, ale nigdy nie udało jej się żadnego z nich ujrzeć; nie udało jej się uścisnąć przed operacją żadnego z nich uspokajająco za rękę czy zobaczyć, jak rozjaśniają im się twarze, kiedy by im mówiła, że wszystko będzie dobrze. Byli liczbami, nie imionami. Brakowało jej aspektu ludzkiego, dreszczu emocji i zadowolenia z tego, że jest lekarzem. Ratowała życie, ale ta praca wydawała się życia pozbawiona.

Znosiła to dzięki Mazerowi. Kiedy byli z sobą, nie zważała na podobne wątpliwości. Bezsensowne spotkania i administracyjne pierdoły były do zniesienia, jeśli miała go u boku.

Teraz zniknęło nawet to.

Mazer. Nie mogła o nim myśleć, żeby jednocześnie nie atakowały jej cztery odmienne uczucia. Oczywiście nadal była zła. A nawet wściekła. Jak on mógł myśleć, że to, co ich łączy, można tak łatwo zniszczyć? Czy to tak mało dla niego znaczyło? Był też smutek i samotność, uczucie pustki, z którego nie umiała się otrząsnąć.

Ale najważniejsza była troska. Strach, że leży umierający gdzieś w Chinach. Znajdował się w samym środku wydarzeń. Formidzi wylądowali akurat tam. I to nie w jednym lądowniku – w trzech.

Widziała, jak wyciągał tego chłopca z błota. Prasa wciąż to odtwarzała. Kiedy usłyszała, że Formidzi wylądowali w Chinach, miała wrażenie, że serce wypadło jej z piersi. Zachłannie oglądała wiadomości w nadziei, że zobaczy coś, co ją upewni, że nic mu się nie stało.

I nagle go zobaczyła. Na środku ekranu. Tuż przed sobą. W błocie, w epicentrum. Wybuchnęła wtedy płaczem.

To było dwanaście godzin wcześniej i od tego czasu nie miała żadnych informacji. Czego się spodziewała? Telefonu od niego? Jakiejś wiadomości, zapewnienia, że nic mu nie jest?

Zawibrowała jej nakładka na nadgarstek. Ktoś do niej dzwonił i Kim przez sekundę myślała, że może on. A potem spojrzała na ekran i zobaczyła, że to recepcja. Zastanawiała się nad wrzuceniem połączenia do folderu z wiadomościami, ale uświadomiła sobie, że przyjęcie go pozwoli jej wyjść ze spotkania. Wstała, uśmiechnęła się przepraszająco i wyszła.

Na korytarzu włożyła do ucha słuchawkę i lekko w nią stuknęła.

– Doktor Arnsbrach – powiedziała.

– Przepraszam, że pani przeszkadzam, pani doktor. Tu Marnie z recepcji. Mam na linii kolejny przekierowaniec. Wydaje mi się, że to pilne. Co mam robić?

Kim westchnęła. Przekierowańce to były telefony do lekarzy, które zostały błędnie skierowane do siedziby firmy. Winę za to ponosiły wczesne wersje med-asysa. Miały oprogramowanie, którego firma już nie mogła wspierać: jeśli med-asys ocenił, że do danego zabiegu jest potrzebna pomoc zewnętrzna, łączył się przez satelitę z którąś z central. Centrala ta następnie łączyła urządzenie z prawdziwym lekarzem działającym w sieci. Lekarz zostawał na linii z żołnierzem i pomagał mu dokończyć ryzykowny zabieg.

Problem polegał na tym, że w ostatniej chwili coś się nie udało i nie zostały zawarte kontrakty, na których podstawie miała powstać

sieć konsultantów. Nie było lekarzy przyjmujących telefony na żywo. Żadnego.

Firma usunęła z kolejnych wersji urządzenia program łączenia satelitarnego, a aktualizacja oprogramowania usunęła go ze starszych modeli. Mimo to co pewien czas pojawiał się jakiś starszy egzemplarz med-asysa z działającym programem. I kiedy nie mógł się skontaktować z nieistniejącą siecią, łączył się z siedzibą firmy.

– Gdzie się znajduje to urządzenie? – spytała Kim.

– Chłopiec mówi, że w Chinach.

Świetnie, pomyślała Kim. Czyli jest to urządzenie, które prawdopodobnie znalazło się na czarnym rynku. Firma nie miała kontaktów z chińską armią.

– Czy mam mu powiedzieć, że nie oferujemy tej usługi? To dziecko. Wyraźnie nie żołnierz.

– Nie – odparła Kim. – Przyjmę rozmowę. Przełącz go.

Technicznie biorąc, nie ponosiła odpowiedzialności za dzwoniącego, a poza tym wchodziło tu w grę mnóstwo wątpliwości prawnych. Ale potrzebowała pomocy jakaś żyjąca, oddychająca osoba. Czy nie tego jej brakowało?

– Halo? – odezwał się cichy głos.

– Cześć. Jestem doktor Kim Arnsbrach. Z kim rozmawiam?

– Mam na imię Bingwen.

– Masz med-asysa, Bingwenie?

– Tak. Znalazłem go. Musi mi pani pomóc. Mój przyjaciel jest ranny. Wykonujemy instrukcje, ale powstał problem i urządzenie zadzwoniło do pani.

– Ile lat ma twój przyjaciel, Bingwenie?

Jeśli pacjent jest dzieckiem, to Kim zawiadomiłaby jednego z pediatrów i włączyłaby go do akcji.

– Nie wiem. Czy to ważne?

– Czy jest tam ktoś dorosły, z kim mogłabym porozmawiać?

– Tylko ja mówię po angielsku.

– A gdzie jesteś?

– W chacie. Na południe od Dawanzhen.

To nic jej nie mówiło.

– W porządku, spróbuję ci pomóc. – Wracała szybkim krokiem do swojego gabinetu. – Chcę przez chwilę porozmawiać z urządzeniem, dobrze? Chcę ściągnąć z niego pewne informacje. Nie oddalaj się. Za chwilę się do ciebie odezwę. Możesz to zrobić?

– Tak. Ale proszę się pośpieszyć. On jest ciężko ranny. Wszyscy myślą, że nie przeżyje.

Kim ruszyła biegiem. To się okazało poważniejsze, niż sądziła. Dotarła do gabinetu i położyła nakładkę na nadgarstek na holobiurku. Pojawiły się przed nią wszystkie informacje z med-asysa. Obrazy, wideo, przeprowadzone kroki.

Resekcja jelita cienkiego. Kim zaklęła. Spodziewała się otartego kolana albo może złamanej kości. Dziecięcego obrażenia. To była pełna inwazyjna operacja. Ile lat ma ten dzieciak? Sądząc po głosie, nie więcej niż osiem. To szaleństwo. Machnęła ręką nad holoprzestrzenią i uzyskała połączenie. Pojawiła się głowa mężczyzny.

– Itzaku, potrzebuję cię natychmiast.

– Idę. – Nie zadawał pytań.

Był najlepszym gastroenterologiem w firmie oraz znakomitym chirurgiem. W gabinecie Kim pojawił się po niecałej minucie. Szybko przejrzał informacje unoszące się w powietrzu przed nim.

– Są w połowie operacji – stwierdził. – Co to za ludzie?

– Nie żołnierze – odparła Kim. – Po angielsku mówi tylko ten dzieciak. Nikt z nich nie ma żadnego wyszkolenia medycznego. – Przeczytała odpowiedzi chłopca na wszystkie pytania zadane przez urządzenie. – Czy możemy przeprowadzić operację śledzoną?

Itzak zrobił niepewną minę.

– Może. Nie wiem, jaki mają poziom umiejętności.

– Nie mają żadnego poziomu. Ale są już w połowie. Musimy spróbować. – Kim przywróciła głos w połączeniu. – Słyszysz mnie, Bingwenie?

– Tak. Jestem tu. Myślałem, że straciłem łączność. – W jego głosie brzmiał strach.

– Nie, jestem. Jest też ze mną jeszcze jeden lekarz. Spróbujemy wam pomóc przy operacji. Doktor Mendelsohn i ja dokładnie ci pokażemy, co robić. Będziemy mieli przed sobą holo twojego przyjaciela. Przeprowadzimy resztę operacji krok po kroku, a osoba przy tobie musi tylko powtarzać wszystko, co zrobimy. Jesteście już bardzo blisko końca. Wspaniale się spisujecie.

– Kobieta, która to robi, chce się wycofać. Mówi, że nie da rady skończyć. Operuje od kilku godzin.

– Musisz ją przekonać, żeby się nie poddawała.

– Próbuję. Nie słucha.

– Potrzebuję obrazu – powiedział cicho Itzak.

– Bingwenie, chcę, żebyś skierował urządzenie na ranę i chwilę je tak potrzymał – rzekła Kim.

– Dobrze.

Itzak poruszył dłońmi w holoprzestrzeni i na stole pojawiło się holo środkowej części ciała rannego. Kim nie mogła się przyzwyczaić do przeprowadzania operacji w ten sposób, bez dokładnego umycia rąk, bez mnóstwa sprzętu i ustawionych dookoła urządzeń monitorujących.

– Teraz widzimy twojego przyjaciela. Jak się nazywa kobieta, która ci pomaga?

– Mingzhu.

– Czy Mingzhu może zaczynać?

Usłyszała, jak chłopiec mówi coś po chińsku. Odpowiedziała mu jakaś kobieta. Kim słyszała w jej głosie napięcie.

– Mówi, że już nie da rady – powiedział chłopiec z nutą paniki.

– Musimy się brać do roboty – szepnął Itzak. – Widać tu lekki krwotok.

– Posłuchaj mnie, Bingwenie – rzekła Kim. – Trzeba to zrobić w tej chwili. Rozumiesz? Powiedz Mingzhu, że jeśli natychmiast nie podejmie działania, twój przyjaciel umrze.

Znowu usłyszała, jak Bingwen mówi po chińsku. Tym razem wypowiedział jednak słowo, które Kim rozpoznała, nie chińskie słowo, lecz imię. Zamarło jej serce.

– Bingwenie – powiedziała drżącym głosem. – Co jej powiedziałeś? Powtórz mi dokładnie swoje słowa.

– Powiedziałem, że jeśli nie pomoże, Mazer umrze.

Jakby zapadła się pod podłogę. To niemożliwe. A zarazem całkowicie możliwe.

– Bingwenie – powiedziała powoli. – Jak się nazywa twój przyjaciel? Jak ma na imię i nazwisko?

– Mazer. Mazer Rackham.

ROZDZIAŁ 19

POP

Wit stał przed biurkiem chińskiego porucznika na przełęczy Khunjerab i patrzył, jak żołnierz studiuje jego paszport. Porucznik był młody, zapewne świeżo po szkole oficerskiej, co nie wróżyło Witowi nic dobrego, ponieważ znaczyło, że dzieciak prawdopodobnie spróbuje być szczególnie twardy, by udowodnić przełożonym, że jest kompetentnym dowódcą przejścia granicznego. A jaki jest lepszy sposób na wykazanie się niż aresztowanie czterdziestu żołnierzy jednostki specjalnej udających cywilów i usiłujących przedostać się do Chin?

– Jesteś Amerykaninem – rzekł porucznik.

Nie było to pytanie, więc Wit nie odpowiedział.

Chłopak dobrze mówił po angielsku. Z lekkim obcym akcentem, ale tego należało się spodziewać. Był wyraźnie dobrze wykształcony, a doskonale przystrzyżone włosy i nieskazitelny mundur świadczyły o życiu w dyscyplinie. Wit domyślał się, że jest to zapewne syn

jakiegoś zamożnego oficera wysokiej rangi albo może siostrzeniec jakieś partyjnego oficjela. Chłopak z koneksjami. Ktoś się za nim wstawił i załatwił mu porządne dowództwo zaraz po ukończeniu szkoły. Nie żeby przełęcz Khunjerab to było jakieś Shangri-La. Bynajmniej. Przełęcz była naga, zimna, odosobniona i całkowicie nieinteresująca. Nie istniały tu żadne formy rozrywki, nic, co mogło dać żołnierzom zajęcie po godzinach pracy. Była tu tylko brama, przejeżdżające przez nią ciężarówki i góry. Jedyne urozmaicenie w monotonii stanowiły widziane od czasu do czasu koziorożce.

Lecz było to dowództwo. Może i gówniane, ale wielkie kariery muszą się gdzieś zaczynać.

– Dlaczego udajecie się do Chin? – zapytał porucznik.

– Chcemy studiować zachowanie Formidów – odparł zgodnie z prawdą Wit.

Tym terminem posługiwał się teraz cały świat. Formidzi. To było we wszystkich wiadomościach.

– Pańskie nazwisko nie figuruje w naszych bazach danych. Nie ma pan akt w całej Ameryce. Żadnych zestawień transakcji kredytowych. Żadnego adresu. Jest pan anomalią.

Wit nie miał adresu, ponieważ nie funkcjonował w Stanach Zjednoczonych. Jeśli miał urlop, co się prawie nigdy nie zdarzało, spędzał go gdzie indziej. A podczas rzadkich okazji, kiedy odwiedzał Amerykę, jechał do domu rodziców w północnej części stanu Nowy Jork. Nie miał żadnej nieruchomości. Po co by mu była?

Reszta jego danych osobistych została wykasowana, kiedy wstąpił do POP-u.

Westchnął w duchu. Chciał to załatwić grzecznie, ale porucznik nie zamierzał ich wpuścić. Wit teraz to zrozumiał. Widział to w twarzy chłopaka, który wyobrażał sobie, jak aresztuje czterdziestu doskonale wyszkolonych żołnierzy. Widział oczami duszy jakieś odznaczenie. Może nawet awans.

– Stany Zjednoczone na pewno byłyby zachwycone informacją, że naruszacie prywatność ich obywateli.

Porucznik podniósł wzrok znad paszportu. Miał mocno zaciśnięte usta.

– Ta informacja to wiedza publiczna, panie O'Toole. Może ją zdobyć każdy, kto ma dostęp do sieci. Prosi pan o pozwolenie wejścia na teren mojego państwa. Mam prawo wiedzieć o panu wszystko, co chcę. Wasze prawa dotyczące prywatności tu nie obowiązują. –

Zamknął paszport, położył go na biurku i zetknął dłonie czubkami palców. – Dlaczego chcecie studiować zachowanie Formidów?

– Ponieważ chcemy ich powstrzymać. Co prawdopodobnie będzie się wiązało z zabiciem ich lub wypędzeniem z powrotem w przestrzeń kosmiczną. Ale tak między nami, wolałbym ich zabić. Tak jest łatwiej. Nie trzeba się martwić, że wrócą z przyjaciółmi.

Porucznik zamrugał, zaskoczony szczerością Wita.

– Moi towarzysze i ja jesteśmy żołnierzami – ciągnął kapitan. – Jak zapewne już się pan domyślił. Tworzymy Policyjny Oddział Polowy. Ubraliśmy się jak cywile i przechodzimy przez pańską bramę z uprzejmości. Nie musimy tego robić. Są setki sposobów dostania się do Chin. Wolałbym to zrobić legalnie, tak jak się teraz staram. Jeśli jednak nas pan nie wpuści, wejdziemy inaczej. Bez trudu.

Porucznik uśmiechnął się, jakby bawiła go pewność siebie Wita.

– Myśli pan, że może się pan przemknąć obok mnie i moich ludzi, O'Toole?

– Z zamkniętymi oczami. A jeśli nie wpuści pan nas tutaj i zmusi do wejścia do kraju nielegalnie, przedstawi to pana w bardzo złym świetle, panie poruczniku. Ponieważ kiedy już przekroczymy granicę, poinformujemy chińską armię, w jaki sposób zrobiliśmy to tuż pod pańskim nosem. Powiemy, jak niedbale pełnicie swoje obowiązki. Powiemy, jak cała flota zagranicznych pojazdów przejechała niezauważona przez ziejące dziury w granicy, trąbiąc i puszczając fajerwerki. Będziemy w swej relacji bardzo dokładni i przekonujący. Obawiam się, że w ten sposób powstanie bardzo negatywny pański obraz.

Porucznik sprawiał wrażenie rozgniewanego, ale Wit wcale jeszcze nie skończył.

– I obaj wiemy, że szukanie winnych nie zakończy się tutaj. Za odpowiedzialnego zostanie uznany człowiek, który pomógł panu zdobyć to stanowisko. Zostanie napiętnowany za powierzenie tej placówki osobie niekompetentnej. Spadnie z wyżyn. Zaprzepaści to też wszelkie wasze szanse na jakikolwiek awans. Uzasadnienie będzie takie, że skoro nie potrafi pan utrzymać przejścia granicznego na pustkowiu, to w ogóle nie potrafi pan wiele zrobić.

Jednakże gdyby pozwolił nam pan przejść, miałby pan co opowiadać. Przeszli jako cywile, powie pan. Nie mieli broni. Ich paszporty się zgadzały. Nie miałem powodu, żeby ich nie wpuścić. W gruncie rzeczy wpuszczając ich, właściwie wykonywałem moje

obowiązki. A jeśli chińska armia zapyta mnie i moich ludzi, dlaczego udawaliśmy cywilów i przekroczyliśmy granicę tutaj, to powiemy, że nie mieliśmy innego wyboru. Powiemy, że granice są tu tak pilnie strzeżone przez tego porucznika, że musieliśmy porzucić broń i przejść przez bramę. Powiemy, jak poziom zabezpieczeń sprawił, że poczuliśmy się nieswojo, jak przejście zieloną granicą przez góry nie wchodziło w rachubę, ponieważ ludzie z tutejszego posterunku są zbyt dobrze wyszkoleni, zbyt sprytni i zbyt czujnie strzegą przełęczy. Na pewno by nas złapali. Przedstawi to pana w bardzo dobrym świetle, panie poruczniku. Może pan nawet dostanie jakiś błyszczący medal.

Porucznik przez chwilę milczał.

– Mógłbym was w tej chwili aresztować – powiedział w końcu. – Za to też dostałbym medal.

– Widzi pan? Teraz mówi pan głupio. Nie ma pan prawa nas aresztować. Nie popełniliśmy żadnego przestępstwa. Nawet nie znaleźliśmy się jeszcze na chińskiej ziemi. To biuro to teren neutralny.

– Mógłbym was aresztować, jak tylko was wpuszczę. Tuż za granicą.

Wit pokręcił głową, jakby mu było chłopaka żal.

– Licznik pańskiej głupoty bije. Proszę pomyśleć. Jeśli zaaresztuje nas pan zaraz po naszym przekroczeniu granicy, będzie oczywiste, że wpuścił nas pan tylko w tym celu. A my nie popełniliśmy żadnego przestępstwa. My reprezentujemy trzydzieści różnych państw. Czy naprawdę chce pan, żeby do pańskich przełożonych zadzwoniły ambasady trzydziestu różnych krajów z pytaniem, dlaczego Chiny zaaresztowały ich obywateli, którzy legalnie przekroczyli granicę?

– Jesteście żołnierzami. Sama wasza obecność w Chinach jest nielegalna.

– Nie rozumie pan czegoś. Wszystko, co pan proponuje, robi z pańskiej głowy cel. Kiedy to się stanie międzynarodowym incydentem, kogo według pana Chińczycy obarczą winą, żeby ułagodzić wszystkie zainteresowane strony? Nas? Ludzi, którzy mężnie przekroczyli chińską granicę, żeby ratować życie ich obywatelom? Nie. Obarczą winą pana. Pan oberwie. Zostanie pan zdegradowany, pozbawiony honoru i wszelkich związków z wojskiem. Będzie musiał pan przyjąć pracę fizyczną. Może jakieś ładowanie skrzyń. Albo obcinanie łbów rybom na jakimś śmierdzącym targu.

Nie pozna pan córki partyjnego bonzy i nie poślubi jej. Nie awansuje pan na ważne stanowisko. Zmarnieje pan w jednopokojowym mieszkaniu z bólem pleców i bez emerytury. Takie są fakty, panie poruczniku. Może pan nas wpuścić albo odesłać. Wybór należy do pana.

Pięć minut później Wit i jego ludzie wchodzili na teren Chin. Szli gęsiego na wschód poboczem drogi, którą ciągnęły na lotnisko ciężarówki. Wit wystawił kciuk – już wkrótce jedna z nich się zatrzymała i ich podwiozła.

* * *

Spali w samolocie, wciśnięci między skrzynie i pudła. Pilot przyjął ich propozycję bez wahania, ale obiecał zabrać ich tylko do Hotan. Stamtąd złapali samolot do Jiuquan, a potem do Zhengzhou. Jedli, kiedy byli głodni, i spali, kiedy się zmęczyli.

Wit cały czas śledził rozwój wojny. Chińczycy rozgłaszali wielkie sukcesy i zwycięstwa, lecz nie dostarczali żadnych dowodów, co pozwalało się domyślać, że wiadomości są fikcyjne, a przynajmniej wielce przesadzone. Armia rosyjska zaproponowała, że wejdzie do Chin i pomoże w wojnie, ale nie otrzymała zgody. Prawdopodobnie Chińczycy bali się, że po zakończeniu wojny Rosjanie się nie wycofają. Może pozbyliby się jednej wrogiej armii, lecz mieliby drugą na karku.

Sieci były zalane filmikami. Formidzi byli nieustępliwi, ich śmigacze szybkie i śmiertelnie groźne, a żołnierze spokojni i metodyczni. Palili okolicę, gdziekolwiek się udali, rozpylając defolianty jak rolnicy. Chińczycy starali się zdejmować filmiki i odmalowywać odmienny obraz, lecz nie udało im się powstrzymać swobodnego przepływu informacji.

Wit szukał nowych filmików Mazera Rackhama, ale nie udało mu się nic znaleźć, co go niepokoiło. Minęło już wiele dni. Nie mógł też znaleźć żadnych oficjalnych wiadomości ze strony Nowej Zelandii czy Chin, co znaczyło, że Mazer albo został dyskretnie wycofany z pierwszej linii, albo zaginął w akcji.

Trzeciego dnia pobytu w Chinach wylądowali w Changsha. To był ich ostatni lot. Samoloty odbywające loty komercyjne zostały uziemione, a żaden pilot nie chciał lecieć dalej na południe bez względu na to, ile pieniędzy mu proponowano.

Wit zadzwonił z lotniska w kilka miejsc. Potrzebował pojazdów terenowych, a czarny rynek w Changsha wydawał się doskonałym terenem do poszukiwań. Znajomi w prowincji Hunan skontaktowali go z kilkoma podejrzanymi osobami, z kolei one skontaktowały go z jeszcze bardziej podejrzanymi ludźmi, a ci skierowali Wita do parkingu z używanymi ciężarówkami w południowej, przemysłowej części miasta, zwanej Winjia. Wit wziął z sobą Calingę i Lobo, resztę swoich ludzi zostawił na lotnisku.

Staruszek, który przywitał ich na parkingu, miał może osiemdziesiąt lat, lekko zgarbione plecy, szeroki kapelusz chroniący od słońca, a na nogach dwie pary szyn, które pomagały mu chodzić. Przedstawił się jako Shoshang.

– Jestem kapitan O'Toole z Policyjnego Oddziału Polowego. To są dwaj spośród moich towarzyszy, Calinga i Lobo.

Shoshang się uśmiechnął.

– Żołnierze, co? Przybyliście walczyć z Formidami.

– Przybyliśmy pomóc tyle, ile się tylko da.

– Myślicie, że Chiny potrzebują pomocy? Myślicie, że Chiny nie są wystarczająco silne?

– Z tego, co widziałem, żaden kraj nie jest wystarczająco silny. Ani Stany Zjednoczone, ani żadne państwo w Europie, ani Rosja, ani nikt. Wszyscy musimy pomagać.

– Pomoc to moja specjalność – powiedział Shoshang. – Czego szukacie?

– Transporterów opancerzonych. Wozów terenowych. Do przewożenia czterdziestu ludzi i zaopatrzenia. I muszą być hermetyczne.

– Machiny wojenne? – Shoshang zmarszczył brwi i wzruszył ramionami. – Przykro mi, panie kapitanie, ale nie mam zezwolenia na sprzedaż takich pojazdów. Mam tylko to, co pan widzi na moim parkingu. Duże wielozadaniowe ciężarówki i buldożery dla komercyjnych przedsiębiorców. Może chciałby pan wypróbować któryś z nich?

Wit nie kupował numeru z niewinnym cywilem ani słabym staruszkiem. Przymknął wystarczająco wielu handlarzy narkotyków i przemytników broni, by wiedzieć, że najgorsi są zwykle ci, którzy wcale na to nie wyglądają.

– Może to przypomni panu o egzemplarzach, które mogły wypaść z głowy – powiedział i przytknął nakładkę na nadgarstek do nakładki

Shoshanga.

Staruszek zobaczył sumę na swoim nadgarstku i uśmiechnął się szeroko.

– Ach, tak. Po zastanowieniu widzę, że chyba mam to, czego pan szuka.

Zaprowadził ich do wysokiej, zardzewiałej metalowej ściany, która otaczała złomowisko na tyłach parkingu. Zwieńczona spiralnym drutem kolczastym wyglądała, jakby mogła się oprzeć niewielkiej armii. Shoshang machnął ręką przed holoskrzynką przy bramie. Gdzieś po drugiej stronie zakręciła się korba, szarpnął łańcuch i ciężkie metalowe drzwi się rozwarły.

– Dużo zabezpieczeń jak na stertę złomu – zauważył Wit.

Staruszek tylko się uśmiechnął.

Przeszli przez złomowisko, pokonując labirynt zgniecionych samochodów i od dawna popsutych urządzeń przemysłowych. Kiedy dotarli do magazynu znajdującego się pośrodku labiryntu, Shoshang się zatrzymał. Wit dostrzegł na dachu magazynu kilku uzbrojonych mężczyzn wśród stert żelastwa. Nie zrobili na nim wrażenia. Nie byli wyszkoleni. Wszyscy mieli złą postawę, stali w złych miejscach i trzymali broń jak amatorzy. Zaczynał myśleć, że traci czas.

Wtedy Shoshang kazał jednemu ze zbirów otworzyć magazyn i Wit zobaczył, że wyprawa jednak nie jest stratą czasu. W środku stało pięć opancerzonych nosorożców – dużych sześciokołowych pojazdów terenowych zbudowanych dla chińskiej armii. Były o wiele szybsze od lekkich czołgów, idealne do błyskawicznych ataków i manewrów. Shoshang pomalował je na ciemnozielono, by ukryć wojskowe oznaczenia, a spawacze dodali im zbrojone płyty i inne modyfikacje, żeby wyglądały jak oryginalne pojazdy, a nie skradziona własność rządowa.

– Jeśli przejadę nimi przez wojskowy punkt kontrolny, mogę zostać aresztowany – powiedział Wit. – Wojsko nie lubi złodziei.

Shoshang wyglądał na urażonego.

– Nie zostały skradzione, kapitanie O'Toole. Pochodzą z nadwyżek i zostały kupione legalnie na wolnym rynku. Wszystkie papiery mam w porządku.

– Sfałszowane papiery – poprawił go Wit. – Nie było nadwyżek nosorożców. Firma została wykupiona przez Juke Limited przed zakończeniem produkcji początkowej floty. A potem konsorcjum renegocjowało kontrakt z Chińczykami i zmieniło projekt.

– Widzę, że zna się pan na wojskowym handlu, kapitanie O'Toole.

– Znam się na wielu rzeczach.

Shoshang podrapał się po policzku, a potem westchnął.

– Dobrze. Ze względu na sprawę legalności mogę opuścić cenę. – Słowo „legalność" wymówił tak, jakby go denerwowało.

– A co z paliwem?

– Jestem dziś hojny. Dam panu wszystkie pięć pojazdów oraz wystarczającą liczbę akumulatorów i ogniw paliwowych na rok ciągłego używania.

– Za ile?

Shoshang wymienił sumę. Dziesięciokrotnie przewyższała wartość pojazdów, nawet na czarnym rynku.

– Weźmiemy je – powiedział Wit.

Shoshang był zaskoczony. Spodziewał się brutalnych negocjacji. Wit nie miał jednak na to ani czasu, ani ochoty. Rewidenci księgowi Strategosu i tak zapewne wywąchają Shoshanga i odbiorą te pieniądze. To nie był kłopot Wita.

– Potrzebujemy także zaopatrzenia. Powiedziano mi, że jest pan człowiekiem, który potrafi zdobyć wszystko.

– Mam wiele talentów, owszem. Co jeszcze panu potrzebne?

– Na początek kombinezony ochronne. Z wyświetlaczami wewnątrzhełmowymi, celownikami i mnóstwem tlenu.

– Rozumiem, że widział pan mgłę, którą rozpylają Formidzi.

– Wolelibyśmy jej nie wdychać. Potrzebujemy także broni. Ręcznej, przeciwlotniczej, małych granatników.

– Jakie granaty?

– Jakie da się zdobyć. EDWP, strzałkowe, termobaryczne. O niskiej prędkości początkowej, dwadzieścia na czterdzieści milimetrów.

EDWP, granaty eksplodujące detonowane w powietrzu, byłyby idealne. Łatwiej zaprogramować uzbrojenie, a detonacje w powietrzu powodują najwięcej ofiar śmiertelnych. Wit jednak nie żywił wielkich nadziei.

– Muszę zadzwonić w kilka miejsc – powiedział Shoshang. – To mi zajmie parę godzin. Nie co dzień jestem proszony o wyposażenie małej armii. Ale proszę się nie martwić, panie kapitanie, dostarczę wszystko, czego pan potrzebuje. – Shoshang zdjął kapelusz, osuszył czoło chustką. – Jednak zastanawiam się, dlaczego pana nie zaopatruje pańska agencja. Nie żeby to był mój interes.

– Ma pan rację, to nie pański interes – odparł Wit.

* * *

Cztery godziny później drugorzędnymi drogami jechał na południe konwój pięciu nosorożców z czterdziestoma żołnierzami POP-u. Wit i Calinga siedzieli w szoferce pierwszego pojazdu. Pasy prowadzące na północ były zatłoczone, wiodące na południe świeciły pustkami.

Calinga spojrzał na kombinezon ochronny, który miał na sobie, i na karabin leżący na fotelu obok.

– Mogę zapytać, skąd wziąłeś na to pieniądze?

– POP ma konta awaryjne w całej Europie. Opróżniłem kilka z nich – wyjaśnił Wit. – Jeśli pomożemy w prowadzeniu wojny, może wybaczą nam te wydatki. Jeśli zginiemy w walce albo jeśli Formidzi opanują Ziemię, nie będzie to miało większego znaczenia.

– Cóż za pewność siebie – zauważył Calinga.

– Walka nie będzie łatwa. Nie ma powodu tego ukrywać.

– To jaki jest plan? Powiedziałeś, że uderzymy w kluczowe cele i dokonamy sabotażu. Jakie są dokładnie te cele? Lądowniki? Mają osłony. Pociski im nie szkodzą. Siły powietrzne walą w nie ze wszystkiego, co mają, i nie zostawiają śladu.

– No to będziemy musieli znaleźć sposób, żeby dostać się do środka.

– Jak?

– Nie mam pojęcia. Jeśli dotrzemy do któregoś, przeprowadzimy rozpoznanie i zbadamy sytuację. – Wywołał na swoim holoprojektorze mapę południowo-wschodnich Chin. – Najpierw pojedziemy do drugiego lądownika. Tego pośrodku. W pobliżu lądownika znajdującego się najdalej na północ, pod Guilin, jest najwięcej ofiar, ale na nim też koncentruje się wojsko. W tej chwili wolałbym uniknąć bezpośredniego kontaktu z armią. Najpierw czegoś dokonajmy. Udowodnijmy Chińczykom naszą wartość. Wtedy poproszą nas, żebyśmy zostali.

– Może jedźmy do południowego lądownika, gdzie latacze zasiedlają ocean bakteriami? To jest poważna szkoda ekologiczna. Im szybciej ten proceder powstrzymamy, tym lepiej.

– Ten lądownik jest bardziej odosobniony – odparł Wit. – Znajduje się na większej wysokości i trudniej do niego dotrzeć. Lepiej

byłoby go zostawić lotnictwu. Poza tym ofiar tam są setki, a przy dwóch innych lądownikach dziesiątki tysięcy. Drugi lądownik ma też najlepszą pozycję strategiczną. Gdyby nagle zaszła konieczność, z łatwością możemy się przemieścić do któregoś z pozostałych.

Sto kilometrów przejechali bez żadnych problemów. Ruch w stronę północy gęstniał coraz bardziej. Wkrótce samochody osobowe i ciężarówki zaczęły zjeżdżać na przeciwne pasy i jechać pod prąd, żeby nie wlec się noga za nogą. Calinga ciągle trąbił i błyskał światłami, by uniknąć zderzenia czołowego. Większość aut skręcała, ale po niedługim czasie kierowców ogarnęła gorączka pośpiechu.

– Zjedź na bok – powiedział Wit.

Calinga zjechał z szosy; zanim pozostałe nosorożce w konwoju poszły za jego przykładem, kierowców jadących z przeciwka ogarnęło szaleństwo. Zderzyły się z sobą dwie ciężarówki i zablokowały drogę. Uderzył w nie jadący za nimi samochód, który usiłował się przepchnąć. Zrobił się karambol. Cztery auta. Pięć. Siedem. Rozległy się klaksony. Ludzie krzyczeli na siebie nawzajem. Korek rozlał się na pobocza, gdzie kolejne samochody grzęzły w błocie i blokowały przejazd. Kierowcy porzucali swoje pojazdy i uciekali.

Wtedy Wit zobaczył dlaczego. Po trawie rozdzielającej pasy ruchu szło sześciu Formidów z kanistrami i rozpylało mgłę. Wylewała się z dysz grubymi, gęstymi strumieniami i przetaczała się po ziemi, unosząc się nad nią do wysokości pasa.

Wit zwrócił się do konwoju przez radio.

– Włożyć hełmy. Jesteśmy w strefie skażonej. Nie ruszajcie się, dopóki nie potwierdzę, że te kombinezony działają.

Wsunął hełm na głowę, a on zespolił się z kombinezonem. Zadziałał zawór tlenu i hełm wypełniło chłodne powietrze. Wit zeskoczył z szoferki na asfalt i zamknął za sobą drzwi. Obok niego autostradą biegły w panice tłumy ludzi. Niektórzy potykali się, kaszleli, umierali od mgły. Wpadła mu w ramiona jakaś kobieta z wywróconymi oczami. Czuł się bezradny. Nie mógł jej pomóc. Położył ją delikatnie na ziemi z dala od pędzącego tłumu, żeby nie została stratowana. A potem odwrócił się i przepchnął się przez ludzi w stronę Formidów. Do biodra miał przymocowane elementy karabinu. Złożył go po drodze, wyciągnął lufę i załadował magazynek.

– Calinga, włącz radio. Sprawdź, czy jest w okolicy jakieś pogotowie ratunkowe. Potrzebujemy tu natychmiast lekarzy.

– Robi się – powiedział Calinga.

Wit przepychał się przez chaos. Ludzie krzyczeli, w szalonej panice przewracali innych. Niektórzy podnosili się z ziemi. Innych kopano i tratowano. Wit pomógł wstać jakiejś kobiecie, ale sam przy tym omal nie został przewrócony.

Szedł dalej. Układ celowania na wyświetlaczu informował, że Formidzi znajdują się w odległości osiemdziesięciu dwóch metrów i się zbliżają. Szli w jego stronę ramię w ramię, nonszalancko rozpylając mgłę, jakby stosowali odchwaszczacz. Wit po raz pierwszy zobaczył Formidę na własne oczy i podziałało to na niego jak strużka zimnej wody spływająca po kręgosłupie.

Uniósł karabin, ale na linię ognia wciąż wbiegali mu cywile. Niedobrze. Wspiął się na maskę jednej z rozbitych ciężarówek. Teraz z wysokości mógł strzelać. Przyłożył kolbę do ramienia, a w głowie zawirowały mu myśli. Nie polubił posługiwać się bronią, z której wcześniej nie strzelał. Może Shoshang zdobył te karabiny, bo były bublami, chińskimi odrzutami z produkcji. Może przyrządy celownicze są rozkalibrowane. Może lufa jest zgięta. Może wszystko wybuchnie mu w dłoniach.

Ustawił zbliżenie, wymierzył w głowę Formidy wysuniętego najdalej na prawo i pociągnął za spust.

Karabin wypalił i szarpnął. Tył głowy Formidy rozprysnął się w czerwoną mgłę. Stwór zniknął z pola widzenia.

Koniec próby terenowej. Karabin ją przeszedł. Czas wziąć się do roboty. Wit strzelił szybko pięć razy, mierząc w kolejne głowy wzdłuż szeregu od prawej do lewej, bam-bam-bam-bam-bam.

Pięciu Formidów padło bezwładnie, wypuszczając dysze z rąk. Po chwili mgła przestała się wydobywać ze zbiorników.

Wita otaczały jej kłęby. Wydał mrugnięciem polecenie sprawdzenia, czy kombinezon nie ma przecieków. Czujniki oznajmiły dźwiękiem i obrazem, że wszystko jest w porządku; kombinezon najwyraźniej był szczelny. Shoshang ich nie oszukał. Miał dobry towar. Cud nad cuda.

Wit zeskoczył z ciężarówki i pobiegł przez mgłę w stronę zastrzelonych Formidów. Stanął nad nimi z uniesioną bronią, gotowy naszpikować ich kulami, gdyby choć drgnęli. Żaden się nie poruszył.

W hełmie Wita rozległ się głos Calingi.

– Personel ratunkowy nie przybędzie. Jesteśmy za daleko od obszaru miejskiego. Mówią, że i tak nie mają leku na mgłę

i brakuje im ludzi. Mają tyle takich wezwań jak nasze, że nie wiedzą, co robić.

– Przesuńcie ludzi kilkaset metrów pod wiatr – polecił Wit. – Zabierzcie ich z dala od mgły, dopóki nie oczyści się powietrze.

Przykucnął i przyglądał się Formidom, a Calinga przekazał jego rozkaz ludziom. Formidzi nie mieli żadnych ubrań. Nie mieli też żadnego wyposażenia poza rozpylaczami mgły. Żadnych nadajników radiowych, odbiorników, żadnego sprzętu łącznościowego. Wit odwrócił jednego nogą – nie miał ochoty dotykać tych stworów nawet butem; nie podobał mu się ciężar i konsystencja ciała, ale nie mógł sobie pozwolić na kaprysy.

Zauważył drobne różnice w ich owadzich twarzach. Subtelne szczegóły. Szersze usta u tego, większe oczy u tamtego. Ciemniejsze futro. Na pierwszy rzut oka wszyscy wyglądali dokładnie tak samo, ale teraz Wit widział, że różnią się między sobą jak ludzie.

Nie wiedział, czy to samce, czy samice. Nie mieli żadnych widocznych organów płciowych. Może byli bezpłciowi albo obojnaczy, jak pasożyty.

Zrobił za pomocą wyświetlacza wewnątrzhełmowego kilka zdjęć, najpierw całej grupy, potem rany postrzałowej głowy. Mrugnięciem wydał polecenie uruchomienia dyktafonu. Przez pięć minut mówił do mikrofonu, opisując broń, której użył, i miejsce trafienia każdego z Formidów. Owszem, były to strzały w głowę, ale Wit dokładnie określił miejsce wlotu każdej kuli. Posługiwał się terminologią medyczną dotyczącą ludzkiej głowy, jak lekarz opisujący na izbie przyjęć ofiarę strzelaniny. Potem przedstawił swoje wnioski. Formidów można zabić. Ich lądowniki mają osłony, ale piechota nie. Strzały w głowę ładnie załatwiają sprawę. W przyszłości wypróbuje inne sposoby.

Przesłał tekst, zdjęcia i geotagi do sieci. Stworzył własną stronę z minimalistyczną grafiką, URL-em StopFormidom.net i podpisał ją „Policyjny Oddział Polowy”. Polecił stronie przetłumaczyć ten oraz wszystkie przyszłe wpisy na chiński i umieścić chiński tekst jako pierwszy, a dopiero dalej angielski oryginał. W końcu za pomocą odpowiedniego oprogramowania wysłał tę samą informację do setek platform społecznościowych i medialnych na całym świecie, łącznie z wszystkimi forami i stronami używanymi przez chińskich wojskowych.

Wojsko na pewno już wiedziało, że strzał w głowę jest śmiertelny, ale Wit nie zamierzał niczego zakładać. Jeśli miał informację, chciał się nią podzielić bez względu na to, jak oczywista mogła się wydawać.

Wrócił do nosorożców. Jego żołnierze przesunęli tłum pod wiatr. Panika opadła. Teraz ludzie pogrążyli się w żałobie. Zginęły pięćdziesiąt cztery osoby, w większości od mgły, kilka zostało stratowanych na śmierć.

– I co teraz? – zapytał Calinga. – Ci ludzie proszą o podwiezienie na północ do najbliższego miasta. Niektóre samochody nie nadają się już do jazdy. To oczywiste, że nie możemy podwieźć wszystkich. Kiedy zaczniemy to robić, będą nas zatrzymywać wszyscy kierowcy, których minęliśmy po drodze, i prosić, żebyśmy to samo zrobili dla nich. A my i tak nie zmieścimy tych ludzi, chyba że posadzimy ich na dachach i obrócimy po pięć razy.

– Powiedz tłumowi to, co powiedziałeś mnie – rzekł Wit. – Wyjaśnij, że jedziemy na południe, a nie na północ. Jedziemy do Formidów, a nie od nich. Powiedz, że uciekną o wiele szybciej, jeżeli będą sobie pomagać. Użyjemy nosorożców do oczyszczenia autostrady z rozbitych pojazdów. Ci, którzy mają działający samochód, powinni zrobić miejsce dla tych, którzy nie mają czym jechać.

– A co z ciałami?

– Wykopiemy duży grób. Ocalali mogą nam pomóc, ale my powinniśmy kierować pracą. Wszystko nagramy, zmontujemy i umieścimy na naszej stronie.

– To my mamy jakąś stronę?

– Wyjaśnię, jak będziemy kopać.

Wzięli się do pracy. Wkrótce powietrze oczyściło się na tyle, że mogli zdjąć hełmy. Teraz łatwiej im się kopało i oddychało. Dołączyło do nich wielu cywilów. Niektórzy mieli w samochodach narzędzia i łopaty. Wit rozstawił swoich ludzi na czatach na okręgu o dużym promieniu. Tuż po wykopaniu grobu otrzymał przez radio ostrzeżenie:

– Zbliżają się!

Kiedy nad drzewami nadleciały śmigacze, właśnie wyszedł z dołu i miał na głowie hełm. Były trzy: małe, jednoosobowe, szybkie. Pierwszy strzelił ogniem z lasera. Wybuch z lewej strony Wita powalił go na ziemię. Wokół spadały grudki ziemi i kamienie. Dzwoniło mu w uszach.

Strzelały już wszystkie trzy śmigacze. Jeden trafił w grupę cywilów; wybuch wyrzucił w powietrze kilka ciał. Ludzie rozbiegli się z krzykiem.

Dwie sekundy później Wit już stał z załadowanym granatem. Prowadzący śmigacz zawrócił, by przelecieć nad nimi drugi raz. Wit wymierzył i wystrzelił EDWP w punkt w powietrzu tuż przed statkiem.

Trafienie nie było bezpośrednie, ale wystarczająco bliskie. EDWP wybuchł odłamkami, które wbiły się w dwa lecące blisko siebie śmigacze. Statki szarpnęły się gwałtownie w jedną stronę, piloci stracili nad nimi panowanie i obie maszyny rozbiły się na ziemi. Nie było szansy, by ktoś to przeżył.

Wit poszukał na niebie trzeciego śmigacza. Zobaczył, że za nim, w pobliżu miejsca, gdzie leżało sześciu martwych Formidów, wylądował transporter. Otworzyły się drzwi i wylała się z niego fala obcych. Kilku miało w rękach dysze i natychmiast zaczęło energicznie rozpylać mgłę. W ich stronę rzuciła się grupa żołnierzy POP-u, otwierając ogień. Inni Formidzi zaczęli wnosić ciała zabitych towarzyszy i ich sprzęt do transportowca.

Wit popatrzył za siebie na niebo, zobaczył, że trzeci śmigacz oddala się w stronę horyzontu i jest daleko poza zasięgiem broni, więc pobiegł do transportowca. Nowi Formidzi z rozpylaczami mgły padali od strzałów żołnierzy. Łatwo ich było zabijać na otwartym terenie, wcale się nie kryli. Przez chwilę wyglądało, że potyczka szybko się skończy. A potem transportowiec uniósł się w powietrze, obrócił i zaczął strzelać do ludzi Wita, którzy chronili się za samochodami i ciężarówkami.

Ciągły ogień dział laserowych przecinał auta i asfalt, zostawiając głębokie bruzdy. Z dział umieszczonych po bokach transportera wystrzeliwały kulki plazmy i przechodziły przez wszystko, w co trafiły, zostawiając ziejące dziury w silnikach, ludziach, barierkach przy szosie. Rozpadały się szyby, wszędzie fruwały rozmaite odłamki.

Żołnierze POP-u ginęli.

Drzwi transportowca wciąż stały otworem. Wit wstrzelił do środka granat w chwili, kiedy to samo zrobiło dwóch jego ludzi. Jeden wyleciał drugimi drzwiami, ale dwa odbiły się w bok i zostały wewnątrz statku. Ogłuszającym wybuchom towarzyszyły ogień i dym, które wydobywały się przez drzwi. Transportowiec przechylił się,

chwiał przez chwilę, a potem spadł na ziemię. Uderzył w nią i się przewrócił, ze środka wysypywali się martwi Formidzi.

Natychmiast zaatakowali transportowiec żołnierze POP-u, zalewając ogniem wnętrze kokpitu, żeby doprowadzić sprawę do końca. Wit podbiegł do miejsca, w którym padło kilku jego ludzi. Mgła kłębiła się jak dym, zasłaniając mu widok. Na posiekanym asfalcie leżały szczątki czterech mężczyzn. Wit musiał się uciec do zeskanowania ciał, żeby ich zidentyfikować. Toejack, Mangul, Chi-Won i Averbach. Każdego z nich wybrał osobiście. Zapoznał się z ich przeszłością i pochodzeniem, poddawał ich testom, szkolił, ukształtował ich w żołnierzy. Dwóch z nich znał od wielu lat.

Nie pozwolił sobie na żałobę. Nie miał na nią czasu. Zaczął szybko mówić do mikrofonu.

– Calinga, musimy zabrać stąd tych ludzi. Formidzi zbierają swoich zabitych. W każdej chwili może się ich tu pojawić więcej. Szosa ma być oczyszczona, ciała pochowane, a ludzie niech natychmiast ruszają w drogę.

Wszyscy rzucili się wykonać rozkazy. Cywile byli zdezorientowani, przerażeni, spanikowani. Podczas tego ataku zginęło ich jeszcze siedmiu. Inni uciekli do lasu i już nie wrócili. Calinga znalazł tych, z którymi można się było porozumieć, kazał im zebrać i uspokoić pozostałych. Żołnierze POP-u uruchomili nosorożce i zepchnęli z drogi blokujące ją pojazdy. Inni ułożyli zwłoki w grobie i zasypali go ziemią. Znaleźli się w nim też świeżo zabici, niektórzy rozczłonkowani. Pochówek był pośpieszny i całkiem nieodpowiedni dla poległych żołnierzy, ale lepsze to niż zostawienie ich na ziemi.

Calinga i jego zespół zebrali ocalałych cywilów i umieścili tych pozbawionych aut w pojazdach osób, które je zachowały. Kiedy wszyscy byli gotowi do drogi, żołnierze zajęli się rozładowaniem korka i skierowali ich na północ.

Wit i jego zespół nie opłakiwali tych, których stracili. Nie było na to czasu. Odjechali nosorożcami dalej od drogi, ukryli je wśród najbliższych drzew i wrócili piechotą do zestrzelonego transportowca.

Ich jaskrawożółte kombinezony ochronne miały służyć zapewne do badań terenowych i w żadnym razie nie nadawały się do walki. Były jednak dobrze dopasowane, chociaż nie krępowały ruchów – co czyniło je idealnymi do obecnego zadania, jeśli nie brać pod uwagę kamuflażu, ale temu zaradzić było łatwo. Żołnierze POP-u potrafili

się ukryć. W ciągu kilku chwil stali się niewidzialni nawet dla Wita. Wtopili się w teren.

Minęło dziesięć minut. Potem dwadzieścia. Transportowców nie było słychać, więc Wit obserwował niebo. W końcu je zobaczył. Dwa, leciały szybko i nisko. Początkowo sądził, że się nie zatrzymają, bo nie wykazywały żadnych oznak zwalniania, ale błyskawicznie opuściły się na ziemię po obu stronach zestrzelonej maszyny.

Otworzyły się drzwi i wyszli Formidzi. Zaczęli podnosić swych zabitych.

Wit wydał rozkaz i rozpętało się piekło. Wydał jasne instrukcje. Nie pozwólcie transportowcom wystartować. W powietrzu mają wielką siłę rażenia. Najpierw zabijcie pilota. Uszkodźcie statek. Potem zmiećcie pozostałych.

Ludzie działali szybko i skutecznie. Transportowce pozostały na ziemi. Formidzi padali. Wszystko się skończyło w niecałe dziesięć sekund.

Kiedy dym się przerzedził, Wit wszedł do transportowca. Pod nogami miał martwych Formidów, ich krew na podłodze statku była gęsta jak syrop. Wszystko nagrał. Przyrządy pilotażowe, przełączniki i dźwignie. Nie miał pojęcia, do czego służą, ale nie eksperymentował. Także od zewnątrz zarejestrował każdy centymetr kadłuba.

Wolałby przekazać statki ludziom, żeby je zbadali, ale to było niemożliwe. Kiedy więc sfilmowane zostało wszystko, co się dało, wystrzelili dwa granaty zapalające i spalili transportowce.

Ruszyli na południe, trzymając się drugorzędnych dróg i unikając ludzi. Po drodze Wit uaktualnił stronę. Wyjaśnił nową strategię „zabić, zanęcić, zrobić zasadzkę": trzeba zabić kilku obcych piechociarzy, potem zaczekać w ukryciu na transportowiec i zaatakować oddział, który przybędzie po ciała. Podkreślił znaczenie wyeliminowania najpierw pilota i unikania ognia transportowca. Umieścił na stronie wideo, zdjęcia i wskazówki co do ataku – transportowiec najlepiej atakować od tyłu i nieco z lewej lub z prawej, co daje dobrą pozycję do ostrzelania kokpitu i siedzącego w nim pilota. Atak od przodu to samobójstwo.

Wit sprawdził też forum strony. Miał już pięć różnych próśb o wywiad. Wszyscy chcieli tego samego: twarzy kryjących się za żołnierzami POP-u, historii z życia wziętej, soczystych szczegółów, które podniosą oglądalność.

Wysłał wszystkim taką samą odpowiedź. „To, kim jesteśmy, nie ma znaczenia. Pomóżcie nam, nadając to, czego się dowiedzieliśmy. Pokażcie wideo. Rozpowszechnijcie taktykę. Zaproście innych, którzy biorą udział w walce, by też podzielili się swoją taktyką. Skupcie się na ratowaniu życia, zamiast proponować bezwartościową rozrywkę".

Niektórzy uhonorują jego prośbę. Większość tego nie zrobi. Nic nie zyskają, odtwarzając te same filmiki co inni. Chcą wyłączności. Chcą deklaracji POP-u, biografii jego żołnierzy, zdjęć najbliższych im osób.

Ustawił filtr forum, by wyłapywał wszelkie przyszłe prośby od mediów i odpowiadał na nie tym samym tekstem.

Wkrótce pojawiły się inne posty. Anonimowe informacje od chińskich żołnierzy. Niektórzy wyrażali wdzięczność, inni dzielili się zdobytymi informacjami.

Formidzi chyba nie używają radia. Nie możemy go wykryć. Chyba też nie rozpoznają naszego radia. A jeśli rozpoznają, to nie zwracają na nie uwagi.

Słuch Formidów jest dziwny. Inny niż ludzki. Wydaje się, że jest oparty na innych częstotliwościach, jak u nietoperzy.

Mgła jest zabójcza przy każdym kontakcie. Wcale nie trzeba jej wdychać. Straciliśmy ludzi w maskach gazowych, mieli jednak odsłonięte nadgarstki albo szyje. Wystarczyło.

Wit umieścił te uwagi na głównej stronie, żeby były łatwiejsze do znalezienia.

A potem przeczytał ostatni wpis na forum. To był spam, reklama ubezpieczenia na życie. Pełno w niej było literówek i błędów interpunkcyjnych. Była bardzo podobna do spamu zatykającego sieć. Tylko że… różniła się od niego. Bardzo subtelnie. Odszyfrowanie kodu zajęło Witowi kilka minut. Wpisał kod do przeglądarki i czekał. Ekran zrobił się biały, a potem pojawiło się polecenie: Przeczytaj wiersz na głos. Na ekranie zmaterializował się sonet Szekspira.

Wit domyślił się, że chodzi o identyfikację głosu.

Zaczął głośno czytać tekst. Zaraz wiersz zniknął i zaczął się filmik. Przed kamerą stał pułkownik Turley z amerykańskiego oddziału

Delta, obecny członek Strategosu. To była nagrana wcześniej wiadomość.

– Ponieważ odciął pan wszelką łączność z nami, panie kapitanie, nie pozostaje nam nic innego, jak dotrzeć do pana w inny, mniej bezpieczny sposób. Powinien pan wiedzieć, że większość Strategosu domaga się postawienia pana przed sądem wojennym. Niektórzy żądają pańskiej głowy. Wykorzystał pan nielegalnie fundusze POP-u. Zmusił nas pan do wykonania ruchu. Jeśli przyznamy się przed Chińczykami, że zaaprobowaliśmy pańskie wejście do Chin, oberwiemy od Rady Bezpieczeństwa za wydanie rozkazu do przeprowadzenia nielegalnej akcji wojskowej. Jeśli zaprzeczymy, że zaaprobowaliśmy pańskie wejście do Chin, wyjdziemy na nieudolnych i niezdolnych do kontrolowania zbuntowanych agentów. Rozkazujemy panu ujawnić się i pozwolić się ekstradować Chińczykom. Ma pan serce na właściwym miejscu, panie kapitanie, lecz pańskie zachowanie nie jest zgodne z polityką i procedurami Policyjnego Oddziału Polowego. Proszę wykonać polecenie.

Wideo zniknęło. Wit zauważył, że Turley ten tekst czytał, a w przerwach wodził oczami z prawa na lewo. On też nie miał do tego serca. Może większość Strategosu domagała się sądu wojennego dla Wita, ale Turley prawie na pewno do niej nie należał. On akurat był jastrzębiem.

Wita najbardziej zaskoczyło to, że Strategos nie wpadł na rozwiązanie. Otworzył pocztę na stronie i wysłał zaszyfrowaną wiadomość bezpośrednio to Turleya.

Panie pułkowniku, z całym szacunkiem, ale sumienie mi nie pozwala zaprzestać działań. Obecnie jesteśmy w stanie pomagać setkom cywilów i rozwijać manewry taktyczne, dzięki którym zadajemy wrogowi poważne szkody. Na naszej stronie może pan obejrzeć skutki naszych wysiłków. Wyjazd z Chin oznaczałby opuszczenie dziesiątków tysięcy cywilów, których zamierzamy chronić w przyszłości. Ze względu na nich muszę odmówić wykonania pańskiego bezpośredniego rozkazu i ponieść wszelkie tego osobiste konsekwencje.

Czy tymczasem mogę zaproponować rozwiązanie pańskiego dylematu? Proszę okłamać świat. Proszę okłamać Radę Bezpieczeństwa. Proszę im powiedzieć, że Chiny poprosiły o naszą pomoc. Proszę pochwalić Chińczyków za podjęcie takiej szybkiej

akcji w obronie swoich obywateli. Proszę oddać im szacunek. Zasypać ich komplementami. Jako dowody proszę wykorzystać nasze wideo. Proszę wszystkie zasługi przypisać chińskim wyższym oficerom. Nie będą mieli wyboru, muszą to przyjąć. Odmowa oznaczałaby odwrócenie się plecami do własnego narodu i potępienie dzisiejszych wydarzeń.

Nie podpisał wiadomości. Nie chciał posługiwać się swoim nazwiskiem przy żadnych kontaktach.

* * *

Tej nocy znaleźli na północ od Chenzhou opuszczony hotel. Hol splądrowali szabrownicy. Wit wziął klucze zza kontuaru i rozdzielił je pomiędzy ludzi.

To był przyjemny hotel. Miał gorącą wodę i miękkie łóżka. Powietrze było dobre. Calinga wziął paru ludzi i wrócił z puszkami farby w sprayu. Zielenie, brązy, czerń i szarości. Wit nie pytał, skąd je wzięli. Wszyscy spotkali się na dziedzińcu i zmienili kolor swoich kombinezonów na bardziej ochronny. Potem wrócili do pokojów i powiesili kombinezony, żeby wyschły.

Wit sprawdził informacje. Strategos wydał publiczne oświadczenie, w którym chwalił Chińczyków za poproszenie żołnierzy POP o pomoc. Prasa została skierowana do filmu z zasadzki na transportowiec i uratowania chińskich cywilów. Nie była to dokładnie realizacja planów Wita, ale bardzo ją przypominała. Chińczycy nie tracili czasu. Odpowiedzieli pochwałą działań POP-u i obiecali, że rząd nadal będzie wykorzystywał wszystkie możliwości chronienia swojego narodu. Taka odpowiedź nie potwierdzała oświadczenie Strategosa, co jednak ważniejsze, nie zaprzeczała mu.

Wit wyłączył holoprojektor i leżał na łóżku, patrząc w sufit. Tego dnia, pierwszego dnia wojny, stracił czterech ludzi, jedną dziesiątą swojej armii. Nie mógł sobie pozwolić na straty. W takim tempie jego cały oddział zostałby wybity w niewiele ponad tydzień. Nie, zapewne szybciej. Bliżej lądownika walki staną się bardziej zaciekłe. Na dodatek Formidzi zorientują się w metodach walki stosowanych przez Wita i jego ludzi. Nieprzyjaciel się przystosuje, ponownie oceni sytuację, zmieni sposób działania. Zaatakuje w sposób, jakiego się nie spodziewają.

Wit odsunął na bok wszystkie myśli o Formidach.

Odetchnął głęboko. Rozluźnił mięśnie.

Pozwolił sobie na pomyślenie o tych, których stracił. Zaczerpnął ze wspomnień. Przypomniał sobie wszystkie wspólnie przeżyte zabawne chwile. Wpadki i głupie błędy. Psikusy i przejęzyczenia. Rzucone i podjęte wyzwania. Wszystkie chwile, które tylko dla niego i dla nich były choćby odrobinę zabawne.

Takie wspomnienia mogłyby sprawić, że znowu się roześmieje, że żałoba stanie się trochę pogodniejsza.

Nie śmiał się jednak.

A kiedy w końcu ogarnął go sen i przyśnili mu się Formidzi, śmiali się tylko oni.

ROZDZIAŁ 20

PO OPERACJI

Mazer powoli otworzył oczy, ale zaraz je zmrużył w świetle. Zobaczył kolory, początkowo ciemne, zamazane i zlewające się jak w zupie – brązy i czernie z plamkami bieli. A potem barwy powoli przybrały kształt, zestaliły się, wyostrzyły. Uświadomił sobie, że to belki, szkielet dachu widziany od dołu. Leżał na plecach i patrzył na sufit. Przez dziury w dachu wpadały cienkie włócznie słonecznego blasku. Słyszał jakieś głosy. Ściszone, z prawej strony. Odwrócił głowę. Dziesięć metrów od niego siedzieli na podłodze Bingwen i dziadek, jedli palcami ryż, mając za miseczki szerokie liście. Mazer uświadomił sobie, że zna ten budynek. Już tu kiedyś był. Dwa razy. To ta chata.

Otworzył usta, po chwili zdołał wydobyć z siebie głos – chrapliwy, cichy i słaby.

– Jak się tu znalazłem?

Staruszek i chłopiec odwrócili się zaskoczeni.

– Proszę, kto to wrócił do krainy żywych – odezwał się dziadek po chińsku.

Podeszli i uklękli przy nim. Staruszek podniósł do ust Mazera kubek.

– Napij się. Powoli.

Woda miała temperaturę pokojową i metaliczny posmak.

– Spałeś cztery dni – powiedział staruszek i odstawił kubek na bok. – Pięć, jeśli policzyć dzień spędzony przy wraku. Masz szczęście, że żyjesz.

Wrak, pomyślał Mazer. Tak, rozbili się.

– Mój oddział? – zapytał po chińsku.

Staruszek posmutniał.

– Twoi przyjaciele nie przeżyli wypadku. Przykro mi. Ty też byś umarł, gdyby nie Bingwen. – Położył rękę na ramieniu chłopca. – To on cię tu przywiózł. Wyrwał cię śmierci.

Mazer leżał pod kocem. Brzuch miał owinięty grubymi bandażami z pasów materiału rozmaitych kolorów. Był bez koszuli.

– Zrobili ci operację – powiedział staruszek. – Akuszerka i Bingwen.

– Głównie akuszerka – odezwał się chłopiec. – Ja tylko otwierałem i przytrzymywałem różne rzeczy i tłumaczyłem. To ona cięła i szyła.

Mazer ostrożnie dotknął bandaża. Dopiero teraz zdał sobie sprawę, że brzuch ma napięty i bolesny.

– Miałeś uszkodzone wnętrzności – ciągnął dziadek. – Ta maszyna powiedziała, że musimy je naprawić, bo inaczej umrzesz.

– Jaka maszyna?

Bingwen podniósł med-asysa.

– Baterie wyczerpały się trzy dni temu.

– Podyktowała wam, jak przeprowadzić operację?

– Po angielsku – dodał dziadek. – Na szczęście Bingwen dobrze mówi po angielsku.

– Na szczęście. Jak poszła operacja?

Staruszek wzruszył ramionami.

– Długo trwała. Mingzhu nie chciała jej przeprowadzić. Płakała, mówiła, że to strata czasu. Bingwen, ja i twoja przyjaciółka zmusiliśmy ją, żeby skończyła.

– Moja przyjaciółka?

– Ta lekarka – powiedział Bingwen. – Amerykanka. Kim. Pomogła nam.

Mazer był zdezorientowany.

– Jej głos. Pomógł wam jej głos. – Ale skąd znali imię Kim?

– Owszem, urządzenie mówiło jej głosem. Ale ona była też na linii – wyjaśnił chłopiec. – Urządzenie do niej zadzwoniło. Bardzo się o ciebie martwiła.

– Rozmawiałeś z nią?!

– Przeprowadziła nas przez operację. Uratowała cię. I pomagała nam potem nad tobą czuwać, póki nie padły baterie. Próbowała nas ewakuować, sprowadzić do nas jakiś statek, ale się nie udało. Powiedziano jej, że są setki takich próśb i że nie latają żadne medyczne zespoły ewakuacyjne. Była gotowa przylecieć sama, tylko nie chciał jej tu przywieźć żaden prywatny pilot.

Mazer nie mógł uwierzyć. Kim. Czy to możliwe? Rozmawiali z Kim. Uratowała go. Chciał do niej zadzwonić, podziękować, usłyszeć jej głos, nie bezosobowy głos urządzenia, ale głos, który mówi do niego, głos, w który są wplecione uczucia i obietnice.

– Jak się potem czułem?

Staruszek się skrzywił.

– Bardzo cię bolało. Majaczyłeś. Dużo krzyczałeś. Miałeś gorączkę. Kim kazała dać ci antybiotyki i nie pozwolić, żebyś się obudził. Przy dwóch różnych okazjach myślałem, że już nie żyjesz, bo tak płytko oddychałeś. Nie mieliśmy potrzebnych lekarstw. Dawałem ci wodę i środki odżywcze. Maszyna powiedziała, że masz trzydzieści procent szansy na przeżycie. Ja myślałem, że o wiele mniej.

– Udowodniłem ci, że się myliłeś.

– Jesteś wojownikiem. Nawet we śnie.

– Walka nie ma z tym nic wspólnego. To sprawiły leki, wasze wysiłki i duża doza szczęścia. – Wyciągnął rękę i położył ją dziadkowi na ramieniu. – Jak masz na imię, przyjacielu?

– Danwen.

– Dziękuję, Danwenie. – Drugą ręką ujął dłoń Bingwena. – Dziękuję wam obu.

Cofnął ręce. Wymagało to od niego olbrzymiego wysiłku, jakby były cztery razy cięższe niż normalnie. Popatrzył na lewo i na prawo.

– Gdzie jest Mingzhu? Jej też chciałbym podziękować.

Danwen i Bingwen wymienili spojrzenia. Chłopiec zmarszczył brwi.

– Odeszli trzy dni temu – rzekł Danwen. – W nocy. Bingwen przyniósł z wraku karabin i amunicję. Mieliśmy też żywność, puszki i inne rzeczy, które razem z Bingwenem zebraliśmy i zakopaliśmy, i po które wróciliśmy do wsi. Mingzhu i inni wszystko zabrali. Nawet bawoły. Nie zostawili nam nic.

Mazer spojrzał na kubek.

– Macie wodę.

– Deszczówkę. Łapiemy ją z dachu i gotujemy. Nie odważamy się pić ze strumieni. Nie z tą mgłą.

– Mądrze. Że gotujecie, co złapiecie, i że unikacie wszystkiego innego.

– Nie jest smaczna – zauważył chłopiec.

– Ale to lepsze niż śmierć z pragnienia – powiedział Mazer. Odwrócił się do staruszka. – Dokąd poszli pozostali?

Danwen wzruszył ramionami.

– Na północ. Tam gdzie wszyscy inni. Wszyscy, którzy ocaleli, idą w tamtą stronę.

– Wy z nimi nie poszliście.

– Nie zamierzaliśmy cię zostawić – rzekł Bingwen.

– Jeszcze raz dziękuję. – Po chwili Mazer zmarszczył czoło i zwrócił się do Danwena. – Jak mnie tu przenieśliście? Moja maszyna musiała się rozbić kilka kilometrów stąd.

Danwen jakby tylko czekał na sposobność – chętnie opowiedział Mazerowi wszystko, dorzucając szczegóły dla udramatyzowania relacji. Bingwen początkowo patrzył w podłogę, a potem przeprosił i odszedł, żeby zająć się jakąś pracą. Kiedy staruszek skończył, Mazer przywołał chłopca i wyciągnął do niego rękę.

– Trzykroć jestem ci winien życie. Nie wiem, jak ci dziękować. Byłeś bardzo odważny.

Bingwen ujął Mazera za rękę i ją uścisnął.

– Odwdzięczam się – powiedział, obracając usztywniaczem w powietrzu.

– Jak twoja ręka?

– Dobrze. Już nie boli, jeśli jej nie używam.

W tym momencie Mazerowi zaciążyły powieki, osłabły mięśnie, świat znowu zwalniał.

– Daj mu spokój – powiedział Danwen do Bingwena. – Potrzebuje odpoczynku.

Mazer chciał oponować. Odpoczywał cztery dni. Powinien się ruszyć, wstać. Leżąc tak, był bezużyteczny. Stanowił zagrożenie dla Bingwena i Danwena. Powinni odejść. Nie mogli już nic dla niego zrobić.

Poczuł, że jego oddech zwalnia do rytmu snu. Walczył z tym, ale ciemność przyzywała i w końcu otuliła go milczącą czernią.

* * *

Obudził go grzmot przetaczający się z hukiem przez dolinę. Wciąż leżał na plecach na podłodze chaty. Na dworze panowała ciemność. Deszcz walił w dach, ściekał do środka przez kilka dziur w suficie i tworzył kałuże na podłodze. Mazer odwrócił głowę. Bingwen spał obok niego, właściwie dotykając go plecami. Wcześniej chyba był przykryty rogiem koca Mazera, ale koc się zsunął i chłopiec kulił się w pozycji embrionalnej, drżąc z zimna.

Mazer ściągnął koc z siebie i nasunął go jedną ręką na Bingwena. Rześkie nocne powietrze kąsało go w odsłoniętą skórę; żałował, że stara akuszerka nie zostawiła mu koszuli.

Odwrócił się i zobaczył Danwena, który stał przy oknie i patrzył w burzliwą noc. Staruszek trzymał w jednej ręce wąski przedmiot ponadmetrowej długości, oparty czubkiem o ramię. Przy świetle błyskawicy Mazer zobaczył, że to miecz – stary, wąski, z ozdobną rękojeścią z matowego, niewypolerowanego metalu. Rodzinna pamiątka albo element stroju na imprezy kulturalne. Nie bardzo dobra broń. Na pewno niewiele by zdziałała przeciwko oddziałowi obcych, gdyby się pojawili.

To ja powinienem stać na warcie, pomyślał Mazer.

Tylko że nie miał sił stać. Ledwie zdołał poruszyć głową. A kiedy oczy znowu zaczęły mu się zamykać – mimo zimna, wilgoci i ryku burzy – nie zdołał zebrać sił do walki ze snem.

Kiedy znów się obudził, nastał już dzień. Burza przeszła i przez dziury w dachu wpadał słoneczny blask, odbijając się od kałuż na podłodze i prósząc światłem na ściany. Bingwena i Danwena nie było nigdzie widać, ale ktoś z powrotem okrył go kocem. Mazer spróbował wstać. Przetoczył się na bok i odepchnął rękami od podłogi. Poczuł ostry ból w brzuchu, ale wiedział, że zważywszy na to, co przeszedł, ból mógłby być znacznie gorszy. Dźwignął się chwiejnie na kolana. Czuł się niepewnie. Środki nasenne jeszcze działały. Poczuł, że coś zwisa mu z biodra, i uświadomił sobie, że ma cewnik. Miał go cały czas i nawet tego nie zauważył. Sięgnął w dół, skrzywił się i pociągnął.

Podsunął pod siebie jedną stopę, potem drugą i wstał. Nogi drżały z wysiłku, kręciło mu się w głowie. Dowlókł się do drzwi i oparł o framugę. Danwen i Bingwen kucali przy niewielkim ognisku, gotowali wodę i ryż.

– Nie powinieneś wstawać – odezwał się Danwen. – Maszyna powiedziała, że masz leżeć od pięciu do sześciu dni.

– Niewiele mi brakuje. Kto mi założył cewnik?

Danwen zrobił nierozumiejącą minę. Nie znał tego słowa.

– Worek do zbierania moczu – wyjaśnił Mazer.

Staruszek odchylił głowę i się roześmiał.

– Ta stara akuszerka. To była jedyna instrukcja wydana przez maszynę, przy której nie wydziwiała.

– Nieprawda, dziadku. Przy tej też wydziwiała.

– No, ale bez przekonania. Nakłonienie jej nie zajęło dużo czasu.

– Powiedzcie mi, co się wydarzyło od wypadku – poprosił Mazer. – Myślę o wojnie.

Danwen odstawił garnek.

– Lepiej ci pokażę. – Minął Mazera, schylając się pod jego ramieniem opartym o framugę, i przeszedł przez pomieszczenie do otwartych okien. Skinął na Mazera, żeby podszedł. – Chodź, jeśli możesz już chodzić. Sam zobacz.

Mazer podszedł do niego, powłócząc nogami, a Danwen wskazał ręką za okno. Dolina została pozbawiona roślinności. Tam, gdzie kiedyś zieleniły się pola ryżowe, a na obrzeżach doliny gęsta tropikalna dżungla, teraz było widać poranioną ziemię – błoto, odsłonięte korzenie i kałuże brudnej deszczówki, jakby ktoś zdarł skórę ze świata.

– Zrobili to obcy? – zapytał Mazer.

– Teraz nazywa się ich Formidami. Taką nazwę nadało im wojsko.

– Skąd wiesz?

– Schodziłem kilka razy do doliny w poszukiwaniu zapasów. Ludzie wybiegli z wiosek z tym, co mogli wziąć z sobą. Zwykle zabieram rzeczy martwym. Nie jestem z tego dumny, ale w ten sposób udało się nam przeżyć. Znalazłem dla ciebie ubranie. W skrzynce jest koszula, jeśli jesteś gotów ją włożyć. Przyniosłem worki z jedzeniem, garnki do gotowania, potrzebne rzeczy. I nie tylko ja biorę od nieżywych ludzi. Widziałem innych, którzy też ocaleli, jak przeszukują cudzą własność. Mówią mi, co się dzieje, że Formidzi obdzierają ziemię. Rośliny, zwierzęta, ludzi. Całą substancję biologiczną zbierają i gromadzą na olbrzymią stertę. Tworzą górę biomasy gnijącej w słońcu obok lądownika. Kiedy wiatr wieje od lądownika na północ, czuć smród zgnilizny. Tak potężny, że robi się niedobrze. Dwa dni temu przez tę dolinę przeszły maszyny. Obserwowaliśmy je z Bingwenem. Zdzierały ziemię, nawet jej nie dotykając. Maszyny jechały, a spalona ziemia się odrywała.

– Pewnie robią to osłonami – stwierdził Mazer. – Takiej samej technologii używają do ochrony lądownika.

– Nie znam się na technologii – rzekł Danwen. – Wiem tylko, że oni są źli. Interesuje ich tylko zniszczenie i śmierć. Najpierw rozpylają mgłę. To, czego mgła dotknie, więdnie i szybko umiera. Potem wiatr roznosi mgłę dalej. Rośliny owiane takim wiatrem też więdną, czasem po godzinie, a czasem trwa to cały dzień. Wkrótce usychają i giną. A potem Formidzi wracają i wszystko zgarniają. – Obejrzał się za siebie, zobaczył, że Bingwen nadal kuca przy ogniu dwadzieścia kroków dalej, i ciągnął szeptem: – Rodzice chłopca nie żyją. Znalazłem ich kilka dni temu w dolinie za nami. Zginęli od mgły. Wróciłem następnego dnia z łopatą, żeby ich pochować, ale ziemia została już zdarta. Zniknęli. Ich ciała są w tej gnijącej górze. Nie powiedziałem Bingwenowi. Żaden chłopiec nie powinien wiedzieć czegoś takiego.

Mazer chwilę milczał.

– Tam znalazłeś miecz? – zapytał w końcu. – W dolinie?

Danwen skinął głową.

– Przy zabitym z naszej wioski. Nie jest najlepszy. Prawie zupełnie nieostry. Ale potrzebowaliśmy czegoś, kiedy straciliśmy karabin. Będę chronił Bingwena za cenę własnego życia.

– Szczęściarz z niego, że ma ciebie.

Danwen się uśmiechnął.

– Tak. A z ciebie szczęściarz, że masz Bingwena.

W oddali rozległ się pomruk silnika statku powietrznego; obaj odwrócili się w tamtą stronę.

– A co z wojną? – zapytał Mazer.

– Przez pierwsze kilka dni było w powietrzu dużo samolotów i walk. Nasze myśliwce były lepsze od ich myśliwców. Widziałem, jak w walce powietrznej zostały zniszczone dwa latacze. Rozbiły się jakieś pięć kilometrów w tamtym kierunku. – Pokazał na zachód. – Miałem ochotę zatańczyć. Ale to są małe zwycięstwa. Wielkie bitwy toczą się na północny zachód i południowy wschód stąd. Krążą pogłoski, że chińscy żołnierze giną masowo. Formidzi ich koszą. To jednostronna wojna i my ją przegrywamy.

– Co z lądownikiem?

– A co ma być?

– Czy ktoś go atakował?

– Lotnictwo zrobiło wielkie widowisko. Dziesiątki samolotów lecących w formacji i strzelających wszelkimi rodzajami pocisków oraz z laserów. Całymi dniami słyszeliśmy wybuchy. Bum, bum, bum. Ale do lądownika nic się nie przebija. Jest chroniony. Po jakimś czasie lotnictwo zrezygnowało. Samoloty już nie wróciły.

– A chińska piechota? Widziałeś tu w okolicy jakieś czołgi albo w ogóle jakieś wojska?

– Nic nie widziałem. Ani jednego chińskiego żołnierza.

– Powinniście byli mnie tu zostawić i pójść na północ z innymi.

– Bingwen nie chciał o tym słyszeć. Zaproponowałem, żeby znowu pociągnął cię bawół, ale byłeś na to za słaby. Za bardzo chory. Prawdopodobnie byś tego nie przeżył. Bingwen nie chciał się stąd ruszyć. Potrafi być bardzo uparty.

– I bardzo mądry.

– Tak, to też.

– Przykro mi, że was zatrzymałem. Teraz możecie iść. Nie macie powodu, by tu zostawać.

Danwen roześmiał się cicho.

– Bingwen mówi, że z tobą jesteśmy bezpieczniejsi niż na otwartym terenie. Mówi, że nas obronisz. Dlatego sprowadził cię z powrotem. Dla ochrony. To bardzo mądry chłopak.

– Nie idę na północ – rzekł Mazer. – Kiedy poczuję się wystarczająco dobrze, pójdę na południe, w stronę lądownika.

– Po co?

– Żeby go zniszczyć.

– Jesteś jeden. Ranny i bez broni. Jak możesz zniszczyć coś takiego?

– Znajdę lukę w ich osłonie i ją wykorzystam.

– A jeśli nie będzie luki?

– To ją zrobię.

Danwen pokręcił głową i roześmiał się smutno.

– Jesteś tak uparty, jak ten chłopiec, Mazerze Rackhamie. Tak uparty, jak ten chłopiec.

ROZDZIAŁ 21

POWRÓT

Statek Lema, „Makarhu”, wylądował w Północnym Porcie imienia Jukesa na Lunie, punktualnie. Lem mógłby przybyć dwanaście godzin wcześniej i kusiło go, by to zrobić, żeby zbić ojca z pantałyku. W końcu jednak postanowił tego nie robić. Zignorowanie wyraźnych poleceń oznaczałoby oddanie pierwszego strzału w wojnie, jaka miała się między nimi wywiązać, a na razie uznał, że najlepiej będzie grać rolę posłusznego syna. Lepiej najpierw zobaczyć, w co gra ojciec, a potem odpowiednio zareagować.

Stał przy śluzie powietrznej „Makarhu” w najlepszym mundurze. Nie włączył jeszcze nagolenic i czuł, jak delikatna grawitacja Księżyca działa na jego stopy. To było miłe uczucie. Pierwsza oznaka domu.

Na zewnątrz z trzaskiem zaskoczyły kotwice. Rękaw wypełnił się powietrzem. Śluza piknęła i się otworzyła. Lem odetchnął głęboko, włączył nagolenice, poczuł silniejsze działanie grawitacji na stopy i ruszył rękawem w stronę wejścia do terminalu.

Nie tego się spodziewał. Kiedy przeszedł przez ostatnie drzwi i znalazł się w terminalu, ze wszystkich stron zaatakowały go wiwaty i oklaski kilkuset osób oraz błyski fleszy kilkudziesięciu reporterów. To było medialne szaleństwo. Po lewej stronie grupa może stu kobiet i dziewczynek – darły się jak oszalałe wielbicielki przy czerwonym dywanie, wymachiwały plakatami i transparentami, na których wyznawały Lemowi dozgonną miłość i proponowały małżeństwo. Po prawej stronie stał tłum pracowników Juke Limited i chociaż klaskał powściągliwiej, i tak wykazywał mnóstwo entuzjazmu; niektóre z tych osób Lem znał powierzchownie, ale w większości byli to ludzie całkowicie dla niego obcy. Prasa tłoczyła się w części terminalu odgrodzonej liną i chowała twarze za szybko trzaskającymi aparatami. A pośrodku tego cyrku, w odległości piętnastu metrów dokładnie naprzeciwko Lema, uśmiechnięty od ucha do ucha, z rękami wyciągniętymi w uniwersalnym geście zaproszenia do uścisku stał ojciec.

Lem natychmiast zrozumiał, jaką ma tu odegrać rolę. Spojrzał ojcu w oczy, uśmiechnął się, podszedł szybkim krokiem i rzucił mu się w objęcia. Aparaty oszalały. Tłum westchnął jednym głosem, jakby nic tak nie poruszało serc, jak spotkanie ojca z synem.

Objęci mocno stali przynajmniej pół minuty – nie na tyle długo, żeby patrzący poczuli znudzenie, ale wystarczająco długo, by zlikwidować jakiekolwiek wątpliwości co do ich absolutnej miłości i wzajemnego oddania.

Ojciec wreszcie cofnął się, trzymając Lema wyprostowanymi rękami i przyglądając mu się z uśmiechem. Lem z zaskoczeniem zauważył w oczach ojca łzy i przez chwilę nawet sądził, że są szczere. A potem przypomniał sobie, że wszystko, łącznie z tą chwilą, zaaranżował właśnie ojciec, który niczego nie pozostawiał przypadkowi. Jeśli były widoczne łzy, to miały być widoczne.

Przez chwilę Lem się zastanawiał, czyby samemu nie zaprezentować wilgotnych oczu – przychodziło mu to z łatwością i było dość przekonujące – ale uznał, że ojciec chciałby, żeby grał rolę człowieka silnego i męskiego, syna, który wyjeżdża na wojnę jako chłopiec, ale wraca jako mężczyzna. Zapewne taki był plan.

Aparaty znów zaczęły pracować na najwyższym biegu. Łzy w oczach Ukko Jukesa? To bezprecedensowe! Trzask-trzask-trzask-trzask.

– Dobrze cię widzieć, ojcze.

– Witaj w domu, synu.

Ukko objął Lema ramieniem. Ruszyli do wyjścia, przepychając się przez tłum. Sześciu czy siedmiu ochroniarzy ojca trzymało reporterów i wrzeszczące wielbicielki na dystans, torując przejście pracodawcy i jego synowi.

– Jak to było walczyć z Formidami, Lemie?! – krzyknął któryś z reporterów i wyciągnął w stronę Lema urządzenie nagrywające.

– Lemie, będziesz pomagał ojcu w jego osobistej walce z najeźdźcami?! – wrzasnął inny.

– Czy razem z załogą rzeczywiście zaatakowałeś cały formidzki statek?!

– Co powiesz rodzinom, które utraciły swoich bliskich?!

Zmierzali do śmigacza z przyciemnionymi szybami zaparkowanego wewnątrz budynku. Otaczali go ochroniarze.

Tuż zanim do niego dotarli, ojciec zatrzymał się i odwrócił do tłumu. Na twarzy wciąż miał uśmiech.

– Szanowni państwo, proszę – odezwał się na tyle głośno, by go usłyszano w gwarze. – Mój syn właśnie wrócił do domu po spędzeniu w kosmosie niemal dwóch lat. Wraz z załogą przeszedł serię strasznych wydarzeń. Z przyjemnością odpowie na wszystkie państwa pytania przy innej okazji. Na razie prosimy o uszanowanie rodzinnej prywatności. Mamy sobie wiele do powiedzenia.

Ochroniarz otworzył drzwi śmigacza. Ojciec puścił Lema przodem i usiadł na fotelu naprzeciwko niego. Śmigacz wystartował. W środku

było cicho i luksusowo; fotele szerokie, miękkie, pokryte skórą; nawet pasy bezpieczeństwa były umieszczone na wygodnej wysokości, co stanowiło kolejne świadectwo, że Lem naprawdę znalazł się w domu. Zapiął się, żeby nie miotało nim w niskiej grawitacji, i powiedział:

– Właśnie obiecałeś tym reporterom osobiste wywiady ze mną.

– Będziesz musiał ich wiele udzielić – rzekł Ukko. – Ludzie chcą usłyszeć twoją historię.

– A jaka to jest historia?

– Nie mów, że już ją zapomniałeś.

– Jakiej historii się spodziewają, ojcze? Co im powiedziałeś? To jasne, że coś im podrzuciłeś. Pytali o mój atak na Formidów.

– Po raz kolejny muszę pochwalić tę nazwę. Media uwielbiają słowo „Formidzi". Używa go cały świat. Chodzi o tę dźwięczną końcówkę. Nie można z nią polemizować. Jak w „dzida" albo „rozsadzi", albo „dzik".

– Tę nazwę wymyśliła Benyawe.

Ojciec się uśmiechnął.

– Noloa Benyawe. Jak się czuje?

– Dobrze. Grała drugie skrzypce przy moim głównym inżynierze, ofermie doktorze Dublinie, aż powierzyłem jej kierowanie testami lasera grawitacyjnego. Początkowo sądziłem, że to jeden z twoich życiowych testów.

Ojciec zmarszczył brwi.

– Życiowych testów?

– Daj spokój, ojcze. Chodzi mi o gierki, w które ze mną grałeś od dzieciństwa, przeszkody piętrzone na mojej drodze w jakiejś idiotycznej próbie przekazania mi odrobiny twojej mądrości.

– Pochlebiasz sobie, Lemie. Mam o wiele ważniejsze sprawy na głowie niż konstruowanie jakichś rozbudowanych scenariuszy, z których mógłbyś wyciągnąć kilka morałów. Nie jesteś już dzieckiem.

– Dlatego byłem trochę rozczarowany, kiedy się dowiedziałem, że zakazałeś Dublinowi robić cokolwiek, co mogłoby stworzyć dla mnie zagrożenie. I nie zaprzeczaj. Sam mi to powiedział.

– Czemu miałbym zaprzeczać? – spytał Ukko. – Testowałeś nieprzebadane, potencjalnie kapryśne urządzenie. Poprosiłem Dublina o rozwagę, jeśli już nie ze względu na samą wartość prototypu, to choćby dla dobra mojego jedynego syna. Wybacz mi tę obrazę. Następnym razem nie będę się przejmował twoim życiem

i jeśli tak wolisz, każę moim inżynierom zachowywać się lekkomyślnie i nieodpowiedzialnie.

– Przez ciebie Dublin wątpił w każde swoje posunięcie. Paraliżował go strach. Dlatego nasza pierwsza tura testów trwała tak długo. Dublin nie chciał ryzykować. Nad głową wisiała mu obawa, że zrobi mi krzywdę, a zatem wywoła twoje niezadowolenie.

Ukko się roześmiał.

– Teraz jestem odpowiedzialny za cudzy strach? Czego jeszcze jestem winien, dziecięcych koszmarów? Doprawdy, obarczasz mnie winą za swoją niezdolność do przeprowadzenia początkowych testów? Dublin jest dorosły. Sam podejmuje decyzje i przyjmuje za nie pełną odpowiedzialność. Ty też powinieneś tak robić.

– Takie same instrukcje wydałeś Chubsowi, mojemu zastępcy: nie rób nic, co mogłoby zagrozić Lemowi. Zasadniczo powiedziałeś mu, że ma podważyć moją władzę. Przez ciebie wyszedłem w oczach załogi na słabeusza.

– Chyba zapominasz, Lemie, że kiedy pilotujesz jeden z moich statków, występujesz w roli pracownika tej firmy. Nie dostajesz specjalnych przywilejów z racji bycia moim synem. Jako kapitan masz obowiązki i twoim priorytetem nie powinno być to, jak postrzega cię załoga. Twoim priorytetem jest twoja załoga, której dwudziestu pięciu członków zginęło na twojej wachcie na skutek twoich lekkomyślnych rozkazów. Czy ty w ogóle masz pojęcie, jakie szkody wyrządziło to firmie? Teraz zostaniemy pozwani przed sąd. I bez względu na to, jak zareagujemy, jak sprawiedliwie potraktujemy pogrążone w żalu rodziny, bez względu na to, jak hojne przyznamy im odszkodowanie, prasa nas załatwi jako niewrażliwych i nierozważnych. Takich bitew się nie wygrywa. Prędzej czy później prasę przestanie obchodzić, dlaczego to zrobiliśmy. Nie będzie miało znaczenia, że usiłowaliśmy powstrzymać Formidów. Wyjdziemy na niedbałych. Wyjdziemy na tych złych. A kiedy do tego dojdzie, spadną nasze akcje. Masz pojęcie, ile przepada pieniędzy, kiedy akcje spadają o jedną setną punktu procentowego?

Lem milczał.

– No, masz?

– Oczywiście, ojcze. Mam akcje tej firmy i jestem głównym akcjonariuszem w kilku innych. Wiem, jak funkcjonuje rynek.

– To dobrze. Cieszę się, że twoje kosztowne wykształcenie daje ci niejaką świadomość świata. Kiedy powiedziałeś mi, że stuknąłeś tych

wolnych górników i odrzuciłeś ich od asteroidy, pomyślałem, że chyba postradałeś zmysły.

– Twój cenny prototyp nie został uszkodzony, ojcze.

– Masz rację, jest cenny. Ma wartość kilku miliardów kredytów. „Makarhu" też jest dość cenny. To jeden z naszych najszybszych, najbardziej luksusowych statków. Toteż zupełnie nie mogę pojąć, dlaczego byłbyś na tyle nieodpowiedzialny, by ryzykować uszkodzenie tego wszystkiego. To są podstawowe zasady pilotażu, które zna każdy kapitan. Zasada numer jeden: nie niszcz statku. Zasada numer dwa: nie zabijaj załogi. Chyba ktoś musiał to z tobą powtórzyć, zanim odleciałeś.

Lem odwrócił się od ojca i wyjrzał przez okno. Opuścili już terminal i wracali nad księżycowym krajobrazem do miasta. Po prawej stronie ciągnęły się potężne zakłady produkcyjne Juke Limited, gdzie budowano i testowano większość statków górniczej floty ojca przed wysłaniem ich do pasa Kuipera. Na największym i najwyższym budynku widniał olbrzymi emblemat firmy.

– Owszem, wydałem Chubsowi specjalne instrukcje – rzekł ojciec. – Zabroniłem mu wykonywać jakiekolwiek twoje rozkazy, które mogłyby narazić cię na niebezpieczeństwo. Zrobiłem to, by chronić moją własność i ciebie.

– Chronić mnie przed czym, ojcze? Przed moim nietrafnym osądem? Moją głupotą? Nie zdajesz sobie sprawy, że wydając taki rozkaz, nie tylko pozbawiłeś mnie prawdziwego dowództwa, ale także wykazałeś całkowity brak zaufania do mnie?

– Chcesz, bym powiedział, jak bardzo ci ufam, jaką mam pewność, że potrafisz to zrobić? Naprawdę potrzebujesz takiego hołubienia?

Lemowi chciało się krzyczeć. Chciał tłuc głową w oparcie fotela. Siedział jednak spokojnie i nic nie mówił.

– I w ogóle dlaczego narzekasz? – zapytał ojciec. – Chubs najwyraźniej nie posłuchał mojego rozkazu. Zaatakowałeś statek Formidów, obcy statek sto razy większy od twojego. Powiedziałbym, że to stanowi niebezpieczny rozkaz. Chubs najwyraźniej cię wtedy nie zastąpił. Posłuchał ciebie, nie mnie.

– Odmówił wykonywania moich rozkazów przy innych okazjach.

– Czyżbyś wydawał liczne niebezpieczne rozkazy? Cóż, w takim razie wygląda na to, że byłeś bardziej lekkomyślny, niż się

spodziewałem, i że słusznie wydałem mu takie polecenia. Możliwe, że ocaliłem ci życie.

Nic się nie zmieniło. Ojciec był krytyczny i nieznośny jak zawsze – sfiksowany na punkcie błędów Lema i ślepy na wszystkie jego osiągnięcia. Lem z powrotem odwrócił się do okna. Zamierzał powiedzieć ojcu, jak razem z załogą wydobyli z asteroidy metale, jak wynaleźli metodę pozyskiwania minerałów ferromagnetycznych ze skały po jej rozbiciu w pył, co mogło stanowić przemysłowy przełom. Teraz jednak nie miał ochoty niczego ojcu mówić. Po co? Ojciec dostrzegłby jedynie błędy. Szukałby dziur w całym.

Lem nagle poczuł złość na samego siebie, bo właśnie coś sobie uświadomił – chciał przekazać ojcu dobre wieści nie dlatego, że wiedział, że nowa technika wydobywania pomoże firmie, ale dlatego, że tak rozpaczliwie pragnął zdobyć przychylność ojca.

Jakie to żałosne, pomyślał. Nadal szukam jego aprobaty. No cóż, koniec z tym. Ciesz się swoim wygodnym fotelem, ojcze. Jeśli mi się uda, ani ten śmigacz, ani ta firma już wkrótce nie będą twoje.

Przelecieli nad północnymi obrzeżami Imbrium, potem skierowali się na południe nad Stare Miasto, skręcili na wschód. Wkrótce zostawili miasto za sobą i ponownie znaleźli się nad nietkniętą powierzchnią Księżyca. W końcu przybyli do jednego z wlotów do tuneli Juke Limited.

Znajdowało się tam rozległe, okrągłe lądowisko z wymalowaną pośrodku kombinacją olbrzymich liter i liczb mówiących, które to jest miejsce zawiłego układu tuneli. Śmigacz wylądował łagodnie i platforma zjechała jak winda. Po trzydziestu metrach zatrzymała się przy jasno oświetlonej komorze cumowania, a automatyczne ramiona przeniosły śmigacz do śluzy powietrznej.

W komorze tuż za śluzą Lem dostrzegł prom i kilku techników. Chwilę siedział z ojcem w milczeniu, czekając, aż śluza napełni się powietrzem.

Kiedy ojciec w końcu się odezwał, z jego głosu zniknęła cała kąśliwość.

– Naprawdę się cieszę, że wróciłeś do domu. Wbrew temu, co być może myślisz, cieszę się, że nic ci już nie grozi. Wiem, że nie jestem osobą najłatwiejszą w kontaktach, ale zrobiłem to wszystko, bo uważałem, że tak będzie dla ciebie najlepiej. Nie miałem łatwego życia, Lemie. Wiesz o tym. Zbudowałem tę firmę z niczego. I zawsze się bałem, że twoje życie będzie za łatwe, że okażesz się za miękki. Nie

ze względu na to, kim jesteś, ale ze względu na to, co mamy, na luksusy, na jakie pozwala nam fortuna. Nie chciałem, żebyś był uprzywilejowanym dzieckiem. Nie chciałem, żebyś miał życie usłane różami. Chciałem, żeby było usłane kolcami. Tak jak moje. Możesz pomyśleć, że czyni to ze mnie okropnego rodzica, i może masz rację, ale dzięki temu jesteś lepszym człowiekiem. Bez dwóch zdań.

W śluzie rozległ się brzęczyk świadczący, że ciśnienie się wyrównało; ojciec wysiadł ze śmigacza, przeszedł przez drzwi śluzy powietrznej i wsiadł do czekającego promu. Pojazd natychmiast ruszył z miejsca i zniknął w czeluści korytarza.

Lem siedział przez chwilę zbyt oszołomiony, by się poruszyć. Nie dlatego, że ojciec go tak zostawił – Ukko zawsze gdzieś pędził – ale dlatego, że nigdy nie mówił o ich stosunkach ani nie poruszał tematu ich fortuny. Było to dla Lema zupełnie nowe doświadczenie.

Ojciec sprawiał wrażenie szczerego. W jego głosie nie brzmiała ani jedna nuta ironii czy sarkazmu.

O co chodzi? – zadał sobie w duchu pytanie Lem. Czy to kolejny test? Kolejne ćwiczenie z upokorzenia? Czy może ojciec naprawdę mówił prosto z serca?

– Co się stało, Lemie? – odezwał się ktoś. – Dostałeś kosmicznych nóg?

Na zewnątrz śluzy stała asystentka ojca, Simona. Z holoprojektorem w ręce zaglądała do śmigacza.

– Chyba możesz wyjść? Czy mam kogoś wezwać?

– Moim nogom nic nie jest. – Lem wysiadł ze śmigacza i strzepnął z rękawa nieistniejący pyłek.

– Nie ma się co wstydzić odrobiny atrofii – stwierdziła Simona. – Dwa lata w stanie nieważkości to dużo czasu.

Mówiła do niego, jakby był chłopcem, tak jak zawsze, mimo że była od niego starsza tylko o pięć lat. Nie znosił tego.

– Nic mi nie jest.

Nie zauważył Simony wcześniej wśród techników, ale jej widok go nie zaskoczył. Potrafiła, zwykle bezszelestnie, pojawić się nagle u boku ojca dokładnie w chwili, kiedy jej potrzebował. Lem nazwał ją kiedyś w żartach kotem z dżungli, co ona opacznie wzięła za próbę flirtu. Powiedziała mu, że nie będzie jedną z jego zdobyczy, i stanowczo odmówiła. Lem się wtedy roześmiał, co Simona potraktowała jako kolejną obrazę. Wszystko to było głupim

nieporozumieniem, ale zepsuło ich stosunki i Lem wyczuwał, że te dwa lata rozłąki niczego nie naprawiły.

Simona wyglądała tak jak zawsze: klasyczna spódnica, klasyczna bluzka, wygodne buty na płaskim obcasie. Nie podążała za modą. Najnowsze trendy uznawała zwykle za idiotyczne. Lem się z nią zgadzał, ale to nie sprawiało, że zyskiwała w jego oczach. Nie była też szczególnie ładna, mężczyźni się za nią nie oglądali. Włosy spięła, by nie opadały jej na twarz, i na tym kończyła się jej dbałość o fryzurę. Nos miała mały, policzki piegowate i płaską pierś. Wyglądała jak niezdarna dwunastolatka.

– Ojciec się śpieszył – zauważył Lem.

– Nie przyjdzie – odparła Simona. – Ma spotkania.

– Dokąd nie przyjdzie?

– Nie mówił ci? – Spojrzała na harmonogram na holoprojektorze i zaczęła się oddalać korytarzem. – Nie, oczywiście nie mówił. Ma za dużo spraw na głowie. – Strzeliła palcami. – Chodź.

Lem dogonił ją i zrównał z nią krok.

– Nie jestem psem.

Nie podniosła wzroku znad ekranu.

– Strzelam palcami. Wydaję szybkie polecenia. Tak tu działamy.

– No tak, ale nie jest to grzeczne.

– Twojemu ojcu to nie przeszkadza.

– Nie jestem moim ojcem. W ogóle go nie przypominam.

Zerknęła na niego i uśmiechnęła się cierpko.

– Nie, nie przypominasz.

– Co to ma znaczyć? – Zatrzymał się.

Odwróciła się do niego.

– To co powiedziałam. Zgodziłam się z tobą.

– Tak, ale brzmi to jak obraza.

Założyła ręce na piersiach.

– Zgadzanie się z twoimi stwierdzeniami jest obraźliwe. Przyjęłam do wiadomości. Będę się częściej sprzeczać i nie zgadzać. – Wskazała ręką w głąb korytarza. – Możemy iść?

Ruszyli. Lem zacisnął zęby. Ta sama dawna Simona. Dziesięć sekund i chce się ją udusić.

– Skąd ten pośpiech? – zapytał. Właściwie musiał biec, żeby dotrzymać jej kroku.

– Mamy napięty harmonogram. Twój ojciec zarządza największą korporacją na świecie i usiłuje powstrzymać wojnę. Ma ręce pełne

roboty. Aha, cieszę się, że wróciłeś do domu.

– Dzięki.

– Twój ojciec też się cieszy. Martwił się o ciebie.

– Mówił.

Spojrzała na niego.

– Nie wierzysz mu?

Nie chciał odpowiadać. Cokolwiek powie Simonie, na pewno dotrze to do ojca. Zmienił temat.

– Dokąd idziemy?

– Już nie idziemy. Jesteśmy na miejscu.

Zatrzymała się i otworzyła drzwi po lewej stronie. Lem wszedł za nią do środka. Znajdowali się w niewielkim przedpokoju, był tu reżyserski fotel, lustro i kobieta z kilkoma pudełkami kosmetyków. Za przedpokojem rozpościerała się znacznie większa przestrzeń z reflektorami, kamerami i rozmaitym sprzętem. Krzątała się wokół niego pięcioosobowa ekipa.

– Siadaj – poleciła Simona.

Lem usiadł i wskazał kamery.

– Co to?

Kobieta z kosmetykami nałożyła mu papierowy śliniaczek i zaczęła oprószać jego twarz pudrem.

– Twój pierwszy wywiad – odpowiedziała Simona. – Gun Chen, Chińczyk, ma program poranny. Bardzo popularny. A to są twoje kwestie. – Zaczęła je odliczać na palcach. – Po pierwsze, byłeś w pasie Kuipera i testowałeś zastrzeżone urządzenie Juke Limited. Dowiedziałeś się o Formidach i ułożyłeś plan ich powstrzymania…

– To nie był mój plan – przerwał jej Lem. – Ułożył go ktoś inny.

– Kto? Jakiś członek załogi?

– Inny statek. Wolni górnicy. Zwrócili się do nas o pomoc.

– W takim razie powiesz, że byłeś w kontakcie z innym statkiem i że „postanowiliśmy zaatakować Formidów". Nie mogliby tego zrobić bez ciebie, więc powinieneś przypisać sobie większą zasługę.

– Był też trzeci statek. WU-HU.

Skrzywiła się.

– Brali udział w walce?

– Technicznie nie. Trzymali się z tyłu z kobietami i dziećmi.

Skinęła głową, zastanawiając się nad tą informacją.

– Wszystkie statki WU-HU otrzymały polecenie zostać w pasie Kuipera, więc nie ma to znaczenia. Nie wspominaj o WU-HU. Jeśli

musisz, powiedz „inny statek górniczy”. A lepiej nic o nich nie mów.

– Innymi słowy, mam nie wspominać o konkurencji.

– Wywiad muszą ocenzurować zespoły rzecznika i prawny, Lemie. Jeśli powiesz coś o WU-HU, i tak to wytniemy. Zaoszczędźmy inżynierom dźwięku trochę godzin nadliczbowych i uprośćmy sprawę. Kiedy Chen zapyta, dlaczego tak szybko wróciłeś z pasa Kuipera, odpowiesz, że chciałeś dostarczyć to zastrzeżone urządzenie z powrotem do firmy. Jesteś przekonany, że może ono pomóc w prowadzeniu wojny. A może nawet ją zakończyć.

Lem odsunął od twarzy pędzel z pudrem; wstał.

– O to tu chodzi? Dlatego ojciec przywitał mnie fanfarami? Mediami, wrzeszczącymi fankami Lema i wielkim, fałszywym uściskiem? Żeby umieścić mnie w blasku reflektorów, żebym zareklamował jego cholerny glaser?

Zerwał śliniaczek z szyi, odrzucił go na ziemię, wypadł na korytarz i energicznie ruszył w stronę, w którą oddalił się prom ojca.

Simona pobiegła za nim.

– Zaczekaj! Dokąd idziesz?

– Zamienić słowo z kochanym tatą.

– Ale on ma spotkanie…

– Gdzie?

– Zatrzymaj się na chwilę i posłuchaj, co mam ci do powiedzenia.

– Gdzie jest to spotkanie?

– Nie powiem ci.

– To znajdę kogoś, kto to zrobi.

Szedł dalej, zaglądając do każdego mijanego korytarza, koniecznie chcąc złapać jakiegoś przechodnia.

– Nie, nie znajdziesz. Nikt w tym skrzydle nie wie, gdzie jest twój ojciec. A nawet gdyby ktoś wiedział, wystarczy, że wyślę do wszystkich okólnik, co zajmuje całe dwie sekundy, i nikt nie zechce z tobą rozmawiać. Nie pisną ani słowa.

– Tak. Kolejne posłuszne owieczki ojca. Tak jak ty.

– Zatrzymaj się na sekundę. Nie mogę biegać w tej spódnicy.

Lem zatrzymał się i obrócił nagle. Simona wpadła na niego i upuściła holoprojektor, który jednak się nie rozbił. Lem natychmiast go podniósł, żeby spojrzeć na harmonogram, ale ekran zrobił się czarny, kiedy tylko go dotknął. Stuknął w niego, ale bez skutku.

– Nie reaguje na twój dotyk. – Simona wyrwała mu go z ręki. – Ochrona biometryczna. – Wsunęła holoprojektor pod pachę, odgarnęła niesforny kosmyk włosów i powiedziała: – O co ci chodzi?

– Ojciec sądzi, że może się mną posłużyć do wyciągnięcia korzyści z tej wojny. Ale mam dla niego wiadomość: nie pójdę mu na rękę.

– O czym ty mówisz?

– O glaserze! Chce użyć glasera w wojnie.

– I jest to zbrodnią, ponieważ…

– Nie sprzedam glasera Chińczykom. Ani Rosjanom. Ani nikomu, komu ojciec chce go zareklamować za moim pośrednictwem. Wiem, co on robi. To klasyczne postępowanie ojca. Podsunął reporterom moją opowieść o tym, jak to zaatakowałem Formidów, żeby zrobić ze mnie bohatera. Usiłuje przedstawić mnie opinii publicznej w jak najlepszym świetle, żeby wykorzystać mnie do sprzedania glasera. On nie chce syna. On chce wsparcia celebryty. I wiesz co? Wiesz, co jest najsmutniejsze w tym scenariuszu? Dałem się na to nabrać. Przez krótką chwilę byłem przekonany, że te jego załzawione oczy w terminalu są szczere. Wszystko zaplanował. To było przedstawienie. Udawanie. Przygotował scenę. Sprowadził publiczność. Zawołał: „akcja!”.

– Chcę cię dobrze zrozumieć – powiedziała Simona. – To ty jesteś celebrytą ze „wsparcia celebryty”?

Lem zaplótł ręce na piersi.

– Drwisz ze mnie.

– Usiłuję podążać za twoimi myślami. Nie kwestionuję twojego statusu celebryty. Syn najbogatszego człowieka świata. Wcześniej prześladowany przez paparazzich. Ogłoszony przez niektóre skierowane do nastolatek czasopisma w sieci najbardziej pożądanym kawalerem. Dobre włosy. Białe zęby. Rozumiem, dlaczego mogłeś dojść do takich wniosków.

Odwrócił się i znowu zaczął iść.

– Dobra, masz rację. – Simona pośpieszyła za nim. – Drwiłam z ciebie. A nie powinnam. Bo częściowo masz rację.

Lem się zatrzymał.

– Ale tylko częściowo – podkreśliła. – Twoja teoria jest pod wieloma względami niesłuszna.

– Oświeć mnie.

Westchnęła.

– Twój ojciec rzeczywiście chce, żebyś zachwalał glaser. Rzeczywiście chce mu poświęcić wiele uwagi. Ale nie po to, żeby go sprzedać. Usiłuje przekonać Stany Zjednoczone, żeby się nie zabiły.

– O czym ty mówisz?

– Będzie szybciej, jak ci pokażę.

Skinęła na niego, żeby poszedł za nią, i skręciła w boczny korytarz. Weszli do pierwszego napotkanego pomieszczenia. Była to sala konferencyjna z ustawionym na środku holostołem. Unoszącemu się nad nim holo jakiejś skomplikowanej mechanicznej części przyglądał się zespół sześciu inżynierów. Jeden z nich szturchał mechanizm rysikiem i prowadził dyskusję.

– Potrzebuję tej sali – stwierdziła Simona.

Inżynierowie spojrzeli na nią, potem na Lema, a potem na inżyniera z rysikiem, wyraźnie najstarszego rangą spośród nich.

– Teraz? – spytał.

– Nie, wczoraj po śniadaniu – odparła Simona. – Tak. Teraz.

– Ale my zarezerwowaliśmy tę salę.

– A ja ją odrezerwowuję. Proszę wyjść.

Strzeliła palcami; inżynierowie błyskawicznie zebrali swoje rzeczy i wyszli. Wiedzieli, kim jest i komu bezpośrednio podlega.

– Masz przyjemny styl postępowania – powiedział Lem, kiedy zostali sami.

– Zadziałał, prawda?

Simona podeszła do holostołu, zlikwidowała holo i wprowadziła serię kodów i gestów. W holoprzestrzeni pojawił się niewielki gładki statek z długim urządzeniem w kształcie rury umocowanym pod spodem kadłuba.

– Bezzałogowy statek Szpica – rzekła Simona. – Nasza największa od lat akcja promocyjna. To dron poszukiwawczy, zaprojektowany do wyszukiwania obiecujących asteroid. Jeśli znajdzie coś wartego wydobycia, zawiadamia nas, a my wysyłamy statek załogowy po minerały. Prace nad szpicą są prowadzone od ponad dziesięciu lat.

– Dlaczego nigdy o niej nie słyszałem?

– Wiedzieli o niej tylko ci, którzy musieli. Ty nie znajdowałeś się na tej liście. Spróbuj się nie obrazić.

– Dobra.

– Twój ojciec przedstawił szpicę światu dosłownie kilka minut przedtem, nim dowiedział się o Formidach. Nie był zadowolony. Szpica miała dać firmie nowy zapłon. Zakłócenia w łączności od wielu

miesięcy szkodziły interesom. Akcjonariusze zrobili się nerwowi. Potrzebowaliśmy zwycięstwa. Ogłoszenie o Formidach nie mogło przyjść w gorszej chwili. Zarząd wpadł w panikę. Wszyscy wiedzieli, że ta wiadomość przesłoni wszystko, co moglibyśmy zyskać dzięki szpicy.

– To typowe dla zarządu – stwierdził Lem. – Bardziej się przejmuje zyskami niż bliską inwazją obcych i ewentualnym zniszczeniem gatunku ludzkiego. Ale klasa! Co to za rura pod dronem?

– Glaser.

– Glaser? Macie więcej niż jeden prototyp?

– Jest tylko jeden i znajduje się na twoim statku. To jest właściwe urządzenie. Twój ojciec rozpoczął produkcję jakieś dziewięć miesięcy temu, kiedy tylko dowiedzieliśmy się, że przeprowadziłeś udany test w pasie Kuipera.

– Rozpoczęliście produkcję? Ale my nie skończyliśmy prób! Wyniki, które wam wysłaliśmy, pochodziły tylko z pierwszego testu. Mieliśmy przed sobą dziesiątki następnych.

– Których nie przeprowadziliście. Z powodu zakłóceń straciliśmy z wami kontakt, a twój ojciec zaczął się niecierpliwić. Zrobiliśmy kilka testów tutaj, wprowadziliśmy trochę poprawek, zmniejszyliśmy wielkość, obłożyliśmy całość płytami pancernymi i na tym zakończyliśmy sprawę.

– Więc nie czekaliście na nas?

– To było dziewięć miesięcy temu, Lemie. Nawet nie wiedzieliśmy, czy jeszcze żyjecie. To bardzo cenna technologia. Nie zamierzaliśmy siedzieć bezczynnie i mieć nadzieję, że wrócicie. Wzięliśmy to, cośmy już mieli, i poszliśmy dalej.

– Jeśli mogliście przeprowadzić wszystkie testy tutaj, po co ojciec w ogóle wysłał mnie do pasa Kuipera?

– Bo to jest wciąż idealne miejsce do przeprowadzania testów terenowych w tajemnicy – wyjaśniła Simona. – Ojciec nie usiłował się ciebie pozbyć, jeśli to ci przyszło do głowy. Daleki kosmos wciąż jest najlepszym dla nas polem testów. Próby przeprowadziliśmy tutaj tylko z konieczności. Nie mieliśmy czasu, żeby nawiązać łączność, ani możliwości wysłania jeszcze jednej załogi.

Lem spojrzał na holo. Dwa lata w kosmosie, a ojciec mógł równie dobrze przeprowadzić testy tutaj. Może nie tak gruntownie, nie z taką

niezawodnością, ale to go nie powstrzymało. Lem poczuł się tak, jakby cały czas spędzony na „Makarhu” został całkiem zmarnowany.

– Jeśli to statek poszukiwawczy, dlaczego jest wyposażony w glaser?

– Ponieważ nie jest już statkiem poszukiwawczym. Teraz to okręt wojenny – stwierdziła Simona.

Lem popatrzył na nią z uniesioną brwią.

– Żartujesz.

– Ukko planuje zaatakować statek bazę i zamierza do tego użyć całej floty dronów.

– Floty? Ile tych dronów planuje zbudować?

– Pięćdziesiąt. Już je zbudował. Glasery też są produkowane. Pozostało jedynie zamontować je na dronach. W tej chwili nasze linie produkcyjne pracują na okrągło. Okazuje się jednak, że sprawa jest trudniejsza, niż sądziliśmy. Musimy zmodyfikować przyrządy pilotażowe drona i dostosować je do glasera.

– Jak wyglądały wasze testy glasera?

– Prowadziliśmy je głównie w laboratorium i na modelach komputerowych. Nie mogliśmy udać się w kosmos i rozwalić kilka asteroid. Nie ma ich w pobliżu. Dlatego testy terenowe są najlepsze.

– Musisz porozmawiać z doktor Benyawe i doktorem Dublinem, moim głównym inżynierem. Wszystkie nasze komputerowe modele wygenerowane dla glasera okazały się niedobre. Kiedy trafiliśmy dużą asteroidę w pasie Kuipera, powstałe przy tym pole grawitacyjne było o wiele większe, niż się spodziewaliśmy. Niemal pochłonęło nasz statek. Statek Formidów jest znacznie większy od tamtej skały, a jego budowa jest nieznana. Benyawe przekonała mnie, że potraktowanie go strzałem z glasera jest zbyt niebezpieczne. Nie można przewidzieć, jakiego rodzaju pole grawitacyjne wtedy powstanie. Jednoczesne uderzenie pięćdziesięciu glaserów może być samobójcze.

Simona zrobiła kilka notatek w swoim holoprojektorze.

– Coś jeszcze?

– Tak. Nadal nie wyjaśniłaś mi, dlaczego mam zachwalać glaser w wywiadach i co to ma wspólnego ze Stanami Zjednoczonymi.

Przeciągnęła ręką przez holoprzestrzeń i dron zniknął. Po kilku kolejnych gestach pojawił się statek Formidów.

– Nasze źródło w Połączonym Kolegium Szefów Sztabów mówi, że Amerykanie planują uderzenie na statek bazę.

– Mamy źródła na tak wysokim szczeblu amerykańskiego wojska?

– Mamy źródła wszędzie, kochany. A te są szczególnie godne zaufania. Chociaż, prawdę mówiąc, to uderzenie nie jest wielką tajemnicą. Wszyscy się go spodziewają. Stany przygotowują się do niego w kosmosie od momentu potwierdzenia doniesień o formidzkim statku. Jak wiesz, bardzo trudno robić coś w kosmosie tak, żeby nie zauważył tego cały świat. Natomiast nie jest powszechnie wiadome, kiedy i jak to uderzenie zostanie przeprowadzone, a to powiedziały nam nasze źródła.

– Co planują Amerykanie?

– Uzbroili piętnaście promów i dołączyli je do swojej floty kosmicznej. W tej chwili mają dwadzieścia dwa statki. Dziś rano dowiedzieliśmy się, że swoje dołączają też Rosjanie, Brytyjczycy i Chińczycy, co w sumie daje pięćdziesiąt trzy jednostki.

– Widziałem w pasie Kuipera, jak Formidzi mierzą się z sześćdziesięcioma statkami naraz. Widok nie był przyjemny.

– Amerykanie zrobią to i tak – rzekła Simona. – Ich wojskowi lekceważą Bitwę w Pasie jako działanie robotników bawiących się w żołnierzy.

– A więc amerykańscy wojskowi są idiotami – powiedział Lem. – Górnicy pracujący na asteroidach są o wiele lepszymi pilotami kosmicznymi i są o wiele lepiej przygotowani do walki w kosmosie niż żołnierze i piloci sprowadzeni z planety.

Simona wzruszyła ramionami.

– Nie jestem strategiem. Ja tylko dostarczam informacje twojemu ojcu.

– A dlaczego wojsko Stanów nie chce po prostu rozwalić statku bazy pociskami nuklearnymi?

– Już próbowali. Trzy dni temu. Nie udało się. Działa Formidów zestrzeliwały pociski na długo przed ich dotarciem do celu. Pociski wybuchły, zniszczyły około czterdziestu satelitów i stworzyły sztuczne pasy promieniowania, które będą się dawać wszystkim we znaki jeszcze przez wiele lat.

– Skoro atak nuklearny się nie powiódł, dlaczego Stany chcą przeprowadzić atak załogowy? Jeżeli Formidzi umieją trafiać w pociski, to zniszczenie promów i statków będzie dla nich dziecinną zabawą.

– Stany tak nie sądzą. Broń Formidów jest ukryta wewnątrz statku i wysuwa się dopiero wtedy, kiedy jest zagrożony. Na filmach

z Bitwy w Pasie, które ma OHBK, i na tych z ataku Formidów na sekretarza ONZ widać, gdzie ta broń jest ukryta.

– Jakim sposobem? Powierzchnia jest gładka. Wszędzie wygląda tak samo.

– Pewnie jakoś to wiedzą. Może statek znajduje się już na tyle blisko, żeby można było wykryć drobne różnice na jego powierzchni. Wiem tylko, że planują namierzyć miejsca, gdzie przechowywana jest broń, i uszkodzić działa, zanim zdążą się wysunąć. Drugi zespół statków uderzy w Formidów tutaj, na przodzie, gdzie znajduje się sprzęt wytwarzający osłony. Stany są pewne, że po osiągnięciu tych dwóch celów będzie można z łatwością przypuścić atak na pełną skalę.

– Mylą się – powiedział Lem. – Działa Formidów to tylko pierwsza linia ich obrony. O wiele bardziej śmiercionośną bronią jest sam statek. Na całej jego powierzchni znajdują się zasłonięte otwory. Każdy może się odsłonić i strzelić plazmą w dowolnym kierunku. Widziałem to. Promy nie mają żadnej szansy. Na kiedy jest planowany atak?

– Za czterdzieści osiem godzin.

– Musicie ich powstrzymać.

– To twoje zadanie. Po to są te wywiady. Powiedz światu, co wiesz. Nie musisz przesadzać. Nie musisz kłamać. Bądź uczciwy. Ty i twoja załoga widzieliście Formidów z bliska. Nie widział ich nikt inny. Przekonaj Stany Zjednoczone, żeby się wycofały i pozwoliły Ukko przeprowadzić atak dronów.

– Już ci mówiłem. Drony z glaserami to może być kiepski pomysł. Ja nie będę go popierał. Jeśli chcesz, żebym powiedział to w wywiadzie, nic z tego. Będziesz musiała znaleźć kogoś innego.

– Świetnie. Znajdziemy. Powiedz, co uważasz za najlepsze. Ale jeśli powiesz coś przeciwko dronom, później to wytniemy, więc nie zadawaj sobie trudu. Po postu pomóż nam powstrzymać atak Amerykanów. W ten sposób uratujesz życie wielu ludziom.

– Daruj sobie argument o ratowaniu ludzi. Oboje wiemy, że ojciec zamierza zostać bohaterem. Nie chce, żeby USA i ich sojusznicy zniszczyli statek bazę, bo pragnie tej chwały dla siebie. Wiem, jak myśli mój ojciec. Jeśli coś nie przynosi mu korzyści, on się tym nie interesuje.

– Ty naprawdę nie masz o nim dobrego zdania, co?

Lem wiedział, że asystentka powtórzy ojcu każde jego słowo, ale się tym nie przejmował. W tej chwili jego umysł pracował na pełnych obrotach. Zakiełkował pomysł. A jeśli to jest ta okazja, na którą czeka? Atak dronów się nie powiedzie. Ojciec wkłada wszystkie jajka do jednego koszyka. Pięćdziesiąt dronów i pięćdziesiąt glaserów. Olbrzymia fortuna. Niewystarczająca, żeby zrujnować firmę, ale z pewnością wystarczająca do przyjęcia wniosku o wotum nieufności wobec ojca i zrzucenia go z tronu, kiedy tylko glasery i drony ulegną zniszczeniu. Zarząd nie mógłby zignorować takiego błędu.

Oczywiście odbudowa firmy wymagałaby czasu i wysiłku, ale Lem już odbudowywał firmy. Nigdy na taką skalę, lecz gra toczyła się o to samo bez względu na wielkość przedsięwzięcia.

Lem jednak wiedział, że wykopanie ojca nie wystarczy. On musiałby zająć pozycję prawowitego następcy i wyniesienie przez ojca do statusu bohatera narodowego na pewno by mu w tym nie zaszkodziło. Członkowie zarządu bardzo będą chcieli odtworzyć wizerunek firmy, a jaki jest na to lepszy sposób niż posłużenie się ulubieńcem mediów, który odnosi sukcesy w prowadzeniu interesów i przypadkiem jest nieustępliwym synem założyciela?

Owszem, Formidzi nadal będą stanowić problem. Tym też trzeba będzie się zająć. Ale to wróg na później. W tej chwili ojciec się odsłonił i Lem nie zamierzał tego zlekceważyć.

Obciągnął kurtkę i wskazał drzwi.

– Miejmy to już z głowy – powiedział.

Simona odetchnęła z ulgą.

– Dobrze robisz, Lemie. Ludzie powinni o tym usłyszeć. I nie streszczaj się. Udramatyzuj to. Ludzie lubią dramaty.

– Możesz być spokojna. Będą obgryzać paznokcie.

ROZDZIAŁ 22

WRONY

Śluza powietrzna była mała, ale udało się do niej wcisnąć wszystkim piętnastu kobietom.

Rena przyciągnęła wewnętrzną klapę i zamknęła ją – odcinając je w ten sposób od ładowni – a następnie przekręciła koło i zabezpieczyła zamek. Teraz od próżni kosmosu oddzielały je tylko zewnętrzne drzwi umieszczone w przeciwległej ścianie.

– Sprawdźcie skafander osoby obok was – poleciła Rena. – Szukajcie dziurek, zadrapań, jakichkolwiek oznak pogorszenia struktury, zwłaszcza na zagięciach: na łokciach, pod pachami i pod kolanami. Sprawdźcie, czy wszystkie skafandry są szczelne.

Ich skafandry ciśnieniowe były nowsze i ładniejsze od wszystkiego, co kiedykolwiek miały na pokładzie „El Cavadora", ale nie zamierzała ryzykować.

Kobiety posłuchały jej bez wahania. Jeśli chodziło o sprzęt, nauczyły się ufać przywództwu Reny.

– Sprawdźcie poziom tlenu. Pokręćcie zaworami, musicie w razie konieczności mieć ręczną kontrolę nad dopływem powietrza. Wiedzcie, czym oddychacie. Monitorujcie mieszankę. Każcie hełmowi przeprowadzić pełną diagnostykę układu podtrzymywania życia. Jeśli któryś ze wskaźników biometrycznych się nie zgadza, jeśli wyczuwacie choćby najmniejszą usterkę sprzętu, zgłoście to teraz. Tym razem to nie ćwiczenia. To się dzieje naprawdę. Nie wolno nam popełnić żadnych błędów.

Za osłonami hełmów było widać ich twarze i Rena widziała, że wiele kobiet się denerwuje. Nie miała im tego za złe. Sama się bała. Większość z nich od dawna nie wychodziła w kosmos; górnictwem na „El Cavadorze" zajmowali się wyłącznie mężczyźni. Co gorsza, wrony nie używały węży układu podtrzymywania życia – czyli długich rur podłączonych na plecach do skafandrów, łączących człowieka ze statkiem. Na „El Cavadorze" wyjście na zewnątrz bez węża było samobójstwem, najbardziej niebezpieczną, lekkomyślną, głupią decyzją, jaką mógł podjąć górnik. Wąż doprowadzał do skafandra energię i powietrze, a jeśli był potrzebny szybki ratunek, bo człowiek znalazł się w kłopotach, za pomocą węża był wciągany z powrotem na statek.

Ale stosowanie węży przy odzyskiwaniu sprzętu było niemożliwe. Wraki stale się poruszały; kiedy wszyscy znaleźliby się już na pokładzie, węże plątałyby się, skręcały i zaginały. Poza tym wnętrza statków stanowiły labirynty; korytarze ciągnęły się we wszystkich kierunkach i węże z łatwością by się supłały. Istniało też ryzyko przecięcia węża przez ostre krawędzie na wraku.

Nie, przy takiej pracy lepsze były przenośne butle tlenowe i akumulatory. Jednakże te kobiety odbywały w przeszłości spacery w przestrzeni kosmicznej tylko podłączone do węży układu

podtrzymywania życia. Myśl o wyjściu w czerń bez liny asekuracyjnej była przerażająca.

– Nic nam nie będzie – zapewniła kobiety Rena. – Ćwiczyłyśmy to.

Przemieściła się do zewnętrznych drzwi i spojrzała przez iluminator na wrak po drugiej stronie. Trudno było określić typ tego statku. Broń obcych rozniosła w trakcie walki większą jego część w pył, zostawiając nietkniętą jedynie część rufową.

Rena odwróciła się do grupy i uniosła ręce nad głowę.

– Przeciągnijcie się. Do startu i lądowania mięśnie muszą być rozluźnione.

Kobiety posłuchały. Ugięły nogi, rozluźniły się. Rena poświęciła chwilę na inne rozmieszczenie niektórych narzędzi, które miała przymocowane do ramion i pasa. Arjuna obładował każdą z nich sprzętem do odzyskiwania urządzeń. Rena miała z sobą piłę tarczową, nożyce przemysłowe i kilkanaście innych narzędzi poutykanych po licznych kieszeniach skafandra.

W hełmach rozległ się głos Arjuny, który znajdował się na mostku, gdzie monitorował kobiety i śledził wrak.

– Śpieszcie się. Nie traćcie czasu na części niewielkiej wartości. Kiedy znajdziecie się w środku, przyjrzyjcie się wszystkiemu. Wyceńcie każdą sztukę. I pamiętajcie, że najcenniejsze części mogą nie znajdować się na wierzchu. Szukajcie rur, kabli, przewodów. Znajdźcie ich źródło. Oddzierajcie panele. Odsłońcie wszystko. A potem zacznijcie odcinać to, co jest warte najwięcej. – Powtarzał się. Wpajał im to od wielu tygodni. – I jak dużo dodatkowej długości dajecie?

Pytał o dodatkową długość kabli czy rur, wszystkich wymienialnych części, które prowadziły do danego urządzenia i przymocowywały go do statku. Przecięcie kabla zasilającego było w porządku. Przecięcie urządzenia nie.

Kobiety odpowiedziały chórem, niektóre ze znużeniem w głosie; powtarzały to już tyle razy.

– Co najmniej pół metra.

– Co najmniej – powtórzył Arjuna. – Co najmniej. Lepiej więcej. Ostrożności nigdy za wiele. Jeśli zostawicie za mało okablowania albo jeśli uszkodzicie sprzęt przy odcinaniu, powstaje złom. Nic za niego nie dostaniemy.

Rena spojrzała na prawo i zobaczyła obok siebie Abbi. Abbi przybyła na „El Cavadora” jako panna młoda z peruwiańskiej rodziny wolnych górników, która nigdy nie pozwalała swoim kobietom wychodzić w przestrzeń kosmiczną. Wyglądała na przerażoną.

– Trzymaj się blisko mnie – powiedziała Rena. – Wszędzie bądźmy razem.

Abbi skinęła z wdzięcznością głową.

Renie serce się krajało na myśl o niej. Kiedy został zniszczony „El Cavador”, Abbi straciła jedynego syna, Mono, i ta strata ją załamała. Od tamtej pory Abbi była obojętna, nieobecna. Rena usiłowała ją kilka razy pocieszać, lecz Abbi zawsze ją odtrącała. Wolała, żeby wszyscy zostawili ją w spokoju. Teraz jednak była przerażona i rozpaczliwie pragnęła towarzystwa.

– Będziemy pomagać sobie nawzajem – dodała Rena. – Nikt nie jest tu sam.

Abbi znowu skinęła głową i zrobiła dzielną minę. Przynajmniej się stara, pomyślała Rena.

– Będziemy mieli rozłożone sieci – rozległ się znowu głos Arjuny. – Kiedy odetniecie jakąś część, wynieście ją na zewnątrz i pchnijcie w stronę sieci.

Sieci te stanowiły wśród kobiet kwestię sporną. Arjuna rozkazał swojej załodze, aby obsługiwała sieci i chwytała odcięty sprzęt, a kobietom z „El Cavadora” kazał wejść do wraku i odzyskiwać jego cenne fragmenty.

– Chyba widzisz, co robi? – powiedziała wtedy Julexi. – Przydziela nam niebezpieczną pracę, a swojej rodzinie daje pracę lekką i bezpieczną.

– My potrafimy ciąć lepiej od nich – odparła Rena. – Znamy się na urządzeniach lepiej od nich. On to robi ze względów praktycznych. Będziemy się poruszać szybciej i w ten sposób odzyskamy więcej.

To była prawda, lecz nikomu się nie podobała.

– Widzicie, jak ona zawsze bierze jego stronę zamiast naszej? W oczach Reny Arjuna nie może zrobić nic złego.

To było śmieszne oskarżenie. Rena kilka razy sprzeczała się prywatnie z Arjuną i zwykle wygrywała, zdobywając to, czego potrzebowała rodzina. Nigdy jednak nie chwaliła się kobietom tymi drobnymi zwycięstwami. Nikt poza nią nawet nie wiedział, że do nich doszło. To by tylko umacniało w poglądach te kobiety, które wciąż narzekały, że się znalazły tutaj. Wykorzystałyby jej sprzeczki jako

dowód, że dołączenie do wron było błędem. Nie miało znaczenia, że do takich starć jak Reny z Arjuną dochodziło na wszystkich statkach. Nie miało znaczenia, że w ten sposób funkcjonują wszystkie rodziny. Na pokładzie „El Cavadora" było to na porządku dziennym. Ludzie się sprzeczali. Nie zgadzali się, jak powinno się robić to czy tamto. Rozważano przeciwstawne punkty widzenia. Dochodzono do kompromisów.

Jednak ludzie, jak Julexi, chyba o tym zapominali, kiedy tak bardzo chcieli znaleźć argumenty przeciwko sytuacji, w jakiej się znaleźli.

– Drzwi się otwierają za pięć… cztery… trzy… dwa… jeden – powiedział Arjuna.

Pojawiła się szpara i powietrze ze śluzy uszło w próżnię kosmosu. Rygle zostały cofnięte, uszczelka rozhermetyzowana i Rena pchnęła płytę drzwi, która wychyliła się na zewnątrz i odsłoniła rozpościerający się za nią nieskończony ogrom kosmosu. Powiedziała sobie, że wyjdzie pierwsza i da przykład pozostałym, pokaże im, że można to robić bez życiodajnych węży, że wszystko będzie dobrze.

Lecz sparaliżował ją strach. Czerń była studnią, do której wpadnie i będzie spadać bez końca. Czerń zabrała Segundo. Ją też zabierze.

– Na co czekasz? – spytała Julexi.

To było w równej mierze oskarżenie, co pytanie. Zupełnie jakby mówiła: Widzicie, jak się waha? Widzicie, jak się boi?

Właśnie takiej motywacji potrzebowała Rena, by przezwyciężyć strach. Przeciągnęła się przez otwór, postawiła stopy na kadłubie „Gagaka" i odepchnęła się w kierunku wraku, poruszając się nieco szybciej, niż było to konieczne do udowodnienia, że się nie boi.

Leciała prosto na płaską stronę kadłuba zniszczonego statku, którą uznali za najbezpieczniejsze miejsce do wylądowania.

Wiedziała, że pozostałe kobiety lecą za nią. Słyszała ich postękiwania i oddechy.

W ostatniej chwili dotknęła silników hamujących, które miała na plecaku; wypuściły serię krótkich dmuchnięć sprężonego powietrza i spowolniły ruch do przodu górnej połowy jej ciała. Tak jak miała nadzieję, dolna połowa nadal poruszała się w tym samym kierunku, w wyniku czego Rena obróciła się stopami do przodu. Wylądowała fachowo z włączonymi magnesami w butach i przytwierdziła się do statku, po czym szybko odwróciła się, zobaczyła zbliżające się kobiety i usunęła się im z drogi.

Następna była Abbi, ale nie wylądowała z takim wdziękiem. Nie zdążyła ustawić odpowiednio nóg, uderzyła w kadłub ramieniem i odbiła się od wraku. Odleciałaby w przestrzeń kosmiczną, ale Rena chwyciła ją za rękę i przyciągnęła z powrotem, a potem pomogła stanąć na kadłubie. Abbi oddychała ciężko i miała oczy szeroko rozwarte ze strachu, lecz podziękowała skinieniem głowy.

Julexi skręciła przy lądowaniu nogę i kiedy zbliżyła się Rena, żeby pomóc jej wstać, powstrzymała ją szorstkim ruchem ręki.

– Nie udawaj, że się mną przejmujesz. Nic mi nie jest.

Znalazły właz i weszły do środka; okazało się, że są w śluzie powietrznej ładowni. Było zupełnie ciemno i kiedy Rena omiotła pomieszczenie promieniem latarki, w odległości dwudziestu metrów zobaczyły dwa ciała. Spodziewały się tego, ale Rena i tak wstrzymała oddech. To byli mężczyźni. Jeden odwrócony tyłem, ale drugi jakby na nie patrzył ze zbolałą miną. Mieli na sobie ciężkie, niedobrane kombinezony, co oznaczało, że prawdopodobnie należeli do jakiegoś klanu; pracownicy korporacji mieliby mundury.

Kobiety zgromadziły się wokół Reny i wpatrywały się w ciała. Rena opuściła latarkę i spojrzała na towarzyszki.

– Wiedziałyśmy, że znajdziemy tu martwych. Nie zwracajcie na nich uwagi. Skupmy się na sprzęcie.

Szybki przegląd ładowni ujawnił rozmaite użyteczne narzędzia i ciężki sprzęt: kombinezony, hełmy, narzędzia górnicze, a nawet kilka robotów-kopaczy, które wyglądały na całkowicie sprawne i były warte fortunę. Większość tego wszystkiego była mocno przytwierdzona do podłogi, więc nie ucierpiała w czasie bitwy. Rena nawiązała łączność radiową z Arjuną i wyliczyła, co znalazły.

– Nieźle jak na twój pierwszy wrak, pani z „El Cavadora". Rozpościeramy sieci. Wyślę na dół kilku ludzi z linami i wciągarkami do przeniesienia robotów. A gdzie indziej?

– Jeszcze nie wyszłyśmy poza ładownię.

– Zostaw większość zespołu do odzyskania tego, co w niej znalazłyście, i wyślij kilka osób do sprawdzenia reszty statku. To duży wrak. Może w nim być więcej wartościowego sprzętu.

– Przyjęłam.

Abbi świeciła latarką na dwóch martwych mężczyzn.

– To chyba nie jest w porządku, Reno. Mamy okradać zmarłych? Oni byli górnikami jak my.

– Już odzyskiwaliśmy sprzęt z pustych statków. Dużo z tego, co mieliśmy na „El Cavadorze", pochodziło ze znalezisk.

– Tak, ale nigdy nie musiałam robić tego sama. A poza tym robiliśmy to, żeby utrzymać się przy życiu. Wrony robią to dla zysku.

– To się niczym nie różni, Abbi. Zawsze chodzi o przeżycie. Chodź, potrzebuję twojej pomocy.

Odciągnęła ją od ciał. Kilka kobiet wyjęło wiertarki i odkręcało śruby, którymi cenne urządzenia były przytwierdzone do pokładu.

– Julexi, Abbi i ja zbadamy resztę statku – powiedziała Rena. – Ty kierujesz odzyskiwaniem sprzętu z ładowni.

Julexi wyglądała na zaskoczoną, a potem zmrużyła podejrzliwie oczy.

– Dlaczego ja?

– Bo potrafisz sobie poradzić z takim dużym zadaniem.

Rena uznała, że Julexi pomoże świadomość, że i ona przyczyniła się do sukcesu odniesionego tego dnia. Arjuna zgodził się dać im trzydzieści procent zysku z odzyskanego sprzętu, więc łup wyrazi się okrągłą sumką. Oczywiście nie wystarczy do kupna własnego statku, ale będzie stanowić jakiś początek. Gdyby Julexi poczuła się za to odpowiedzialna, mogłoby to doprowadzić do naprawy ich stosunków.

– A więc my mamy pracować, a wy będziecie się bawić w poszukiwaczki? – oburzyła się Julexi.

– Nie będziemy się bawić – rzekła Abbi. – Będziemy szukać innych urządzeń. Po to tu przybyłyśmy.

Odpowiedź Abbi zaskoczyła Renę. Abbi zwykle aż nadto chętnie powtarzała narzekania Julexi, ale teraz chyba brała stronę Reny. Może walka wewnętrzna słabła.

– Jeżeli nic nie znajdziemy, jak najszybciej wrócimy do was – obiecała Rena.

Odepchnęła się w stronę drzwi po przeciwnej stronie ładowni, Abbi podążyła za nią. W korytarzu znalazły kolejne dwa ciała – kobiety mniej więcej w wieku Abbi i starego mężczyzny. Rena odepchnęła je, nie patrząc na twarze, i trupy odpłynęły pod przeciwną ścianę.

– Ty maluj, ja poprowadzę – powiedziała.

Bez węży i w nikłym świetle łatwo byłoby zabłądzić w labiryncie pomieszczeń, więc Arjuna dał im farbę w sprayu. Miały oznaczać mijane ściany i po tych znakach wrócić.

Abbi namalowała kółko na drzwiach, przez które przeszły, a Rena przemieszczała się wzdłuż korytarza, świecąc latarką na lewo i na prawo w poszukiwaniu użytecznego sprzętu. Przez pewien czas podążała za jakimiś rurami, ale okazało się, że zakręcają w górę i przebijają się przez sufit do następnego pokładu. Minęły kilka mniej wartościowych urządzeń – sprężarek, filtrów i oczyszczaczy – lecz Arjuna wydał im ścisłe instrukcje, żeby nie marnowały na nie czasu. Ich celem były urządzenia o znacznie większej wartości. Przepłynęły przez kilkoro drzwi, skręcając na prawo albo na lewo. Przy każdej zmianie kierunku Abbi malowała strzałki. Wielkość statku zaskoczyła Renę – z oddali wydawał się znacznie mniejszy.

Mijały kolejne ciała: mężczyzn, kobiet, niektóre młode, inne stare. Rena starannie unikała patrzenia na twarze. Zatrzymała się jednak, kiedy trafiły na młodą kobietę ściskającą coś ciasno owiniętego kocem. Na twarzy kobiety malował się wyraz powagi i rozpaczy, jakby właśnie skończyła się modlić. Rena nie odważyła się odciągnąć skraju koca; nie miała odwagi spojrzeć na martwe niemowlę.

Napisy na ścianach były po francusku, a ludzie wyglądali na Europejczyków. Rena mijała kolejne drzwi pomieszczeń mieszkalnych. Ich wnętrza zdobiły kolorowe farby, jasne tkaniny i portrety w ramkach, jakby wszyscy bardzo się starali uczynić swój zakątek statku jak najbardziej prywatnym i własnym. Znajdowały się tam hamaki, pojemniki z jedzeniem, zabawki i holoprojektory. Rena zobaczyła nawet kilka książek unoszących się w korytarzu.

Sądząc po wyglądzie statku, była to zamożna rodzina. Rena nie umiała określić, czy należała do dużego klanu, czy działała na własną rękę, ale tak czy owak dobrze jej się powodziło. Co jednak ważniejsze, była szczęśliwa. Rena widziała to w twarzach przedstawionych na portretach. Mężowie przytulali żony, dzieci trzymały się rodziców jak małpki drzew. Zupełnie jakby każdy portret zawierał całą miłość świata.

Pomyślała o Segundo. O swojej opoce, o swoim drugim ja. U jego boku nigdy się nie bała. Kiedy ją przytulał, znikał wszelki niepokój. Nie istniało nic, czemu nie mogliby stawić razem czoła, mogli znieść każdy ból, jeśli dzielili się brzemieniem. A jednak w chwili ostatecznej nie było jej przy nim. Został sam. Sam wydał ostatnie tchnienie.

Rena otworzyła drzwi do pomieszczenia technicznego i zobaczyła coś wartego odzyskania. W kącie znajdował się bardzo porządny

generator elektryczny. Generatory zwykle nie przynosiły dużo pieniędzy, ale ten wyglądał na nieuszkodzony i dość nowy. Miał najwyżej kilka lat i mógł pracować przez kolejne ich dziesiątki.

Zbliżyła się i zauważyła liczne śruby i łapy, którymi był przytwierdzony do ściany. Odcięcie go nie będzie łatwe, podobnie jak przeniesienie do ładowni – generator był wysoki i nieporęczny, manewrowanie nim w korytarzach będzie trudne.

Przez chwilę rozważała pomysł, żeby w ogóle go nie zgłaszać, ale myśl ta zniknęła równie szybko, jak się pojawiła. Powrót z pustymi rękami oznaczał gniew Julexi. Nie, Rena powinna udowodnić, że kiedy inne odzyskują sprzęt z ładowni, ona też przykłada się do pracy.

Włączyła nadajnik i zgłosiła generator, wysyłając zdjęcia i wideo bezpośrednio do Arjuny. Kapitan wron poprosił, by jak najszybciej sprowadziła generator na statek. Przymocowała latarkę do ściany i sprawdziła miernikiem prądu, że generator nie jest pod napięciem. Następnie odpięła od nogi piłę i wzięła się do pracy. Pomieszczenie było bardzo małe, więc Abbi czekała na korytarzu.

Ostrze z wizgiem przecinało stalowe wsporniki, strzelając iskrami w osłonę dłoni. Rena z łatwością przecięła pierwsze dwa wsporniki, ale trzeci i czwarty znajdowały się za generatorem i nie mogła ich dosięgnąć piłą. Trzeba odciąć je ręcznie. Odłożyła piłę i wyjęła piłkę do metalu. Miejsca było tak mało, że ledwie udało się jej wsunąć tam rękę. Kiedy sięgnęła piłką do wspornika za generatorem, nie miała nawet miejsca, żeby przekręcić hełm i zobaczyć, co robi. Macała piłką na oślep, aż znalazła wspornik i zaczęła ciąć. Wkrótce stało się jasne, że będzie to trwało wieki. Kiedy przerwała pracę, żeby złapać oddech, była zgrzana, spocona i zła.

Wezwała przez radio Abbi do pomocy.

Abbi nie odpowiedziała.

Rena spróbowała wywołać ją ponownie, ale wciąż nie otrzymywała odpowiedzi.

Wyjęła rękę z ciasnej przestrzeni i wyjrzała na korytarz. Abbi tam nie było.

– Gdzie jesteś?

– Tutaj – odpowiedziała Abbi cicho, jakby niedawno płakała.

– Gdzie?

– Korytarz po twojej lewej stronie.

Rena zostawiła latarkę przy generatorze. Skierowała się na lewo. Z jednego z pomieszczeń wylewało się światło ze skafandra Abbi. Kiedy dotarła do drzwi, zrozumiała, że to pomieszczenie dla chłopców. Na ścianach wymalowano statki górnicze i planety. Wzdłuż jednej ściany wisiało pięć dziecięcych hamaków. Wszędzie unosiły się plastikowe hełmy, piłki i pluszowe zwierzątka. Ku wielkiej uldze Reny nie było tu dzieci; może przed bitwą zostały przeniesione do innego pomieszczenia.

Abbi unosiła się pośrodku pokoju z ręczną wiertarką z plastiku w ręce. Nie podniosła wzroku.

– Mono miał taką – powiedziała cicho. – Kiedy mu ją daliśmy, była popsuta. Miał wtedy tylko dwa latka. Bawił się nią godzinami; latał po pokoju, wydawał dźwięki jak wiertarka i udawał, że wszystko odkręca. – Obróciła zabawkę w rękach. – Chyba dlatego chciał zostać mechanikiem. Miał tę głupią plastikową wiertarkę, a potem zobaczył, jak Segundo i Victor używają prawdziwej i oczy mu się zaświeciły.

Rena milczała.

– Zamierzał zostać mechanikiem – ciągnęła Abbi. – Ciągle mi to mówił. Zamierzał być taki jak Victor. Cały czas Victor to, Victor tamto. Zadawał mi więcej pytań o niego niż o własnego ojca.

Wypuściła wiertarkę z ręki; zabawka zawisła przed nią w powietrzu.

– Gdybym mu dała coś innego, jakąś inną zabawkę, wszystko ułożyłoby się inaczej. Nie zechciałby zostać mechanikiem. Nie wymknąłby się tamtego dnia. Zostałby ze mną. Nie byłoby go na „El Cavadorze".

Abbi spojrzała na Renę. W oczach miała łzy.

– Powinnyśmy były umrzeć z nimi. Powinniśmy umrzeć wszyscy.

– Oni tego nie chcieli, Abbi. Chcieli, żebyśmy przeżyły. Tak powiedział Segundo.

– Kogo obchodzi, co powiedział Segundo! Mono był dzieckiem! Umarł sam! Wszyscy inni byli poza statkiem. Na pewno się bał. Chciałby, żebym była przy nim.

Rena nie wiedziała, co powiedzieć.

– Ciągle nam powtarzasz: Somos familia , somos uno. Stanowimy rodzinę, stanowimy jedność, musimy się trzymać razem. Dlaczego nie trzymaliśmy się razem, kiedy było to najważniejsze? Dlaczego zeszłyśmy ze statku? Dlaczego wtedy nie stanowiłyśmy familia ?

Rena poruszyła się, żeby ją objąć.

– Abbi…

– Odejdź!

Rena ani drgnęła.

– Powiedziałam, idź stąd!

Rena posłuchała. Wróciła do pomieszczenia z generatorem. Nie podniosła piłki do metalu. Uświadomiła sobie, że się łudziła. Nie stanowiły familia. To umarło razem z Segundo, Mono, Pitoso i wszystkimi innymi. To, co mieli przedtem, zostało zniszczone na zawsze. Nawet gdyby pewnego dnia miały zdobyć inny statek, co to zmieni? Nadal brakowałoby im tej drugiej części samych siebie.

Zaskoczył ją szybki, gorączkowy głos z radia.

– Niech wszyscy natychmiast wracają na statek! – powiedział Arjuna. – Zostawcie to, co robicie, i wracajcie. W tej chwili!

– Co się stało? – zapytała Rena.

– Nie zadawaj pytań! Rusz się!

– Abbi i mnie zajmie to kilka minut. Jesteśmy głęboko we wnętrzu statku. Powiedz mi, co się dzieje.

Chwyciła latarkę i szybko popłynęła do pomieszczenia, w którym znajdowała się Abbi.

– Khalid – rzekł Arjuna.

– Khalid? Co to znaczy?

– To Somalijczyk. Sęp. Najgorszy ze wszystkich. Zbliża się. Zapewne usłyszał nasze przekazy. Zabije nas. Jak daleko jesteście?

Abbi wciąż znajdowała się w pokoju chłopców. Znowu trzymała w ręce plastikową wiertarkę.

– Dziesięć minut od ładowni – powiedziała Rena.

Trzeba było otwierać drzwi i przemierzać korytarze.

– Nie macie dziesięciu minut. Potrzebuję was na statku w tej chwili. Znajdźcie szybszą drogę.

– A jeśli nam się nie uda?

– Nie mogę na was czekać. Przykro mi. Pośpieszcie się. Dam wam pięć minut.

To się nie może dziać! Pięć minut!

– Abbi, ruszajmy. Musimy wracać.

Abbi nie podniosła wzroku. Rena podpłynęła do niej, chwyciła za ramiona i potrząsnęła.

– Ruszaj się! Musimy wracać!

– No to wracaj – powiedziała obojętnie Abbi i strząsnęła z siebie dłonie Reny.

Rena uświadomiła sobie, że Abbi się poddaje. Że postanowiła tu umrzeć.

– Słuchaj mnie! – Rena znowu chwyciła ją za ramiona. – Opuszczam ten wrak, a ty go opuszczasz razem ze mną.

Abbi odsunęła rękę Reny.

– Daj mi spokój.

Spróbowała się odwrócić, ale Rena nie zamierzała jej na to pozwolić. Chwyciła Abbi i cisnęła nią w stronę drzwi. Przy zerowym ciążeniu było to łatwe; w przeciwieństwie do Abbi Rena stała na podłodze.

Abbi obróciła się niezdarnie, ale chwyciła się framugi.

– Nie możesz mnie zmusić, więc nawet nie próbuj.

Miała rację, Rena nie mogła jej do niczego zmusić. Nie mogła zaciągnąć jej z powrotem na statek, gdyby Abbi kopała i opierała się całą drogę. Ale co mogła zrobić?

– Nie zostawię cię tutaj – oznajmiła Rena.

– No to umrzemy obie.

Rezygnacja w głosie Abbi była tak samo przerażająca jak zbliżające się sępy. Zupełnie jakby już była martwa. Nic jej nie przekona. Podjęła decyzję.

– Przepraszam, Abbi – powiedziała Rena.

– Że mnie zostawiasz? Nie przepraszaj.

– Nie, nie za to. Za to – odparła Rena, sięgnęła za hełm Abbi i wyszarpnęła rurkę dostarczającą tlen.

Abbi szeroko rozwarła oczy w panice, bo z jej hełmu uszło powietrze. Otworzyła usta, rozpaczliwie chwytając oddech, a potem straciła przytomność i głowa opadła jej na bok. Rena z powrotem wetknęła do zaworu rurkę doprowadzającą tlen i póki hełm Abbi napełniał się powietrzem, sprawdziła jej parametry życiowe. Serce biło, puls był słaby, lecz wyczuwalny. Rena wypchnęła ją na korytarz. Jeśli Abbi nie chce wrócić z własnej woli, trzeba ją zaciągnąć na statek. Pytanie tylko jak. Bezwładne kończyny sterczały na boki i zahaczały o rozmaite przeszkody, uderzały o ściany i drzwi. Poruszałyby się szybciej, gdyby Abbi przyjęła pozycję embrionalną.

Rena chwyciła zwinięty pas do uprzęży, który miała u biodra, i wyciągnęła kilka metrów taśmy. Zgięła Abbi w pasie i mocno przywiązała jej kolana do tułowia. Potem do kolan przywiązała ręce. Spojrzała na zegarek. Minęła już jedna minuta.

„Dam wam pięć minut”, obiecał Arjuna.

Rena spojrzała na lewo, w stronę, z której przybyły. Strzałka namalowana farbą w sprayu na ścianie na końcu korytarza wskazywała drogę powrotną do ładowni. To im zajmie dziesięć minut.

Spojrzała na prawo. Korytarz ciągnął się jeszcze dwadzieścia metrów i kończył się skrzyżowaniem z innym, prostopadłym korytarzem. Nie miała pojęcia, co znajdzie po lewej czy po prawej stronie. Może właz prowadzący na zewnątrz. Albo ślepą uliczkę.

„Dam wam pięć minut".

Odbiła się w prawo, w stronę nieznanego. Taśma przymocowana do jej biodra naciągnęła się i Abbi popłynęła za nią. Nie poruszały się wystarczająco szybko. Rena dotknęła przycisku napędu umieszczonego na kciuku rękawicy. Zrobienie tego w zamkniętej przestrzeni było szaleństwem. Wystrzeliła wzdłuż korytarza. Abbi uderzyła w ścianę, ale taśma ją pociągnęła. Rena wywołała na swój wyświetlacz parametry życiowe Abbi. Puls był. Tylko mi tu nie umrzyj, pomyślała.

Dotarła do końca korytarza. Abbi uderzyła ją w plecy i pchnęła na ścianę. Rena odzyskała równowagę; nic się jej nie stało. Spojrzała na prawo i na lewo w nadziei, że zobaczy właz prowadzący na zewnątrz. Nie zobaczyła. Następny korytarz ciągnął się dwadzieścia metrów w prawo i może czterdzieści w lewo. Spojrzała do tyłu. Daleko na końcu korytarza przyzywała ją i pokazywała drogę namalowana na ścianie strzałka.

„Dam wam pięć minut".

Ruszyła na lewo, zagłębiając się w ciemność, w labirynt statku, dalej od jedynej znanej jej drogi ucieczki. Pomyślała, że powinny były zostać na statku WU-HU. Julexi miała rację. Czego one szukają wśród wron? Umrze w tym wraku razem z Abbi i to będzie wyłącznie jej wina. Khalid i jego załoga znajdzie je tutaj i zrobi swoje, a rodzina załamie się jeszcze bardziej.

Albo, co gorsza, Khalid przejmie statek Arjuny i wszyscy zginą. Edimar, Lola, Julexi, dzieci, niemowlęta. Wszyscy.

Powinna była kierować się strzałkami. To byłby właściwy wybór.

Latarka zamigotała i zgasła, pogrążając je niemal w całkowitej ciemności – świeciła się tylko lampka w hełmie. Rena zaklęła i potrząsnęła latarką, żeby poruszyć bateriami i zmusić ją do działania. Popłynęła do przodu, właściwie na ślepo. Dziesięć metrów, dwadzieścia. Mocno uderzyła latarką o dłoń – tym razem zaświeciła.

Korytarz zakręcał w lewo. Rena przytrzymała się ściany, przygotowując się do zderzenia z Abbi. Pół uderzenia serca później Abbi odbiła się od jej pleców, a pianka w ich skafandrach zamortyzowała uderzenie.

Rena skręciła na lewo i znalazła… łazienkę.

To była ślepa uliczka. Żadnych drzwi prowadzących na zewnątrz. Żadnego wyjścia. Udały się w złym kierunku. Podjęła ryzyko i przegrała.

„Dam wam pięć minut".

Nie mogła prosić Arjuny, żeby na nią zaczekał. To by oznaczało śmierć wszystkich innych. Powinna mu powiedzieć, żeby odleciał. Już. Nie czekajcie na nas. Uciekajcie. Chrońcie dzieci, do cholery.

Chciało jej się płakać. Segundo powiedział jej, żeby żyła. Prosił ją, żeby utrzymała kobiety i dzieci razem. A ona wszystko zepsuła. Zawiodła. Nie umiała zrobić nawet tyle. Bez niego była niczym.

Abbi unosiła się obok Reny zwinięta w kłębek, obwiązana taśmami. Rena chciała ją kopnąć, a jednocześnie pragnęła też zwinąć się w kłębek i czekać na nieuniknione.

Włączyła radio i spokojnym głosem powiedziała:

– Arjuno.

Odpowiedział natychmiast.

– Gdzie jesteście? Pozostałe już wróciły. Musimy startować!

Pozostałe wróciły na statek. Przynajmniej one się stąd wydostaną. To nieco pocieszyło Renę.

– Lećcie – powiedziała.

– Co?

– Słyszałeś. Lećcie. Nie zdążymy. Obiecaj mi, że odstawisz je na jakąś stację. Obiecaj, że zapewnisz im bezpieczeństwo.

Milczał przez chwilę.

– Na moje życie, pani.

No, załatwione. Arjuna dotrzyma słowa. Familia, choćby nie wiadomo jak poraniona, przeżyje. Rena odepchnęła się lekko od ściany i skierowała tam, skąd przybyła. Taśma się napięła i Abbi, wciąż nieprzytomna, popłynęła za nią. Rena postanowiła, że razem z Abbi znajdą jakieś pomieszczenie i razem zaczekają na Khalida. Może z nim porozmawia i zaproponuje swoje usługi na statku. Może pirat pozwoli im obu pracować w zamian za darowanie życia.

Ale nie. Oszukiwała samą siebie. To sęp, zabójca. Nie będzie litości, nie zostanie przyjęta do załogi. Khalid zrobi to, co robią sępy.

Nie mogła walczyć z uzbrojonymi sępami. Nie miała żadnej broni i żadnych umiejętności. Pomyślała, że będzie musiała odciąć Abbi dopływ powietrza. Tym razem na dobre. To byłaby największa przysługa: pozwolić Abbi spokojnie odejść, zanim przybędzie Khalid i się z nią zabawi. Tak, pomyślała Rena. Odetnę jej dopływ powietrza, a potem odetnę go sobie.

Minęła pomieszczenie po lewej stronie. Zajrzała tam mimochodem i zauważyła na przeciwległej ścianie szafki z zaopatrzeniem. Nie zatrzymała się. Minęła drugie pomieszczenie. Znowu zajrzała do środka i zobaczyła, że na przeciwległej ścianie nie ma nic.

Nie było ściany.

Były gwiazdy. Miliony gwiazd. Na miejscu ściany widniała olbrzymia dziura. Pewnie ją minęła, kiedy zgasło światło.

– Zaczekaj! – wrzasnęła przez radio. – Zaczekaj!

Wcisnęła przycisk napędu. Wystrzeliła przez dziurę. Abbi popłynęła za nią. Otaczał je kosmos. Były wolne.

– Nie zostawiajcie nas! Wydostałyśmy się ze statku!

– Widzę was – odrzekł Arjuna. – Podchodzę.

„Gagak" był dużym, lecz zwinnym statkiem. Zanurkował w ich stronę i po chwili włączył silniki hamujące. Drzwi śluzy powietrznej były otwarte i znajdowały się trzydzieści metrów od Reny. Stała w nich Lola i machała do niej ręką.

– Teraz!

Rena przycisnęła guzik na kciuku. Wystrzeliła do przodu jak pocisk. W ostatniej chwili włączyła hamowanie, ale było już za późno. Mocno uderzyła w kadłub. Abbi wpadła na nią. Tym razem Rena straciła oddech i pomyślała, że odbije się w przestrzeń kosmiczną. Lola jednak była szybsza. Chwyciła Renę za rękę, wciągnęła je do środka i zatrzasnęła właz.

– Mam obie!

Statek zadrżał. Silniki ryknęły. Rena napięła mięśnie, gotowa walczyć z przyśpieszeniem. Jednak się nie pojawiło.

– Nie poruszamy się – powiedziała Rena do Loli.

Lola odwijała taśmy i uwalniała Abbi.

– To taka sztuczka. Pomóż mi ją rozwiązać.

Rena nie wiedziała, o co chodzi, ale nie oponowała. Rozwiązywały taśmy. Śluza napełniała się tlenem. A potem zgasły światła. Rena na chwilę wpadła w panikę. Statek jednak ruszył z miejsca. Poleciała do

tyłu w ciemność, szukając rozpaczliwie jakiegoś uchwytu. Znalazła go i się zatrzymała. Jej ciało przystosowało się do przyśpieszenia, znieruchomiało. W śluzie rozległ się brzęczyk, który oznaczał, że zakończyło się wyrównywanie ciśnienia i otworzył się właz wewnętrzny.

Renę zalało światło latarek. Kobiety czekały w ładowni i oświetlały drzwi. Pomogły Renie, Loli i Abbi przejść do ładowni, zdjęły im hełmy. Abbi już odzyskiwała świadomość. Żyła.

Chwilę później przybył z mostka Arjuna z własną latarką.

– Na razie jesteśmy bezpieczni.

– Co się stało? – zapytała Rena.

– Wystrzeliliśmy bombę termobaryczną i zgasiliśmy światła.

– Nie wiem, co to znaczy.

– Kiedy opuszczamy dane miejsce, gasimy światła. Nie zostawiamy śladu termicznego, niczego, co by pomogło sępom nas zlokalizować. One zawsze patrzą nie na wrak, tylko na statki, które się od niego oddalają. Zostawiamy więc silny ślad na jakimś prostym kursie, ale w chwili, kiedy wszystko gasimy, ostro zmieniamy kierunek, co utrudnia odgadnięcie, jaki obraliśmy kurs.

– Więc myślą, że polecieliśmy w inną stronę.

– Zostawiamy fałszywy ślad termiczny. Pokaże się on na przyrządach Khalida, jakby to był właściwy kierunek odrzutu silników, więc będą nas szukali w niewłaściwej części kosmosu.

– Nie wykryją rakiety, dzięki której zmieniliśmy kurs?

– Jej działanie jest bardzo skupione, więc można ją wykryć, jeśli jest się w wąskim stożku, podczas gdy bomba cieplna zostawia bardzo duży ślad. Wygląda on jak szybki impuls rakietowy. W rzeczywistości jednak nie zmienia naszej trajektorii, ponieważ przed wybuchem zostaje oddzielona od statku.

– Sprytne – rzekła Rena. – Zakładam, że wcześniej się udawało.

– Żyję, prawda?

Abbi już w pełni odzyskała przytomność. Otaczały ją i pocieszały pozostałe kobiety.

– I co teraz? – spytała Rena.

– Teraz zaczyna się prawdziwa praca. Teraz wszystko przeglądamy i pozbywamy się niechcianych rzeczy.

– Nie możemy tak po prostu wyrzucić w kosmos mało wartościowych przedmiotów – stwierdziła Rena. – To niebezpieczne.

Mogą w to wlecieć inne statki. Takie śmieci to odpowiednik miny lądowej.

– Nie jestem jak inne wrony, pani z „El Cavadora”. One mogą tak robić, ale nie my. My starannie umieszczamy niechciane przedmioty na powierzchni asteroid, żeby nie zostawiać za sobą szlaku śmieci zagrażających statkom.

Skinęła głową, po raz kolejny doceniając kapitana.

– Nie chciałem was tam przestraszyć. Khalid pojawił się nagle. Pewnie za nami leciał. Teraz już nie będzie. Cieszę się, że udało się wam wrócić.

– To jest nas dwoje – rzekła Rena.

– Nic ci się nie stało? Jak się czujesz, pani?

Renie serce wciąż waliło jak młotem.

– Żywa. Czuję się żywa.

ROZDZIAŁ 23

KAMUFLAŻ

Kiedy tylko ich prom znalazł się na tyle blisko Luny, że mogli wysyłać i odbierać przekazy, Victor wysłał laselinię do Yanyu. Na Imbrium wciąż trwała pora snu i kiedy Yanyu pojawiła się w holoprzestrzeni nad konsolą, była rozczochrana i zaspana. A potem uświadomiła sobie, że po drugiej stronie jest Victor z Imalą, i natychmiast się rozbudziła.

– Powiedziano nam, że zmierzacie w stronę pasa Kuipera.

– Zmierzaliśmy – odpowiedział Victor. – Sytuacja się zmieniła. Zawróciliśmy przy Ostatniej Szansie. Od siedmiu dni nie mieliśmy z nikim żadnego kontaktu. Opowiedz nam, co się dzieje. Nie wiemy, do kogo oprócz ciebie moglibyśmy się zwrócić.

– Macie się gdzie zatrzymać?

– Właściwie to nie – odparła Imala.

– Zapraszam do siebie. Gdzie zacumujecie? Przyjadę po was.

– Nie chcemy się narzucać – powiedziała Imala.

– Musicie zatrzymać się u mnie. Który port?

– Jeszcze nie przechwyciło nas Sterowanie Lunarne. Możemy wybrać port najbliższy ciebie, chociaż wolelibyśmy nie cumować w porcie należącym do Juke. Mieliśmy doprowadzić ten prom do Midway.

– Jest port publiczny na południe od Starego Miasta przy placu Covington. Wiesz, gdzie to jest?

– Tak – odparła Imala.

– Spotkajmy się tam za godzinę – zaproponowała Yanyu.

Imala poleciała w stronę Starego Miasta, a na resztę drogi przejęło ich Sterowanie Lunarne. Zacumowali, zeszli na ląd i znaleźli Yanyu w całonocnej kawiarni, ubraną i doprowadzoną do porządku. Zajęli boks z tyłu, z dala od innych klientów.

– Odlecieliście bez pożegnania – powiedziała Yanyu.

– Ukko chciał nas odesłać natychmiast – wyjaśnił Victor.

– Tak przypuszczaliśmy. Nie chciałby, żebyście mówili o Lemie. Po waszym odlocie do doktora Prescotta i do mnie przyszli prawnicy. Kazali podpisać umowy o nieujawnianie informacji; zobowiązały nas do tego, że nigdy nie będziemy mówić o Lemie ani o żadnym ataku, jakiego mógł się dopuścić jego statek.

– Czy to jest prawnie wiążące? – spytała Imala.

Yanyu wzruszyła ramionami.

– Moglibyśmy dowodzić, że podpisaliśmy je pod przymusem, ale to i tak nie miałoby znaczenia. Sprawa nigdy nie trafiłaby do sądu.

– Przykro mi, że zostałaś w to wplątana – powiedział Victor.

Znowu wzruszyła ramionami.

– Nie myślę o tym. Są ważniejsze sprawy.

– Opowiedz nam o ostatnich siedmiu dniach – poprosiła Imala.

Yanyu zmarszczyła brwi.

– Najpierw był atak jądrowy.

Victor i Imala zesztywnieli.

– Na statek bazę? – zapytała Imala.

– Nie ma co się ekscytować. Nie powiódł się. Formidzi zniszczyli pociski na długo przedtem, nim dotarły do statku. Trafili w nie z dział i bomby eksplodowały. Podmuch promieniowania elektromagnetycznego zniszczył dziesiątki satelitów i uszkodził dużą część istniejącej sieci łączności. To cud, że Luna może się wciąż kontaktować z Ziemią. Zniszczeniu mógł ulec cały system.

– Formidom nic się nie stało? – spytała Imala.

– Nic, co moglibyśmy wykryć. I robi się coraz gorzej. Wczoraj Stany Zjednoczone i kilka innych państw zaatakowały statek bazę przy użyciu floty ponad pięćdziesięciu statków załogowych. Im też się nie powiodło. Teraz wokół statku bazy unoszą się szczątki

zniszczonych statków i promów. Zginęło kilka tysięcy ludzi. To było straszne.

– Dlaczego szczątki zbierają się wokół statku Formidów? – zapytał Victor. – Po zniszczeniu statków powinny rozprzestrzenić się we wszystkich kierunkach.

– Statek Formidów otacza jakieś pole – wyjaśniła Yanyu. – Jest w jakimś stopniu magnetyczne. Nie na tyle silne, by wychwycić wszystko, ale drobniejsze kawałki przyciąga. Tam na górze zrobił się straszny bałagan. Pole szczątków jest grube na kilkaset klików.

– Czy Formidzi doznali jakichkolwiek uszkodzeń? – zapytała Imala.

– Chyba nie. Jest kilka śladów po ogniu laserów, ale nie dostrzegliśmy żadnych uszkodzeń strukturalnych. A dla nas to była masakra. Ludzie nazywają to końcem jakiejkolwiek kosmicznej ofensywy na dużą skalę.

– A co z Chinami? Jak wygląda sytuacja na lądzie?

– Strasznie – powiedziała cicho Yanyu. – Ocenia się, że zginęły ponad dwa miliony ludzi, a wojsko nie odniosło żadnego znaczącego zwycięstwa. Trzy lądowniki wciąż stoją. Siły powietrzne strzelały do nich wszystkim i żaden atak się nie powiódł. Teraz Formidzi usypali góry biomasy z roślinności, martwych zwierząt i ludzkich trupów. W sieciach jest mnóstwo makabrycznych zdjęć. Proponuję, żebyście ich nie oglądali.

– Miałaś wiadomości od swojej rodziny? – spytała Imala.

Yanyu skinęła głową.

– Matka i ojciec uciekli z Guangzhou do Wietnamu na statku handlowym. Stamtąd polecieli do Londynu. Udało im się wydostać z Chin tylko dlatego, że są zamożni. Wszyscy moi znajomi i dalsza rodzina nadal są w Chinach. Ojciec usiłuje wydostać stamtąd, kogo się da, ale statków jest niewiele, a cena za miejsce na pokładzie rośnie z dnia na dzień. Co rano w stoczni gromadzi się tysiące ludzi, lecz wypływa tylko kilka statków. Tłum staje się niebezpieczny. Ludzie dosłownie zabijają się między sobą, żeby tylko dostać się na statek.

– Instynkt przetrwania – odezwał się Victor. – Rodzice robią wszystko, by ocalić dzieci.

– To jest zbyt okropne, żeby nawet o tym myśleć – rzekła Yanyu. – To nie są Chiny, jakie pamiętam.

– Co jeszcze słyszałaś? – zapytała Imala.

– Nic dobrego. W sieciach mam wielu znajomych z Chin. Przesyłają mi zdjęcia i filmiki ze zniszczeń. Kiedyś otwierałam załączniki, teraz już tego nie robię. Niektórzy znajomi z sieci od kilku tygodni nie odpowiadają na moje e-maile ani się nie logują. Nie wiem, czy jeszcze żyją. – Zamgliły jej się oczy, ale głos miała spokojny. – Czuję się kompletnie bezradna. Mój kraj płonie, a ja nie mogę nic zrobić. Nie mogę się nawet zaciągnąć do wojska. – Uniosła koślawą rękę. – Próbowałam, ale nie chcieli mnie przyjąć.

– Zaprowadź mnie do biura werbunkowego – poprosił Victor. – Dlatego wróciłem. Chcę się włączyć do walki.

Yanyu była zaskoczona.

– Co ty możesz zrobić? Nie jesteś Chińczykiem. Mój kraj nie wpuszcza innych żołnierzy, a tutaj walka się skończyła.

– Został zniszczony mój rodzinny statek. Zginął mój ojciec i połowa rodziny. Zabili ich Formidzi. Nie zamierzam patrzeć, jak zabijają innych. Zamierzam ich powstrzymać.

Yanyu sięgnęła przez stół i ujęła go za rękę.

– Współczuję ci tej straty, Victorze.

Jej dotyk i łagodny ton głosu doprowadził go niemal do łez. Od wielu dni głęboko skrywał wszystkie myśli o ojcu. Były zbyt bolesne. Ojciec nie żył. Dzień za dniem obaj byli cały czas z sobą, odbijając się od ścian statku i dokonując napraw; razem się uczyli, śmiali, czasami się sprzeczali, ale zawsze potem przepraszali się nawzajem. Zawsze razem. Nawet matka nie spędzała z ojcem tyle czasu.

A teraz ojca nie było.

Victor zastanawiał się, jak matka sobie z tym radzi. Czuł się winny, że nie pośpieszył z powrotem i nie poszukał jej oraz pozostałych kobiet i dzieci na statku WU-HU. Czy nie było to jego obowiązkiem jako ostatniego żyjącego mężczyzny? To, że nie wrócił, było jak porzucenie matki, prawda? Potrzebowała go. Bez ojca na pewno jest załamana.

Wiedział jednak, że matka ma mocniejszy kręgosłup od niego. Tylko ona mogła utrzymać razem kobiety i dzieci. Nie potrzebowała do tego pomocy Victora. W gruncie rzeczy by jej przysporzył kłopotu, bo to ona pocieszałaby jego, a nie na odwrót.

Taki miała dar. Ojciec naprawiał zepsute urządzenia, matka naprawiała zepsutych ludzi.

– Chodźcie – powiedziała Yanyu. – Zawiozę was.

Pojechali szynowcem do centrum Starego Miasta, gdzie znajdowały się biura werbunkowe. Wysiedli przy budynku NATO i stanęli w sztucznym blasku słońca.

– Chcesz, żebym poszła z tobą? – zapytała Yanyu.

– Nie, dam sobie radę sam.

– Zaczekamy tutaj. Potem zawiozę was oboje do mnie. Nie wyprawią cię z Luny co najmniej przez kilka dni.

– Jeśli mnie wyprawią, chcesz powiedzieć.

– Myśl pozytywnie – rzekła Imala. – Świat znajduje się w rozpaczliwej sytuacji. Byliby szaleni, gdyby nie przyjęli kogoś z twoimi talentami.

Victor wszedł do budynku i powiedział kobiecie w recepcji, po co przyszedł. Skierowała go do pokoju, gdzie czekała garstka mężczyzn mniej więcej w jego wieku. Minęła godzina, w ciągu której przybyło jeszcze kilku ochotników. Reprezentowali wszelkie narodowości. Niektórzy byli ładnie ubrani. Inni mieli na sobie niedopasowane znoszone ubrania, co stanowiło normę wśród rodzin wolnych górników.

W końcu do pokoju wszedł żołnierz w mundurze.

– NATO nie przyjmuje przypadkowych ludzi – zaczął. – Przyjmujemy tylko wyszkolonych żołnierzy. Nasze siły wywodzą się z armii krajów członkowskich. Nie możemy więc przyjąć do służby wszystkich z was. Jednakże za tamtymi drzwiami znajdują się oficerowie do spraw rekrutacji ze wszystkich krajów członkowskich. Możecie się zaciągnąć do ich armii i po ukończeniu szkolenia poprosić o przeniesienie do sił NATO. Jeśli nie jesteście obywatelami żadnego państwa, jeśli nie macie aktu urodzenia, to obawiam się, że nie przyjmie was żaden kraj. Proszę wyjść tędy. – Wskazał drzwi, którymi weszli. – Proszę zostawić kobiecie przy biurku kontakt do siebie. Jeśli nasze zasady się zmienią, spróbujemy się z wami skontaktować.

– W jaki sposób? – spytał Victor. – Mój statek został zniszczony, a w ogóle to jak skontaktowalibyście się ze statkiem? Łączność w większości nie działa.

– Przykro mi, tak mi kazano powiedzieć.

– Czyli kazali panu wyprosić urodzonych w kosmosie.

W pokoju zapanowała cisza. Żołnierz nie odpowiedział.

– I w ogóle jakie znaczenie ma obywatelstwo? – ciągnął Victor. – Ludzie na Ziemi giną. Myśli pan, że obchodzi ich, czy ci, co ich ratują,

mają akt urodzenia?

– Nie ja tworzę zasady.

– Nie, pan tylko zgodnie z nimi postępuje. Pozwoli pan, by świat uległ zagładzie z powodu jakichś durnych przepisów.

– Z całym szacunkiem, przyjacielu, jedna osoba nie powstrzyma zagłady świata.

Victor już stał.

– Z całym szacunkiem, przyjacielu, mylisz się.

Wyszedł przez drzwi i minął recepcję, nie zatrzymując się.

Na zewnątrz Imala i Yanyu natychmiast spostrzegły, że mu się nie udało.

– Dobrze się czujesz? – spytała Imala.

Cała wściekłość i rozczarowanie Victora wyparowały, zastąpił je wstyd.

– Nie jestem nawet obywatelem drugiej klasy, Imalo. Jestem nikim.

– Nieprawda – stwierdziła Yanyu. – Jesteś obywatelem pierwszej klasy. Przyjacielem pierwszej klasy. Chodź. Zrobię ci ciasteczka z rzepy. Wprawią cię w dobry humor.

Ciasteczka z rzepy? Nie brzmiało to obiecująco. Victor uśmiechnął się jednak najładniej, jak umiał, żeby zrobić jej przyjemność, i poszedł za dziewczynami do wolnego szynowca.

* * *

Mieszkanie Yanyu było ciasne, ale dobrze zorganizowane, ozdobione drobiazgami i grafikami z Chin. Do ciasteczek z rzepy było dużo innego jedzenia – smażone kluseczki z kiełkami soi, kleik ryżowy z suszoną siekaną wieprzowiną i słodka herbata, a wszystko w zapieczętowanych pojemnikach z magnesami, dzięki którym trzymały się stołu. Victor nigdy nie pomyślałby o nich jak o potrawach na śniadanie, ale smakowały znakomicie.

Ciasteczka z rzepy, jak obiecała Yanyu, rzeczywiście wprawiły go w dobry humor. To były grube, smażone na patelni, kwadratowe ciasteczka ryżowe napełnione kiełbasą i szynką z Jinhua. Victor zjadł ich cztery, zanim Yanyu wyjaśniła, że właściwie nie są zrobione z rzepy.

– No to dlaczego nazywają się ciasteczkami z rzepy? – zapytał Victor.

Wzruszyła ramionami.

– A dlaczego Amerykanie nazywają hamburgerami coś, co jest zrobione z wołowiny, a nie wieprzowiny?

– Racja – przytaknęła Imala.

Kiedy zjedli i umyli naczynia, Yanyu zapytała:

– Co teraz będziecie robić?

– Jeśli nie chce nas przyjąć żadna armia, stwórzmy własną – powiedział Victor. – My troje.

– Co może zrobić Formidom troje ludzi? – spytała Yanyu.

– Opowiedz nam jeszcze o wczorajszym ataku na statek bazę – poprosił Victor. – Co dokładnie zrobili Formidzi?

– Zwyciężyli. Strzelali do wszystkiego, co się ruszało. Ludzie wyszli na głupców.

– Masz jakieś filmy z tego ataku?

– Nagraliśmy obraz urządzeniami Juke Limited. – Yanyu odepchnęła się od stołu i skoczyła księżycowym krokiem do pokoju dziennego, gdzie wywołała na holoekran kilka plików wideo. – To bardzo przygnębiające.

Victor zaczął uważnie oglądać filmiki. Atak był dobrze skoordynowany. Pierwsza fala wzięła na cel generatory osłon oraz inne cele obronne na powierzchni statku, ale rakiety wystrzelone ze statków wybuchły przed dotarciem do statku bazy po zderzeniu z jego osłoną. Jednakże przebił ją ogień laserów i to chyba spowodowało, że do przodu rzuciły się promy. Jakakolwiek nadzieja na zwycięstwo została rozwiana chwilę później, bo z powierzchni statku Formidów ze wszystkich stron wystrzeliła plazma i w niecałą minutę zlikwidowała ludzką flotę.

– Zupełnie jakby się nawet nie starali – rzekła Imala. – My używamy wszystkiego, co mamy, a oni nas lekceważą.

Victor odtworzył obraz ponownie. Przy drugim oglądaniu polecił komputerowi, by monitorował prędkości statków, kąty podejścia i liczbę oddanych strzałów. Przy trzecim oglądaniu dostrzegł prawidłowość. Przy czwartym nabrał pewności, że ma rację.

– Spójrzcie na to. – Zaczął odtwarzać wideo jeszcze raz, tym razem ze zwolnioną prędkością. – Otwory na powierzchni statku Formidów odsłaniają się, ale najpierw namierzają najszybsze statki.

– Ja bym zrobiła tak samo – stwierdziła Yanyu. – Najszybsze statki dotrą do nich najszybciej, a zatem stanowią największe zagrożenie.

– O to chodzi – rzekł Victor. – Niektóre z tych szybkich statków nawet nie zmierzają w stronę Formidów. Kilka z nich leci po łuku, ustawia się na pozycji, przygotowuje do ataku z innego kierunku. Ich trajektoria wskazuje, że lecą do miejsca w przestrzeni po drugiej stronie statku. Kilka z nich nawet jeszcze nie strzela.

– O co ci chodzi? – spytała Imala.

– Nie ma to sensu taktycznego. Ludzie broniliby się inaczej. Namierzylibyśmy te statki, które stanowią największe, najbardziej bezpośrednie zagrożenie, tak? Statki, które strzelają. Formidzi tego nie robią. Oni namierzają statki, które poruszają się najszybciej.

– Zniszczyli wszystkie nasze jednostki – stwierdziła Imala. – Czy to ma znaczenie, w jakiej kolejności?

– To ma wielkie znaczenie. – Victor przyśpieszył wideo do końca bitwy. – Popatrz. Statki zniszczone na końcu poruszały się najwolniej. A mimo to niektóre z nich trafiają statek Formidów ogniem laserów. A więc Formidzi najpierw zniszczyli statki, które nie strzelały, a dopiero potem te, które strzelały.

– I co to znaczy? – spytała Imala.

– To, że ich obrona jest w jakiś sposób oparta na wykrywaniu ruchu. Zidentyfikowali wszystkie statki i zniszczyli je w kolejności według prędkości, z jaką się poruszały. Co znaczy, że gdyby jakiś statek poruszał się wystarczająco powoli i nie rzucał się w oczy, mógłby dotrzeć do statku Formidów.

– To nie ma sensu – stwierdziła Imala. – Jeśli zbliżałby się do statku, znajdowałby się w ruchu. To by uruchomiło czujniki Formidów.

– Nie, jeśli poruszałby się bardzo, bardzo powoli. Spójrz na szczątki wokół statku bazy. Większość tego, co zostało ze zniszczonych statków, zniknęła, bo po eksplozji oddaliła się ze stałą prędkością. Ale statek wciąż otaczają setki fragmentów. I żaden nie pozostaje w całkowitym bezruchu. Wszystkie wirują albo dryfują, więc wykazują pewien ruch. A mimo to Formidzi do nich nie strzelają. Dlaczego?

– Bo to nie są statki – odparła Imala. – To szczątki. Nie stanowią już zagrożenia.

– Właśnie. Znajdują się w ruchu, ale są lekceważone, bo to szczątki.

– Vico, coś nam chcesz dać do zrozumienia, ale my nie łapiemy.

– To jest odpowiedź – rzekł Victor. – Tak mogę dotrzeć do statku Formidów.

– Jak?

– Zamaskowując maleńki prom, żeby wyglądał jak fragment rozbitego statku, i doprowadzając go bardzo powoli, jakby dryfował, do samej powierzchni statku. Wtopiłby się między dryfujące szczątki. Formidzi by go zlekceważyli. A jeśli ruch będzie wystarczająco wolny, ich czujniki go nie wykryją.

– Teoretycznie – stwierdziła Imala. – Nie wiesz, jak są czułe.

– W gruncie rzeczy mamy o tym dość spore pojęcie. Mój ojciec i wszyscy mężczyźni z „El Cavadora" oraz ludzie Lema dotarli na powierzchnię statku. W jaki sposób? Dopasowując prędkość statków do prędkości statku Formidów, co znaczyło, że ich statki wydały się Formidom nieruchome. I, co ważniejsze, z jakiegoś powodu ci ludzie przeszli przez osłonę. Ja się mogę dostać na ten statek, Imalo.

– I co tam zrobić? Wysadzić go? Twoja rodzina już próbowała. Nie udało się.

– Moja rodzina próbowała go uszkodzić z zewnątrz. Nikt nie przedostał się do wnętrza.

– Więc chcesz się dostać do środka? Jak?

– Jeszcze nie wiem. Właśnie przyszło mi to do głowy. Coś wymyślę.

– Zdaję sobie sprawę, że jesteś zdenerwowany, bo nie możesz się zaciągnąć do wojska, ale spróbujmy myśleć rozsądnie. Twoja propozycja równa się samobójstwu. Nie mamy sprzętu. Nie mamy promu. Nie mamy dla niego kamuflażu. I na pewno nie mamy broni do uszkodzenia wnętrza statku Formidów, gdybyś jakimś cudem zdołał się tam dostać.

– Co jest z wami, ludźmi z planety? Cały czas tylko mówicie, czego nie da się zrobić. Nie mamy tego. Nie możemy zrobić tamtego. To wbrew przepisom. A wiecie co? My tak właśnie żyjemy, Imalo. Tak myślą wolni górnicy. Jeśli pojawia się jakiś problem, nie siedzimy bezczynnie i nie wyszukujemy, czego nie da się zrobić, tylko coś robimy. Znajdujemy sposób na rozwiązanie problemu i go rozwiązujemy.

Imala założyła ręce na piersi.

– Ty i ja jesteśmy w tym samym zespole, Vico. Poniosłam dla ciebie ofiary i strofowanie mnie niczemu nie służy. Wszystko, co powiedziałam, to prawda. Może ci się to nie podobać, ale takie są

fakty. Naprawdę nie mamy sprzętu. To, że kwestionuję twój pomysł, nie oznacza, że nie mam racji. Chcesz mi powiedzieć, że wszystkie pomysły wolnych górników są dobre?

– Nie. Oczywiście nie.

– No to zamiast się sprzeczać, przemyślmy to.

Victor odetchnął.

– Masz rację. Przepraszam.

Imala zwróciła się do Yanyu.

– Czy obserwatorium ma jakiś prom, który moglibyśmy wykorzystać?

– Myślałem, że odrzucasz ten pomysł – rzekł Victor.

– Zastanawiam się, czy jest wykonalny. Usiłuję ci pomóc.

– Nie, żadnego promu – powiedziała Chinka. – Czasami trzeba zrobić przegląd urządzeń, ale od tego jest ekipa dokonująca napraw. Ona ma własne promy. Nigdy ich nie widziałam. Nie wiem, jak można zdobyć któryś z nich.

– A co z promem Juke? – spytał Victor. – Tym, którym właśnie zacumowaliśmy?

Imala pokręciła głową.

– On już jest w systemie. Nie mamy zezwolenia na ponowne wejście na pokład ani na udanie się nim dokądkolwiek. Firma nie pozwoliłaby się nam do niego zbliżyć. A w ogóle to jak chciałbyś zamaskować prom? Może zacznijmy od tego.

– Kosmicznymi śmieciami – odparł Victor. – Wokół Ziemi orbitują stare satelity, wycofane z użycia stacje kosmiczne, odrzucone części promów. Po prostu zgarniemy trochę tego i przyspawamy na całej powierzchni promu, żeby wyglądał jak duży kawałek zniszczonego statku.

– Przyspawamy? – zapytała Imala. – Kto pożyczy nam prom, a potem pozwoli go zniszczyć przez przyspawanie do niego śmieci?

Victor wzruszył ramionami.

– Nie wiem. Mam trochę pieniędzy. Może kupimy używany.

– Nie wystarczy ci tego, co masz. To nie jest nawet ułamek tego, czego byśmy potrzebowali. Sprawne promy są drogie. Nawet stare. A teraz toczy się wojna i ludzie wpadli w panikę, więc można się założyć, że ceny promów bardzo skoczyły w górę. Dałabym ci wszystko, co mam na koncie, ale i tak to by było za mało. A jeszcze trzeba kupić paliwo potrzebne do zebrania złomu. Prawdopodobnie

kosztowałoby tyle samo co prom. To dobry pomysł, Vico, ale nie mamy pieniędzy na jego realizację.

– Też bym ci dała wszystko z mojego konta – rzekła Yanyu. – Może inni w obserwatorium również by się dorzucili.

Victor i Imala wymienili się spojrzeniami.

– Warto spróbować – powiedziała Imala. – Ale nadal nie sądzę, by to wystarczyło.

– Porozmawiam z ludźmi – zadeklarowała Yanyu.

Podskoczyła do holoprzestrzeni i zaczęła wypytywać współpracowników. Kilkoro obiecało wsparcie finansowe, ale większość była sceptyczna i grzecznie odmówiła. Mieli to samo zastrzeżenie co Imala. Kiedy prom dotrze do statku Formidów, to co dalej? Po co inwestować w prom, jeśli nie można nic zrobić po dotarciu na miejsce? Imala przez ten czas szukała w sieciach promów na sprzedaż, coraz bardziej się przekonując, że na żaden nie będzie ich stać.

Po zakończeniu rozmów Yanyu i Imala porównały swoje dane. Wciąż dużo im brakowało. Nie mieli nawet dość pieniędzy, żeby kupić choćby kadłub używanego promu. Bez silnika, bez przyrządów pilotażowych. Sam kadłub.

– Potrzebujemy ofiarodawcy – stwierdziła Imala. – Kogoś, kto dysponuje odpowiednimi środkami. Kogoś, kto mógłby nam dać statek i broń.

– Jeśli myślisz o Ukko Jukesie, to uprzejmie ci przypomnę, że chce się nas pozbyć – rzekł Victor. – On nas praktycznie zesłał do pasa Kuipera.

– Nie Ukko, tylko Lem.

– Nie ma mowy. On jest mordercą, Imalo. Uszkodził statek mojej rodziny. Usiłował mnie zabić.

– Później pomógł twojej rodzinie.

– Porzucił ją. Zostawił ją, by zginęła.

– On ma to, czego nam trzeba, Vico. I tak samo jak my chce się pozbyć Formidów.

– Nawet nie wiemy, czy jest na Lunie. Kiedy odlatywaliśmy z Ostatniej Szansy, wciąż tam był.

– Sprawdziłam to, kiedy Yanyu rozmawiała przez holo. Przyleciał kilka dni temu. Podali to we wszystkich wiadomościach.

– Jemu nie można ufać, Imalo.

– Jeśli chodzi o twoją rodzinę, przyznał się do winy. A nie musiał. Powiedział prawdę.

– Swoją wersję prawdy. A to nie czyni z niego sprzymierzeńca.

– Sprzymierzeńcem jest każdy, kto chce zniszczyć Formidów. Nie podoba mi się to tak samo jak tobie. Moim zdaniem on jest równie odpychający jak Ukko, ale jeśli zdołamy go przekonać do współpracy, może zdobyć dla nas to, czego nam trzeba.

– On tylko przejmie nasz pomysł i sam to zrobi.

– Tym lepiej – stwierdziła Imala. – Niech podejmie to ryzyko, jeżeli zechce. Nie ma znaczenia, jak zostaną pokonani Formidzi. Chodzi tylko o to, żeby ich zniszczyć.

Victor przez chwilę milczał.

– Jeśli odmówi, chcę dostać pozwolenie na uderzenie go pięścią w twarz.

– Jeśli odmówi, będziesz musiał stanąć w kolejce – odparła Imala.

* * *

Lem zgodził się na spotkanie w staromiejskim ogrodzie botanicznym godzinę po jego zamknięciu. Imala zaproponowała, żeby Yanyu została w domu i nadal szukała promu w rozsądnej cenie.

Victor i Imala przybyli na miejsce o umówionej godzinie; mężczyzna przy bramie odprowadził ich przez ogród różanecznikowy do ławki pod dziką jabłonią i tam ich zostawił. Lem jeszcze nie przyszedł, więc usiedli i czekali.

Imala pokazywała Victorowi wszystkie kwiaty, które znała. Ścieżka obok nich była wysadzana rododendronami. Białymi, różowymi, koralowymi, fioletowymi. Na sztucznym wietrze kołysały się łagodnie olbrzymie krzaki bzu, a ich fioletowe kwiaty wydzielały słodką woń, która mieszała się z zapachami wilgotnej ziemi, trawy i innych kwiatów; była tak mocna i obca Victorowi, że trochę go od niej mdliło.

Lem przyszedł dziesięć minut później ze świtą ochroniarzy, którzy zatrzymali się w pewnej odległości, i leniwie rozsiadł się na ławce naprzeciwko.

– Dlaczego chciałeś się z nami spotkać tutaj? – zapytała Imala. – Dlaczego nie w bardziej publicznym miejscu?

– Bo nie chce być widziany w towarzystwie brudnego wysysacza skał – rzekł Victor.

Imala położyła mu uspokajającym gestem dłoń na kolanie.

– Dokądkolwiek się udaję, atakują mnie paparazzi – powiedział Lem. – To denerwujące. Pomyślałem, że nie będziecie chcieli, żeby szturchano was w twarze aparatami fotograficznymi.

– Tak, jesteś teraz wielkim bohaterem – stwierdził Victor. – Obejrzeliśmy po południu kilka wywiadów z tobą. Byłeś bardzo dzielny, porzucając wolnych górników. Gdzie znalazłeś do tego odwagę?

Lem przewrócił oczami.

– Prosiliście o spotkanie, żeby mnie obrażać? Bo ja naprawdę nie mam czasu. – Wstał.

– Nie, nie dlatego – odezwała się Imala. Zgromiła wzrokiem Victora, który uniósł ręce w geście kapitulacji.

Lem usiadł wygodniej.

– Posłuchajcie, niezależnie od waszych zamiarów chciałbym zacząć od wyjaśnienia, że firma ma najlepszy zespół prawników na świecie. Jeśli chcecie mnie szantażować, popełniacie błąd. To się wam nie uda. Mój ojciec nigdy do tego nie dopuści. Jeśli pójdziecie do prasy, zostaniecie zlekceważeni. Jeśli umieścicie cokolwiek w sieciach, zostanie to usunięte, a was będzie czekać proces sądowy, który zagwarantuje wam bardzo ponurą przyszłość finansową. Wierzcie mi. Wiem, jak działa mój ojciec. Wiem, że nie macie na sobie urządzeń podsłuchowych, bo kazałem to sprawdzić ogrodnikowi, kiedy przyszliście, ale jeżeli naprawdę waszym celem jest szantaż, to zaoszczędzę wam dużo cierpienia i zakończę tę rozmowę, zanim powiecie coś, czego będziecie żałować. Ponieważ mój ojciec o tym usłyszy, co nie będzie wam wróżyć nic dobrego.

– Widzisz, Imalo? – powiedział Victor. – On ma dla nas tylko groźby.

– Nie grożę wam. Ja was ostrzegam. Oddaję wam przysługę. Lepiej, żebyście nie urządzali przedstawienia z tego, co się stało w pasie Kuipera. Przegralibyście. Są na to inne sposoby. Chcę polubownie załatwić sprawę z rodziną człowieka, który zginął. Zrobilibyśmy to prywatnie. Tak żeby nie można było niczego przypisać mnie. Jednak zrobię to chętnie. Bez prawników. Bez dokumentów. Jeśli żona i dzieci nadal żyją, z przyjemnością założę konto i dopilnuję, żeby zostały zaspokojone ich potrzeby.

Victor był taki zły, że ledwie się powstrzymywał, żeby nie krzyczeć.

– Sądzisz, że możesz kupić moją rodzinę? Sądzisz, że za mojego wuja Marca można zapłacić? – Odwrócił się do Imali. – To był błąd. On nam nie pomoże.

– W czym? – spytał Lem.

– Nie przyszliśmy tu po to, żeby cię szantażować – rzekła Imala. – Przyszliśmy, bo myślimy, że znaleźliśmy sposób na dostanie się do wnętrza statku Formidów.

– A czemu chcielibyście to zrobić?

– Trwa wojna – powiedział Victor. – Może nie zauważyłeś.

Lem zmrużył oczy.

– Twoja rodzina była o wiele milsza od ciebie, Victorze. Trudno mi uwierzyć, że w ogóle jesteście spokrewnieni.

Victor wstał.

– Dosyć tego. Idziemy, Imalo.

– Siadaj! – poleciła tonem nieznoszącym sprzeciwu. – Obaj zachowujecie się jak dzieci. Giną ludzie. Miliony ludzi. Chciałabym coś przeciw temu zrobić. Sądziłam, że wy obaj też. Jeżeli się mylę, powiedzcie mi to teraz, wtedy zacznę szukać gdzie indziej.

Victor niechętnie usiadł z powrotem.

Imala spojrzała na Lema, który znów rozparł się wygodnie i uniósł pojednawczo dłonie.

– Słucham. Jaki macie plan?

Powiedziała mu.

Kiedy skończyła, Lem przez chwilę siedział w milczeniu.

– Jak się dostaniecie do wnętrza formidzkiego statku, kiedy już do niego dotrzecie? Widziałem go z bliska. Nie ma żadnych drzwi. Żadnych okien. Żadnego wejścia.

– Wejdę tamtędy, skąd wysuwają się działa – rzekł Victor. – Po drodze do statku zatrzymam się przy jakimś większym kawałku złomu i umieszczę na nim materiał napędowy. Coś w rodzaju niedużego silnika. To nie potrwałoby długo. A kiedy już dotrę do statku Formidów, włączę silnik i jak najszybciej poślę ten kawałek złomu prosto do statku. Wysuną się działa, żeby rozbić go w pył, a ja się wśliznę przez otwór.

Imala popatrzyła na niego zdziwiona.

– To dobry pomysł. Dlaczego nie wspomniałeś o nim wcześniej?

– Bo właśnie przyszedł mi do głowy.

– A jak byś się wydostał? – spytał Lem. – Kiedy działo się cofnie, będziesz uwięziony w środku.

– Wezmę z sobą wsporniki z najmocniejszej wzmacnianej stali, jaką da się znaleźć. Włożę je do otworu, żeby nie mógł się zamknąć i żebym mógł wyjść.

– A jeżeli z otworu nie ma wejścia do środka? – zapytał Lem. – Działo może tkwić w zagłębieniu, które nie ma żadnego połączenia z wnętrzem statku.

– To wykorzystam okazję do unieszkodliwienia działa. Uszkodzę statek na tyle, na ile zdołam. Przeprowadzę zwiad. Dowiem się, ile się da.

– A co zrobisz, jeśli uda ci się dostać do środka?

– Znajdę mostek i tam umieszczę materiał wybuchowy. Prawdopodobnie na mostku będzie się znajdował dowódca armii. Jeśli się go zabije, w armii zapanuje chaos.

– A skąd będziesz wiedział, gdzie się znajduje mostek? – spytał Lem.

– Na pewno będzie pośrodku statku.

– Skąd masz tę pewność?

– Bo ja bym go tam umieścił. Spójrz na kształt statku. Gdzie chciałbyś się znajdować, gdybyś był kapitanem i pędził niemal z prędkością światła przez pełen zagrożeń kosmos?

– Jak najdalej od boków statku – odparł Lem.

– Słusznie. Pośrodku statku. W najbardziej chronionym miejscu.

– Zakładając, że masz rację, jak zamierzasz dotrzeć do mostka? Zapewne tam wszędzie roi się od Formidów.

– Dowiem się, jak znajdę się w środku. I będę wszystko rejestrował. Więc nawet jeśli zginę, przyda się materiał filmowy. Ci, którzy pójdą po mnie, nie będą szli w ciemno.

Lem siedział przez chwilę w milczeniu. A potem podjął decyzję.

– W zakładach Juke Limited jest zakątek poświęcony przedsięwzięciu, nad którym właśnie pracuję. Skrzydło H16. Ma własny port, wejście i wyjście. Ludzie ojca tam nie chodzą. Wstęp mają tylko moi inżynierowie. Kiedy zbierzecie ten kosmiczny złom, przywieźcie go tam razem z promem. Dam wam miejsce w hali, żebyście mogli zamaskować prom i przygotować go do startu. Znajdziecie tam wszystkie potrzebne narzędzia, a pod ręką będą inżynierowie do pomocy. Zaproponowałbym wam do kamuflażu fragmenty statków Juke Limited, ale nie chcę, żeby ojciec miał z tym

cokolwiek wspólnego. To nie jest akcja Juke, tylko nasza. Rozumiecie? Jeżeli wykorzystamy cokolwiek z zasobów firmy poza moimi urządzeniami i prywatnymi funduszami, ojciec nam to odbierze i przywłaszczy sobie. Stracilibyśmy kontrolę nad akcją.

Dlatego nie możemy też posłużyć się promem Juke. Musicie kupić prom z niezależnego źródła. Ma być mały, żeby wtopił się między szczątki, ale odpowiednio wyposażony. Niezawodny. Nie jakiś śmieć. Nie poniesiemy klęski z powodu wadliwego sprzętu. Kupcie nowy prom. Będziecie też potrzebować promu towarowego albo wywrotki do ściągania złomu z orbity. Nie załadujecie wszystkiego do małego promu. Kupcie więc i jedno, i drugie. Wywrotkę i mały prom. Potem wywrotkę możemy sprzedać. Będziecie też oczywiście potrzebować paliwa i innych zapasów, o których zapewne teraz nie myślę. Ile potrzebujecie?

Imala dopiero po chwili odzyskała głos.

– Nie brałam pod uwagę ceny wywrotki…

– Będzie wam potrzebna.

– Dobrze.

Imala przez moment się zastanawiała, potem podała sumę.

– Potrajam tę kwotę – powiedział Lem, wstukując cyfry do nakładki na nadgarstek. – Ten towar jest zawsze droższy, niż się nam wydaje. Jeżeli będziecie potrzebować więcej, dajcie mi znać.

Poprosił gestem, żeby wyciągnęła rękę, i przytknął swoją nakładkę do nakładki Imali.

Dziewczyna spojrzała na sumę. Znów odebrało jej głos.

– Dziękuję.

– Nie dziękuj. Nie robię tego dla was. Robię to dla ludzkości.

Wstał.

– I jeszcze jedno. Czytałem twoje akta, Imalo. Odkryłaś mnóstwo brudów u mojego ojca. Kosztowało cię to stanowisko. Zapewne sądzisz inaczej, ale mój ojciec nie był zamieszany w machlojki. Ma nieuczciwych pracowników i załatwia to z nimi. Tymczasem ja chcę zakończyć tę sprawę. Chcę wiedzieć o wszystkich zaległych podatkach i cłach, jakie może mieć do zapłaty mój ojciec. Dopilnuję, żeby zostały uiszczone. Ojciec nie będzie prowadził tej firmy w nieskończoność. A kiedy już będzie moja, nie chcę żadnych brudów. Dałem ci też linka. Wysyłaj mi wszystko, co znajdziesz, a ja się tym zajmę.

Imala skinęła głową zaskoczona.

– Dobrze.

– Świetnie. A teraz zbierzcie wyposażenie i dostarczcie je do hali.

– Skrzydło H16 – powiedziała Imala.

– Tak.

Lem poprawił marynarkę i sprawdził spinki w mankietach, jakby myślał, że przy wyjściu może czekać jakiś fotograf. A potem odszedł w towarzystwie trzymającej się z tyłu ochrony.

Kiedy zniknął, Victor rzekł:

– Czy mi się wydaje, czy kiedy przyszedł ze swoim smrodem, zniknął zapach kwiatów?

– Też mu nie ufam – stwierdziła Imala, patrząc na swoją nakładkę. – Ale nie będę się spierać z tym. – Szturchnęła Victora w pierś grzbietem dłoni i ruszyła do wyjścia. – Chodź, urodzony w kosmosie. Ty i ja właśnie wypowiedzieliśmy wojnę Formidom.

ROZDZIAŁ 24

KREW I POPIOŁY

Przy kolacji Mazer siedział ze skrzyżowanymi nogami na podłodze chaty naprzeciwko Danwena i Bingwena. Trzeci wieczór z rzędu jedli ryż i pędy bambusa. Mazer skończył swoją porcję i odłożył miseczkę z liścia.

– Czuję się już na tyle dobrze, że mogę odejść. Powinienem wyruszyć rano.

Bingwen był przerażony.

– Nie możesz. Musimy trzymać się razem. Powiedz mu, dziadku.

– Nie rozkazujesz starszym – rzekł Danwen. – Mazer zrobi to, co uważa za najlepsze.

– Ale… Nie możesz nas zostawić, Mazerze. Uratowałem cię. Musisz nas bronić. Jesteś nam to winien.

– Bingwenie! – Danwen klasnął tak głośno, że wewnątrz chaty zabrzmiało to jak grom. – Okrywasz mnie hańbą. Wyjdź. Umyj garnki.

– Tak, dziadku.

Chłopiec skłonił się i wybiegł.

– Wybacz mojemu wnukowi, Mazerze. Jest młody, ma niewyparzony język i nie szanuje starszych.

– On ma rację – odparł Mazer. – Jestem wam wiele winien.

– Nic nam nie jesteś winien. Żyjemy dzięki tobie. Nie ma między nami żadnego długu.

– Powinniście udać się na północ. Nie możecie tu zostać. W dolinie nie ma już zapasów. Potrzebujecie żywności, świeżej wody. Zostaliście tu tak długo tylko ze względu na mnie i za to jestem wam wdzięczny, ale nie mogę pozwolić, żebyście się dalej narażali na niebezpieczeństwo ze względu na mnie. Poprowadzę was na północ, aż znajdziemy jakąś grupę albo rodzinę, z którą będziecie mogli iść. Wtedy was opuszczę i pójdę na południe.

– Do lądownika? Nie mogę ci wyperswadować tego szaleństwa?

– Zniszczenie lądowników to jedyny sposób zakończenia tej wojny.

Danwen westchnął.

– Jestem starym człowiekiem. Za starym na wojnę z tobą czy z Formidami. Jeśli mówisz, że musisz iść na południe, nie będę próbował cię powstrzymać. Ale pozwolę ci odprowadzić nas do jakiejś rodziny czy grupy. Chłopiec nie czuje się bezpieczny ze mną i wcale nie mam mu tego za złe. Niewiele mogę zrobić w naszej obronie. Wyruszymy o brzasku.

– Dziękuję. Poza tym, i mam nadzieję, że się nie obrazisz, Ye Ye Danwenie, po wojnie chcę pomóc Bingwenowi dostać się do szkoły. Powiedział mi, jak trudno jest tu zdobyć wykształcenie. Z twoim błogosławieństwem chciałbym go gdzieś wysłać. Może do prywatnej szkoły w Pekinie. Albo w Guangzhou. Będę za to płacił, jak długo zdołam. Jestem mu to winien.

Danwen poklepał Mazera po dłoni.

– Dobry z ciebie człowiek, Mazerze Rackhamie. Masz moje błogosławieństwo. Bingwen to wyjątkowo zdolny chłopiec. Powiesz, że jestem stronniczy, ale moim zdaniem taki jak on trafia się jeden na tysiąc. Może jeden na milion. Myślisz, że dziecko mogłoby być mądrzejsze od większości dorosłych?

– Teraz tak.

Danwen się roześmiał.

– Tak. Bardzo mądry chłopiec. Powinieneś go zapytać, jak zniszczyć lądownik. Nie zdziwiłbym się, gdyby miał odpowiedź.

Tej nocy Danwen koniecznie chciał objąć pierwszą wartę. Usiadł w drzwiach chaty z mieczem na kolanach. Mazer leżał pod oknem po drugiej stronie izby z widokiem na nocne niebo. Patrzył na miliony

gwiazd i zastanawiał się, czy statek bazę już zniszczono. Może Formidzi w Chinach to wszystko, co z nich zostało.

– Mazerze… – usłyszał szept.

Odwrócił się. Obok niego siedział na podłodze Bingwen z kolanami mocno przyciągniętymi do piersi.

– Przepraszam, że prosiłem cię, żebyś został. To było samolubne.

– Nie musisz przepraszać. Zostałbym, gdybym mógł. Przykro mi, że nie mogę.

Chłopiec skinął głową, ale nie odchodził.

Mazer czekał. Bingwen wpatrywał się w podłogę.

– Chciałeś powiedzieć coś jeszcze, Bingwenie?

Chłopiec skinął głową, ale nie patrzył na Mazera.

– Musisz coś powiedzieć dziadkowi. Zanim odejdziesz. Ja mu nie mogę powiedzieć. Próbowałem wiele razy, ale słowa nie chcą przyjść.

Mazer czekał. Chłopiec milczał.

– Co muszę mu powiedzieć, Bingwenie?

W blasku księżyca Mazer widział łzy, które płynęły po policzkach chłopca. Bingwen wytarł twarz rękawem, a potem wyszeptał:

– Moi rodzice nie będą na nas czekali na północy. Widziałem ich tego dnia, kiedy przyszedłem po ciebie. – Zawstydzony pokręcił głową. – Nie pochowałem ich. A teraz są w tej górze śmieci. Okryłem ich hańbą.

Mazer usiadł i wziął chłopca w ramiona.

– Nie okryłeś ich hańbą. Nie myśl tak. Uhonorowałeś ich, pomagając mnie.

Nie wiedział, co jeszcze mógłby powiedzieć. Chłopiec drżał w jego ramionach. Mazer widział w drzwiach sylwetkę Danwena patrzącego w jego stronę. Uniósł rękę na znak, że wszystko jest w porządku.

Jakiś czas później Bingwen zasnął. Mazer dopiero wtedy wypuścił go z objęć i delikatnie położył na swojej macie na podłodze. Sam położył się na deskach obok niego. Był znużony i słaby. Ryż i bambus napełniły mu żołądek, ale na tym kończyła się ich rola. Miał bardzo mało energii. Potrzebował substancji odżywczych. Był wychudzony, stracił jakieś siedem kilogramów. Nie mógł sobie pozwolić na dalszą utratę wagi.

Noc była spokojna i cicha. Przyzwyczajenie się do tej ciszy zajęło Mazerowi tydzień. Nie trzepotały skrzydłami żadne ptaki; w trawie nie szeleściły myszy ani inne drobne stworzenia; w ciemności nie

cykały żadne owady. Formidzi spalili ziemię i razem z nią całe życie. Zostawili po sobie tylko wiatr.

Mazer nagle się obudził. Osunął się w sen, ale obudził go jakiś dźwięk. Cichy, obcy dźwięk. Zobaczył Formidę stojącego tuż za drzwiami i celującego dyszą w twarz Danwena. Staruszek spał, niczego nieświadomy. Mazer zerwał się i ruszył biegiem. Z dyszy wystrzelił obłoczek mgły prosto w twarz Danwena. Staruszek jęknął cicho. Formida podniósł wzrok, wyczuwając kogoś w ciemności. Zanim zdążył unieść dyszę jeszcze raz, Mazer rzucił się na niego.

Zderzyli się i wytoczyli na podwórko. Stwór wymachiwał kończynami. Mazer wydarł mu dyszę z ręki. Szarpały go pozostałe dłonie Formidy. Kopnęła go noga. Mazer uświadomił sobie, że stwór jest silny. Silny i zwinny jak małpa. Miotał się, wił, walczył, usiłował gryźć. Tarzali się po ziemi. Formida uderzył Mazera w plecy – był to potężny cios, który wywołał falę bólu. Mazer poczuł, że słabnie; jakoś udało mu się znaleźć za stworem, oplótł nogami jego tors, przygniatając mu ręce do boków. Najeźdźca rzucał się wściekle. Mazer pomyślał, że może pęknąć zbiornik z defoliantem, który wtedy by go zalał.

– Dziadku?

Przy drzwiach stał Bingwen i patrzył na staruszka, który osunął się na bok.

– Cofnij się! – wrzasnął Mazer. – Zakryj usta!

Bingwen wycofał się w ciemność. Stwór rzucał się i kopał. Mazer chwycił jego głowę i szarpnął gwałtownie na bok. Coś pękło, rozerwały się mięśnie i kości albo chrząstki. Formida zwiotczał.

Mazer trzymał go jeszcze chwilę, a potem odrzucił kopniakiem. Serce waliło mu mocno. Miał wilgotne ręce i nogi. Nie wiedział, czy to jego pot, czy Formidy. Zaczął się dławić, ale opanował odruch wymiotny.

Usłyszał ciche kroki. Ale nie ludzkie. Zbliżali się zza stodoły. Miecz Danwena leżał na ziemi przy drzwiach. Mazer poszukał wzrokiem pozostałości mgły, ale po ciemku nic nie widział. Mogła się jeszcze znajdować w powietrzu, nie miał co do tego pewności. Kroki się zbliżały. Sięgnął po miecz, chwycił go, odtoczył się i wstał, gotów do działania. Pobiegł do stodoły i oparł się o jej ścianę w chwili, gdy zza rogu po lewej stronie wyszedł następny Formida. Zauważył martwego towarzysza na podwórku i się zatrzymał.

Mazer zamachnął się mieczem i z łatwością zatopił go w głowie obcego aż po szyję. Stwór upadł. Mazer wyszarpnął miecz z rany i cofnął się pod stodołę, nasłuchując.

Kolejne kroki. Tym razem z prawej. Poszedł ostrożnie w tamtą stronę, cicho stawiając na ziemi bose stopy. Formida wyszedł zza rogu, zobaczył człowieka i zaczął manipulować przy dyszy.

Mazer odskoczył i przebił go mieczem przez środek ciała. Klinga uderzyła w kanister, utknęła. Mazer wyciągnął miecz i ponownie przebił stwora. Formida, jak poprzedni, nie wydał żadnego dźwięku. Padł na ziemię.

Mazer nasłuchiwał. Pozostał w tej pozycji całą minutę. A potem jeszcze jedną. Odliczał sekundy w myślach. Nic, cisza.

Wstał i rzucił się biegiem do chaty. Danwen leżał w drzwiach. Mazer chwycił go za nadgarstki i wyciągnął go na podwórko, tam gdzie nie została rozpylona mgła. Staruszek był bezwładny. Mazer już wiedział, że nie żyje. Przy drzwiach pojawił się Bingwen.

– Nie przechodź przez drzwi – powiedział Mazer. – Zostały spryskane mgłą. Wejdź oknem i chwyć moje buty.

Bingwen zniknął w środku.

Mazer ukląkł przy Danwenie. Twarz starca lśniła od wilgoci. Mazer chciał sprawdzić mu puls, ale nie ośmielił się dotknąć szyi. Ujął nadgarstek.

Żadnego tętna.

Spróbował z drugą ręką.

Nic.

Przyłożył dłoń do piersi Danwena. Serce nie biło. Podniósł wzrok. Nieopodal stał Bingwen z jego butami w ręku i patrzył na dziadka. Przytomnie włożył własne buty. Mazer podszedł do niego.

– Spójrz na mnie, Bingwenie.

Chłopiec zamrugał. Był w szoku.

– Twój dziadek nie żyje. Nie możemy tu zostać. Musimy iść. Rozumiesz?

Bingwen skinął głową. Mazer usiadł na ziemi i włożył buty, zaciągając szybko paski.

Bingwen stanął nad ciałem dziadka.

– Nie możemy go tak zostawić. Zaniosą go na stertę śmieci. Nie okażą szacunku.

Mazer ujął chłopca za rękę.

– Nie ma czasu go pochować. Idziemy.

Bingwen wyszarpnął dłoń.

– Nie. Nie możemy pozwolić, żeby go zabrali.

Mazer wyciągnął rękę, ale chłopiec był szybki i mu się wywinął. Podbiegł do zagłębienia w ziemi, gdzie palili ogień. Chwycił garnek i zaczął nim rozgrzebywać popiół. Kilka węgielków wciąż jeszcze się tliło. Bingwen nagarnął je patykiem do garnka.

– Co robisz? – spytał Mazer.

Chłopiec nie odpowiedział. Pobiegł do stodoły i wyrzucił żar na leżącą w kącie starą wiązkę siana. Natychmiast zajęła się ogniem. Płomienie rozprzestrzeniły się szybko, liżąc suchą drewnianą ścianę stodoły. Bingwen upuścił garnek i pobiegł przez podwórko do Danwena. Chwycił ciało dziadka za kostki u nóg i pociągnął ze wszystkich sił. Chociaż staruszek był lekki, ani drgnął.

Mazer podszedł, pochylił się i wziął zabitego na ręce, uważając, by nie dotknąć jego twarzy. Ze stodoły już się wydostawał dym. Płomienie pełzały po wewnętrznej stronie ściany, jakby to była podpałka. Na ziemi pod tylną ścianą stała drewniana skrzynia z narzędziami. Mazer położył na niej Danwena i przygarnął nogą trochę siana. Kopnął płonącą deskę, która pękła i odpadła od ściany, chwycił ja w miejscu, gdzie jeszcze się nie paliła, i położył ją przy skrzyni. Dym był gęsty, gryzł w oczy, żar narastał. Mazer wycofał się ze stodoły, kaszląc i otrzepując ubranie z iskier.

Bingwen stał na podwórku i patrzył na płomienie. W ręce trzymał miecz z zakrwawioną klingą lśniącą w blasku pożaru.

Mazer ukląkł przy chłopcu.

– Nie możemy tu zostać, Bingwenie. Możesz biec?

Powinni stąd odejść. Transportowce były ciche jak liście. Mogły się pojawić w każdej chwili. Bingwen odwrócił się do Mazera powoli, jakby był w transie. Nie odpowiedział. Mazer uświadomił sobie, że chłopiec nie będzie mógł biec. Ujął miecz i delikatnie wziął chłopca na ręce. A potem pobiegł w dół – na północ, w ciemność.

* * *

Biegł piętnaście minut, przecinając pola pozbawione wszelkiego życia. Jego buty wkrótce oblepiło błoto i popiół. Trzymał się wąskich grobli między polami ryżowymi i unikał stojącej wody. Pędy ryżu już dawno zwiędły i umarły, a na wodzie na skraju poletek unosiła się warstewka chemikaliów, błyszcząca w blasku księżyca jak olej.

Kilometr od podnóża góry została połać dżungli nietknięta przez mgłę. Zagłębił się w nią, bo wolał mieć osłonę gęstego listowia, niż znajdować się na otwartym terenie. Gałęzie czepiały się ubrań i biły go po twarzy. Dwa razy się potknął i omal nie upuścił Bingwena na ziemię.

Ale chłopiec odzyskiwał siły.

– Już nie musisz mnie nieść – powiedział cicho. – Pobiegnę.

Mazer nie oponował. Był wycieńczony, śliski od potu. Miał skurcze w nogach i rękach, zaczęła go też piec rana w brzuchu. Postawił Bingwena i obaj padli na ziemię pod drzewem. Mazer oparł się o pień, ciężko dysząc.

Siedzieli chwilę w milczeniu. Mazer chciał pocieszyć Bingwena; chciał powiedzieć coś dodającego otuchy, coś, co zmniejszyłoby ból chłopca. Jednak wszystko, co mu przychodziło do głowy, brzmiało nieprzekonująco albo sprawiało wrażenie pustej obietnicy. Znaleźli się teraz w niebezpieczeństwie, w prawdziwym niebezpieczeństwie i jakiekolwiek zapewnienia o szczęśliwym zakończeniu wydawały się fałszywe i nieszczere.

Ciszę w końcu przerwał Bingwen.

– Przepraszam, że musiałeś mnie nieść. Nie mogłem zebrać myśli.

– Nic się nie stało – odparł Mazer. – Potrzebowałem takiej gimnastyki.

– Nie, nie potrzebowałeś. Nie powinieneś się wysilać. Powinieneś odpoczywać. Jesteś chudy. Potrzebujesz jedzenia, prawdziwego jedzenia. Mięsa, owoców i warzyw, a nie ryżu i bambusa. I powinien cię obejrzeć prawdziwy lekarz. – Chłopiec przyciągnął kolana do piersi. – Nie możesz wrócić do lądownika. Nie jesteś wystarczająco zdrowy, żeby walczyć.

Mazer chwilę oddychał w milczeniu. Serce waliło mu jak młotem.

– To jest skomplikowane, Bingwenie.

– Wcale nie. Jesteś słaby. Wojsko wali w lądownik i nic nie osiągnęło. Co możesz zrobić, czego nie mogą zrobić oni? Wyrzucisz swoje życie na śmietnik. Niech swoje zrobią myśliwce i bombowce.

– Powiedziałeś, że bomby nie skutkują.

– Zbliżenie się do lądownika to głupota. Samobójstwo. Chcesz wziąć udział w walce? Znajdź jakiś oddział. Zrób coś dobrego gdzie indziej. Możesz pomóc innym i przeżyć.

– Jeśli pójdę na północ i znajdę chińskich żołnierzy, prawdopodobnie mnie aresztują i odeślą do Nowej Zelandii.

W najlepszym wypadku.

– Dlaczego?

– Jak mówiłem, to skomplikowane.

– A ja bym nie zrozumiał, bo jestem dzieckiem? Myślałem, że mamy to już z głowy.

Mazer odetchnął głęboko i rękawem koszuli otarł pot z twarzy.

– Dobra. Aresztowaliby mnie, ponieważ nie powinienem tu być. Zmierzając do lądownika, złamałem bezpośredni rozkaz. W wyniku mojej decyzji zginęło troje ludzi. Moje wojsko mi tego nie wybaczy. Nie wiem, czy ja potrafię wybaczyć samemu sobie. – Znowu odetchnął głęboko. – Dlatego muszę wrócić. Nie pojadę do domu, dopóki nie pomogę zakończyć tej wojny. Nie dlatego, że dzięki temu mógłbym się oczyścić z zarzutu złamania rozkazu, ale dlatego, że jestem to winien moim przyjaciołom – inaczej ich śmierć pójdzie na marne. Jestem to winien także tobie, twoim rodzicom, dziadkowi i wszystkim Chińczykom, którzy ucierpieli od Formidów. Czy to ma sens?

– Nie. Nie ma. To durnota. Nie jesteś odpowiedzialny za to, co się tu wydarzyło. Nie jesteś nawet odpowiedzialny za swoich przyjaciół. Chcieli pomóc. Decyzja o złamaniu tego rozkazu była tak samo ich, jak twoja. To nie twoja wina, że zginęli.

– Owszem, moja. Ja byłem ich dowódcą. Odpowiadałem za ich bezpieczeństwo.

– A oddanie się Formidom to zmieni? Co masz nadzieję osiągnąć przez doprowadzenie do swojej śmierci?

– Nie planuję zginąć, Bingwenie.

– Cóż, ty jeden przeciwko setkom albo tysiącom Formidów. Ty bez broni i słaby, ubrany w łachmany. Oni mają osłony, są uzbrojeni po zęby i całkowicie pozbawieni litości. Nie trzeba być dorosłym, by widzieć, jaki jesteś niemądry.

Mazer się uśmiechnął.

– Odpocznij, chłopcze. To ostatni popas na dłuższy czas.

Siedzieli w milczeniu. Oddech Mazera uspokoił się, pieczenie w brzuchu ustało. Wstali i ruszyli dalej, ale już znacznie wolniej. Mieczem torowali sobie drogę przez najgęstsze partie dżungli, lecz każde cięcie rozlegało się głośno w ciszy, więc używali go oszczędnie.

Po kolejnej godzinie marszu Bingwen zapytał:

– Masz syna?

Pytanie zaskoczyło Mazera.

– Syna? Nie. Nie jestem żonaty.

– Dlaczego? Tej lekarce, Kim, zależy na tobie. Nie chcesz się z nią ożenić?

– Chciałbym, żeby to było takie łatwe.

– Ona cię kocha. To było widać. Mam tylko osiem lat, ale nie jestem ślepy.

– Ludzie nie pobierają się tylko dlatego, że są zakochani.

– Z jakiego innego powodu mieliby to robić?

– Małżeństwo i rodzina to zobowiązanie wobec kogoś. Jeżeli nie można podjąć swojego zobowiązania w stu procentach, to w ogóle nie powinno się go podejmować. Jestem żołnierzem. Nigdy nie ma mnie w domu. To byłoby trudne małżeństwo.

– Więc nigdy się nie ożenisz?

– Może kiedyś, jak przestanę być żołnierzem.

– Czy bez ślubu nie mógłbyś mieć syna?

Mazer spostrzegł, dokąd to zmierza. Kiedy się odezwał, głos miał łagodny i cichy.

– Nie możesz być moim synem, Bingwenie.

– Ciężko bym pracował. I byłbym posłuszny. Nie musiałbyś na mnie krzyczeć ani mnie karać, bo zawsze bym cię słuchał. Nawet bym nie narzekał, kiedy musiałbyś gdzieś wyjechać. Sam bym się sobą zajął. Gotowałbym sobie jedzenie. Bo ja umiem gotować nie tylko ryż i bambus, ale także mięso i warzywa. Tobie też mógłbym gotować.

Mazer zatrzymał się, ukląkł przed chłopcem i położył mu dłoń na ramieniu.

– Jeśli kiedyś będę miał syna, mam nadzieję, że będzie tak odważny, mądry i silny jak ty. Ale twoim domem są Chiny, a moim Nowa Zelandia.

– Chiny były moim domem. Teraz to są nowe Chiny, tak samo obce dla mnie, jak dla ciebie.

On jest taki sam jak ja, pomyślał Mazer. Oderwany od korzeni i samotny zmaga się z nową kulturą po stracie tej, którą znał. Tak czuł się Mazer w dzieciństwie, kiedy zmarła jego matka. Ślubem z Anglikiem rozgniewała swoją maoryską rodzinę. Jej członkowie byli Maorysami czystej krwi i widzieli w ojcu intruza, który okrada ich córkę z dziedzictwa. Wykluczyli ją więc z plemienia.

Później, kiedy urodził się Mazer, jego matka odkupiła winę przez zanurzenie Mazera w maoryskiej kulturze. Nadal kochała ojca – nigdy by go nie opuściła – ale chciała, żeby Mazer był wychowywany

tak jak ona. Otoczyła go więc własną kulturą, nauczyła języka, tańców i pieśni. Karmiła go maoryskimi potrawami, zaszczepiła mu wojowniczego ducha. Uczyniła go wspaniałym Maorysem.

A kiedy miał dziesięć lat, umarła. I nie było już nikogo, kto mógłby dopilnować włączenia go do maoryskiej społeczności. Na pewno nie zamierzał tego robić ojciec. Zabrał Mazera do Anglii i usiłował wyplenić z niego Maorysa. Pochodził z rodziny szlacheckiej i chciał zrobić z Mazera prawdziwego Anglika, wykształconego w informatyce i naukach ścisłych. I nagle Mazer całkowicie zmienił tryb życia – już nie łowił ryb, nie sadził taro, nie zarzynał świń, nie poznawał nowych pieśni i opowieści. Znalazł się w brytyjskiej szkole z internatem, pośród najnowocześniejszych komputerów.

Nauczył się przystosowywać. Brytyjczycy czystej krwi nie zaakceptowali go – nazywali go czarnuchem i odtrącali. Lecz on stał się bardziej brytyjski od nich. Nauczył się uprzejmości obowiązującej w brytyjskim społeczeństwie. Po mistrzowsku opanował angielski. Stał się nadzwyczaj elokwentny. Celująco zdawał wszystkie egzaminy na studiach. Stał się specjalistą w dziedzinie obu kultur… mimo że nie był zakorzeniony w żadnej z nich.

Bingwen stał przed tym samym problemem. Pochodził z prymitywnej chińskiej wioski, lecz zanurzył się w odmiennej kulturze, nauczył się angielskiego, obsługi komputera, wchłaniał tyle, ile tylko zdołał. Przechodził między światami tak jak Mazer.

– Świat zawsze będzie się zmieniał, Bingwenie. My musimy się do niego dostosować.

– W takim razie tak naprawdę nigdy nie będę sobą. To nie ja.

– Ale w ten sposób przeżyjesz. To nie zmienia ciebie samego. Nadal możesz decydować, kim jesteś. Możesz wybierać wszystko to, co najlepsze. To, co jest najlepsze w Chinach, czego się nauczyłeś od rodziców. To nadal twój wybór bez względu na to, co robi świat, i bez względu na to, czy to są Chiny, które znasz, czy nie. Nadal decydujesz, kim jesteś.

– Tylko nie mogę zdecydować, żeby zostać twoim synem.

– Nie, ale nie musisz być moim synem, żeby coś dla mnie znaczyć. Możesz…

Przerwał. Usłyszał coś. Może głosy. Niezbyt daleko. Przyłożył palec do ust, a Bingwen skinął głową na znak, że zrozumiał.

Cicho jak cienie podpełzli do przodu, do bliskiego skraju dżungli. W mroku przed nimi rozpościerała się rozległa polana, a na jej

środku błyskała czerwona plamka ognia. Wokół poruszali się ludzie; z tej odległości nie było widać, ilu ich jest i czy są przyjaźnie nastawieni. Mazer i Bingwen nasłuchiwali. Kimkolwiek byli ci ludzie, nie mieli dużo rozumu, skoro rozpalili ognisko na otwartej przestrzeni. Wręcz przyzywali Formidów do siebie.

Mazer miał nadzieję, że znajdzie jakąś grupę albo rodzinę, z którą mógłby pójść Bingwen, ale to nie byli odpowiedni ludzie. Zachowywali się lekkomyślnie, głośno i zapewne sprowadziliby na chłopca śmierć. Najmądrzej byłoby iść dalej i trzymać się od nich z daleka. Niech Formidzi ich znajdą. Nie mój problem.

Ale rozpaczliwie potrzebował informacji. Nic nie wiedział o pozycji Formidów czy ich ruchach. Możliwe, że prowadził Bingwena prosto na jakąś ich twierdzę. Rozmowa z tymi ludźmi stanowiła ryzyko, ale musiał je podjąć.

Przez chwilę zastanawiał się, czy podejść do ogniska samemu, nie chciał jednak zostawiać chłopca bez opieki, zresztą Bingwen mógłby nie posłuchać.

– Trzymaj się blisko mnie – powiedział. – I dopóki nie nabierzemy pewności, że nie zechcą nam zrobić krzywdy, stąpaj jak najciszej.

Ruszyli w stronę ognia. Mazer szedł pierwszy z mieczem w ręku. W połowie drogi zatrzymał się i węszył.

– Co się stało? – szepnął Bingwen.

– Ten zapach. Homar?

Chłopiec pociągnął nosem.

– Też to czuję.

Mazer wzmocnił chwyt na rękojeści miecza. Przybliżyli się do obozu. Wkrótce postacie widoczne w blasku ogniska stały się wyraźne. Pięciu mężczyzn i jedna kobieta kucało przed ogniskiem wokół czegoś na ziemi. Nad płomieniami tkwił rożen z piekącym się jakimś stworzeniem. Kiedy Mazer podszedł bliżej, zobaczył, że to jest dolna połowa Formidy. Ludzie jedli górną połowę, którą zdjęli z rożna i położyli na ziemi, otaczając ją jak stado padlinożerców.

Zrobiło mu się niedobrze. Chciał się wycofać, ale kobieta ich zauważyła. Krzyknęła i mężczyźni natychmiast się zerwali na nogi. W rękach trzymali kije, noże i maczety. To byli wieśniacy. Ubrania mieli podarte i brudne, twarze dzikie. Wszyscy byli chudzi i mieli ziemistą skórę.

Mazer znieruchomiał. Bingwen schował się za nim. Nikt nic nie mówił.

W końcu odezwał się jeden z mężczyzn z maczetą:

– To nasze jedzenie. Nie starczy dla was.

– Nie chcemy waszego jedzenia.

– Kłamie – powiedział mężczyzna z nożem. – Na pewno chce jeść. Spójrzcie na jego oczy.

– Nie powinniście tego jeść. To mięso ma niewłaściwy układ białek. Nie zostało stworzone do jedzenia przez ludzi.

– Widzicie? – powiedział mężczyzna z nożem. – Próbuje nas oszukać i odebrać nam mięso.

– Oni zbierają swoich zmarłych – rzekł Mazer. – Przyjdą po tego.

Mężczyźni zerknęli w niebo przestraszeni, że zaraz wyląduje tu transportowiec.

Nagle kobieta zaczęła wymiotować. Mężczyźni cofnęli się i spojrzeli na rozczłonkowanego Formidę u swoich stóp. Miał zwęgloną, czarną skórę i rozkrojoną pierś parującą w blasku ognia.

Jeden z nich też zaczął wymiotować. Mazer chwycił Bingwena za rękę i ruszył biegiem.

* * *

O świcie doszli do autostrady. Znajdowały się na niej porzucone samochody – niektóre nietknięte, inne rozbite, zniszczone. W ziemi widniały leje powstałe w wyniku wybuchów i ognia laserów. Wszędzie widzieli ślady płomieni, głębokie bruzdy w ziemi i asfalcie. Nie było ciał, ale pozostało mnóstwo ciemnych plam krwi. Mazer spróbował uruchomić kilka pojazdów, lecz okazało się, że nie mają akumulatorów ani paliwa.

Poszli dalej na północ, trzymając się autostrady. Widzieli kolejne zniszczenia i porzucone auta. Kiedy usłyszeli statek powietrzny, schowali się i zaczekali, aż przeleci.

W południe znaleźli rodzinę z dwojgiem dzieci odpoczywającą w cieniu estakady. Kobieta mówiła niewiele, ale poczęstowała Bingwena i Mazera zupą, którą z wdzięcznością przyjęli.

– Chowaliśmy się w podziemnym magazynie – opowiadał ojciec. – Mieliśmy dość jedzenia na ponad tydzień. Myśleliśmy, że wytrzymamy do nadejścia pomocy, ale nie przyszli po nas żadni żołnierze. Teraz idziemy na północ.

Bingwen bawił się nieopodal z czteroletnim chłopcem; rzucali do siebie kłębek szmat jak piłkę. Mazer po raz pierwszy zobaczył, jak Bingwen się śmieje.

– Możecie zabrać z sobą chłopca? – zapytał.

– Mamy mało jedzenia – odparł ojciec.

– Jest bystry i zaradny. Nie mogę wam zapłacić teraz, ale zrobię to po zakończeniu wojny.

– Możesz nie dożyć zakończenia wojny. Albo możemy jej nie wygrać.

– Wygramy. Weźcie chłopca.

Po krótkim zastanowieniu ojciec rodziny skinął głową. Omówili wszystko; po chwili Mazer klęczał przed Bingwenem i podawał mu miecz.

– Proszę. Twój dziadek chciałby, żebyś go miał.

Bingwen wziął broń.

– Byłbym bezpieczniejszy z tobą przy lądowniku niż z tą rodziną na północy.

– To dobrzy ludzie. Będą cię karmić. Teraz nic więcej dla ciebie zrobić nie mogę. – Mazer położył rękę na ramieniu chłopca. – Kiedy wojna się skończy, skontaktuj się ze mną. Zapiszę cię do szkoły. Do dobrej szkoły, gdzie będą cię karmić i się tobą zajmą.

– Jak w sierocińcu.

– Lepiej. To będzie miejsce, do którego idą bystrzaki. Wybitnie utalentowane dzieci.

– Jak mam się z tobą skontaktować?

– Zapamiętaj mój e-mail i holoadres. Potrafisz?

Bingwen skinął głową. Mazer podał mu oba adresy.

– A teraz je powtórz.

Kiedy Bingwen powtórzył, Mazer wstał i wyciągnął do niego dłoń. Chłopiec ją uścisnął i zapytał:

– Jak długo muszę trzymać ten usztywniacz na ręce?

– Jeszcze dwa tygodnie. Spróbuj nie przygnieść go jakimś drzewem.

– Spróbuj nie dać się zabić.

Mazer się uśmiechnął.

– Spróbuję. – Zawahał się, nie chcąc odchodzić. – Koniec z brawurowymi popisami, dobrze? Idź na północ i nie narażaj się na niebezpieczeństwa.

Bingwen skinął głową.

Nie mieli sobie już nic do powiedzenia. Rodzina czekała, gotowa do drogi. Mazer uśmiechnął się ostatni raz, a potem nie oglądając się za siebie, ruszył na południe.

Szedł równolegle do autostrady i miał dobre tempo. Z Bingwenem szedł wolniej, ale teraz mógł iść własnym rytmem. Zupa dodała mu energii. Znalazł kawałek dżungli i przespał się kilka godzin, zagrzebany w opadłe liście. Potem ruszył dalej. Umierał z pragnienia. Minął kilka kałuż, ale wolał z nich nie pić. Późnym popołudniem wydało mu się, że słyszy słabe odgłosy bitwy toczącej się daleko na zachód.

Kiedy zapadał zmrok, usłyszał samolot. Przykucnął przy jakichś usychających krzakach i patrzył, jak tuż nad jego głową chiński myśliwiec walczy z formidzkim lataczem. Myśliwiec miał większą siłę ognia, ale statek obcych był zwinniejszy. Zanurkował i przyciął skrzydło myśliwca ogniem z lasera. Chiński samolot nagle się zapalił i runął korkociągiem w dół. Pilot wyskoczył kilkaset metrów nad ziemią. Spadochron się otworzył, ale pilot wisiał bezwładnie w uprzęży. Formidzki latacz poleciał dalej. Samolot rozbił się gdzieś w kierunku południowym. Mazer usłyszał wybuch. Obserwował spadochron, dopóki nie zniknął mu z oczu. Wyskoczył z ukrycia i pobiegł w tamtą stronę.

Szybko znalazł pilota pośrodku wypalonego pola. Biały spadochron wydymał się na wietrze, odcinając się na tle czarnego krajobrazu jak latarnia morska.

Pilot się nie ruszał. Leżał na plecach z przekrzywioną głową. Osłonę hełmu miał przyciemnioną, więc Mazer nie widział jego twarzy. Spadochron złapał podmuch wiatru, wypełnił się powietrzem i przeciągnął pilota kilka metrów po ziemi.

Chińczyk miał przypięty do nogi nóż. Mazer podbiegł do niego, szybko wyjął nóż z pochwy i zaczął przecinać linki spadochronu. Im więcej ich przecinał, tym słabiej wyrywała się czasza spadochronu, aż w końcu sflaczała i już nie chwytała wiatru. Mazer upuścił nóż i ukląkł. Wystukał kod na boku hełmu i jego osłona się rozjaśniła, ukazując twarz. Pilot oczy miał zamknięte i chyba nie oddychał. Mazer odciągnął klapkę na przodzie jego kombinezonu, żeby odsłonić wskaźnik biometryczny. Giętki ekranik był pęknięty, ale działał. Pilot nie żył. Przyczyną śmierci był przerwany rdzeń kręgowy. Według zapisu stało się to kilka mikrosekund po tym, jak pilot się katapultował.

Mazer przysiadł na piętach. Kolejna śmierć.

Spojrzał badawczo na niebo. Znajdował się pośrodku pola i był całkowicie odsłonięty. Dla Formidów stanowiłby łatwy cel.

Chwycił pasy uprzęży pilota i pociągnął go do więdnącego krzaka, który nie stanowił dobrej osłony, ale był lepszy niż nic.

Do nogi pilota był przymocowany duży pakiet. Mazer poluzował paski i go wyjął. W środku znalazł skarby: krótką broń z czterema magazynkami, race, lornetkę, racje żywnościowe na kilka dni, pełną manierkę i dodatkowe butelki wody, maskę przeciwgazową, apteczkę, komputer Med-Asys, pastę do zębów i czyste skarpetki. Łapczywie się napił z manierki. Woda była zimna, czysta i taka dobra, że chciało mu się płakać. Otworzył jedną z racji żywnościowych – makaron, który podgrzewał się przy zetknięciu z powietrzem. Sos był z szynką, serem i suszonymi pomidorami. Mazer nie znalazł żadnego sztućca, więc wlał sobie jedzenie prosto do ust. Następnie wyczyścił zęby, co sprawiło mu chyba największą przyjemność.

Spakował wszystko z powrotem, dokładając nóż i pochwę. Ten kombinezon był prawdopodobnie na niego za mały o dwa numery. Cóż, ciasny kombinezon będzie lepszy niż łachmany, które ma na sobie. Gdyby zrobił kilka nacięć w strategicznych miejscach, pewnie mógłby go nosić. Rozebrał pilota, ostrożnie przeciął materiał pod pachami i w kroku. Włożył na siebie kombinezon, nie zawracając sobie głowy czujnikami biometrycznymi. Rękawy i nogawki były za krótkie, ale mógł z tym żyć. Bardziej się martwił swobodą ruchów. Zrobił na próbę kilka przysiadów i stwierdził z ulgą, że będzie dobrze. Potem usiadł i włożył nowe skarpetki, a na nie swoje stare buty. Załadował pistolet, schował go do kabury wszytej do kombinezonu i włożył maskę przeciwgazową.

Zostawienie pilota na ziemi wydawało mu się niewłaściwe, ale nie miał ani czasu, ani narzędzi, by go pogrzebać. Zgarnął biały spadochron i owinął nim pilota ciasno jak mumię. Nie był to porządny pogrzeb, lecz w tych warunkach nie mógł zrobić nic lepszego.

Zarzucił pakiet na plecy i znowu ruszył na południe. Nie uszedł daleko, kiedy usłyszał, że ktoś go woła. Początkowo krzyki były słabe jak odległe szepty na wietrze – uznał, że są wytworami jego wyobraźni. Po jakimś czasie jednak usłyszał wyraźnie krzyk: „Mazer!”. Pobiegł na wschód, skąd dochodziło wołanie. Znał ten głos. Wyczuł w nim przerażenie i rozpacz.

Podczas szkolenia nauczył się ostrożności, ale nie mógł się opanować. Zdarł maskę i zawołał:

– Bingwenie!

Wykrzykiwali swoje imiona, aż po kilku chwilach się znaleźli. Mazer obszedł wzniesienie i zobaczył biegnącego w jego stronę zrozpaczonego i brudnego chłopca z twarzą poznaczoną śladami łez. Bingwen padł mu w ramiona, wyczerpany, przerażony i zbyt zdenerwowany, by mówić.

Mazer zaniósł go do cienia i otworzył manierkę. Początkowo Bingwen tak dyszał, że nie mógł pić, ale po chwili uspokoił się na tyle, by przełknąć kilka łyków.

– Nie za szybko, bo zwymiotujesz – przestrzegł go Mazer.

Bingwen opuścił manierkę i znowu się rozpłakał. Kiedy się odezwał, głos miał ochrypły od wielogodzinnego krzyczenia.

– Nie żyją. Ta rodzina. Wszyscy. Tuż przed nami wylądował transportowiec. Bezgłośnie. W jednej chwili go nie było, w następnej był. Kwong, ojciec, krzyknął, żebym uciekał. Razem z Genji próbowali nieść dziecko, ale…

Zamknął oczy i pokręcił głową. Nie mógł mówić dalej, rozszlochał się. Drżał na całym ciele z żalu i grozy.

Mazer trzymał chłopca w opiekuńczym uścisku. Nie zamierzał mu kłamać. Nie zamierzał go przekonywać, że jest już bezpieczny. Pozwolił mu się wypłakać.

Kiedy mały się uspokoił, Mazer otworzył dla niego rację żywnościową.

– Odpoczniemy tu do zapadnięcia zmroku – powiedział. – Kiedy będzie już zupełnie ciemno, pójdziemy na północ.

– Nie. Nie idziemy na północ. Idziemy na południe.

– Nie zabiorę cię do lądownika.

– Dlaczego? Bo jestem dzieckiem?

– No cóż… tak. To niebezpieczne.

– Wszędzie jest niebezpiecznie. Było niebezpiecznie w chacie. Było niebezpiecznie w mojej wiosce. Jest niebezpiecznie na północy. Nigdzie nie jest bezpiecznie. Równie dobrze możemy iść teraz. To nie może być daleko.

Mazer pokręcił głową.

– Już to omawialiśmy, Bingwenie.

– Owszem. Nie jesteś moim ojcem, a ja nie jestem twoim synem. To oznacza, że nie możesz mi rozkazywać, dokąd mam iść.

– Jeśli pójdziesz ze mną, narazisz mnie na większe niebezpieczeństwo. Będę cię musiał pilnować i nie zdołam poświęcać pełnej uwagi zagrożeniom wokół mnie. Poza tym będziesz mnie spowalniał.

– Nie jestem taki bezradny, jak sądzisz. Mogę pomóc. Jestem wolniejszy, owszem, ale dwie pary oczu to nie jedna. Mogę pilnować naszych tyłów. Mogę nieść zapasy. Nie jestem bezużyteczny.

– Nie wątpię w twoje umiejętności, ale to jest wojna. Ja jestem wyszkolonym żołnierzem, a ty nie.

– Mogę zabijać Formidów tak samo jak ty.

– Co ty powiesz?

– Właśnie to. – Chłopiec wskazał broń Mazera. – Ile siły wymaga naciśnięcie tego spustu? Chyba dam sobie radę.

– Strzał z broni to coś więcej.

– No to mnie naucz, jak to się robi.

– Nie. Dzieci nie biorą udziału w wojnach.

– Naprawdę? I kto to mówi? Jest jakaś książka z zasadami dla dzieci, o której nie wiem? Bo jestem pewien, że prowadzę wojny całe życie.

– To są zabójcy, Bingwenie. Nie wioskowi tyrani.

– A co to za różnica?

– Ogromna. Wioskowi tyrani nie zgniotą cię jak robaka.

Mazer pożałował tych słów od razu, kiedy je wypowiedział. Westchnął.

– Nie możesz ze mną iść, bo nie chcę, żeby coś złego ci się stało – powiedział łagodnie. – Oraz dlatego, że nie wiemy, co się znajduje w tamtej dolinie, a także dlatego, że najprawdopodobniej i tak nie zdołam wyrządzić wielkich szkód.

– Możesz przeprowadzić zwiad. Możesz się wiele dowiedzieć, zauważyć różne rzeczy, znaleźć słabe punkty, zobaczyć coś, czego nie dostrzegły samoloty. A potem zanieść tę informację ważnym ludziom. W tej chwili nie chcesz wracać, bo masz poczucie, że zawiodłeś. Informacje oznaczają zwycięstwo. A ja mogę pomóc ci je zebrać.

Mazer milczał.

– Znam tego wroga tak samo dobrze jak ty. Może nawet lepiej. A już na pewno lepiej od ciebie znam okolicę.

– Ogromnie się zmieniła.

– Ludzi też już nie ma. – Bingwen przez chwilę patrzył w ziemię, szturchając nogą jakiś kamień. – W tej dolinie są moi rodzice. Zgarnięci na stertę śmieci. Może dziadek też. I Skoczek, i Meilin. I Zihao. I wszyscy, których znałem. Ty walczysz, żeby ocalić świat. Ja walczę, ponieważ mój świat już został mi odebrany. Owszem, jestem mały, jestem dzieckiem. Nie, nie jestem wyszkolonym żołnierzem. Ale jeżeli jestem wystarczająco duży, żeby walczyć o utrzymanie się przy życiu, to biorę udział w wojnie.

Mazer nic nie odpowiedział. Zdumiewało go, że ten chłopiec jest taki dojrzały i niezłomny. Dzieci potrafią więcej, niż sądzimy, pomyślał. Mimo to nie powinien brać z sobą Bingwena. Zdrowy rozsądek i wyszkolenie podpowiadały mu, że to błąd taktyczny. Ale co mógł zrobić? Bingwen miał rację. Na północy też znaleźliby się w niebezpieczeństwie.

Mazer sięgnął do pakunku i wyciągnął zwinięte posłanie. Wcisnął guzik z boku i posłanie wypełniło się powietrzem.

– Prześpij się – powiedział. – Wezmę pierwszą wartę. – Podał chłopcu maskę. – Nałóż to.

– Ona jest dla dorosłego.

– Maksymalnie dociągnę paski. Powinna się przyssać.

– Jak mam spać z czymś takim na twarzy?

– Będziesz oddychał swobodnie. I to czystszym powietrzem niż to dookoła.

– A ty?

– Poradzę sobie. – Mazer nasunął maskę przeciwgazową Bingwenowi na głowę i dopasował paski.

– Jak wyglądam? – zapytał Bingwen głosem stłumionym przez maskę.

– Tak obco, jak Formidzi.

– Świetnie. To będzie moje przebranie. Użyjemy go do infiltracji. Ja będę Formidą, a ty moim słabym ludzkim zakładnikiem. Zawsze się udaje.

– Idź spać, mały.

Chłopiec położył się na posłaniu.

– Będziesz tu, kiedy wstanę? Nie wymkniesz się, kiedy będę spać?

– Nie. I tak byś mnie znalazł.

– No pewnie. Wytropiłbym cię. – Bingwen ułożył się na boku.

– Jak długo mnie wołałeś, zanim cię znalazłem? – spytał Mazer.

– Kilka godzin.

– Mogli cię usłyszeć Formidzi.

– Wiem. Zwłaszcza, że „Mazer” w ich języku znaczy „Tu jestem. Chodźcie tu i mnie zabijcie”.

– To nie jest zabawne.

– Próbowałem cię szukać. Nic z tego. Gdybym siedział cicho, nigdy bym cię nie znalazł. Wiedziałem, że to ryzykowne. Miałem szczęście.

– Szczęście to niedopowiedzenie… Ale cieszę się, że mnie znalazłeś. A teraz zamknij oczy.

Bingwen posłuchał.

– Czuję się, jakbym miał na głowie wiadro. To mi przygniata ucho. Nie mogę tak spać.

– To nie śpij na boku.

– Muszę spać na boku. W ten sposób śpię.

– Jeśli mówisz, to nie śpisz.

Bingwen umilkł. Wkrótce zasnął. Mazer oparł się o drzewo, słuchając szumu wiatru, który wiał z południa i szeleścił zwiędłymi liśćmi nad jego głową. Niósł z sobą wstrętny odór – smród ciał gnijących w słońcu.

Mazer wyciągnął z pakunku swoją starą koszulę, rozdarł ją i obwiązał sobie usta i nos prowizoryczną chustką. Następnie wyjął z kabury na biodrze broń, cicho wyjął z niej magazynek, a z magazynka naboje i je policzył. Załadował z powrotem i dodał w pamięci naboje z pozostałych magazynków. W sumie jakieś osiemdziesiąt sztuk. Niedużo.

To dlaczego idzie do lądownika? Dlaczego jest tak szaleńczo uparty? Dlaczego uważa, że może stawić czoło armii Formidów?

Ze względu na Kim, pomyślał. Ponieważ ją opuścił, żeby miała życie, na jakie zasługuje, i nie zamierzał pozwolić Formidom, by to zniszczyli. Ze względu na Patu, Reinhardta i Fataniego, na rodziców Bingwena i na Ye Ye Danwena. Bo to są Chiny Bingwena, a nie Formidów.

Wyrecytował słowa haka, których dawno temu nauczyła go matka. Słowa pieśni maoryskiego wojownika. Tańca śmierci.

Ka mate! Ka mate! Ka ora! Ka ora!
Ka mate! Ka mate! Ka ora! Ka ora!
Tenei te tangata puhuru huru
Nana nei i tiki mai, whakawhiti te ra

A upane! ka upane!
A upane! ka upane!
Whiti te ra! Hi!

Umieram! Umieram! Żyję! Żyję!
Umieram! Umieram! Żyję! Żyję!
Oto włochaty człowiek,
Dzięki któremu znowu zaświeciło słońce.
Słońce świeci!

Wypowiedziawszy te słowa, Mazer zrobił paskudną minę i wystawił język. Niech zobaczą twarz, która ich pokona. Niech zobaczą gniew. Niech się boją.

ROZDZIAŁ 25

KOSMICZNE ŚMIECI

Pierścienie śmieci wokół Ziemi przypominały pierścienie Saturna, tyle że zamiast lodu i krzemianów Victor zobaczył tysiące porzuconych satelitów, dawno zapomnianych stacji kosmicznych i egzemplarzy przestarzałej broni z czasów, kiedy wszystkie kraje zbroiły się na orbicie Ziemi.

– Ile dobra! – powiedział. – Unosi się tu i czeka, żeby ktoś to zgarnął i wykorzystał. Masz pojęcie, co mogłaby z tym wszystkim zrobić moja rodzina?

Imala prowadziła prom w stronę miejsca, gdzie stosunkowo blisko siebie znajdowało się kilka różnych satelitów.

– Nigdy wcześniej nie znajdowałeś się bliżej Ziemi, Victorze. Przed sobą masz zapierający dech w piersiach widok na planetę, a widzisz jedynie kompletnie bezwartościowe, zepsute błyszczące przedmioty.

Victor unosił się przed przednią szybą i oglądał lśniące w słońcu morze metalu, plastiku i poliwęglanów.

– Widzę planetę, Imalo. Jest piękna. Ale musisz sobie zdać sprawę, że kiedy coś się zepsuło w pasie K, nie mogliśmy tak po prostu pójść i kupić części zapasowej. Musieliśmy ją zrobić. Albo wyciągnąć potrzebne kawałki ze złomu, który trafiał się rzadko i był trudny do zdobycia. A tu znajduje się wszystko, czego potrzebujemy. I mnóstwo z tego jest nowe.

– Nie jest nowe, Vico. To złom. Stare śmieci.

– Jeśli uważasz je za stare, to powinnaś zobaczyć złom, z którym normalnie pracowaliśmy.

Imala włączyła silniki hamujące. Victor ubrał się już w skafander kosmiczny podłączony do długiego węża. Na plecach miał pakiet napędowy, a w rękach trzymał laserowy nóż, którym miał obcinać kawałki złomu, żeby je przeciągnąć na prom.

– Niektóre z tych śmieci kiedyś były bronią – wyjaśniła Imala. – Nie tnij więc gdzie popadnie. Posłuż się planami, które załadowałam

do twojego wyświetlacza wewnątrzhełmowego. Zobaczysz, gdzie można ciąć bezpiecznie.

Na Lunie użyła swojego kodu dostępu LWH, żeby przekopać się przez archiwum agencji i ściągnąć dane na temat tylu znajdujących się tu obiektów, ile ich jeszcze figurowało w archiwum.

– Dzięki – rzekł Victor. – Spróbuję nas nie wysadzić.

– To nie jest nawet trochę śmieszne.

– Nie martw się. To nie są materiały wybuchowe. Wiem, co robię.

Imala ustawiła prom przy pierwszym z satelitów i Victor przepłynął do śluzy powietrznej. Kiedy znalazł się na zewnątrz, natychmiast wziął się do pracy. Prom zwiadowczy powinien wyglądać jak kawałek złomu, więc Victora najbardziej interesowały bezwartościowe wnętrzności satelity. Przewody, wsporniki i izolacja, wszystko, co po rozbiciu statku zostałoby wystawione na próżnię. Wszystkie naprawdę cenne części – procesory, układy scalone, ogniwa paliwowe i soczewki – były zwykle małe, a zatem nieważne. Mimo to Victor nie mógł oprzeć się pokusie, odciął kilka procesorów i włożył je ukradkiem do kieszeni na piersi.

Pamiętał, że chociaż to są satelity, on maskuje statek. Musiał zignorować części charakterystyczne dla satelitów, takie jak baterie słoneczne czy koce termiczne – wszystkie cienkie, błoniaste materiały, które mogły odbić światło i zwrócić uwagę na statek zwiadowczy.

Początkowo wybierał powoli i metodycznie. W miarę jednak upływu dnia i przemieszczania się od obiektu do obiektu ciął coraz szybciej i mniej myślał o tym, co zbiera. Teraz liczyła się ilość, nie jakość. Skrupulatny i grymaśny mógł być w magazynie. Tutaj żął pszenicę. Na Lunie będzie piekł chleb.

Po dwunastu godzinach ładownia była pełna po sufit. Victor przekonał Imalę, by zdobyła wywrotkę cztery razy większą od tej, jaką uznali za wystarczającą, i zapełnił ją do ostatniego metra sześciennego.

– To wystarczy do zamaskowania asteroidy – stwierdziła Imala. – Ty masz pokryć złomem maleńki dwumiejscowy prom, pamiętasz?

– Nie wykorzystamy wszystkiego. Trzeba to przejrzeć i znaleźć odpowiednie fragmenty. Statek musi wyglądać dość jednolicie, Imalo. Wszystkie kawałki muszą sprawiać wrażenie, że pochodzą z jednego statku. To nie może być wielobarwna mieszanina części. Wyglądałaby fałszywie i prowizorycznie.

– Formidzi nie znają się na naszych statkach na tyle dobrze, żeby zauważyć różnicę.

– Tego nie wiesz. Niedocenianie ich to błąd. Może przypominają mrówki, ale wymyślili sposób na podróżowanie z prędkością bliską prędkości światła. Są o wiele inteligentniejsi od nas. Nie będę ryzykować.

Imala wzruszyła ramionami i już nie oponowała.

Powrotny lot na Lunę trwał długo, ale Victor cały czas był zajęty. Najpierw rozłożył kilka większych fragmentów, do których miał dostęp w ładowni. Następnie mniejsze kawałki przeskanował w holoprzestrzeni i wykonał ich trójwymiarowe modele. Już wcześniej sporządził holograficzny model niewielkiego statku zwiadowczego, który kupił z Imalą na Lunie. Wywołał go teraz w holoprzestrzeni i zaczął mocować do niego trójwymiarowe modele złomu, tworząc projekt kamuflażu i próbując kilku odmiennych koncepcji. Gdy dotarli z Imalą do magazynu Juke Limited, miał już pojęcie, co zrobi.

Lem umówił inżynierów, żeby byli pod ręką i pomogli rozładować prom. Kiedy Victor i Imala wyszli z rękawa do magazynu, czekała na nich grupa ludzi. Starsza kobieta afrykańskiego pochodzenia z długimi siwymi warkoczami i lekkim obcym akcentem przywitała Victora i Imalę uśmiechem i uściskiem dłoni.

– Jestem Noloa Benyawe. – Wskazała mężczyznę za swoimi plecami. – A to nasz główny inżynier, doktor Dublin.

Dublin miał życzliwą minę, a kiedy ściskał Victorowi dłoń, wyraz jego twarzy złagodniał jeszcze bardziej.

– Bardzo mi przykro z powodu twojej rodziny, Victorze. Doktor Benyawe i ja braliśmy udział w tamtej bitwie. Twoja kapitan i rodzina byli zdecydowani bronić Ziemi. Darzę ich najwyższym szacunkiem.

Victor skinął głową.

– Dziękuję, doktorze Dublin. Jest pan bardzo uprzejmy.

– Lem chce mieć pewność, że pozostanie to przedsięwzięciem prywatnym – rzekła Benyawe. – Poprosił, bym wyraźnie powiedziała personelowi, że nie jest to przedsięwzięcie firmy. Oznacza to, że nie możemy pomagać ci w czasie godzin pracy. Lem boi się, że prawnicy firmy mogliby to wykorzystać jako podstawę do zagarnięcia tego, co zrobimy. To niemądre, wiem, lecz on się upiera. Ale nie martw się, rozmawiałam tu z wszystkimi i z przyjemnością będziemy ci pomagać po godzinach tak długo, jak będziesz nas potrzebował.

– Jestem wdzięczny.

– Rozumiemy, że masz nadzieję umieścić na kilku kawałach złomu materiał napędowy i skierować je w stronę statku, żeby otworzyły się furty działowe.

– Tak jest. W ten sposób mam nadzieję dostać się do środka. Jeśli mają państwo lepszy pomysł, chętnie wysłucham. Improwizuję.

– Uważamy to za mądrą taktykę – powiedziała Benyawe. – I pozwoliliśmy sobie zaproponować kilka mechanizmów, które mogłyby załatwić sprawę. Zechcesz obejrzeć?

– Bardzo proszę – rzekł Victor.

Zaprowadzili go i Imalę do kąta magazynu, gdzie nad holostołem unosił się obraz wąskiego walcowatego silnika długości dwóch metrów.

– Te silniki zostały zaprojektowane do uzyskiwania szybkich przyśpieszeń – zaczął doktor Dublin. – Każdy z nich potrafi spowodować spore szarpnięcie, więc trzeba je mocno przytwierdzić do powierzchni złomu. Nie chcielibyśmy, żeby się oderwały i pomknęły w kosmos jak przekłute balony. Zatem konstrukcja mocowania jest równie ważna, co sam silnik. – Przeciągnął rysikiem przez holoprzestrzeń, w której pojawił się sześcian. – Załóżmy, że to kawałek złomu, którego chcecie użyć. – Chwycił silnik i umieścił cztery jego wizerunki na czterech bokach sześcianu. – Na powierzchni złomu możesz umieścić tyle silników, ile zechcesz. Oczywiście zechcesz je umieścić w równych odległościach od siebie, aby równomiernie rozmieścić ciąg. To zapewne będzie stanowiło pewne wyzwanie, ponieważ złom ma nieregularny kształt i będzie chwiejny. Trzeba będzie też zainstalować silniki tak, żeby miały tę samą kierunkowość. W ten sposób, kiedy dotrzesz do powierzchni statku i zdalnie uruchomisz silniki, zadziałają jak jeden, obracając się w zamocowaniach i reagując na twoje polecenia wydawane za pośrednictwem pilota. Jeżeli ulokujesz się w pobliżu furty działowej, możesz skierować złom prosto na siebie, co zwiększy prawdopodobieństwo, że otworzy się szczelina najbliższa ciebie.

– Znakomity pomysł – uznał Victor. – Tak zróbmy, ale mogę coś zaproponować? Nie mocujmy tych silników do kawału złomu już unoszącego się w okolicy statku Formidów, jak początkowo planowałem. Pokazał mi pan, że jest z tym za dużo problemów. Co będzie, jeśli źle zamocuję wsporniki? Jeśli fragment złomu będzie tak niestabilny, że silniki rozerwą go na strzępy? Pozostaje też kwestia

spaceru w przestrzeni tak blisko Formidów. To wymagałoby dużo czasu, a gdybym się pomylił, mógłbym niechcący ujawnić Formidom moją obecność, zanim do nich dotrę, o czym ze względu na własne zdrowie raczej nie marzę. Proponuję więc zrobić dokładnie tak, jak pan to opisał, i wykorzystać te silniki, ale zbudujmy ten kawał złomu tutaj w magazynie. Zróbmy go sami. To nam pozwoli zaplanować jego konstrukcję. Możemy umieścić silniki w jednakowej odległości od siebie. Możemy wzmocnić wsporniki mocujące. Możemy wzmocnić całą konstrukcję, żeby się nie rozpadła, kiedy włączę silniki. Kontrolowalibyśmy wszystkie zmienne i co najważniejsze, całość przetestujemy tutaj. W ten sposób nie narażę się niepotrzebnie na niebezpieczeństwo, usiłując zrobić to wszystko w kosmosie. Przymocujemy naszą konstrukcję do promu, a ja potem ją uwolnię wśród innych śmieci, zbliżę się do statku Formidów i w odpowiednim czasie skieruję ją do siebie.

Benyawe i Dublin wymienili spojrzenia.

– To by było idealne, owszem – rzekła Benyawe.

– Możemy wykorzystać niektóre z kosmicznych śmieci, które właśnie odzyskaliśmy – zaproponował Victor.

– Przywieźliśmy ich wystarczająco dużo – dodała Imala.

Victor się uśmiechnął.

– Widzisz? Więcej to zawsze lepiej – powiedział.

Kiedy wrócił do wywrotki, za pomocą podnośników i dźwigów wyładował wszystkie śmieci i ułożył je na podłodze magazynu. Imala usiłowała pomagać, ale ilekroć umieszczała coś na podłodze, Victor mówił, że nie powinno się tam znajdować, i kazał jej przesunąć dany fragment gdzie indziej.

– Gdybyś mi powiedział, w jaki sposób to wszystko organizujesz, nie kładłabym tych śmieci w złym miejscu – powiedziała.

– Nie robisz tego źle.

– Ale i nie robię tego dobrze. Wyjaśnij mi, o czym myślisz, Vico, byśmy oboje nie tracili czasu.

Widział, że Imala robi się zła.

– To trudno wyjaśnić. Dzielę złom według tego, jak zamierzamy go wykorzystać, czy do promu zwiadowczego, czy do wabika. A potem te kawałki dzielę na kategorie według gotowości do użycia. Niektóre z fragmentów trzeba będzie rozmontować, niektóre uszkodzić.

– Uszkodzić?

– Statek będzie musiał wyglądać jak po wybuchu. Powinien być powgniatany, osmalony i zniszczony.

– Gdzie jest ta sterta?

Podeszli do wysokiego stosu złomu.

– Wszystkie duże fragmenty są tutaj – powiedział Victor.

– Jak zamierzasz je pouszkadzać?

Victor wzruszył ramionami.

– Stłukę je młotkiem. Poparzę lampą lutowniczą. Powykrzywiam.

– Ja to zrobię – zaproponowała Imala. Podeszła do ściany z narzędziami i zdjęła z niej młotek. – W tej chwili mam ochotę w coś walnąć.

– Pamiętaj, żeby zamocować stopy i to, w co walisz – napomniał ją Victor. – Tu jest grawitacja Księżyca. Zapewne młotek będzie wytwarzał duży odrzut. No i w razie gdyby przy uderzeniu odrywały się jakieś drobne kawałki, będziesz potrzebowała osłony na twarz.

Spojrzała na niego z cieniem pogardy.

– Wiem, jak uderzyć w coś młotkiem, Vico. Nie jestem głupia.

– Nie chciałem sugerować nic takiego. Tylko ci przypominałem, że…

– Daruj sobie. Rozumiem.

Szarpnęła jeden z fragmentów tworzących stertę, a on powoli spadł z klekotem na posadzkę. Victor wycofał się i zostawił ją przy pracy. Czuł, że powinien ją przeprosić, ale za co? Naprawdę miał system sortowania tych śmieci, tworzył go w głowie na bieżąco i trudno było wszystko wyjaśniać. A jeśli chodzi o posługiwanie się młotkiem, to tak właśnie zawsze pracowali z ojcem: rozmawiali w trakcie wykonywania czynności, przypominali sobie o zasadach bezpieczeństwa, pilnowali się nawzajem. To było konieczne. Zmęczenie sprawia, że łatwo było stać się niedbałym, a w pasie K nie można było sobie pozwolić na żadne urazy fizyczne.

Tylko że nie znajdujemy się w pasie K, napomniał się Victor. Znajdujemy się w świecie Imali.

Imala klęczała przytwierdzona kolanami do posadzki. Zaczęła walić młotkiem w kawałek metalu i grzmiący brzęk jej uderzeń rozległ się echem w całym magazynie.

Victor wrócił do swojego dźwigu. Ze zdziwieniem zobaczył, że czeka przy nim Lem z dużym płóciennym workiem na ramieniu.

– Masz ciekawe podejście do kobiet, Victorze. Zamiast doprowadzać je do omdlenia, wzbudzasz w nich chęć przywalenia ci

młotkiem. To jakaś nowa metoda. Będziesz musiał mi powiedzieć, jak ci to wychodzi.

– Mogę coś dla ciebie zrobić, Lemie? – zapytał Victor, starając się, by w jego głosie nie zabrzmiała pogarda.

– Możesz coś ode mnie wziąć. – Lem zdjął z ramienia worek, położył go delikatnie na podłodze i otworzył. W środku znajdowały się dwa duże urządzenia, których Victor nie rozpoznał, i trzecie, mniejsze, które wyglądało jak detonator. – Zaniesiesz to na mostek statku Formidów… zakładając, że do niego dotrzesz. Jest tu dość materiałów wybuchowych, żeby wyrządzić poważne szkody. Wolałbym ci dać taktyczną głowicę jądrową, ale trudno je dostać. Musiałem dokonać kilku niewielkich cudów, żeby zdobyć to wszystko.

– Jak to działa? – zapytał Victor.

Jego rodzina stale używała materiałów wybuchowych przy pracach górniczych na asteroidach, ale zawsze czuł się przy nich nieswojo, nawet kiedy były zdemontowane jak te tutaj i całkowicie nieszkodliwe. Lem pokazał mu, jak połączyć dwa urządzenia, a potem tylko wyjaśnił, jak uzbroić bombę i uruchomić detonator.

– Jaki jest zasięg detonatora? – spytał Victor. – Jak bardzo mogę się oddalić, zanim go uruchomię?

– I to jest trudna część zadania – odpowiedział Lem z niepewną miną. – Te urządzenia zostały zaprojektowane dla asteroid. W otwartej przestrzeni kosmicznej komunikacja między detonatorem i materiałem wybuchowym jest łatwa. Upuszcza się je na wyznaczone miejsce, cofa się statek i bum. Nie zostały zaprojektowane do umieszczenia głęboko w trzewiach statku, który wedle wszelkiego prawdopodobieństwa jest pocięty plątaniną tuneli i zrobiony z wielu warstw obcych metalicznych stopów. A jeśli masz rację co do mostka, że znajduje się pośrodku statku, jest to spora odległość od kadłuba.

– Mówisz, że nie znasz zasięgu detonatora.

– Mówię, że nie ma sposobu, żeby go określić, nie wiedząc, co się znajduje wewnątrz statku Formidów. Możliwe, że mógłbyś znaleźć się w połowie drogi na Lunę i wciąż być w zasięgu. Albo mógłbyś się znaleźć poza jego zasięgiem w chwili, gdy opuścisz mostek. Nie wiadomo.

– A co z urządzeniem zegarowym?

– To opcja B. Możesz umieścić materiał wybuchowy tam, gdzie nie zostanie odkryty, i ustawić czas wybuchu na dwanaście albo

dwadzieścia cztery godziny później – albo z takim opóźnieniem, jakie według ciebie będzie ci potrzebne do wydostania się na zewnątrz. Osobiście nie jestem zwolennikiem urządzeń zegarowych. Posłużyliśmy się nimi, kiedy po raz pierwszy zaatakowaliśmy Formidów. Nie wyszło nam na dobre.

Mówi „my", pomyślał Victor, i ma na myśli siebie i moją rodzinę, siebie i mojego ojca. Wciąż nie przyzwyczaił się do obrazu Lema walczącego u boku Concepción, ojca i innych mężczyzn z „El Calvadora".

– Dzięki – powiedział. – Jakoś to rozpracuję.

Lem podszedł do kupionego przez nich promu zwiadowczego, małego, kanciastego dwumiejscowego stateczka nie większego od śmigacza. Boczne drzwi stały otworem. Lem ugiął kolana i zajrzał do środka. Wnętrze było wygodne i pełne najnowszych przyrządów pilotażowych.

– Ładny stateczek. Szkoda go zniszczyć.

– Zniszczymy tylko jego zewnętrze – rzekł Victor.

– Jak to zrobisz? Nie ma śluzy, a Formidzi raczej nie podadzą ci rękawa. Kiedy otworzysz drzwi, żeby wyjść na zewnątrz, znajdziesz się w próżni.

– Cały czas będę w skafandrze kosmicznym. Będę miał z sobą tlen potrzebny mi od opuszczenia Luny do momentu powrotu.

– A co z zacumowaniem promu? Zdryfuje, kiedy go opuścisz, żeby się dostać do statku bazy. Kadłub formidzkiego statku jest gładki jak szkło. Nie ma się do czego przyczepić. A jeśli chodzi o prom, to chyba nie zaufałbym magnesom.

– Będę w środku – odezwała się Imala.

Victor się odwrócił. Dziewczyna zbliżała się z młotkiem w ręku, ocierając drugą ręką pot z czoła.

– Utrzymam go na miejscu – powiedziała. – Nie będzie dryfował.

– Nie lecisz ze mną, Imalo.

– Owszem, lecę. Jestem lepszym pilotem od ciebie, a manewrowanie promem w pasie tych śmieci wymaga spokojnej ręki.

– Będę leciał z niezauważalną prędkością. Uważam, że mi się uda.

– Może zawieść tysiąc rzeczy. We dwoje znacząco zwiększymy szanse powodzenia.

– Nie ma mowy. Nie pozwolę, żebyś narażała się na takie niebezpieczeństwo.

Uniosła brew.

– Nie pozwolisz mi? Nie jesteś moim przełożonym, Vico.

– Oczywiście. Chcę powiedzieć… To moja walka, Imalo. Nie mógłbym żyć dalej, gdyby przeze mnie coś ci się stało. Nie powinnaś ponosić tego ryzyka.

Imala wypuściła powietrze z płuc, odgarnęła długi kosmyk włosów z twarzy i spojrzała na Lema.

– Możesz…?

Lem się uśmiechnął.

– Chociaż bardzo nie chciałbym stracić reszty tej rozmowy, zostawię was samych. – Już miał odejść, ale się odwrócił. – Cokolwiek jednak postanowicie, wybierzcie sposób, który z największym prawdopodobieństwem doprowadzi do sukcesu. Nie po to płacę te bajońskie sumy, żeby zobaczyć, jak ten maleńki prom zostanie rozniesiony w pył.

Odszedł, zostawiwszy worek u stóp Victora.

– Doceniam, że się o mnie martwisz, i rozumiem, że włożyłeś w tę walkę wiele wysiłku – odezwała się po chwili Imala. – Straciłeś wielu członków rodziny i nawet nie potrafię sobie wyobrazić, jaki to sprawia ból. Ale co do jednego się mylisz. To nie jest wyłącznie twoja walka. To jest też moja walka. Nie straciłam nikogo z rodziny, to prawda, ale jeśli Formidów się nie powstrzyma, to stracę. Stracę wszystko. I nie zamierzam siedzieć tu, nic nie robić i pozwolić, by tak się stało, skoro mogę się włączyć do działań. Straciłeś swój dom, Vico, ale ja w tej chwili tracę mój. W tej chwili Ziemia płonie i to daje mi takie samo prawo, jakie masz ty. – Założyła ramiona na piersi. – Ale nawet gdyby to była nieprawda, nawet gdyby mnie to zupełnie nie dotyczyło, to za tym, żebyśmy polecieli oboje, przemawia rozsądek. Będziesz przekazywał mi, co widzisz i co znajdujesz wewnątrz statku. Jeśli zginiesz, dostarczę na Lunę to, czego się dowiedziałeś i co zarejestrowałeś. Dopilnuję, żeby te informacje dotarły do ludzi, którzy mogą je wykorzystać i zakończyć tę wojnę. Oczywiście nie chcę, żeby ci się coś złego stało, ale te informacje byłyby cenniejsze niż życie nas obojga.

Victor przez chwilę milczał. Imala oczywiście miała rację. Nie mógł znaleźć żadnych argumentów przeciwko temu, co powiedziała.

– Oboje cały czas będziemy musieli mieć na sobie kombinezony, co oznacza, że trzeba podwoić zapasy tlenu, a to z kolei oznacza, że

będziemy ściśnięci w kokpicie jak w jednym hamaku. Będzie bardzo niewygodnie.

– Przynajmniej będziemy mieli na głowach hełmy – stwierdziła z uśmiechem. – Jeśli któremuś z nas będzie brzydko pachnieć z ust, będzie cierpiała tylko winna osoba.

– Ja mówię poważnie. To nie będzie przyjemne. Będzie nam ciasno.

Imala położyła mu rękę na ramieniu.

– Rzucamy wyzwanie niezniszczalnemu obcemu statkowi, który właśnie unicestwił większość ziemskiej floty kosmicznej, Victorze. Niewygodna podróż to najmniejszy z naszych problemów.

ROZDZIAŁ 26

BIOMASA

Mazer i Bingwen wyruszyli w stronę lądownika pod osłoną ciemności, trzy godziny przed świtem. Chłopiec prowadził, cicho stąpając po błocie. Na głowie miał maskę. Poruszali się szybko i niewiele mówili. Mazer wypatrywał na niebie transportowców.

Wiedział, że raczej ich nie zobaczą – do chwili, kiedy będzie za późno. Transportowce były bezgłośne i nie używały świateł zewnętrznych, więc w nocy były praktycznie niewidoczne. Jeśli któryś się pokaże, to zapewne tuż nad ich głowami. A co w takiej sytuacji mogli zrobić Mazer i Bingwen prócz podjęcia walki z nadzieją na najlepsze? Nie mogli się nigdzie ukryć. Nie było już niczego, co mogłoby posłużyć za osłonę. Na północy znajdowały się skrawki dżungli, które mogły dać jakieś schronienie, lecz tutaj, w pobliżu lądownika, Formidzi nie zostawili niczego. Wszystkie drzewa, krzaki i źdźbła trawy zostały wydarte lub spalone, a krajobraz stał się tak nagi i pozbawiony jakiegokolwiek życia, że sprawiał wrażenie, jakby obaj znaleźli się na innej planecie.

– Jeśli powiem ci, żebyś uciekał, to masz uciekać – rzekł Mazer. – Rozumiesz? Żadnych pytań, żadnego wahania. Natychmiastowe posłuszeństwo.

– Natychmiastowe posłuszeństwo – powtórzył Bingwen.

– To może decydować o twoim życiu. O życiu nas obu. Jeśli każę ci paść, to padasz. Jeśli każę wskoczyć do rzeki, wskakujesz do rzeki.

– Rzeka jest prawdopodobnie skażona – powiedział Bingwen. – W tej wodzie znajduje się spłukana mgła. Gdybym w tym pływał, mógłbym umrzeć.

– Widzisz? O takim właśnie wahaniu mówię. Nie możesz kwestionować moich poleceń. Nigdy. Jeśli każę ci wskoczyć do skażonej rzeki, to tylko dlatego, że wszystkie inne możliwości oznaczają śmierć. Oznacza to, że szanse przeżycia kąpieli w skażonej rzece, jakkolwiek niewielkie, są większe niż szanse przeżycia, jeśli się do niej nie wskoczy.

– Skoczyć do rzeki. Rozumiem.

Mazer zatrzymał się, odwrócił do chłopca i przyklęknął.

– Mówię poważnie, Bingwenie. Jeśli wydam ci polecenie, to tylko po to, by zachować cię przy życiu. To polecenie może być sprzeczne z tym, co uważasz za najlepsze albo co chcesz zrobić, ale musisz je wykonać. Musisz z całkowitą pewnością wierzyć, że wszystko, co ci mówię, mówię dla twojego dobra.

Bingwen skinął głową.

– Wierzę.

– Więc jeśli każę ci kucnąć i się ukryć…

– Kucam i się ukrywam.

– A jeśli każę ci wpełznąć do jakiejś dziury…

– To udaję węża i się chowam.

Mazer wyjął z kabury broń.

– A jeśli każę ci to wziąć i iść na północ…

– Myślałem, że nie zamierzałeś uczyć mnie strzelać.

– Nie zamierzam. To ostateczność, kiedy zawiedzie każde inne wyjście. Ale jeśli powiem ci, żebyś wziął pistolet i uciekał na północ, weźmiesz go do obrony i uciekniesz na północ. Rozumiesz?

– Dlaczego miałbyś mi go dawać?

Mazer chciał coś powiedzieć, ale Bingwen mówił dalej, nie pozwalając mu dojść do słowa:

– W danej chwili nie sprzeciwiałbym ci się. Gdybyś kazał mi to zrobić, posłuchałbym bez wahania. Pytam teraz, kiedy jeszcze możesz mi odpowiedzieć. Jeżeli będziesz na tyle żywy, żeby dać mi broń i wydać polecenie, to nie będziesz na tyle żywy, żeby dalej nią walczyć?

– Jeżeli dam ci broń i każę uciekać, to dlatego, że to jedyny sposób na utrzymanie cię przy życiu.

– Mnie… ale nie ciebie.

– Nie chcę zginąć. Zrobię wszystko, żeby wrócić do domu. Ale ważniejsze jest dla mnie to, żeby przeżył choć jeden z nas. Jeżeli będę mógł powstrzymywać ich na tyle długo, żebyś zdołał uciec, to wolę to, niż żeby coś złego się stało nam obu. Rozumiesz?

Bingwen zamachał rękami.

– Nie. Tak nie może być. Gdybyś był sam, walczyłbyś do ostatniej chwili. Wytrwałbyś. I kto wie, może dzięki wytrwałości albo szczęściu, albo umiejętnościom czy desperacji przeżyłbyś, nawet gdybyś się tego nie spodziewał. A oddanie mi broni gwarantuje porażkę. Jakbyś się poddał. Zginąłbyś przeze mnie. Nie mogę na to pozwolić.

– Posłuchaj, Bingwenie…

– Nie. Nie pozwolę ci na to. Jeżeli postanowisz oddać broń, zrobisz to w niewłaściwym momencie. Powstrzymywałbyś się z tym tak długo, jak według ciebie wymagałoby to zapewnienie mojego przetrwania, a nie twojego. I dałbyś mi więcej czasu, niżbym go potrzebował, a więc poddałbyś się wcześniej, niż byłoby to konieczne. Możesz mi pokazać, jak działa pistolet, ale użyję go tylko wtedy, kiedy ty już nie będziesz do tego zdolny.

Mazer przez chwilę milczał.

– W wojsku nazywamy coś takiego niesubordynacją. Żołnierzy się za to degraduje i wsadza do więzienia.

– Dobrze, że nie jestem w wojsku.

– Utrudniasz mi to zadanie.

– Wręcz przeciwnie. Usuwam z twoich myśli jedną okoliczność. Pozwalam ci walczyć z jaśniejszym umysłem. To jest też w moim najlepszym interesie. Im bardziej się skupisz na pozostaniu przy życiu, tym większe szanse mam i ja.

Mazer zastanawiał się chwilę, a potem skinął głową

– W porządku. Nie dam ci broni.

– Świetnie.

– Ale jeśli nie będę już w stanie jej używać, weź ją. – Pokazał mu pistolet. – Widzisz to światełko? Czerwone oznacza, że nie można strzelić, jest włączony bezpiecznik. Przesuwasz ten włącznik, światełko robi się zielone, pistolet jest gotowy do strzału. – Z powrotem włączył bezpiecznik. – Nie biegnij z palcem na spuście, nawet kiedy bezpiecznik jest włączony. To najszybsza metoda do postrzelenia się. Do czasu, kiedy jesteś gotowy do strzału, trzymaj palec wskazujący w ten sposób płasko na korpusie. I stosuj

stabilizator nadgarstka. Patrz. – Mazer stuknął w guziczek na rękojeści; stabilizator rozłożył się do tyłu i owinął wokół przegubu. – Napina się i automatycznie dopasowuje do obwodu nadgarstka, żeby ułatwić celowanie.

– W co powinienem celować?

– W centrum masy. W środek piersi. Dwa naboje. Jeden po drugim. Poczujesz odrzut, ale niewielki. – Mazer wstał. Zauważył niepokój na twarzy Bingwena. – Prawdopodobnie do tego nie dojdzie. Prawdopodobnie nigdy nie będziesz musiał go użyć.

Chłopiec skinął głową, lecz Mazer nadal wyczuwał jego niepokój. Nie powinienem był brać go z sobą na południe, pomyślał. Powinniśmy byli iść na zachód, z dala od transportowców patrolujących tereny na północy i z dala od lądownika. Co ja sobie myślałem, biorąc z sobą dziecko?

– Zastanawiasz się – zauważył Bingwen. – Widzę, jak obracają ci się trybiki w głowie.

– Zastanawiam się, bo postępujemy jak szaleńcy. To nie jest zabawa. To jest wojna. Ten mój marsz to jedno. Twoje towarzyszenie mi to zupełnie coś innego. Żołnierze nie zabierają ośmiolatków na wojnę.

– Mam lat osiem i pół.

– Ja nie żartuję. To niewłaściwe. Tak podpowiada mi moje wyszkolenie. Tak mówi zdrowy rozsądek. Oraz prawo.

– Już to omawialiśmy. To moja decyzja.

– Nie jesteś dość dorosły, by ją podjąć. Jesteś nieletni. Istnieją powody, dla których nie przyjmuje się rekrutów poniżej osiemnastego roku życia.

– Ja nie idę jako żołnierz, tylko jako przewodnik. Prowadzę cię do lądownika. Gdybym już raz nie poprawił kierunku marszu, minąłbyś go o kilka kilometrów.

– W końcu bym znalazł – powiedział Mazer, stukając się w skrzydełko nosa. – Wystarczy kierować się smrodem.

– To może nie być tak niebezpieczne, jak sądzisz. Zauważyłeś, że im bardziej zbliżamy się do lądownika, tym mniej widzimy transportowców, śmigaczy i Formidów? Może statki i piechota rozchodzą się na wszystkie strony i poszerzają terytorium obcych. Jeżeli to siły inwazyjne, nadal będą dokonywać inwazji. Możliwe, że nawet nie strzegą lądownika. No bo po co? Jest niezniszczalny. Ma osłony. Po co marnować ludzi i statki na obronę czegoś, co nie

wymaga obrony? To prawdopodobnie najbezpieczniejsze miejsce w okolicy.

Mazer się uśmiechnął.

– Po wojnie wyślę cię do szkoły, ale nie na kierunek prawniczy. Już jesteś zbyt przebiegły.

Bingwen obdarzył go szerokim uśmiechem.

Szli dalej po rozległych, błotnistych polach z nieruchomymi płaszczyznami wody śmierdzącej zgnilizną i śmiercią. Bingwen wskazał zbocze góry, gdzie niegdyś znajdowała się nieduża wioska. Została po niej tylko osmalona ziemia i jeden płat blachy dachowej, który hałasował na wietrze, co brzmiało jak grzmot.

Godzinę przed wschodem słońca dotarli do podnóża góry. Za nią znajdował się lądownik i biomasa. Mazer widział, że wejście na szczyt nie będzie łatwe. Formidzi pozbawili zbocza roślinności, a silne deszcze zmiękczyły odsłoniętą ziemię i spowodowały jej erozję, tworząc strome błotniste stoki, które groziły osunięciem.

Pokazał Bingwenowi, jak na najbardziej stromych odcinkach stawiać stopy bokiem, żeby równomierniej obciążać podeszwy butów, ale i tak często upadali i ciągle się zsuwali, tak że musieli z trudem wspinać się na czworakach. Kiedy dotarli na szczyt, słońce już stało na niebie, a oni, zmarznięci, mokrzy i wyczerpani, byli od stóp do głów pokryci błotem.

Mazer wyjął z pakunku lornetkę i podczołgał się do niewielkiego występu skalnego, z którego rozciągał się widok na leżącą poniżej dolinę. Lądownik był taki, jak go zapamiętał: niewiarygodnie wielki i całkowicie nietknięty, zagłębiony w ziemi jak gigantyczna odkopana mina lądowa. Obok znajdowała się ogromna góra gnijącej biomasy tak wysoka i szeroka, jak wysoki i szeroki był lądownik, zanim wwiercił się w ziemię. Mazer spodziewał się, że będzie w stanie rozróżnić obiekty składające się na biomasę – tutaj drzewa, tam bawołu – jednak wszystko rozłożyło się do postaci gęstego, kleistego płynu.

Nad biomasą unosiło się sześć formidzkich statków powietrznych nieznanego Mazerowi typu i rozpylało na nią mgłę.

Mazer patrzył przez lornetkę, jak mgła opada i rozpuszcza biomasę w cienkie strużki paskudnej mazi, które spływały w dół i zbierały się u podnóża sterty w ciemne kałuże. Została tam zbudowana metalowa ściana, otaczająca górę biomasy niczym kolista tama i zbierająca ściekającą maź do rur, które biegły do urządzeń

przetwórczych i niewielkich konstrukcji rozsianych po dnie doliny jak potężny kompleks przemysłowy.

To wszystko powstało w ciągu dziesięciu dni. Najwyraźniej Formidzi nie zakończyli budowy. Wszędzie krzątały się ekipy budowlane, które montowały rury i maszyny oraz rozbudowywały konstrukcje. Materiały dowoziły im śmigacze. Podobne do szponów dźwigi przytrzymywały rury, które robotnicy spawali.

Jednak chociaż teren budowy był ogromny i sprawiał imponujące wrażenie, Mazer nigdy nie widział takiego braku organizacji. Budowa nie odbywała się według żadnych zasad. Wszystko wyglądało na połączone przypadkowo i bez żadnego planu czy chęci ujednolicenia części składowych. Metalowe elementy były chropowate i rdzewiejące, jakby zostały użyte już setki razy w innych celach i ani razu ich nie oczyszczono, nie zakonserwowano.

Formidzi nie przejmowali się też czystością. Wszystko pokrywał brud. Ziemia była zarzucona śmieciami i porzuconymi materiałami budowlanymi, wszędzie leżały odchody obcych. Wiedział z całą pewnością, czym jest ta czarna substancja, ponieważ zauważył, jak kilku Formidów oddawało stolec podczas pracy. Nie przejmując się otaczającymi ich pobratymcami, po prostu defekowali tam, gdzie stali. Odchody pokrywały ziemię, rury i stopy Formidów. Smród nie pochodził tylko z biomasy.

Mazer z powrotem skierował lornetkę na śmigacze rozpylające mgłę. Zrobił jak największe zbliżenie, polecił komputerowi sporządzić skany i przeprowadzić ich analizę. Wyniki powiedziały mu niewiele: mgła stanowiła roztwór drobnoustrojów o nieznanym składzie.

– Rozkładają biomasę – powiedział Bingwen, który wcześniej podpełzł do Mazera i obserwował go przy pracy. – Do czego jej używają? Jako paliwa?

– Albo jako pożywienia. Albo może i tak, i tak.

Bingwen zamilkł i wpatrywał się w biomasę. Mazer pomyślał, że gdzieś tam są jego rodzice.

– Proszę – powiedział i podał chłopcu lornetkę w nadziei, że w ten sposób skieruje jego myśli na inne tory. – Zapracuj na swoje utrzymanie. Przyjrzyj się lądownikowi. Powiedz, czy widzisz coś interesującego.

Bingwen przycisnął okular do osłony maski przeciwgazowej.

– To by było o wiele łatwiejsze, gdybym mógł zdjąć maskę – powiedział i zerknął z namysłem na Mazera. – Ale biorąc pod uwagę zieleń twojej twarzy, chyba tego nie zrobię.

– Mądra decyzja.

Bingwen wyregulował ostrość i spojrzał w dół na lądownik.

– Jak na zaawansowany gatunek obcych nie bardzo się przejmują porządkiem. Metal wygląda obrzydliwie i jest zardzewiały.

– I pokryty łajnem Formidów, jeśli nie zauważyłeś.

– Tak, dziękuję, że zwróciłeś mi na to uwagę.

– Przynajmniej nie czujesz tego zapachu.

Bingwen powoli przesuwał lornetkę. Po chwili znieruchomiał.

– To ciekawe. Blisko podstawy lądownika jest dziura w ziemi. Ma może metr średnicy. Właśnie widziałem, jak wpełzł do niej Formida. Jakieś cztery metry od niej, bliżej lądownika, znajduje się jeszcze jedna. Wypełzł z niej Formida i najpierw pomyślałem, że to jakiś inny Formida. Ale nie, to był ten sam. Poznałem go po tym, że kuleje na jedną nogę. Wpełzł do pierwszej dziury, przeszedł pod ziemią jakieś cztery metry, wyszedł przez drugą dziurę i poszedł dalej do lądownika. Dziwne, prawda? Jeżeli szedł do lądownika, dlaczego nie poszedł prosto do niego? Po co wchodził pod ziemię?

– Zapewne nie może pójść prosto do niego – rzekł Mazer.

– Właśnie. Coś musi stać mu na drodze, coś niewidzialnego, co zmusza go do przepełznięcia pod spodem, żeby dostać się na drugą stronę.

– Osłona.

Mazer wyciągnął rękę po lornetkę, a kiedy Bingwen mu ją podał, wyregulował ostrość i skierował ją tam, gdzie pokazywał chłopiec.

– Widzisz to duże czerwone metalowe coś, co wygląda jak wieża ciśnień? – zapytał Bingwen. – U jej podstawy biegnie rura. Popatrz wzdłuż niej jakieś pięćdziesiąt metrów na zachód, to znajdziesz dziurę.

– Widzę.

Mazer zaczął obserwować otwór. Po jakimś czasie nadeszło dwóch Formidów niosących metalową belkę. Wpełzli do otworu, wciągnęli za sobą belkę i zniknęli. Po chwili wypełzli z drugiego otworu. Kiedy stanęli na nogi, położyli sobie belkę na ramionach i poszli dalej w stronę lądownika.

– Wiesz, co to znaczy, prawda? – powiedział Bingwen. – To znaczy, że osłona nie wchodzi pod ziemię. Chroni tylko to, co się

znajduje nad nią.

– Widzisz jeszcze jakieś inne dziury?

– Nie, ale ta nie może być jedyną. Tam są setki robotników. Jeżeli śpią w lądowniku, to na początku i na końcu każdej zmiany ta dziura by się zatykała. Muszą być inne.

Mazer kilka minut przyglądał się terenowi.

– Naliczyłem trzy inne pary dziur, wszystkie podobne do tej, którą znalazłeś. Jedna dziura na zewnątrz osłony, druga wewnątrz.

– A to są tylko te widoczne stąd – stwierdził Bingwen. – Prawdopodobnie wokół lądownika znajdują się ich dziesiątki. Musimy powiedzieć wojsku. Mogą wysłać żołnierzy, którzy przejdą przez dziury i opanują lądownik.

– Nie. Nie wejdziemy przez dziury.

– Ale…

Bingwen nagle przerwał; z przerażeniem patrzył na coś nad głową Mazera, za nim. Mazer przekręcił się na plecy i zobaczył, że na szczycie góry wylądował transportowiec. Wybiegli z niego Formidzi i pędzili w ich stronę z bronią podobną do karabinów w górnych parach rąk.

Mazer błyskawicznie zerwał się na nogi, podniósł Bingwena i pchnął go w stronę, z której przyszli.

– Uciekaj!

Bingwen pobiegł.

Mazer przykląkł z bronią w ręku. Stabilizator oplótł mu nadgarstek z delikatnym trzaskiem. Formidzi znajdowali się już w odległości trzydziestu metrów. Strzelił kilkanaście razy i pięciu obcych padło. Siedmiu innych nadal zmierzało w jego stronę. Odwrócił się, wstał i ruszył biegiem. Po drodze chwycił pakunek i zarzucił go sobie najpierw na jedno ramię, potem na drugie. Usunął z pistoletu magazynek i załadował drugi. W biegu puścił za siebie serię czterech strzałów. Upadł kolejny Formida.

Bingwen biegł górskim grzbietem. Mazer szybko go dogonił. Po ich lewej stronie znajdował się lądownik i setki Formidów. Po prawej opadało w dół strome błotniste zbocze, po którym wdrapali się z takim trudem. Mazer uświadomił sobie, że mogą zrobić tylko jedno. Nie mieli tu żadnej osłony, żadnego miejsca, w którym mogliby się okopać i walczyć.

Zgarnął Bingwena na ręce.

– Trzymaj się mocno!

Chłopiec objął go za szyję i wtulił mu twarz w ramię. Żadnego wahania. Natychmiastowe posłuszeństwo.

Mazer skręcił ostro w prawo, gdzie z grzbietu wysuwał się skalny nawis.

Podbiegł do jego krawędzi.

I skoczył w powietrze.

Góra była stroma; przelecieli dziesięć metrów, dopiero potem uderzyli o zbocze i runęli w dół. Mazer zjeżdżał na plecach, a pakunek służył mu jak sanie. Grunt wokół nich zsuwał się ze stoku jak prześcieradło ściągane z łóżka. Mazer czuł, że błoto gromadzi się falą wokół niego i narasta, by ich pochłonąć, połknąć, zagrzebać żywcem. Trzymał nogi sztywno wyprostowane przed sobą i przywarł do Bingwena, usiłując utrzymywać jak największą prędkość.

Wiedział, że powinni dotknąć ziemi w biegu. Nie mogli znaleźć się u podnóża góry na plecach. Błoto, które zsuwało się za nimi, zalałoby ich w jednej chwili.

Zbliżali się do końca trasy. Błoto, piasek i ziemia pryskały Mazerowi na twarz, utrudniając mu widzenie. Będzie musiał dobrze odmierzyć czas; jeśli poderwie się za szybko, stopy ugrzęzną mu w błocie. Jeśli odczeka za długo, zatrzyma się rozciągnięty na ziemi z przygniatającym go Bingwenem i nie zdąży wstać.

Wysunął prawą stopę do przodu i w chwili, którą uznał za właściwą, mocno wbił piętę w ziemię. W tym samym momencie przechylił tors do przodu, mocniej niż było to według niego konieczne, bo miał w ramionach Bingwena.

Udało się. Uniósł się z półleżącej pozycji do niemal stojącej i spadł na równą ziemię z wysokości metra. Znajdował się na płaskim terenie, ale miał za duży rozpęd. Potknął się i upuścił Bingwena, który wylądował na kolanach. Błoto osuwało się wokół nich jak cofająca się morska fala, Mazer słyszał narastający jego szum. Z wysiłkiem podnosił wysoko nogi, nie pozwalając, by wciągnęło je rozlewisko błota. Chwycił Bingwena za koszulę na piersi i znowu go podniósł. Potykali się, upadali, podnosili się i biegli przed siebie, wyprzedzając falę błota o ułamki sekundy.

Wreszcie znaleźli się poza jej zasięgiem i Mazer biegł po równym, twardym gruncie. Odzyskał równowagę i pewność kroku.

Przed nimi rozciągała się spalona ziemia. Tu też nie było żadnej osłony. Żadnych drzew. Żadnych rowów. Dziur, do których można by wpełznąć. Znajdowali się na całkowicie odkrytej przestrzeni –

w blasku dnia wyglądali jak dwie brązowe plamki na rozległym czarnym płótnie.

Mazer nie zatrzymał się ani na chwilę. Bingwen przywarł mocno do niego, serce waliło mu jak młotem.

Transportowiec opuścił się z nieba dwadzieścia metrów przed nimi. Wyskoczyło z niego czterech Formidów. Mazer miał pistolet wciąż przymocowany do nadgarstka – dzięki temu go nie zgubił. Strzelił, ale spudłował. Było niemal niemożliwe biec w jednym kierunku z Bingwenem na ręku i strzelać w drugą stronę z nadzieją, że się w coś trafi.

Nie mogli biec dalej. Transportowiec z łatwością mógł podążać za nimi. Musieli zlikwidować jego załogę. Mazer zatrzymał się gwałtownie i upuścił Bingwena na ziemię.

– Schowaj się za mną!

Odwrócił się i przyklęknął, szykując się do strzału, ale uderzyła w niego sieć i przewróciła na chłopca.

Jego ciało przeniknęła fala paraliżującej elektryczności. Nie mógł się ruszyć. Leżał na plecach, przygniatając sobą Bingwena, unieruchomiony przez ciężką włóknistą sieć, która trzaskała, syczała i pulsowała energią. Miał wrażenie, jakby płonął od środka. Twarz wykrzywiał mu grymas bólu, szczęki miał zaciśnięte, powyginane palce znieruchomiały mu w skurczu. Miał nadzieję, że przyjmuje na siebie najgorsze, bo mniejsze ciało Bingwena nie poradziłoby sobie z całą tą energią. Lepiej, żeby zginął tylko on niż obaj.

Pojawił się nad nim Formida, który przekrzywił głowę i przyglądał mu się – może z drwiną.

Mazer wciąż miał pistolet przymocowany do ręki. Musiał go unieść, wycelować i strzelić. Obca istota znajdowała się w odległości zaledwie metra; nie mógł chybić. To będzie łatwe. Jeśli nic nie zrobi, zabiją Bingwena. Rozpylą mu w twarz mgłę, jak zrobili to jego rodzicom i Danwenowi, a potem jego ciało rzucą na stertę biomasy i roztopią je w maź.

Mózg Mazera rozkazał jego ręce poruszyć się, wrzeszczał, by go posłuchała, by się ożywiła, by przekręciła się o kilka centymetrów, tylko tyle, żeby mógł skierować lufę we właściwą stronę, ale nic się nie stało. Jego ręka pozostawała w bezruchu.

Rozległ się głośny trzask i bok głowy Formidy eksplodował. Tkanki, krew i może mózg rozprysnęły się mgiełką na wszystkie strony. Formida runął na ziemię, znikając Mazerowi z pola widzenia.

Dookoła wybuchła kakofonia dźwięków: ryk silnika, strzały z broni automatycznej, krzyki, wybuch.

– Nie ruszaj się! – zawołał ktoś.

Mazer poczuł, że sieć przygniata z lewej strony jakiś ciężar i przyciska ją trochę mocniej do jego twarzy. A potem rozległ się lekki trzask i płynąca przez niego energia nagle zniknęła. Nigdy w życiu nie zaznał większej ulgi. Zupełnie jakby umysł ściskała mu jakaś dłoń i teraz puściła. Tylko że… wciąż nie mógł się ruszyć. Leżał bezwładnie, mrowiły go palce u rąk i nóg. Nakazał stopom, żeby się poruszyły, ale nie posłuchały.

Dłonie w rękawicach zdarły z niego sieć. Stał nad nim mężczyzna w czarno-szarym kombinezonie ochronnym i masce.

– Bax, pomóż mi go wnieść do środka. Calinga, weź chłopca.

Mężczyzna w masce przetoczył Mazera na plecy i wziął go pod pachy. Inny mężczyzna w takim samym kombinezonie i masce chwycił go za kostki u nóg; Mazer był całkowicie bezwładny. Głowa opadła mu na bok i wtedy zobaczył na ziemi krwawiących, martwych Formidów. Z transportowca, który już się nie unosił w powietrzu, buchał dym. Sieć była zebrana na jednym miejscu, a na niej leżało jakieś proste urządzenie, może coś, co wywołało krótkie spięcie. Powietrze było gęste od dymu i smrodu martwych Formidów.

Mężczyźni zanieśli Mazera do dużego pojazdu i położyli go na podłodze. Jej metalowa powierzchnia był zimna, twarda i nieprzyjazna. Za nimi wpadł do środka trzeci mężczyzna w czarnym kombinezonie z Bingwenem na rękach. Kiedy tylko znalazł się w środku, jeszcze jeden mężczyzna zatrzasnął drzwi i wrzasnął do kierowcy:

– Jedź!

Zawirowały opony. Pojazd wystrzelił do przodu, podskakując, szarpiąc, przyśpieszając. Mężczyzna, który trzymał Bingwena – nazywali go Calingą – położył małego na podłodze obok Mazera i podsunął mu pod głowę zwinięty kawałek materiału. Chłopiec wyglądał na bezwładnego i przestraszonego, ale kiedy napotkał wzrok Mazera, na jego twarzy pojawił się wyraz ulgi. Jesteśmy bezpieczni, mówiły jego oczy. Żyjemy.

Przed Mazerem widniała długa ławka, na której siedziało kilku mężczyzn w czarno-szarych kombinezonach ochronnych i gorączkowo obsługiwało holoprojektory.

– Żadnego ruchu z lądownika – powiedział jeden z nich. – Niebo jest czyste.

– Obserwujcie dalej – odezwał się ktoś zza Mazera. – I śledźcie transportowiec, który poleciał na północ. Jeżeli choćby odrobinę zwolni, żeby zawrócić w naszą stronę, chcę o tym wiedzieć.

– Tak jest, sir.

– Powietrze jest czyste – odezwał się inny mężczyzna. – Dziewięćdziesiąt siedem procent.

– Zdjąć maski – rozkazał mężczyzna za Mazerem.

Mężczyźni posłuchali. Mazer nie znał żadnego z nich, ale po tym, jak się zachowywali, poznał, że są doskonale wyszkolonymi żołnierzami. Natychmiast zaczęli zajmować się swoim sprzętem, sprawdzać broń, przeładowywać ją, poprawiać przyrządy celownicze, czyścić maski – już przygotowywali się do następnej walki. Ruchy mieli szybkie, zdyscyplinowane i automatyczne. Robili to setki razy. Zapomnieli o martwych Formidach, których zostawili za sobą. Nie gratulowali sobie ani nie świętowali zwycięstwa jak amatorzy; byli spokojni, profesjonalni, traktowali to jak coś normalnego.

Mazer uświadomił sobie, że wyspecjalizowali się w zabijaniu Formidów.

Dopiero kiedy ich broń znów była gotowa do użytku, żołnierze zajęli się własnymi potrzebami – ten pociągnął kilka łyków z manierki, tamten rozdarł pakiecik z energetyczną przekąską.

Mazer zauważył, że żaden z nich nie jest Chińczykiem. Nigdy nie widział w małym oddziale takiej mieszanki etnicznej i narodowej. Byli tu Europejczycy, Amerykanie, Latynosi, Afrykanie, ale ich ubrania nie zdradzały, kim są. Żadnych mundurów, odznak, szarż. Mimo to Mazer od razu poznał, z kim ma do czynienia.

Obok niego ukląkł Calinga ze strzykawką w ręce.

– Paraliż jest tymczasowy. To panu pomoże.

Wbił mu igłę w ramię. Mięśnie prawie natychmiast się rozluźniły i przestały drżeć ręce. Dopóki nie ustało, Mazer nawet nie zdawał sobie sprawy z tego drżenia.

Calinga taki sam zastrzyk zaaplikował Bingwenowi.

Mazer znowu czuł palce u rąk i nóg. Kiedy nakazał poruszyć się nadgarstkowi, ciało go posłuchało.

– Dziękuję – udało mu się powiedzieć.

– Już pan mówi – powiedział Calinga, pakując strzykawki. – To dobry znak. Nie ugotowali panu mózgu. Jeszcze dziesięć sekund

i znalazłby się pan na tej szarej górze. – Odwrócił się do Bingwena z ciepłym uśmiechem. – A ty, mały, masz szczęście, że ten gość przyjął na siebie najgorsze. Wiem, że jest ciężki, ubłocony i śmierdzi, ale lepiej być powalonym przez niego niż przez paralizator. Uwierz mi. – Poklepał Bingwena po ręce.

– Od jak dawna POP jest w Chinach? – spytał Mazer.

– Prawie od samej inwazji – odezwał się głos za nim.

Mazer go znał. Odwrócił się i zobaczył na ławce za sobą kapitana Wita O'Toole'a.

– Witaj, Mazerze. Cieszę się, że jeszcze żyjesz.

– Ja też. Muszę panu za to podziękować.

– Wy się znacie? – zapytał Bingwen.

Usiadł i zdjął maskę. Jego twarz była jedyną częścią ciała niepokrytą błotem.

– Chcieliśmy przyjąć Mazera do naszego oddziału i poddaliśmy go testowi, ale zamiast unieszkodliwić moich ludzi i uciec, wytrzymał niemal godzinę tortur.

– Torturowaliście go? – zapytał Bingwen z nagłym gniewem.

– Tylko troszkę – odparł Wit. – To nie mogło być gorsze niż ten paralizator. A ty to kto?

– Bingwen.

– Kapitan Wit O'Toole. Policyjny Oddział Polowy. Powiedziałbym, że miło mi cię poznać, ale biorąc pod uwagę okoliczności, byłoby to kłamstwo. – Odwrócił się do Mazera. – Przyprowadziłeś do strefy działań wojennych cywila, Mazerze. I to dziecko. Co za głupota.

– To nie jego wina – powiedział Bingwen. – Próbował się mnie pozbyć, ale ja wciąż wracałem.

– Kiedy nas zobaczyliście, musieliście już być przy lądowniku – stwierdził Mazer.

– Przybyliśmy zeszłej nocy – odparł Wit. – Obserwowaliśmy. Niewykryci. Zdemaskowaliśmy się, żeby was uratować.

– Niepotrzebnie – powiedział Mazer. – Proszę nie uważać mnie za niewdzięcznika, ale zniszczenie lądownika jest ważniejsze od naszego życia.

– Miło mi słyszeć, że nie straciłeś całego rozsądku, bo masz rację. Ze strategicznego punktu widzenia mądrzej by było pozwolić Formidom was zabić.

– Ja akurat się cieszę, że pan tego nie zrobił – odezwał się Bingwen.

– Osłona sięga tylko powierzchni ziemi – powiedział Mazer.

– Wiemy – rzekł Wit. – Widzieliśmy tunele. Naliczyliśmy ich dwadzieścia wokół lądownika. Ale wykorzystanie ich będzie trudne. Teren patrolują transportowce, a w tunelach odbywa się ciągły ruch. Poza tym są dla nas za wąskie. Jesteśmy więksi od Formidów.

– Ja bym się zmieścił – podsunął Bingwen.

– Te tunele się nam nie przydadzą, ale samą zasadę możemy wykorzystać – powiedział Mazer. – Jaki zasięg ma ten pojazd? Moglibyśmy nim pojechać pięćdziesiąt kilometrów na południe?

– A po co? Co jest na południu? – spytał Wit.

– Świdrosanie. Nie użyjemy formidzkich tuneli. Wykopiemy sobie własne.

ROZDZIAŁ 27

START

W szybie było zimno, a światło dawały jedynie reflektory ekipy budowlanej, gdyż Lemowi bardziej zależało na zachowaniu tajemnicy niż na wygodzie. Ojciec miał oczy i uszy w całym kompleksie Juke Limited, tylko jeszcze nie tutaj. Szyb został wykopany zaledwie dwanaście godzin wcześniej. Ściany i podłoże stanowiła naga skała, w powietrzu wciąż się unosił gęsty kredowy pył. Miejsce wydawało się idealne do odbycia spotkania z Norją Ramdakanem, długoletnim członkiem zarządu, który stał teraz naprzeciwko Lema i kulił ramiona z zimna.

– Powinienem uprzedzić cię, żebyś się ciepło ubrał – rzekł Lem.

– Powinieneś mnie uprzedzić, o co tu chodzi – odparł Ramdakan.

Był to pulchny mężczyzna, który za bardzo przejmował się modą, a za mało swoim zdrowiem. Piękne materiały i kolorowe ozdoby do butonierek nie sprawiały, że jego brzuch stawał się mniej okrągły, a zatem atrakcyjniejszy dla kobiet. Niewątpliwie właśnie to powiedziały mu trzy byłe żony, opuszczając go z hukiem i sporą częścią jego majątku.

Lem wiedział, że będzie zimno, i mógł przekazać tę informację Ramdakanowi, ale lubił, kiedy rozmówcy jest niewygodnie.

Według mapy w holoprojektorze Lema stali w litej księżycowej skale pięćdziesiąt metrów od najbliższego tunelu firmy Juke i trzydzieści metrów pod powierzchnią gruntu. Tunel miał łączyć dwa skrzydła, ale ponieważ wydobywanie skał i budowa nie zostały jeszcze ukończone, firmowa mapa go nie uwzględniała.

– Martwię się o ojca – zaczął Lem. – I nie wiedziałem, z kim mógłbym o tym porozmawiać oprócz ciebie, który znasz go najlepiej.

Ramdakan był z ojcem od samego początku i zajmował się większością finansów przy jego wczesnych przedsięwzięciach górniczych. Spędził z nim nawet kilka lat w pasie Kuipera, chociaż Lemowi trudno było to sobie wyobrazić. Ramdakan unikał wszelkich niewygód. Życie na pokładzie statku górniczego musiało być dla niego koszmarem.

– Dlaczego miałbyś się martwić o ojca? – zapytał Ramdakan, usiłując nie robić podejrzliwej miny.

Był jednym z najbardziej zaufanych pomocników Ukko Jukesa, ale zarazem pomocnikiem najłatwiejszym do przejrzenia. Nie potrafiłby udawać, nawet gdyby od tego zależało jego życie. Nie panował nad własną twarzą, nie umiał ukrywać emocji. Wydawał się przez to bardzo głupi. Przez chwilę Lem usiłował wyobrazić sobie Ramdakana grającego króla Leara albo Prospera, ale ten pomysł wydał mu się dość obrzydliwy. Bardziej by ci pasował Falstaff, grubasku, tyle że pozbawiony dowcipu.

– Myślę, że ktoś w firmie może próbować zająć miejsce mojego ojca poprzez zdyskredytowanie go w oczach inwestorów – powiedział Lem.

Ramdakan się roześmiał.

– To będzie trudne. Inwestorzy kochają twojego ojca. Im wszystkim chodzi o jedno, Lemie. O pieniądze. A twój ojciec daje im ich mnóstwo.

– Tak, ale mógłby szybko wypaść z ich łask. Wszystko mogłoby się zmienić w jednej chwili. Na przykład na pewno wiesz o tej historii z podatkami i cłami.

– Wiem, że płacimy podatki i cła – rzekł ostrożnie Ramdakan.

Och, ty głupcze, pomyślał Lem. Stać się tylko na tyle? Taką robisz minę, kiedy udajesz, że jesteś niewinny? Czy to kiedykolwiek na kogoś zadziałało?

Oczywiście twarz Lema niczego nie zdradzała.

– A więc nic nie słyszałeś? Sądziłem, że akurat ty, mając taką kontrolę nad finansami, wiesz o tym. – Podał Ramdakanowi holoprojektor z odkryciami Imali wprowadzonymi na ekran. – LWH znalazł niedawno kilka miliardów niezapłaconych podatków i ceł. Co gorsza, zarówno w LWH, jak w Juke Limited byli ludzie, którzy nie tylko wiedzieli o tych rozbieżnościach, ale podejmowali kroki w celu ich ukrycia.

Nazywanie nielegalnego księgowania miliardów kredytów rozbieżnościami było absurdalne, lecz Lem wiedział, że właśnie takiego określenia użył sam Ramdakan, kiedy zarząd usiłował wyciszyć tę informację. Dowody nie wskazywały bezpośrednio na niego – był na to za sprytny – ale Lem widział w całej tej sprawie ślady jego brudnych palców. Zapewne Ramdakan osobiście wykonał całą początkową robotę. A jeśli nie on, to przynajmniej jego zespoły finansowe, którymi bezpośrednio kierował.

Jednak niezależnie od tego, kto wprawił wszystko w ruch, było to olbrzymie przedsięwzięcie, wymagało uczestnictwa wielu osób, prawdopodobnie z Ramdakanem i ojcem na czele.

– Ach, tak – powiedział Ramdakan. – Coś o tym słyszałem.

Zachowywał się tak, jakby nielegalny obrót taką ilością pieniędzy stanowił jedynie temat biurowych pogwarek czy nieszkodliwych plotek. Lemowi zachciało się śmiać.

– To dużo pieniędzy, Norjo. Ukrycie czegoś takiego wymaga pracy całych wydziałów i mnóstwa pieniędzy.

Ramdakan oddał Lemowi holoprojektor z nagłą złością.

– Po to wezwałeś mnie do zamrażarki, Lemie? Żeby mi pokazać, co idioci w LWH robią w wolnym czasie?

Nie w wolnym czasie, kretynie! – chciał wrzasnąć Lem. To jest agencja rządowa. Oni mają to robić cały czas. No, kiedy nie biorą od ciebie łapówek i nie tańczą do melodii, jaką im zagramy.

Nie powiedział tego i zachował spokój.

– Wezwałem cię tu, Norjo, bo się martwię. Ojciec nigdy by się na to nie zgodził. A mimo to dowody wskazują, że był w to zamieszany. Niektórzy mogą nawet dojść do wniosku, że ojciec to wszystko zorganizował.

– To nieprawda.

– Oczywiście, ale gdyby kiedykolwiek usłyszała o tym prasa…

– Nie usłyszy. Nasi ludzie w tej chwili się tym zajmują, Lemie. Wyciszają sprawę. A gdyby prasa kiedykolwiek ją zwęszyła, nasi

rzecznicy dopilnują, żeby ta informacja nie trafiła do sieci. Taką mają pracę i wykonują ją bardzo dobrze. To stara wiadomość, Lemie. Mamy sytuację pod kontrolą.

– Dobrze to słyszeć. Więc ile z tego zapłaciliśmy?

Ramdakan zamrugał zdezorientowany.

– Jak to?

– Zaległe podatki, niezapłacone cła. Ile z tego już zapłaciliśmy? Chyba rozpoczęliśmy proces spłaty długu.

– To skomplikowane, Lemie. Mówimy o olbrzymich sumach. To nie jest jak kupowanie pary butów.

Albo dłuższego paska, pomyślał Lem.

– Biorą w tym udział prawnicy – ciągnął Ramdakan. – Trzeba przejrzeć tysiące stron dokumentów. To wymaga czasu, Lemie. Zajmą się tym nasi ludzie. To ich praca, a nie twój problem.

– Ależ to jest mój problem. Ludzie w tej firmie grożą skalaniem reputacji mojego ojca. Ja nie będę tego tolerować. Czy przynajmniej wnieśliśmy początkową wpłatę, żeby okazać dobrą wolę i powstrzymać LWH przed rozgłoszeniem sprawy?

– Mówiłem ci już. Nikt tego nie rozgłosi. Zaufaj mi.

Bo uciszyłeś ich groźbami, łapówkami i tym swoim paskudnym grymasem, domyślił się Lem.

– Informacje mają to do siebie, że wyciekają. Powiedziano mi, że te nieścisłości wykryła nikomu nieznana rewidentka księgowa niższej rangi w LWH. Jeśli do tego brudu dokopał się ktoś tak mało znaczący, może to zrobić każdy. Prędzej czy później sprawa wyjdzie na jaw. Musimy się do tego przygotować.

– W jaki sposób?

– Dajemy się poznać jako firma, która robi wszystko co w jej mocy, żeby spłacić te zobowiązania. Jeżeli zaczekamy z tym, aż informacje wyciekną, będziemy wyglądać jak pozbawione sumienia kanalie usiłujące bronić własnych tyłków.

Ramdakan szczękał zębami.

– Świetnie. Zajmę się tym.

– Ile dasz?

– Powiedziałem, że się tym zajmę. Jeszcze nie przeznaczyliśmy na to żadnych funduszy, Lemie. Trzeba będzie o to zadbać. Ostatnio sytuacja była dość trudna, jeżeli jeszcze tego nie zauważyłeś. Nie mamy pełnych skarbców, z których możemy czerpać do woli. To

trzeba ująć w budżecie i zaaprobować. Będę musiał skonsultować się z zarządem. On podejmie decyzję.

Była to próba przypomnienia, że syn szefa nie ma w tej kwestii żadnej władzy, że jest drugoligowym zawodnikiem, który usiłuje wejść na pierwszoligowe boisko, ale Lem udał, że zrozumiał to inaczej.

– Masz rację. Nie mamy czasu na zwłokę. Ostatnią rzeczą, jakiej potrzebujemy, jest opóźnianie podjęcia decyzji przez biurokrację zarządu. – Lem udawał, że się zastanawia. – Możesz uznać mnie za wielkiego głupca, Norjo, lecz moim zdaniem nie możemy czekać na zarząd. Na znak dobrej woli chcę dokonać wpłaty w imieniu firmy z mojego osobistego majątku.

Ramdakan parsknął śmiechem.

– Chyba nie mówisz poważnie.

– Jak najbardziej. Każę moim ludziom natychmiast zrobić przelew. Myślę, że LWH powinien się na razie ucieszyć z jednej dziesiątej tego, co jesteśmy mu winni.

Ramdakan szeroko rozwarł oczy i niemal się zakrztusił.

– Jedna dziesiąta? Ale to jest… olbrzymia suma. To niemożliwe, żebyś…

– …miał tyle pieniędzy? Mam, Norjo. Zapominasz, że sam kierowałem kilkoma firmami. Poszło mi bardzo dobrze. Nikt chyba o tym nie pamięta, bo cień ojca sięga dość daleko, ale mnie to nie przeszkadza. Jestem bardzo oddany Juke Limited i mojemu ojcu.

– Tak, ale… jedna dziesiąta?

– Każda mniejsza suma obróciłaby się przeciwko nam. Prasa już by o to zadbała. To nie byłby dowód dobrej woli. Nazwiemy to pożyczką. Firma może mi stopniowo zwracać pieniądze, kiedy już zostanie to ujęte w budżecie.

– Twój ojciec tego nie pochwali, Lemie.

– Nie musi nic wiedzieć. Obawiam się, że byłby zażenowany. I nie może o tym wiedzieć też nikt inny z zarządu. Nie chcę zrobić niczego, co mogłoby umniejszyć w nim pozycję ojca. Byłoby mu wstyd, gdyby zarząd i inwestorzy wiedzieli, że syn musiał go wykupić. Obiecaj mi, że utrzymasz to w tajemnicy. Mój ojciec całe życie budował tę firmę z niczego. Nie zamierzam pozwolić, by kilku kutwów czy też oszustów splamiło jego reputację. Już zagraża mu cios z powodu tej bzdury z dronami.

To skłoniło Ramdakana do zastanowienia.

– Bzdury z dronami?

– Wyposażania dronów w glaser. Musisz z nim porozmawiać, Norjo. Mnie nie będzie słuchał. Glasery zawiodą. Widziałem statek Formidów w akcji. Nasze drony zostaną zniszczone co do jednego. W rezultacie po wojnie pomysł ze szpicą padnie. Ojciec ma dobre intencje, ale to będzie cios dla firmy. Mógłby go kosztować pozycję, a nas wszystkich pracę. – Podszedł bliżej i położył Ramdakanowi dłoń na ramieniu. – Musisz mi pomóc temu zapobiec. Musimy chronić ojca. On ci zawsze ufał. Czy mam twoje słowo, że nadal stoisz po jego stronie?

– Oczywiście!

Lem wyraźnie się odprężył.

– Dobrze. Przepraszam, że wystawiam cię na to zimno, ale o obecnej niepewnej pozycji ojca nie mogą usłyszeć ci, którzy mogliby spróbować ją wykorzystać.

– Tak. Rozumiem.

Lem wskazał korytarz.

– Idź pierwszy. Nie powinniśmy być widziani, jak jednocześnie wychodzimy z szybu.

– Sprytne. Powodzenia, Lemie.

Ramdakan przeszedł między plastikowymi płachtami zwieszającymi się z sufitu, chroniącymi korytarz przed pyłem i zimnem z szybu. Lekko podskakiwał, ponieważ nie było magnetycznej podłogi, która rekompensowałaby słabe przyciąganie Luny.

Lem odprowadził go wzrokiem. Jeżeli Ramdakan jest bystry, to dostrzeże grę Lema i weźmie w niej udział, wiedząc, że największą szansę utrzymania się na powierzchni, kiedy Lem zajmie miejsce ojca, będzie miał wtedy, jeżeli okaże się teraz jego lojalnym sługą. Jeśli Ramdakan nie jest bystry – co było bardziej prawdopodobne – uwierzy w szczerość Lema i spełni jego prośbę. Tak czy owak Lem wygra.

Stuknął w holoprojektor i wysłał wiadomość swoim asystentom, że zapłata, którą przygotowali dla LWH, ma zielone światło. To była olbrzymia suma, stanowiąca bardzo dużą część majątku Lema, ale jak wszystko, na co wydawał pieniądze, stanowiła inwestycję. Nie robi się pieniędzy, nie wydając pieniędzy, a jeśli to się uda, jeśli Lem zajmie miejsce ojca w tak młodym wieku, będzie miał przed sobą całe życie na zarobienie sto razy tyle albo i więcej.

A gdyby się nie udało, to cóż, od tego są prawnicy. W końcu odzyskałby większość wyłożonej sumy. Potem mógłby opuścić firmę i zmienić tę inwestycję w większy majątek gdzie indziej. To naprawdę nie jest trudne. Kiedy już się ma pierwsze kilkaset milionów, pieniądze wykonują za człowieka większość roboty.

Ale to się musi udać. Lem był tego pewny. Już podejmował takie ryzyko i zawsze miał rację. Za jakiś tydzień zamierzał ujawnić prasie odkrycie Imali, tyle że najpierw chciał się udać do podziemnej prasy w sieciach, z dala od dziennikarzy będących własnością ojca. Ujawni też informację o swojej wpłacie na rzecz LWH. Podrasuje ją tak, by wyglądało na to, że poniósł olbrzymią osobistą ofiarę, aby uratować tysiące miejsc pracy, które zostałyby zlikwidowane w wyniku złego działania firmy. Zanotował sobie w pamięci, żeby kazać ekipie wideo kręcić robotników przy pracy w fabrykach. Prasa takie gówno pożera.

I oczywiście żaden z przecieków nie będzie wskazywał na niego. W gruncie rzeczy planował dołożyć wszelkich starań, by sprawić wrażenie, że unika prasy, czyli będzie wychodzić z budynków w miejscach, gdzie czekają dziennikarze, i będzie pędzić do samochodu, unikając lawiny pytań. Będzie mówił, że ojciec jest dobrym człowiekiem i żaden popełniony obecnie błąd nie może rzucić cienia na jego niezwykle udaną karierę.

Oczywiście w tłumie będzie podstawiony człowiek. Reporter krzyczący wraz z innymi, kiedy Lem będzie wsiadał do śmigacza: „Panie Jukes, co pan powie na plotki, że zarząd rozważa pańską kandydaturę jako kogoś, kto mógłby zastąpić pańskiego ojca?!”.

A Lem będzie wyglądał na nieco zranionego tym pytaniem – urażonego, iż ktokolwiek śmie sugerować, że ojciec już się nie nadaje na swoje stanowisko. „Jestem zaszczycony, że zarząd uważa mnie za odpowiedniego kandydata, ale nikt nie może zastąpić mojego ojca”. I odjechałby pośpiesznie, zostawiając ich z odpowiedzią, która właściwie nie stanowiła potwierdzenia plotki, ale i jej nie zaprzeczała. A prasa uwielbia tajemnice. Dziennikarze rzucą się na tę plotkę jak rekiny i zaczną ją powtarzać w różnych kontekstach, dzięki czemu pogłoska zyska na wiarygodności. No i będzie Lem, oddany syn, biernie przyznający, że owszem, jest odpowiedni, i owszem, nadaje się do tej pracy.

Odczekał jeszcze pięć minut, a potem złapał śmigacz do fabryki Juke, gdzie robotnicy mocowali glasery do dronów. Ojciec miał sprawdzić postępy montażu, a Lem był bardzo ciekawy. Mimo że

prosił Simonę o dostęp do tego skrzydła fabryki, nie otrzymał go, ale jeżeli się po prostu zjawi, przecież ojciec go nie przegoni.

Prawdopodobnie.

Zgodnie z zamierzeniem przybył przed ojcem i spotkał się w holu z brygadzistą Bullickiem. Brygadzista był bardzo zdenerwowany i Lem usiłował go uspokoić.

– Jestem pewien, że wykonujecie świetną robotę. Mój ojciec nie gryzie zbyt mocno.

Śmigacz przybył zgodnie z planem. Simona wysiadła pierwsza, a za nią ojciec, który zmienił garnitur na swobodniejsze robocze spodnie i niebieską koszulę o grubym splocie. Kiedy spostrzegł Lema, usiłował ukryć zaskoczenie.

– Włamałeś się do mojego terminarza, Lemie, czy po prostu byłeś przypadkiem w okolicy?

– I jedno, i drugie – odparł Lem, a potem spojrzał spod zmarszczonych brwi na Simonę. – Doprawdy, Simono, powinnaś lepiej pilnować swojego holoprojektora. To kopalnia informacji.

Mrugnął, a ona zgromiła go wzrokiem. W rzeczywistości zdobył tę informację gdzie indziej, ale bawiło go, że aż tak się zaczerwieniła. To było urocze.

– Po co się tu zjawiłeś, synu?

I znowu „synu”, pomyślał Lem. Ojcze, nie ma tu żadnych kamer. Zrzućmy maskę.

– Chciałem sam zobaczyć te drony i dać możliwość panu Bullickowi przekonania mnie, że nie jest to olbrzymi błąd.

Bullick był przerażony.

Ojciec ukrył irytację – nie był takim błaznem jak Ramdakan.

– Doceniam twoją troskę, Lemie, ale to moja decyzja, nie twoja.

– Oczywiście, ojcze. A ja nie chcę wchodzić ci w drogę. Chcę się tylko upewnić, czy zostały podjęte środki ostrożności.

– Dlaczego miałbym ich nie podjąć, Lemie? I dla kogo dokładnie miałbym je podejmować? To są statki bezzałogowe. Jeśli któryś wybuchnie, nikt nie zginie.

– Jeżeli wybuchną, razem z nimi przepadnie cały pomysł z dronami.

– Cieszę się, że interesujesz się zarządzaniem, ale w tej chwili zasadą firmy jest ocalenie ludzkości.

– A więc jest to inspekcja zamknięta?

Przez moment wyglądało na to, że ojciec poprosi go, żeby się oddalił, ale po chwili Ukko uśmiechnął się i szerokim gestem wskazał magazyn.

– Przeciwnie. W gruncie rzeczy nie widuję cię wystarczająco często. – Objął Lema ramieniem. – Panie Bullick, wygląda na to, że grupa liczy teraz cztery osoby. Mam nadzieję, że to nie kłopot.

– To pańska fabryka, panie Jukes. Proszę tędy.

Brygadzista poprowadził ich korytarzem. Kiedy Lem mijał Simonę, spojrzała na niego z czystą pogardą w oczach. Nie mógł się powstrzymać i puścił do niej oko.

Fabryka była olbrzymia. Całą jej powierzchnię zajmowała flota dronów, a setki robotników gorączkowo pracowały, by zrealizować zamówienie. Ludzie pełzali po powierzchni dronów, stali na podnośnikach albo wisieli w uprzężach i cięli, spawali, przymocowywali. Strzelały iskry, warczały narzędzia, dźwigi podawały materiały.

Bullick podszedł do najbliższego drona, który był podwieszony na pasach. Pod spodem miał zamocowany glaser chroniony metalową siatką.

– To klatka, którą opracowaliśmy do przytrzymywania glasera na miejscu – wyjaśnił Bullick. – Jest nadzwyczaj wytrzymała. Prędzej rozpadnie się dron niż ona. Przy odłączaniu nie powinniśmy mieć z tym układem żadnych problemów.

– Problemy przy odłączaniu? – zapytał Lem.

Bullick zerknął na ojca, nie wiedząc, czy powinien cokolwiek ujawniać.

– Kilka dni temu podczas testów wydarzył się niefortunny wypadek – wyjaśnił ojciec. – Dron został wysłany w przestrzeń, glaser dostał zbyt dużo energii i się odłączył.

Lem zrobił przerażoną minę.

– Działał?

– Tylko ułamek sekundy po odłączeniu. Potem włączył się układ bezpieczeństwa i glaser przestał działać. Nic nie zostało uszkodzone, synu.

– Macie szczęście – stwierdził Lem. – A gdyby był wymierzony w jakiś statek? Lub gorzej, w Lunę albo Ziemię? To urządzenie wytwarza pole poprzez ciągłość masy, ojcze. Sprawia, że grawitacja przestaje spajać. Masz pojęcie, jaką mogło to wywołać katastrofę?

Ojciec się zirytował.

– Wiem, jak działa to urządzenie, Lemie. Kazałem je zbudować.

– I chcesz umieścić pięćdziesiąt z nich w przestrzeni w pobliżu Ziemi? – Lem nagle uzmysłowił sobie grozę tego pomysłu. – A jeśli któryś dron się odchyli albo glaser odpadnie i wyceluje w Ziemię? Zastanawiałeś się nad tym? – Nagle przestało go interesować pozbawienie ojca stanowiska czy przejęcie firmy. Wizja Ziemi rozpadającej się w pył jak tamta asteroida w pasie Kuipera przyprawiła go o panikę. – To są zabójcy planet, ojcze.

– Stosujemy środki zapobiegawcze.

– Jedynym właściwym środkiem zapobiegawczym jest rezygnacja z tego pomysłu.

– A co byś zaproponował? Giną miliony ludzi. Formidzi już wchodzą do miast. Wszystko zagazowują. Ludzie zamieniają się w kałuże gnijącej mazi. To się dzieje w tej chwili. Czy podejmujemy olbrzymie ryzyko? Tak. Ale co mamy robić innego? Wojskowi to idioci. Do Formidów nie przebija się nic, czym ich atakują. Ani na Ziemi, ani tu w górze. Promy, pociski rakietowe i nuklearne – nic nie działa. Kosmos to nasz teren. Nasz. My nim zawiadujemy, a nie pięciogwiazdkowi durnie, którzy dowodzą armiami. Jesteśmy wyposażeni o wiele lepiej od nich do podjęcia działań.

– Nie przy użyciu glasera, ojcze.

– Owszem, przy użyciu glasera. Chcesz rzucać w ten statek kokosami? Proszę bardzo. My, dorośli, ocalimy planetę.

Lem odszedł. To był dawny ojciec – niewzruszony, uparty jak osioł, hałaśliwy i chełpliwy. I nie miał racji. Lem widział to teraz wyraźniej niż dotąd. Początkowo martwił się wyłącznie o konsekwencje finansowe ataku dronów. Teraz martwił się o prawdziwe zagrożenie. Znowu ujrzał w wyobraźni Ziemię rozsypującą się w pył i zrobiło mu się słabo.

Poleciał śmigaczem do magazynu, w którym pracowali Victor i Imala. Zastał ich przy statku, do którego przyspawywali coś na klęczkach i w maskach. Stateczek wyglądał jak część wraku; miał nawet uszkodzone oznaczenia na kadłubie i ślady ognia laserów. Zewsząd sterczały przewody, rury i wsporniki. Gdyby Lem nie wiedział, co to jest, uznałby, że to złom.

– Kiedy możecie być gotowi? – zapytał.

Victor i Imala unieśli maski.

– Pracujemy tak szybko, jak się da.

– Kiedy? Za dwie godziny? Dwa dni?

Wstali. Victor strzepnął z koszuli pył i włókna.

– Dublin i Benyawe kończą montować silniki na wabiku. My potrzebujemy tu jeszcze kilku godzin. Potem możemy wykonać lot próbny.

– Darujcie go sobie. Nie ma czasu. Start za kilka godzin, kiedy tylko skończycie pracę.

Victor i Imala wymienili szybkie spojrzenia.

– Dobrze – powiedział Victor. – Skąd się wziął ten nagły paniczny pośpiech?

– Formidzi zaczęli zagazowywać miasta – wyjaśnił Lem. – Musimy działać natychmiast.

Victor zdjął maskę i przyjrzał się statkowi, oceniając, ile jeszcze ma pracy.

– Daj nam dwie godziny.

Lem skinął głową i odszedł. Właściwie nie skłamał. Formidzi zagazowywali miasta i to był wystarczający powód. Ale nie był to prawdziwy, główny powód. Trzeba powstrzymać ojca. Nie można dopuścić, by użył dronów. A jedynym na to sposobem było wykonanie zadania przez Lema, bo wtedy drony okażą się niepotrzebne. Niech Victor dostanie się do środka statku obcych i zniszczy mostek. Wówczas będzie można zawładnąć uszkodzonym statkiem. Ojciec zatrzyma swoje drony ze śmiercionośnymi glaserami w magazynie.

Ale jakie są szanse, że Victor rzeczywiście dotrze do mostka? A jeśli do niego dotrze, to jakie są szanse, że uda mu się zdetonować bombę? Albo w ogóle dostać do tego cholernego statku? Bardziej prawdopodobne było to, że Formidzi ich przedtem rozwalą. Cóż, takie podejmują ryzyko, prawda?

Lem wszedł do pustego gabinetu, ustawił swój holoprojektor, umieścił głowę w holoprzestrzeni i uaktywnił połączenie. Po chwili pojawiła się Simona; zgodnie z jego przewidywaniami nie wyglądała na zadowoloną.

– Masz ten grymas od czasu, kiedy się ostatnio widzieliśmy? – zapytał Lem. – Uważaj, będziesz miała zmarszczki.

– Czego chcesz?

– Wiesz, że mam rację co do tych dronów. Ojciec bawi się bronią, której nie rozumie.

– Jeżeli wywołałeś mnie, żeby kazać mi się opowiedzieć po którejś ze stron, to marnujesz mój czas.

– Odebrałaś holo i wiedziałaś, że to ja. To znaczy, że w głębi ducha wiesz, że mam rację.

– To znaczy, że jestem kulturalną osobą, która odbiera holo, nawet od strasznych osłów.

– Te sprzeczki są niezdrowe, Simono.

– Czego chcesz, Lemie?

– Informacji.

– I sądzisz, że ci ją dam?

– Z pewnością nie zrobi tego ojciec.

– A zatem ja też nie.

– Kiedy ojciec zamierza wystrzelić drony?

– Dlaczego miałabym ci to wyjawić?

– Bo może mam sposób na unieszkodliwienie formidzkiego statku.

– Słucham – powiedziała po chwili Simona.

– Ale muszę wiedzieć, kiedy ojciec zamierza wystrzelić drony. Zanim wykona swój ruch, moi ludzie muszą tam polecieć i wrócić. Nie może zaatakować, kiedy moi ludzie będą w środku.

– Jak planujesz umieścić kogokolwiek tam wewnątrz? Nic się nie może do statku zbliżyć. Strzela do wszystkiego, co zmierza w jego stronę.

– Masz rację. Moja taktyka prawdopodobnie zawiedzie, więc nic ci się nie stanie, jeżeli powiesz mi, ile mam czasu.

Simona milczała.

– Mogę zdobyć tę informację gdzie indziej. To nie byłoby takie trudne. Przychodzę jednak do ciebie, ponieważ jesteś najpewniejszym źródłem informacji.

Simona wciąż się zastanawiała.

– Słyszałaś, co powiedział ojciec. Codziennie ginie tysiące ludzi. Jesteśmy gotowi do startu. Mogę w tej chwili zapobiec hekatombie. Ale nie będę mógł tego zrobić, jeśli nie podasz mi tej informacji.

Westchnęła.

– Bullick mówi, że flota dronów będzie gotowa najwcześniej za pięć dni.

Lem odetchnął.

– Dziękuję.

– Więc powiesz mi, w jaki sposób zamierzasz umieścić ludzi w tym statku?

– Przedstawię ci całą tę porywającą opowieść kiedy indziej.

Wycofał twarz z holoprzestrzeni i zakończył połączenie.

Pięć dni. To więcej, niż potrzebował Victor, żeby podkraść się do statku, zrobić swoje i uciec. Przynajmniej tak to wyliczyli. Victor uznał, że zajmie mu to trzy dni, a możliwe, że cztery, lecz nie więcej. No ale wszystko mogło pójść nie tak.

Nie, pięć dni to był bardzo odległy termin. Gdyby zaczęli się do niego zbliżać, gdyby zaczęło wyglądać na to, że będą mieli opóźnienie, Lem kazałby im przez radio przerwać operację.

Wrócił do magazynu i czekając, aż Victor i Imala skończą pracę, próbował się czymś zająć. Na niczym nie mógł skupić uwagi; w końcu wrócił do nich i czekał, aż statek był gotowy. Przyjechali ludzie z podnośnikami i zawieźli go do śluzy. Benyawe i Dublin dobrze poradzili sobie z wabikiem. Dał się ładnie połączyć ze statkiem zwiadowczym i tak samo jak on doskonale udawał złom.

Victor i Imala czekali przy wejściu do śluzy powietrznej, już ubrani w skafandry kosmiczne.

– Macie materiał wybuchowy? – zapytał Lem.

– Bez niego nie warto byłoby lecieć – odparł Victor.

Lem skinął głową. Wszyscy zamilkli. Nie było już nic do powiedzenia. Lem wyciągnął rękę.

– Powodzenia.

Victor chwilę się zastanawiał. Kiedy Imala szturchnęła go łokciem w żebra, podał rękę Lemowi.

– Dzięki.

– Podziękuj mi, kiedy wrócisz – powiedział Lem.

Victor i Imala weszli do śluzy i wdrapali się do kokpitu. Lem obserwował ich start przez szybę. Dziwnie było patrzeć, jak kawał złomu leci niczym statek, ale Lem pomyślał, że w tym tkwi piękno pomysłu. Stateczek przyśpieszył, stawał się coraz mniejszy na tle czerni, aż zmienił się w niewielką plamkę. Za niecały dzień miał wyhamować i zbliżyć się do statku Formidów jako dryfujący wrak, ale teraz pędził jak rakieta.

Gdy tylko odlecieli, cała operacja wydała się Lemowi wyjątkowo idiotyczna. Statek zamaskowany jako kawał złomu. Przedtem uznał to za taki świetny pomysł. Teraz, kiedy zniknęli mu z oczu, wszystko to wyglądało na próżny trud.

Podeszła do niego Benyawe i też zapatrzyła się w kosmos. Długie siwe włosy zwisały jej na ramiona.

– Uda im się – powiedziała.

Lem odwrócił się do niej.

– Jesteś naukowcem. Działasz, myślisz i podejmujesz decyzje na podstawie faktów. Czy szczerze w to wierzysz? Czy szczerze wierzysz, że to ma szanse powodzenia?

– Zapewne nie.

Odetchnął i odwrócił się od szyby.

– Tak sądziłem.

– Ale jestem nie tylko naukowcem, Lemie. Także żoną, matką, siostrą, przyjaciółką… Nie możemy przegrać.

ROZDZIAŁ 28

ŚWIDROSANIE

Baza wojskowa składała się z gruzów, spalonej ziemi i rozdętych, gnijących zwłok rozrzuconych w słońcu. Większość z nich to byli chińscy żołnierze, ale Wit dojrzał wśród trupów także ciała Formidów. Rozbite transportowce, strącone śmigacze, wypalony chiński śmigłowiec. Wszystko tu stanowiło kolejny dowód, że Formidzi wygrywają wojnę. Chińczycy nie mieli nawet ludzi, by pochować swoich poległych.

Mazer skierował pojazdy do hangaru przy lotnisku. W środku znajdowały się dwa WOCS-y. Wyglądały na nieuszkodzone.

– Mamy szczęście – stwierdził Mazer. – Przynajmniej jeden z nich na pewno poleci.

Potem przejechali na północny wschód od lotniska do bunkra górującego nad błotnistą doliną. Tam Wit zobaczył trzy świdrosanie, o których Mazer opowiadał mu w drodze od lądownika.

– Wciąż tu są – rzekł Mazer. – Cudom nie ma końca.

– Pojazdy to nie plan – skomentował Wit.

– Spód lądownika nie jest osłonięty – powiedział Mazer. – Zaatakujemy go stamtąd, pod ziemią. Przedostaniemy się tunelami wydrążonymi przez świdrosanie i wybijemy dziurę w dnie lądownika.

– I co dalej?

– Jest nas za mało, żeby atakować bronią ręczną. Proponuję rozmieścić ładunki wybuchowe i uszkodzić lądownik.

– To za mało. Potraktujmy go bronią jądrową. Zetrzyjmy go z powierzchni Ziemi. Jeżeli tylko go uszkodzimy, Formidzi zorientują

się, że ich słabym miejscem jest spód lądownika, i przedłużą osłony w dół. Wtedy nikt się przez nie nie przebije.

– A więc potrzebujemy tylko taktycznego pocisku jądrowego? – spytał Bingwen. – Oj, a ja sądziłem, że trochę trudno go zdobyć.

– Nie podoba mi się sarkazm tego dzieciaka – stwierdził Calinga.

– Bingwen ma rację – rzekł Mazer. – Wiem, że w tej bazie znajdują się materiały wybuchowe, ale wątpię, czy jest ładunek jądrowy.

– Zostaw to mnie – powiedział Wit.

– Ma pan gdzieś tajny schowek? – spytał Bingwen.

– On gada, jakby był jednym z nas – zauważył Calinga.

– Bo nim jest – rzekł Mazer. – Zaczynam myśleć, że niektóre dzieci zostały stworzone do prowadzenia wojny.

– Pocisk jądrowy dadzą nam Chińczycy – powiedział Wit. – Od początku naszej kampanii tworzymy kontakty z wojskiem. Porozumiało się z nami anonimowo wielu oficerów wysokiej rangi. Dzielimy się z nimi taktyką, podsuwamy sugestie, zapewniamy przepływ informacji. Ratujemy sobie nawzajem tyłki. Powiem im, co zamierzamy zrobić, i poproszę o zaopatrzenie.

– A oni tak po prostu dadzą ci pocisk jądrowy? – zapytał Mazer.

– Albo dostrzegą mądrość tego pomysłu i przyślą własnych ludzi z pociskiem, żeby sami to zrobili. Tak czy owak, sprawa zostanie załatwiona.

– Jesteśmy obcymi żołnierzami na ich ziemi. Wydaje mi się nieprawdopodobne, żeby powierzyli nam taktyczną broń jądrową w granicach własnego państwa.

– Zdobyliśmy ich zaufanie. Co ważniejsze, są zdesperowani. Chińska armia została zdziesiątkowana. Potrzebują zwycięstwa, a my mamy o wiele więcej sukcesów. Poza tym umiesz prowadzić świdrosanie. A skoro stoją tutaj bezczynnie, mogę się założyć, że Chińczycy nie mają tłumu wyszkolonych pilotów czekających na okazję, by coś dzięki nim zdziałać.

– Jak przetransportujemy świdrosanie w pobliże lądownika? – zapytał Calinga. – To pięćdziesiąt klików stąd.

– Po to jest WOCS – odparł Mazer. – Ma szpony. Trzeba będzie obrócić trzy razy, ale zaniosę wszystkie świdrosanie na północ w okolice lądownika, może kilka kilometrów od niego. Potem wykopiemy tunele i zaatakujemy.

– Będziesz prowadził jedne ze świdrosań, Mazerze – powiedział Wit. – Calinga i ja poprowadzimy pozostałe dwa. Natychmiast zaczniesz nas szkolić. Ja wejdę do sieci, skontaktuję się z naszymi anonimowymi oficerami w wojsku i wyjawię im nasz zamiar zniszczenia lądownika pociskiem jądrowym. Zobaczymy, czy przynęta zadziała.

– Jeżeli ogłosimy nasze zamiary, ktoś spróbuje nas powstrzymać – stwierdził Calinga.

– Nie zrobię tego na naszej publicznej stronie. Posłużę się szyfrem i skontaktuję się z każdym z oficerów osobno. Jeśli będą próbować nas powstrzymać, poproszę ich o przedstawienie lepszego pomysłu.

Następne dwa dni Mazer szkolił Wita i Calingę w pilotowaniu świdrosań. Dość łatwo opanowali mechanikę pojazdów i Mazer zaczął się zastanawiać, czy wszyscy członkowie POP-u są tak sprawni.

– Ile różnych pojazdów potraficie prowadzić? – zapytał ich.

– Wszystkie – odparł Calinga.

Rankiem trzeciego dnia w dolinie wylądował prywatny śmigacz z jednym pasażerem. Wysiadła z niego na sportowo ubrana Chinka z teczką i od razu podeszła do Wita.

– Kapitan Wit O'Toole? – spytała nienaganną angielszczyzną.

– Tak.

Podała mu teczkę.

– Mam nadzieję, że będzie pan wiedział, co z tym zrobić.

Wit postawił teczkę na ziemi i otworzył ją na tyle, by zobaczyć pocisk nuklearny w osłonie z pianki. Taki mały, a taki niszczycielski. Kobieta już wracała do śmigacza. Odleciała, nim ktokolwiek zdołał coś powiedzieć.

– Twoje anonimowe kontakty wyraźnie chcą pozostać anonimowe – zauważył Calinga.

– Pokazała twarz. To był dowód odwagi – rzekł Wit.

– Może nie ona jest kontaktem. Może jest żoną albo kochanką, albo zupełnie kim innym.

– Jest żołnierzem. Miała opiłowane paznokcie i nieprzekłute uszy. Poza tym poruszała się jak żołnierz i wszystko zauważała. – Wit podniósł teczkę. – Mamy broń. Do roboty.

Nie marnowali czasu. Wit, Calinga i Mazer ubrali się w hełmy i chłodne kombinezony.

Mazer ukląkł przed Bingwenem.

– Zostaniesz tu z żołnierzami POP-u i będziesz ich słuchać. Niedługo wrócę.

– Tylko spróbuj nie wrócić – powiedział chłopiec.

* * *

Na lotnisku Mazer wsiadł do WOCS-a, wrócił nim do doliny i podniósł szponami jedne ze świdrosań. Zaniósł je na północ, trzymając się nisko nad ziemią i rozglądając się za statkami wroga. Pięć kilometrów na południe od lądownika znalazł strome wzgórze, gdzie świdrosanie z łatwością mogły się wgryźć w ziemię. Zostawił pojazd pod wzgórzem i wrócił do doliny po ładunek jeszcze dwa razy. Kiedy leciał ostatni raz, wziął z sobą Wita i Calingę. Trzy świdrosanie, trzech pilotów.

Kiedy byli gotowi, Wit powiedział:

– Zejdziemy głęboko, dostaniemy się bezpośrednio pod lądownik i pójdziemy w górę pod niewielkim kątem, celując w środek lądownika. Kadłub przebijemy wszyscy trzej i wedrzemy się do środka. Pocisk nuklearny będę miał w kokpicie. Gdy znajdziemy się w środku, przesiądę się do Calingi, a pocisk zostawię w moich świdrosaniach. Wtedy oboma pojazdami ruszymy jak najszybciej w dół, żeby uniknąć wybuchu.

– Zostawimy pocisk w twoich świdrosaniach? – spytał Calinga.

– Nie zostawię go na widoku. Nie wiemy, jakie umiejętności mają Formidzi. Mogliby rozpoznać zagrożenie i rozbroić pocisk. Nie możemy tego ryzykować. Świdrosanie będą pełnić funkcję ochronną. Jeżeli pocisk zostanie w kokpicie, Formidzi do niego nie dotrą. Detonacja będzie praktycznie gwarantowana.

– Świetnie, ale ja go wezmę – rzekł Calinga. – Jestem o wiele mniejszy od ciebie, więc w moim kokpicie jest więcej miejsca. Kiedy znajdziemy się w lądowniku, przesiądę się do Mazera. Ten sam plan, tylko inni ludzie. I nie sprzeczaj się, Wicie. Wiesz, że to ma sens. Mazer jest lepszym pilotem od ciebie i, powtórzę, wielkość ma znaczenie. Jesteś prawie tak duży jak my dwaj. Mazer i ja zmieścimy się w kokpicie o wiele łatwiej niż któryś z nas z tobą. Wiem, że nie lubisz, kiedy podejmuję ryzyko, jeżeli możesz zrobić to ty, ale mój pomysł jest uzasadniony strategicznie.

– Masz rację – przyznał Wit. – Weźmiesz pocisk. Mazerze, jak głęboko musimy wejść pod lądownik, żeby nabrać dość prędkości do

przebicia kadłuba?

– Nie wiem, czy będziemy mogli go przebić. Nie wiem, jaki ma skład. Może nam się udać albo i nie.

– Zakładając, że się uda.

– Co najmniej trzysta metrów.

– Dobrze. Ty prowadzisz. Calinga i ja będziemy kopać po obu stronach równolegle do ciebie.

Weszli do świdrosań i uruchomili wiertła. Po kilku chwilach każdy wkopywał się w stok wzgórza, wyrzucając z tyłu gorącą lawę. Znalazłszy się pod ziemią, Mazer rozpoczął długie, łagodne schodzenie, kierując się do punktu położonego trzysta metrów pod lądownikiem. Chłodny kombinezon starał się utrzymywać normalną temperaturę jego ciała, ale przesadził z chłodzeniem. W kilka chwil Mazerowi zesztywniały palce, a jego oddech tworzył mgiełkę wewnątrz hełmu. Osłona pokryła się na brzegach szronem, ale wentylatory przedmuchiwały hełm i nie pozwalały, by zaparowała.

Im głębiej schodzili pod ziemię, tym więcej napotykali litej skały i tym szybciej się poruszali. Starali się nie przyśpieszać za często, ponieważ przy tych prędkościach nie mogli się komunikować z sobą, ale czasami nie mogli tego uniknąć.

Mazer obserwował holo wskaźnika głębokości na swojej konsoli. Kiedy zbliżyli się do lądownika, hologram wypełnił się krzyżującymi się białymi liniami.

– Formidzi chyba kopią tunele – powiedział. – To wygląda jak kolonia mrówek.

– Może się nam poszczęści i wpadniemy na kilku z nich – rzekł Calinga. – Dosłownie. Przemielimy ich i wyplujemy z tyłu.

W końcu dotarli na wyznaczoną pozycję trzysta metrów pod powierzchnią ziemi, niemal prosto pod lądownikiem. Mazer właściwie leżał w swoim fotelu na plecach. Poruszał palcami u rąk i nóg, żeby nie przestała w nich krążyć krew. Nie bardzo to pomagało.

– Jestem gotów, Wicie. Wydaj rozkaz, zanim cały zlodowacieję.

W komunikatorze rozległ się głos Wita.

– Calinga, jesteś gotowy?

– Gotowy i zmarznięty na kość. Ruszajmy.

– Jazda!

Mazer otworzył przepustnicę i jego świdrosanie runęły w górę, wyrzucając z tyłu lawę. Kokpit się trząsł; Mazer chwycił drążki sterownicze mocniej i utrzymywał prędkość, żeby nabrać pędu. Czuł,

jak w kabinie wzrasta temperatura. Po panującym w niej zimnie odczuł ulgę, ale wkrótce zrobiło się straszliwie gorąco.

– Dwieście pięćdziesiąt metrów do celu – powiedział.

Świdrosanie pędziły do góry, przegryzając się przez skały i ziemię. Mazer nie odrywał wzroku od wskaźnika głębokości, ale narastające wibracje utrudniały odczytywanie liczb.

– Dwieście metrów.

Na ekranie pojawiły się kolejne białe linie. Najpierw nieliczne, ale w miarę jak świdrosanie przybliżały się do lądownika, pokazywały się ich dziesiątki. Mazer pomyślał, że Formidzi to definitywnie kopacze tuneli. Teraz nie miał już wątpliwości.

Wskaźnik głębokości przewinął obraz w górę i pokazał olbrzymią plamę bieli pod samym lądownikiem.

– Czekajcie! – odezwał się Mazer. – Zwolnijcie. Tuż pod lądownikiem jest duży pęcherz powietrza. Nie dotrzemy do kadłuba.

– Widzę go – powiedział Wit. – Zatrzymujemy się przy pęcherzu.

Mazer nadal hamował; przez ostatnią warstwę ziemi przebił się z prędkością pełzania. Wiertło zaczęło zwalniać, a świdrosanie pochyliły się do przodu i stanęły na dnie jakby olbrzymiej jaskini. Obok pojawiły się świdrosanie Wita i Calingi. Mazer otworzył kokpit, stanął na fotelu, skierował światła hełmu prosto w górę i ujrzał spód lądownika. Jeszcze kilka metrów i zdołałby dotknąć jego metalowej powierzchni.

Pęcherz powietrza był ogromny; kiedy Mazer poświecił dookoła reflektorem, nie ujrzał ścian, tylko czerń.

– Jestem rozczarowany – odezwał się Calinga. Stał w otwartym kokpicie i wpatrywał się w spód lądownika, tworzący nad nimi rozległy sufit. – Myślałem, że się przez to przebijemy, a tu nawet do niego nie sięgamy.

Do wtóru trzasku lodu i syku powietrza otworzył się kokpit Wita.

– Słucham cię, Mazerze. Jakie mamy możliwości? Możemy w jakiś sposób dosięgnąć kadłuba?

Mazer znowu poświecił w górę światłami hełmu.

– Nie spodziewałem się tu pęcherza powietrza. To komplikuje sytuację. – Zastanowił się nad odległością, jaka dzieliła podłoże jaskini od sufitu. – Gdybyśmy zachowali planowaną prędkość, moglibyśmy przelecieć przez pęcherz, wyrzucając wystarczającą ilość ejektamentów, żeby dotrzeć do lądownika. Ale wiertła nie wgryzłyby się w kadłub. Odbilibyśmy się od niego.

– Więc nie możemy się przebić do środka? – spytał Calinga. – To co robimy? Zostawiamy pocisk tutaj?

– Moglibyśmy – rzekł Wit. – Ale o wiele więcej szkód wyrządziłby wewnątrz lądownika. Gdybyśmy się do niego przebili, nasze szanse na sukces wzrosłyby w postępie geometrycznym. Mazerze, a moglibyśmy wypalić sobie drogę do środka? Gdybyśmy obrócili te urządzonka i trafili spód lądownika lawą? Moglibyśmy wypalić otwór na tyle duży, żeby Calinga mógł się dostać do środka?

– Nie mam pojęcia. Możliwe. Warto spróbować. Sęk w tym, że będziemy musieli odjechać, obrócić świdrosanie, wysunąć nogi i ustawić sanie w pozycji pionowej, skierowane tyłem do lądownika, żebyśmy mogli w niego trafić lawą.

– Calinga, wracaj do swoich sań i zejdź głęboko pod ziemię – rozkazał Wit. – Ustaw się na pozycji do startu. Mazer i ja wytopimy otwór. Jeżeli nam się uda, powiemy ci, żebyś ruszył do góry i przeleciał przez pęcherz. Będziemy tuż za tobą. Potem zostawimy twoje sanie i pocisk, tak jak planowaliśmy.

– Przyjąłem – odparł Calinga.

– Będę musiał wyciągnąć nogi twoich sań i ustawić cię w pozycji do nurkowania – rzekł Mazer.

Calinga zamknął się w kokpicie. Mazer podszedł do jego sań, odciągnął boczną płytkę i wstukał polecenie wysunięcia szczudłowatych nóg. Był to wielostopniowy proces, który trwał kilka minut, ale wkrótce wszystkie nogi znalazły się na zewnątrz.

– Jesteś gotowy – powiedział Mazer. – Zaczekaj jednak, aż wrócę do moich sań i usunę się z zasięgu twojej lawy.

Calinga zaczekał na znak, a potem uruchomił sanie i zanurkował pod ziemię. Wyrzucona lawa uderzyła o spód lądownika; w tym miejscu kadłub zasyczał i zaczął się topić.

– Kadłub się topi – stwierdził Mazer. – Powiedziałbym, że twój plan jest dobry, Wicie.

– Pokaż mi, jak ustawić nogi moich sań.

Mazer zaczekał, aż sanie Calingi znikły pod ziemią i przestały wyrzucać lawę. Potem podbiegł do świdrosań Wita, odsłonił panel sterowania i nauczył Wita, jak się ustawia nogi. Wkrótce sanie stały na swoich pająkowatych nogach, gotowe ostrzelać lądownik lawą.

W ciemności coś się jakby poruszyło. Mazer odwrócił się i zapalił światło. Pędziła ku nim grupa dwudziestu albo trzydziestu Formidów. Nie wyglądali na uzbrojonych, ale ich szczęki i szponiaste

dłonie sprawiały wrażenie gotowych rozszarpać Mazera i Wita na strzępy.

– Mamy towarzystwo – stwierdził Mazer.

Broń miał w kokpicie. Pobiegł do niego. Formidzi rzucili się do przodu. Trzy sekundy później Mazer miał broń w dłoni i pierwsze strzały oddał stamtąd, gdzie stał – na boku świdrosań. Większość trafiła do celu. Na ziemię padło sporo Formidów. Inni rozpierzchli się w ciemności.

– Trzymaj ich w szachu – powiedział Wit. – Ustawię twoje świdrosanie.

Podbiegł do pojazdu Mazera, otworzył klapkę i wziął się do pracy.

Ich hełmy zostały skonstruowane do prowadzenia świdrosań. Nie zaprojektowano ich do walki bronią ręczną w prawie całkowitej ciemności. Mazer nie miał wyświetlacza, żadnej pomocy przy celowaniu, żadnych czujników ciepła ani noktowizora. Osłonę jego hełmu stanowiła szklana płyta i nic więcej. Miał broń krótką i latarkę.

Poruszał nią, szukając Formidów, którzy usiłowaliby się do nich podkraść. Czasami wyławiał któregoś z nich promieniem światła i wtedy posyłał mu kilka nabojów, celując w środek tułowia.

Chwilę później z ciemności wyłonił się tłum Formidów i zaraz się cofnął.

– Odchodzą – powiedział Mazer.

– To dobrze. Potrzebuję jeszcze dwóch minut – odparł Wit.

Mazer krążył wokół sań, świecąc latarką we wszystkie strony i trzymając broń gotową do strzału. Przez moment sądził, że nic im już nie grozi. Wtedy promień światła padł na setki par oczu pędzących na niego w ciemności.

– Formidzi! Na drugiej. Setki! – zawołał.

– Jeszcze trzydzieści sekund.

Mazer uświadomił sobie, że pierwszą grupę tworzyli zwiadowcy wysłani do sprawdzenia, czym dysponuje wróg. Teraz zbliżała się prawdziwa armia. Mazer nie sądził, by udało mu się ją powstrzymać choćby przez dziesięć sekund, nie mówiąc już o trzydziestu. Zbliżali się jak rój.

Przełączył pistolet na serie po trzy pociski i otworzył ogień. W pęcherzu powietrza strzały rozległy się echem. Za każdym razem Mazer trafiał do celu. To nie było trudne. Formidzi praktycznie biegli do przodu oszalałą, zwartą, wściekłą masą.

Uświadomił sobie, że są całkowicie pozbawieni strachu. On ich kosił, a oni nie zwracali na to uwagi. Zupełnie jakby wiedzieli, że w końcu go zaleją, a osobniki na czele chętnie się poświęcały, żeby do tego doszło.

– Trzydzieści metrów – powiedział Mazer. – Masz trzy sekundy.

– W porządku. Gotowe. Jedź!

Mazer rzucił się w stronę swoich świdrosań, strzelając za siebie na oślep. Na ziemię padli kolejni Formidzi. Reszta nadal sunęła do przodu, nie pamiętając o zabitych towarzyszach.

Błyskawicznie wspiął się po drabince do kokpitu. Kątem oka zobaczył Wita, który wchodził do swojego. Mazer wciągnął szarpnięciem drabinkę i zamknął kokpit w momencie, kiedy fala Formidów uderzyła w pojazd, a pojedynczy obcy zaczęli wspinać się na jego nogi i walić w osłonę kabiny. Pojazd zachwiał się pod ich ciężarem i przez przerażającą chwilę Mazer myślał, że Formidzi przewrócą pojazd albo połamią cienkie nogi. Ale świdrosanie wytrzymywały atak.

– To się nie uda – powiedział. – Calinga nie będzie mógł wysiąść ze swoich sań. Zaleją go. Musimy przerwać akcję.

– Zniszczenie lądownika jest ważniejsze od Calingi – odparł Wit. – Jest ważniejsze od nas wszystkich. On o tym wie. Jeśli się wycofamy, Formidzi osłonią spód lądownika. Teraz albo nigdy. Wytopmy dla niego otwór.

Oczywiście miał rację. Powodzenie misji przebijało wszystkie inne względy, nawet ich życie.

Mazer uruchomił wiertło, a potem włączył wsteczny bieg gąsienic i powoli zbliżył wiertło do powierzchni ziemi. Lawa wystrzeliła w powietrze i trafiła w lądownik. Wsteczny bieg gąsienic równoważył ciąg do przodu, wytwarzany przez wiertło; przeciwstawne siły szarpały saniami. Mazer nie przerywał wiercenia. Wit robił to samo. Lawa strzelała w górę. Spód lądownika się topił.

Uderzenia w osłonę kabiny Mazera ustały. Formidzi spadli na ziemię. Mazer miał nadzieję, że dostali się pod prysznic lawy. Minęła minuta. Potem dwie. Sanie podskakiwały na dnie jaskini. Mazer uważał, by nie skierować strumienia lawy na Wita, i miał nadzieję, że kapitan robi tak samo.

Runął na ziemię duży fragment dolnej ściany lądownika – jak gorąca podłoga w płonącym domu. Został po nim ziejący otwór.

– Calinga! – zawołał Wit. – Masz dziurę. Przesyłam ci skany. Dostań się do środka, zostaw pocisk i wracaj, jeśli zdołasz.

– Przyjąłem. Wy dwaj uciekajcie. Nie chcę w was uderzyć po drodze w górę.

Mazer wyłączył wsteczny bieg i złożył nogi pojazdu. Świdrosanie natychmiast opadły i runęły do przodu, przekopując się w dół przez ziemię pod pęcherzem powietrza.

Wywołał pozycję Calingi na holo. Minęli się, zdążając w przeciwnych kierunkach. Na ostatnich stu metrach Calinga zwiększył prędkość i wystrzelił w górę przez powietrze. Idealnie wycelował w otwór. Ponieważ jednak świdrosanie były ustawione pod pewnym kątem, wlatując do wnętrza lądownika, uderzyły w krawędź otworu, przekręciły się w powietrzu i wylądowały na boku.

– Calinga, melduj – powiedział Wit.

– Wy dwaj zejdźcie głęboko – odezwał się głos przepełniony bólem, ale i optymizmem. – Ja odpalę pocisk.

– Zaczekaj! – krzyknął Wit. – Jadę po ciebie.

– Nie zgadzam się. Jeśli spróbujesz wykonać taki skok, przytrafi ci się to samo i zginiemy obaj. Formidzi już zalewają moje świdrosanie. I tak nie mógłbym się przesiąść. Wy nurkujcie. Dam wam dwadzieścia sekund.

– Ja powinienem tam być. To ja powinienem wziąć pocisk.

– Czas pozwolić zgarnąć chwałę komuś innemu.

– To dla mnie zaszczyt.

– Większy dla mnie – odparł Calinga.

Jak oni mogą rozmawiać o tym tak swobodnie? – pomyślał Mazer. Jak mogą tak łatwo się poddawać?

Ponieważ są żołnierzami POP-u, uświadomił sobie. Ponieważ są inteligentnymi żołnierzami, ponieważ wiedzą, że nie ma innego wyjścia.

– Dziesięć sekund – powiedział Calinga. – Zaczynają zdzierać osłonę. Nie mogę już dłużej czekać.

Mazer dodał gazu. Odliczał sekundy, obserwując holo na desce rozdzielczej. Kiedy doszedł do zera, pulsujący punkt, który oznaczał świdrosanie Calingi, zniknął.

* * *

Mazer zmierzał do wyznaczonego wcześniej na mapie miejsca, gdzie umówili się wynurzyć na powierzchnię. Żaden z nich nie wiedział, jaki będzie promień fali uderzeniowej podziemnego wybuchu nuklearnego, ale zasięg promieniowania mógł być bardzo duży. Najlepszym wyjściem było wybranie punktu odległego o dziesięć kilometrów, czyli na granicy zasięgu świdrosań.

Wyrwał się na powierzchnię w oznaczonym miejscu i ku swemu zaskoczeniu ujrzał na ekranach wskaźników kilka pojazdów. Odpiął pas, wstał i otworzył kokpit.

Parkowało tam kilka chińskich czołgów i pojazdów bojowych w towarzystwie plutonu uzbrojonych chińskich żołnierzy w kombinezonach promieniochronnych. Wit już tam był. Właśnie wysiadł ze świdrosań i sprzeczając się z oficerem, ubierał się w kombinezon, który przytrzymywali mu dwaj żołnierze.

Oficer odwrócił się z uśmiechem do Mazera. To był Shenzu, kontakt Mazera w chińskiej bazie, który zagroził, że go zastrzeli, kiedy Mazer zabrał WOCS-a.

– Kapitanie Rackham, witam. W imieniu chińskiej armii dziękujemy panom za zniszczenie jednego z lądowników oraz biomasy. Proszę włożyć kombinezon. W środku jest komunikator. W tej odległości prawdopodobnie jesteśmy bezpieczni, ale ostrożności nigdy nie za wiele.

– Wybuch się udał? – zapytał Mazer.

– To w Chinach wielki dzień. Odnieśliśmy wielkie zwycięstwo. A panowie są aresztowani.

Mazer uznał, że się przesłyszał.

– Właśnie zniszczyliśmy gości, którzy wyrzynali wasz naród – powiedział Wit. – Powinniście zobaczyć, co zrobiliśmy, i to powtórzyć.

– Och, na pewno powtórzymy. Nasi ludzie już nad tym pracują. To jest przecież tylko jeden lądownik. Do zakończenia wojny jeszcze daleko. Tymczasem postawiono panom zarzuty. Nielegalne przekroczenie naszych granic, kradzież własności rządowej, przeprowadzenie uderzenia nuklearnego na chińskiej ziemi. Wszystko to są poważne przestępstwa. Mam panów odeskortować do więzienia.

– To tak okazujecie wdzięczność? – spytał Mazer.

– Niech się panowie nie martwią. Zwykle bohaterów w Chinach najpierw się aresztuje. Jesteśmy do tego przyzwyczajeni.

ROZDZIAŁ 29

STATEK BAZA

Victor położył dłoń na drzwiach promu, gotów do ich otwarcia. Przyrządy na konsoli wskazywały, że statek Formidów znajduje się w odległości zaledwie sześciuset metrów, praktycznie obok nich.

– Uda się nam, Imalo. Nie zamienią nas w parę wodną.

Obserwował zmniejszające się liczby, które oznaczały odległość od statku.

Wiedział, że przebywanie z Imalą w ciasnocie kajuty przez kilka dni będzie krępujące i niewygodne, ale nie spodziewał się, że będzie to aż tak nieprzyjemne doświadczenie. Było gorzej niż przez dziewięć miesięcy w szybkostatku. Przynajmniej w szybkostatku mógł robić, co chciał, i nie musiał się martwić o niestosowne zachowanie. Jeśli chciało mu się beknąć, to bekał. Jeśli chciał oddać mocz, to go oddawał. Tutaj Imala praktycznie dotykała go cały czas i zapewne miała świadomość wszystkiego, co robił wewnątrz swojego skafandra, ale i on był świadom każdego jej poruszenia i wydawanego przez nią dźwięku.

Poza tym ich duże hełmy prawie się stykały, więc mieli wrażenie, jakby cały czas się tulili do siebie i na siebie patrzyli. Bez przerwy. Przez cztery dni.

– Uważaj. Otwieraj drzwi powoli. Nagłe ruchy mogą ich zaalarmować.

– Wszystko może ich zaalarmować. Mogłyby ich zaalarmować ślady termiczne.

– Potrafią je wykrywać?

– Potrafią podróżować z prędkością bliską prędkości światła, Imalo. Kto wie, co jeszcze potrafią?

– Miło byłoby to wiedzieć, zanim wyruszyliśmy.

– Jeśli będziesz czekać, aż wszystkiego się dowiesz, nigdy niczego nie zrobisz.

– Kto to powiedział? Ben Franklin? Sun Tzu?

– Mój ojciec.

Konsola piknęła, sygnalizując, że Victor powinien już wyjść w kosmos. Imala zgasiła wewnętrzne światła.

– Potrafisz to zrobić, Vico. A jeśli dojdziesz do momentu, w którym już nie będziesz chciał tego robić, zawrócimy. Nie przylecieliśmy tu po to, żeby któreś z nas zginęło. Więcej dobrego zrobimy żywi. Pamiętaj o tym.

– Żyć. Tak. Dobry plan.

Przekręcił uchwyt i powoli otworzył drzwi, wypychając je na zewnątrz. Kiedy rozwarły się wystarczająco szeroko, wyciągnął się z promu. Nic nie ważył. Statek Formidów przed nim był jak czerwona góra. W porównaniu z nim on był niczym. Kropką. Komarem. Jak mógłby zatrzymać coś tak olbrzymiego?

Powoli wyciągnął torbę z narzędziami i materiałem wybuchowym, który nagle wydał się beznadziejnie nieodpowiedni, zważywszy na wielkość statku.

Prom sunął bezwładnie do przodu. Victor delikatnie zamknął drzwi.

Nie mogli dopuścić, żeby prom uderzył w statek Formidów. Doprowadzenie do ich zetknięcia wydawało się ryzykowne. Lepiej byłoby, gdyby Imala zatrzymała prom w niewielkiej odległości od statku, a resztę drogi Victor przebył o własnych siłach.

– Jestem na zewnątrz, Imalo.

– Przyjęłam. Nie śpiesz się. Jeżeli coś ci się wyda nie tak, wracaj.

– Wszystko już mi się wydaje nie tak. Powinnaś zobaczyć, jaki on jest wielki. Jak Księżyc.

– Włączam silniki hamujące.

Prom zwolnił. Victor leciał w stronę lśniącej czerwonej ściany z metalu. Nie wysunęły się żadne działa. Nie pojawili się żadni obcy.

Wylądował miękko, jakby składał pocałunek. Magnesy w dłoniach i na stopach przytwierdziły go do powierzchni. Wyraźnie widział zasłonięte otwory rozmieszczone po całym kadłubie. Były zrobione z takiego samego materiału jak kadłub, dzięki czemu z większej odległości sprawiały wrażenie niewidocznych. Każdy z nich miał wielkość talerza obiadowego, a były ich dziesiątki tysięcy, rozmieszczone w rzędach ciągnących się od jednego końca statku do drugiego.

Cel Victora stanowiło miejsce na kadłubie, z którego wysuwało się działo. Zlokalizowanie go zajęło chłopakowi chwilę. Zdał sobie sprawę, że będzie musiał do niego podejść. Ostrożnie ruszył w jego stronę. Po drodze zastanawiał się, czy gdzieś w pobliżu wylądował

jego ojciec. Rozejrzał się w poszukiwaniu jakichkolwiek śladów walki czy uszkodzeń albo napraw kadłuba, ale niczego nie zauważył.

Znalazł miejsce, z którego wysuwało się działo. Widział szwy w poszyciu, gdzie kadłub otwierał się albo rozsuwał. Nadeszła pora. Przymocował torbę do kadłuba i wyjął pilota. Razem z Imalą umieścili wabika w odległości dziesięciu klików. Włączył pilota i otworzył przepustnicę. Początkowo nic nie widział. Wkrótce jednak dostrzegł w dali między kosmicznymi śmieciami punkcik, który poruszał się w jego stronę. Zwiększył jego prędkość. Wabik zderzył się z mniejszym kawałkiem złomu na swojej drodze i oba fragmenty odbiły się od siebie. Victor na chwilę stracił kontrolę nad wabikiem, ale szybko ją odzyskał i poprawił kurs.

Pod nim coś się poruszyło. Obracały się przekładnie, przesuwały elementy, ożywała maszyneria. Czuł to stopami.

Kadłub otworzył się w ciszy. Działo wysunęło się z otworu i rozłożyło jak olbrzymi mechaniczny kwiat, który rozchyla płatki i wyciąga się do słońca. Było pięćdziesiąt razy większe, niż Victor się spodziewał, większe od promu. Na wideo wydawało się takie małe.

Już dawno zapomniał o pilocie. Teraz znajdował się przy krawędzi otworu i świecił latarką w głąb. Przestrzeń była olbrzymia. Wydawało się, że w dole są jakieś przejścia. Może jedno z nich prowadzi na mostek.

Kadłub się zatrząsł. Olbrzymi kwiat strzelał. Victor obejrzał się za siebie. Wabik stanowił już chmurę roztrzaskanych kawałków. Victor odwrócił się i zaczął gorączkowo pracować.

Jego szanse malały. Powinien nie dopuścić do zamknięcia otworu. Ale jak? Wyobrażał sobie przestrzeń znacznie mniejszą od tej. Miał z sobą pręt, którym chciał zablokować otwór, dzięki czemu mógłby się dostać do środka, ale pręt był zdecydowanie za krótki. Jak mógł się tak pomylić?

Olbrzymi kwiat zaczął się składać i chować do kryjówki. Victor wepchnął pręt między dwa wsporniki, które zaczęły się składać do wewnątrz. Pręt się zaklinował i kwiat przestał się składać. Victor chwilę odczekał. Gdyby pręt pękł po tym, jak on sam wejdzie do otworu, płatki kwiatu mogłyby go zgnieść.

Kwiat się nie poruszył. Pręt wytrzymał. Victor zamknął torbę, przerzucił ją sobie przez ramię i chwycił się krawędzi otworu, gotowy wsunąć się do środka. Nagle zapragnął, żeby znalazł się przy nim ojciec. Mógłby popłynąć najpierw, a Victor za nim, tak jak robili to

przez lata na pokładzie „El Cavadora”, krążąc po statku i naprawiając go. Ojciec zawsze wiedział, co trzeba zrobić. Nie znał wątpliwości. Jego rozwiązania może nie zawsze były najskuteczniejsze, ale działały. Ojcu i Victorowi zawsze udawało się należycie wykonać pracę. Owszem, Victor był lepszym mechanikiem, ale pod presją lepiej pracował ojciec. Zawsze zachowywał kamienny spokój. Zawsze miał spokojne ręce.

Victor uniósł prawą rękę i zobaczył, że drży mu dłoń.

Bądź ze mną, ojcze. Zostań ze mną, lataj ze mną. Somos familia. Somos uno.

A potem opuścił dłoń na krawędź otworu, podciągnął się do przodu, w dół, i zniknął w ciemności.

PODZIĘKOWANIA

Wiele osób pomogło w powstawaniu tej powieści i należą im się podziękowania.

Brett Rustand, były pilot śmigłowca Blackhawk w armii amerykańskiej, pomógł nam zrozumieć, dlaczego łopaty wirnika stanowią bardziej przekleństwo niż błogosławieństwo i dlaczego śmigłowce bojowe przyszłości spisywałyby się o wiele lepiej bez nich. Jego wiedza o manewrach taktycznych ukierunkowała nasze myślenie na temat opisywanego przez nas sprzętu wojskowego.

Szczególne podziękowania należą się grafikom Nickowi Greenwoodowi i Giancarlowi Caracuzzo, których talent dał Formidom życie, barwy i niesamowitą obcość na długo przedtem, nim została napisana choćby jedna strona tej książki.

Jordan D. White służył nam wspaniałymi radami i słowami zachęty, kiedy ta opowieść była jeszcze w powijakach. Dziękujemy Beth Meacham, naszej niezmordowanej redaktor w wydawnictwie TOR, za jej przenikliwość i mądrość. Kathleen Bellamy wyłapała błędy, których czytelnicy na szczęście nie ujrzą.

Dodatkowe podziękowania składamy Melissie Frain, Aishy Cloud, Andy’emu Mendelsohnowi, Rene Robertson, Karlowi Dunnowi, Rickowi Brysonowi i wszystkim innym w wydawnictwie TOR oraz Erwinowi Penlandowi, który w pewien sposób, mniej lub bardziej, przyczynił się do tego, że mogliśmy się skupić na pisaniu.

Przede wszystkim dziękujemy zaś naszym żonom, Lauren i Kristine, oraz naszym dzieciom za ich nieskończoną cierpliwość,

dodawanie otuchy i niezachwiane wsparcie. To jest i zawsze była opowieść o rodzinie, tej, w której się rodzimy, tej, którą narzucają nam okoliczności, i tej rodzącej się w walce, wśród krwi. Tego właśnie nie rozumieją Formidzi – tej mikrospołeczności, siły nielicznych, głęboko zakorzenionego oddania tym, których kochamy. Somos familia. Somos uno. Stanowimy rodzinę. Stanowimy jedność.

I dlatego wygrywamy.